MGŁA
„Ta powieść to materiał na serial kryminalny, a główna bohaterka to wymarzona rola dla nowej gwiazdy".
Borys Lankosz, reżyser Ziarna prawdy
KAJA MALANOWSKA
znak
litera nova

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Kaja Malanowska

MGŁA

znak litera nova

Kraków 2015

Patrycji i Brunowi

Prolog

Umówił się z Zofią o ósmej. Zadzwoniła rano i poprosiła o spotkanie. Pomyślał: „Nie”. Powiedział: „Dobrze”. Potem żałował, ale było za późno. Robiła wrażenie zdenerwowanej. Jąkała się do słuchawki i głośno łapała powietrze.

– Muszę się z tobą zobaczyć – powiedziała. – Nie prosiłabym, gdyby to nie było naprawdę ważne.

Jak zawsze poczuł się bezradny wobec cichego, niskiego głosu, wobec „ł”, które szczególnie starannie podkreślała, i „ą” wymawianego zbyt nosowo, jakby okrągłe, wyposażone w ruchliwy ogonek zwierzątko usadowiło się w głębi jej gardła i łaskotało ją w krtań. Poddał się mimowolnie wzruszeniu, zanim zdążył pomyśleć, przypomnieć sobie, że wszystkie te zgrabnie brzmiące zgłoski już do niego nie należą. Delikatna, wykwintna Zofia z uroczą wadą wymowy przestała go dostrzegać. A jednak zadzwoniła… Dlaczego? Po co? Czy coś się stało? I znowu ogarnął go niepokój. Zofię zawsze spowijała aura tajemnicy. To właśnie najbardziej go pociągało. Od początku ich znajomości.

W czwartki przychodziła ostatnia. Podczas spotkań siadywała z boku. Niewiele się odzywała, potem wychodziła cicho, nie żegnając się z nikim. Na początku budziła niepokój, w końcu jednak wszyscy przyzwyczaili się do jej milczącej obecności. Od czasu do czasu prowadzący zadawał jej pytanie, na które odpowiadała krótko i rzeczowo. Pozostali szybko przestali

się nią interesować. Wszyscy oprócz niego. Czekał na Zofię w każdy czwartek. Obserwował ukradkiem białe dłonie, brunatne, wilgotne oczy, zasłaniające twarz kasztanowe włosy. Po miesiącu, nie pytając o pozwolenie, zmienił miejsce w kręgu i usiadł pod ścianą. Tego dnia zaprosił ją na kawę. Dwa tygodnie później prowadzący wezwał ich na poważną rozmowę. Zabronił prywatnych kontaktów i kazał usiąść osobno. Mówił ostro i zdecydowanie, że nie ma zamiaru tolerować braku subordynacji w grupie. Zwracał się głównie do Zofii.

– Obserwuję cię od dłuższego czasu – powiedział. – Nie rozumiem, po co w ogóle tu przychodzisz. Powinnaś się nad tym poważnie zastanowić. Źle wpływasz na pozostałych.

Wysłuchała go spokojnie, po czym zabrała płaszcz i torebkę.

– Dobrze. – Odwróciła się w drzwiach. – Już tu nie wrócę.

Pobiegł za nią. Wiedział, że będzie musiał zrezygnować ze spotkań, ale w ogóle się tym nie martwił. Tak zaczęły się najpiękniejsze trzy miesiące w jego życiu.

Spuścił głowę i drgnął, jakby widok własnych dłoni zaskoczył go i przestraszył. Dawne uczucia powróciły drżącą, rozkołysaną falą. Trzy miesiące, skrzywił się. Trzy miesiące, w czasie których uwierzył, że jest dla kogoś naprawdę ważny. Nie trwało to długo… Romans skończył się równie gwałtownie, jak się rozpoczął. Nie zdążyli nawet dobrze się poznać. Tak mało o niej wiedział… Nie pytał jednak o nic. Wolał, żeby miłość rozkwitała powoli, żeby nabrała siły i rozmachu. Nie chciał nalegać i niczego przyspieszać. Marzył o wspólnych wakacjach, czekał, aż w końcu przedstawi go rodzicom, potem wprowadziłby się do niej, zrobiliby remont, wstawiliby podwójne łóżko… Z czasem kupiliby większe mieszkanie dla dzieci… Przez trzy miesiące snuł coraz bardziej rozległe plany na

przyszłość, czuł się spokojny i pewny. A potem nagle wszystko się skończyło. Zofia nie odbierała telefonów. Pojechał sprawdzić, co się z nią dzieje. Pukał do drzwi. Nie otworzyła, ale miał nieodparte wrażenie, że ktoś jest w mieszkaniu. Siedząc na schodach, słyszał przytłumiony odgłos rozmowy, szuranie i skrzypienie podłogi. Wtedy po raz pierwszy od trzech miesięcy pomyślał o czwartkowych spotkaniach i zdjął go strach. Wrócił do domu. Następnego dnia znowu do niej pojechał. Otworzyła, ale nie wpuściła go, tarasując wejście. Od razu przyszło mu do głowy, że ktoś ukrywa się za jej plecami. Kochanek?, pomyślał i ogarnęła go taka rozpacz i słabość, że musiał oprzeć się o ścianę. Zofia przyjrzała mu się poważnie wielkimi, wilgotnymi oczami.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie powinnam załatwiać tego w taki sposób, ale…

Usłyszał swój głośny, nierówny oddech. Czuł, że blednie. Kręciło mu się w głowie.

– Coś się wydarzyło – podjęła stanowczo. – Nie możemy się dalej spotykać.

To było wszystko. Jak cięcie gilotyną. Żadnych tłumaczeń ani wyjaśnień. Spotkali się jeszcze raz i powtórzyła dokładnie to samo: w jej życiu zaszły pewne zmiany, nie będą się dalej widywać. Jej oczy straciły dawną miękkość. Stały się zimne i stanowcze. „Pewne zmiany” to mógł być tylko ktoś trzeci, nie miał co do tego wątpliwości.

W kolejny czwartek próbował wrócić do kręgu. Nie przyjęli go, ale prowadzący wyznaczył mu indywidualne spotkania. Nie ukrywał, że bardzo się martwi. Twierdził, że wstrząs wywołany związkiem z Zofią może mieć poważne skutki, nie tylko dla niego, również dla całej grupy. Rozprawiał długo na temat odpowiedzialności, zobowiązań, przyjętych reguł

postępowania. Potem wypytywał dokładnie o relację z Zofią: o to, co robili przez trzy miesiące, gdzie się spotykali i o czym rozmawiali. Zdawało mu się, że prowadzący jest zbyt natarczywy i wścibski, próbował jednak odpowiadać. Niewiele z tego wyszło. Cierpiał na rodzaj dziwnej amnezji. W jego pamięci nie pozostało nic prócz rozpaczy, która powoli zamieniała się we wściekłość i nieopanowaną zazdrość. Jeśli Zofia nie chciała być z nim, nie mogła, nie miała prawa wiązać się z nikim innym!

Ale przecież dzisiaj zadzwoniła, myślał. Czyżby postanowiła go jednak przeprosić? Serce zabiło mu gwałtowniej. Wrócić, pogodzić się, po tym jak wykorzystała go i odepchnęła? I cóż ona sobie wyobraża? Czuł się upokorzony na myśl o minionych tygodniach, o tych wszystkich błagalnych próbach nawiązania kontaktu, płaczliwych telefonach, listach i nieprzespanych nocach. Nieustannie próbował podejść do Zofii, zmusić ją do rozmowy, odnaleźć dawną bliskość, która nie mogła przecież po prostu zniknąć, rozwiać się, nie pozostawiając śladu… Wciąż wydawało mu się, że znajdzie właściwe słowa, przekona ją, odczaruje i znowu stanie przed nim dawna, delikatna Zofia, jego Zofia! Tymczasem ona pozostawała niezmiennie obojętna, daleka i obca… Poderwał się z krzesła i zaczął krążyć po pokoju, podnosząc ręce do twarzy i szarpiąc opadające na czoło włosy. Podszedł do okna. Spojrzał na mokre, brzydkie miasto: pokryte błotem i topniejącym śniegiem place, szare chodniki, bezbarwne fasady bloków naprzeciwko. Czasami za którąś szybą mignęła niewyraźna postać. Przed sklepem osiedlowym kilka osób przytupywało i kuliło się pod parasolami. Wykorzystała go, jakby był rzeczą, martwym przedmiotem, który można zużyć, a potem wyrzucić, a nie żywą, czującą istotą. Człowiekiem. Mężczyzną, poprawił się w myślach. Znów przemierzał pokój, zawracając gwałtownie przy drzwiach i przeciwległej ścianie, żeby po chwili znieruchomieć obok okna. W każdą stronę świata ciągnęły się

dziesiątki bloków: ciężkich, posępnych, zalatujących stęchlizną. W niewielkich betonowych mieszkankach krzątali się obcy ludzie. W pionie i poziomie jednakowe betonowe moduły. W środku takie same stoły, łóżka i fotele. Prawie identyczni mężczyźni i kobiety gotowali obiady, oglądali wspólnie telewizję, szli do łazienki wziąć ciepłą kąpiel albo się wysikać. Czy ona wie, czy się domyśla, jak bardzo go skrzywdziła?! Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza.

Przez cały dzień nie opuszczało go skrajne rozdrażnienie. Próbował szperać w necie, obejrzał dwa odcinki *Brygady*, rosyjskiego serialu o mafii. Wczesnym popołudniem odwiedził osiedlową siłownię. Przez godzinę biegał, potem podnosił sztangę i ćwiczył brzuch. Starał się wyłączyć, myśleć tylko o Saszy, Kosmosie, Pszczole i Filu – brutalnych, gotowych na każde ryzyko bohaterach serialu. Na koniec poszedł do sauny i wziął zimny prysznic. Po powrocie do domu wyjął z lodówki mleko i usiadł przy stole. Pił prosto z kartonu długimi, wolnymi łykami. Irytacja zmieniła się w twardą, brutalną wściekłość. Jeszcze raz odtworzył przebieg porannej rozmowy i doszedł do wniosku, że Zofia nie dzwoniła z zamiarem pojednania. Jej głos brzmiał niepewnie, ale nie było w nim skruchy. Krótkie, rzeczowe zdania, żadnego: „Stęskniłam się” albo „Cieszę się, że cię zobaczę”. Zdawkowe: „Do widzenia” na koniec. Suka, pomyślał, śledząc wznoszący się samolot. Szare, gęste chmury rozdarła postrzępiona pręga. Ale czego Zofia mogła od niego chcieć – po raz setny tego dnia zadał sobie to samo pytanie. Nieważne. To będzie jego chwila. Zaprosiła go, więc wysłucha grzecznie, co ma jej do powiedzenia. Wyobraził sobie, jak wchodzi do mieszkania, każe jej usiąść i tłumaczy krótko, zwięźle, zdecydowanym tonem, a ona nareszcie rozumie… A jeśli nie będzie chciała słuchać? Mógłby ją uderzyć, a nawet związać. Zakleić jej usta taśmą i patrzeć, jak płacze bezgłośnie, przerażona, bezbronna, zdana na jego

łaskę. Samolot wzbił się wyżej i zniknął ponad chmurami. W mieszkaniu na górze ktoś puścił głośną taneczną muzykę. Słyszał stłumiony śmiech i odgłos drobnych, szybkich kroków.

Dochodziło wpół do siódmej. Odstawił mleko do lodówki. Włożył krótką kurtkę ze ściągaczem, rękawiczki i sportowe buty. Naciągnął na głowę bawełniany kaptur. Na dworze wiał silny, przenikliwy wiatr; mokry śnieg oblepił mu buty, które natychmiast przemokły. Mimo to nie skręcił do metra. Szedł uparcie chodnikiem wzdłuż alei KEN, nie zatrzymując się i nie schodząc nikomu z drogi. Przed oczami stanęła mu twarz Zofii, jej szerokie usta, prosty nos, niewielki pieprzyk w kąciku oka i umykające w bok spojrzenie, gdy mówiła: „Musisz w końcu zrozumieć, że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego”. Przypomniał sobie własne zdenerwowanie, strach i palące uczucie odrzucenia. Jak bardzo upokorzył się i ośmieszył… Przyspieszył kroku, aż w końcu zaczął biec, gnany żalem i bezsilną złością. „Job twoju mat’!”, „Srat’ tebie w rot!”, powtarzał, bezwiednie naśladując głos jednego z bohaterów *Brygady*. Zatrzymał się dopiero na Służewcu, zszedł na peron i metrem dojechał do Racławickiej, po czym znowu ruszył zaśnieżoną ulicą, mijając rozświetlone okna kawiarni, zakładów rzemieślniczych i niewielkich osiedlowych sklepów. Tuż za szkolnym boiskiem skręcił w bramę i niemal zderzył się ze starszym panem ubranym w gruby wełniany płaszcz i futrzaną czapkę.

– Idi na chuj! – warknął, po czym przepchnął się brutalnie, przyciskając mężczyznę do ściany.

Z trudem łapał oddech. Uporczywe myśli zataczały koła, powodując chorobliwy zawrót głowy. Po twarzy spływały mu krople potu.

Zofia wróciła do domu przed piątą. Postawiła torbę z zakupami na stole w kuchni, zdjęła przemoczone buty i zostawiając mokre ślady stóp na

podłodze, poszła do łazienki. Leżała w wannie, myśląc, jak bardzo skomplikowało się jej życie w ciągu ostatnich trzech miesięcy. I czyja to wina?, zastanawiała się, wyżymając gąbkę. „Czyja wina?”, powtórzyła głośno. Przyciągam pecha jak magnes, myślała dalej, wstając i biorąc do ręki mydło. Im bardziej kogoś lubię, tym większym świrem się okazuje. Ale czy z jakichś niezrozumiałych powodów podobam się tylko wariatom, czy też sama szukam ich towarzystwa? Spłukała pianę. Wyszła z wanny i zawinęła głowę ręcznikiem. Z wiklinowego kosza wyjęła szare spodnie od dresu oraz ciepłe wełniane skarpetki. Przez chwilę obserwowała swoją twarz w lustrze. Co mam teraz robić?, spytała własne odbicie. Co ja mam zrobić?

Mimo zmartwień osoba z lustra zdecydowanie nie zamierzała wyglądać na zmęczoną ani zaniedbaną. Zofia przyłożyła dwa palce do policzków i pociągnęła skórę lekko ku skroniom. Uniosła brwi, po czym sięgnęła po puder i tusz do rzęs. Odświeżona i starannie umalowana wyszła z łazienki. W kuchni zaparzyła herbatę. Ustawiła na blacie dwie filiżanki i talerzyk z francuskimi ciasteczkami. Nagle zatrzymała się w pół kroku i stała przez moment wpatrzona w zastawiony stół, jakby próbowała rozstrzygnąć w myślach istotną kwestię. Po chwili wyjęła komórkę i dwukrotnie, bez skutku, zadzwoniła pod ten sam numer. W końcu nagrała się na pocztę głosową.

– Chciałam odwołać spotkanie – powiedziała, zniżając głos, aby nadać słowom stanowczy ton. – Wypadło mi coś ważnego. Przepraszam cię bardzo. Zadzwonię jutro.

Spojrzała z wahaniem na telefon. Nie miała gwarancji, że wiadomość zostanie odsłuchana. Przez chwilę stała, bębniąc nerwowo palcami w parapet. W końcu wzruszyła ramionami i usiadła w okiennej wnęce. Dochodziła siódma. Popatrzyła na zasnuty mgłą niewielki skwerek

i opuszczony plac budowy odgrodzony od ulicy drewnianym płotem. Na ciemnej gałęzi klonu przycupnął samotny gawron. Powinna podjąć konkretne decyzje i ocenić ich konsekwencje. Nic sensownego nie przyszło jej jednak do głowy. Żadne teoretyczne rozwiązanie nie wydawało się dobre. Znalazła się w pułapce, z której nie było wyjścia. Gawron potrząsnął głową, nastroszył pióra i pokuśtykał bokiem w stronę pnia. Zofia podciągnęła kolana pod brodę. Po ciemnej ulicy wiatr gonił pusty plastikowy kubek. Zamknęła oczy.

Piętnaście po siódmej zadzwonił domofon. Westchnęła i bez słowa nacisnęła guzik przy drzwiach. A potem powodowana nagłym impulsem schwyciła leżącą pod wieszakiem torebkę. Zdecydowanym ruchem wyjęła z niej orzeczenie lekarskie. Idąc w stronę łazienki, podarła je na drobne kawałki, po czym wrzuciła do toalety.

– Jestem w łazience – krzyknęła, usłyszawszy trzaśnięcie drzwi. – Zaraz przyjdę – dodała, spuszczając wodę.

W tej chwili poczuła silne uderzenie w skroń. Jedno, potem następne. Nie bolało. Nie bała się. Ogarnęło ją ogromne znużenie. „Kto to?”, chciała zapytać, nim zaśnie, lecz z otwartych ust popłynęła krew. Próbowała się jeszcze odwrócić i spojrzeć na napastnika, ale jęknęła tylko i zapadła w głęboką ciemność.

O ósmej znad lodowatej rzeki powiał przejmujący wiatr. O wpół do dziewiątej z powodu awarii zgasły nabrzeżne latarnie. Zrobiło się ciemno. Tylko na środku Wisły, w miejscu gdzie prąd był najsilniejszy, majaczył jaśniejszy zarys dryfującej kry. O dziewiątej snop samochodowych świateł pospiesznie przemierzył powierzchnię wody i zniknął we mgle. W zaroślach ostro krzyknął obudzony ptak. Na skarpie wznosiło się otoczone łuną miasto. Nad nim rozlała się druga rzeka. Szeroka i ciemna.

Z wolna wpłynął na nią śliski, polerowany księżyc i sunął gładko między chmurami.

1

Wydobyła się ze snu jak ze studni. Otworzyła oczy i stwierdziła, że leży obok niedźwiedzia polarnego. Nie był duży. Ada wiedziała jednak, że białe niedźwiedzie, nawet te najmniejsze, należą do najniebezpieczniejszych zwierząt na świecie. Obróciła się delikatnie na lewy bok i skuliła pomiędzy odchodami, które zaściełały prześcieradło. Musiał załatwiać się do łóżka przez całą noc, pomyślała. Trzeba to jakoś rozwiązać w przyszłości, kupić kuwetę czy coś w tym rodzaju… Niedźwiedź podniósł się ciężko, zsunął na podłogę i zaczął krążyć po pokoju, węsząc i omijając śnieżne zaspy.

– Wstawaj, czas na śniadanie. – Blada, rozczochrana kobieta usiadła po drugiej stronie łóżka. Odsunęła niemowlę od piersi i ułożyła je na poduszkach. – Myślisz, że mogę ją tu zostawić? – spytała.

– Jasne. – Ada ucieszyła się, że Kasia nie zauważyła pobrudzonej pościeli. Inaczej nie kładłaby chyba dziecka w samym środku nieczystości.

– Jasne – powtórzyła. – Niedźwiedź jest łagodny jak baranek, uwielbia niemowlęta.

W tamtej chwili była przekonana, że mówi prawdę.

Włożyły kapcie, zamknęły za sobą drzwi i ruszyły przez słabo oświetlony hol. Podłoga z nieheblowanych desek skrzypiała pod ich stopami. Kuchnia była wąska, ciemna, wyłożona kafelkami w kolorze zupy pomidorowej. Niewielkie zakratowane okno wychodziło na ogrodzony siatką placyk. Pachniało spalenizną i butwiejącymi szmatami. Kasia zalała

herbatę w szklankach, przygotowała kanapki. Dopiero kiedy wracały do pokoju, Ada przypomniała sobie, że poprzedniego dnia niedźwiedź zjadł dwa szczeniaki i kota sąsiadki. Nic już nie dało się zrobić. Otworzyła drzwi. Biały zwierz leżał na łóżku i oblizywał pysk. Po dziecku została krwawa plama na poduszce.

– Kasiu – szepnęła, łapiąc siostrę za ramiona. – Kasiu…

Obudził ją rozpaczliwy krzyk. Filip-Oleńka stał w nogach łóżka i miauczał. Kasia nie ma dzieci – to była pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy. Odczuła ulgę. Usiadła, przeczesała palcami krótkie zmierzwione włosy i pogłaskała Filipa-Oleńkę, a potem wstała i potykając się o kota, który ciągle zabiegał jej drogę, ruszyła w stronę kuchni. Na parapecie kładły się pierwsze zimne plamy świtu. Przed dom podjechała śmieciarka, gdzieś wysoko pod szarzejącym niebem krzyczały rybitwy. Zapaliła światło. Kuchnia w niczym nie przypominała tej ze snu. Jasna, czysta podłoga z malowanych na biało desek, drewniane szafki, duże kwadratowe okno, całość zaprojektowana dokładnie według katalogu IKEA. Wyjęła z lodówki dwie kostki lodu i starannie przetarła nimi twarz, nastawiła ekspres do kawy i poszła do łazienki wziąć prysznic. Pięć minut później stała już czysta, owinięta ręcznikiem przed otwartą szafą. Idealnie wyprasowane koszule i spodnie wisiały w kolorowych rzędach: beżowe, szare, granatowe, zielone, jak w luksusowym sklepie z ubraniami. Nawet majtki na półkach zostały złożone w równą białą kostkę. Ada wyjęła wąskie dżinsy, pomarańczowy T-shirt i brązowy sweter z szerokim golfem. Ubrała się szybko i usiadła przed stylizowaną na antyk toaletką.

Dobiegała czterdziestki, zachowała jednak szczupłą figurę i lekki, dziewczęcy sposób poruszania się. Przywykła do myśli, że nadal wygląda jak studentka. Było to prawdą jeszcze dziesięć lat wcześniej, czas jednak nieubłaganie biegł naprzód i znaczył na jej jasnej, drobnej twarzy bezlitosne

piętno, którego uparcie postanowiła nie zauważać. Skóra na policzkach zwiotczała i lekko obwisła wokół podbródka. Oczy, ciemne i uważne, straciły dawny blask, ustępując miejsca wyrazowi chłodnej, rzeczowej pewności, a szerokie usta o dziwnym, jakby odwróconym wykroju zamknęły nieśmiałe nawiasy pierwszych zmarszczek. Ada wyjęła z szuflady puder, róż i tusz do rzęs. Dzięki krótkim, stanowczym pociągnięciom pędzla nabrała wkrótce wyrazu osoby, której wieku w żaden sposób nie da się określić. Zaczesała na bok ciemną wystrzępioną grzywkę, poprawiła włosy za uszami, po czym skinęła głową własnemu odbiciu, jakby witała się z kimś chłodno, z rezerwą, jednocześnie okazując oschle należny szacunek.

Wróciła do kuchni i wyłączyła ekspres. Filip-Oleńka wskoczył na stół tak nagle i bezszelestnie, że drgnęła przestraszona i rozlała kawę.

– Nie wolno – upomniała go ostro.

Dolała mleka i usiadła nad parującą filiżanką. Przez chwilę patrzyła w szarzejący kwadrat okna. Resztki snu odrywały się od niej powoli. Pozostało po nim bliżej nieokreślone uczucie niepokoju i Ada odsunęła je od siebie z rozdrażnieniem. Kot miauczał nieprzerwanie.

– Nie teraz! – podniosła głos, starając się nadać mu zdecydowany ton, a jednak nie mogła powściągnąć uśmiechu, patrząc, jak zwierzę przestępuje z łapki na łapkę, wygina grzbiet i przyjmuje coraz bardziej przymilne pozy.

– Nie możesz tyle jeść, bo utyjesz, a tego chyba nie chcemy – powiedziała już łagodnie i wyszła do przedpokoju. Filip-Oleńka zabiegł jej drogę miękkim, upartym truchtem. Odsunęła go na bok. Włożyła płaszcz, rękawiczki, wysokie buty z brązowej skóry, schwyciła torebkę i zamknęła za sobą drzwi.

2

Komisarz Marcin Sawicki zmusił starego, rzężącego opla do wykonania gwałtownego skrętu.

– Policja, ty chuju! – krzyknął na trąbiącego kierowcę nissana, któremu właśnie zajechał drogę, i zahamował na chodniku tuż przed znakiem zakazu parkowania.

– Kobieta – burczał, wyswobadzając się z pasów bezpieczeństwa. – Kobieta – powtarzał, idąc ulicą w stronę, w którą w żadnym razie nie powinien podążać. Minął Bar Kawowy, sklep z pończochami, kiosk i otworzył drzwi do sieciówki Starbucks. Wzdrygnął się, a potem wbrew zdrowemu rozsądkowi zamówił podwójne espresso oraz bajgla z kurczakiem. Zapłacił osiemnaście złotych i natychmiast poczuł niemiłe ukłucie wyrzutów sumienia. Prawie dwie dychy, myślał ze zgrozą, czekając na kawę. Pieniądze, których nie da się już odzyskać. Próbował ustalić, ile wydaje miesięcznie na jedzenie poza domem, ale natychmiast przerwał, bo przyszło mu do głowy, że do tego dochodzą jeszcze papierosy, piwo i czekoladowe batoniki, od których był uzależniony. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ale teraz, kiedy stał oparty o bufet, wciskając łokieć między miseczki z białym i brązowym cukrem, i skubał nerwowo papierową serwetkę z napisem *Have a nice day*, zdawał się maleć i zapadać w sobie. Zgarbił ramiona, wypiął brzuch, a szeroka, sympatyczna twarz

przybrała nieszczęśliwy wyraz skrzywdzonego chłopca. Poczuł, że drżą mu policzki.

– Esspressobajgle, proszę! – zawołała ładna ciemnowłosa dziewczyna opasana firmowym fartuchem.

Drgnął, obrzucił kelnerkę spojrzeniem zbitego psa i odebrał zamówienie. Zmęczonym krokiem poszedł do stolika. Ostatniej nocy nie zmrużył oka. Spędził długie godziny przed komputerem, oglądając kolejne odcinki amerykańskiego serialu, masturbując się w czasie nieocenzurowanych scen erotycznych i mając nadzieję, że ciemności za oknem nigdy nie rozproszy różowa smuga poranka. Świt jednak wstał. Nie bladoróżowy, tylko trupiosiny, a Sawicki musiał się podnieść i stawić czoła rzeczywistości.

Nie jest dobrze, pomyślał, przełykając ostatnie kęsy bajgla, z którego usunął wcześniej rukolę. Nie miał nic przeciwko kobietom pracującym w policji, na przykład na stanowisku sekretarki. Nawet w prewencji. Ale kobieta kryminalny… Kobieta detektyw… Na dodatek w terrorze… Może detektyw-ka, zaśmiał się cierpko, dopijając kawę.

Detektyw czy detektyw-ka, Sawicki będzie ją musiał niańczyć przez najbliższe miesiące, aż w końcu ktoś, komu tam, na górze, odbiło, otrzeźwieje i ją przeniesie. Że jest to sytuacja przejściowa, nie miał wątpliwości. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uważa chyba, że kobieta może być operacyjnym… -ną. Słyszał, co prawda, o takich wypadkach: kobietach kryminalnych, babochłopach bez rodzin, przyjaciół, bez życia osobistego, opętanych manią ścigania przestępców. Podobno były w tym dobre. Ale w Pałacu Mostowskich już dawno żadna policjantka dochodzeniowiec nie pracowała w terenie. I wszyscy byli z tego zadowoleni.

Minęła dziewiąta. Odstawił filiżankę. Wytarł usta w napis *Wonderful coffee, wonderful life*, podniósł się ciężko i wyszedł z kawiarni. Był ostatni dzień lutego. Cała Warszawa w napięciu oczekiwała wiosny, ta jednak nie spieszyła się z nadejściem. Blade zimowe słońce uniosło się nad dachami, odbijając od śniegu tysiące roziskrzonych blasków jak tysiące bolesnych igiełek. Na plastikowych dachach przystanków tramwajowych mościły się nastroszone gołębie, gulgocząc i drobiąc w miejscu, odprowadzały tępym wzrokiem każdy przejeżdżający samochód. Rachityczne bezlistne drzewka stały zdyscyplinowanym rzędem wzdłuż chodników. Placem Bankowym ciągnął tłum okutany w puchowe kurtki i wełniane czapki, które w tym sezonie nosiło się w sposób wyjątkowo idiotyczny, zsunięte z czoła do połowy głowy. Sawicki zmrużył oczy, jęknął cicho i życząc wszystkim modnie ubranym przechodniom zapalenia zatok, ruszył w kierunku Pałacu Mostowskich.

Przed recepcją nerwowo przechadzało się kilka osób: młody człowiek w krótkiej wojskowej kurtce z przeraźliwie chudą dziewczyną o farbowanych na różowo włosach, starszy pan i dwóch mężczyzn w roboczych drelichach. Oficer dyżurny zniknął. Sawicki otworzył bramkę kartą magnetyczną, minął wewnętrzny dziedziniec i powłócząc nogami, wszedł na drugie piętro. Drzwi do sekretariatu były otwarte.

– Dzień dobry. Ale zimno, prawda? – Pani Dagmara potrząsała utapirowaną blond czupryną zza biurka i ustawionej na nim zielonej paprotki. – Nie-do-wy-trzy-ma-nia.

– Zimno – przyznał Sawicki, rozcierając zbielałe dłonie.

Sekretarka posłała mu życzliwy uśmiech, pociągnęła nosem i powróciła do wpatrywania się w przestrzeń. Spojrzał na zawieszony tuż nad jej głową błękitny zegar ścienny w kształcie słonia. Spóźnił się prawie dwadzieścia

minut, ta kobieta musiała już czekać. A może w ogóle nie przyszła?, przemknęło mu przez myśl. Może zrezygnowała albo została przeniesiona gdzie indziej, na przykład do Krakowa albo Olsztyna czy Białegostoku? Kto wie, co mogło się zdarzyć w ciągu minionego miesiąca…

– Czy są dla mnie jakieś wiadomości? – zapytał panią Dagmarę.

– Nie – odpowiedziała, odwracając głowę z chłodną, pełną ukontentowania powolnością.

– Coś, o czym byłoby warto powiedzieć… dzisiaj? – naciskał.

– Nieeeee – powtórzyła, przytykając wskazujący palec do czubka nosa. – Nie.

Z niewiadomych przyczyn jej umiejętnie wymalowana twarz i brzęczące kolczyki z kolorowych szkiełek wzbudziły w Sawickim irytację większą niż zazwyczaj, irytację tak nieoczekiwaną i gwałtowną, że z trudem panował nad głosem.

– Czy ktoś o mnie pytał? Pani Dagmaro, proszę się skupić! – powiedział zdecydowanie zbyt głośno.

Sekretarka podskoczyła, potrząsnęła tlenioną grzywką i rozszerzyła oczy w histerycznym natężeniu.

– A tak – przyznała w końcu i jej twarz przybrała znowu wyraz nieokreślonego zadowolenia. – Zastępca naczelnika czeka z jakąś panią w pokoju odpraw. Tym nowym, bo stary remontują… Od miesiąca – dodała gwoli wyjaśnienia.

– Naprawdę? – syknął. – Nie miałem pojęcia.

– Naprawdę – przytaknęła pogodnie. – Na górze pękła rura i…

– Wiem, pani Dagmaro, też tu pracuję! – przerwał z nietłumioną, zimną brutalnością. – Chciałbym natomiast, żeby docierały do mnie ważne informacje. Po to tu panią zatrudniamy!

– Ale nie było żadnych informacji – protestowała spokojnie, ściszając głos jak dobrze wychowane dziecko. – Przyszła tylko ta pani i czeka z Rogowskim. W pokoju odpraw… Tym nowym… – uzupełniła niepewnie.

Sawicki westchnął, przeczesał dłonią resztki ryżych włosów i powlókł się w głąb korytarza. Nim dotarł do drzwi, pożałował swojego wybuchu. Będę ją musiał przeprosić, zdecydował i nacisnął klamkę.

W pokoju czekały dwie osoby. Drobna ciemnowłosa kobieta, której twarzy nie mógł na razie dojrzeć, i zastępca naczelnika Wydziału do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw Komendy Stołecznej Policji Artur Rogowski, zwany przez kolegów Rogiem.

– Spóźniłeś się dwadzieścia minut – warknął Róg, ale na jego twarzy malował się wyraz ulgi. Najwyraźniej liczył się z możliwością, że Sawicki w ogóle nie przyjdzie. – To pani Adela Rochniewicz… – Zakaszlał i wytarł łysą czaszkę płócienną chustką do nosa, która robiła wrażenie mocno zużytej. – Poznajcie się.

Stał zgrzany i niechlujny, mrużąc zaczerwienione oczy i chrząkając głośno. Najwyraźniej nie miał pojęcia, jak się zachować. Przestępował więc z nogi na nogę i pocierał czoło brudną chustką tak długo, aż panująca w pokoju cisza zrobiła się zdecydowanie zbyt krępująca. W końcu skrzywił się lekko, jakby chciał powiedzieć: „Przykro mi, stary”. Powiedział jednak tylko:

– To ja was zostawiam i wracam do siebie – i wyszedł, podciągając opadające spodnie, kaszląc i głośno siąkając, co wydało się Sawickiemu jeszcze bardziej odrażające niż zazwyczaj.

Ada Rochniewicz siedziała bokiem do drzwi. Ukośne promienie wpadały przez okno, rozjaśniając niewielkie pomieszczenie, dumnie zwane „nowym pokojem odpraw”. Na ścianie i szarej wykładzinie kładły się drżące

słoneczne plamy. W powietrzu tańczyły rozświetlone drobinki kurzu. Ada pozostawała jednak w cieniu. Sawicki widział tylko delikatną, kruchą linię jej pleców i pochylonej głowy i obraz ten pozwolił mu na chwilę odzyskać poczucie równowagi. Zdecydowanym krokiem podszedł do stołu. Była ładna. Ubrana drogo, modnie, ale z umiarem, jakby wybrała się na obiad do restauracji, a nie na spotkanie w komendzie policji. Miała najwyżej trzydzieści lat, krótką grzywkę i szerokie usta o dziwnym wykroju, które nadawały twarzy nieco płaczliwy wyraz. A jednak poczuł niejasno, że za tą niewinną buzią kryje się coś jeszcze. Coś, czego w żadnym razie nie powinien lekceważyć.

– Marcin Sawicki – przedstawił się szorstko.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

– Przepraszam za spóźnienie – mruknął, siadając. – Korki… Rozumiem, że chciałaby pani u nas pracować – zaczął, wyciągając z teczki plik pożółkłych dokumentów. Była to kopia umowy z telewizją kablową, którą podpisał kilka miesięcy wcześniej, ale poczuł się pewniej, kładąc przed sobą stos papierów. – Czy oprócz tego – postukał palcem w umowę, zasłaniając jednocześnie łokciem kolorowe logo firmy – jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć?

Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy. Nie uśmiechała się, ale kąciki jej ust drżały lekko, jakby tłumiła rozbawienie. Zacisnął zęby.

– Jakie ma pani doświadczenie zawodowe? Uważa się pani za osobę dyspozycyjną? – ciągnął, mimo że nie udzieliła odpowiedzi na żadne z poprzednich pytań.

Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się co najmniej śmiesznie, odgrywając przed tą obcą kobietą rolę przyszłego pracodawcy, podczas gdy oboje wiedzieli doskonale, że nie ma najmniejszego wpływu na decyzję w sprawie przeniesienia. Nagle wydało mu się jednak, że siłą woli i uporem

zmusi ją do odwrotu. Wygra ostatnią potyczkę, zwróci jej dokumenty, mówiąc: „Przykro mi, mamy lepszych kandydatów na to stanowisko. Może następnym razem”.

– Zostałam tu skierowana – powiedziała spokojnie.

– Tak, tak… A więc szuka pani pracy w policji. W policji – powtórzył z naciskiem ostatnie słowo, mając nadzieję, że dowiedzie w ten sposób niezłomności własnego charakteru i zatuszuje oczywisty komizm sytuacji.

– Nie szukam. – Tembr głosu Ady nie uległ zmianie. – Zostałam tu przydzielona.

Musiała mieć więcej niż trzydzieści lat. W pierwszej chwili zmyliła go szczupła, dziewczęca figura. Teraz widział wyraźnie drobne zmarszczki w kącikach oczu i poziome bruzdy przecinające czoło.

– Praca w policji wiąże się z wieloma niedogodnościami – podjął, licząc na to, że wyprowadzi ją w końcu z równowagi. – Szczególnie dla kobiet. My tu, proszę pani, działamy w warunkach trudnych do zniesienia nawet dla mężczyzny w pełni sił. Nigdy nie wiadomo, kiedy i gdzie ruszymy na akcję. Taka młoda dziewczyna… W jaki sposób pogodzi pani rodzinne obowiązki, męża, dzieci z…

– Nie mam dzieci – przerwała. – I mieć nie zamierzam.

Wyczuł w tych słowach zapowiedź niepokoju. Natychmiast podniósł głowę, nie dostrzegł jednak w jej twarzy niczego, co mógłby uchwycić i wykorzystać.

– Nie ukrywam tego, chociaż wiem, że są to pytania, których nie powinien pan zadawać – powiedziała cicho i spokojnie, ale jej ciemne oczy pozostały niewzruszone i czujne jak oczy chirurga. – Nie przyszłam tu na rozmowę w sprawie pracy i pan dobrze o tym wie. Nie jest pan moim przełożonym, tylko nowym kolegą. Wolałabym, żebyśmy przestali w końcu odgrywać tę dziwną komedię.

Stanowczość Sawickiego zaczęła gwałtownie topnieć.

– To zależy od tego, czy się dogadamy – mruknął. Starał się trzymać fason, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa i z przerażeniem spostrzegł, że wierci się na krześle i odruchowo wyciera spocone dłonie o blat stołu.

– To prawda. – Ada uśmiechnęła się spokojnie. – Mam nadzieję, że jakoś sobie poradzimy. A teraz może mogłabym zobaczyć komendę i poznać resztę zespołu?

– Jutro – nieomal krzyknął. – Tak, jutro, bo jutro jest pierwszy… Dopiero jutro pani zaczyna… – Próbował zatrzymać choć cień posmaku zwycięstwa.

– Ada – przerwała mu prędko. – Mam na imię Ada.

– Jasne, Ada – chrząknął. – Dzisiaj mamy tu remont i straszne zamieszanie. Część chłopców pojechała w teren… Zacznijmy więc jutro o ósmej.

– Dobrze. Do jutra w takim razie.

Wstała, schwyciła torebkę i zniknęła, nim zdążył jej odpowiedzieć.

Oszołomiony Sawicki patrzył tępo w ścianę. To już? Po wszystkim? Klamka zapadła? Przecież ta cała rozmowa nie trwała nawet pięciu minut. Został pokonany, jednym łagodnym gestem rozłożony na łopatki przez tę malutką kobietkę o aparycji podstarzałego podlotka. Przejechał dłonią po twarzy.

Ada Rochniewicz pracowała przez osiem lat we wrocławskiej policji. Otrzymał tę informację miesiąc wcześniej wraz z zapowiedzią, że od początku marca będzie miał kolegę kobietę, kobietę policjanta, kobietę detektywa, ni to, ni śmo, i żadnej możliwości odwołania się od decyzji zwierzchników. Niewiele więcej wiedział na jej temat.

Na początku lutego Rogowski po rozmowie z naczelnikiem wrócił do ich wspólnego pokoju i usiadł przy biurku, kaszląc i pociągając nosem.

– Laska? Jesteś pewny? – zapytał Sawicki, nie odrywając oczu od komputera.

– Laska, laska. Stary pracuje nad ociepleniem naszego wizerunku. Poprawność polityczna nam wzrośnie, jak ją przyjmiemy.

Kręcił się na krześle. Sawicki wiedział, że Róg zerka na niego niespokojnie, ale nadal uparcie stukał w klawiaturę. Miał sporo roboty, nie chciało mu się rozmawiać. Rogowski prychnął i głośno wytarł nos w kraciastą chustkę. Sawicki wysunął dolną wargę.

– Co? – zapytał w końcu, naciskając „Delete” zamiast „Tab” i kasując z trudem uzupełnioną rubrykę protokołu.

– Ty masz się nią zająć – wyjaśnił Rogowski i natychmiast zaniósł się suchym kaszlem nałogowego palacza.

Sawicki osłupiał. Przez chwilę wpatrywał się w monitor, po czym uderzył otwartą dłonią w blat biurka.

– Ochujałeś?! Mało mam roboty, żeby jeszcze jakąś pipę niańczyć? – żachnął się. – To twój pomysł, tak? – Podnosił coraz bardziej głos, w miarę jak kaszel Rogowskiego narastał. – Wybij to sobie z tego łysego łba.

Wściekł się nie na żarty. Rogowski był zastępcą naczelnika, ale wszyscy wiedzieli, że nieformalnie pełni funkcję szefa sekcji. Podejmował większość decyzji. Sawicki poderwał się i wyszedł z pokoju.

Następnego dnia, kiedy złość nieco mu przeszła, zdołali spokojnie porozmawiać.

– Nie jest źle – tłumaczył Rogowski pocieszającym tonem. – Widziałem jej papiery. Skończyła kurs oficerski. A wcześniej szkołę pielęgniarską… Podobno jest dobrym śledczym. Rozwiązała kilka poważnych spraw, będziesz zadowolony.

Sawicki wzruszył ramionami.

– Osiem lat we wrocławskiej policji – ciągnął niezrażony Róg. – Entuzjastyczne listy rekomendacyjne. Odznaczenie za udział w rozbiciu zorganizowanej grupy przestępczej BAF – deklamował jak wiersz na akademii z okazji Trzeciego Maja.

Sawicki przypomniał sobie, że kiedyś coś o tym słyszał. Aresztowano siedem osób i zabezpieczono czterdzieści kilo kokainy, która miała zostać przerzucona przez niemiecką granicę.

– Ale… – naczelnik dodał już mniej pewnie – w dwutysięcznym dziesiątym została przeniesiona do SDS, praca biurowa…

Sawicki uniósł ze zdziwieniem brwi. Biurwa? Dlaczego właśnie teraz oddelegowano ją z powrotem do kryminalnej? Po dwóch latach grzania stołka i wypełniania papierków nie wraca się już na ulice…

– To się nie trzyma kupy – powiedział.

– Wiem. Chyba że…

– Chyba że ktoś wysoko postawiony bardzo chciał przenieść Adelę Rochniewicz, pielęgniarkę dochodzeniowca, do Warszawy i pociągnął za odpowiednie sznurki – dokończył ze złością. – Ma męża? Jakieś dzieci?

– Rubryka „stan cywilny” była pusta.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – mruknął.

Więcej nie rozmawiali na jej temat, aż do wczoraj, kiedy Rogowski kazał mu się stawić następnego dnia o dziewiątej w pokoju odpraw i zająć nową panią komisarz.

Sawicki westchnął, wyciągnął przed siebie ręce, splótł palce i wykręcił dłonie, aż strzyknęły stawy, po czym wstał powoli i zszedł do recepcji, żeby kupić kawę w automacie. Mężczyźni w drelichach drzemali na drewnianych ławkach pod ścianą, chłopak w wojskowej kurtce klął głośno,

a niedożywiona dziewczyna próbowała go uspokoić. Duży niebieski napis nad kontuarem głosił: „Tu przyjmujemy interesantów”. Dyżurnego policjanta nadal nie było w zasięgu wzroku. Wracając na górę, odebrał z sekretariatu druki do wypełnienia i postanowił, że zajmie się dzisiaj wyłącznie uzupełnianiem dokumentów.

3

W piątkowy poranek Sawicki obudził się prawie wypoczęty. Przespał siedem godzin. Wstał kilka minut po szóstej. Ubrał się cicho i ograniczył toaletę do umycia zębów. Chciał sam, w spokoju wypić kawę. Nastawił czajnik. Termometr za oknem kuchennym wskazywał zero. Niebo przesłaniały chmury. Zaczął padać ciężki, mokry śnieg. O siódmej obudził żonę i córeczki. Tuż przed ósmą zjawił się w pracy. W recepcji panował całkowity spokój, ani śladu interesantów. Oficer dyżurny drzemał, oparłszy głowę na dłoni. Na górze drzwi do sekretariatu były zamknięte. Idąc korytarzem, zastanawiał się, czy Adela Rochniewicz już na niego czeka. Nie wątpił, że punktualność była jedną z jej cech. Punktualność, porządek, zdrowy rozsądek, myślał, zdejmując kurtkę i rozglądając się niepewnie po pokoju. Na obu biurkach piętrzyły się stosy papierów. W szafie zalegały sterty ubrań bliżej nieznanego pochodzenia i przepocone stare buty. Na oknie usychał doniczkowy kwiatek. W dystrybutorze wody zamieszkały glony. Starł rękawem kurz z parapetu, zdjął papiery z biurka, które do tej pory należało do Rogowskiego, i ostrożnie zajrzał do szuflady. Znalazł w niej gnijącą kanapkę w foliowej torebce i pustą butelkę po wódce.

Ada przyszła trzy po ósmej. Krótko, po męsku uścisnęła mu dłoń. Zdjęła marynarską kurtkę i fikuśną czapkę z kolorowym szlaczkiem. Skąd ona ma kasę na takie ciuchy, zastanawiał się. Na takie sweterki, wełniane spodenki i eleganckie kozaczki? Nosi na sobie chyba ze dwie policyjne pensje.

Obserwując spod oka nową panią komisarz, z przykrością przypomniał sobie tandetne, kolorowe ubrania własnej żony.

– To chodźmy, przedstawię cię chłopakom – uśmiechnął się z wysiłkiem.

Chciał mieć to jak najszybciej z głowy. Czuł się nieswojo, prowadząc ją korytarzem. Otwierał kolejne drzwi. Powtarzał: „To jest komisarz Adela Rochniewicz, od dzisiaj z nami pracuje". Ada witała się krótko, uprzejmie. Jej twarz miała chłodny, oficjalny wyraz. Ani razu nie okazała zainteresowania. Nie reagowała na ciche gwizdy i śmiechy za plecami. Kiedy weszli do największego pokoju na piętrze, kilku policjantów podniosło ze zdumieniem głowy. Wyglądali na zaskoczonych. Ada pasowała do komendy jak królowa angielska do sportowej szatni w klubie bejsbolowym.

– Ale sobie mimozę znalazł… – mruknął Kapusta, jasnowłosy policjant o ospowatej, niezdrowej cerze i zaczerwienionym czole. Powiedział to cicho, jakby zwracał się tylko do siebie, ale wszyscy dobrze go usłyszeli. W pokoju rozległ się tłumiony chichot. Sawicki zacisnął szczęki. Mimoza? Skąd ten dureń zna takie słowa? Twarz Ady pozostała niewzruszona.

W sekretariacie pani Dagmara wyciągnęła z lodówki pączki i rzuciła się do nastawiania elektrycznego czajnika.

– Wiedziałam, że dzisiaj przyjdziesz, i jestem przygotowana – terkotała. – Musisz usiąść na chwilę i wypić ze mną kawę. W ogóle musisz tu często przychodzić! Sawicki to taki gbur – dodała, całkowicie ignorując Marcina. – W ogóle z facetami ciężko się pracuje. Ale ty przecież dobrze o tym wiesz…

Ciemny tusz do rzęs rozmazał się wokół lewego oka. Pod różową bluzką kołysały się ciężkie piersi. Nie zdążyła nawet wyjąć szklanek, kiedy w drzwiach ukazała się okrągła, łysa głowa Rogowskiego.

– Zgłoszono zabójstwo na Górnym Mokotowie – powiedział. – Zdaje się jakaś młoda laska łeb ma rozwalony. Pojedziecie tam we dwójkę. Kapusta i Chlor przesłuchują gości od przemytu samochodów. Ja z Wiktorem zabieramy Starego na Pragę.

– Ale ona dopiero przyszła… – mruknął niechętnie Sawicki.

– I bardzo dobrze, niech się od razu wdraża. Nie wiem jak we Wrocławiu, ale tutaj nie zaczynamy dnia od jedzenia ciastek.

– Dziewczyna z rozwaloną głową? – próbował oponować. – A rejonowi nie mogą tego załatwić? Mamy wystarczająco dużo własnej roboty.

– Już tam są. – Rogowski odkaszlnął brzydko. – Są rejonowi z dwójki i pogotowie. I Modzelewski – dodał z naciskiem, po czym wyciągnął pulchną dłoń, porwał pączka i zniknął za drzwiami.

Ada uniosła brwi.

– Modzelewski to prokurator – wyjaśniła pospiesznie Dagmara. – On zawsze wzywa stołecznych. Do każdego morderstwa. Widocznie ma dzisiaj dyżur.

– A my mamy pecha – dokończył Sawicki.

* * *

Dochodziła dziewiąta, kiedy wyszli z komendy. Śnieg przestał padać, przez chmury przeświecało blade, dalekie słońce. Wewnętrzny dziedziniec pokryła warstwa lodu, po którym spływały strużki brunatnej wody. Ślizgając się, w milczeniu dotarli do opla i ruszyli w stronę Mokotowa. Poranne korki właśnie się skończyły. Nie włączyli syreny. W ciągu piętnastu minut znaleźli się na miejscu. Zaparkowali pod czteropiętrową przedwojenną kamienicą i weszli przez ciasną bramę na podwórko. Z bezlistnego drzewa obserwowała ich para nastroszonych wron. Sawicki pchnął podparte cegłą drzwi klatki schodowej. Ada czuła, jak skóra cierpnie

jej w okolicy karku. Zimny dreszcz spłynął w dół kręgosłupa. Nagle dotarło do niej, że zaczyna prowadzić śledztwo. Znowu jest w terenie. Minęły dwa lata od czasu, kiedy zdarzył się wypadek i przerwał jej ustabilizowane życie we Wrocławiu. Dwa lata, które spędziła wykluczona, otoczona murem niechęci i braku zaufania. Teraz wracała do pracy. Znowu mogła robić to, do czego najlepiej się nadawała i w czym była naprawdę dobra. Powróciło dawno zapomniane uczucie ekscytacji, moment skupienia i w końcu gwałtowny, ożywczy przypływ energii, podobny do tego, którego doświadcza zapaśnik tuż przed wyjściem na matę. Ada nabrała głęboko powietrza, minęła Sawickiego i pierwsza weszła po schodach.

Na podeście między drugim a trzecim piętrem czekało dwóch identycznie wyglądających mężczyzn ubranych w jednakowe skórzane kurtki i takie same, zaprasowane w kant wełniane spodnie. Obaj palili, podnosząc papierosy do ust tym samym szybkim, nerwowym ruchem. Obaj zaciągali się krótko i głośno wydychali dym półotwartymi ustami. Adzie wydało się, że ktoś ustawił na półpiętrze lustro.

– To są słynne bliźniaki z Mokotowa. – Sawicki roześmiał się, widząc jej zdumienie. – Komisarz Rochniewicz – przedstawił Adę.

– Cześć – odpowiedzieli jednocześnie.

Skinęła głową.

– To przejmujecie sprawę. – Bliźniak po lewej zatarł z zadowoleniem dłonie.

– Modzelewski już poleciał. Macie podrzucić papiery do biura dziś wieczorem – powiedział ten stojący po prawej. – Pogotowie też było. Stwierdzili zgon. Ci z prosektorium zjawią się za czterdzieści minut. W każdym razie tak twierdzą.

– Po marynarzy nie dzwoniliśmy – dodali równocześnie i zaczęli zapinać kurtki.

W tym momencie dobiegło ich łkanie. Przed otwartymi drzwiami na trzecim piętrze siedziała blada, rozczochrana dziewczyna w rozpiętym płaszczu. Tuż obok oparty plecami o ścianę stał policjant w mundurze i przeglądał poranną bulwarówkę. Najwyraźniej płacz nie robił na nim najmniejszego wrażenia.

– A… to jest Monika Lewicka. Koleżanka denatki – wyjaśnił prawy bliźniak.

– To ona zgłosiła zabójstwo – uzupełnił lewy.

Sawicki kiwnął głową.

– No to spadamy. Bawcie się dobrze.

Odwrócili się jak na komendę i zbiegli po schodach. Mundurowy ruszył za nimi.

– Chwileczkę – Ada zatrzymała go w pół kroku. – Proszę kupić tej pani herbatę – wskazała brodą łkającą dziewczynę. – W kawiarni na dole.

Policjant zatrzymał się zaskoczony.

– Czy ma pan ze sobą jakiś problem? – Ada podniosła głos.

– Problem? – Wybałuszył oczy i niespokojnie poruszył wąsami.

– Problem – powtórzyła ostro. – Stoi pan tu od godziny i czyta gazetę. A świadek mi zaraz zemdleje. Stracił pan wszystkie ludzkie odruchy?!

Policjant gwałtownie poczerwieniał.

– Herbatę? – wybełkotał. – Za własne pieniądze?

Ada otworzyła portfel.

– Proszę. – Wyjęła dziesięć złotych.

Cofnął się z oburzeniem i otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zamknął je natychmiast, widząc jej zmarszczone brwi. Westchnął, podreptał w miejscu jak skarcony pies, po czym z ociąganiem wziął pieniądze.

– I jeszcze jedno! – zawołała za nim.

– Tak?

– Proszę ją przynieść za dwadzieścia minut, nie wcześniej. I żeby była gorąca. Z cukrem – dodała z naciskiem.

Skinął posłusznie głową, spojrzał na zegarek i zszedł po schodach.

Sawickiego tak bardzo rozbawił widok umykającego w popłochu wąsacza, że przygryzł wargi, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Monika Lewicka? – zwrócił się do płaczącej dziewczyny. – To pani wezwała policję?

– Tak… – odpowiedziała, bezskutecznie tłumiąc szloch. – Jest w środku, w łazience… – dodała z wysiłkiem, podnosząc głowę i odgarniając włosy z opuchniętej twarzy.

Pchnął uchylone drzwi. Tuż za progiem natknął się na kałużę wymiocin.

– Przepraszam – wymamrotała. – To ja…

Ada zrobiła duży krok, przestąpiła próg i poszła pierwsza. Sawicki ruszył za nią. Zatrzymała się w drzwiach łazienki. Spojrzał przez jej ramię, drgnął i lekko dotknął jej pleców. Odwróciła głowę. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Na wyłożonej kafelkami podłodze leżała na brzuchu martwa kobieta. Nogi i ręce były bezwładnie rozrzucone, jakby spadła z dużej wysokości. Na długich włosach zakrzepła krew. Ada kucnęła i pochyliła się nad ciałem. Nie zauważył w jej ruchach najmniejszego wahania. Naciągnęła silikonowe rękawiczki. Czyżby nosiła je stale w kieszeni kurtki?, przemknęło mu przez myśl. Delikatnie odgarnęła pozlepiane włosy i obmacała tył czaszki. Było coś obcego i nierzeczywistego w widoku tych dwóch kobiet: martwej i żywej – równie obojętnej jak trup leżący u jej stóp. Sawicki nie po raz pierwszy badał miejsce zbrodni. Przyzwyczaił się też do oglądania zmasakrowanych ciał. A jednak po nowej koleżance spodziewał się czegoś więcej niż kamiennej twarzy i pary białych rękawiczek. Czego

właściwie? Płaczu? Załamywania rąk? Przecież wiedział, że jest doświadczonym oficerem… Wyprostowała się powoli.

– Chyba powinniśmy wezwać technicznych – powiedziała spokojnie.

Ada natychmiast wyczuła napięcie Sawickiego. Na chwilę zrodziło się w niej coś na kształt sympatii do tego wielkiego, silnego mężczyzny, który wyraźnie obawiał się jej reakcji. Nie chciała go krępować. Wyjęła z kieszeni rękawiczki i kucnęła nad ciałem. To była młoda dziewczyna, dwudziestoparoletnia. Szczupła, wysportowana. Ada zwróciła uwagę na umięśnioną łydkę. Krwi było niewiele. Poleciała z rany na skroni. Czaszka w tym miejscu została zdeformowana i paskudnie wgnieciona. Ktokolwiek zadał cios, uderzył bardzo mocno. Odsunęła delikatnie splątane włosy. Szeroko rozwarte oczy zmętniały i pokryły się żółtą błoną. Wargi i skrzydełka nosa przybrały sinobrunatny kolor. Uniosła skrawek bluzy, żeby ocenić plamy opadowe. Wstała.

– Nie żyje co najmniej od czterech godzin – stwierdziła i chciała zręcznie wyminąć Sawickiego, ale ten zatrzymał ją i wskazał na podłogę. Tuż obok toalety leżał porzucony przedmiot.

– Narzędzie zbrodni…

– Tak – kiwnął głową. – Sprawca je zostawił.

Przez jakiś czas bezmyślnie wpatrywali się w zakrwawiony młotek. Na drewnianej rączce widniał wyraźny stempel: „Sklep metalowy AM-NAT”.

– To bardzo dziwne – odezwała się w końcu.

Sawicki drgnął i wyjął z kieszeni komórkę.

Kiedy dzwonił po specjalistów technicznych, Ada obejrzała przyjemną, dużą sypialnię: czysta podłoga, starannie zasłane łóżko, fotel, a na nim złożony koc w szkocką kratę. Uśmiechnęła się mimo woli. Lubiła porządek. Odruchowo poprawiła czarno-białą grafikę, która lekko odstawała od

ściany. W oknie wisiały jasne zasłony. Nie było firanek. Przeszła do kuchni: białe gładkie kafelki, szeroki stół z tekowego drewna, zlew z wyjmowanym kranem, zmywarka, grill elektryczny… Wszystko tchnęło mieszczańską, dostatnią atmosferą. Czytała niedawno o bogatych warszawiakach, którzy kupują mieszkania w zaniedbanych przedwojennych kamienicach. Praga i Stary Mokotów zrobiły się modne. Na stole stał porcelanowy czajnik malowany w niezapominajki, dwie filiżanki i talerz z ciastkami.

Wróciła do przedpokoju. W otwartych drzwiach zobaczyła Sawickiego, który oparty o metalową barierkę na klatce schodowej przesłuchiwał Monikę Lewicką.

– Policja – powiedział w stronę schodzących się ciekawskich sąsiadów. – Proszę wrócić do domu i nie przeszkadzać w dochodzeniu. Jeśli będziemy potrzebować pomocy, sami zgłosimy się do państwa – dodał tonem tak ostrym i zdecydowanym, że schody natychmiast opustoszały.

Ruszyła w kierunku kolejnego pomieszczenia.

– Marcin! – zawołała nagle. – Chodź tutaj. Chyba chciałbyś to zobaczyć.

Całe umeblowanie niewielkiego pokoju stanowiło biurko, stojący na nim laptop podłączony do wielkiego monitora, fotel i stara komoda. Wszystkie szuflady były wysunięte. Papiery, skoroszyty i tekturowe pudełka leżały wypatroszone na podłodze. Sawicki szeroko otworzył oczy.

– To nie mógł być zwykły napad – powiedział zaskoczony. – Żadnych śladów włamania. Na biurku został komputer i tablet. Łącznie są na pewno warte dobrych kilka tysięcy.

– W innych pokojach panuje idealny porządek – przyznała Ada.

– Wygląda, jakby ktoś szukał czegoś konkretnego i wiedział, gdzie może to znaleźć… Widocznie miał własny klucz i zaskoczył naszą denatkę w łazience.

– Nie sądzę. Myślę, że sama go wpuściła. W każdym razie na kogoś czekała. W kuchni stoją dwie puste filiżanki i ciastka.

* * *

Chwilę później przyjechali techniczni. Dwaj poważni mężczyźni w ochronnych kombinezonach, silikonowych rękawiczkach i plastikowych niebieskich ochraniaczach na butach rozciągnęli policyjną taśmę i wkroczyli do mieszkania. Ustawili kartki z numerami obok zwłok, porzuconego młotka, przy smugach krwi na wannie i zajęli się zabezpieczaniem śladów. Co chwila błyskał flesz aparatu fotograficznego. Ada stała nieruchomo w drzwiach sypialni.

– Musisz teraz stąd wyjść – odezwał się technik o pyzatej twarzy. – Skończymy za godzinę.

Na dole trzasnęły drzwi. Słychać było zbliżające się kroki. Na schody wdrapywał się niewielki człowieczek w białym kitlu wystającym spod krótkiej puchowej kurtki. Sprawiał dziwne, niepokojące wrażenie. Głowę i dłonie miał nieproporcjonalnie duże w stosunku do reszty ciała, zatrzymał się dokładnie na granicy kalectwa, osiągając prawie półtora metra wzrostu. Ada poczuła wyraźny zapach formaliny i męskiego potu. Mimo woli cofnęła się z obrzydzeniem. Człowieczek zajrzał do mieszkania i nie odzywając się do nikogo, ruszył zdecydowanym krokiem wprost do łazienki.

– To jest Zbok z prosektorium – szepnął Sawicki. – Lepiej go nie zaczepiać, nie należy do przyjemnych…

Po pięciu minutach człowieczek pojawił się na klatce schodowej.

– Bez dwóch zdań ktoś przywalił jej w łeb – powiedział, rzucając szybkie, nerwowe spojrzenia spod nastroszonych brwi. – Nie ma możliwości, żeby to sobie sama zrobiła – zaśmiał się cienko

i nieprzyjemnie. – To nie był wypadek – dodał, wyginając palce lewej dłoni tak mocno, że strzeliły stawy. – Nie żyje co najmniej od czterech godzin. Tyle mogę na razie powiedzieć. Nie mam teraz czasu na wygłupy z wami – ciągnął, z trudem łapiąc oddech. – Na Oczki czekają trzy skóry w kolejce do tańca. Zadzwońcie po marynarzy i odezwijcie się do mnie w poniedziałek.

Wyszedł, nie żegnając się z nikim. Zapadła niezręczna cisza. Sawicki szukał komórki. W końcu znalazł ją w wewnętrznej kieszeni kurtki i wybrał numer do zakładu pogrzebowego.

Monika Lewicka nadal siedziała na schodach. Przestała szlochać, ale była bardzo blada i trzęsła się jak w ataku febry. Sawicki dotknął jej ramienia.

– Przykro mi, ale musimy zadać pani jeszcze kilka pytań – powiedział i Ada wyczuła w jego głosie łagodniejszy ton. – Najważniejsze są pierwsze godziny po odkryciu morderstwa…

– Rozumiem – przytaknęła i zaczęła znowu płakać.

– Proszę głęboko oddychać – wtrąciła ostro Ada. – Łzy na nic się pani koleżance… tak, koleżance?, nie przydadzą. Ale jeśli weźmie się pani w garść, to może nam pomóc w złapaniu mordercy.

Monika spojrzała na nią ze strachem, zaczerpnęła głęboko powietrza i zaczęła odpowiadać na pytania. Zamordowana dziewczyna nazywała się Zofia Wagner. Miała dwadzieścia siedem lat. Pracowała jako grafik w wydawnictwie. Kilka miesięcy temu przeprowadziła się do nowego mieszkania na Mokotowie.

– Tutaj… – uściśliła Monika. – To moja przyjaciółka. Znamy się od dzieciństwa – dodała i zaczęła szlochać.

W tym momencie wrócił policjant z herbatą.

– Słodzi pani? – zapytała Ada i nie czekając na odpowiedź, wsypała do plastikowego kubka cztery torebki cukru. – Proszę wypić, to panią wzmocni – dodała szorstko.

Monika z wdzięcznością przyjęła gorący płyn.

– Zadzwoniła do mnie wczoraj. Wczesnym popołudniem – opowiadała z wysiłkiem. – O drugiej… Nie, może o wpół do drugiej…

– Dobrze, sprawdzimy to – uspokoili ją.

– Była zdenerwowana. Powiedziała, że ma wszystkiego dosyć, a zwłaszcza zajmowania się cudzym życiem, kiedy sama nie umie ułożyć własnego…

Sawicki pisał w niewielkim notatniku, który wyjął z kieszeni kurtki.

– Tak właśnie się wyraziła: dość zajmowania się cudzym życiem… Chyba pokłóciła się z jedną z tych czeczeńskich kobiet, którym pomagała… Miała ostatnio spore problemy z tą, która u niej sprzątała. Mówiła, że będzie musiała ją zwolnić. Może o to chodziło, sama nie wiem…

– Czeczeńskich kobiet?

– Zofia zaangażowała się w działalność charytatywną. Uczyła uchodźców polskiego w jakiejś fundacji. Nie pamiętam, jak się nazywa. Chyba „Przybycie”… Nie, już wiem: „Przystań”.

– A co to ma do sprzątania?

– Jedna z dziewczyn pomagała rodzicom. Z tego co słyszałam, mieli oprócz niej jeszcze czwórkę dzieci. Zofia była przeciwna dawaniu pieniędzy, więc dwa razy w tygodniu płaciła jej za sprzątanie, chociaż wcale tego nie potrzebowała.

– Jak się nazywa ta dziewczyna?

– Nie mam pojęcia. – Monika bezradnie rozłożyła ręce. – Może w tej fundacji wiedzą…

– Czy miała klucz do mieszkania denatki?

– Też nie wiem…

– Dobrze. – Sawicki odwrócił kartkę. – Powiedziała pani, że denatka zadzwoniła wczoraj około drugiej. Co dalej?

– Chciała się umówić i pogadać. Ale byłam zajęta przez cały dzień. Kończyłam projekt w firmie. Ustaliłyśmy, że wpadnę dziś rano…

– W dzień roboczy?

– Nie mam normowanych godzin pracy. Zofia jest… była grafikiem. Ja właśnie skończyłam projekt.

– O której wczoraj wyszła pani z pracy?

– Po jedenastej w nocy.

– Czy ktoś to może potwierdzić?

– Tak, dwóch kolegów i portier. Pojechałam prosto do domu. Mieszkam z chłopakiem, też mogą go państwo spytać – dorzuciła z nutą oburzenia.

– Dobrze. Co dalej?

– Przyszłam tu przed ósmą. Miałyśmy pobiegać w parku, a potem zjeść wspólnie śniadanie. O dwunastej powinnam być w pracy – spojrzała odruchowo na zegarek i natychmiast schowała rękę do kieszeni. – Znam kod do domofonu – ciągnęła. – Sama weszłam na klatkę. Pukałam – ruchem głowy wskazała drzwi – ale nikt nie otwierał. Myślałam, że zaspała, więc próbowałam się do niej dodzwonić. Kilka razy… W pewnym momencie wydało mi się, że słyszę w środku telefon. Nacisnęłam klamkę. Drzwi nie były zamknięte…

Monika zaczęła drżeć, rozpłakała się rozpaczliwie i nagle uderzyła głową w ścianę.

– Monika! – tym razem ostro zareagował Sawicki. – Monika, popatrz na mnie! Oddychaj, słyszysz? Oddychaj i przestań beczeć!

Złapał ją za ramię. Spojrzała na niego ze złością i próbowała się wyrwać.

– Dobra, wyluzuj. Już kończymy i damy ci dzisiaj spokój. Zaraz pojedziesz do domu. Jeszcze tylko chwilę.

– Powiedz nam, czy Zofia miała jakieś kłopoty w życiu osobistym?

– No… – Monika wytarła nos rękawem kurtki, rozmazując po policzkach łzy i tusz. – Ponad rok temu zostawił ją narzeczony, Karol Zalewski. To była poważna sprawa. Zofia związała się z nim jeszcze w liceum. Wyznaczyli datę ślubu, a on się nagle zawinął i uciekł do seminarium. Zofia nie mogła się pozbierać. Nawet chodziła na terapię… Ale w końcu jakoś się uspokoiła. Przynajmniej częściowo, bo kilka miesięcy temu wdała się w romans z takim dresiarzem… To nie jest prawdziwy dresiarz, Zofia go tak nazywała, bo chodzi w sportowych ubraniach i lubi piłkę nożną… W każdym razie zerwała z nim dosyć szybko. Nawet nie zdążyłam go poznać. Wiem tylko, że potem wydzwaniał w kółko, nachodził ją i robił awantury. Ale już dawno nic o nim nie słyszałam…

– Gdzie go poznała?

– Nie wiem. Mało o nim mówiła. Ona w ogóle nie lubiła się zwierzać.

– A jak się nazywa?

– Jurek… Jerzy. Ale nie znam nazwiska…

– Dobrze. – Sawicki zamknął notes. – Bardzo nam pomogłaś. Rodziców zawiadomimy po południu… – dodał, ściszając głos.

Monika kiwnęła głową, wstała i odprowadzana przez policjanta ruszyła chwiejnie po schodach.

Czekało ich teraz odpytywanie sąsiadów. Przedtem jednak postanowili zrobić krótką przerwę. W bistro na rogu zamówili kawę w tekturowych

kubkach i wyszli na dwór, żeby odetchnąć chłodnym powietrzem. Ada usiadła na murku, założyła nogę na nogę i patrzyła w przestrzeń. Sawicki oparł się o parkan. Wyciągnął z kieszeni czekoladowy batonik i paczkę chesterfieldów. Było wczesne popołudnie. Mgła, gęsta i ospała, ścieliła się nisko tuż nad powierzchnią ulic, wpełzała przez nieszczelne okienka piwniczne, zawisała brudnym welonem nad trawnikami. Śnieg topniał, pozostały po nim niewielkie, oblepione sadzą kopczyki, które kleiły się do krawężników. Przenikliwy chłód wnikał pod kurtki i czepiał się kostek u nóg. Nieliczni przechodnie brnęli w błotnistej mazi, omijając psie odchody, które wychynęły spod śniegu, prezentując wszystkie możliwe odcienie brązu. Nabrzmiałe wilgocią, ciężkie niebo pochyliło się nad dachami kamienic. Wyludniona, melancholijna ulica budziła w Sawickim uczucie beznadziejnego przygnębienia. Pomyślał, że w tym pustym kamiennym krajobrazie nie można znaleźć nic, co choć na chwilę rozproszyłoby wszechobecny smutek. Wciąż widział siną, nabrzmiałą twarz Zofii, jej puste oczy, jakby rozszerzone w wyrazie bezgranicznego zdumienia, zakrzepłą krew na długich włosach. Kto znalazł w sobie tyle brutalnej nienawiści, żeby uderzyć z taką siłą? I za co? Pomyślał o jej rodzicach… Ada niespodziewanie trąciła go w ramię.

– Musimy zawiadomić rodzinę – powiedziała, jakby czytając w jego myślach.

– Wiem – westchnął. – Może od razu kogoś tam wyślemy?

Pokręciła w milczeniu głową. Zaklął cicho i zgniótł ze złością niedopałek papierosa, ale nie próbował z nią dyskutować.

4

Przy Dąbrowskiego pod trójką było dziesięć mieszkań, po dwa na każdej kondygnacji. Podzielili się z Sawickim piętrami. Adzie przypadł w udziale dół kamienicy. Na parterze nikt nie odpowiadał na pukanie. Nasłuchiwała przez chwilę, stojąc nieruchomo na wycieraczce. W obu mieszkaniach panowała cisza. Za to na pierwszym piętrze drzwi po prawej stronie otworzyły się natychmiast i wychynęła zza nich ciekawska starsza kobieta. Jej usta, nos i oczy zdawały się stłoczone na samym środku twarzy, co nadawało jej wygląd zaniepokojonego gryzonia.

– Policja. – Ada pokazała odznakę. – Chciałam z panią porozmawiać.

Kobieta pospiesznie usunęła się z drogi. W korytarzu pachniało naftaliną i pastą do podłóg.

– A więc jednak! – wykrzyknęła, prowadząc Adę w głąb mieszkania. – Od dawna jej mówiłam, że takie znajomości źle się kończą.

– Jakie znajomości?

– Nie żyje? – Kobieta nawet nie próbowała ukrywać podniecenia.

– Proszę pani – Ada nadała słowom zdecydowany ton. – Ja tu jestem od zadawania pytań. Jak się pani nazywa?

– Janina Sokołowska – odpowiedziała szybko, strzepując niewidoczny pył z obitego pluszem fotela i sadzając na nim Adę. Była ubrana w czarną, zapinaną na drobne guziki bluzkę i szary wełniany sweter. Jej żywą, zaróżowioną twarz pokrywała siatka drobnych zmarszczek. Błyszczące

oczy patrzyły badawczo spod farbowanych brwi. Ada zobaczyła ją nagle wyraźnie trzydzieści, czterdzieści lat wcześniej, jak zmierza w kierunku kościoła prędkim, sprężystym krokiem. Beżową sukienkę podrywa wiatr, odsłaniając zgrabne łydki w cielistych pończochach. Poważny wzrok, surowa twarz, a w niej pewność i zimny autorytet… Mały chłopczyk biegnie za nią, chwytając skraj falującej sukienki…

– …tyle razy powtarzałam, ale młodzi zawsze wiedzą lepiej.

Ada wróciła do teraźniejszości. Rozejrzała się po pokoju, odruchowo szukając zdjęcia małego chłopca. Ale na komodzie stał tylko gliniany wazon z bukietem suszonych kwiatów i oprawiona w ramki reprodukcja *Słoneczników* van Gogha. Powędrowała wzrokiem ku postaci starszej kobiety, starając się za wszelką cenę zachować spokój.

– Niemniej faktem jest, że ci ludzie są niebezpieczni – ciągnęła tamta.

– A więc o jakich znajomościach pani wspomniała? – Krew pulsowała jej w skroniach.

– No z tymi ciemnymi. Ciągle do niej przychodzili. Szczególnie jedna dziewczyna. W chuście – dodała, znacząco unosząc brwi.

– Ma pani na myśli muzułmanów?

– Muzułmanów, Kazachów czy inne takie, co za różnica?

– Jak często tu przychodzili? – głos Ady był znowu opanowany i rzeczowy. Schowała dłonie do kieszeni i zacisnęła pięści.

– Na moje oko, proszę pani – Janina Sokołowska potrząsnęła wiotkimi siwymi włosami i wyprostowała się z godnością – na moje oko o wiele za często.

– Ile razy w tygodniu?

– Ciągle, bez przerwy. No i mówiłam jej, ostrzegałam, a teraz ona nie żyje. Bo nie żyje, prawda?

– Prawda – przyznała z rezygnacją.

Staruszka poderwała się z miejsca i zaczęła krążyć po pokoju.

– To straszne! Potworne! Jak ją zabito?

– Szanowna pani, od zadawania pytań jestem ja – powtórzyła Ada, tym razem głośniej. – Czy widziała pani kogoś podejrzanego wczoraj wieczorem?

– Tak. – Twarz kobiety przybrała triumfalny wyraz najedzonej myszy.

– O której? – pytała dalej.

Przecież to nie ma znaczenia, myślała jednocześnie, wpatrując się w zwiędłe, ruchliwe usta staruszki. To zupełnie nieistotne, że czterdzieści lat temu nie była dobrą matką i teraz została zupełnie sama, bo ten mały chłopczyk w spodniach na szelkach dorósł, wyprowadził się i nie chce mieć z nią nic wspólnego.

– Wieczorem. Beatka tak mówiła.

– Jaka Beatka?

– No ta, co ich widziała. Beatka z góry, spod dziewiątego.

– Zaraz, to w końcu kto i kogo widział?

– No przecież mówię, że Beata. Poszła na skwerek, tam jest spożywczy czynny do dwudziestej trzeciej. A jak wracała do domu, to dwóch takich szarych ją zaczepiało.

– Skąd pani o tym wie?

– Spotkałam ją na schodach i zaraz mi powiedziała.

– Kiedy ją pani spotkała? Dzisiaj?

– Nie, wczoraj wieczorem.

– Dobrze. Mówi pani, że ta Beata mieszka pod dziewiątką?

– Pod dziewiątką. Ale podobno oni tę nieszczęsną Zosię nożem zadźgali… – spróbowała jeszcze raz Sokołowska.

Ada wstała.

– Do widzenia. Zgłosimy się, jeżeli będziemy jeszcze czegoś potrzebować.

Starsza kobieta niechętnie odprowadzała ją korytarzem.

– Trzeba tych zbójów wyłapać – dodała na koniec. – I zamknąć wszystkich albo przynajmniej wyrzucić z naszego kraju.

– Do widzenia – powtórzyła Ada i zamknęła drzwi.

Na półpiętrze przystanęła przy oknie i w zamyśleniu spojrzała na wewnętrzne podwórko i leżącą na nim pryzmę starych cegieł. Nikt nie postrzega innych takimi, jakimi naprawdę są. Obrazy, dziwne szczegóły, cudze emocje i strzępki myśli bezustannie atakują nasze umysły. Normalni ludzie umieją je jednak ignorować. Oddzielają rzeczywiste informacje od mglistych wrażeń. Przeczucia traktują jak szum radiowy albo odgłos samochodów jadących ulicami, który zawsze nam towarzyszy, a jednak go nie słyszymy. Odetchnęła głęboko, potrząsnęła głową i rozluźniła zaciśnięte pieści. Informacja, że starsza kobieta była w przeszłości złą matką, do niczego jej się nie przyda, nawet jeśli przypadkiem okazałaby się prawdziwa. Należało natomiast zbadać sprawę czeczeńskich uchodźców odwiedzających Zofię Wagner. Ada wyprostowała się, obciągnęła kurtkę i zastukała do kolejnych drzwi.

Sawicki patrzył na wiszące na ścianie pożółkłe zdjęcie przedstawiające młodego mężczyznę w mundurze Wojska Polskiego. Ten sam człowiek, starszy o kilkadziesiąt lat, ubrany w szarą, gładką marynarkę i białą koszulę, stał obok i marszczył z irytacją wysokie czoło. Trzymał się równie prosto jak na zdjęciu i równie srogo spoglądał na rozmówcę. Przybyło mu kilka zmarszczek i posiwiał, poza tym nie zmienił się zupełnie.

– Ja się, proszę pana, tu do niczego nie wtrącam. Ludziom do mieszkań nie zaglądam. Co mam o niej powiedzieć? Dopiero się wprowadziła. Młoda

dziewczyna. Nie było jej nigdy w domu.

– Słyszałem, że przychodziła do niej czeczeńska sprzątaczka?

– Może i przychodziła. Skąd mam wiedzieć?

– Czy widział pan tu wczoraj kogoś podejrzanego? Może ktoś się wieczorem kręcił po podwórku? – ciągnął cierpliwie Sawicki.

– Nie – odpowiedział zdecydowanie starszy pan i zacisnął wąskie usta. Ale po chwili drgnął, jakby coś sobie przypomniał.

– Tak? – zachęcał Sawicki. – To poważna sprawa. Morderstwo. Każda informacja jest cenna.

– No… Był tu wczoraj taki jeden… – zaczął niepewnie. – Wpadł na mnie w bramie, koło ósmej. Pamiętam, bo właśnie skończyły się wiadomości i szedłem wyrzucić śmieci. Rosjanin.

– Rosjanin? A skąd pan wie?

– Mówił po rosyjsku. Klął.

– Jest pan pewien, że to był Rosjanin?

– Ja, komisarzu – starszy pan zwrócił się do niego z ogniem w oczach – ja, komisarzu, ten język dobrze znam! Młodość spędziłem w Peerelu.

– Oczywiście, oczywiście – łagodził Sawicki. – A co on dokładnie powiedział?

– Nie będę takich słów powtarzał! Obrzydliwe i wulgarne.

– Bardzo bym pana prosił – nalegał.

Odpowiedziało mu zacięte milczenie.

– W porządku – westchnął policjant. – To może pan napisze?

Podał mu kartkę, a potem przeczytał starannie wykaligrafowane słowa i uniósł oczy do nieba.

– Ehem… – chrząknął. – To czy jeszcze mógłby mi pan powiedzieć, jak ten domniemany Rosjanin wyglądał?

– Nie widziałem twarzy. Miał kaptur. I takie sportowe spodnie z paskami po bokach. To wszystko – warknął były wojskowy i krótkim, zdecydowanym gestem wskazał mu drogę do wyjścia.

Spotkali się przed mieszkaniem Zofii Wagner i wymienili zebrane informacje. Prócz Janiny Sokołowskiej oraz żołnierza w stanie spoczynku zdołali jeszcze odpytać taksówkarza odsypiającego właśnie nocną zmianę, młodą matkę z niemowlęciem na ręku i dwóch mężczyzn spod piątki, których Sawicki zakwalifikował bez wahania i z nieukrywanym obrzydzeniem jako parę gejów. Żadne z nich nie umiało jednak powiedzieć nic ciekawego na temat zabitej dziewczyny. Została Beata z czwartego piętra.

Na klatce schodowej stał mężczyzna w wełnianym płaszczu. Sawicki go znał. Eryk Marczyński pracował w „Fakcie”. Najwyraźniej któryś z sąsiadów zdążył już zawiadomić prasę.

– Ktoś zginął? Macie trupa? – zagadnął bezceremonialnie, wyjmując z kieszeni aparat fotograficzny.

Zatrzymali się zaskoczeni.

– Przykro mi, ale nie mogę w tej chwili rozmawiać – odpowiedział uprzejmie Sawicki. – Proszę zadzwonić do nas po południu. Udzielę wszelkich możliwych informacji, teraz jestem jednak bardzo zajęty.

Ruszył na górę, pociągając za sobą Adę. Stanęli przed drzwiami numer dziewięć. Dziennikarz nie dawał za wygraną.

– Słyszałem, że zginęła młoda dziewczyna. Włamanie? Macie już jakichś podejrzanych? – odezwał się tuż za ich plecami.

Marcin westchnął.

– Proszę pana – zaczął, starając się zachować spokój – utrudnia pan prowadzenie śledztwa. Bardzo proszę stąd odejść. W przeciwnym wypadku

zostanie pan wyprowadzony. To jest poważna sprawa… – dodał jakby przepraszająco.

Eryk Marczyński podniósł aparat i pstryknął im lampą błyskową prosto w oczy, dając ostentacyjnie do zrozumienia, że niewiele sobie robi ze słów policjanta. Potem jednak odwrócił się i ruszył powoli w dół.

– Są odgórne zalecenia, żeby dbać o dobre stosunki z prasą – mruknął Sawicki, uśmiechając się ironicznie. – No, poszedł – skonstatował z ulgą, gdy ucichł odgłos kroków. – Możemy sprawdzić Beatę.

Zapukali do drzwi. Czekali cierpliwie, ale nikt nie otwierał. Zastukali gwałtowniej.

– Policja! – zawołał Sawicki.

Z mieszkania dobiegło miarowe szuranie i niespodziewanie ucichło. Sawicki załomotał pięścią. Ktoś po drugiej stronie ostrożnie przyłożył oko do wizjera. Słyszeli głośny, przyspieszony oddech.

– Policja, otwierać natychmiast! – powtórzył. – Słyszysz? – zwrócił się do Ady. – Tam ktoś jest. Jest i nie chce nas wpuścić.

Nie odezwała się, ale mrugnęła potakująco. Sawicki zastukał po raz kolejny. Ciche kroki oddaliły się w głąb mieszkania.

– Wyważam drzwi – zdecydował nagle.

Ada spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Piętro niżej zamordowano kobietę, to nie są żarty – tłumaczył szeptem.

– Poczekaj – próbowała go powstrzymać i nacisnęła klamkę.

W tej samej chwili natarł barkiem na drzwi i nie napotkawszy oporu, wpadł z impetem do ciemnego korytarza. Jakaś niewielka postać zakotłowała się w półmroku. Próbował ją schwycić, ale stracił równowagę i runął całym ciężarem na podłogę. Postać niezdarnie, obijając się o ściany, uciekała na czworakach. Zobaczył obute w skórzane oficerki nogi

przechodzącej nad nim Ady, a potem rozbłysło światło. Zaklął i podniósł się na kolana. Korytarz wyścielały szmaty i stare gazety, śmierdziało kocim moczem. W kuchennej wnęce siedziała chuda, malutka kobieta i pocierała z roztargnieniem czoło. Z pokoju dochodziło ujadanie psa.

– Beata? – zapytała Ada.

– A cso? – odpowiedziała hardo i stłumiła głośne beknięcie.

Sawicki poderwał się z furią i złapał Beatę za ramiona.

– Czemu nie otwierasz?! – wrzasnął. – Jesteśmy z policji!

– A ssskąd mogłam wiedzieć, jak nie ma munduru? – zabełkotała podejrzliwie.

– Nazwisko? – Potrząsnął nią. – Ktoś tu jeszcze mieszka?

– Moje ssy i koty – wyznała posłusznie, patrząc mu prosto w oczy i kiwając z powagą głową.

– Zostaw ją. – Ada wzruszyła ramionami. – Jest kompletnie zalana, nic nam teraz nie powie.

– Więc zawiniemy ją na dołek, niech trochę wytrzeźwieje.

– To jest, zdaje się, wbrew prawu, wywlekać ludzi z ich własnego domu.

– Nie będziesz mi mówiła, jak prowadzić śledztwo! – krzyknął.

Sawicki był w furii. Zachował się jak ostatni debil, a jej nie drgnęła powieka, nawet się nie roześmiała, tylko przeszła nad nim obojętnie, jakby nie leżał rozpłaszczony u jej stóp w samym środku kocich szczyn.

– Jak uważasz. – Ada odwróciła się i wyszła z mieszkania.

Wykręcił rękę pijanej kobiecie. Przez chwilę próbowała oponować, ale pchnął ją brutalnie przed sobą. Kiedy szli w stronę samochodu, na balkonie ukazała się dokładna kopia Beaty z posiwiałymi, rozwichrzonymi włosami. Miała na sobie dżinsy i czerwony stanik.

– Policja, pierdolona kurwa! – krzyknęła, wygrażając pięścią.

– A to kto?

– A-to-ma-ma – odpowiedziała wyraźnie Beata, jakby czytała elementarz.

Sawicki wepchnął ją do samochodu i pognał z powrotem na górę.

5

Kiedy wrócili na komendę, dochodziła piąta. W pokoju Ada zdjęła kurtkę i skórzane rękawiczki, nastawiła wodę w elektrycznym czajniku, wyjęła z torebki pudełko taniej herbaty, po czym usiadła przy komputerze i zaczęła wypełniać dokumenty. Nie odezwał się do niej od czasu, kiedy sforsował drzwi w mieszkaniu numer dziewięć. Ona też nie zwracała na niego uwagi. Zdawała się nieobecna i całkiem obojętna, jakby jej myśli zaprzątały kwestie niezwiązane ze śledztwem. Spojrzał ze złością na pochyloną ciemną głowę, na długą odkrytą szyję i wypielęgnowane dłonie. Pisała szybko, nie patrząc na klawiaturę. To też go zirytowało. Przypomniał sobie ze wstydem, z jakim mozołem sam wystukiwał słowa dwoma wskazującymi palcami.

– Jeżeli chcesz, to mogę do nich pojechać – odezwała się niespodziewanie.

– Poradzę sobie – mruknął. – Sam – dodał zdecydowanie.

– Ale przecież możemy…

– Nie – przerwał ostro. – Bardziej mi pomożesz, wypełniając papiery. Zostań tu – dodał już łagodniej. – Zawiadomię rodzinę, a w drodze do domu porozmawiam z Modzelewskim. Jutro obgadamy wszystkie szczegóły.

Było mu wstyd. Chciał jak najszybciej zniknąć z jej pola widzenia.

Zbiegł do recepcji. W automacie ze słodyczami kupił snickersa i zjadł go, stojąc w bramie. Ulicę Andersa zatkał skutecznie popołudniowy korek. W stronę kina Muranów zmierzała gromadka hałaśliwych dzieci z tornistrami na plecach. Trzymały w rękach chipsy i sorbety owocowe na patykach. Nieuważne i roześmiane zastąpiły drogę kobiecie prowadzącej na spacer dwa nerwowe yorki. Smycz zaplątała się wokół kaloszy i botków, kobieta krzyczała na dzieci, psy ujadały. Po nagim drzewie nad ich głowami przechadzały się czujne wrony. Sawicki wsadził papierek po snickersie do kieszeni ortalionowej kurtki i wszedł na dziedziniec. Zapalając papierosa, ruszył w kierunku busa, za którym kilku policjantów schodzących właśnie ze zmiany piło wódkę. Dla porządku stanęli za samochodem, ale nie próbowali szczególnie się ukrywać.

– Czemu kobiety mają o jeden zwój mózgu mniej od konia? – zapytał ubrany po cywilnemu posterunkowy, podając butelkę koledze.

– No?

– Żeby podczas mycia podłogi nie piły wody z wiadra – ryknął śmiechem, a pozostali zawtórowali mu rozbawieni.

– A to znacie? Dwóch pedałów się pieprzy. Jeden mówi: „Dzisiaj musiałem zrobić test na AIDS”. A drugi na to: „Co?! Dopiero teraz mi to mówisz?”. „Tylko żartowałem, lubię, jak ci się dupa kurczy”.

– A, Sawoj! – zawołał policjant ubrany w bejsbolową kurtkę z czarnymi rękawami. – Jak tam twoja Mimoza?

– To już się rozeszło? – Sawicki uśmiechnął się krzywo i zawrócił w stronę bramy.

Nie miał ochoty na rozmowę. Nagle poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Patrzył bezmyślnie w głąb dziedzińca: wielki, zabytkowy budynek, ciężki, toporny i niemożliwie przygnębiający. Świeżo otynkowany i pomalowany od zewnątrz beżową farbą, jakby ten jasny kolor mógł go ożywić i tchnąć

w smutne wnętrza energię i optymizm. Ostatnio Ministerstwo Spraw Wewnętrznych rozstrzygnęło konkurs pod hasłem „Standaryzacja komend policji”. Architekci zaproponowali śmiałą wizję, w której komisariaty bardziej przypominały elegancki hotel niż miejsce, do którego przywozi się przestępców. Widział symulację projektu w „Gazecie Wyborczej”: lśniące posadzki, stylowe lampy, kawiarnie dla pracowników. Podwórka miały się przeistoczyć w ogrody z dzikim winem oplatającym ściany budynków i wypielęgnowanymi klombami róż i tulipanów. Przez chwilę próbował sobie wyobrazić tryskającą fontannę i zielone trawniki zamiast betonowej kostki. Zaraz jednak przypomniał sobie siną, opuchniętą twarz z wytrzeszczonymi oczami pokrytymi bielmem. Wzdrygnął się, wyminął kolegę w bejsbolówce i powlókł się w stronę samochodu.

Rodzice Zofii Wagner mieszkali na dalekich Bielanach. Duży jednorodzinny dom wyróżniał się asymetrycznym dachem pokrytym blaszaną imitacją dachówki, sporą ilością werand i wykuszy i szpetnymi, płaskimi lukarnami. Wszystkie te elementy były zgodne z panującą pod koniec lat dziewięćdziesiątych tandetną drobnomieszczańską modą, zachłystującą się nowymi technologiami sprowadzanymi z Zachodu. Posesję odgradzał od ulicy drewniany płot. Przy rozsuwanej automatycznie bramie zainstalowano kamerę. Sawicki zadzwonił, przedstawił się krótko przez domofon i wszedł do ogródka. Żwirowa, obsadzona tujami ścieżka prowadziła do wyłożonego żółtą terakotą ganku. W drzwiach stał przysadzisty mężczyzna w bordowej kamizelce; trzymał w dłoni złożoną gazetę i etui na okulary. Na nogach miał filcowe kapcie.

– O co chodzi?! – zawołał. – Czy coś się stało?

Sawicki zacisnął szczęki. Nie tracił panowania nad sobą na widok trupów i zmasakrowanych ciał, nie bał się konfrontacji z groźnymi przestępcami, umiał zachować zimną krew w sytuacjach, w których

większość ludzi nie potrafiłaby sobie poradzić, a jednak rozmowa z bliskimi ofiar nieodmiennie budziła w nim przerażenie. W ciągu dziesięciu lat pracy w wydziale kryminalnym zdarzało mu się wielokrotnie spełniać ten przykry obowiązek. Nigdy nie zdołał się jednak przyzwyczaić. Nigdy nie oswoił się z bólem i rozpaczą, jakie wywoływał, przynosząc straszną wiadomość. Spojrzał na stojącego przed nim mężczyznę, który jeszcze o niczym nie wiedział, jeszcze przez chwilę, przez kilka sekund mógł przebywać w bezpiecznym, spokojnym świecie z popołudniową gazetą, miękkimi kapciami i jasną lampą nad stołem… Poczuł narastający stukot w skroniach, zabrakło mu tchu. Odwrócił głowę i z przerażającą dokładnością dostrzegł wszystkie otaczające go szczegóły: białe, drobne kamyki na ścieżce, okryte słomą różane klomby, drewnianą skrzynię na narzędzia ogrodowe i porzucone wiadro. Na płocie przysiadł mokry, nastroszony wróbel.

– Andrzej Wagner? – usłyszał, jak pyta suchym, rzeczowym tonem.

– Tak. Co się stało?

Zwlekał z odpowiedzią. Chciał stać jak najdłużej w zimnej, dokuczliwej mżawce naprzeciw tego mężczyzny. Chciał dać temu człowiekowi, temu ojcu, jeszcze krótką chwilę…

– Ojciec Zofii Wagner?

– Tak. O co chodzi? – Mężczyzna pobladł gwałtownie.

– Marcin Sawicki z policji kryminalnej. Czy pańska córka mieszka przy ulicy Dąbrowskiego trzy?

– Tak! Czy powie mi pan wreszcie, co się dzieje?! – Andrzej Wagner krzyczał. Gazeta wypadła mu z rąk. Do drzwi podbiegła pulchna kobieta okryta wełnianym szalem.

– Andrzej! – zawołała. – Co tu się dzieje? Co to za człowiek?

– Policja kryminalna – powtórzył Sawicki. – Dziś rano Zofia Wagner została znaleziona martwa w swoim mieszkaniu na Mokotowie. Mamy wszelkie podstawy sądzić, że ktoś ją zamordował. Bardzo mi przykro.

Wróbel nadal siedział na płocie, wiadro leżało obok drewnianej skrzyni, z nieba siąpił uparcie drobny, uciążliwy deszcz.

O siódmej wieczorem zadzwonił do Modzelewskiego.

– Przepraszam, że tak późno – powiedział. – Dopiero skończyliśmy…

W słuchawce usłyszał krótki, wymuszony śmiech.

– Dopiero? – prokurator odezwał się protekcjonalnym tonem wujka pouczającego niesfornego siostrzeńca. – Chyba raczej już. Walka na ulicach toczy się całą dobę. Żołnierze, tacy jak pan, wiedzą to najlepiej… Zresztą ja też siedzę nadal w biurze…

Sawicki zacisnął szczęki. Był starszy od swojego rozmówcy, bardziej doświadczony i nie miał najmniejszych wątpliwości, że przewyższa go inteligencją, a jednak musiał znosić cierpliwie pogardliwy sposób, w jaki prokurator traktował wszystkich policjantów, bez sprzeciwu wykonywać najgłupsze polecenia i pokornie przyjmować nagany, gdy śledztwo przedłużało się lub komplikowało. Tajemnicą poliszynela był fakt, że Modzelewski zawdzięcza stanowisko ojcu, który w poprzednim rządzie był wiceministrem spraw wewnętrznych. Przed dymisją związaną z głośną aferą korupcyjną zdążył ulokować syna na prokuratorskim stołku. W wirze oskarżeń i prasowych doniesień o ustawionym przetargu na oprogramowanie dla MSW opiewającym na sto milionów złotych, sprawa ewidentnego nepotyzmu została przez dziennikarzy przeoczona. Medialna nagonka na Modzelewskiego seniora przetoczyła się i ucichła. Modzelewski junior utrzymał się w siodle, nie czuł się w nim jednak pewnie. Na szczęście dość szybko udało mu się odkryć, na czym polega

skomplikowana sztuka zewnętrznego dowodzenia policyjnym śledztwem. Ilekroć trzeba było zwrócić się z prośbą do sądu albo szybko załatwić niestandardowe pozwolenie, zlecał to trudne zadanie współpracującym z nim komisarzom. Dokładał wszelkich starań, aby znaleźć sposób na uchylenie się od obowiązków, i skrupulatnie przestrzegał zasady: w najmniejszym stopniu nie angażować się w przebieg dochodzenia, dopóki trwa nie dłużej niż cztery dni. Po tym czasie zaczynał wywierać na policję tak wielką presję, że większość prowadzonych przez niego spraw udawało się zamknąć w ciągu tygodnia. W ten sposób wykrywalność przestępstw rosła, a pozycja Modzelewskiego umacniała się z każdą publikowaną statystyką.

– Rozumiem, że to proste, rutynowe postępowanie – odezwał się prokurator po wysłuchaniu relacji z miejsca zbrodni. – Wszystko wskazuje na napad na tle rabunkowym.

Sawicki chrząknął niespokojnie.

– Nie do końca – zaczął niepewnie. – Drzwi wejściowe nie są uszkodzone, w mieszkaniu zostało mnóstwo cennych przedmiotów. Wygląda na to, że denatka znała sprawcę i sama wpuściła go do domu. W każdym razie czekała na kogoś: na stole w kuchni stały dwie filiżanki i talerz z ciastkami. Technicy sprawdzają odciski palców. Do tego znaleźliśmy na miejscu porzucone narzędzie zbrodni. To bardzo dziwne. Nie rozumiem, dlaczego sprawca je zostawił. Taki młotek łatwo wynieść pod kurtką.

– Dobrze, dobrze – przerwał Modzelewski. – Pan, komisarzu, jak zwykle za dużo kombinuje. Tu się nie ma nad czym zastanawiać. Na pewno jakiś pijak z sąsiedztwa potrzebował pieniędzy na wódkę. Drzwi były otwarte, wszedł, uderzył, zostawił młotek i udał się za róg do sklepu monopolowego. Mam nadzieję, że do poniedziałku go znajdziecie.

– Ale… – oponował Sawicki.

– Słucham?

– Coś się tu nie zgadza. Na wieszaku w przedpokoju została torebka, a w niej portfel i karty bankomatowe. Pijak zabrałby ją po prostu i uciekł. Po co miałby jeszcze wchodzić do łazienki i mordować dziewczynę? Z kolei zorganizowany rabunek nie ma w tym wypadku najmniejszego sensu. Ta Wagner była dość zamożna, ale na pewno nie aż tak, żeby ktoś planował podobne przestępstwo. Sprawca przekopał jej rzeczy tylko w jednym pokoju, jakby szukał czegoś konkretnego i wiedział, gdzie może to znaleźć…

– Komisarzu – głos w słuchawce zabrzmiał ostrzej. – Ja pana nie proszę o snucie alternatywnych scenariuszy do serialu kryminalnego. Ja panu mówię, że sprawa jest banalna i trzeba ją jak najszybciej zamknąć. Nie ma co statystyk niepotrzebnie zaniżać. W poniedziałek chciałbym dostać raport.

Sawicki już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale zamknął je i mruknął potakująco.

– No to świetnie. To znakomicie – Modzelewski przybrał znowu jowialny ton. – Do poniedziałku w takim razie.

Sawicki przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył w kierunku Grochowa. Nie lubił Modzelewskiego. Nie chciał jednak dyskutować z prokuratorem. Został mu rok, najwyżej dwa lata na ulicy. Potem dostanie awans, zajmie się spokojną pracą, z dala od gwałcicieli, morderców i złodziei samochodów. W tej sytuacji wchodzenie w konflikt z wyżej postawionym funkcjonariuszem nie miało sensu. Musiał zacisnąć zęby i dotrwać do końca dochodzenia. Być może prokurator ma rację, pomyślał. Może to kolejna typowa polska zbrodnia, prymitywna i bezsensowna. Ofiara miała

pecha. Otworzyła drzwi niewłaściwej osobie. Niewłaściwa osoba była w wyjątkowo podłym nastroju albo cierpiała akurat na dotkliwy brak gotówki. Chwyciła młotek, poszła za Wagner do łazienki i… Co za bzdura!

O mało nie przegapił zjazdu z Trasy Łazienkowskiej. Wcisnął gwałtownie hamulec, a potem wykonał niebezpieczny manewr, nie włączając kierunkowskazu. Jadący za nim kierowca zatrąbił z furią. Sawicki nie zwrócił na niego uwagi. Im dłużej myślał, tym większy ogarniał go niepokój. To nie wyglądało na zwykłe morderstwo na tle rabunkowym. Fakty przeczyły podobnym wnioskom.

Zaparkował opla na strzeżonym parkingu przed blokiem, wyłączył silnik i oparł czoło na kierownicy. Niektórzy ludzie wracają do domu z radością, zamykają drzwi i zostawiają za sobą wszystkie troski i niepowodzenia związane z pracą. On też powinien wrócić uśmiechnięty i rozluźniony, a potem poświęcić wieczór córkom. Tymczasem siedział nieruchomo w samochodzie. Stróż parkingowy przeszedł wzdłuż siatki i z niepokojem zajrzał przez szybę. Sawicki skinął mu niechętnie głową. Człowiek nie może spędzić chwili w samotności, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Tak, zaraz wejdzie na górę i zagra z dziewczynkami w chińczyka, a może w pamięciówkę. Przeczyta im bajkę na dobranoc. Potem porozmawia z Olgą. Napiją się piwa, obejrzą film w telewizji. Przywołał w pamięci jej obraz. Zdrowe, jędrne ciało korpulentnej blondynki, opalone w solarium uda, piersi trochę zniszczone karmieniem, ale całkiem jeszcze ponętne, pierwsze zmarszczki na dekolcie… Kiedyś dobrze się rozumieli. W każdym razie dobrze się razem bawili. Potem przyszły na świat dziewczynki. Za każdym razem na wiadomość o ciąży reagował euforyczną radością. Chyba nauczył się jej z telewizji, z amerykańskich filmów na kanale Samo Życie. Ciąża oznacza szczęście, które należy wyrażać, odruch Pawłowa… Potem trzymał brzydkie,

pomarszczone niemowlę na ręku i nie mógł przyzwyczaić się do myśli, że został ojcem. Miał wrażenie, że zlecono mu opiekę nad cudzym dzieckiem. Dożywotnio. Albo przynajmniej na najbliższych dwadzieścia lat. Czy Olga lubiła być matką? Nigdy na ten temat nie rozmawiali. Karmiła dziewczynki, wstawała do nich w nocy, przewijała… Tymczasem on nie za dobrze radził sobie z dziećmi. W ich obecności czuł się na przemian znudzony i skrępowany. Nie wiedział, o czym i jak z nimi rozmawiać, ograniczał się więc do pytań: „Co robiłaś w szkole?” lub „Jak się bawiłaś w przedszkolu?”, w zależności od tego, z którą córką miał akurat do czynienia. Woził je na basen i zabierał do kina, a jednak za każdym razem, kiedy musieli spędzić razem trochę czasu bez wyraźnie wytyczonego celu, ogarniał go niepokój. Miał w takich chwilach poczucie, jakby przebywał z dwiema przybyszkami z obcej planety, dziwolągami, które czują i rozumują w zupełnie inny sposób niż on sam. Zdawał sobie doskonale sprawę, że reprezentuje wymierający, przestarzały typ ojca. Na dodatek wadliwy typ. Model wewnętrznie wybrakowany, którego używanie groziło poważną awarią relacji rodzinnych w bliżej nieokreślonej, a jednak nieuchronnie nadciągającej przyszłości. O czym będę rozmawiał z córkami za dziesięć, piętnaście lat?, zastanawiał się. Skoro nie umiemy dogadać się teraz, czy mamy szansę na porozumienie za jakiś czas? Ja – stetryczały zgred, i one – dorastające dziewczyny? W takich chwilach zbierał się w sobie, szedł do dziecinnego pokoju i próbował zrozumieć świat swoich córek. Po dwóch zdaniach jednak onieśmielony i zrezygnowany sięgał po grę planszową, nad którą ziewał i przysypiał z nudów. Może gdyby urodził się chłopiec… Chociaż chłopcem też pewnie nie umiałby się zajmować. A Olga?, pomyślał znowu, patrząc w okna swojego mieszkania. Dlaczego był przekonany, że radziła sobie lepiej z byciem matką niż on ze swoim ojcostwem? Brakowało mu czasu na rozmowy z żoną. Bywały tygodnie,

czasem nawet całe miesiące, kiedy wracał do domu tylko po to, żeby coś przegryźć i powiedzieć, że żyje. Olga twierdziła, że uzależnił się od pracy. Na dodatek kiepsko płatnej. Czasem miewała pretensje, kilka razy z tego powodu narósł między nimi poważny kryzys. Dwukrotnie otarli się o rozwód. Sawicki otworzył drzwi samochodu i poszedł w stronę domu, ignorując wymowne spojrzenie stróża. Na progu przywitały go dzieci. Hania zawisła na jego ramieniu, młodsza Tosia uczepiła się nogi ojca. Uśmiechnął się, spojrzał na nie z zakłopotaniem i spróbował się oswobodzić. Ostrożnie odkleił od siebie małe rączki. Wsadził sobie Tosię na barana, Hanię wziął pod pachę i zaniósł prosto w objęcia matki.

Zjadł obiad, wypił piwo i zasnął kamiennym snem przed telewizorem. Obudził się o czwartej rano we własnym łóżku. Widocznie Olga pomogła mu się rozebrać i przejść do sypialni. Spojrzał z wdzięcznością na zaróżowiony policzek i skrawek nagiego ramienia, odsunął lekko kołdrę, pocałował miękkie, znajome ucho. Olga zamruczała przyjaźnie i przewróciła się na drugi bok. Leżał na wznak, z rękami pod głową, słuchał miarowego, spokojnego oddechu żony i myślał o zeznaniach, które wycisnął ze zrozpaczonych rodziców Zofii.

– To bardzo ważne – powtarzał. – Proszę się skupić. Proszę sobie przypomnieć. Nie, nie możemy tego odłożyć do jutra…

Nina Wagner, matka Zofii, odpowiadała, zanosząc się szlochem. Ojciec siedział blady, nieobecny, ściskając w dłoni futerał na okulary. Sawicki zdołał się dowiedzieć, że kilka dni wcześniej pożyczyli córce cztery tysiące. Nie powiedział o tym Modzelewskiemu. Coś powstrzymało go w ostatniej chwili. Zapewne wrodzona przekora. Niewątpliwie był to trop, który mógł wskazywać na motyw rabunkowy.

– Chciała wpłacić w pracy kaucję na sprzęt komputerowy, który wypożycza do domu – tłumaczyła pani Wagner, ocierając łzy. – Obiecała,

że odda w ciągu pół roku.

O kłopotach z kochankiem dresiarzem ani o czeczeńskich sprzątaczkach rodzice Zofii w ogóle nie mieli pojęcia.

Westchnął. Przesłuchanie nie poszło najlepiej. Może gdyby zabrał ze sobą Adę… tę zimną, pozbawioną emocji kobietę, która nigdy nie traciła kontroli nad sytuacją, może wtedy dowiedziałby się więcej. Skrzywił się na wspomnienie uważnych ciemnych oczu, skupionej twarzy i białych rękawiczek. Olga chrapnęła cichutko i przełknęła ślinę. Mimo woli zastanowił się, czy Adzie też zdarza się chrapać. Dochodziła piąta. Był całkowicie rozbudzony. Wstał i poszedł do dużego pokoju. Niepewnie przyjrzał się starej boazerii, szerokiej kanapie w kolorze indygo i dębowym regałom. Nagle wydało mu się, że mieszkanie jest urządzone bez gustu. Ba, gorzej! Żałośnie, tandetnie, bez żadnej koncepcji i wyczucia.

Co też przychodzi mi do głowy?, skarcił się w myślach.

Ułożył rozrzucone gazety i książki. Zebrał ze stołu brudne szklanki i zaniósł je do kuchni. Zaparzył herbatę. W korytarzu potknął się o dużą płócienną torbę i o mało nie wypuścił z rąk gorącego kubka. Schylił się i rozsunął zamek błyskawiczny. W środku zobaczył różowe pudełko z tęczowym napisem *My Little Ponny*, prezent na sobotnie przyjęcie z okazji szóstych urodzin Tosi. Zupełnie o tym zapomniał. Będzie musiał zwolnić się przed piątą z pracy. Poczuł niepokój na myśl o tym, że na kilka godzin zostawi śledztwo w rękach Ady, ale nie mógł opuścić przyjęcia własnej córki. Wrócił do dużego pokoju i włączył komputer. Parę dni wcześniej ściągnął z Internetu serial kryminalny. Jedna z koleżanek Olgi opowiadała o nim w czasie ostatniego kinderbalu. Kliknął na plik z napisem *Dowody zbrodni*. Włożył słuchawki i zapadł się w miękkim fotelu. Akcja toczyła się wartko od samego początku. Patrzył w monitor jak zahipnotyzowany i ogarniała go coraz większa niechęć. Filmowi policjanci

stanowili zwartą, świetnie zgraną grupę dochodzeniową. Rozumieli się doskonale, omawiali wspólnie każdy szczegół śledztwa. Mieli wygodne biuro, nowoczesny sprzęt, jeździli szybkimi, drogimi samochodami. Ten luksusowy świat wydał mu się całkowicie nierealny. Na dodatek zespołem kierowała młoda, zaradna pani naczelnik. Sawicki zdjął słuchawki i odłożył je na stół. Najwyraźniej policję na całym świecie opanowała epidemia kobiet…

6

Leżał w cudzym łóżku, na obcej, zmiętej pościeli. Głowa pękała mu z bólu. Szare, przydymione światło wpadało poziomymi snopami przez opuszczone żaluzje. Zamknął oczy i zaczął odtwarzać w pamięci zdarzenia ostatniej nocy. Biegł chodnikiem. Potem środkiem ulicy. Jakiś samochód zatrąbił przeraźliwie. W gęstej, wilgotnej mgle stracił poczucie kierunku i czasu. Trzęsąc się ze strachu, przystanął pod drzewem, nogi odmówiły mu posłuszeństwa i upadł na kolana w sam środek głębokiej kałuży. Potem biegł dalej wzdłuż linii tramwajowej, przeciął na oślep ruchliwy plac. Minął dawne rogatki i wiedział już, gdzie jest. Odetchnął. Próbował się uspokoić. Nikt go nie widział, poza staruchem, którego potrącił w bramie. Miał na głowie kaptur, było ciemno i tamten na pewno nie przyjrzał mu się dokładnie. Drżącymi rękami wyjął z kieszeni komórkę. Nie działała. Próbował naciskać wszystkie klawisze po kolei, w końcu w rozpaczy rzucił ją na chodnik i wtedy uprzytomnił sobie, że po południu wyłączył telefon w siłowni. Wprowadził kod. Czekał na aktywację, powstrzymując mdłości; dostał głośnej, męczącej czkawki. Drżał tak gwałtownie, że z trudem udało mu się skasować z pamięci poranne połączenia. Wiedział, że jest to działanie w dużej mierze pozbawione sensu. Komórka Zofii została w mieszkaniu przy Dąbrowskiego. Policja na pewno ją znajdzie. Przejrzał wykaz połączeń. Zofia dzwoniła po południu osiem razy. Opuścił bezradnie

ręce i wtedy odezwał się sygnał poczty głosowej. „Chciałam odwołać spotkanie”, zabrzmiał w słuchawce znajomy głos.

W odruchu irracjonalnej paniki rozłączył się natychmiast. Przez dłuższą chwilę nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Powoli jednak dotarł do niego sens odsłuchanej wiadomości. Odetchnął spokojniej i zapanował nad drżeniem. Ucisk w skroniach zelżał, fale nudności odpłynęły, a myśli stały się klarowne i precyzyjne. Miał niesamowite szczęście. Jeżeli policja dotrze do niego, będzie mógł schronić się za słowami Zofii. Teraz powinien tylko znaleźć alibi na resztę czwartkowej nocy. Rozejrzał się po placu, odnotował zimowego rowerzystę, samochód dostawczy i kobietę prowadzącą na smyczy nakrapianego doga. Na ciemnym, ponurym niebie nie widać było ani jednej gwiazdy. Odchylił głowę, aż chrupnęły kręgi, rozluźnił ramiona i ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku Rozdroża. Wiedział, dokąd zmierza. Pod pomnikiem Dmowskiego stało kilku łysych młodzieńców we flekach. Trzymali w rękach biało-czerwone flagi. Na trawniku leżał transparent z napisem: „Zakaz pedałowania”. Widocznie skończyła się właśnie prawicowa demonstracja. Część uczestników przeszła na drugą stronę ulicy i kierowała się dalej, w dół Trasy Łazienkowskiej. Otrzepał mokre spodnie, wytarł chusteczką twarz i zabłoconą kurtkę, po czym niespiesznie podążył ich śladem.

* * *

Starał się uczestniczyć w rozmowie, zamawiał kolejne piwa, stawiał, wdał się w głośną utarczkę z mężczyzną, który potrącił go, idąc do kibla, czym zwrócił uwagę ochrony. Kiedy alkohol uderzył mu do głowy, uznał, że w najmniejszym stopniu nie żałuje tego, co się wydarzyło. Chwilami czuł niemal satysfakcję na wspomnienie bezwładnego ciała Zofii, rąk rozrzuconych w chaotycznym geście, ciężkich, nienaturalnie ułożonych nóg.

– Duże piwo! – krzyknął do barmana. – Duże piwo!

Potem przyplątała się panna o jędrnych, sterczących pośladkach i równo przyciętej farbowanej grzywce. Miała na głowie czapkę z daszkiem, a na szyi szalik w barwach Legii. Złapał ją za tyłek. Trochę się wyrywała, trochę krzyczała, w końcu zaczęła się śmiać. Nie wiedział, jak długo ani o czym rozmawiali, za to w pewnym momencie uprzytomnił sobie, że odkąd Zofia z nim zerwała, nie przespał się z żadną dziewczyną. O drugiej w nocy zamówił taksówkę i pojechał z Czarnągrzywką-jędrnądupą gdzieś na daleką Ochotę, do obskurnego mieszkania, które wynajmowała z przyjaciółką. Wszystko odbyło się według planu, jakby wcześniej przemyślał swoje działania i uwzględnił przekonujące alibi. Mimo to nie mógł pozbyć się uczucia strachu. Leżał na plecach w przepoconej pościeli. Będzie dobrze, powtarzał w myślach. Nic mi nie grozi. I po raz kolejny analizował punkt po punkcie zdarzenia minionego wieczoru i ostatniej nocy.

– Zostaniesz na śniadanie? – Czarnagrzywka zajrzała do pokoju.

Spojrzał na jej odsłonięty dekolt pokryty dokładnie poranną warstwą pudru, na miękkie piersi, koniec warkocza przewieszony przez prawe ramię, i niespodziewanie zrobiło mu się żal, że to nie Zofia zaprasza go na kawę. Z nagłym przerażeniem dotarła do niego myśl, której do tej pory nie chciał do siebie dopuścić, że Zofii już nie ma, zostało tylko jej ciało, sponiewierane i samotne na zimnych łazienkowych kafelkach. Poczuł narastające mdłości i musiał zebrać całą siłę woli, żeby stłumić szloch.

– Chętnie – odpowiedział, zdobywając się na grymas mający przypominać uśmiech. – Mam kaca jak bomba atomowa.

7

Kiedy weszła do mieszkania, poczuła bezradność wobec bałaganu, który – wiedziała o tym dobrze – będzie musiała poskromić. Tuż za drzwiami stała wygięta rowerowa rama i koło z przebitą dętką. Minęła wąski, zastawiony połamanymi krzesłami i dziurawymi garnkami korytarz. Pokój po prawej stronie okazał się dużo większy, niż oczekiwała. Sufit tonął w mroku. Wysoko nad jej głową kołysał się kryształowy żyrandol. Okryte pokrowcami meble majaczyły niewyraźnie z przeciwległego rogu pomieszczenia. Książki na półkach robiły wrażenie tak starych i wysuszonych, jakby miały się rozpaść pod najlżejszym dotykiem palców. Pokrywała je miękka, aksamitna warstwa kurzu. W mieszkaniu panowała makabryczna atmosfera rozpadu i Ada poczuła dziwną mieszaninę obrzydzenia i niezrozumiałego szacunku. Ten pokój musiał trwać w niezmienionym stanie od bardzo dawna. Nikt tu nie wchodził, nie wstawiał nowych sprzętów, nie przesuwał starych, nie siadał na kanapie, nie zdejmował książek z półek. Przez chwilę bezskutecznie usiłowała przeniknąć wzrokiem półmrok, po czym podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Blask wdarł się do środka, zuchwale rozpraszając ciemność. Zobaczyła trawnik, betonowe alejki, opustoszałą piaskownicę i śmietnik. Przecież to tylko mieszkanie w bloku, uświadomiła sobie ze zdumieniem. Skąd więc czterometrowe stropy, biblioteka i kryształowy żyrandol? Skubała z roztargnieniem kawałek odchodzącej od ściany tapety,

pociągnęła za mocno i oddarła duży płat, odsłaniając chwiejną konstrukcję z kartonu i gipsu. To wcale nie jest mieszkanie, tylko gigantyczne tekturowe pudło, pomyślała i poczuła, że ogarnia ją panika. Z prawego rogu pokoju dobiegło kwilenie. Pięć zagłodzonych kotów patrzyło na nią przez metalowe pręty klatki. Sierść na ich grzbietach lepiła się w brudnych strąkach. Wszystkie miały głębokie, ropiejące rany na bokach. Dwóm brakowało oczu. Wokół unosił się nieznośny smród padliny. Nie karmiłam ich od miesiąca, uprzytomniła sobie z przerażeniem. Nie dostały też nic do picia, odkąd przyniosłam je tu i zostawiłam. Bo tak przecież właśnie zrobiła; miała nadzieję, że pozbędzie się ich w ten okrutny sposób. Ale one nie chciały umierać. Mało tego, musiały rozmnożyć się pod jej nieobecność, bo do prętów klatki podchodziły kolejne koty: czarne, rude i białe, wszystkie pokiereszowane, bez oczu, nóg, z połamanymi ogonami. Nie chcę ich, pomyślała i odwróciła się w gwałtownym odruchu obrzydzenia. „Nie chcę ich”, powtórzyła na głos. Zostawię je w klatce w tekturowym pokoju i poczekam, aż w końcu zdechną. Wiedziała jednak, że tego nie zrobi i będzie musiała wypuścić to stado oszalałych z głodu i pragnienia zwierząt, a potem opiekować się nimi do końca życia.

O szóstej obudził ją ssący głód. Przez cały miniony dzień nie zjadła nic oprócz śniadania. Narzuciła szlafrok i boso poszła do kuchni. Po omacku dotarła do drzwi lodówki. Siedząc na podłodze, zaczęła rozrywać zębami paczkę kabanosów. Schwyciła pojemnik z jogurtem owocowym. Filip-Oleńka podkradł się bezszelestnie i miauknął tuż obok jej ramienia. Drgnęła na jego widok, ale zaraz opanowała się i pogłaskała zwierzątko.

– Masz rację. Nie powinno się jeść w ten sposób.

Wstała z podłogi. Wyjęła z lodówki pojemnik na jajka i zapaliła lampę nad blatem.

– Może usmażymy jajecznicę? – zaproponowała.

Postawiła talerz na stole. Jadła powoli, w skupieniu. Siedziała prosto, trzymając łokcie przyciśnięte do tułowia. Kroiła chleb w niewielkie, zgrabne kosteczki i nabijała je na widelec razem z jajkiem i kawałkiem pomidora. Na koniec odłożyła starannie sztućce.

– Dziękuję – zwróciła się do kota.

Filip-Oleńka zlizywał właśnie resztki żółtka z dna miseczki i nie raczył jej odpowiedzieć.

– Dziękuję! – powtórzyła głośniej. – Nie powinieneś zaniedbywać form – dodała surowo. – Ani ty, ani ja. Zwłaszcza teraz, kiedy mieszkamy sami…

Sami… Sama… Drgnęła mimo woli i spojrzała w stronę otwartych drzwi sypialni. Noszę w sobie brak, pomyślała ze smutkiem. Rozpaczliwą, niepokojącą ułomność, która nie pozwala mi podejść do nikogo, która niszczy każdy związek, każdą rodzącą się przyjaźń czy bliższą znajomość. Kiedy pozwalała sobie na słabość, a zdarzało się to naprawdę rzadko, czuła, że sięga dłonią w stronę pustego miejsca gdzieś we wnętrzu własnego ciała. Pustka nie przynosiła bólu, tylko zaskoczenie. Nie umiem brać, myślała. Niczego przyjąć od innych, żeby zapełnić pęknięcie, tę szczelinę, która rozszerza się nieustannie. Rok po roku, centymetr po centymetrze, jestem coraz bardziej wydrążona. Potrafię tylko patrzeć. Śledzić cudze uczucia, odgadywać emocje i bezbłędnie je nazwać, ale nigdy nie udaje mi się ich dotknąć. Stała pośrodku kuchni, usiłując odzyskać poczucie czasu. Miękka, szara cisza opadła jej na twarz i ramiona. Przemijam, pomyślała z przerażeniem. Odchodzę… Zamknęła oczy, wciągnęła powietrze przez nos i wypuściła je, otwierając usta. W każdym razie, zdecydowała, otrząsając się z odrętwienia, w każdym razie nie mam sobie nic do zarzucenia. Kiedy to wszystko się skończy, kiedy pustka w środku

rozrośnie się i pochłonie moje ciało, na koniec będę mogła powiedzieć: „Zrobiłam, co w mojej mocy. Więcej zrobić nie mogłam”. Potrząsnęła głową, jakby strzepywała z włosów niewidzialne kropelki wody. Teraz zaparzę mocną kawę, wypiję ją, siedząc jak zwykle na krześle i patrząc w okno. Zaraz zacznie się dzień, pomyślała i w tym momencie odzyskała równowagę. Wyprostowała się, otworzyła oczy i wyszła z kuchni zdecydowanym, szybkim krokiem.

Oglądanie ubrań zawsze sprawiało jej przyjemność. Wyjęła z szafy srebrny kaszmirowy szal. Przez chwilę gładziła miękki materiał. Zapłaciła za niego kilkaset złotych i nigdy go nie włożyła, podobnie jak jedwabnej sukienki z głębokim dekoltem na plecach, szafirowych szpilek i krótkiego futerka imitującego karakuły. Nie nadarzyła się wystarczająco elegancka okazja. Kiedy się w końcu nadarzy, kupi sobie coś innego. To była jej jedyna słabość, jedyna rysa na własnym kryształowym wizerunku. Tak wyglądała jej mała zemsta. „Jeżeli nie chcesz z nim rozmawiać – powiedział psycholog – zrób coś, co przyniesie ci ulgę. Zrewanżuj się, pozwól sobie na złość: napisz list do jego żony i nigdy nie wyślij albo przynajmniej narysuj karykaturę, spal zdjęcie, wyrzuć wszystkie pamiątki… Nic się nie stanie, jeżeli raz zachowasz się nieracjonalnie i uwolnisz emocje. Złam własny ideał. To ci pomoże”.

Zdjęła z wieszaka koszulę w szaro-niebieskie prążki.

– Zrewanżowałam się więc – powiedziała cicho, sięgając po płócienne spodnie z szerokimi kieszeniami. – Nie sądzę jednak, żeby psycholog był ze mnie dumny…

Wzruszyła ramionami. Nie darzyła go szczególnym szacunkiem. Próba terapii zakończyła się fiaskiem. Włożę kolorową chustę i nowe dżinsy, zdecydowała. A do tego skromną biżuterię: cienki srebrny łańcuszek

i bransoletkę. Zamknęła szafę, po czym wróciła do kuchni. Nalała kawy. Trzymając gorącą filiżankę w dłoniach, próbowała ustalić plan działania na nadchodzący dzień. Marcin Sawicki… Przypomniała sobie zwalistą postać rudego policjanta. Sawicki miał okrągłą, sympatyczną twarz o wąskich wargach i wesołych, wiecznie przymrużonych oczach. Wydawał się jeszcze wyższy niż był w rzeczywistości za sprawą szerokich barków i rozbudowanej klatki piersiowej. Ada sięgała mu zaledwie do ramienia. Kiedyś musiał być przystojny, teraz powinien jednak zdecydowanie schudnąć, podciąć przerzedzone włosy i zacząć golić się każdego ranka. Niechlujstwo nowego partnera wzbudzało w niej niesmak. Czy uda się z nim porozumieć, ułożyć znośną relację?, zastanawiała się, odsuwając od siebie wspomnienie przepoconego T-shirtu i poszarzałych mankietów bluzy Sawickiego. Powinna uważać i bardzo się starać. „Osobowość dyssocjalna”, w nawiasie: „na granicy”, podejrzała kiedyś w notatkach psychologa. Wiedziała, że to nieprawda. Nie była psychopatką. Psycholog też o tym wiedział, ale nie potrafił postawić jednoznacznej diagnozy i to najwyraźniej go drażniło. Nie lubił jej. Czuła narastające przypływy niechęci, jakie wzbudzała w nim podczas sesji. Innym razem napisał: „Podwyższony poziom empatii. Pacjentka nadwrażliwa”. Notatki wzajemnie się wykluczały. Przerwała terapię. Zmarnowała pół roku. Od tamtego czasu minęły dwa lata. Teraz była w Warszawie i zaczynała nową pracę…

Dopiła kawę. Filip-Oleńka spał rozciągnięty na parapecie. Niebo nad miastem jaśniało powoli. Wstawał wilgotny, chłodny ranek. Zrzuciła szlafrok i poszła do łazienki wziąć prysznic.

8

O siódmej rano mżawka zmieniła się w deszcz ze śniegiem. Termometr wskazywał minus dwa stopnie. Sawicki przejrzał uważnie ubrania na półce w sypialni. Wybrał granatowy sweter z białą lamówką i dżinsy, które dostał od Olgi na Boże Narodzenie. Do pracy przyjechał o wpół do dziewiątej. Wysiadając z samochodu, obciągnął nogawki. Nowe spodnie uwierały go w kroku.

Przed wejściem do komendy natknął się na wysokiego chudego mężczyznę w skórzanej kurtce i czapce w kolorach Legii. Ekspert Wiktor Pawlak pracował w policji kryminalnej od siedmiu lat. Był inteligentny i energiczny. To on miał najwięcej znajomości w warszawskim światku przestępczym, najlepszych informatorów i najwięcej rozwiązanych spraw na koncie. Całe życie poświęcił pracy, ostatnio nawet nocował na komendzie. W niewielkiej metalowej szafce trzymał śpiwór, karimatę i szczoteczkę do zębów. Wśród policjantów krążyły plotki, że w wolnych chwilach zabawia się łapaniem drobnych złodziei czyszczących parkomaty na ulicach miasta. Traktował to zajęcie jak rodzaj sportu. Powszechnie wiadomo było również, że ma kłopot ze skłonnością do przemocy. Dwa lata temu pewien biznesmen podejrzany o związki z mafią narkotykową złożył skargę na znęcanie się podczas śledztwa. Podobno Wiktor złamał mu szczękę i wybił dwa przednie zęby. Pisano o tym nawet w gazetach. Biznesmen jednak szybko wycofał oskarżenie i sprawa ucichła. Poza tym

Pawlak przejawiał niezdrową skłonność do alkoholu i nałogowo korzystał z usług prostytutek. Sawicki go lubił.

– Cześć – kiwnął przyjaźnie głową.

– Cześć. – Wiktor trzymał papierosa w kąciku ust i bezskutecznie próbował go zapalić gasnącą na wietrze zapalniczką. – Słyszałeś, że mamy uprawiać jogging od następnego tygodnia? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

– Co?!

– Chujów sto. Nie co, tylko normalnie we wtorki i w czwartki będziemy popierdalać po parku.

– Po jakim parku?

– Nie wiem. Po jakimś. Staremu odjebało.

– Ale dlaczego?

– Wizytacja z ministerstwa była, to chciał się popisać. Kazał mi i Rogowskiemu ustawić coś na Pradze. Niby że obława policyjna jest i on w niej bierze udział. To mi Wróbel nagrał jakiegoś gnojka. Nie wiem, o co chodziło, miał kupować albo sprzedawać białko, nie wyrabiał się, w każdym razie podkurwił praskich chłopaków i chcieli się go pozbyć. No więc jedziemy z Rogiem i ze Starym w jednym samochodzie, wizytacja w drugim, z tyłu. I widać: na Łukowskiej smarkacze stoją pod klatkowską, coś tam z łapy do łapy przekładają. Stary się kręci, jakby miał hemoroidy w dupsku. „Poczekaj – mówię. – Siedź spokojnie, bo nam spierdolą”. A ten drzwi otwiera i z partyzanta na nich. Zanim przebiegł pięćdziesiąt metrów, tak się zadyszał, że trzeba go było na ławce posadzić. A gnojki uciekły. No to teraz będziemy formę ćwiczyć.

– Żeż kurwa…

– Dobra, pobiega trochę i mu przejdzie. A jak tam twoja Mimoza?

– Nie wiem. – Sawicki kopnął wystającą płytkę chodnikową. – Nijak. Jest jakaś dziwna. Nie gada, nie uśmiecha się, nie pali i pewno nie pije. Nie

Mimoza, tylko jakiś pierdolony damski terminator. Ale pracowała dobrze… – przyznał niepewnie, przypomniawszy sobie aresztowanie Beaty i jej matki. – Mamy skórę na Mokotowie… – dodał po chwili, gwoli wyjaśnienia.

– Wiem, Rogowski mówił. Słuchaj, muszę teraz lecieć… – Wiktor wyjął komórkę i sprawdził godzinę. – Widzimy się o dziewiątej.

– No – przytaknął niechętnie Sawicki i zadeptał niedopałek.

Ada siedziała w sekretariacie i piła kawę z panią Dagmarą. Rano próbowała przemknąć niezauważona obok otwartych drzwi, ale została dostrzeżona, umiejętnie schwytana i usadzona na plastikowym krześle tuż obok paprotki.

– Z mlekiem? Ja też z mlekiem. I z cukrem. Nie znoszę gorzkiej kawy – paplała Dagmara, rozlewając wodę, rozsypując cukier i upuszczając z brzękiem łyżeczkę na podłogę. – W ogóle to musimy się bliżej poznać. Tutaj dużo dziewczyn pracuje, wiesz? Tylko nie w kryminalnej… – dodała. – To znaczy do tej pory żadna nie pracowała. W prewencji to całkiem sporo nawet kobiet jest, no i my od papierów…

Umilkła, najwyraźniej obawiając się, że za dużo mówi. Przełknęła głośno ślinę. Ale nie minęły dwie sekundy i już znowu plotła:

– No bo mamy dobre warunki. Wcześniejsza emerytura. Socjalne dla matek. Ja nie mam dzieci. Ale bym bardzo chciała. Mój chłop jeździ na tirach. Wiesz, ciągle poza domem… Dzisiaj nie miałam ochoty siedzieć sama, to przyszłam, żeby papiery uporządkować. Chociaż sobota… – urwała niespodziewanie.

Ada uniosła głowę, ale sekretarka złapała tylko oddech i podjęła ze zdwojoną energią.

– Dzieci są fajne. Takie… małe – stwierdziła po chwili namysłu. – Jakbym dziecko urodziła, to sama musiałabym wychowywać. Chyba nie dałabym rady… A ty?

– Ja?

– No, masz dzieci? – zapytała, maczając herbatnika w kawie. – Pewno nie – odpowiedziała sobie natychmiast. – Podobno kobiety z kryminalnej są zawsze samotne… O Boże, przepraszam! – krzyknęła w następnej chwili i uśmiechnęła się bezradnie. – Naprawdę nie chciałam…

– Nie szkodzi.

Adzie zrobiło się przykro. Czuła falę ciepła i serdeczności płynącą od tej pstrokato ubranej, głupiutkiej kobietki, naiwną, nieskrępowaną konwenansem ciekawość i szczerą chęć zadzierzgnięcia przyjaźni. Zauważyła i doceniła starania Dagmary, a jednak w żaden sposób nie mogła powstrzymać irytacji. Patrzyła na podskakujący blond koczek, trzepoczące sztuczne rzęsy i długie kolczyki z pomarańczowych piórek… Ona denerwuje nie tylko mnie, pomyślała nagle. Ona denerwuje wszystkich naokoło. Co więcej, doskonale o tym wie. Przyzwyczaiła się przełykać upokorzenia. Na ciągłe rozdrażnienie odpowiada serdecznością. W tej kobiecie nie ma ani kropli żółci.

– Jak ci się z Sawojem pracuje? – spytała Dagmara z życzliwym zainteresowaniem. – Ogólnie to chłopaki są fajne. Nie narzekam. Sawoj taki tylko… no, trzyma się z boku. A Kapusta…

W tym momencie do sekretariatu zajrzał Sawicki.

– O wilku mowa! – zaszczebiotała pani Dagmara i zmieszała się lekko. – Dzwonił do ciebie dziennikarz. Chyba z „Faktu”. Nazywa się Marczyński.

– Jesteś… – warknął do Ady, ignorując sekretarkę. – Trzeba się sprężać. Dzisiaj, cholera, sobota jest – mówił dalej, kiedy szli korytarzem. – Pewno

ta fundacja, „Dzień Dobry” czy jak jej tam, nieczynna…

– Czynna – odpowiedziała. – Sprawdziłam w necie. Od dwunastej do drugiej prowadzą zajęcia sportowe dla dzieci uchodźców z warszawskich ośrodków. Poza tym – ciągnęła – wieczorem odezwali się z technicznego. Mało znaleźli. Filiżanki na stole idealnie czyste. W ubikacji został skrawek podartej recepty czy jakiegoś druczku lekarskiego, ale niewiele można z niego odczytać. Zamazany adres, raczej fragment adresu… Poza tym Zofia Wagner dzwoniła w czwartek do kilku osób, prawie wszystkie numery zidentyfikowano. Jeden należy do niejakiego Wójcika. Jerzego Wójcika – dodała z naciskiem. – Dzwoniła do niego koło jedenastej rano i wtedy rozmawiali. Potem próbowała jeszcze o trzeciej, czwartej i kilka razy po szóstej, ale nie odebrał. Imię się zgadza. To pewnie ten kochanek dresiarz. Sprawdziłam adres. Mieszka na Ursynowie.

Sawicki spojrzał na nią spod oka. Ze zdziwieniem spostrzegł, że w lewe ucho wpięła aż trzy kolczyki.

– Kolejny numer – ciągnęła – należy do Moniki Lewickiej. Rzeczywiście rozmawiały po pierwszej. Tuż przed trzecią z kolei dzwonił do niej ktoś ze sklepu Zdrowa Żywność przy Puławskiej. Też sprawdziłam, w soboty i niedziele mają otwarte do trzeciej. A potem między ósmą a dziewiątą telefonowała jakaś dziewczyna. Łączyła się chyba przez Internet, bo to jest jedyny numer, którego nie można zidentyfikować. Zofia nie odebrała i tamta nagrała się na pocztę głosową. Niestety się nie przedstawiła. Tej wiadomości Zofia już nie odsłuchała, ale dziewczyna pytała, jak się udało wieczorne spotkanie. To by potwierdzało naszą teorię, że Wagner na kogoś czekała…

– Późno stąd wyszłaś? – zapytał i wyczuła w jego głosie łagodniejszy ton.

– Nie. Chciałam tylko skończyć papierkową robotę. Chyba koło siódmej…

– Poprosiłem, żeby Róg zwołał zebranie. Powiemy, co mamy, może dadzą nam wsparcie, ale nie liczyłbym na to za bardzo. Potem zdążymy pojechać do dresiarza i odpytać te dwie żulówy, które spuściłem za kraty.

– Jeszcze jedno.

– No?

– Zofia ostatni raz dzwoniła do Wójcika po szóstej. O ósmej nie odebrała już kolejnego telefonu, choć jej komórka nie była wyłączona. Możemy więc chyba założyć wstępnie, że do morderstwa doszło między szóstą a ósmą wieczorem?

– No – zgodził się. – Na to wygląda.

– A jak spotkanie z rodzicami? – zapytała, nie patrząc w jego stronę.

– Dość strasznie – przyznał i opowiedział Adzie o pożyczonych pieniądzach. – Trzeba podyktować Modzelewskiemu papier do sądu o zwolnienie z tajemnicy bankowej. Trafił się nam kretyn prokurator. Siedzi na stołku, bo miał tatusia w ministerstwie, a sam, kurwa, dwóch zdań po polsku napisać nie potrafi. Mamy z nim zawsze polkę po zagonach, jeszcze zobaczysz… W każdym razie powinniśmy natychmiast sprawdzić, czy ta Wagner nie trzymała przypadkiem kasy w domu. W końcu ktoś czegoś u niej szukał. No i poprosiłem rodziców, żeby przyszli dziś przed jedenastą na komendę. Wczoraj byli w szoku. Trudno się z nimi rozmawiało. Trzeba ich niestety jeszcze raz dokładnie odpytać…

O dziewiątej spotkali się w pokoju odpraw, dziewięć osób ściśniętych przy niewielkim stole: sześcioro operacyjnych, dwóch techników i Róg. Mieli sporo spraw do omówienia, łącznie z najbardziej palącym problemem rozbicia gangu samochodowego. Przemytników kradzionych luksusowych

aut ścigali od półtora roku, ostatnio sprawa się zagęściła, przesłuchano nowych świadków, aresztowano kilku podejrzanych. Byli bliscy pomyślnego końca. Sawicki poprosił jednak, żeby w pierwszej kolejności zająć się sprawą morderstwa na Mokotowie. Nikt się nie sprzeciwił, więc odchrząknął i zaczął podsumowanie.

– Zofia Wagner – powiedział. – Dwadzieścia siedem lat. Znaleziona martwa w swoim mieszkaniu przy ulicy Dąbrowskiego trzy. Zabójstwo zgłosiła przyjaciółka denatki, niejaka Monika Lewicka.

Ada zwróciła uwagę, że mówi bardzo wolno i starannie dobiera słowa. Z roztargnieniem pocierał dłońmi o blat stołu i raz po raz rzucał jej niespokojne spojrzenia. Denerwuje się, czy dobrze wypadnie, pomyślała. Ale przed kim? Przede mną? A może boi się, że to ja go skompromituję przed kolegami?

– Z obecną tu Adelą Rochniewicz podjęliśmy działania w terenie w celu potwierdzenia informacji albo udzielenia pomocy. Wstępne oględziny wykazały, że denatka zginęła od uderzenia w głowę. – Spojrzał pytająco na techników.

– Tak – potwierdził Marek Szczepaniak, przysadzisty, szpakowaty mężczyzna o tłustych, ruchliwych policzkach. – Zginęła od uderzenia, a właściwie kilku uderzeń w głowę. Śmierć nastąpiła w czwartek wieczorem, prawdopodobnie po ósmej, ale dokładnego czasu nie znamy. Musimy poczekać na ekspertyzę sądowo-lekarską. Dobrze by było, żeby ktoś wpadł do kostnicy i pospieszył Zboka. Wiecie, jak on działa…

Sawoj mruknął potakująco.

– Poza tym chujnia – ciągnął Szczepaniak. – Narzędzie zbrodni leżało obok, młotek. Zabezpieczyliśmy go i zebraliśmy odciski palców. Mamy ich sporo, ale żaden nie pasuje do bazy danych. Młotek jest nowy. Został niedawno kupiony w sklepie metalowym AM-NAT. To taka niewielka sieć

ze sprzętem budowlanym. Wypierają ją powoli wielkie supermarkety. Sprawdziłem. Zostały dwa sklepy w Warszawie. Trzeba tam pojechać. Może pamiętają, komu go sprzedali. Nic więcej nie znaleźliśmy. Łazienka wylizana do czysta, wszystkie odciski palców należą do Zofii Wagner. A, no i jest jeszcze ten skrawek recepty. Był w muszli klozetowej. – Położył na stole rozmoczony papierek w foliowej torebce. – Niestety niewiele da się odczytać. Jakaś ulica z końcówką „ego” i numer siedem. Nie wiem, czy to w ogóle istotne, co więcej, w Warszawie takich ulic jest od cholery, ale można sprawdzić, czy przy którejś nie ma gabinetu lekarskiego.

– Wiemy, że w czwartek wieczorem Wagner na kogoś czekała – podjął Sawicki. – Poza tym mamy jeszcze ekschłopaka blokersa i czeczeńskie sprzątaczki – powtórzył pokrótce zeznania Moniki Lewickiej. – Paskudna sprawa – przyznał na koniec. – Grzeczna dziewczynka, dobrze sytuowani rodzicie. Mają sporą chatę na Bielanach i niezły samochód. Sprawdziłem: oboje są emerytowanymi nauczycielami akademickimi. Ojciec ma tytuł profesora, przez kilkanaście lat pracował na uniwersytecie w Szwajcarii, co by tłumaczyło ich sytuację finansową.

Ada uniosła z zainteresowaniem głowę.

– Kilka dni temu bez najmniejszych problemów pożyczyli córce cztery tysiące – ciągnął. – Czekamy na informację z banku, na razie nie wiemy, czy Zofia zdążyła podjąć te pieniądze. Ale ten, kto ją zamordował, szperał w jej mieszkaniu. Wyrzucił papiery z biurka i komody.

– Tam też nie znaleźliśmy żadnych odcisków – wtrącił Szczepaniak. – Uchwyty szuflad wyglądają tak, jakby nigdy nikt poza tą Wagner ich nie dotykał. Przejrzeliśmy rozrzucone papiery, nic szczególnego: porady na temat zdrowego żywienia, lista zakupów, stare notatki z wykładu o sztuce współczesnej i odbity na ksero podręcznik obsługi programów graficznych.

– Bałagan wskazuje na włamanie w celach rabunkowych – odezwał się Kapusta, który do tej pory obgryzał paznokcie i systematycznie wypluwał je na podłogę.

– Dobrze. – Sawicki zmarszczył brwi. – Tylko że jeśli przyjmiemy wersję włamania, powstanie mnóstwo pytań. Jak sprawca dostał się do środka? Czy przyniósł ze sobą młotek? Dlaczego go zostawił? Czy wiedział, że zastanie Wagner, i od początku planował morderstwo? Co więcej, przeszukał tylko jeden pokój, jakby chciał znaleźć konkretną rzecz; w korytarzu, na wieszaku z ubraniami, została torebka, a w niej karty kredytowe… Poza wszystkim cztery tysiące to bardzo mało. Wydaje się nieprawdopodobne, żeby ktoś planował szczegółowo zabójstwo dla takiej sumy…

– Dla jednych mało, dla drugich dużo – wtrącił dość zaczepnie Kapusta. – Dla uchodźców cztery kafle to kupa szmalu. Mieliśmy przecież niedawno takie morderstwo. Jak to było? Robotnicy z Białorusi zajebali gościa, który miał przy sobie tysiąc pięćset złotych?

– Tak, ale to była spontaniczna akcja dwóch alkoholików, a nie przemyślana operacja, po której nie zostaje nawet pół odcisku palca.

– A gdyby na chwilę pominąć hipotezę włamania? – przerwała Ada. – Może powinniśmy się nad tym zastanowić. Co wtedy widzimy? Zemstę? Kłótnię? A może obłęd?

Kapusta zniecierpliwiony gwizdnął przez zęby, jakby irytowało go, że w ogóle się odezwała.

– Mamy kilka hipotez – Sawicki jeszcze raz spróbował wyciągnąć choćby prowizoryczne wnioski. – Włamywacz, który się spieszył albo któremu coś przeszkodziło. Musiał uciekać, zanim dokończył to, po co przyszedł. Albo ktoś, kto szukał konkretnej rzeczy, znalazł ją i wyszedł

niepostrzeżenie. I jeszcze wersja zemsty, kłótni kochanków, zabójstwa w afekcie…

– Czy zabezpieczyliście komputer? – spytała nagle Ada.

– Co? – Szczepaniak wyraźnie się zdziwił. – Nie… Nie robimy tego w takich przypadkach.

– To zróbcie – powiedziała ostro. – Trzeba przejrzeć pliki, złamać hasło do konta mailowego, dobrze byłoby też znaleźć ją na Facebooku.

Na skroni Szczepaniaka pojawiła się pulsująca żyłka.

– Od kiedy jesteś moim szefem?

– To nie jest kwestia hierarchii, tylko konieczności – odpowiedziała spokojnie i zmrużyła oczy.

– Pracuję w tym fachu od dwunastu lat. – Krępy człowieczek poczerwieniał, a jego policzki zaczęły poruszać się niespokojnie. – Wiem, co robię, i nikt nie będzie mi rozkazywał. Co ty sobie wyobrażasz, że mamy tu zespół hakerów do łamania haseł? A może bezpośrednie łącze z amerykańskim serwerem?

– Można postarać się o prawo dostępu…

– Tak, zadzwoń w tej sprawie do Obamy. Albo lepiej zajmij się swoją robotą i przestań mi rozkazywać.

– Nikomu nie rozkazuję – nie podniosła głosu, jej twarz nie zmieniła wyrazu. – To należy do procedury.

– Słyszeliście? Co ona gada? Sawoj, powiedz tej swojej Mimozie, żeby uważała!

Szczepaniak nie był już czerwony, tylko purpurowy. Ada się nie poruszyła.

– Uspokój się, Szczepaniak. Ona ma rację – przerwał Róg. – Sprawa jest nietypowa i trzeba przetrzepać komputer, ale najpierw warto by

pogadać z tym dresem i Czeczenkami. Może to one ją zajebały i zwinęły kasę.

– Nie sądzę – odezwał się Wiktor, błądząc wzrokiem po ścianie. – To musiał być facet. Kobiety tak nie zabijają.

Szczepaniak oddychał głośno. Poruszał policzkami jak jedzący chomik i bębnił palcami po stole.

– Był jeszcze facet w bramie, który gadał po rosyjsku – przypomniał Sawicki. – To mogłoby wskazywać na Czeczena.

– Ale co on powiedział? – Wiktor zgryzł końcówkę plastikowego długopisu. – „Idi na chuj”? A może ten stary nie dosłyszał? Równie dobrze to mogło być „Idź w chuj”, brzmi prawie identycznie, i masz swojego Ruska. Ja bym stawiał na drecha – ciągnął, wyjmując z ust długopis. – Zostawiła go. Człowiek się podkurwił i lasce normalnie przyjebał. Cała sprawa.

– Młotkiem? – Ada uniosła brwi.

– Może i młotkiem.

– Zdradzeni kochankowie nie atakują w ten sposób. Jeśli zabijają, chcą, żeby ofiara na nich patrzyła. Wykonują egzekucję, a nie zaskakują od tyłu. Takie morderstwo nie dałoby im satysfakcji.

– Może się pokłócili – wtrącił Kapusta. – Ona poszła do łazienki poprawić makijaż, zbój złapał za coś ciężkiego i zanim się opamiętał, strzaskał jej łeb.

– To nie było zabójstwo w afekcie – nie dawała za wygraną. – Wszystko odbyło się zbyt czysto. Morderca nie zostawił żadnych śladów…

Sawicki zdał sobie sprawę, że w pokoju dzieje się coś dziwnego. Żaden mężczyzna nie patrzył na Adę. Kiedy się odzywała, odwracali twarze z ostentacyjną powolnością. Róg kaszlał i smarkał w chustkę do nosa,

Wiktor uśmiechał się krzywo, Szczepaniak sapał, a pozostali wydawali się zupełnie niezainteresowani rozmową.

– To prawda – poparł ją nagle. – Gdyby dres się wściekł, to raczej złamałby jej nos, a nie miażdżył skroń. Sprawca chciał zabić. No i czego szukał w biurku?

– Może wiedział, gdzie trzyma pieniądze, i chciał przy okazji odszkodowanie za straty moralne pobrać. Lepiej go zawińcie, przywieźcie do fabryki, zastosujemy środki perswazji podczas rozpytania i koleś nam grzecznie wszystko wyśpiewa. – Wiktor podniósł ze stołu broszurkę ostrzegającą podróżnych metra przed kieszonkowcami i wachlował się nią demonstracyjnie.

– Czy ktoś nam pomoże? – zapytał Sawicki.

– Ochujałeś? – Róg wykrzywił się teatralnie. – Ty myślisz, że my tu mamy czas na latanie za zdradzonymi kochankami? I tak jest was dwoje.

– A jeśli to nie dres? Trzeba by szybko zadziałać…

– Mam ci na kartce napisać?! Jest ponad dwadzieścia postępowań w toku, nie wiadomo, w co łapy wsadzić. Daję wam cztery dni tylko na tę sprawę. Szczepaniak ma przywieźć komputer do fabryki. To wszystko, co mogę zaproponować. I tak o wiele za dużo…

Wyszli z zebrania, nie czekając na rozmowę o gangu samochodowym. Dochodziła dziesiąta. Czas gonił ich nieubłaganie.

– Musimy ustalić jakiś plan. – Sawicki szedł szybko korytarzem, stawiając marynarskie rozkołysane kroki. Ada z trudnością za nim nadążała. – Trzeba rozpytać Beatę i jej matkę. Natychmiast. Potem przyjdą rodzice Wagner. Powinniśmy też przed drugą zdążyć do fundacji, odnaleźć czeczeńskie sprzątaczki i jak najszybciej odwiedzić drecha.

– Uważam, że warto też pogadać z tym klerykiem, jak mu tam…

– Z Karolem – podsunął. – Tylko po co? Z zeznań Lewickiej wynika, że nie widział się z denatką od roku. To stara historia.

– Wiem – zgodziła się sucho. – A jednak chciałabym z nim porozmawiać. Chociażby dlatego, że przez wiele miesięcy był przyczyną złego stanu psychicznego Wagner.

– Jak chcesz. W takim razie odłóżmy sprawę na sam koniec dnia. Odpytamy go, jeśli znajdziemy czas – zdecydował. – To chyba wszystko?

– Nie wspomniałeś słowem o ostatniej wiadomości nagranej na poczcie głosowej Zofii. Tej od dziewczyny, która pytała, jak się udało wieczorne spotkanie… – przypomniała.

Prawda. Sawicki zatrzymał się w pół kroku. Nawet nie odsłuchał nagrania z komórki. Nie zdążyli też nic ustalić w sprawie adresu ze skrawka recepty. Zbyt szybko skończył zebranie. Wszystko przez kłótnię ze Szczepaniakiem i tę dziwną atmosferę, jaka tworzyła się wokół Ady.

– Przesłucham nagranie później. Mamy mało czasu. Jebana sobota. O piątej mam urodziny córki w McDonaldzie. Muszę tam iść…

Był rozdrażniony i zmieszany. Towarzystwo Ady ciążyło mu jak obecność źle wychowanego dziecka na eleganckim przyjęciu u szefa. Jednocześnie czuł się za nią odpowiedzialny. Przystanął i nieoczekiwanie dla samego siebie schwycił ją za nadgarstek.

– Nie możesz się tak zachowywać – powiedział poważnie. – Pracujesz tu od dwóch dni, chcesz sobie popsuć układy na samym początku?

Ręka pociła mu się wokół jej przegubu. Nie próbowała się wyrwać. Patrzyła w przestrzeń, omijając jego twarz, zimna, obojętna i surowa.

– Psuć – powiedziała cicho. – To się zdarzyło już wcześniej, zanim zaczęłam u was pracować. Zawsze tu było.

Co się zdarzyło?, chciał zapytać, krzyknąć, ale puścił tylko jej rękę. Stali naprzeciw siebie. Nie spojrzała na niego, bo – zrozumiał nagle – już

dawno wszystko wiedziała. To było to, czego przestraszył się pierwszego dnia i przed czym ostrzegał go instynkt. Niespodziewanie poczuł się nagi. Jezu, kurwa, co ona o mnie wie?, pomyślał przerażony.

– Szczepaniak to furiat – tłumaczył spłoszony. – Nie musisz się nim przejmować. Ale pozostali to dobrzy, doświadczeni policjanci.

– Wcale tego nie kwestionuję.

– Nie o to chodzi. Sama sobie szkodzisz. Nie rozumiesz, oni myślą… – urwał niespodziewanie.

– Co myślą?

– Że zadzierasz nosa – dokończył ze złością.

Nie odpowiedziała. Sawicki odzyskiwał powoli pewność siebie.

– Wkładaj kurtkę – powiedział, przyklejając do biurka żółtą karteczkę z notatką: „Przesłuchać nagranie na komórce Wagner”. – Na dole jest zimno, bo pękły rury. Odpytamy tę całą Beatę, pogadamy z rodzicami, a potem jedziemy. Mamy dziś sporo do oblatania.

Odwróciła się posłusznie. Co to było?, myślał, ruszając za nią w stronę pokoju. Co się przed chwilą zdarzyło? Co wyczuł i czego tak bardzo się przestraszył? Jestem po prostu zmęczony, stwierdził. Muszę poprosić lekarza o prochy nasenne, bo się wykończę.

9

Rozmowa z Beatą niewiele wniosła do sprawy. Twierdziła, że spotkała dwóch Czeczenów przy sklepie monopolowym. Kiedy ją mocniej przycisnęli, okazało się jednak, że nie jest pewna, czy widziała ich w czwartek, w środę czy może we wtorek.

– Dwaj czarni. Na pewno – powtarzała z pełnym przekonaniem pod koniec przesłuchania. – Czy mogę dostać wody?

Sawicki posłał ją do stu diabłów i zwolnił razem z matką. Właśnie je wyprowadzali, kiedy zadzwonił wewnętrzny telefon.

– Są tu jacyś państwo do ciebie – odezwał się policjant z recepcji. – Nazwisko Wagner, mówią, że byliście umówieni.

Rodzice Zofii weszli na górę i nie zdejmując płaszczy, usiedli na plastikowych krzesłach przeznaczonych dla interesantów. Ada zaproponowała herbatę. Odmówili. Oboje byli bardzo bladzi. Nina Wagner miała obrzękłą twarz i zaczerwienione oczy. Ojciec zawiesił puste spojrzenie w rogu pokoju. Zdawał się nieobecny.

– Wczoraj nie dokończyliśmy rozmowy – zaczął niepewnie Sawicki. – Musimy dokładnie ustalić fakty. Kiedy ostatni raz widzieli państwo córkę?

– W środę po południu – odpowiedziała matka i zacisnęła drżącą rękę w pięść.

W jej oczach natychmiast pokazały się łzy, ale otarła je szybko chusteczką, którą wyjęła z zapinanej na zatrzask eleganckiej torebki.

– I wtedy pożyczyli jej państwo pieniądze?

– Nie, pieniądze przesłałam przez Internet dwa dni wcześniej. W poniedziałek rano. Zofia prosiła o nie w czasie niedzielnego obiadu. Wyraźnie zależało jej na pośpiechu – odpowiadała powoli, starannie dobierając słowa.

– A więc widzieli się państwo z denat… z córką – poprawił się Sawicki – dwa razy w ciągu minionego tygodnia?

– Tak. Miała zwyczaj odwiedzać nas co kilka dni.

– Czy była zdenerwowana albo przestraszona? Coś się zmieniło w jej zachowaniu?

– Nie – odpowiedziała natychmiast. – Zachowywała się dokładnie tak jak zwykle.

– Na co potrzebne jej były pieniądze? Cztery tysiące to spora suma.

– Już mówiłam, córka była grafikiem. Chciała wpłacić kaucję w pracy na wypożyczenie sprzętu.

– I wpłaciła?

– Tego nie wiem.

– Ile zarabiała?

– Nie pamiętam dokładnie. Ponad trzy tysiące na rękę… Dlaczego zadaje mi pan te same pytania co wczoraj? – zirytowała się. Jej głos wzniósł się wysoko i zadrżał niebezpiecznie, po czym załamał się i ucichł jak pęknięta struna. – Jakie to ma znaczenie – podjęła z wysiłkiem – ile zarabiała? Na pewno nie tak dużo, żeby ktoś chciał ją z tego powodu mordować… Cztery tysiące to przecież nie jest kwota, dla której się zabija?!

Chwyciła kurczowo ramię męża, ten drgnął zdziwiony i odwrócił głowę. Zdawał się jej nie poznawać. Sawicki zerknął błagalnie na Adę. Miał nadzieję, że mu pomoże, ona jednak stała oparta o parapet. Skupiona

i milcząca obserwowała rodziców Zofii lekko zmrużonymi oczami, jak jubiler szukający pod szkłem powiększającym niewidocznej skazy w szlachetnym kamieniu.

– Przykro mi – podjął po chwili milczenia. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby złapać sprawcę. Dlatego musimy mieć jasność co do okoliczności zabójstwa. Niestety zdarzają się morderstwa z powodu sum znacznie mniejszych niż cztery tysiące… – Zdawał sobie sprawę, że nie brzmi wiarygodnie.

– Ale przecież te pieniądze zostały w banku. Zofia nie trzymałaby przy sobie gotówki.

– Sprawdzamy to. Więc – powtórzył cierpliwie – nie zauważyła pani żadnej zmiany w zachowaniu córki? – zwrócił się automatycznie tylko do Niny.

– Nie. – Starsza pani znowu uniosła chustkę do oczu. Żadnej.

– Czy miała jakichś wrogów? Długi? Z kimś się pokłóciła?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Trzy lata temu skończyła studia. Wyprowadziła się z domu. Szybko znalazła pracę. Z tego, co wiem, wszyscy ją lubili, a nawet podziwiali – dodała z bolesną dumą. – W pracy od razu się na niej poznali…

– Monika Lewicka twierdzi, że zostawił ją narzeczony – przerwał zdecydowanie i od razu zawstydził się własnej brutalności. – Podobno bardzo z tego powodu cierpiała.

– To stara historia – tym razem w jej głosie zabrzmiała irytacja.

Ada poruszyła się niespokojnie. Instynktownie wyczuła rosnące napięcie. To nie był temat, o którym matka Zofii chciała rozmawiać. Nawet z policją, w obliczu morderstwa córki.

– Chodziła na terapię? – włączyła się do rozmowy.

– Tak – odpowiedziała krótko Nina. – Ale nie ma do czego wracać. Dawno poradziła sobie z tą sprawą.

Sawicki milczał. Ada zmarszczyła brwi.

– A jednak bardzo to przeżyła.

– Była silna – odpowiedziała pani Wagner, prostując plecy. – Silna, inteligentna i zrównoważona. Nie oglądała się w przeszłość. Sentymenty zostawiała za sobą. Drobne niepowodzenia jej nie zrażały.

Ambicja, pomyślała Ada. To było odpowiednie słowo, którego szukała od jakiegoś czasu. Nina Wagner oceniała zerwanie narzeczeństwa jako porażkę córki. Miała wobec Zofii ambicje sięgające nawet poza jej śmierć.

– Czy córka była dobrą studentką? – zapytała, ignorując zdziwione spojrzenie Sawickiego.

– Świetną, najlepszą. Dostała się na ASP za pierwszym razem. Na grafikę. Tam jest taka konkurencja. Dyplom z wyróżnieniem. Yyyy… – zachłysnęła się. – Już wspominałam, że od razu znalazła pracę, to nie takie łatwe w dzisiejszych czasach… I do tego była śliczna… Inaczej nie można jej określić… – jąkała się, tracąc wątek i pewność siebie, coraz bardziej przerażona i oszołomiona.

Ada zobaczyła ból kryjący się w głębi ciemnych oczu patrzących z napięciem w przestrzeń. Opuściła ramiona. Podłoga niebezpiecznie się do niej zbliżyła. Słyszała łomot w skroniach. Huk. Zalała ją ogromna i ciężka jak ołów fala rozpaczy tej obcej kobiety. Nie mogła się poruszyć ani zaczerpnąć tchu. Szarpnęła się wewnątrz własnego ciała, odepchnęła cudze uczucia i odbiła ku bezpiecznym wodom własnych, powściągliwych emocji. W następnym momencie dryfowała już spokojnie po powierzchni. Na dworze wiatr wzmógł się niespodziewanie, ciemne chmury gnały po niebie, za szybą wirowały białe płatki.

– Śnieg – powiedziała matka Zofii głośno i zupełnie bez sensu.

Ada obserwowała ją teraz bez najmniejszego wzruszenia, jakby patrzyła na aktorkę w teatrze. Moje współczucie jej nie pomoże, myślała. I ona to dobrze wie. Takim doświadczeniem nie da się podzielić. Nina może więc spokojnie odtrącić cudzy żal, kondolencje, suche imitacje bólu, jakie spróbuje ofiarować jej świat. Jest w niej ogromna, samotna pustka. Próżnia, która się otworzyła, która rośnie i z czasem zacznie zasysać wszystko, co ją otacza: eleganckie torebki, skórzane rękawiczki, niedzielne obiady i pastowane parkiety, przyjaciół, męża, a wreszcie… Na końcu pochłonie ją samą… W oddali trzasnęły drzwi. Słychać było męski śmiech i czyjeś pospieszne kroki. Ktoś zbiegał po schodach.

– Była smutna – pan Wagner odezwał się niespodziewanie.

Sawicki drgnął. Prawie zapomniał, że rozmawiają również z ojcem. Matka Zofii zamrugała i przestała płakać. Tylko Ada nie wydawała się zaskoczona.

– Od kiedy zerwała z Karolem, była ciągle smutna – powtórzył. – Córka nie mówiła nam wiele o swoim życiu. A my nie pytaliśmy. Dobrze się uczyła. Z łatwością zdała na studia. Znalazła pracę. To nam wystarczało… – Potarł w roztargnieniu spocone czoło.

– Proszę powiedzieć coś więcej – podchwyciła Ada. – Jak określiłby pan córkę? Czy Zofia była skryta?

Nina Wagner próbowała protestować, ale mąż ją uprzedził.

– Nie wiem, czy skryta. Może zdystansowana… To chyba lepiej ją opisuje. I zgadzam się z żoną, Zofia miała w sobie ogromną siłę i upór. Jeśli wytyczyła sobie cel, konsekwentnie do niego dążyła. Ale przede wszystkim była rozsądna, obowiązkowa i pracowita. Nie rozumiem, co się stało. Nie należała do osób, które bezmyślnie narażają się na niebezpieczeństwo.

– Czasem nie da się go uniknąć – wtrącił Sawicki.

– Co pan ma na myśli?

– Włamanie. Rozbój. Nieszczęśliwy wypadek. Są zagrożenia, których nie da się przewidzieć.

Ojciec Zofii zadrżał.

– Poczułem… Chciałem… – szukał bezradnie odpowiedniego słowa. – To nasze jedyne dziecko, nasza córeczka… Nic już nie można zrobić, ale musicie złapać tego bandytę. Tego potwora… – urwał zmieszany własnym wybuchem.

Ada przyjrzała mu się niespokojnie. Wyglądał nieszczęśliwie, przestraszyła się, że za chwilę rozpłacze się i rozpadnie na jej oczach. On jednak odetchnął głęboko i dokończył już spokojnie.

– Nie słyszałem, żeby miała wrogów albo z kimkolwiek się kłóciła. A od czasu terapii w ogóle przestała opowiadać o swoim życiu. Była jakby nieobecna i bardzo smutna… Dopiero teraz wyraźnie to widzę… Za późno…

Nina wzięła męża za rękę. Nie cofnął dłoni.

– Czy może pan coś więcej powiedzieć o jej narzeczonym?

– Nazywa się Karol Zalewski. Ksiądz… – zawahał się. – To znaczy jest jeszcze klerykiem. Zerwali ze sobą ponad rok temu.

– Dlaczego?

– Nie wiem… – Starszy pan otarł kropelkę potu, która zebrała się na końcu bulwiastego nosa, i spojrzał pytająco na żonę.

– Nikt tego nie rozumiał – uzupełniła. – Chodzili ze sobą od liceum. Wyznaczyli datę ślubu. On był bardzo wierzący, należał do takiego ruchu… To się chyba nazywało Dzieci Niepokalanej… Kiedyś Zosia powiedziała, że sekta odbiera jej Karola.

– Sekta?

– Tak właśnie się wyraziła.

Zapadła chwila milczenia.

– Jakieś półtora roku temu Karol pojechał na rekolekcje tego ruchu – podjęła pani Wagner. – Sam. Wiem tylko tyle, że zaraz po powrocie zerwał zaręczyny i wstąpił do seminarium.

– A Zofia?

– Bardzo to przeżyła, ale jak zwykle podeszła do sprawy konstruktywnie. Zapisała się na terapię. Odzyskała równowagę. Nie przejmowałam się tym specjalnie. Myślałam, że wszystko się z czasem ułoży – załkała. – I przecież się ułożyło? – zapytała z gwałtowną, pełną napięcia determinacją, jakby chciała wezwać wszystkich obecnych w pokoju na świadków.

Ada milczała i patrzyła w przestrzeń. Coś podpłynęło ku niej w gęstym, dusznym powietrzu i zadrżało jak rozkołysana na falach łódka. Czyjaś biała twarz zbliżyła się ku jej twarzy. Zofia Wagner spojrzała na nią przelotnie i rozpłynęła się w mroku.

– A ten Karol? – ciągnął Sawicki – Kontaktowali się potem?

Andrzej Wagner wyraźnie się zawahał.

– Chyba nie – odpowiedział w końcu. – Nie sądzę… Ale nie jestem pewny…

– Może pan sobie coś przypomni?

– Raz… Raz, kiedy była u nas na obiedzie, ktoś zadzwonił. Odebrała i powiedziała tylko: „Nie teraz”. Odłożyła telefon na stół, ale zanim zdążyła go wyłączyć, zadzwonił znowu. Siedziałem obok i widziałem, że na ekranie wyświetliło się: „Karol”.

– Kiedy to było?

– Nie pamiętam… Zaraz… – Przyłożył palce do skroni. – W grudniu – powiedział w końcu. – Wydaje mi się, że w święta. Podczas Wigilii albo dzień po.

Sawicki pokiwał głową.

– Już o to pytałem, ale muszę upewnić się jeszcze raz: Jerzy Wójcik, czy mówi coś państwu to nazwisko? Czy Zofia kiedykolwiek wspominała, że ma nowego chłopaka?

– Nie. – Tym razem byli zgodni.

– A sprzątaczka, którą zatrudniała?

– Nic na ten temat nie wiemy.

– Czy mógłbym dostać kontakt do terapeuty Zofii?

– Tak… To znaczy nie mam numeru przy sobie. – Starszy pan rozglądał się z roztargnieniem po pokoju. – Nina na pewno pamięta.

– Nie pamiętam – powiedziała jakby zawstydzona. – Nie wiem, czy w ogóle go miałam. Zofia była w końcu dorosła… Ale postaram się dowiedzieć.

– Dobrze. – Sawicki wstał. – Dziękujemy. To wszystko na dzisiaj, będziemy w kontakcie… – Wyciągnął rękę. Matka Zofii schwyciła ją konwulsyjnie i otworzyła usta, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć. Trwała tak przez kilka sekund, aż w końcu odwróciła się bez słowa i ruszyła za mężem.

Na dworze padał lepki, gęsty śnieg. Szyby opla natychmiast zaparowały, dmuchawa nie działała, więc Ada musiała ścierać wilgoć chustką. Gdy przejeżdżali przez plac Bankowy, zauważyła panią Dagmarę. Sekretarka stała na przystanku autobusowym w towarzystwie wysokiego mężczyzny, który trzymał ją mocno za rękę. Jak małe dziecko, przemknęło Adzie przez myśl. Jak głupią małą dziewczynkę.

Zastygła z chustką w dłoni. Coś zaniepokoiło ją w widoku tej pary, ale co to było? Nim zdążyła się zastanowić, Sawicki włączył radio i ruszył szybciej pustą Marszałkowską.

– Niewiele dowiedzieliśmy się od rodziców Wagner. Wygląda na to, że nie znali zbyt dobrze własnej córki – zaczął, przekrzykując muzykę.

– Tak – zgodziła się. – Grzeczna, śliczna dziewczynka. Duma mamusi. Same piątki, dyplom z wyróżnieniem, ciekawa, dobrze płatna praca, żadnych problemów. Tylko ta drobna skaza w postaci małżeństwa, które nie doszło do skutku… Gdzie w tym wszystkim przepadła praca w fundacji? I dlaczego oni nie mają pojęcia o istnieniu dresiarza? Nie chodziła z nim długo, ale według Moniki Lewickiej spędzili razem trzy miesiące. Musiała się postarać, żeby to ukryć, zwłaszcza że odwiedzała ich dość często…

– Myślę… – powiedział powoli Sawicki. – Pomyślałem sobie, że jeśli zataiła tyle rzeczy, to może miała jeszcze inne tajemnice…

– Też mi to przyszło do głowy.

– Czy wiemy na jej temat coś jeszcze?

– Rodzice twierdzą, że była silna i konsekwentna. To może okazać się istotne…

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał zdziwiony.

– Nie wiem – zawahała się. – Mam dziwne przeczucie…

Skrzywił się, nie odrywając wzroku od ulicy. Ada urwała w pół zdania. Wiedziała, że rozmowa o intuicjach w czasie policyjnego śledztwa często doprowadza do konfliktu. Sama ufała własnym odczuciom bardziej niż twardym faktom, ale wolała nie wychylać się z tym na początku dochodzenia.

– Rodzice zazwyczaj idealizują dzieci. Zwłaszcza w tak tragicznej sytuacji – podjął. – Spróbujmy odrzucić wszystkie przeczucia, niepewne sugestie i emocje. Co zostaje? Co widzimy?

Spróbowała się skupić.

– Porządek – natychmiast sam sobie odpowiedział, nim Ada zdążyła się odezwać. – Zofia Wagner była pedantką. Obejrzałem dokładnie półki

w pokojach, zajrzałem też do jednej z kuchennych szafek – myślał głośno. – Wszystkie przyprawy zostały przesypane do słoiczków z odpowiednimi naklejkami. Torebki kaszy, herbaty i cukru są starannie zabezpieczone biurowymi klipsami. Książki ustawiono w porządku alfabetycznym. Tego nie zrobiły za Wagner czeczeńskie sprzątaczki – urwał, wymijając ciężarówkę. – Sama też raczej nie powyrzucała papierów z biurka i komody, szukając czegoś tuż przed przyjściem mordercy – dokończył.

Ada westchnęła. Powoli udawało im się wypracować wspólny tok myślenia. Dokładnie rozumiała, o co mu chodzi.

– Porozmawiajmy jutro jeszcze raz z Moniką Lewicką. Może dowiemy się czegoś konkretnego. Wygląda na to, że znała Wagner znacznie lepiej niż jej starzy.

– Sądzisz, że to nie było włamanie? – zapytała.

– Tego nie wykluczam. Ale jeśli włamanie, to nie wiemy, w jakim celu. Musimy jak najszybciej skontaktować się z bankiem. Jutro powinniśmy dostać wyciąg z konta. Prawdę powiedziawszy, nie zdziwiłbym się, gdyby zrobiła to jednak sprzątaczka do spółki z jakimś czeczeńskim zbójem. Mieliśmy podobną sprawę pół roku temu. Robole z Białorusi zatłukli kolesia, u którego cyklinowali podłogi. Ukradli tysiąc pięćset złotych, wino i dwie puszki fasoli…

Umilkli. Wjechali w aleję KEN i zatrzymali się na światłach.

– Jeszcze jedna rzecz mnie niepokoi… – odezwała się Ada.

– No?

– Zofia nazwała grupę, do której należał jej narzeczony, sektą. Nie sądzisz, że to dosyć mocne określenie na legalną działalność, która odbywa się w łonie Kościoła katolickiego?

– Tak – przyznał. – Pogadamy z nim. Nie powinniśmy się jednak rozpraszać i za bardzo wszystkiego komplikować – ciągnął surowym

tonem. – Ten cały Karol to postać z przeszłości. Skupmy się na dresiarzu. I trzeba jak najszybciej wykluczyć ze śledztwa Czeczenkę. Albo ją aresztować i zamknąć sprawę – dodał energicznie i nacisnął gaz.

Nie odpowiedziała. Jechali jakiś czas w milczeniu.

– Jak długo pracujesz w policji? – zapytała nagle.

– Długo – odpowiedział. – Czasami wydaje mi się, że o wiele za długo…

Kilka minut po pierwszej dotarli na Ursynów. Nie zastali nikogo w mieszkaniu Wójcika. Pytali sąsiadów, ale nikt nie znał go bliżej. Farbowana na rudo kobieta po pięćdziesiątce, mężczyzna w siatkowym podkoszulku i blada, rozczochrana nastolatka ubrana w kimono ze sztucznego jedwabiu nie mieli pojęcia, o której wyszedł ani tym bardziej kiedy zamierza wrócić. Policjanci obeszli kilka razy dziesięciopiętrowy blok w pobliżu stacji metra Imielin. Na dworze panował półmrok, jakby słońce w ogóle nie wzeszło tego dnia i wysyłało jedynie szare, przybrudzone światło zza widnokręgu. Sawicki kopał pustą puszkę po piwie. Nagie krzaki forsycji uginały się pod warstwą mokrego śniegu. Jarzębina przy parkingu nie wytrzymała ciężaru i złamała się w połowie pnia. W leżące na ziemi gałęzie wplątała się czarna foliowa torba. Z mieszkania na parterze dobiegł ostry, podniesiony głos, dźwięk tłuczonego szkła i kobiecy szloch, który natychmiast ucichł. W oddali zawyła karetka. Czarna torba łopotała złowrogo na wietrze. Stali bezradnie przed klatką schodową. Ada rozłożyła parasol, wyjęła komórkę i wybrała numer do sklepu z ekologiczną żywnością. Rozmawiała krótko, przyciszonym głosem.

– Nie musimy tam jechać – powiedziała, wyłączając telefon. – Wagner była ich stałą klientką. We wtorek zamówiła mąkę gryczaną. Dzwonili, bo

w czwartek przyjechała dostawa.

Sawicki otrzepał ośnieżone buty.

– Pierwsza – westchnął. – Jeśli się pospieszymy, zdążymy do fundacji, potem możemy zahaczyć o ZMS*. Zobaczymy, co Zbok ma do powiedzenia.

W milczeniu wsiedli do samochodu. Puste ulice sprawiały nierealne wrażenie. Jedna z wycieraczek skrzypiała i rysowała przednią szybę. Sawicki pogmerał lewą ręką w kieszeni spodni i wyjął chesterfieldy. Nie pytając o pozwolenie, zapalił. Zaciągnął się głęboko i dmuchnął Adzie prosto w ucho. Nie poruszyła się. Nawet nie zakasłała.

– Nie palisz? – zapytał i natychmiast poczuł się jak idiota. Oczywiście, że nie paliła, przecież spędzili razem dwa dni i nie widział jej z papierosem. Chciał jednak za wszelką cenę przerwać milczenie. Zazwyczaj irytowała go nadmierna gadatliwość policjantów, męczył obowiązek brania udziału w rozmowie, odpowiadania na pytania, reagowania na dowcipy i zaczepki. Wiedział, że uchodzi za gbura i nieprzyjemnego samotnika. Tymczasem z Adą czuł się skrępowany panującą między nimi ciszą. Jeszcze kilka dni temu oczekiwał z przerażeniem, że będzie musiał się męczyć z trajkoczącą głupiutką blondynką przypominającą panią Dagmarę. W najlepszym razie wyobrażał ją sobie jako wysportowaną, przepełnioną niezdrowym entuzjazmem lesbę z nadmiarem męskich hormonów. Babochłopa z trzydniowym zarostem, płaskimi cyckami i zawodową obsesją, bo tak podobno wyglądały kobiety, które pracowały w wydziale kryminalnym: samotne, niewyruchane pasztety.

– Nie – odpowiedziała krótko.

– I nigdy nie paliłaś? – Próbował niezgrabnie ciągnąć rozmowę, zastanawiając się jednocześnie, czy Ada z kimś sypia.

– Nigdy.

– Nawet w liceum nie próbowałaś?

Na pewno miała jakiegoś faceta. Może nawet kilku. Taka atrakcyjna kobieta…

– Nie.

– We Wrocławiu nastolatki są grzeczne? – spróbował zażartować.

– Chodziłam do szkoły w Warszawie.

Prawda, przypomniał sobie rozmowę z Rogowskim. To może miała kochanka w innym mieście, rozstali się i dlatego wróciła na stare śmiecie. Do mamusi, zaśmiał się w myślach.

– Mieszkasz sama czy z matką? – zapytał, pewien, że uda się ją zawstydzić.

– Moja matka nie żyje – odpowiedziała spokojnie, nie patrząc w jego stronę. – Zmarła trzy lata temu.

Zahamował przed skrzyżowaniem. Samochód wpadł w poślizg na mokrej ulicy i wyjechał na sąsiedni pas.

– Przepraszam – jęknął. – Naprawdę mi przykro.

– Nie ma za co. – Wzruszyła ramionami. – Nie znałam jej. Wychowywał mnie ojciec. Z nim też nie mieszkam, jeśli to cię interesuje.

Sawicki rozluźnił kołnierzyk i pokręcił szyją. Zaczął dochodzić do wniosku, że milczenie z Adą jest znacznie łatwiejsze do zniesienia niż rozmowa z nią.

Do Fundacji „Przystań” dotarli tuż przed drugą. Zaparkowali na rogu Filtrowej i Raszyńskiej, znaleźli dom numer osiem. Na drzwiach wisiał plakat przedstawiający roześmiane dzieci o różnych kolorach skóry, wyciągające ręce w stronę niewidocznego fotografa. Z korytarza wyłożonego szarą wykładziną weszli do niewielkiego pomieszczenia, które w zamierzchłych czasach najwyraźniej służyło jako kuchnia, teraz zostało

jednak przerobione na sekretariat. Tuż obok zlewu i starej kuchenki gazowej przy tandetnym biurku z wiśniowej sklejki siedziała korpulentna młoda kobieta i energicznie przeglądała skoroszyt.

– Przykro mi – uśmiechnęła się na ich widok – ale dzisiaj nieczynne. Prawnik i tłumacz przysięgły przyjmują w poniedziałki i środy od dziewiątej do…

– Policja. – Sawicki wyciągnął odznakę. – Musimy zadać pani kilka pytań.

Uśmiech natychmiast zamarł na jej ustach.

– Proszę usiąść. – Zamknęła skoroszyt i wskazała stojące pod ścianą krzesła.

– Jest pani sekretarką? – zapytał, rozkładając szeroko nogi i wyjmując z kieszeni notatnik.

– Sekretarką, prezesem, wolontariuszką, wszystkim po trochu. – Znowu się uśmiechnęła i odgarnęła z twarzy długi kosmyk włosów.

– Nazwisko Wagner coś pani mówi? – Nie odwzajemnił jej uśmiechu i zmarszczył brwi, jakby była groźnym przestępcą podejrzanym w sprawie o zabójstwo.

– Oczywiście, słyszałam… – szepnęła.

– No więc?

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

– No… Co ma pani na ten temat do powiedzenia?

– Ja? Nic – wyjąkała zdumiona. – Wiem, że Zofia nie żyje…

– Została zamordowana – przerwał. – Wszyscy są podejrzani.

W oczach kobiety błysnął gniew.

– Ach tak? To znaczy, mnie pan podejrzewa? Mogłabym się dowiedzieć, na jakiej podstawie?

– Ja tu zadaję pytania. Proszę o wykaz osób korzystających z pomocy fundacji.

– Nie mam takiego wykazu – odpowiedziała, nie próbując ukryć złości. – A nawet gdybym miała, nie pokazałabym panu.

– To jest czyn karalny, utrudnianie dochodzenia.

– W takim razie poproszę nakaz.

Sawicki poczerwieniał. Z niewiadomych powodów od pierwszej chwili poczuł antypatię do tej pulchnej kobiety o ciepłym uśmiechu współczującej psycholożki. Chciał ją przestraszyć i upokorzyć z czystej złośliwości.

– Jeśli nie będzie pani współpracować, porozmawiamy na komendzie – warknął.

– Proszę bardzo – odpaliła przez zaciśnięte zęby.

– Chwileczkę. – Ada wstała, rzucając mu piorunujące spojrzenie. – Proszę nie gniewać się na kolegę, jest przemęczony. Pracujemy nad morderstwem, to bardzo stresujące. Sama pani rozumie… Chociaż pewnie zajmowanie się dziećmi uchodźców też nie należy do łatwych zadań. Spodziewałam się zastać tu mnóstwo maluchów. Czytałam w Internecie, że prowadzą państwo zajęcia sportowe. A do tego lekcje polskiego, porady prawne, świetlicę w każdą środę i piątek. To dużo pracy i bardzo ambitny projekt. I pani sama wszystko ogarnia? O! – Podniosła ze stołu kolorową ulotkę. – I jeszcze międzynarodowy zjazd młodzieży? Też w takim uczestniczyłam. Dwa lata temu prowadziłam warsztaty z samoobrony kobiet.

– Dzieci są w szkole na Raszyńskiej. Wynajmujemy tam salę gimnastyczną – głos kobiety nieco złagodniał.

– To pewnie dużo kosztuje, wynajęcie sali. Taka mała fundacja, tyle zajęć, aż trudno sobie wyobrazić, że kilka osób może nad tym wszystkim zapanować. Bo zatrudniają państwo na stałe tylko trzech pracowników,

prawda? No i jeszcze pani… Sprawdzałam, zanim tu przyszliśmy. Interesuję się prywatnie działaniami na rzecz uchodźców. Moja przyjaciółka pracuje w PAH-u, tam mają większy lokal i co roku zgarniają unijne granty. Mówiła, że mniejsze fundacje na tym cierpią, że to nie do końca sprawiedliwe. Ale kłopoty finansowe mają teraz wszyscy. Nawet my. – Roześmiała się. – Na komendzie pękła rura dwa tygodnie temu, trzeba kuć ściany i zrobić gruntowny remont. Siedzimy w lodowatych pokojach. Na pierwszym piętrze dosłownie stoi woda. Byłabym zapomniała. – Podeszła szybko do biurka, wyciągając rękę. – Nazywam się Ada Rochniewicz.

– Agnieszka Jekiel. – Na twarzy kobiety pojawił się znowu kojący, czuły uśmiech.

Sawicki osłupiał. Nie sądził, że Ada jest zdolna do wypowiedzenia tylu słów naraz. Powoli wyprostował plecy, poprawił kołnierzyk koszuli i zsunął rozłożone nogi.

Ada od początku tej rozmowy obserwowała Sawickiego, który bezceremonialnie rozsiadł się pod ścianą, wyciągając daleko nogi i wypinając brzuch. Pogardliwy wyraz twarzy i krzywy uśmiech nie wróżyły nic dobrego. Z wystudiowaną, przesadną powolnością wyjął z kieszeni notatnik. Poczuła wyraźnie kwaśny zapach samczego potu, zapach agresji. Uniosła ze zdziwieniem brwi. Od pierwszej rozmowy wiedziała, że Sawicki czuje się niepewnie w obecności kobiet, ale on raczej ustępował im z drogi, niż próbował dominować. Dlaczego ta przyjemna dziewczyna o szerokiej, jasnej twarzy i okrągłych oczach wzbudziła w nim taką irytację? Siedziała za biurkiem poczerwieniała od tłumionej złości, jeszcze chwila i nie wydobędą z niej ani słowa nawet w czasie wyrafinowanych tortur.

– Ada Rochniewicz – powtórzyła, ujmując pulchną dłoń. – Naprawdę nie chcemy przeszkadzać, ale zdarzyła się wielka tragedia i musimy działać szybko. Jak najszybciej. Bardzo liczymy na pani pomoc.

Agnieszka Jekiel spuściła wzrok, słysząc słowo „tragedia”. W jej oczach pojawiły się łzy, a wargi zadrżały.

– Doprawdy nie wiem, jak mogłabym pomóc… Nie znałam dobrze Zofii. Przychodziła tu dwa razy w tygodniu, uczyła polskiego. Pracowała jako wolontariuszka. Nigdy nie miałam czasu, żeby dłużej z nią porozmawiać. A teraz ona nie żyje i już za późno… – Rozpłakała się.

– Wystarczy, że odpowie pani na kilka pytań. – Ada usiadła z powrotem obok Sawickiego. – Przede wszystkim interesuje nas Czeczenka, która sprzątała mieszkanie Zofii.

– Aaa… – Agnieszka uśmiechnęła się przez łzy, a jej ciężki, matczyny biust zafalował lekko pod bawełnianą sukienką w bliżej nieokreślonym kolorze. – To już wiecie?

– Policja to nie fundacja – mruknął Sawicki. – Nie obijamy się.

Kobieta naturalna, przemknęło Adzie przez myśl. Typ eko, z wolnego wybiegu – tak zapewne by ją określił. Duże, opiekuńcze ciało, piersi nieskrępowane stanikiem, wielkie bawełniane majtki pod luźną sukienką, nieogolone nogi i zdrowa, rumiana twarz bez śladu makijażu, to go denerwuje…

– Mamy zeznanie przyjaciółki Zofii – wtrąciła prędko. – Twierdzi, że zatrudniała na czarno kobiety, które poznała w fundacji.

Agnieszka spochmurniała.

– To nie moja sprawa.

– Potrzebujemy adresów tych kobiet – podjął ostro Sawicki.

– Nie mogę panu pomóc.

Ada zobaczyła, że rzuca nerwowe spojrzenie w stronę skoroszytu.

– Proszę pani – zaczęła pojednawczo – nikomu nie chcemy robić kłopotów. Jeśli te osoby przebywają w Polsce nielegalnie albo pracują na czarno, jest to problem Urzędu do spraw Cudzoziemców, nie nasz. Mogę dać pani słowo honoru, że interesujemy się tylko morderstwem. Straszną zbrodnią – dodała poważnie. – Być może któraś z tych kobiet widziała lub usłyszała coś, co mogłoby nam pomóc, pomóc rodzicom Zofii… Proszę o nich pomyśleć – dokończyła, teatralnie ściszając głos.

Jekiel wyraźnie się zawahała. W końcu otworzyła notatnik.

– To nie były kobiety, tylko jedna dziewczyna – wyznała z oporem, jakby nadal miała poważne wątpliwości, czy słusznie postępuje.

Ada uśmiechała się oczekująco.

– Madina Demilowa – powiedziała w końcu szefowa fundacji. – Tutaj jest adres: Słoneczny Dom. Na Woli. Prowadzi go Fundacja „Przystań”.

– To jakieś specjalne miejsce? – zainteresowała się Ada.

– Taka trochę noclegownia z oddzielnymi pokojami dla rodzin w potrzebie. Dom dla tych, którzy nie umieją się przystosować i odnaleźć w naszej rzeczywistości. Przyjmują nastoletnie matki, ubogich i bezdomnych, również uchodźców. Dają dach nad głową, prowadzą proste kursy, pomagają umieścić dzieci w przedszkolach i żłobkach…

– Dziękujemy. – Sawicki odetchnął z ulgą, wziął kartkę z adresem i zamierzał wyjść, ale Agnieszka Jekiel, niespokojna i zatroskana, ciągnęła dalej.

– Rodzice Madiny też tam wylądowali zaraz po wyjściu z ośrodka. Ojciec nie mógł znaleźć pracy, matka jest w nieustającej ciąży… To dobre miejsce. Dobra fundacja, prowadzą ją dzielni, uczciwi ludzie. Nie chciałabym im zaszkodzić. Robią rzeczy, którymi zamiast nich powinno zająć się państwo: opiekują się tymi, którzy inaczej skończyliby pod mostem albo w więzieniu…

– Nasze dochodzenie im nie zaszkodzi – uspokoiła ją Ada. – Chcemy zadać tylko kilka pytań. Nic więcej. Nikogo poza Madiną nie mamy zamiaru nagabywać ani nękać.

Prezes Fundacji „Przystań” nie wydawała się przekonana. Zacisnęła usta i bezradnie opuściła ręce wzdłuż tułowia.

Kiedy wyszli na dwór, Sawicki wyciągnął z kieszeni czekoladowy batonik.

– Masz koleżankę w PAH-u? – zapytał.

– Nie – spojrzała na niego ze zdumieniem. – Skąd ci to przyszło do głowy?

O wpół do czwartej wrócili na komendę. Ada zdjęła kurtkę i przysunęła sobie krzesło dla interesantów. Sawicki pomyślał, że może czuć się niepewnie w nowej pracy, ale nie zamierzał jej niczego ułatwiać. Rozmowa się nie kleiła, więc z ulgą przekazał jej dalsze wypełnianie raportów. Sam nastawił wodę na kawę i sięgnął po papierosy. W następnej chwili przyszło mu do głowy, że Mimoza będzie na pewno przeciwna paleniu w pokoju, nawet w weekendy i przy otwartym oknie. Rzucił paczkę na biurko. Spojrzał na żółtą samoprzylepną karteczkę i uświadomił sobie, że nie odsłuchał wiadomości z komórki Wagner. Powinien też przejrzeć spis ulic, wyłuskać te o nazwach kończących się na „ego” i poszukać przy nich gabinetów lekarskich. Straszna, upierdliwa robota. Najchętniej zleciłby ją jakiemuś sierżantowi, ale Róg nie dał im nikogo do pomocy przy śledztwie. Zdecydował, że zajmie się tym następnego dnia rano. Zadzwonił za to do patologa. Po kilkunastu sygnałach odebrał pan Roman, pracownik fizyczny zajmujący się transportem zwłok. Zbok nie chciał nawet podejść do telefonu.

– Mamy masę roboty – sapał opryskliwie pan Roman, jakby właśnie oderwano go od prosektoryjnego stołu. – Nie zawracajcie nam głowy. Sami się do was odezwiemy. Nie wcześniej niż we wtorek po południu.

– Zależy nam bardzo na czasie – Sawicki próbował oponować, ale usłyszał w oddali suchy trzask i połączenie zostało przerwane.

Westchnął. Pan Roman był bliskim i z tego, co wiedział Marcin, jedynym przyjacielem Zboka. Spędzał całe życie w niewielkiej portierni przy wejściu do kostnicy. Sawicki miał czasem poczucie, że zajmuje się nie tyle przewożeniem zwłok, ile zaciekłym bronieniem dostępu do patologa. Był zły. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że w sobotę po południu Zbok nadal siedzi w pracy i na pewno nie próżnuje. Znał go od wielu lat. Patolog działał bardzo powoli, ale niezwykle dokładnie. Zerknął na zegarek. Zostało mu jeszcze czterdzieści minut. Potem powinien wyjść, żeby zdążyć na przyjęcie Tosi.

– Słuchaj – zaczął, siadając naprzeciw Ady. – O piątej są urodziny mojej córki.

Kiwnęła z roztargnieniem głową, nie odwracając wzroku od monitora.

– Trzeba by jeszcze odpytać Madinę Demilową… – zawiesił głos.

– Okej – powiedziała spokojnie.

Czy ona nie ma rodziny, żadnych zobowiązań, życia poza komendą?, zastanawiał się. Wczoraj skończyła pracę o siódmej. I nie robi wrażenia zaniepokojonej, że dzisiaj czeka ją jeszcze wycieczka na daleką Wolę. Nie zauważył, żeby w ciągu ostatnich dwóch dni do kogoś dzwoniła czy odbierała prywatne telefony.

– Poradzisz sobie sama? Trzeba rozsądnie pogadać z Madiną. Po męsku. Przyciśnij dziewczynę. Może przywieź ją do nas na odpytanie? To zawsze wywiera pozytywny wpływ na podejrzanych…

Ponownie kiwnęła głową.

– Jeżeli wolisz, zrobimy to jutro razem.

– Zajmij się córką – odpowiedziała, zatrzymując dłonie nad klawiaturą. – Poradzę sobie. To nie jest mój pierwszy dzień w policji.

Prawda. Dotarło do niego, że ma przed sobą doświadczonego oficera.

– Na mnie na szczęście nikt nie czeka – dodała, jakby na ekranie komputera właśnie wyświetliły się jego myśli.

Zmieszał się. W jej głosie nie było jednak cienia ironii. Zdawała się autentycznie zadowolona, że może dłużej zostać w pracy.

– Ustalmy więc plan na niedzielę – zmienił prędko temat.

– To w dużej mierze zależy od rozmowy z Madiną Demilową.

– Uhum – przyznał. – W takim razie zadzwoń do mnie, gdyby działo się coś niepokojącego. Jeśli nic się nie zdarzy, porozmawiamy rano i podejmiemy kolejne decyzje. Na pewno trzeba jeszcze raz pogadać z Lewicką – ciągnął już bardziej zdecydowanie. – Zofia Wagner miała tajemnice. Musimy się dowiedzieć, dlaczego ukrywała związek z dresem i pracę w fundacji przed rodzicami. I… – zawahał się, nim dokończył – czy przypadkiem nie ukrywała jeszcze czegoś…

– A co z Wójcikiem?

– Nie wiem… Dziwnie to wygląda. Nie ma go w domu, nie odbiera komórki. Ale może wyjechał na weekend w góry i nie ma zasięgu? Cholera wie. Jeśli do jutra się nie zjawi, to zaczniemy go szukać. Aha, i trzeba koniecznie pojechać do sklepu z narzędziami i sprawdzić, może pamiętają, kto kupił młotek. Skontaktować się z pracodawcą Wagner i ustalić, czy wpłaciła kaucję. Dorwać tego psychologa… – wyliczał z coraz większym niepokojem. – Obawiam się, że w niedzielę nie posuniemy się naprzód… Kurwa, że też musiał ją ktoś tuż przed weekendem załatwić. Modzelewski będzie wściekły, jeśli nic mu w poniedziałek nie dam.

Wstał i właśnie zamierzał włożyć kurtkę, kiedy zadzwonił dyżurny z recepcji.

– Jakaś kobieta chce z tobą rozmawiać – leniwie odezwał się policjant. – Twierdzi, że cię zna.

– Jak się nazywa? – zapytał Sawicki, patrząc na zegarek. Było dziesięć po czwartej.

– Małgorzata Orłowska.

Próbował się skupić. Nazwisko rzeczywiście wydało mu się znajome.

– Dobrze – powiedział. – Zejdę za kilka minut. Poproś, żeby poczekała.

Narzucił kurtkę, wcisnął papierosy do kieszeni i naciągnął czapkę.

– To cześć – pożegnał się z Adą.

Skinęła w zamyśleniu głową, nie przerywając pisania. Wydawała się bez reszty pochłonięta wypełnianiem raportu.

Na ławce w poczekalni dla interesantów siedziała kobieta w rozpiętym płaszczu. Miała mniej więcej pięćdziesiąt lat i sporą nadwagę. Gęste siwe włosy zostały upięte w kok. Skóra twarzy zwisała w dwóch okrągłych fałdach podbródka. Ciemne, rozbiegane oczy przypominały oczy zdenerwowanej kury. Sawicki był pewien, że nigdy wcześniej jej nie widział. Co więcej, ona również zdawała się go nie poznawać. Dopiero gdy podszedł zupełnie blisko, drgnęła i rzuciła mu niespokojne ptasie spojrzenie.

– Komisarz Sawicki? – zapytała, zbierając poły płaszcza i podnosząc się z ławki.

– Słucham – odezwał się chłodno.

– Nazywam się Małgorzata Orłowska – powiedziała, grzebiąc nerwowo w torebce. – Nie znamy się osobiście, ale kiedyś… parę lat temu zostawił

pan mężowi numer telefonu i powiedział, że w razie kłopotów możemy się tu zgłosić. – Podała mu sztywny kremowy kartonik.

Jej twarz przybrała wyraz upartej nieśmiałości, jakby chciała dać do zrozumienia, iż narzuca się tylko dlatego, że ma ku temu niezmiernie ważne powody. Sawicki wiedział, że nie da się jej łatwo pozbyć. Zerknął na wizytówkę: „Jakub Orłowski, Vinoprimo”. Coś zaczęło mu świtać. W końcu przypomniał sobie niskiego, mocno łysiejącego mężczyznę. Poznał go w czasie skomplikowanej akcji dotyczącej paserstwa dzieł sztuki. Sklep z winami znajdował się tuż przy antykwariacie, na którego zapleczu prowadzono nielegalną działalność. Kuba Orłowski okazał się niezwykle pomocny. Bez protestów pozwolił całej ekipie policyjnej zainstalować się na tyłach winiarni, z niesłabnącą pogodą znosił ich obecność przez kilka dni, a na koniec obdarował wszystkich butelkami taniego cydru. Sawicki dał mu kontakt do siebie i obiecał pomoc, gdyby jej potrzebował. Spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia po czwartej. Mógł poświęcić Małgorzacie Orłowskiej piętnaście minut.

– Tak. Zgadza się. Pamiętam pani męża. W czym mogę pomóc? – zapytał, siadając i gestem wskazując miejsce obok.

Kobieta nadal stała.

– Słucham.

– Chciałam zgłosić zaginięcie.

Sawicki wyjął notes.

– Kogo? – Otworzył notatnik na pustej stronie.

– Córki – odpowiedziała płaczliwie znad swoich dwóch podbródków.

Zmartwił się, myśląc o wesołym uśmiechu Kuby Orłowskiego. Nie zmienił jednak wyrazu twarzy ani oschłego tonu.

– Dobrze. Dlaczego uważa pani, że córka zaginęła?

– Umówiłam się z nią i nie przyszła. Dzwoniłam, nie odbiera telefonów. Pojechałam sprawdzić, czy jest w domu, ale nie otworzyła. Od tamtej pory nie ma z nią kontaktu.

Notował skrupulatnie.

– Kiedy ostatni raz rozmawiała pani z córką?

– W piątek po południu.

Sawicki zatrzymał długopis w połowie zdania i uniósł ze zdumieniem brwi.

– W ten piątek?

– Tak.

– A umówiła się z panią o godzinie…

– Byłyśmy umówione rano, przed dziewiątą, na wspólne zakupy w Auchan – dokończyła Orłowska.

– Dzisiaj?

– Zgadza się.

– Czy córka jest dorosła? Mieszka oddzielnie? – zadał jeszcze jedno pytanie, chociaż wiedział, jaka padnie odpowiedź.

– Tak. Ma dwadzieścia pięć lat.

Powoli zamknął notes i wsunął go do kieszeni.

– Proszę pani – zaczął, starając się zachować spokój – nie mogę w tej chwili przyjąć zgłoszenia.

– Ale ja wiem, że coś się stało! – krzyknęła. – Magda nigdy by się tak nie zachowała.

– Może coś jej wypadło albo po prostu zapomniała?

Podbródki pani Orłowskiej zaczerwieniły się i zatrzęsły jak u rozzłoszczonej indyczki.

– Znam swoją córkę!

Sawicki westchnął.

– Rozmawiała pani z jej chłopakiem, ze znajomymi? A może trzeba sprawdzić szpitale? Chociaż nic nie wskazuje na to, że zdarzył się wypadek – dodał pospiesznie.

– Oczywiście, że sprawdzałam!

– I co?

– I nic. Nikt jej nie widział. Nikt nic nie wie.

– W takim razie musimy poczekać. – Spojrzał nerwowo na zegarek. Gdyby nie sentyment do Kuby Orłowskiego, dawno wyrzuciłby to histeryczne babsko. Magda najprawdopodobniej nie odbiera telefonów, bo nie chce rozmawiać ze zwariowaną matką.

– Ale ja wiem, że coś się stało! Po prostu wiem – w jej głosie brzmiała determinacja. – To moje dziecko. Proszę mi pomóc. Od kilku miesięcy mam poczucie, że z Magdą dzieje się coś złego, a teraz po prostu zniknęła.

Sawicki pomyślał, że powinien zapytać, co niepokoiło panią Orłowską, ale nie miał czasu. Dochodziła czwarta czterdzieści. Spieszył się.

– Proszę pani, gdyby coś się stało, ja i tak nie mógłbym tej sprawy prowadzić. To leży w gestii policji rejonowej. Gdzie mieszka Magda?

– Na Mokotowie.

– Dobrze – westchnął. – Zrobimy tak: proszę się uspokoić, wrócić do domu i odpocząć. Do jutra córka na pewno się znajdzie.

– Ale w ten sposób tracimy czas… – głos pani Małgorzaty stał się wysoki i piskliwy.

– Jeśli – przerwał jej zdecydowanie – jeśli nadal by jej nie było, to po upływie czterdziestu ośmiu godzin proszę zgłosić tę sprawę na komendę przy ulicy Malczewskiego i do mnie zadzwonić.

Znowu otworzyła usta jak do krzyku.

– Pracują tam dobrzy, kompetentni policjanci. Znam ich od lat – mówił powoli, starając się ukryć irytację. – Na pewno nie zbagatelizują sprawy.

– Już zbagatelizowali – wpadła mu w słowo. – Byłam u nich o trzeciej, odesłali mnie z kwitkiem.

– Więc proszę spróbować w poniedziałek rano, a potem się ze mną porozumieć – powtórzył, tracąc cierpliwość. – Gdyby zaszła taka konieczność, od razu do nich zadzwonię. Gdyby – dodał z naciskiem. – Na razie jednak nic nie wskazuje na to, że wydarzyło się coś złego.

Ujął kobietę pod ramię i lekko pchnął w kierunku drzwi, a sam zawrócił na wewnętrzny dziedziniec. Nie oglądając się, przeszedł szybko przez magnetyczne bramki. Czuł się zmęczony i rozdrażniony. Pierdolnięta matka, myślał. Ta Magda musi mieć z nią niezły balet. Dorosła kobieta nie odzywa się przez kilka godzin, a ta wszczyna rwetes na całą Warszawę… Otworzył drzwi samochodu, ale zatrzymał się nagle i stał bez ruchu, patrząc w zadumie na własne stopy. A jeśli ta Orłowska ma rację? Jeśli rzeczywiście coś złego przytrafiło się jej córce? Zmarszczył brwi. W takim razie w ciągu kilku dni mieliby dwie sprawy na Mokotowie dotyczące dwóch mieszkających samotnie kobiet w podobnym wieku. Doświadczenie mówiło mu, że nie powinien bagatelizować podobnych zbiegów okoliczności. Ale przecież mogło się zdarzyć dosłownie wszystko, otrząsnął się z zamyślenia. Magda wyłączyła komórkę, bo miała dość nadopiekuńczej matki, telefon się rozładował, poszła na spacer do parku, upiła się poprzedniego dnia i odsypiała kaca ze stoperami w uszach, wyjechała niespodziewanie do innego miasta albo spędzała czas na wesołych harcach z nowym kochankiem. Na razie nie ma najmniejszych powodów do niepokoju – analizował chłodno sytuację – a już na pewno nie ma sensu wiązać Magdy Orłowskiej z zabójstwem Wagner. Wsiadł do samochodu. Zaczynam fantazjować, skarcił się w myślach. Zamiast oglądać po nocy

durne seriale detektywistyczne, powinienem się dobrze wyspać i zająć prawdziwym śledztwem, a nie rozwiązywaniem zagadek rodem z Hollywood. Skrzywił się na myśl, że bezwiednie powtarza krytykę Modzelewskiego pod własnym adresem. Wypuścił z ust strumień powietrza i przekręcił kluczyk w stacyjce. Wyjeżdżając za bramę, spostrzegł Eryka Marczyńskiego. Dziennikarz zdążał szybkim, zdecydowanym krokiem w stronę komendy.

– Hiena – mruknął i nacisnął gaz.

---

* Zakład Medycyny Sądowej.

10

Dwadzieścia po piątej Ada skończyła uzupełniać raporty. Poszła do sekretariatu, wydrukowała dokumenty i schowała je do tekturowej teczki, którą odłożyła na biurko Sawickiego. Chciała jeszcze wydrukować mapkę Google’a z zaznaczoną trasą dojazdu do Słonecznego Domu, ale zabrakło papieru. Toner też był na wykończeniu. Na samoprzylepnej karteczce naszkicowała szybko kilka ulic, myśląc jednocześnie, że powinna w końcu zmienić prosty telefon komórkowy na coś bardziej nowoczesnego, z dostępem do Internetu i GPS-em. Włożyła kurtkę i zeszła szeroką, reprezentacyjną klatką schodową na parter. Budynek komendy był wyludniony. W sobotę późnym popołudniem na miejscu zostali tylko dyżurni. Poza nimi w nieczynnym barku zobaczyła Kapustę. Siedział przy stoliku, zwrócony tyłem do wejścia, i rozmawiał z jakimś cywilem. Ada pomyślała, że kiedyś już widziała tego mężczyznę, ale minęła przymknięte drzwi, nie zdążywszy dokładnie się mu przyjrzeć. Wyszła na dziedziniec i wsiadła do samochodu.

Mgła, która snuła się wzdłuż Marszałkowskiej i gęstniała w bocznych uliczkach, wyglądała jak brudny welon niechlujnej panny młodej. Zabłysły latarnie. W kałużach odbijały się kolorowe światła witryn sklepowych. Miasto pachniało sadzą, wilgocią i zmęczeniem. Mimo ponurej aury, jaka od kilku tygodni utrzymywała się w Warszawie, mimo iż oczekiwana niecierpliwie wiosna nie chciała nadejść, a z nieba bezustannie padał śnieg

na przemian z deszczem, Ada kipiała energią. Przepełniało ją uczucie ulgi i podniecenia jednocześnie. Miała wrażenie, jakby dawno zgubiona cząstka niej samej niespodziewanie wróciła na właściwe miejsce. Pracowała. Robiła to, co umiała najlepiej i w czym, nie miała co do tego wątpliwości, była naprawdę dobra. Znowu prowadziła śledztwo. Ani nieprzyjemne wspomnienie porannego zebrania, ani humory Sawickiego nie mogły wyprowadzić jej z równowagi. Od lat nie czuła się tak dobrze. Praca w terenie to jedyna rzecz, do której się nadaję, pomyślała, skręcając w kierunku alei Niepodległości. A policja kryminalna to jedyne miejsce, gdzie mogę się do czegoś przydać. Nie musiała mieć do siebie pretensji z powodu przeniesienia do Warszawy, które nie odbyło się najuczciwszą drogą. Natychmiast przypomniał jej się ojciec. Nie kontaktowali się od czasu przeprowadzki. Nie miała ochoty go oglądać. On zapewne również nie tęsknił za jej towarzystwem, za to powinna odezwać się do siostry. Włączyła radio i lewą ręką rozpięła kołnierz kurtki. Minęły trzy lata, odkąd poznała Kasię, i nadal nie oswoiła się z faktem, że ma rodzeństwo. Zamierzała zbadać dokładnie tę nową sferę własnego życia. Zadzwonię do niej jutro, zdecydowała.

* * *

Słoneczny Dom okazał się przerobionym na hotel starym budynkiem szkolnym odgrodzonym od ulicy metalową siatką. Ada zaparkowała i wysiadła. Na betonowym placyku przed bramą wjazdową zielone bmw rozpędziło się niebezpiecznie, skręciło tuż przed siatką, zakreśliło ósemkę i zahamowało gwałtownie, wpadając w kontrolowany poślizg. Wzdłuż krawężnika stało pięciu ciemnowłosych mężczyzn obserwujących w milczeniu szalejący samochód. Wszyscy mieli nieruchome brodate twarze i czarne, równo przystrzyżone grzywki. Wszyscy nosili krótkie skórzane kurtki i sportowe buty. Ada pomyślała, że wyglądają jak żołnierze

rosyjskiej mafii z lat dziewięćdziesiątych. Z niepokojem rozejrzała się po pustej ulicy. Nie miała przy sobie broni. Nie zamierzała jednak wtargnąć do złodziejskiej meliny, tylko odwiedzić ośrodek pomocy społecznej. Wyprostowała się i stanowczym krokiem ruszyła przed siebie.

– Dzień dobry – zwróciła się do osobnika stojącego najbliżej bramy. – Szukam Madiny Demilowej. Czy ona tu mieszka?

Samochód ruszył z piskiem opon. Mężczyzna patrzył przez chwilę w przestrzeń, jakby w ogóle nie zauważał Ady, po czym przeniósł wzrok na kolegów. Poczuła się nieswojo. Czekała w napięciu. W końcu jeden z nich uśmiechnął się lekko.

– Może i mieszka – odpowiedział leniwie. – A kto pyta?

– Policja – odpowiedziała twardo, wyjmując odznakę.

Grupa mężczyzn zafalowała i zbiła się w ciasną gromadkę. Beemka zatoczyła koło, wyjechała na ulicę, zawróciła niespodziewanie i zatrzymała się tuż obok Ady. Szyba po stronie kierowcy opadła bezszelestnie. W środku siedział brodaty człowiek w naciągniętej na czoło czapce.

– W czym można pomóc? – odezwał się uprzejmie.

Przełknęła ślinę.

– Szukam Madiny Demilowej.

– A ona już u nas nie mieszka – wyjaśnił. – Jej rodzina przeprowadziła się dwa miesiące temu do mieszkania po Czokajewach.

– Po Czokajewach? – powtórzyła bez sensu.

– No. Gdzieś tu niedaleko – powiedział, wykonując nieokreślony ruch głową, i włączył ponownie silnik. – Pani spyta w recepcji. – Wskazał ręką budynek, podniósł szybę i odjechał.

Idąc w kierunku szkoły, zauważyła kątem oka ruch za plecami mężczyzn. Odwróciła głowę. Na trawniku pod nagą topolą stała grupka ciemnowłosych chłopców. Byli tak samo milczący i ponurzy jak dorośli

uchodźcy. Kiedy otwierała metalową furtkę, czuła na plecach ich niechętne spojrzenia. Ciekawe, co robią w tym czasie dziewczynki?, pomyślała. I jakim cudem ludzi żyjących z zapomogi stać na bmw? Przecięła boisko do koszykówki i zbliżyła się do budynku. Pod daszkiem z pleksi paliła się mocna żarówka. Na murze obok wejścia ktoś napisał czerwonym sprayem: „Wypierdalać z naszego kraju”. Obok narysowano szubienicę. W portierni siedziała starsza kobieta w za dużym wełnianym swetrze, który opadał jej z ramion jak pomarańczowy namiot. Piła herbatę i oglądała film na przenośnym telewizorze.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Policja. – Ada wyjęła legitymację. – Szukam Madiny Demilowej.

Kobieta drgnęła, odstawiła szklankę i spojrzała na nią z niepokojem.

– A co się stało?

– Nic się nie stało. Muszę zadać jej kilka rutynowych pytań w związku ze sprawą, którą prowadzę. Nie ma się czego obawiać – wyjaśniła cierpliwie.

– Czy Madina coś przeskrobała? – zapytała nerwowo. – To dobra dziewczyna…

– Rutynowe pytania – powtórzyła Ada. – Proszę mnie do niej zaprowadzić.

– Ona już tu nie mieszka. – Starsza pani ściągnęła zatroskaną twarz w pomarszczony ryjek.

– W takim razie potrzebny mi jej nowy adres.

– Nie mam. – Podkasała rękawy swetra. – Prezeska pewnie wie, dokąd się wyprowadziła, ale dzisiaj nie pracuje. W ogóle nikogo dzisiaj nie ma. Ja tylko pilnuję budynku.

– A kiedy przyjdzie ktoś lepiej poinformowany?

– Jutro po południu. Albo – zawahała się – na pewno w poniedziałek. Od rana prowadzą kursy.

– Jak się nazywa pani szefowa?

– Anita Kalinowska.

– Ma pani do niej telefon?

– Mam – przyznała.

– To proszę mi go dać.

Rozmowa z szefową fundacji zajęła kilka minut. Ada musiała podać numer służbowy i nazwisko komendanta. Po dłuższej i mało przyjemnej wymianie zdań zdołała w końcu zdobyć nowy adres Demilowów. Wyjęła z kieszeni karteczkę.

– Ma pani długopis? – zwróciła się do kobiety z portierni.

Dostała ołówek i zapisała ulicę i numer domu.

– Jak stąd dojechać na Górczewską? – zapytała.

– To niedaleko. – Starsza pani wstała. – W prawo – wskazywała kierunek, a rękaw swetra powiewał wokół jej nadgarstka jak chorągiewka – potem pierwsza w lewo i prosto do świateł…

Ada starała się zapamiętać drogę i po raz drugi tego dnia postanowiła, że kupi nową komórkę.

Korytarz na czwartym piętrze ceglanego domu przy ulicy Górczewskiej piętnaście zastawiono najróżniejszymi rupieciami, od dziurawej kanapy począwszy, poprzez połamane krzesła, plastikowe wiadra, puste butelki i doniczki, na przerdzewiałych narzędziach ogrodniczych kończąc. Ada drgnęła. Tuż przed drzwiami, których szukała, stała pogięta rowerowa rama, jak kaleki tułów wielkiego owada. Obok leżał stos gazet, a na nim dziurawy emaliowany rondel. Od ściany odchodził kawałek tapety. Mgliste, odległe wspomnienie pojawiło się gdzieś na granicy świadomości,

próbowała pochwycić je i obejrzeć dokładniej, ale wymknęło się i uleciało w przestrzeń. Zadzwoniła. Przez dłuższą chwilę nikt nie otwierał. Z mieszkania dochodziły odgłosy kłótni albo prowadzonej podniesionym głosem rozmowy. Wisząca pod sufitem jarzeniówka zabzyczała ostrzegawczo i zgasła. Ada zadzwoniła ponownie, tym razem długo i natarczywie. Po chwili szczęknął zamek. W progu stanęła tęga kobieta ubrana w szarą workowatą spódnicę i za dużą dżinsową kurtkę. Włosy miała przewiązane niebieską chustą. Wyglądała na mniej więcej pięćdziesiąt lat.

– Da? – zapytała obojętnie.

– Policja. – Ada pokazała odznakę.

Apatyczna twarz kobiety natychmiast nabrała wyrazu. Ospałe, szkliste oczy zabłysły, usta skurczyły się i zacisnęły, a czoło przecięła głęboka poprzeczna zmarszczka. Czeczenka cofnęła się odruchowo, zagarniając jednocześnie spódnicę, i Ada ze zdumieniem dostrzegła zarys wielkiego, okrągłego brzucha. Kobieta była w zaawansowanej ciąży.

– Czy tutaj mieszka Madina Demilowa? – zapytała.

– Da, da…

– Chcę z nią porozmawiać. – Zdecydowanym krokiem przestąpiła próg.

Kobieta odwróciła głowę i krzyknęła w głąb mieszkania w niezrozumiałym języku – gardłowym i twardym, jakby słowa nie rodziły się w krtani, ale znacznie głębiej, we wnętrzu jej nabrzmiałego ciała, i z trudem ulatywały na zewnątrz. Ada zrobiła kolejny krok. W oszklonych drzwiach pokoju stanął krępy ciemnowłosy mężczyzna. Podciągnął opadające spodnie, powiedział coś ostro, krótko, nie patrząc na żadną z nich, a potem odwrócił się i zniknął. Twarz kobiety znowu spotulniała i przybrała tępy, leniwy wyraz.

– Jestem matka Madiny – wyjaśniła po polsku. – Mój muż mówi, żebyście weszli.

Pokój za przeszklonymi drzwiami przedzielała materiałowa zasłona. Tuż przy wejściu na rozkładanej kanapie siedział ciemnowłosy mężczyzna i oglądał telewizję. Na ziemi mały chłopczyk wyrywał kartki z kolorowego czasopisma. Od stołu poderwały się dwie długowłose, długonogie dziewczynki i zniknęły za kotarą. Ściśnięte w niewielkiej przestrzeni meble były stare i sfatygowane, z jednej ściany odpadał tynk, na dywanie walały się brudne ubrania i plastikowe zabawki. W powietrzu wisiał kwaśny zapach niemytego ciała. Nie ulegało wątpliwości, że żaden z mieszkańców nie dbał szczególnie o porządek. Zza przepierzenia wyjrzała niska dziewczyna o bladej, pociągłej twarzy i wielkich oczach w kształcie migdałów. Białka i skóra wokół oczu były zaczerwienione, jakby przez długi czas płakała.

– Madina Demilowa?

– Tak – odpowiedziała, wiążąc pospiesznie chustkę wokół głowy.

– Policja. Gdzie możemy porozmawiać?

– No tu… – wyjąkała z tą samą tępą łagodnością, jaka malowała się na twarzy jej matki.

– Musimy porozmawiać bez świadków. Czy macie jeszcze jeden pokój?

Dziewczyna milczała, patrząc niepewnie na ojca. Ada miała właśnie powtórzyć pytanie, kiedy Madina wymamrotała coś, ściszając głos.

– Słucham?

– No, jest jeszcze kuchnia… – powtórzyła.

– To chodźmy do kuchni.

Chłopczyk na podłodze nadal darł w skupieniu kolorową gazetę, mężczyzna przed telewizorem ani razu nie odwrócił głowy. Matka

dziewczyny przemknęła przez pokój. Zza zasłony dobiegł jej podniesiony głos. Odpowiedział mu chichot i stukot przesuwanych krzeseł.

– Czy wiesz, dlaczego tu jestem? – Ada usiadła na krześle wciśniętym między parapet a brudny zlew.

Madina wysunęła spod blatu wysoki taboret.

– Nie – odpowiedziała po chwili namysłu.

– Podobno znasz Zofię Wagner. Sprzątałaś u niej.

Znowu potrzebowała czasu, jakby musiała przetrawić, przetłumaczyć na zrozumiały język to, co usłyszała.

– Nie.

– Madina! – Ada podniosła głos. – Nie kłam. Wiem, że u niej pracowałaś. Agnieszka Jekiel mi powiedziała.

Dziewczyna patrzyła na nią tępo.

– Agnieszka, pani z fundacji, w której uczyłaś się polskiego – powtórzyła powoli.

Odpowiedziało jej uparte milczenie. Poczuła narastającą irytację.

– Madina, musisz mówić prawdę! Jeżeli nie będziesz współpracować, pojedziesz na komendę, zatrzymamy cię na noc i rano przesłuchamy.

Cisza i tylko pozbawiona emocji senna twarz zwrócona do niej profilem, jakby oddzielona niewidocznym murem upośledzenia umysłowego: nabrzmiałe wargi, lekko skośne oczy, rzęsy pociągnięte niebieskim tuszem, gruba, położona niewprawną ręką warstwa różu na policzkach…

– Znałam – odpowiedziała w końcu.

– Dobrze. Sprzątałaś u niej?

– Nie. – Spuściła wzrok.

– Czy miałaś klucze do jej mieszkania?

– Nie.

– Czy wiesz, że Zofia nie żyje? Została zamordowana.

Madina się nie poruszyła. Jej twarz nie zmieniła wyrazu, nie drgnęła nawet. Siedziała wpatrzona w ziemię i zaciskała dłonie wokół kolan.

– Słuchaj – Ada przysunęła się bliżej – zachowujesz się bardzo głupio. Rozumiesz? Musisz odpowiadać na moje pytania! – znowu podniosła głos. Ten bezmyślny, niezrozumiały opór, lękliwa, a jednocześnie pełna sprzeciwu postawa nękanej ofiary gniewały ją coraz bardziej. Zaczerpnęła powietrza, żeby powtórzyć ostro ostatnie zdanie, ale wypuściła je tylko z głośnym świstem i czekała. Przez dłuższą chwilę panowała pełna napięcia cisza.

– W takim razie jedziemy na komendę. – Wstała. – Skontaktuję się też z Urzędem do spraw Cudzoziemców. Ja jestem policjantką od morderstw – starała się dobierać słowa tak, żeby brzmiały prosto i zrozumiale. – Nie interesuje mnie, czy mieszkasz legalnie w Polsce i czy pracujesz na czarno. Ale jeżeli nic mi nie powiesz, zgłoszę to odpowiednim służbom. Rozumiesz, co mówię? Odpowiedz!

– Rozumiem. – Madina zacisnęła ręce na kolanach tak mocno, że zbielały jej palce.

– To mów.

– Ale czto?

Ada usiadła.

– Czy wiesz, że ktoś zabił Zofię Wagner?

Znowu zapadło milczenie. Dziewczyna poruszyła się niespokojnie na taborecie, w końcu podniosła głowę, jej ramiona drżały.

– Nie, pani.

Mówi prawdę, pomyślała Ada. Boi się bardzo, ale czegoś innego… Nie oskarżenia o morderstwo.

– Ale pracowałaś u niej? Przyznaj się.

– Pracowałam – odpowiedziała cicho.

– Kto wiedział, że sprzątasz u Zofii Wagner? Rodzice?

– Tak, pani.

– Kto jeszcze?

Zastanawiała się przez chwilę.

– No, moje siostry…

– Dobrze, dobrze – pospieszała Ada. – Jacyś znajomi? Koledzy? Chłopak? Masz chłopaka?

Madina gwałtownie się zaczerwieniła.

– Nie – zaprzeczyła.

– Co nie?

– Nie mam chłopaka.

Znowu kłamie. Ada zagryzła wargi.

– Kto jeszcze wiedział, że tam sprzątasz?

– Chyba tylko Hawa.

– Hawa?

– Sodajewa. Moja podruga. On żyje w Słonecznym Domie.

– Okej. Jak długo sprzątałaś u Wagner?

– Trzy miesiące.

– Już nie sprzątasz?

– Nie, pani.

– Kiedy byłaś u niej ostatni raz?

– W proszłu subbotu.

– Dlaczego odeszłaś? Pokłóciłyście się?

Dziewczyna drgnęła.

– Nie pokłóciły. Ona powiedziała, że już nie potrzebuje sprzątania.

– Dlaczego?

– Nie znaju.

– Madina – Ada powtórzyła powoli i cierpliwie. – Musisz mówić prawdę. To jest bardzo poważna sprawa.

– Tak, pani.

– Jeśli nie powiesz wszystkiego, możesz zostać oskarżona o morderstwo. Za to grozi dożywocie. Rozumiesz, co to znaczy?

– Nie.

– Zamkną cię na zawsze do więzienia. Zostaniesz tam do śmierci. Nie straszę cię ani nie oszukuję. Naprawdę tak zrobią.

Dziewczyna uniosła ramiona, po czym splotła dłonie i znowu opuściła je na kolana w geście rezygnacji. Rękaw jej bluzy zawinął się powyżej łokcia i Ada zobaczył pięć niewielkich siniaków. Pięć wyraźnych odcisków palców.

– Ja chciałam pieniądze zaimstwowat'– powiedziała Madina.

– Na co?

– Na nic. Na życie. Nam trzeba. – Wykonała bezwiedny ruch głową, jakby chciała odsłonić całą brzydotę i marność niewielkiego mieszkania. – Ja prosiłam długo. Prosiłam i prosiłam – ciągnęła z rzewną, jakby skarżącą nutą. – To ona się w końcu pogniewała i kazała iść.

– Co robiłaś w czwartek wieczorem?

– Byłam doma – odparła po chwili zastanowienia.

– Czy ktoś to może potwierdzić?

– Nie ponimaju, pani.

– Czy w czwartek był w domu z tobą ktoś jeszcze? Mama, tata?

– Tak, wsie byli.

Ada przytrzymała łagodnie jej dłoń i podciągnęła rękaw. Na ramieniu, powyżej odciśniętych palców, widniały trzy krwawe pręgi. Madina szarpnęła się rozpaczliwie i wyrwała rękę.

– Kto ci to zrobił?!

– Nikto.

– Madina, ja pracuję w policji. Wiem, że to się nie mogło zdarzyć przypadkiem.

– Nikto – powtórzyła zdecydowanie. – Upadła na suszarku.

Ada patrzyła na nią w milczeniu.

– Posłuchaj uważnie – powiedziała w końcu. – Na razie wszystko jest w porządku. Wierzę ci, ale nie możesz nigdzie wyjeżdżać, rozumiesz? Musisz tu być, w razie gdybyśmy chcieli cię jeszcze o coś zapytać. To bardzo ważne. Dobrze?

– Dobrze – zgodziła się potulnie.

Ada wracała przez brudne, zagracone podwórko. Pod spróchniałymi drzwiami garażu stały dwa zdezelowane auta i przewrócony pojemnik na śmieci. Dzikie, zaniedbane slumsy w samym środku Warszawy. Minęła bramę i skręciła w stronę samochodu. Otworzyła drzwi. Usiadła nieruchomo, opierając stopy o krawężnik, i przez chwilę przyglądała się kotu chodzącemu po stercie starych cegieł. To nie ona, pomyślała po raz kolejny. Była absolutnie przekonana, że Madina Demilowa nie miała nic wspólnego z morderstwem Zofii Wagner, a jednak niepokoił ją strach, którego kwaśny zapach unosił się wokół czeczeńskiej rodziny. Trudno się im dziwić. Przed oczami stanął jej czerwony napis na murze Słonecznego Domu. Ci ludzie nigdy nie będą czuli się w Polsce swobodnie. Trzeba koniecznie sprawdzić ich sytuację prawną. „Tak, pani”, „Nie, pani”, przypomniała sobie ciche, pokorne odpowiedzi Madiny. Sam język ustawiał ją od razu w pozycji zależności. „Pani, pani”, oni wszyscy w ten sposób

mówią. Czy naprawdę aż tak trudno używać odpowiednich form? A może to nie przypadek, że akurat z tym zwrotem mają kłopot? Powoli wsunęła się za kierownicę, przekręciła kluczyk w stacyjce i ruszyła w stronę Ursynowa.

Tuż przed dziewiątą zapukała do drzwi Jerzego Wójcika. Tak jak poprzednim razem odpowiedziała jej cisza. Wróciła więc do samochodu. Śnieg zaczął sypać gęściej, ale temperatura na pewno nie spadła poniżej zera, bo duże, ciężkie płatki topniały natychmiast po dotknięciu ziemi. Miasto spowijała mgła gęsta i duszna jak opary sadzy. Przez półmrok przebłyskiwały smętnie uliczne latarnie. Po chodnikach pełnych topniejącego błota sunęli ponurzy przechodnie. Większość zmierzała w stronę Multikina. Widocznie miał się właśnie rozpocząć kolejny seans. Ada oparła czoło na kierownicy. Czas mijał nieubłaganie, a im nie udało się właściwie nic ustalić. Trop wiodący do czeczeńskiej sprzątaczki okazał się ślepą uliczką. Madina robiła wrażenie tępej, nierozgarniętej dziewczyny, która na pewno nie była zdolna do skrupulatnego zaplanowania zbrodni. Istniała oczywiście możliwość, że ktoś nią pokierował, przekonał, żeby sprawdziła, gdzie Zofia trzyma pieniądze, i polecił dorobić klucze do mieszkania. Taka hipoteza wydawała się jednak mało przekonująca. Co się dzieje w rodzinach uchodźców?, zastanawiała się Ada. Kto pobił Madinę? Dlaczego? I gdzie podziewały się kobiety ze Słonecznego Domu? Czy stereotypy dotyczące muzułmańskich mężczyzn są prawdziwe? Czy rzeczywiście dręczą swoje córki i żony, biją je i trzymają w odosobnieniu? Te wszystkie pytania zdawały się jednak mało istotne. Nie sądziła, żeby odpowiedź na nie pomogła jej w tropieniu mordercy.

Najbardziej podejrzany był teraz Jerzy Wójcik, z którym w żaden sposób nie mogła się skontaktować. Próbowała ułożyć w myślach plan działania na niedzielę. Prawdopodobnie uda im się porozumieć z bankiem i uzyskać informację, czy cztery tysiące przesłane przez Ninę Wagner nadal

znajdują się na koncie Zofii, ale nie zdołają przesłuchać psychologa. Sklepy z narzędziami budowlanymi też będą zamknięte, więc nie dowiedzą się, kto ostatnio kupował młotek, o ile w ogóle sprzedawcy zapamiętali taki szczegół. Powinni oczywiście sprawdzić gabinety lekarskie na ulicach kończących się na „ego”, ale dlaczego nędzny skrawek recepty miałby nadać śledztwu właściwy kierunek? Może Zofia cierpiała na astmę, cukrzycę albo po prostu odwiedziła okulistę i obstalowała nowe okulary? Uprzytomniła sobie, że zapomniała zapytać państwa Wagnerów o ewentualne choroby córki.

Czuła narastające mdłości. Głód i zmęczenie dopadły ją niespodziewanie. Pomyślała, że Filip-Oleńka czeka już od trzynastu godzin. Nie powinna zostawiać go tak długo samego. Wyprostowała się z wysiłkiem, uruchomiła silnik i ruszyła w drogę powrotną do centrum. Jadąc, rozglądała się w poszukiwaniu otwartych sklepów spożywczych. Chciała zrobić zakupy na kolację. Pomyślała, że chętnie napiłaby się czerwonego wina i zjadła świeżą sałatę. Na Puławskiej zwolniła, mijając skwerek przy Dąbrowskiego. Na placu Unii zmieniła gwałtownie pas i zawróciła. Chwilę później zaparkowała przed kawiarnią, w której dzień wcześniej kupowali z Sawickim kawę.

– Espresso i dwie kanapki z łososiem proszę. Albo nie – zawahała się. – Latte. Duże, na pojedynczym espresso.

– Już podaję, pani komisarz – odpowiedział młody barman z ogromnymi tunelami wpiętymi w płatki uszu.

Ada uniosła brwi.

– Pamięta mnie pan?

– Ja wszystkich pamiętam. – Odwrócił się, żeby nałożyć kawę do metalowej kolby ekspresu. – Wszystkich swoich klientów. Wiem, kiedy

przyszli, co zamawiali i o której wyszli. – Z dyszy poleciał strumień pary, a barman uśmiechnął się, ukazując mocne, białe zęby. – Kanapki na ciepło?

– Ciepłe proszę.

– Na wynos czy na miejscu?

– Na wynos.

– Była tu pani z tym rudym policjantem, prawda? – ciągnął, wkładając bułki do opiekacza. – Takim wielkim. Doskonale pamiętam, wczesnym popołudniem. Zamówił kawę i niegazowaną wodę. Badacie morderstwo tej dziewczyny? – Wskazał brodą budynek po przeciwnej stronie ulicy. – Biedaczka…

– Znał ją pan?

– Nie – pokręcił głową, nalewając kawę z wprawą doświadczonego chemika. – Nigdy tu nie przychodziła. Ale wszyscy są poruszeni, że coś tak strasznego zdarzyło się tak blisko… Dwadzieścia jeden pięćdziesiąt. – Podał jej pakunek z kanapkami.

– Dziękuję.

– To ja dziękuję i zapraszamy ponownie!

Wyciągnął nagie, wytatuowane ramię. Ada uśmiechnęła się z uznaniem i odebrała torbę.

Wchodziła po schodach, przyglądając się uważnie drzwiom kolejnych mieszkań: starsza samotna kobieta, taksówkarz, matka niemowlęcia, emerytowany wojskowy, para zamożnych gejów i dwie alkoholiczki. Co za dziwna mieszanina, to się chyba nie zdarza w normalnych miastach. Tych, które mają swoją historię – konsekwentną i ciągłą, gdzie następujące po sobie zdarzenia wynikają w sposób logiczny jedne z drugich, dobrobyt oddziela się ostrą granicą od biedy, inteligencja od mieszczaństwa, mieszczaństwo od plebsu. Gdzieś daleko, w bardziej cywilizowanych

częściach Europy, przez całe stulecia kształtowały się dzielnice, ich charakterystyczny klimat i specyficzna architektura, dla określonych mieszkańców. W Warszawie żyli obok siebie ludzie zupełnie obcy, nie lubili się, nie znali i nie tworzyli żadnej wspólnoty. Bo co w końcu mogło łączyć Zofię z Beatą albo byłego żołnierza z homoseksualną parą? Zatrzymała się na trzecim piętrze, uniosła czarno-żółtą policyjną taśmę, po czym ostrożnie podważyła papierową plombę i otworzyła drzwi kluczem, który wyjęła z kieszeni. Zapaliła światło w korytarzu, zdjęła buty i powiesiła kurtkę na wieszaku. Torbę z kanapkami postawiła na stole w kuchni. Chciała pójść do łazienki, umyć ręce, ale zatrzymała się w ostatniej chwili i zawróciła do kuchennego zlewu. Wyjęła z szafki biały talerzyk z granatową obwódką, kawę przelała do filiżanki. Jadła powoli, popijając drobnymi łykami. Próbowała słuchać, co mówią jej puste mieszkanie, osierocone sprzęty, porzucone sztućce i porcelana… Kim była Zofia? Dlaczego utrzymywała swoje życie w tajemnicy? Czy ukrywała coś jeszcze? A jeśli tak, to co?

Wszystko w tym domu było nowe, schludne i praktyczne, urządzone z gustem, bez zbędnej ekstrawagancji: woskowane parkiety, szerokie kamienne parapety, pastelowe kolory. Łagodne boczne światło padało na stół i ustawioną w rogu serwantkę. Silniejszy podmuch wiatru otworzył lufcik. Ada wstała i zajrzała do lodówki: wegetariański pasztet z oliwkami, kilka rodzajów drogich serów, jajka od kur z wolnego wybiegu. Aż do czwartkowej nocy Zofia Wagner była bezpieczna, jej życie miało się toczyć prostą, mocno ubitą drogą. Powinna poruszać się między klubem fitness, niedzielnym obiadem u rodziców, sklepem ze zdrową żywnością a ciekawą pracą. W odpowiednim momencie wyjść za mąż, urodzić dwójkę dzieci i karmić je kaszką ekologiczną oraz mięsem sprowadzanym z Japonii, gdzie pasą się najzdrowsze na świecie krowy. Kiedy skręciła z tej wygodnej ścieżki? I gdzie zabłądziła? Czy zataiła przed rodzicami tylko przelotny

związek z dresiarzem, czy też jej życie skrywało kolejne mroczne tajemnice? Ada umyła filiżankę. Delikatnie odstawiła ją na suszarkę, a potem poszła do sypialni. Czarno-biała grafika znowu przechyliła się lekko w prawą stronę. Widocznie hak został krzywo wkręcony. Ada pomyślała, że Zofię musiało to irytować. Wyciągnęła rękę i poprawiła ramę. Potem położyła się na szerokim łóżku i przykryła kocem.

Sawicki siedział w fotelu i założywszy nogę na nogę, rytmicznie poruszał stopą. Stopa towarzyszyła pulsowi jego myśli. Czasem zawisała na kilka sekund w górze, po czym gwałtownie opadała w dół, to znowu kiwała się szybko, zadziwiająco regularnym ruchem upartego metronomu. Nie miał na sobie spodni. Ada poczuła zażenowanie, choć nie był przecież całkiem nagi, włożył koszulę, skarpetki, a przede wszystkim bieliznę. Czy aby na pewno? Próbowała przesunąć się nieznacznie w stronę fotela. Zobaczyła twarde, wystające kolana, brązowe znamię na lewej łydce, blade uda porośnięte rudymi włosami i… O Boże!, odskoczyła przerażona. Odwrócił w jej stronę rozluźnioną, zadowoloną twarz. Czy myśmy poszli ze sobą do łóżka?, zastanawiała się zdumiona i rozbita, jeszcze półprzytomna po źle przespanej nocy. Jak to się stało? Przyjechał tutaj, do mieszkania Zofii Wagner. Wszedł do sypialni. Położył się obok. Nim zdążyła zaprotestować, zdjął z niej ubranie. Poczuła, że drży na wspomnienie tego, co potem nastąpiło. Dlaczego? Co też przyszło mu do głowy? I co oni teraz zrobią z tą sytuacją? Przecież pracują razem, Sawicki ma żonę i dwójkę dzieci…

– Już wstałaś? – zapytał z uśmiechem. – Napijesz się kawy?

– Skąd się tu wziąłeś?! – krzyknęła.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Przecież sama po mnie zadzwoniłaś.

Prawda, uprzytomniła sobie z przerażeniem. Obudziła się w środku nocy, zadzwoniła i poprosiła, żeby przyjechał. Była w jednym z tych lunatycznych stanów, kiedy nie do końca wie, co robi. Ale dlaczego on się zgodził? Adę ogarnęły beznadziejne wyrzuty sumienia, które przybrały formę ataku panicznego strachu. Nie da się cofnąć tego, co się stało, myślała gorączkowo. Poszli do łóżka. Pieprzyli się długo i brutalnie, ogarnięci dziwną żądzą, bliższą wściekłości i zaślepieniu niż namiętności. A teraz on siedział półnagi w fotelu Zofii Wagner i patrzył na nią z rozbawieniem, jakby w ogóle nie rozumiał powagi sytuacji. Ziewnął, przeciągnął się jak zadowolony kocur i wsunął stopy w pikowane kapcie. Na podłodze tuż przy jego nodze leżała zużyta prezerwatywa. Ada rozejrzała się bezradnie po pokoju. Żaden z mebli nie stał na swoim miejscu. Sawicki musiał je poprzesuwać, gdy spała. Zerwał też zasłony z okien i chyba wylał na podłogę wiadro zimnej wody. Dywan nasiąkł wilgocią jak gąbka. Ada naciągnęła spodnie, schwyciła sweter i wypadła z pokoju. W korytarzu ktoś pomalował ściany brzydką olejną farbą. Zniknęła antyczna serwantka z kuchni. Na stole leżała zawartość szafek: stosy torebek z przyprawami, słoiczki marynowanych owoców, puszki z kawą i herbatą, paczki makaronu i kaszy… W panice próbowała upchnąć je z powrotem na półki, nie pamiętała jednak, gdzie wcześniej leżały. Rozsypała mąkę i kakao, rozbiła porcelanowy półmisek, przewróciła stojak ze sztućcami… W końcu zrezygnowana pobiegła z powrotem do sypialni.

– Nie zdążę posprzątać przed jej powrotem! – krzyknęła do Sawickiego, który nadal siedział w fotelu. – Musisz mi pomóc, ona zaraz tu będzie!

– I co z tego – założył nogę na nogę z prowokującą obojętnością.

– Ty nic nie rozumiesz? – Drżała ze złości i strachu. – Nie mamy prawa grzebać w jej rzeczach!

– Jeżeli będziesz szukała dość długo, na pewno znajdziesz coś złego – odpowiedział z dziwnym uśmiechem.

W tym momencie Ada usłyszała trzaśnięcie wejściowych drzwi. Zofia Wagner wróciła do domu. Łup, otwarte okno uderzyło o framugę. Wełniany koc spadł na podłogę. W mieszkaniu było lodowato. Usiadła na łóżku, podciągając kolana pod brodę. Dochodziła pierwsza. Filip-Oleńka czekał na nią od dziewiętnastu godzin. Wstała, poskładała koc i przetarła oczy, po czym poszła do przedpokoju włożyć buty i kurtkę. Wychodząc, poprawiła policyjną taśmę. Jechała szybko pustymi ulicami. W centrum zrobiło się tłoczniej. Spod oświetlonych klubów ruszały taksówki pełne weekendowych imprezowiczów, po chodnikach włóczyły się grupki pijanej, rozwrzeszczanej młodzieży. Gdzieś daleko w miejskiej mgle dochodziło właśnie do strasznych, brutalnych aktów przemocy, ktoś krzykiem wzywał pomocy, ktoś płakał samotnie, ktoś inny uciekał w ciemnościach. Tymczasem życie Warszawy toczyło się jak zawsze upartym, jednostajnym rytmem, na przekór wszelkim nieszczęściom i okropnościom.

11

– Co zrobiłaś?! – krzyknął do słuchawki, próbując jednocześnie wepchnąć umyty garnek do przepełnionej szafki pod zlewem. – Musiałem spędzić popołudnie z rodziną, a ty zdołałaś w tym czasie spieprzyć śledztwo?

– Nic nie spieprzyłam – odpowiedziała spokojnie Ada, akcentując ostatnie słowo, jakby brała je w cudzysłów.

– Trzeba ją było zawieźć na komendę i dokładnie przesłuchać.

– To nie miało sensu, tylko by się przestraszyła.

– I o to właśnie chodziło, żeby ją przestraszyć. Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? – Sawicki zamknął na siłę drzwi szafki i zakręcił lejącą się wodę.

– Nic by nam wtedy nie powiedziała.

– Tobie za to powiedziała coś bardzo przydatnego! Madina Demilowa i ten dres są naszymi głównymi podejrzanymi!

– To nie ona.

– Ach tak! Może powiesz mi jeszcze, skąd o tym wiesz?

– Ma alibi.

– Potwierdzone przez rodziców i młodsze rodzeństwo. Chyba żartujesz?!

– Czuję, że tego nie zrobiła.

– Czujesz?! – Stał na środku kuchni ze ścierką przewieszoną przez prawe ramię. Miał poczucie, że za chwilę złość rozsadzi mu czaszkę. –

Oszalałaś? Prowadzisz dochodzenie, opierając się na intuicji? Może pójdziemy po prostu do wróżki i zapytamy, kto jest tym zbójem, którego szukamy. Albo wiesz co? Zadzwoń do Modzelewskiego i powiedz, że właśnie wprowadziłaś nowe, ciekawe metody badawcze. Intuicyjne. Na pewno się ucieszy!

– Intuicja nigdy mnie jeszcze nie zawiodła.

Zerwał ścierkę z ramienia i rzucił na podłogę.

– Ostrzegłaś ją, rozumiesz?! Podobno jesteś doświadczoną policjantką!

Ada milczała. Sawicki zrozumiał, że przesadził. Był rozbity i poirytowany. Potrzebował wolnej niedzieli, a tymczasem musiał zebrać siły i jechać do pracy. Zastanawiał się przez chwilę nad tym, co usłyszał. Zeznania Madiny rzeczywiście nie budziły najmniejszych podejrzeń. Gdyby była Polką, pomyślał, nie denerwowałbym się tak bardzo. Postąpiłbym dokładnie tak jak Ada i wykluczył Demilowów z grona podejrzanych. Poczuł ukłucie wstydu. Czyżby przemawiały przez niego uprzedzenia rasowe? W następnym momencie przypomniał sobie jednak sprawę Białorusinów sprzed pół roku.

– Słuchaj, niepotrzebnie się uniosłem – chciał ją przeprosić, ale coś powstrzymało go w ostatniej chwili. – Nadal uważam jednak, że trzeba było zawinąć Madinę, przetrzymać na komendzie, sprawdzić, jaki ma status, i nastraszyć deportacją. Powinniśmy też przetrzepać mieszkanie i poszukać pieniędzy.

– Byłam sama i nie miałam nakazu.

– Uchodźcy nie złożyliby skargi.

– Marcin – głos Ady zabrzmiał sucho i ostrzegawczo. – Zasady to zasady.

– Niektóre można omijać. Nie bądź głupia!

– Tak? A które dokładnie? Jeśli zaczniemy trzepać mieszkania uchodźców, co jeszcze możemy robić?

– Czy ty zawsze postępujesz zgodnie z regułami?

– Zawsze – odpowiedziała bez namysłu. – Prawie zawsze – poprawiła się szybko, ale głos jej zadrżał.

Sawicki otworzył szeroko oczy. Niespodziewanie poczuł, że odnalazł szczelinę, pęknięcie w otaczającym Adę murze. Dotknął ważnego tematu. Odetchnął głęboko.

– Przede wszystkim jak sobie wyobrażasz rewizję w pojedynkę? – ciągnęła. – Doskonale wiedziałeś, że sama tego nie zrobię.

– W porządku – mruknął. – W każdym razie nie zaszkodzi, jeśli pojedziemy tam dzisiaj jeszcze raz. We dwójkę. Jakby co, zadzwonimy do Modzelewskiego, może uda się nakaz przez telefon wynegocjować. Te siniaki na ręku wyglądają podejrzanie.

– Nie sądzę, żeby miały coś wspólnego ze śledztwem.

– Świadczą o tym, że ktoś w otoczeniu Madiny jest skłonny do przemocy. Być może nie tylko wobec niej. Pogadamy w fabryce. Teraz muszę trochę ogarnąć dom – zawahał się. – Umówmy się dwunastej. W końcu dzień święty jest, należy się nam chwila wytchnienia.

– A wynik autopsji? Mamy już coś?

Sawicki roześmiał się krótko.

– Do Zboka nie ma co latać. Powiedział, że odezwie się we wtorek, to we wtorek i wcześniej nie. Znam go dobrze.

Do kuchni zajrzała Tosia ubrana w nocną koszulę i wełniane skarpetki nie do pary. Próbował pokazać jej na migi, żeby wyszła, ale całkowicie go zignorowała. Otworzyła lodówkę. Wyjęła mleko w kartonie i nalała trochę do plastikowej miseczki.

– Nie mogę teraz gadać – westchnął. – Do zobaczenia za dwie godziny.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Schował komórkę do kieszeni i podniósł z podłogi podeptaną ścierkę.

– Czy coś się stało? – zapytała Tosia, rozgniatając w palcach czekoladową chrupkę.

– Nie, nic. Telefon z pracy.

Spojrzała na niego obojętnie i zanurzyła umazane czekoladą palce w mleku.

– Jesz jak prosię – sarknął. – Wsyp płatki do mleka i weź łyżkę.

Tosia obdarzyła go szklanym, wyniosłym spojrzeniem, po czym sięgnęła ręką po kolejną czekoladową kulkę.

Zostawił córkę w kuchni, wziął szybki prysznic i odnalazł w szafie świeżą koszulę. Ostatniej nocy obudził się około drugiej. Leżąc na plecach, wpatrywał się w sufit i rozmyślał o minionym dniu. Na urodzinach Tosi zdarzyło się coś dziwnego. Coś, co niepokoiło go i nie dawało zasnąć.

Sawicki był zdania, że wydawanie pieniędzy na kinderbal w fast foodzie nie jest najlepszym pomysłem. Zaproponował, żeby urządzić zabawę w domu, na co Olga odpowiedziała, że oczywiście, mogą to zrobić, pod warunkiem że on zajmie się przygotowaniami, a potem opieką nad dziećmi. Poczuł się dotknięty. Przecież wiedziała doskonale, że nie zna się na pieczeniu ciast i nie wymyśli sensownych zabaw dla przedszkolaków. Poza wszystkim pracował czternaście godzin na dobę i od trzech tygodni nie miał wolnego weekendu. Wyjęła mu jednak wszystkie argumenty z ręki. Więcej na ten temat nie rozmawiali. Do McDonalda dotarł punktualnie o piątej. Kącik dla dzieci zajmowali już goście Tosi. Siedzieli przejęci i odświętni, ubrani w aksamitne minimarynarki i sukienki w szkocką kratę. W napiętym oczekiwaniu ściskali w spoconych łapkach prezenty. Ponieważ było to przyjęcie niespodzianka, solenizantka miała dotrzeć wraz z mamą i starszą siostrą piętnaście minut później. Dziesięć po piątej obsługa wniosła

tort i kolorowe czapeczki. Minęło kolejne pięć minut, napięcie wśród maluchów sięgnęło zenitu. Ktoś nie wytrzymał i zaczął otwierać owinięte w papier paczki, ktoś przebił z hukiem balonik, trzy dziewczynki w bufiastych spódniczkach zanosiły się nerwowym chichotem. Dwadzieścia pięć po piątej jakiś maluch wywalił się, rąbnął głową w krzesło i zaczął wrzeszczeć, a energiczny pięciolatek przywalił pięścią w nos swojemu koledze. Sawicki pomyślał, że jeśli Olga i dziewczynki nie przyjdą przed upływem następnych trzech minut, sytuacja wymknie się spod kontroli. Tymczasem Olga się nie pojawiła. Ani w ciągu trzech minut, ani kolejnych dwudziestu. Sawicki bezskutecznie próbował się z nią skontaktować. Widocznie wyłączyła telefon. Dzwonił raz za razem. W końcu odebrała.

– Co się stało? – zapytał zdenerwowany. – Gdzie wy jesteście?

– Musiałam coś załatwić – odpowiedziała wymijająco.

– Załatwić?! – krzyknął. – Przecież są urodziny Tosi. Wszyscy czekają.

Słyszał, jak Olga szybko oddycha.

– O Boże – powiedziała w końcu. – Zupełnie zapomniałam. Powiedz, że bardzo przepraszamy. Już wsiadamy do taksówki. Będziemy za piętnaście minut.

Był tak zaskoczony, że nic nie odpowiedział. Tosia dotarła na swoje przyjęcie dwadzieścia po szóstej. Część gości wyszła wcześniej, porzuciwszy papierowe czapeczki, które walały się po podłodze. Odśpiewano *Sto lat* przy napoczętym torcie. Nie zapalano świeczek. Mimo to obie dziewczynki robiły wrażenie niezmiernie zadowolonych. Tosia, piszcząc z radości, otwierała prezenty. Olga stała pod ścianą blada i milcząca. Nie spytał, co się właściwie wydarzyło, postanowił odłożyć rozmowę na później. Zabawa trwała do siódmej trzydzieści.

Milcząc, wsiadł do samochodu. Dziewczynki drzemały na tylnym siedzeniu. Olga uparcie patrzyła w okno. Po powrocie do domu położyła córki spać, a potem usiadła ciężko na kanapie w dużym pokoju i oparła głowę na rękach. Stanął w drzwiach i przyjrzał się jej z niepokojem.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Tak mi głupio. Naprawdę nie wiem, co mi się stało.

– Ale czym zajęłaś się tak bardzo, że zapomniałaś o urodzinach własnej córki?! – rozgniewał się, jakby czekał z wybuchem właśnie na jej skruchę.

– Niczym – uśmiechnęła się bezradnie. – Słowo daję, nie robiłam nic szczególnego. Odniosłam płaszcz do pralni. Potem okazało się, że nie ma nic w lodówce, więc zabrałam dziewczynki do Lidla. W sklepie było głośno, nie słyszałam, że dzwonisz. Odebrałam dopiero po wyjściu…

– O urodzinach dziecka się nie zapomina – upierał się. – To się po prostu nikomu normalnemu nie zdarza! – podniósł głos. – Wiesz, jak głupio się czułem, czekając na was pośród tych wszystkich bachorów i ich matek?! A przede wszystkim jak bardzo się denerwowałem? Myślałem, że coś się wam stało!

– Wiem. Rozumiem… Strasznie mi przykro – odpowiedziała przepraszająco. – Ale nie cofnę tego, co się już zdarzyło. I w końcu nic strasznego się przecież nie stało. Spóźniłyśmy się tylko na urodziny…

– Jak to?… Co ty mówisz? – Był tak zdziwiony i zirytowany, że zaczął się jąkać. – Nic się nie stało? Zachowałaś się kompletnie nieodpowiedzialnie!

– Nie jestem nieodpowiedzialna – przerwała mu spokojnie, ale zdecydowanie. – Dobrze o tym wiesz. Całymi dniami zajmuję się dziewczynkami. To, że akurat przyszedłeś na urodziny, a ja się spóźniłam, nie zmienia faktu, że na co dzień sytuacja wygląda dokładnie odwrotnie. – Uniosła się na kanapie. – Nie chcę się z tobą kłócić. Naprawdę mi wstyd,

już to mówiłam. Jeżeli tego potrzebujesz, to mogę cię jeszcze raz przeprosić, ale nie mam siły prowadzić teraz długiej dyskusji. Poza wszystkim okropnie boli mnie głowa. – Wstała i wyszła do sypialni stanowczym krokiem. Nie odważył się jej zatrzymać.

W nocy obudziło go poczucie, że coś się nie zgadza. To niemożliwe, żeby Olga po prostu poszła na zakupy i zapomniała o przyjęciu Tosi.

– Co jest, do kurwy nędzy! – zaklął pod nosem. – Przecież to pochłonięci śledztwem policjanci powinni zaniedbywać rodzinę i zapominać o przyjęciach córek, a nie ich żony.

Wiercił się i przewracał z boku na bok całkiem rozbudzony. W końcu wstał, poszedł do dużego pokoju i jak co noc włączył komputer. Tym razem przeczytał uważnie opisy kilku filmów detektywistycznych, stanowczo omijając te z kobietami w rolach głównych. Ostatecznie zdecydował się na opowieść o twardym, bezwzględnym amerykańskim gliniarzu. Macho, pracoholik zaniedbujący żonę i małego synka wdał się w romans z koleżanką z grupy dochodzeniowej, z którą prowadził brawurowe śledztwo przeciw brooklyńskim gangom. Pochłonięty pracą i nową kochanką nie zauważył, że żona z dnia na dzień czuje się gorzej. Kiedy szczęśliwie zamknął sprawę i aresztował przestępców, żona trafiła do szpitala. Po paru tygodniach umarła na białaczkę.

Sawicki zdjął słuchawki z uszu i wyłączył komputer. Przez chwilę siedział nieruchomo i rozmyślał o minionym dniu. Olga się rozchorowała, uznał w końcu. Bolała ją głowa, położyła się wcześnie spać. Na pewno miała gorączkę, stąd to roztargnienie. Tylko tak da się to wyjaśnić, uznał.

W niedzielę rano obudził go telefon. Dzwonił Róg. Namierzyli w Izabelinie nową dziuplę, w której rozbierano kradzione samochody. Informator Wiktora twierdził, że po południu powinno być tam sporo osób, w tym

przedstawiciele rosyjskich kupców. Postanowili zrobić nalot i potrzebowali pomocy.

– Nie mogę – zaprotestował. – Zostawiłeś mnie samego z tym śledztwem na Mokotowie. Modzelewski chce najpóźniej do wtorku zamknąć sprawę, a ja z Mimozą nie mamy jeszcze nic w ręku. Jeden z podejrzanych przepadł jak kamfora. Musimy…

Róg rozłączył się, nim zdążył skończyć zdanie. Zgrzytnął zębami, przeciągnął się i szturchnął Olgę w plecy.

– Obudź się. – Spróbował ściągnąć z niej kołdrę, ale zamruczała tylko gniewnie i przewróciła się na drugi bok.

– Muszę iść – nalegał.

– Nadal mam migrenę – odpowiedziała, nakrywając głowę poduszką. – Przynieś mi, proszę, aspirynę…

– Źle się czujesz? – zapytał niespokojnie.

– To przesilenie wiosenne albo przeziębienie… Wezmę aspirynę i jeszcze trochę pośpię.

Wstał, ubrał się i poszedł do kuchni. Wypił szybko kawę. Brudne naczynia wypełniały zlew. Postanowił pozmywać. Wtedy zadzwoniła Ada. Kiedy skończyli rozmowę, zajrzał jeszcze raz do sypialni. Olga leżała z szeroko otwartymi oczami i wpatrywała się w sufit.

– Wychodzę – poinformował ją.

– Dobrze – mruknęła obojętnie.

– Jeżeli jesteś chora, to powiedz. Zadzwonię do rodziców, żeby zajęli się dziewczynkami.

– Już ci mówiłam. Nic mi nie jest. – Nawet nie spojrzała w jego stronę. – To tylko ból głowy.

Wycofał się więc i zamknął drzwi. W korytarzu natknął się na Hanię. Stała oparta o ścianę i patrzyła na niego intensywnym wzrokiem przybysza z kosmosu.

– Ubierz się. I swoją siostrę też. Daj jej spodnie i jakąś bluzę. Nie łaźcie cały dzień w piżamach.

– Może później. Jak nie zapomnę – odpowiedziała chłodno, łapiąc palcami gołej stopy leżącą na podłodze kredkę.

– Nie zapomnij. Jesteś już duża… – Próbował jej pochlebić.

– To twoje dziecko. Twoje i mamy – odpaliła ze złością.

Spojrzał na nią zdumiony.

– Oczywiście. Ale ty jesteś jej starszą siostrą, prawda?

Hania przesunęła kredkę, chwyciła ją dwoma palcami i powoli uniosła w górę.

– Ona teraz ciągle śpi. – Wskazała ruchem głowy sypialnię. – Kładzie się w środku dnia i zasypia. Nie można jej dobudzić…

Zmarszczył brwi.

– Od jak dawna?

– Nie wiem. Od dawna. Czy mogę włączyć telewizor?

– Możesz. Ale najpierw się ubierzcie – dodał groźnie.

Hania ruszyła w kierunku łazienki. Sawicki spojrzał na drzwi sypialni i uspokoił się, słysząc, że Olga podciąga rolety i ścieli łóżko. Włożył buty, zarzucił kurtkę i wybiegł pospiesznie z domu.

Siedząc w samochodzie, przeszukał kieszenie, w nadziei że zostało mu z wczoraj kilka papierosów, ale znalazł tylko złożoną we czworo kartkę. Chlor prosił go w piątek, żeby poprawił jego raport.

– Stary się wkurza, że nie umiem po polsku pisać – tłumaczył, czerwieniejąc. – Mówi, że wzrosły standardy względem policji. Ja

polonistyki, kurwa, nie kończyłem, żeby się mnie o stylistykę czepiać… Ty się na pisaniu lepiej znasz – dodał cicho. – Masz tu kserówkę. Może byś to jakoś wygładził?

Sawicki rozprostował kartkę: „01. 03. 2013. Podczas służbowej interwencji w lokalu przy ulicy Kruczej 17/6 odpytywana na miejscu zajścia Borkowska Justyna powiedziała mi ustnie, że 28.02.2013 roku o godzinie 7.00 mąż wyjechał do pracy na budowę w okolicach miejscowości Pruszków. Rzeczony mąż powrócił do domu o godzinie 21.45, wybił szybę w drzwiach kuchennych a następnie pobił żonę krzesłem. Wyżej wymieniony obywatel znajdował się w stanie nietrzeźwości gdyż zataczał się na nogach. Ponadto dowodem znajdowania się obywatela pod wpływem alkoholu był fakt, że zaraz poszedł spać. Nazajutrz Borkowska Justyna zgłosiła telefonicznie, iż z przyczyn niewyjaśnionych denat nie żyje”. Sawicki jęknął, wsadził kopię raportu do kieszeni i odpalił silnik.

12

W niedzielę obudziła się późno. Dochodziła dziewiąta, kiedy zepchnęła Filipa-Oleńkę z łóżka. Ostatniej nocy kot przywitał ją oburzonym wrzaskiem. Musiała sprzątnąć kupę, którą zostawił pod drzwiami sypialni, a ona, wchodząc do pokoju, dokładnie rozsmarowała ją po podłodze. Dała mu jeść. Zmieniła wodę i pozwoliła zwinąć się w kłębek na własnej piersi. Ilekroć się poruszyła, Filip-Oleńka wbijał pazurki przednich łap w jej szyję i zaczynał mruczeć. O tym, żeby zmieniła pozycję, nie było nawet mowy. Zasnęła dopiero nad ranem. Nic jej się nie śniło, w każdym razie niczego nie pamiętała.

Wstała. Otworzyła okno. Do mieszkania wpadł chłodny powiew. Wyjęła komórkę z kieszeni leżących na podłodze dżinsów. Zadzwoniła do Sawickiego i zdała sprawę z rozmowy z Madiną. Wściekł się. Spodziewała się tego. Wyłączyła telefon i ruszyła w stronę łazienki. Zatrzymała się jednak w połowie drogi i uważnie przeanalizowała własne uczucia. Przywołała w pamięci obraz Madiny siedzącej ze spuszczonymi oczami na kuchennym stołku, ubranej w workowatą sukienkę i plastikowe klapki ozdobione różowymi motylkami. Ada przypomniała sobie pięć niewielkich, okrągłych siniaków na jej przedramieniu. Po raz kolejny zalała ją fala współczucia połączonego z niepohamowanym rozdrażnieniem. W głębi duszy miała nadzieję, że Sawicki potrząśnie Czeczenami. Siłą zmusi ich do mówienia, przerwie tępe, uparte milczenie, które tak bardzo irytowało ją

poprzedniego dnia. Zdemaskuje udawaną głupotę i umiejętnie wykorzystywane trudności językowe, za którymi ukrywali się uchodźcy. Jeśli są niewinni, mają alibi i nie wiedzą nic na temat zabójstwa Zofii, dlaczego nie chcą tego powiedzieć wyraźnie? Postąpić jak normalni, racjonalni ludzie? Przygryzła wargę. Przez jakiś czas stała niezdecydowana na środku przedpokoju. W końcu wzruszyła ramionami. Nie miała powodu podejrzewać Madiny Demilowej, nie należało jednak ufać jej bezgranicznie na podstawie bliżej nieokreślonych odczuć. Intuicje już raz doprowadziły do tragedii w jej życiu… Ada przypomniała sobie ciepły, jesienny wieczór ponad dwa lata temu. Wieczór, który podzielił jej życie na dwie części: na to, co zdarzyło się przed nim, i to, co przyszło potem. Wiedziała, że nigdy nie uda jej się zapomnieć. Czas jednak płynął i nauczyła się w końcu znosić wspomnienia.

Umyła zęby, włożyła bawełniany dres i przez czterdzieści minut sumiennie ćwiczyła jogę. Lewą nogę podniosła wysoko i utrzymując chwiejną równowagę na prawej, poczuła ból w okolicach krzyża. Z przykrością uświadomiła sobie, że dobiega czterdziestki. Nie zaokrągliła się jak większość kobiet w jej wieku, lecz schudła. Na dekolcie, ramionach i wewnętrznej stronie ud skóra zwiotczała i wyschła. Żłobiły ją drobne, delikatne bruzdy. Żaden krem przeciwzmarszczkowy nie mógł powstrzymać procesu starzenia… Ada opuściła nogę. Na komodzie leżała kartka od kuzynki z Anglii, która zawiadamiała o narodzinach swojej trzeciej córki. Rozalia, mój Boże, jakie straszne imię, pomyślała, trudno wymyślić coś bardziej pretensjonalnego… Gdyby miała córkę, nazwałaby ją zwyczajnie: Anna albo Wanda… Niewielka zmarszczka między brwiami pogłębiła się i wydłużyła, łącząc nasadę nosa z linią włosów. Nigdy nie będzie miała dzieci… Nie nadawała się na matkę ani żonę. Potrzebowała samotności bardziej niż inni ludzie. Psycholog powiedziałby zapewne, że

boi się bliskości, ale Ada wiedziała doskonale, że to nieprawda. Ona jej nie potrzebowała. Od dawna miała wyrobioną opinię na swój temat. Dlaczego więc, patrząc na pocztówkę z Anglii, poczuła się nagle bez żadnego wyraźnego powodu tak strasznie obca i niedopasowana do reszty świata? Czy wystarczyło wyjść za mąż i urodzić dziecko, żeby odnaleźć spokój? Ale jak miałaby unieść tak wielką odpowiedzialność za cudze życie? Dopasowywać się, docierać, zawierać daleko idące kompromisy? Każdego dnia odbierać skierowaną do siebie przytłaczającą falę emocji? Zerknęła na wiszące na ścianie lustro. Ze srebrnej tafli odpowiedziała jej spojrzeniem szczupła twarz o ostrym wyrazie. Uzależnienie – to było słowo, którego jej brakowało. Nie chciała, żeby inni czuli się od niej zależni. Nie chciała być jak brytyjska kuzynka z jej płodnym mężem i nowym niemowlęciem o brzydkim imieniu. To nie ona miała problem, to świat nie umiał się do niej dostosować. Z chwilą kiedy zrozumiała, co ją trapi, poczuła się znowu najzupełniej spokojna.

Filip-Oleńka miauknął i otarł się o jej łydkę. Otrząsnęła się z resztek niechcianych myśli. Może dlatego wzięłam kota, a nie psa albo białego królika, myślała, wyjmując z szafki puszkę z karmą. Koty się nie przywiązują. Nie kochają. Nie dbają o nikogo prócz siebie. Z Filipem-Oleńką zawsze przegrywała zabawę w niezależność. Przytulał się, mruczał, lizał jej dłonie i czekał przy drzwiach, jeżeli długo nie wracała do domu. W gruncie rzeczy jednak wszystkie te zabiegi miały na celu zmuszenie jej, żeby zrobiła dokładnie to, na czym mu zależało: dała jeść, zmieniła żwirek w kuwecie albo podrapała go za uchem. Traktował ją jak wielką i skomplikowaną maszynę do obsługi kociego ciała.

– Kotku – szepnęła. – Kici, kici…

Filip-Oleńka oblizał uwalaną mordkę, rzucił jej przez ramię obojętne spojrzenie i ruszył w stronę drzwi.

– Nie odchodź. Tak cię potrzebuję… – Spróbowała jeszcze raz i z satysfakcją stwierdziła, że nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Zaparzyła kawę. Wyjęła z lodówki jogurt naturalny, przelała go do miseczki i dosypała suszonych owoców. Usiadła na parapecie, trzymając ciepłą filiżankę między kolanami. Termometr za oknem wskazywał minus jeden. Z nieba leciały małe, twarde płatki. Co pewien czas w polu widzenia pojawiał się okutany w palto i ciepły szalik przechodzień, który podążał nerwowym kłusem w kierunku otwartej piekarni. Nad dachami kamienic zebrał się wał ciężkich, napęczniałych śniegiem chmur. Przed jedenastą zaczął wiać wiatr. Niezbyt silny, a jednak poderwał z dachu śmietnika zdezelowaną parasolkę i pognał ją w dół ulicy. W kuchni pachniało przyprawami. Ogarnęła ją senność, więc potrząsnęła ramionami i wstała. Włączyła ekspres do kawy. Wyłączyła go. Złożyła ścierkę w równą kostkę. Strzepnęła ją, powiesiła na haczyku i w końcu zadzwoniła do Kasi.

– No? – odezwał się cierpki głos.

Ada poczuła się całkowicie zdezorientowana. Nie dzwoniła do siostry od kilku miesięcy.

– To ja – powiedziała niepewnie. – Ada.

– Wiem, że to ty. Wyświetlasz mi się przecież. Chociaż w zasadzie powinnam cię była dawno wykasować. Zajmujesz tylko miejsce w kontaktach. Z tego, co pamiętam, ostatni raz odzywałaś się do mnie w listopadzie…

– Myślałam…

– Niezależnie od tego, co myślałaś, myślałaś źle – przerwała stanowczo.

Ada słyszała, jak zapala papierosa. Najwidoczniej nie tylko ona była zdenerwowana. Kasia wypuściła dym z pospiesznym świstem.

– Mieszkasz już w Warszawie?

– Tak.

– Od kiedy?

– Od dwóch miesięcy – przyznała ze wstydem. – Nie miałam czasu się odezwać. Byłam zajęta przeprowadzką i…

– Dobrze, dobrze. Nie interesuje mnie to aż tak bardzo. Po co dzwonisz?

– Bo chciałam się z tobą spotkać.

– W celu?

– Jesteś moją siostrą.

– I co z tego? Przez większość życia doskonale dawałyśmy sobie radę jako jedynaczki i wygląda na to, że przynajmniej ty nadal świetnie się w tej roli odnajdujesz.

– Słuchaj. – Ada zaczerpnęła powietrza. – Zamierzasz mnie teraz karać za to, że się nie odzywałam? Okej. Jestem ukarana. Ale może się jednak zobaczymy?

Zapadło kłopotliwe milczenie.

– Łapówka – powiedziała w końcu Kasia.

– Słucham?

– Mógłby uratować cię w moich oczach rodzaj łapówki. A raczej pożyczki, której udzieliłabyś mi na czas określony, dokładnie na dwa miesiące.

– W porządku. – Ada uznała, że przeprosiny zostały przyjęte, odetchnęła spokojniej i dolała sobie kawy. – Ile?

– Sześćset złotych. – Kasia wyraźnie się speszyła. – Wiesz dobrze, że i tak bym się z tobą spotkała, ale jestem obecnie w fatalnej sytuacji finansowej, a rozumiem, że nadal korzystasz z uprzejmości płatniczych swojego ojca i w przeciwieństwie do mnie masz mnóstwo kasy…

– Nie ma sprawy – Ada przerwała nieco zbyt pospiesznie.

– Świetnie, w takim razie o ósmej we wtorek. Wybierz spot.

Ada zmarszczyła brwi. Nie znała warszawskich kawiarni. Wyprowadziła się do Wrocławia dziesięć lat temu, wiele zmieniło się w tym czasie w jej rodzinnym mieście.

– Jest takie bistro przy skwerku, na rogu Dąbrowskiego i Puławskiej – zaczęła niepewnie.

– Wiem. Press Enter. Nigdy tam nie byłam, ale możemy spróbować.

– We wtorek o ósmej?

– Stoi.

Na dworze cienki lód trzaskał pod stopami. Ada odśnieżyła samochód, wsiadła i czekała cierpliwie, aż odmarzną szyby. Nagle coś ją zaniepokoiło, jakby przegapiła ważny szczegół albo zapomniała o czymś niezmiernie istotnym. Z jakiegoś powodu wydało jej się, że powinna jeszcze raz odwiedzić mieszkanie Zofii Wagner. Próbowała zignorować irracjonalne przeczucie, ale kiedy odsuwała je od siebie, powracało ze zdwojoną siłą. Spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia po jedenastej. Jeśli się pospieszy, zdąży zajrzeć na Mokotów i przed dwunastą dotrze na komendę. Nacisnęła gaz. Szybko przemknęła przez puste centrum. Na Dąbrowskiego chodnik był gęsto obstawiony. Objechała skwerek i pobliskie ulice. W niedzielny poranek w Warszawie nie dało się zaparkować. W końcu zajęła miejsce dla inwalidów, tuż przy osiedlowym bistro. Znajomy barman pomachał jej przez szybę. Miała wielką ochotę zajrzeć do środka, wypić kolejną kawę i dokładnie przyjrzeć się wszystkim tatuażom na jego nagich ramionach, zamiast tego jednak przecięła ulicę i weszła do kamienicy numer trzy.

Zniknęły ostrzegawcza taśma i plomba. Najwidoczniej służby policyjne usunęły je z samego rana. Drzwi do mieszkania wyglądały teraz całkiem niewinnie. Ada przekręciła klucz w zamku, nacisnęła klamkę i zatrzymała

się w progu. Każdy dom miał niepowtarzalny charakter, który przejmował od mieszkańców, zatrzymywał i pielęgnował nawet po ich śmierci. Umiała go wyczuć. Wchodziła do mieszkania, rozglądała się i po chwili wiedziała już całkiem sporo o jego właścicielu. W powietrzu dryfowały stare, zużyte strzępki myśli, pobrzmiewały dawne rozmowy, czasem potykała się o napięte emocje, jak ledwo dostrzegalne żyłki rozciągnięte tuż nad podłogą, słyszała płacz lub odległy śmiech. To wszystko pozostawało zamknięte w meblach i drobnych sprzętach, odbijało się w lustrach, okiennych szybach, leżało zagrzebane w kłaczkach kurzu na podłodze. Wystarczyło tylko nadstawić ucha i uważnie patrzeć. Kiedyś próbowała nauczyć tego Norberta. Prowadziła go od pokoju do pokoju, otwierała lodówkę i szafki w łazience.

– Zobacz – tłumaczyła. – Tani, wyschnięty tusz do rzęs, zużyte waciki, plama na wykładzinie i ten okropny zapach, intensywna woń wędzonej ryby. Co ci to mówi?

Norbert kiwał głową i uśmiechał się nieśmiało, jak speszone dziecko.

– Że mieszkał tu bałaganiarz?

Towarzyszył jej krok w krok, jak wielki, wierny pies. Na początku tylko ją irytował – zbędny ciężar, który musiała ciągnąć za sobą przez koleiny śledztwa. Wkrótce jednak zauważyła, że jeśli przestaje zmuszać go, żeby myślał i działał jak ona, staje się niezwykle sprawnym policjantem. Był pracowity, skuteczny, rozumował logicznie i działał szybko. Traktował poważnie jej dziwaczne intuicje, nie pozwalał jednak, żeby całkowicie nią owładnęły. Za każdym razem gdy odpływała w swój nierealny świat majaków i duchów, potrafił sprowadzić ją na ziemię.

– Ada, czy to się nam przyda? – pytał miękko. – Czy naprawdę interesuje nas fakt, że ten mężczyzna co tydzień odnosił pościel do magla? Nawet jeśli rzeczywiście tak robił?

Przyznawała mu rację. Uzupełniali się znakomicie. Tworzyli idealny zespół. Był jedynym bliskim jej człowiekiem, do którego czuła coś innego niż gwałtowne, zawsze skrajne emocje: miłość lub nienawiść, pożądanie lub znużenie. Łączyła ich prawdziwa przyjaźń. A potem zdarzył się ten wypadek. Teraz musiała radzić sobie sama…

Tak jak poprzedniego wieczoru zrzuciła buty i odwiesiła płaszcz. W kuchni panował porządek. Filiżanka, z której piła latte, stała spokojnie na suszarce. Z łazienki usunięto ślady zbrodni. Ani kropli krwi. Podłoga lśniła czystością. W małym pokoju szuflady komody były nadal wysunięte, dokładnie tak jak wtedy, kiedy widziała je po raz pierwszy. Dopiero gdy weszła do sypialni, drgnęła i rozejrzała się czujnie. Coś się nie zgadzało. Coś się zmieniło. Nie potrafiła jednak powiedzieć co. W skupieniu badała szczegół po szczególe: surowa, czarno-biała grafika nad łóżkiem dzisiaj też lekko się przechyliła, wysoka szafa z jasnego drewna była zamknięta, koc został starannie złożony na fotelu. Nagle zmarszczyła brwi. Na półkach leżały stosy kolorowych czasopism, kilka albumów i rząd plastikowych skoroszytów. Znowu ogarnął ją niejasny, irytujący niepokój. Usiadła powoli, próbując zrozumieć, o co właściwie chodzi, ale nieokreślone uczucie zawibrowało i rozpłynęło się jak kłąb porannej mgły, nim zdążyła pochwycić je i zbadać. Co by powiedział Norbert? Próbowała przywołać w myślach twarz przyjaciela, przypomnieć sobie spokojny głos, naśladować racjonalny, jasny sposób myślenia: „Jeśli coś cię niepokoi i jeśli twoje przeczucie ma uzasadnione podstawy, to jestem pewien, że wróci. Wystarczy poczekać”. Spojrzała na komórkę. Dochodziła dwunasta. Poderwała się z fotela. Włożyła buty, zarzuciła płaszcz na ramiona i zbiegła do samochodu.

Weszła do holu komendy za trzy dwunasta. Idealnie, pochwaliła się w myślach i bez pośpiechu zdjęła rękawiczki. Sawicki jeszcze się nie zjawił. Na schodach spotkała Szczepaniaka.

– Zabezpieczyliśmy komputer tej całej Wagner – mruknął. – Nie mogłem cię wczoraj znaleźć – dodał oskarżycielsko, nie ukrywając wrogości.

– O której? – zapytała.

– Co o której?

– O której nie mogłeś mnie znaleźć?

Technik zastanawiał się niechętnie.

– O czwartej – odpowiedział w końcu.

– O czwartej byłam w swoim pokoju.

Na gładkiej, okrągłej twarzy wykwitł rumieniec jak na dojrzałym jabłku.

– Nie było cię – zaprzeczył ze złością.

Ada przyjrzała mu się spokojnie. Nie ma sensu go dalej drażnić, uznała. Nie ma sensu na samym początku robić sobie wrogów w nowej pracy, przywołała w myśli słowa Sawickiego.

– Okej. Może poszłam akurat kupić coś do jedzenia – zgodziła się. – Zostawię płaszcz w pokoju i zaraz przyjdę obejrzeć komputer.

– Za wcześnie. – Szczepaniak po raz pierwszy spojrzał jej w twarz. – Komputer jest chroniony hasłem. Trzeba je złamać. To nam zajmie kilka dni. Ale na pewno je rozgryziemy – dodał ugodowo.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się, jak umiała najuprzejmiej.

Kartą magnetyczną otworzyła drzwi prowadzące do wydziału. Korytarz był pusty, sekretariat zamknięty. W budynku panowała cisza i tylko dalekie echo niosło odgłos czyichś pospiesznych kroków. Rozebrała się. Powiesiła

płaszcz na wieszaku. Z leżącego na podłodze rulonu oderwała czystą płachtę papieru i umieściła ją na biurku. „Zabójstwo Zofii Wagner”, napisała na samym środku drukowanymi literami.

13

Sawicki zastał Adę pochyloną nad dużym arkuszem papieru. Pośrodku karty napisała grubymi, drukowanymi literami: „Zabójstwo Zofii Wagner”. Od nazwiska ofiary biegły strzałki do nazwisk świadków. Ada gryzła końcówkę flamastra i zdawała się nie zauważać, że wszedł. Zdejmując kurtkę, obserwował ją spod oka. Miała na sobie wełnianą spódnicę w szkocką kratę i ciemny, obcisły sweter. Przyłapał się na tym, że z zainteresowaniem studiuje kształt jej piersi, chrząknął i odwrócił głowę.

– Jest informacja z banku – powiedziała w przestrzeń. – Zofia Wagner podjęła pieniądze w środę rano. Okrągłe cztery tysiące. Tyle tylko, że nie wpłaciła żadnej kaucji. Udało mi się również zdobyć prywatny numer jej szefa. Nie wypożycza sprzętu pracownikom i nigdy tego nie robił. Był bardzo zaskoczony moim pytaniem. Wygląda na to, że Zofia pilnie potrzebowała kasy. I wyprodukowała na rzecz rodziców popelinę.

– Popelinę? – powtórzył bezwiednie, myśląc jednocześnie, że czuje się bardzo zmęczony po wczorajszej kłótni z Olgą i że chce mu się palić.

– Popelina, czyli inaczej tandeta, kiepskie kłamstwo. Pochodzi od nazwy lekkiej tkaniny w drobne prążki. Słowo używane w gwarze podlaskiej – wyrecytowała, jakby czytała słownik języka polskiego.

Sawicki westchnął i odgonił myśl o papierosie.

– Czyli mamy kolejną tajemnicę…

– Tak – zgodziła się, rysując na papierze duży znak zapytania. – Powinniśmy się dowiedzieć, dlaczego kłamała. I na co potrzebowała pieniędzy.

– A przede wszystkim co się z tymi pieniędzmi stało.

– Właśnie. – Skinęła energicznie głową. – Twoja teoria dotycząca Madiny może być oczywiście słuszna. Ale mnie wydaje się zbyt prosta. – Wskazała palcem strzałkę prowadzącą do napisu: „Rodzina Demilowów”.

– Proste teorie zazwyczaj się sprawdzają – zaoponował.

– Racja – przyznała. – Nie chcę się z tobą kłócić i wcale nie bagatelizuję tej możliwości. Oni wszyscy… Cała ta rodzina się czegoś boi. – Wcisnęła skuwkę na czubek flamastra. – Ale to nie śledztwo ich przeraża. Madina kłamała, bo pracuje na czarno i nie chce, żeby to wyszło na jaw. Absolutnie nie brała pod uwagę, że może być podejrzana o morderstwo.

Pochylił się nad biurkiem i zaczął jej uważnie słuchać.

– Może dobrze grała? – zapytał.

– Nie ze mną.

– Słucham?

– Mnie by nie oszukała.

– O! – Roześmiał się. – A to niby dlaczego?

– Zazwyczaj wiem, co ludzie myślą… Czują… – Ściągnęła łopatki i wygładziła sweter na piersiach.

Sawicki miał dziwne wrażenie, że nie zrobiła tego przypadkiem. Zaczerwienił się i chrząknął nerwowo.

– Ona się boi policji – ciągnęła spokojnie, jakby nie zauważyła jego zmieszania. – I każdej władzy. Tak samo jak jej matka i ojciec. Kontaktowałam się już z Urzędem do spraw Cudzoziemców. W poniedziałek mają sprawdzić ich status. – „Status” napisała na płachcie

i podkreśliła grubą kreską. – Według mnie o to tu chodzi. Nikogo nie zabili, po prostu grozi im deportacja. Najbardziej podejrzanym pozostaje w tej sytuacji nieuchwytny Wójcik. – Wskazała kolejną strzałkę.

Sawicki zacisnął szczęki.

– Gdybyśmy nie zostali z tym zupełnie sami, można by zainstalować mu pod domem tyczkę. A tak, cholera… – zdenerwował się. – Mamy się rozdwoić czy jak to sobie Róg wyobraża? – Ugryzł się w język. Nie powinien narzekać przy Adzie na najlepszego kolegę. Mimo wszystko była nowa. Była nowa i była kobietą…

– Wójcik nie ma stałego miejsca pracy – podjęła.– Urodził się w Puławach. Może jego rodzice nadal tam mieszkają i pojechał ich odwiedzić? Trzeba to sprawdzić.

Czuł lekki zapach jaśminowych perfum. Ada podwinęła rękaw i widział teraz jej szczupły nadgarstek, na którym dzwoniły kolorowe emaliowane bransoletki.

– I jest jeszcze coś.

– No?

– Był dwukrotnie notowany. Ale nie zdążyłam przejrzeć akt i nie wiem jeszcze za co…

Podniósł głowę i złowił jej nerwowe spojrzenie.

– Tak – odpowiedział, chociaż o nic nie zapytała. – On gdzieś tam jest. Na ulicy. I może być niebezpieczny. Ale jeśli to rzeczywiście on, powtarzam, jeśli, to najprawdopodobniej przyczaił się i obserwuje z boku rozwój wydarzeń, na razie nie ma żadnego powodu do niepokoju.

Zapadło milczenie. Ich myśli spotkały się i biegły razem tym samym tropem. Sawicki wiedział z doświadczenia, jak ważne jest takie poczucie podczas wspólnego śledztwa. Po raz pierwszy zobaczył w Adzie kogoś

więcej niż zadbaną, pachnącą drogimi perfumami kobietkę. Po raz pierwszy widział w niej partnera.

– Pogadam z Rogiem – zdecydował w końcu. – Muszą nam przydzielić jeszcze jedną osobę, kogokolwiek, do obserwacji mieszkania na Ursynowie. A teraz – ciągnął już z większą energią – zastanówmy się, co dzisiaj robić.

– Dzwoniłam do Moniki Lewickiej. Może się z nami spotkać o wpół do drugiej. To za dwadzieścia minut – powiedziała, patrząc na komórkę.

– Jedziemy – zgodził się natychmiast.

– Jak się udały urodziny? – zapytała niespodziewanie, czym całkowicie zbiła go z tropu.

– Dobrze – bąknął. – A co?

– Nic. – Wkładała właśnie płaszcz i stała odwrócona do niego plecami. – Jedziemy przeprowadzić trudną rozmowę. Ważne, żebyśmy oboje byli skupieni… To znaczy – wyjaśniła, naciągając czapkę – żebyś nie myślał w tym czasie o swoim prywatnym życiu…

Zatkało go. Nie wiedział, czy ma się roześmiać, czy rozgniewać.

– Mam prawo myśleć, o czym mi się podoba – żachnął się.

– Wiem – przytaknęła poważnie, wiążąc szalik. – Mówię tylko, że tak bym wolała.

– Nigdy nie zdarza ci się zastanawiać nad osobistymi problemami w czasie śledztwa?

– Nie.

– Nie masz życia poza pracą?

Odwróciła twarz w jego stronę.

– Nie – odpowiedziała bez zastanowienia. – Moje życie rodzinno-towarzyskie jest wyjątkowo ubogie.

Nie wydawała się zasmucona tym wyznaniem, uśmiechała się ugodowo, jakby omawiała oczywisty, całkiem obojętny fakt.

Sawicki przełknął głośno ślinę.

– Dobrze więc – podjął prędko. – Odpytamy Lewicką. Potem sprawdzimy papiery Wójcika. Wieczorem zdążymy jeszcze zajrzeć na Wolę, do Demilowów. Taki mamy plan.

Nieznacznym ruchem głowy dała do zrozumienia, że się zgadza.

– Ada – bąknął niepewnie.

– Tak?

– Odwaliłaś kawał dobrej roboty…

– Pracowałam – zawiesiła głos na swobodniejszej nucie i mógł przysiąc, że po jej twarzy przemknął lekki uśmiech.

Tym razem pojechali samochodem Ady. Prowadziła szybko i pewnie. Sawicki siedział obok i dyskutował z Rogowskim przez telefon. Musiał się mocno nagimnastykować, ale w końcu zdołał wynegocjować niewielką pomoc w postaci policjanta, który od nadchodzącego wieczoru miał obserwować mieszkanie Wójcika.

– Od siódmej – powiedział, chowając telefon do kieszeni. – Słowo daję, Róg tak charka w komórkę, że o mało nie napluł mi do ucha.

Ada zaśmiała się cicho. Niespodziewanie poczuł się przy niej spokojny i rozluźniony. Była trochę dziwna, ale do tej pory dawała sobie radę ze śledztwem lepiej, niż mógł przewidywać w najśmielszych marzeniach. Robiła wrażenie spostrzegawczej i inteligentnej. Za każdym razem zgadzał się z jej konkluzjami, z wyjątkiem momentów, kiedy zaczynała opowiadać o intuicjach. To go irytowało. Sam miewał przeczucia, nauczył się jednak traktować je w sposób co najmniej podejrzliwy. Liczyły się fakty, dowody i logiczny tok myślenia. Nie wydawało się jednak, żeby intuicje Ady mogły

źle wpływać na przebieg dochodzenia. Była dobrym, doświadczonym śledczym, a wyglądała i pachniała znacznie lepiej niż reszta policjantów z wydziału. Przez chwilę miał ochotę opowiedzieć jej o wczorajszej kłótni z Olgą i nieudanych urodzinach, ale w końcu oparł się wygodnie i przymknął oczy. Panujące między nimi milczenie nie ciążyło mu już tak bardzo.

Monika Lewicka mieszkała na Powiślu, w pobliżu szpitala położniczego. Osiem lat temu tam właśnie przyszła na świat starsza córka Sawickiego. Za każdym razem kiedy przejeżdżał obok, przypominał sobie strach, który ogarnął go na widok pomarszczonego niemowlęcia. Lęk znacznie większy niż ten, którego doświadczał w obliczu najgroźniejszych przestępców. Paraliżujące uczucie bezradności… Minęli szpital. Ada zaparkowała na Dobrej. Wysiedli. Niebo się przejaśniło i mogli dojrzeć odległy biały krążek wiszący nad miastem. Chodnik zalała fala światła, rozmarzające krople wody na gałązkach drzew zabłysły tysiącem iskier. Złote, wesołe plamy tańczyły na murze. Czyżby w końcu nadchodziła wiosna?, pomyślał i ogarnęła go niespodziewana radość. W następnej chwili jednak znad rzeki nadpłynęły chmury i Warszawa znowu pogrążyła się w cieniu.

Monika Lewicka czekała na nich w otwartych drzwiach. Sawicki jej nie poznał. Dwa dni temu miała opuchniętą czerwoną twarz, błędny wzrok i rozwichrzoną czuprynę pozlepianych włosów. Dziś upięła na karku zgrabny kok. Zauważył, że umalowała się dyskretnie. W jej uszach błyszczały perłowe kolczyki.

– Dzień dobry. – Zaprosiła ich gestem do środka.

Weszli do niewielkiego jasnego pokoju. Usiedli przy stole.

– Kawy? Herbaty? – zapytała.

Poprosił o kawę, Ada podziękowała.

– Przykro mi, że musimy znowu panią niepokoić – zaczęła, kiedy Monika wróciła z kuchni, niosąc na tacy pełne filiżanki. – Ale potrzebujemy pomocy… – Uśmiechnęła się przyjaźnie.

Sawicki wsypał do kawy pięć łyżeczek cukru i ze wstydem pochwycił zdumione spojrzenie gospodyni.

– Powiedziałam już wszystko, co wiem.

– Nie oczekujemy żadnych rewelacji ani nowych szczegółów. Prawdę powiedziawszy, chcielibyśmy porozmawiać, żeby wyrobić sobie zdanie na temat Zofii Wagner. Próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś od rodziców, ale wygląda na to, że nie znali dobrze własnej córki… – Ada zawiesiła głos.

Sawicki zrozumiał, że nie jest pewna, ile może powiedzieć o przebiegu śledztwa, dokończył więc za nią.

– Wagner zataiła przed rodzicami wiele szczegółów z własnego życia.

– Tak – potwierdziła zdecydowanie Monika.

– Nie dziwi pani, że nie powiedziała ani matce, ani ojcu o chłopaku, z którym chodziła przez trzy miesiące?

– Nie. – Monika uniosła filiżankę do ust. – Zofia nigdy nie miała dobrego kontaktu z rodzicami. Łączyła ich dziwna więź. – Przerwała i zmarszczyła nos, szukając odpowiedniego słowa. – Taka wymiana z obustronną korzyścią.

Ada przyglądała się jej uważnie. Nie po raz pierwszy Sawicki odniósł wrażenie, że widzi więcej niż on. Więcej niż młodą, hożą dziewczynę w harcerskim typie, która pije kawę z białej filiżanki. Jakby umiała sięgnąć wzrokiem znacznie głębiej i dojrzeć coś szczególnego, co jemu umykało.

– Może to pani wyjaśnić? – zapytał.

– Spełniała ich oczekiwania, była ładna, inteligentna, dobrze się uczyła. A oni w zamian dawali jej dużo swobody. Dopóki nie sprawiała kłopotów, nie interesowali się szczególnie jej życiem. Kiedy dorosła, dostawała

całkiem sporo pieniędzy: kursy językowe w Stanach, nowe mieszkanie, samochód… Może to nie do końca sprawiedliwa opinia, ale moim zdaniem płacili jej za to, że jest udanym dzieckiem, a ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Sawicki pociągnął łyk kawy i zastanawiał się nad następnym pytaniem. Monika Lewicka okazała się spostrzegawcza i inteligentna. Należało to wykorzystać.

– A więc nie powiedziała rodzicom o chłopaku, o tym dresiarzu, bo się go wstydziła?

– Niekoniecznie. Może po prostu nie traktowała tej znajomości serio. Miała krótki romans i nie wiązała z nim planów na przyszłość.

Skinął głową.

– A praca w fundacji? O tym państwo Wagner też nie mieli pojęcia.

– Wiem – odpowiedź padła natychmiast. – To akurat da się łatwo wytłumaczyć. Jej ojciec by tego nie pochwalał. Widzi pan… – zawahała się – to jeden z tych facetów, którzy mówią: „Ja do kolorowych nic nie mam, ale z arabusami interesów bym nie robił” albo „Nie chodzi o uprzedzenia, czarni studenci po prostu uczą się gorzej. Takie są fakty”. Gdyby się dowiedział, że córka pomaga uchodźcom, zacząłby protestować. Zofia nie miała ochoty na dyskusje.

– Jest jeszcze jedna niewyjaśniona sprawa… Wagner pożyczyła w poniedziałek cztery tysiące od matki. Twierdziła, że musi wpłacić kaucję za sprzęt komputerowy. Sprawdziliśmy to. Nic podobnego nie miało miejsca. Wydawnictwo, w którym pracowała, nie wypożycza sprzętu grafikom.

Monika uniosła ze zdziwieniem brwi.

– To do niej niepodobne – przyznała. – Miała lekkiego hopla na punkcie prywatności, zatajała wiele rzeczy, ale nigdy nie kłamała. A już na pewno

nie w sprawie pieniędzy. Znałam ją od lat. Była bardzo uczciwa.

– Co więcej – ciągnął Sawicki – podjęła pieniądze z banku w środę rano. Nie ma ich w mieszkaniu i nie wiemy, co się z nimi stało. Czy istnieje możliwość, że dała je czeczeńskiej sprzątaczce? To miałoby jakiś sens. – Powoli układał ewentualny przebieg wydarzeń. Mówił cicho, w skupieniu, zwracając się bardziej do siebie niż do Moniki i Ady. – Uchodźcy byli w potrzebie. Wagner postanowiła im pomóc, ale sama nie miała tyle pieniędzy. Pożyczyła kasę od rodziców, a ponieważ wiedziała, że nie zechcą wspierać Czeczenów, wymyśliła zgrabne kłamstwo. Cel uświęca środki…

– Nie. – Monika zaprzeczyła tak zdecydowanie, że oboje drgnęli i spojrzeli na nią zaskoczeni. – To niemożliwe. Zofia była absolutnie przeciwna dawaniu pieniędzy. Jestem tego pewna. Nie zrobiła tego.

– W takim razie na co potrzebowała czterech tysięcy?

– Nie mam pojęcia.

– Dobrze. – Sawicki dopił kawę i odstawił filiżankę. Na dnie został brązowy, miałki osad nierozpuszczonego cukru. Miał wielką ochotę wygrzebać go łyżeczką, ale wstydził się Ady i Moniki. – Już o to pytałem, chciałbym jednak zrobić to jeszcze raz: czy przychodzi pani do głowy, kto mógł zabić Zofię Wagner?

– Nie wiem. – Monika zawahała się. – Miała problemy z tym dresem. Ale dawno o nim nie słyszałam. Zresztą ostatnio rzadko rozmawiałyśmy…

Ada uniosła głowę.

– Ostatnio? – zapytała. – Czy chce pani powiedzieć, że Zofia się zmieniła? Inaczej się zachowywała? Może coś ją martwiło?

– Zmieniła się od czasu zerwanych zaręczyn. I tak, miałam poczucie, że coś ją gnębi, zawiedziona miłość. Zawsze była zamknięta, typ samotnika, ale kiedy Karol poszedł do seminarium, całkowicie się wycofała.

Zdziwiłam się bardzo, kiedy zadzwoniła z propozycją spotkania. Nie widziałyśmy się przeszło miesiąc, czasem rozmawiałyśmy przez telefon albo pisałyśmy krótkie maile. Wolała porozumiewać się na odległość, najlepiej przez Internet.

– I nie wie pani, o czym chciała porozmawiać?

– Nie mam pojęcia.

Sawicki wstał.

– Dziękuję. – Wyciągnął rękę. – Bardzo nam pani pomogła.

Monika ujęła jego dłoń zdecydowanym gestem i uścisnęła ją silnie, energicznie, po męsku.

– Jestem zawsze do dyspozycji. Złapcie drania, który to zrobił!

– Złapiemy – zapewnił i skierował się w stronę drzwi.

– Jeszcze jedno – powstrzymała go Ada. – Ten ruch, do którego należał Karol. Nina Wagner mówiła, że Zofia nazwała go sektą.

– Bo to jest sekta. – Monika Lewicka miała najwyraźniej wyrobioną opinię na każdy temat. – Raz uczestniczyłam z Zosią w otwartym spotkaniu dla zainteresowanych. Karol nas namówił. Odbywało się w podziemiach jakiegoś klasztoru na Ursynowie. Przyszło z dziesięć osób. Usadzono nas w kręgu. Wszyscy kolejno mieli o sobie opowiadać. Na środku stał ksiądz i zadawał pytania. I muszę przyznać, że najlepszy psycholog mógłby mu pozazdrościć. Tak nami wszystkimi manipulował, że nim zdążyliśmy się zorientować, zwierzaliśmy się z najbardziej intymnych i wstydliwych szczegółów naszego życia. Pod koniec uwierzyłam głęboko, że jestem zatwardziałą grzesznicą, a jedyna droga do zmiany i zbawienia prowadzi przez Ruch Dzieci Niepokalanej. Otrzeźwiałam dopiero kilka godzin później. Nigdy więcej tam nie poszłam.

– Czy Zofia była wierząca?

– Jak najbardziej. Miała nawet okres, kiedy zaangażowała się w ruch pro-life. Trochę się wtedy pokłóciłyśmy… Mam wrażenie, że pryncypialność religijna nieco jej przeszła, kiedy Karol został zmanipulowany przez sektę i zdecydował się zostać klechą.

– Ale wstąpił przecież do zwykłego seminarium. Ma zostać normalnym księdzem w parafii, którą wyznaczą władze kościelne. Tak to się chyba odbywa?

– A pani myśli, że oni nie mają tam swoich ludzi? To jest rozbudowana, poważna organizacja. Wniknęli we wszystkie kościelne struktury. I oczywiście zależy im na tym, żeby szkolić własnych księży. Dlatego zmanipulowali Karola.

Po raz pierwszy uległa emocjom. Mówiła głośno, nerwowo, trzęsły się jej ręce. Ada obserwowała ją czujnie. Sawicki milczał.

– Czy uważa pani, że ktoś z tego ruchu mógł mieć związek ze śmiercią Zofii?

Monika drgnęła. Widać było, że się zastanawia.

– Nie – odpowiedziała w końcu. – Nie sądzę… Zofia i Karol rozstali się ponad rok temu. Z tego, co wiem, nie utrzymywali kontaktów.

Zrobiło się cieplej. Chmury zasnuły niebo i zaczął siąpić deszcz. Stare płyty chodnikowe zapadły się w wielu miejscach. Dziury w bruku wypełniała woda. Kilka drewnianych desek ułatwiało dojście do ulicy. Sawicki przystanął, rozglądając się w poszukiwaniu sklepu spożywczego. Chciał kupić zapas czekoladowych batoników. Przed nimi rozciągał się bury trawnik. Pod skarpą w gęstych zaroślach buszował pies.

– Mądra dziewczyna – powiedział z uznaniem. – Gdyby z każdym świadkiem rozmawiało się w ten sposób, dochodzenie trwałoby dwa razy krócej.

Ruszyli powoli w stronę samochodu. Sklepu nadal nie było w zasięgu wzroku.

– Zapomniałam zapytać o receptę. – Ada przystanęła raptownie i zamierzała wrócić.

– Daj spokój – powstrzymał ją. – Nie sądzę, żeby miała specjalne znaczenie. Skupmy się na Wójciku. Trzeba jak najszybciej zadzwonić do jego rodziców.

– I przejrzeć papiery – zgodziła się.

– Tak, to nasz plan na dziś.

– Szczepaniak zabezpieczył komputer Wagner. – Ada wyjęła kluczyki. – Ale musimy poczekać, aż technicy złamią hasło do systemu.

– Dobrze – odpowiedział. – Warto go przejrzeć. Lewicka wspomniała, że Zofia porozumiewała się ze znajomymi głównie za pomocą maili. Może znajdziemy coś interesującego. W sumie nadal mało o niej wiemy. Tyle że była skryta, chodziła własnymi drogami i miewała niezależne, zdecydowane opinie.

Ada otworzyła samochód.

– Niepokoi mnie kwestia sekty i tego całego Karola – mruknęła, wsiadając. – Ta sprawa wyskakuje za każdym razem jak królik z kapelusza. Nie powinniśmy jej ignorować.

Sawicki wiedział, że ma rację. Jeśli jakiś element powracał uporczywie w czasie śledztwa, należało przyjrzeć mu się bliżej. Ada ściągnęła rękawiczki. Na serdecznym palcu nosiła duży pierścionek z ciemnego kamienia, inkrustowany kawałkami srebra. Ręczna, skomplikowana robota. Musiał kosztować kupę pieniędzy, pomyślał. Skąd ona ma kasę na takie wybryki?

– Słuchaj – powiedział. – Ta Lewicka to niegłupia laska. Ale nie możemy wierzyć we wszystko, co mówi. Ewidentnie ma za złe Karolowi,

że zostawił Wagner. Trudno się jej dziwić, zwłaszcza że jej najbliższa przyjaciółka została kilka dni temu brutalnie zamordowana. Mówiąc szczerze, opowieść o sekcie, która rozrasta się w łonie Kościoła katolickiego, nie do końca do mnie przemawia…

Ada siedziała, złożywszy dłonie na kierownicy. Westchnął ciężko.

– Dobrze – zgodził się z rezygnacją. – Miejmy to jak najszybciej za sobą. Po powrocie do fabryki trzeba skombinować telefon do tego Karola.

– Dzwoniłam wczoraj do seminarium. Podali mi numer komórki – odpowiedziała obojętnie.

– W takim razie skontaktuj się z nim i umów – mruknął ponuro.

Zdjął czapkę i odchylił głowę na oparcie. Po dobrym humorze, jaki ogarnął go w czasie rozmowy z Moniką Lewicką, nie został najmniejszy ślad. Ada przekręciła kluczyk w stacyjce, zawróciła gwałtownie i ruszyła w stronę placu Bankowego.

14

Do Pałacu Mostowskich dotarli po drugiej. Na biurku leżało niedzielne wydanie bulwarówki. Ktoś zaznaczył grubym flamastrem jedno ze zdjęć i dorysował pod spodem usta z wywalonym językiem. Sawicki pochylił się nad gazetą. Na pierwszej stronie zamieszczono fotografię jego i Ady. Stali na klatce schodowej i wpatrywali się w obiektyw z wyrazem bezgranicznego zdumienia. Wyglądali wyjątkowo idiotycznie. Napis pod zdjęciem głosił: „Polska policja w akcji. Czy uda się wytropić mordercę?”. Odwrócił gwałtownie bulwarówkę i zakrył fotografię. Ada zerknęła obojętnie na gazetę i wyjęła notes. Wybrała numer Karola Zalewskiego. Kleryk rozmawiał z nią uprzejmie i najzupełniej spokojnie.

– Czy mógłbym się najpierw dowiedzieć, o co chodzi? – zapytał. – Sama pani rozumie, że się niepokoję; może trudno w to uwierzyć, ale policja nie dzwoni do mnie codziennie. – Roześmiał się.

Głos w słuchawce brzmiał ciepło i beztrosko. Najprawdopodobniej wiadomość o śmierci Zofii jeszcze do niego nie dotarła.

– Nie – odmówiła zdecydowanie. – Nie przez telefon. Proszę się jednak nie martwić, to rutynowe przesłuchanie.

Zapadła cisza.

– Halo!

– Tak. Tak… – zająknął się kleryk. Nadal jednak nie wydawał się zaniepokojony, tylko zdziwiony i zaintrygowany. – Oczywiście jestem do

dyspozycji. Kiedy mam się zgłosić?

– Jak najszybciej.

– Mógłbym przyjechać w ciągu pół godziny, jeśli to pani odpowiada – zgodził się natychmiast.

– Jak najbardziej. Proszę się zgłosić do oficera dyżurnego. Zejdę po pana do recepcji.

– Dobrze.

– W takim razie do zobaczenia – zakończyła.

Sawicki siedział na parapecie i patrzył w okno. Czeczeńska sprzątaczka, przyszły ksiądz i drech, który zniknął, kompromitujące zdjęcie w gazecie, wszystko to wydało się nagle mało istotne. Myśl o wczorajszych nieudanych urodzinach córki nie dawała mu spokoju.

– Zaraz wracam – powiedział i wyszedł na korytarz.

W wyludnionej w niedzielę komendzie panował spokój. W pokojach pogaszono światła. Drzwi do sekretariatu były zamknięte. Z dołu dochodził zniekształcony pogłos rozmowy, którą powtarzało echo pustych korytarzy. Wyjął komórkę i dwukrotnie próbował połączyć się z Olgą, ale nie odebrała. Coraz bardziej niespokojny zadzwonił na domowy numer.

– Halo – odezwał się cienki głos Hani. – Kto tam?

– To ja. – Odetchnął swobodniej. – Daj mamę.

– Mama śpi.

– Jak to śpi? Znowu?

– Śpi.

– Jadłyście drugie śniadanie? Co się dzieje?

– Jadłyśmy. Kanapki z pastą jajeczną – odpowiedziała Hania, żując gumę. – Teraz oglądamy Cartoon Network.

– A lekcje?

– Nie mam nic zadane.

– Jak długo mama śpi?

– Nie wiem. Krótko. Niedawno się położyła. Był *Johnny Bravo, Angelo rządzi* i *Naruto Shippuuden,* ale to nie na Cartoon…

– Naruto Siepen?

– Shippuuden – poprawiła oschle.

– Dobrze – westchnął. – Postaram się jak najszybciej wrócić.

– Nie obiecuj, jeśli nie możesz dotrzymać słowa – odpowiedziała, idealnie naśladując głos Olgi. – Nigdy nie ma cię w domu.

– Będę przed ósmą – sarknął. – Natychmiast wyłącz telewizor i zajmij się lekcjami.

Zerknął niespokojnie na zegarek. Minęło wpół do trzeciej. Odpytanie świadka i jazda na Wolę nie powinny zająć więcej niż trzy, najwyżej cztery godziny. W drzwiach zderzył się z Adą. Właśnie szła do recepcji po Karola Zalewskiego.

Kleryk okazał się wysokim, jasnowłosym mężczyzną o wąskich wargach, łagodnym, lekko cofniętym podbródku i nieregularnych krzaczastych brwiach. Siadając na krześle dla interesantów, uśmiechnął się do Sawickiego, a ten odruchowo poczuł sympatię do przyszłego księdza. Spodziewał się sutanny, przetłuszczonych włosów i zbolałego spojrzenia, tymczasem zobaczył przed sobą zadbanego młodego człowieka ubranego w bojówki, czarny polar i ciemnobeżową koszulkę.

– Dzień dobry – zaczął, po czym nabrał głęboko powietrza i umilkł.

Powinien poinformować go teraz o tragicznej śmierci byłej narzeczonej, niespodziewanie jednak zmieszał się i zafrasował.

– Wezwaliśmy tu pana w związku z zabójstwem niejakiej Zofii Wagner – podjęła najzupełniej spokojnie Ada. – Prowadzimy tę sprawę.

Zalewski uniósł gwałtownie głowę. Przez krótką chwilę w jego oczach malowało się bezgraniczne zdumienie. W następnym momencie jasna, pogodna twarz skurczyła się w paroksyzmie bólu.

– Jak to? – wybąkał głucho. – To niemożliwe…

– W piątek rano Zofia Wagner została znaleziona martwa. Bardzo nam przykro – powiedziała szorstko. – Rozumiem, że to dla pana szok. Musimy jednak zadać kilka pytań.

Kleryk ukrył twarz w dłoniach.

– Kiedy widział pan denatkę po raz ostatni?

Odpowiedziało im ciche łkanie. Ramiona Karola drżały. Ada podeszła do dystrybutora wody.

– Proszę się napić. – Podała klerykowi szklankę. – Tu są chusteczki. – Wyjęła z torby niewielką kolorową paczkę.

Zalewski posłusznie napił się wody i wytarł oczy. Oddychał z trudem.

– Co się stało?

– Została zamordowana – wyjaśniła Ada, siadając naprzeciw.

– Ale kto? Jak to możliwe?

– Prowadzimy śledztwo.

– Musimy wyjaśnić kilka spraw – włączył się Sawicki. – Kiedy ostatni raz widział pan denatkę?

Karol spojrzał na niego, jakby to pytanie otrzeźwiło go i przywołało do porządku. Poruszył krzaczastymi brwiami, upił kolejny łyk wody i wyprostował się na krześle.

– Dawno – odpowiedział powoli. – Ponad rok temu. Wtedy zerwaliśmy ze sobą. Poszedłem do seminarium, a ona…

– Tak – przerwała Ada. – Słyszeliśmy o tym. Czy coś poza… – zawahała się – poza powołaniem skłoniło pana do zerwania zaręczyn?

– Nie rozumiem?

– Czy pokłócił się pan z Zofią, miał do niej o coś żal?

– Nie. W żadnym wypadku.

– Nie zdradzała pana? Nie oszukiwała? Nie pożyczyła pieniędzy, których potem nie chciała oddać?

– Nie. – Kleryk pokręcił głową. – Rozstaliśmy się, bo postanowiłem poświęcić życie Bogu i nie zakładać rodziny.

Jego wargi znowu drżały.

– Czyli widział ją pan ostatni raz ponad rok temu – ciągnęła uparcie Ada.

– Tak.

– To dawno…

– Dawno.

– I nie utrzymywał pan z nią kontaktu? Nie dzwoniliście do siebie, nie pisaliście maili?

– Żadnych.

– Proszę wybaczyć – zanotowała coś w protokole – ale reaguje pan dość gwałtownie jak na wiadomość o śmierci osoby, z którą dawno zerwało się kontakt.

Kleryk spojrzał na nią zdumiony, na mgnienie jego wargi zacisnęły się w cienką kreskę.

– Trudno mi o tym mówić. To osobiste sprawy. Rozumiem jednak, że musi pani o nie zapytać… – Potarł policzek. – Byłem do Zosi bardzo przywiązany. Chodziliśmy razem od liceum, to… – urwał, jakby rachował w pamięci – prawie dziewięć lat. Decyzja o zerwaniu nie była dla mnie łatwa…

– A wcześniej nie myślał pan o ślubie? Dziewięć lat związku to kawał czasu.

Karol przełknął ślinę.

– Kończyliśmy liceum, studia. Jestem starszy, czekałem na nią. Potem zaczęły dzielić nas różnice światopoglądowe – zaczął z wahaniem.

– Jakie?

– Ona nie była wierząca.

– Przyjaciółka pana narzeczonej, Monika Lewicka, twierdzi zupełnie co innego. Wspomniała nawet, że Zofia angażowała się swego czasu w ruch pro-life.

– To prawda – przyznał ze zmęczeniem w głosie. – Ale jak większość katolików w Polsce chodziła do kościoła z powodu tradycji, a nie prawdziwej pobożności. Dla mnie stanowiło to coraz większy problem. Odsuwałem myśl o małżeństwie. W końcu się oświadczyłem, ale okazało się to bardziej desperacką niż przemyślaną decyzją… – Zwiesił głowę.

Sawicki odczuł gwałtowny przypływ współczucia z powodu niekłamanego żalu kleryka. Powściągnął jednak emocje.

– Czy podczas ostatniego roku – podjął – nie docierały do pana żadne informacje na temat denatki? Jak się czuje? Z kim się spotyka? Gdzie pracuje? Wiadomości przekazywane na przykład przez wspólnych znajomych?

– Nie. Właściwie nie mamy wspólnych znajomych. – Zalewski nadal był trupio blady.

– A jednak pierwsze pana słowa na wieść o jej śmierci brzmiały: „To niemożliwe”. Dlaczego właściwie niemożliwe?

Kleryk zmiął w dłoni chusteczkę.

– Chyba nie ma pan zamiaru – tym razem w jego głosie zabrzmiała wyraźna irytacja – chyba nie ma pan zamiaru odpytywać mnie tutaj ze

znaczenia słów. Nie sądzę, żeby moja reakcja na wieść o morderstwie była zaskakująca. Takie rzeczy nie przydarzają się co dzień.

Sawicki zerknął na zegarek. Minęła trzecia. Dalsze przesłuchiwanie Zalewskiego zdawało się bezcelowe. Ada również milczała.

– W porządku. To tyle. Zgłosimy się, gdybyśmy czegoś jeszcze potrzebowali.

Kleryk wstał chwiejnie. Ada sprowadziła go na dół.

– Chyba nie masz już wątpliwości? – zagadnął, kiedy wróciła do pokoju. – Nie sądzę, żeby ten nieszczęsny kleryk miał coś wspólnego ze śmiercią Wagner.

– Nie – przyznała. – Zastanawiam się tylko, co dalej.

– Pojedziemy na Wolę. – Przymknął ze znużeniem oczy. – Najpierw jednak muszę zapalić i coś zjeść. Wyskoczę na plac Bankowy i wrócę za pół godziny.

Nie zaproponował wspólnego obiadu. Miał ochotę choć na kilka minut uwolnić się od jej towarzystwa.

– Dobrze, ale… – słowa Ady przerwał dzwonek wewnętrznego telefonu.

– Co tam? – odebrał Sawicki.

– Zgłosił się do was nowy świadek – poinformował leniwie funkcjonariusz dyżurny. – Kobieta. Twierdzi, że widziała, jak jakaś Wagner kłóciła się z jakimiś Czeczenami. Nie wiem, czy was to interesuje. W każdym razie czeka tu u mnie na dole.

Sawicki rzucił Adzie zaskoczone spojrzenie.

– Co się stało? – zapytała.

– Nowy świadek. – Odsunął gwałtownie krzesło. – W sprawie Czeczenów.

Ada poderwała się z miejsca. Oboje zbiegli do recepcji.

15

Na drewnianej ławce pod ścianą siedziała pulchna kobieta w średnim wieku. Widocznie czekała dość długo na pojawienie się dyżurnego, bo zdjęła płaszcz. Szalik i miękką czapkę w nieokreślonym kolorze złożyła starannie na kolanach. Studiowała z zainteresowaniem ulotkę informacyjną niebieskiej linii.

– Renata Marek – przedstawiła się, kiedy do niej podeszli. – Jestem sąsiadką… To znaczy byłam sąsiadką pani Zofii… Z parteru – dodała zmieszana.

– Tak. Dzień dobry. Słucham, o co chodzi? – zapytał Sawicki.

– Usłyszałam, co się stało, dopiero dziś rano… – zaczęła niepewnie. – W piątek nie było mnie w domu. Wyjechałam na dwa dni do Krakowa, do siostry. Ona ma chory kręgosłup, potrzebuje pomocy. Jej syn często podróżuje w interesach i wtedy ja…

– Dobrze – przerwał niecierpliwie. – Czy ma pani coś do powiedzenia na temat morderstwa Wagner?

– Nie wiem, czy to istotne… – Speszyła się jeszcze bardziej. Na jej policzkach i szyi wykwitły szkarłatne plamy. – W czwartek po południu wietrzyłam pościel. Przed podróżą – wyjaśniła. – Miałam otwarte okno. Pani Zofia wracała akurat ze sklepu. W bramie dogoniła ją dwójka ludzi: kobieta i mężczyzna. Stali na podwórku i kłócili się przez dłuższą chwilę.

Sawicki wzmógł czujność.

– Słyszała pani, co mówili?

– No… – Renata Marek miała teraz zupełnie pąsową twarz. – Ja ludzi nie podsłuchuję, ale okno było akurat otwarte…

– Proszę na górę – powiedział zdecydowanie i przeprowadził ją przez magnetyczne bramki.

We trójkę weszli do pokoju.

– Proszę usiąść. – Sawicki wskazał krzesło, a sam przeszedł się kilka razy od ściany do ściany. Czuł, że zalewa go fala wściekłości.

– Więc widziała pani w czwartek po południu, jak Zofia Wagner kłóciła się z dwiema osobami? – zaczęła Ada.

– Tak – przyznała Renata, układając troskliwie szalik i czapkę na blacie biurka.

– O której?

– Za piętnaście pierwsza – odpowiedziała bez wahania.

Sawicki otrząsnął się z irytacji.

– O czym rozmawiali? – włączył się do przesłuchania.

– Prosili o pieniądze – mówiła powoli, jakby próbowała przypomnieć sobie szczegółowo przebieg rozmowy. – Dość natarczywie. W pewnym momencie ten chłopak złapał Zofię za rękaw płaszcza. „Przecież oddam!”, zawołał. Mówił dobrze po polsku – przyznała ze zdziwieniem.

– Jaki chłopak? Dlaczego dziwi panią, że mówił po polsku?

– To był Czeczen.

– Skąd pani wie, skoro mówił dobrze po polsku?

– Wyglądał jak Czeczen. Zresztą była z nim ta dziewczyna.

Sawicki westchnął.

– Jaka dziewczyna? Proszę odpowiadać zrozumiale.

– Madina, ta, która sprzątała u pani Zofii. Znam ją, bo u mnie też raz myła okna – uzupełniła pospiesznie. – Mam już swoje lata i czasem ciężko mi…

– Proszę pani – Sawicki tracił cierpliwość – nie interesują mnie pani okna. Chciałbym usłyszeć od początku, co się wydarzyło w czwartek. Wietrzyła pani pościel i zobaczyła przez okno Wagner i dwójkę Czeczenów… Kłócili się…

– Tak – przyznała. – To znaczy niezupełnie kłócili. Oni ją naciskali, z początku cicho i spokojnie, potem bardzo natarczywie. Nie słyszałam dokładnie, ale mówili coś o wyjeździe do Czeczenii. Madina nawet płakała. Ten chłopak zdenerwował się dopiero pod koniec. Złapał panią Zofię za rękaw i krzyknął coś o bogatych świniach.

– A co ona na to?

– Była całkiem spokojna. Aż się dziwiłam. Uwolniła rękę. Powiedziała: „Nie ma mowy” i weszła do domu.

– Czy rozpoznałaby pani tego mężczyznę?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się z dumą. – Mam świetną pamięć wzrokową. W ogóle pamięć mam dobrą, słuchową też…

– Dziękujemy bardzo – przerwała zdecydowanie Ada. – To wszystko na dziś. Będziemy w kontakcie.

Po wyjściu Renaty Marek w pokoju zapadła cisza. Ada słyszała przyspieszony oddech Sawickiego. Wiedziała, że jest wściekły.

– Musimy natychmiast jechać na Wolę – powiedział w końcu.

– Tak – przyznała. – Ale nie powinniśmy wysnuwać pochopnych wniosków…

Rzucił jej rozeźlone spojrzenie.

– To może wysnujmy niepochopne wnioski? Wysnujmy wnioski rozsądne i przemyślane. Według mnie historia wygląda następująco:

Madina potrzebuje kasy, bo grozi jej deportacja. Pewno chce uciec dalej, na Zachód. Sprząta u Wagner i wie, że ta podjęła właśnie sporą sumę z banku. Prosi o pieniądze. Wagner odmawia, więc w czwartek o pierwszej Madina wraca w towarzystwie brata albo kochasia i próbują ją zastraszyć.

– To nie był brat.

– Słucham?

– Madina ma dwie siostry i dwuletniego brata. To raczej nie mógł być on.

Przez chwilę zastanawiał się, czy specjalnie próbuje wytrącić go z równowagi.

– Wraca w towarzystwie kolegi – ciągnął. – I próbują nastraszyć Wagner, ale ta znowu odmawia. Madina ma klucz do mieszkania. Do wieczora opracowują z kolegą plan działania. Zbój wraca przed ósmą. W bramie natyka się na emerytowanego żołnierza. Jest ciemno, więc nie martwi się, że sąsiad go rozpozna. Idzie na górę. Wali Wagner w łeb. Znajduje szybko pieniądze, bo wie, gdzie leżą, i wychodzi. Widzisz tu jakieś dziury w rozumowaniu? Bo ja, prawdę powiedziawszy, nie.

Ada milczała.

– No, widzisz? – naciskał ze złością.

– Nie – przyznała w końcu. – Nie mamy jednak pewności ani żadnych dowodów.

– Dowody byśmy mieli, gdybyś przetrzepała im wczoraj mieszkanie. Przynajmniej pobieżnie. Jestem pewien, że nie trzymają w domu sejfu. Wsadzili kasę do szuflady i tyle. Ale dobrze – ciągnął, nie dopuszczając jej do głosu. – Nakaz rewizji. Niech będzie. Idę zapalić i dzwonię do Modzelewskiego.

To, co tchnęło od Sawickiego, zmieniło się w mglisty opar. W dotkliwie wyczuwalną przykrą woń. Otwierając skoroszyt z raportami, Ada wiedziała już, że tak właśnie pachnie niechęć – słodkawy, szarobłękitny zapach narastającej antypatii. Pracowała w policji od wielu lat. Dawno nauczyła się, że męski strach przed kobietami z łatwością daje się oswajać. Z Sawickim poszło łatwiej, niż mogła przypuszczać. Po dwóch dniach zaczęli się dobrze rozumieć. I było jeszcze coś. Coś, co poczuła, jadąc samochodem do Moniki Lewickiej. Teraz jednak cienka jak pajęczyna, ale wyraźna nić sympatii została zerwana. Zapewne wystarczyło go przeprosić. Powiedzieć, że popełniła błąd… Zamknęła notatnik. Zmarszczyła czoło i uderzyła kilkakrotnie wskazującym palcem w plastikową okładkę. Nie zrobię tego, zdecydowała w końcu. Wiedziała, że nie postępuje strategicznie, ale nie chciała łagodzić sytuacji, biorąc na siebie odpowiedzialność za zaniedbanie, którego się nie dopuściła. W sobotę zachowała się właściwie. Nie miała najmniejszych powodów, żeby zatrzymać Madinę Demilową. Sawicki na jej miejscu zrobiłby to samo – przesłuchałby Czeczenkę i skreślił z listy podejrzanych. W skupieniu analizowała własne uczucia. Tuż obok dumy odnalazła coś jeszcze – ogromną, niespokojną ciekawość dziecka, które dotyka zakazanych przedmiotów. Niestrudzoną, zachłanną dociekliwość naukowca badającego cudze emocje i reakcje. Postanowiła poczekać na rozwój wydarzeń.

Sawicki wrócił po dwudziestu minutach. Spojrzał na bulwarówkę i odsunął ją z niesmakiem. Spod gazety wyłoniła się niewielka żółta karteczka. W tym momencie zrozumiał, że nieokreślone uczucie niepokoju nawiedzające go przez całe popołudnie miało związek z notatką, którą sam dla siebie zostawił. Tym właśnie się martwił – do tej pory nie odsłuchał nagrania z komórki Zofii Wagner. Teraz nie było już potrzebne. Oderwał karteczkę, zgniótł w palcach w twardą, lepką kulkę i wrzucił do kosza.

– Dostałem nakaz rewizji – powiedział, nie patrząc w stronę Ady. – Mam nadzieję, że jesteś zadowolona. Jedziemy. Chciałbym zamknąć w końcu tę sprawę. I raz na zawsze zakończyć dyskusję na temat katolickich sekt. – Nie mógł powstrzymać się od złośliwości.

Tuż przed szóstą podjechali pod dom Demilowów. Sawicki wyskoczył z samochodu, Ada ruszyła za nim. Obok bramy na stosie pokruszonych cegieł siedział duży, pręgowany kocur. Miauczał i wymachiwał ogonem. Paskudna pogoda wyraźnie go irytowała. Zza rogu wyłonił się chłopczyk ubrany w granatowy dres i wełnianą czapkę pilotkę. Trzymał pod pachą piłkę. Sawicki przepuścił go przed sobą. Chłopiec rzucił mu ponure spojrzenie przyszłego bandyty i pobiegł dalej drobnym, lisim truchtem. Deszcz siąpił nieprzerwanie. Minęli rząd blaszanych garaży i wewnętrzne podwórko – brudne klepisko z przepełnionym kontenerem na śmieci. Na klatce schodowej panował mrok – paliła się tylko jedna goła żarówka na drugim piętrze. Drewniane schody skrzypiały pod ich stopami. Ze ścian odpadały wielkie płaty tynku. Podeszli do drzwi numer dwadzieścia. Sawicki zadzwonił. Ada wyczuła jego napięcie.

– Policja! Otwierać! – krzyknął.

Odczekał dwie sekundy, po czym z całej siły uderzył pięścią w drzwi.

– Otwierać natychmiast! – ryczał.

Drzwi uchyliły się niepewnie. Na progu stanęła matka Madiny. Miała bladą twarz, zapadnięte usta i pozbawione blasku, zmęczone oczy.

– Policja. – Sawicki wyciągnął odznakę, po czym wepchnął się do mieszkania.

Ada wsunęła się za nim.

– Nazwisko?

– Demilowa. Tamara Demilowa – odpowiedziała przestraszona kobieta.

W pokoju dziennym na rozłożonej kanapie spał mały chłopiec. Nikogo więcej nie było.

– Gdzie Madina? – zapytał Sawicki, rozglądając się nerwowo.

– Wyszła.

– Gdzie wyszła?! – podniósł głos.

Chłopczyk poruszył się niespokojnie.

– Nie znaju. A czto słucziłos’?

– Czy ja mówię, że coś się stało? Kiedy wyszła?

– Utrom.

– Rano, powiadasz… A kiedy wróci?

– Nie znaju.

Ada zajrzała za prowizoryczne przepierzenie po prawej stronie pokoju, zbadała rozbebeszone łóżko i wnętrze otwartej szafy. Sawicki w tym czasie metodycznie przeglądał zawartość meblościanki. Z bocznej szafki wyjął kłąb pończoch, stertę zeszytów i plastikowe pojemniki po lodach pełne napoczętych lekarstw. Z jednego wyskoczył karaluch i zniknął w szparze podłogi. Sawicki skrzywił się z obrzydzeniem.

– Ale burdel – sarknął. – Jak świnie w chlewie, nie jak ludzie mieszkacie.

Biła od niego zimna, posępna arogancja i Ada wiedziała, że go nie powstrzyma. Matka Madiny stała nieruchomo pod oknem. Sawicki wysunął pierwszą szufladę tandetnej komody i gwizdnął przeciągle. Pośród zwiniętych skarpetek leżała foliowa torebka z grubym plikiem banknotów.

– Co to za pieniądze? – zwrócił się do Tamary. – Skąd ty masz tyle kasy tutaj skitrane, co?

Kobieta nie odpowiedziała, nie poruszyła się nawet. Włożył silikonowe rękawiczki i przeliczył banknoty.

– Trzy tysiące osiemset złotych. Tyle zarobiłaś? Sama? A może Madina przyniosła?

Ada nie próbowała interweniować.

– Nie wiesz, skąd ta kasa? To ja ci powiem. To są pieniądze Zofii Wagner. Dziewucha wam pomagała, a wyście ją dla czterech kafli zajebali. I trzymacie dowód ze skarpetami! Gdzie Madina, gadaj!

– Nie znaju – odpowiedziała Tamara.

– Słuchaj, kobiecino, ty wiesz, że za składanie fałszywych zeznań pójdziesz do pierdla? Gdzie twoja córka?! – wrzasnął.

Chłopczyk obudził się, usiadł na kanapie i zaczął płakać. Tamara przez cały czas stała jak sparaliżowana, trzymając obie dłonie na wzdętym brzuchu. Sawicki drgnął.

– Nie mówiłaś, że ona jest w ciąży – mruknął do Ady.

– To nie ma znaczenia.

– Słucham? – szepnął zdumiony.

– To nie ma znaczenia. Ciąża jest naturalnym stanem fizjologicznym.

Przez moment myślał, że całkowicie traci kontrolę nad sytuacją – ciężarna kobieta, wyjące dziecko i dziwaczna obojętność Ady zbiły go z pantałyku. Westchnął i otarł spocone czoło.

– Może zajmiesz się synem – zwrócił się do Tamary. – Przecież widzisz, że płacze.

Czeczenka niepewnie podeszła do chłopca.

– Kiedy wróci Madina? – zapytał jeszcze raz.

Tamara Demilowa nie odpowiedziała.

– Słuchaj – mówił teraz łagodnie, jakby żałował poprzedniego wybuchu. – Nie chcę cię straszyć. Ani dzieciaka. Ale jak nie wiesz, skąd te

pieniądze, to musisz nam powiedzieć, gdzie poszła Madina. To poważna sprawa. Zamordowano kobietę, u której pracowała twoja córka.

Tamara rzuciła mu tępe, pokorne spojrzenie i wzięła chłopca na ręce.

– Nie znaju, panie.

– Ktoś tu jeszcze mieszka? Twój mąż?

– Da.

– Kiedy przyjdzie?

– Nie znaju – powtórzyła jak nakręcana zabawka.

W tym momencie zazgrzytał zamek. Sawicki ruszył w stronę wyjścia, ale nim zdołał przekroczyć próg, zatrzymał się zaskoczony. Przed drzwiami stały dwie małe dziewczynki i wpatrywały się w niego z zainteresowaniem dwiema parami wielkich oczu.

– Ooo… – jęknął, niepewny, czy się wycofać, czy podejść bliżej. – Jesteście siostrami Madiny? – Opanował się szybko.

Starsza, czarnowłosa dziewczynka przytaknęła niechętnie. Młodsza, ruda, opuściła głowę i studiowała uważnie własne buty.

– A ja jestem policjantem. – Uśmiechnął się. – Nie bójcie się, nie zrobię wam krzywdy.

Ruda dziewczynka zaśmiała się cicho.

– My się nikogo nie boimy, proszę pana. – Rzuciła mu zadziorne spojrzenie spod zwichrzonej czupryny.

Najwyraźniej siostry Madiny nie miały najmniejszych problemów z językiem polskim.

– Tak? – Powoli odzyskiwał pewność siebie. – Jak takie z was mądrale, to pewno wiecie, kiedy Madina wróci do domu.

– Nie wróci. – Czarnowłosa dziewczynka ściągnęła zębami rękawiczkę.

– Nie wróci?

– Nie. Spakowała walizkę i poszła.

Sawicki stłumił przekleństwo.

– A gdzie poszła?

– Nie wiemy. Tata jej szuka. Ale nie znajdzie. Ona umie się dobrze chować.

– Świetnie. Coraz lepiej! – warknął i wyjął z kieszeni komórkę.

– Czekaj. – Ada zmarszczyła brwi. – Coś tu się nie zgadza… Madina uciekła i zostawiła pieniądze w domu? To nie ma sensu.

Znowu ją zignorował. Wyszedł na klatkę schodową i wybrał numer komendy.

– Potrzebuję kogoś do stałej obserwacji domu na Górczewskiej – powiedział. – Możecie przysłać tego aspiranta, który miał jechać na Ursynów do mieszkania Wójcika? Tak – dodał ostro. – Jak najszybciej.

Zszedł na podwórko. Kiedy do niego dołączyła, stał oparty o blaszany garaż i palił papierosa. Nad dachami kamienic ciągnęły ogromne stada rozkrzyczanych wron. W chaotycznym, pełnym zawirowań szyku frunęły w stronę rzeki. Zapadał zmrok. Setki ptaków szykowały się na spoczynek w dzikich nadbrzeżnych zaroślach.

– Gdybyś wczoraj zrobiła to, o co prosiłem – żachnął się – gdybyś zajrzała do pierwszej z brzegu szuflady, dzisiaj zamykalibyśmy śledztwo.

– Mówię ci – powtórzyła z uporem – te pieniądze to żaden dowód. Każdy może trzymać gotówkę w domu. Zwłaszcza czeczeńscy uchodźcy. Sądzisz, że mają konta w banku?

Sawicki poczuł narastające gorąco – rumieniec, który starał się bezskutecznie powstrzymać i który w następnej chwili oblał mu twarz i szyję. Rzucił niedopałek na ziemię, zgniótł go obcasem i obrócił się do niej plecami. Powinien był o tym wiedzieć, przewidzieć to. Powinien był sam prowadzić śledztwo i nigdy nie zgodzić się, żeby działała

samodzielnie. Ale dlaczego reagował tak gwałtownie, dlaczego ogarnęła go złość, jakby przeżywał poważny zawód? Głupia, zarozumiała baba – wiedział to, zanim ją poznał. Teraz potwierdzały się tylko wcześniejsze domysły. Powinien czuć satysfakcję, nie pomylił się. Tymczasem czuł tylko niechęć i zmęczenie. Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma.

– Oddamy pieniądze do ekspertyzy technicznej. Sprawdzimy, czy są na nich odciski palców Wagner – starał się mówić powoli i wyraźnie.

Stała tuż za nim, zimna, opanowana i obojętna. Czuł na plecach jej wzrok. Nie miał wątpliwości, że nie odnajdzie w niej ani śladu skruchy. A tego właśnie oczekiwał, żeby przyznała w końcu, iż postąpiła źle. Zamilkł. Ada się nie odzywała. Czekał. Długo. W końcu uznał, że nie wygra z jej uporem. Odwrócił się powoli.

– Zostań tu. Niebawem powinien pojawić się ktoś do obserwacji mieszkania. Podaj mu rysopis Madiny i jej ojca – mówił spokojnie. – Ja jadę do domu, ale będę cały czas pod telefonem. Gdyby coś się działo, cokolwiek, niech natychmiast do mnie dzwonią. Jutro trzeba wezwać Renatę Marek i sporządzić portret pamięciowy tego kolesia, który działa z Madiną. To tyle.

Nie oglądając się, odszedł w stronę samochodu.

16

W niedzielę obudził się przed piątą. Leżał nieruchomo w porannych ciemnościach. Na sąsiednim łóżku Martyna oddychała spokojnie i miarowo. Czuł zapach ciała niedomytej nastolatki, zapach taniego pudru: wanilii i malinowego słodziku, jak zapach nadziewanej czekolady Wedla. Nagle z przerażeniem zdał sobie sprawę, że nie potrafi przywołać w pamięci twarzy własnej siostry. Wpatrywał się w fioletową ciemność, próbując odtworzyć kształt jej ust, profil nosa i zarys podbródka, ale widział jedynie kolorowy billboard w przejściu podziemnym obok stacji metra Centrum – skośnooką modelkę reklamującą płaszcze wiosenne firmy H&M. Pod billboardem stał niski człowiek w kraciastym kaszkiecie. Z szyi zwisała mu blaszana puszka. Napis na puszce zachęcał do ratowania starych cmentarzy. Mężczyzna potrząsał głową jak pies próbujący odgonić natrętne muchy, a monety grzechotały, uderzając o metalowe ścianki pojemnika. Przebiegł go nieprzyjemny zimny dreszcz. Człowiek w kaszkiecie nie miał rąk. Po obu stronach tułowia zwisały puste rękawy kurtki… Siostra zakaszlała cicho i przewróciła się na drugi bok. Powoli wróciła do niego świadomość; miał uczucie, jakby wynurzał się spod powierzchni wody. Wizja skośnookiej modelki i człowieka bez rąk zadrżała i zniknęła. Był w swoim dawnym dziecinnym pokoju. Do świtu pozostała jeszcze godzina. Leżał, wdychał zapach taniej czekolady, a tamto cały czas trwało przed jego oczami. To coś, co się mu nagle ukazało. Coś, czego nie mógł określić. I już

w następnej chwili zrozumiał – to był strach. Serce waliło mu mocno, krew dudniła w skroniach, po czole spłynęła gruba kropla potu. Wielki, duszący cień położył się na łóżku. Jerzy próbował stawiać opór. Walczył rozpaczliwie, ale brakło mu tchu. Czuł narastające zawroty głowy. Wiedział, że w ciągu kilku sekund straci przytomność i nigdy już jej nie odzyska. Poderwał się z łóżka. Zamazane kontury przedmiotów stopniowo nabrały wyrazistości. Zobaczył skrawek kołdry, odkryte ramię, wystające kanciaste kolano. Beżową roletę unosił przeciąg. Włożył spodnie, podniósł z podłogi bluzę i cicho otworzył drzwi. W łazience umył twarz zimną wodą. Usiadł na skraju wanny i czekał, aż odzyska spokój i jasność myślenia.

Od czwartku wszystko się skomplikowało. Spanikował. Zmarnował plan, który sam się ułożył i tak świetnie rokował na przyszłość. Powinien był pójść do pracy. Włączyć komórkę i odbierać telefony. Powinien zachowywać się normalnie, jakby nie miał pojęcia o śmierci Zofii. Do tej pory porozmawiałby pewno z policją. Przedstawił wiarygodne alibi, wiadomość nagraną na sekretarkę… A on postąpił idiotycznie. W piątek od rana miał nosić krzesła na widowni popularnego teleturnieju. W telewizji płacili nieregularnie i zatrudniali na czarno, ale stawki były wysokie. Pracował średnio trzy razy w tygodniu – starczało na jedzenie i rachunki. Więcej mnie nie zatrudnią, pomyślał, zaciskając szczęki. Nie pojawił się, a chętnych na jego miejsce nie brakowało. Dlaczego nie zadzwonił i nie powiedział po prostu, że ma rotawirusa albo zapalenie zatok? Czego się przestraszył? Skrzywił się ze złością, widząc własną pobladłą twarz w lustrze, i oparł czoło o chłodne kafelki nad umywalką.

W piątek kilka minut po dwunastej wyszedł od Czarnejgrzywki. Dzień był szary i ponury. Wiedział, że musi wrócić do domu. Przynajmniej wpaść na chwilę po lekarstwa. Nie mógł jednak przezwyciężyć narastającego lęku

i wsiąść do autobusu. Zaczął krążyć bez celu po centrum. Od czasu do czasu śnieg przestawał padać. Blade, dalekie słońce przeświecało przez chmury. W takich chwilach czuł się nieco lepiej. Był spokojniejszy. Zaraz jednak sina, gęsta mgła, przemieszana z drobinami sadzy, opadała na miasto jak dusząca zasłona. Wilgoć i chłód atakowały ze wzmożoną zajadłością, a on podrywał się i ruszał przed siebie gnany niepokojem, nad którym nie potrafił zapanować. Szedł wzdłuż niekończących się witryn sklepowych. Oglądał skórzane paski, rękawiczki i torebki, buty do koszykówki, kolorowe reklamy egzotycznych wycieczek i porcelanową zastawę stołową. O drugiej trafił w okolice ronda de Gaulle'a i wmieszany w tłum szkolnych wycieczek wśliznął się do Muzeum Narodowego. Dwukrotnie przemierzył parter i pierwsze piętro. W końcu usadowił się na pluszowej kanapie, udając, że pilnie studiuje wielki olejny obraz przedstawiający jeźdźca na spienionym koniu. Obudził go dotyk chłodnych palców.

– Proszę pana – powiedziała kobieta ubrana w granatowy uniform. – Proszę pana, tu się nie odpoczywa!

Jej oczy były szare i niechętne. Otrząsnął się. Wstał i ruszył w stronę wyjścia. Stojąc w holu muzeum, znowu pomyślał o lekach. Dawno minęła doba, od kiedy brał je ostatni raz. Wiedział, że za kilka godzin zaczną mu dokuczać skutki odstawienia. Powinien wrócić do domu. Czego właściwie się obawiał? Nie zostawił śladów. W mieszkaniu Zofii miał przez cały czas rękawiczki na dłoniach. Po raz kolejny odtworzył w pamięci zdarzenia czwartkowego wieczoru. I jeszcze raz doszedł do wniosku, że nie ma żadnych podstaw do niepokoju. Lęk jednak nie ustępował. Kobieta w granatowym uniformie przeszła przez hol i posłała mu podejrzliwe spojrzenie. Naciągnął czapkę, wyszedł na dwór i podjął przerwaną wędrówkę po ulicach miasta. W pewnym momencie zorientował się, że od jakiegoś czasu nieustannie przyspiesza i właśnie zaczyna biec. Krew

pulsowała mu w skroniach, żyły wystąpiły na czoło, a oddech stał się krótki i urywany. Starał się uspokoić, zwolnić, usiąść na ośnieżonej ławce. Próbował zająć myśli prostymi obrazami: odprowadził wzrokiem żółtą ciężarówkę, zatrzymał się przy stadku wróbli skaczących wokół śmietnika, uważnie obejrzał pustą witrynę piekarni. Tymczasem myśli wymknęły się spod kontroli. Proste, niewinne obrazy potworniały i puchły w jego głowie. Powracało wspomnienie, którego siła odbierała dech. Czyżby konsekwencje odstawienia leków pojawiły się tak szybko? Policzył w pamięci. Powinien był połknąć pastylkę siedem godzin temu. Zdecydowanie za wcześnie na pierwsze nieprzyjemne efekty. Ale czuł się fatalnie – przerażony i zdezorientowany nie potrafił odróżnić własnych naturalnych reakcji od skutków odstawienia chemii. Ulica rozwijała się przed nim pusta i lśniąca jak skóra wieloryba. Szedł dalej, mijał kolejne skrzyżowania. Od rzeki wiał przejmujący wiatr. Wiedział już, że nie zdoła się zmusić do powrotu do domu. Zapłonęły kolorowe światła, ruch wzmagał się z każdą chwilą. Po szynach terkotał rozpędzony tramwaj… Musiało minąć sporo czasu, od kiedy opuścił mieszkanie Czarnejgrzywki. Nie zauważył nawet, że przeszedł wiele kilometrów. Znowu znalazł się w centrum, tuż przy Dworcu Centralnym. Uniósł głowę. Wiedział już, co powinien zrobić.

Najbliższy pociąg do Puław odjeżdżał za dwie godziny. Jeśli na niego zdąży, dotrze do rodziców przed jedenastą wieczorem. Zazwyczaj nie zapowiadał swoich wizyt, więc nie powinni się zdziwić. Powie, że wziął tydzień wolnego i postanowił ich odwiedzić. Matka na pewno się ucieszy, nie będzie zadawać pytań. Pozostałych nie musiał się obawiać, ojciec i siostra nigdy o nic nie pytali. Miał dość czasu, żeby przygotować się odpowiednio do wyjazdu. Ruszył w kierunku centrum handlowego. W sklepie sportowym zapłacił trzysta złotych za torbę na ramię, dres, trzy

białe koszulki i bieliznę. Potem odwiedził drogerię i kupił szczotkę do zębów oraz dezodorant. Zjadł hamburgera w McDonaldzie. Zajrzał do dworcowej kafejki internetowej. Uważnie przejrzał kroniki policyjne. Nigdzie nie znalazł wzmianki o morderstwie na Mokotowie. Odczuł ulgę, włączył komórkę i sprawdził nieodebrane połączenia – nikt do niego nie dzwonił. A więc policja nie miała pojęcia o jego istnieniu. Ba, może nawet nie odkryła jeszcze ciała Zofii. Odetchnął głęboko. Lęk i nieprzyjemne mrowienie w koniuszkach palców nieco zelżały. Zarzucił torbę na ramię i zjechał ruchomymi schodami na peron drugi. Pociąg do Puław był pusty. Wszedł do pierwszego z brzegu przedziału i wyłączył jarzeniówkę. Zdjął buty. Nogi oparł na siedzeniu. Dochodziły go odległe, stłumione rozmowy pasażerów i powtarzający się prosty muzyczny motyw. Widocznie któryś z podróżnych podłączył przenośne głośniki do iPhone’a. W oknie pociągu czaił się strach. Pomyślał, że to jego własna twarz, zniekształcona przez odbicie w szybie. Nie próbował porządkować myśli ani sprawdzać i kontrolować własnych emocji, jak robił to przez cały miniony dzień. Niedługo wysiądę, myślał. Za godzinę, za czterdzieści minut…

O dziesiątej dojechał do Puław. Przed dworcem złapał taksówkę. Dziesięć minut później zapłacił za kurs i wysiadł przed domem rodziców. Stał potem w mroku, obserwując niewielką, ogrodzoną siatką parcelę. Nic się tu od lat nie zmieniało; na to właśnie liczył, a jednocześnie to właśnie wydało mu się tak niezwykłe. Matka, ojciec, młodsza siostra, dom i jego mieszkańcy należeli do innego świata, do innej epoki: prostej i zrównoważonej. Wiedział, że przy nich odzyska spokój. Położył dłoń na zardzewiałej klamce. Patrzył. Ogród był teraz zupełnie bezużyteczny, bezbronny w swojej brzydocie – prostokątny, oświetlony żółtym blaskiem latarni kawałek ziemi, poprzekłuwany sztywnymi kikutami przyciętych róż.

Otworzył furtkę i podszedł betonową ścieżką aż do ciężkich drewnianych drzwi. Nacisnął dzwonek. Po chwili ganek zalała fala światła.

– O, Jerzyk… – Ojciec uśmiechnął się bez zdziwienia, jakby spodziewał się zastać go na progu. – Wchodź, jeszcze nie jedliśmy kolacji – powiedział, po czym odwrócił się niezgrabnie i krzyknął w głąb domu matowym, płaskim, pozbawionym emocji głosem: – Grażyna! Jurek przyjechał!

Matka wybiegła z kuchni. Zaczerwieniona z radości chwyciła go za ręce. Pozwolił wciągnąć się do środka. Z pokoju wyszła młodsza siostra. Jerzy uśmiechnął się z wysiłkiem. Czuł dziwną czczość na myśl, że zaraz usiądą do stołu, będą pić herbatę, jeść ciasto… Po kolacji obejrzą wspólnie film… Czy siostra i rodzice wyczytają z jego twarzy, co się stało? Czy zaczną go naciskać, wypytywać? Ale nic podobnego się nie zdarzyło. Rozmowa przy stole toczyła się wokół błahych, obojętnych tematów. Po kolacji Martyna zebrała naczynia, matka przyniosła dzbanek z herbatą. Włączyli telewizję. Po raz pierwszy od dwóch dni Jerzy poczuł się bezpiecznie. Uspokoiły go powtarzane od lat rytualne czynności, znajome, oswojone przedmioty, ludzie, których nie musiał się obawiać. Rytm codzienności działał na zszargane nerwy jak kojący balsam. Ogarnęło go zwykłe, spokojne zmęczenie. Ekran telewizora migotał i drżał. Docierały do niego dalekie głosy aktorów. Głęboki, wibrujący bas rozchodził się wielokrotnym echem w ogromnej pustce. Nie próbował śledzić akcji filmu. Drzemał w ciemnościach, trzymając w dłoniach kubek z herbatą. Z ramion spadło mu ciężkie, bolesne brzemię.

Sobota minęła w miarę spokojnie. Wstał późno. Pokręcił się po domu, pomógł ojcu porządkować piwnicę. Po obiedzie poszedł na spacer z psem. Na drodze do pobliskiego zagajnika zaczęło go razić światło. Zauważył też, że coraz gwałtowniej reaguje na hałas. Prawie rozpłakał się, słysząc

pracujący w polu traktor. Pod wieczór męczyły go nawet ciche odgłosy rozmów domowników i płynąca z radia muzyka. Wiedział, co to oznacza. Poszedł wcześnie spać, z nadzieją że następnego dnia mu przejdzie. Nadzieja okazała się płonna.

W niedzielę rano siedział na skraju wanny w różowo-żółtej łazience rodziców, a cały spokój i równowaga, jakie odzyskał, jadąc do Puław, ulotniły się bezpowrotnie. Zbadał nieśmiało swoje wnętrze. Strach wciąż tam był. Tym razem zaatakował ze zdwojoną siłą, jakby czekał tylko, aż Jerzy wywoła go z ciemnych zakamarków własnej psychiki. Do tego doszły skutki odstawienia leków. Czuł narastające mdłości i suche, uporczywe trzaski w uszach. Światło żarówki odbijało się od porcelanowych kafelków tysiącem blasków. Bolały go oczy. Był jednak zadowolony, że nie zabrał lekarstw z Warszawy. Już dawno powinien je wyrzucić. Teraz wiedział, że musi odnaleźć siebie, własne emocje, które do tej pory skrywały się pod grubą, uspokajającą warstwą chemii. Musi dowiedzieć się, co myśli o śmierci Zofii. Samodzielnie, bez farmakologicznych podpórek stanąć w obliczu tego, co się zdarzyło. Włączył komórkę i sprawdził nieodebrane połączenia. W sobotę czterokrotnie dzwonił ktoś z nieznanego numeru. Policja, pomyślał, drętwiejąc. Odsłuchał pocztę głosową. Komisarz Rochniewicz prosiła, żeby niezwłocznie stawił się w komendzie „w celu złożenia zeznań”. Kobiecy głos brzmiał ostro i nieprzyjemnie, jak głos zirytowanej nauczycielki, która karci uczniów za brak postępów w nauce. Kręciło mu się w głowie. Czarne plamki wirowały przed oczami. Miał trudności z zaczerpnięciem tchu. Pójdę tam jutro, zdecydował. Pójdę na komendę, złożę zeznania i niech się to wszystko nareszcie skończy.

17

Kiedy zadzwoniła komórka, Ada włączała właśnie komputer, żeby uzupełnić raporty. Godzinę wcześniej pod dom Demilowów podjechał samochód. Wysiadło z niego dwóch umundurowanych policjantów. Przekazała im rysopis Madiny, wezwała taksówkę i wróciła do Pałacu Mostowskich. Za kurs zapłaciła ponad trzydzieści złotych i sięgając po telefon, uznała, że nadszedł czas na podreperowanie funduszy nadszarpniętych przez przeprowadzkę i remont mieszkania; to oznaczało, że zbliżał się moment spotkania, na które nie miała najmniejszej ochoty. Nie miała jednak również wyjścia, skoro nie chciała, aby standard jej życia uległ gwałtownemu pogorszeniu. Takiej możliwości nie brała nawet pod uwagę.

– Halo – mruknęła z roztargnieniem.

– Tu Jerzy Wójcik – odezwał się cichy głos. – Odsłuchałem wiadomość…

Natychmiast oprzytomniała.

– Przy telefonie komisarz Adela Rochniewicz. Dobrze, że pan dzwoni. Musimy się bezzwłocznie spotkać.

– Czy można wiedzieć, w jakim celu?

– Chcemy zadać panu kilka pytań.

– Jakich pytań?

– Dowie się pan na komendzie – rzuciła ostro.

– Okej – zgodził się potulnie. – Kiedy mam się zgłosić?

Adę ogarnął niepokój. Większość osób wzywanych na komendę zaczynała naciskać i żądać wyjaśnień. Albo przynajmniej zastanawiała się dłuższą chwilę, nim zgodziła się na przesłuchanie. Natomiast odpowiedź Wójcika padła od razu, jakby wiedział doskonale, o co chodzi.

– Proszę przyjechać natychmiast.

– Teraz? – zdziwił się.

– Teraz.

– To będzie dość trudne…

Miała wrażenie, że odpowiada machinalnie, jakby coś go rozpraszało i nie mógł skupić myśli.

– Trudne… – powtórzył z roztargnieniem.

– A to dlaczego? – zapytała.

– Jestem w Puławach. Ostatni pociąg do Warszawy… No właśnie… Ostatni pociąg odjechał dziesięć minut temu. Nie mam samochodu…

Przygryzła dolną wargę. Była przekonana, że Jerzy Wójcik nie przypadkiem dzwoni do niej tak późno.

– Dlaczego nie odezwał się pan wcześniej? Zostawiłam wiadomość na poczcie głosowej.

– Tu nie ma zasięgu – tłumaczył. – Trzeba wyjść z domu, żeby odsłuchać pocztę.

– I nie wychodził pan?

– Nie. Chciałem odpocząć od Warszawy.

– W takim razie proszę zgłosić się jutro między dziesiątą a jedenastą rano. O której odjeżdża pierwszy pociąg?

– Zdążę. Nie ma problemu.

– Mam nadzieję – powiedziała. – W przeciwnym razie uznam, iż celowo unika pan przesłuchania. Zgłoszę to do prokuratury i postaram się o nakaz doprowadzenia. Proszę mi wierzyć, wolałby pan tego uniknąć.

– Wierzę – odparł.

Odłożyła komórkę. Była pewna, że Wójcik wie o zabójstwie Wagner. Nie chciał się jednak z tym zdradzać. Zginęła bliska mu osoba. W tej sytuacji powinien zapytać o postępy śledztwa, zamiast udawać, że nie ma o nim pojęcia. Chyba że, splotła dłonie i oparła je na karku, szeroko rozsuwając łokcie, chyba że ma coś do ukrycia. Z drugiej strony, zastanawiała się dalej, z drugiej strony Wójcik mógł o wszystkim przeczytać w dzisiejszej bulwarówce, przeżyć szok i zareagować wyparciem… Zerknęła na leżącą obok gazetę. Nagle coś jej się przypomniało. Poprzedniego wieczoru w nieczynnym bufecie policyjnym widziała Kapustę. Siedział przy stoliku z mężczyzną, który wydał się jej znajomy. Teraz wiedziała już, kim był ów człowiek. Wstała, zmięła bulwarówkę, wyrzuciła do kosza i sięgnęła po akta Wójcika.

Teczka zawierała opis dwóch incydentów. Pobieżnie, bez zainteresowania przejrzała raport na temat utarczki z kontrolerem biletów, zatrzymała się jednak przy kolejnej sprawie. Kilka lat temu Wójcik pobił dotkliwie niejakiego Jakuba Troniewskiego, starszego kolegę ze szkoły. Troniewski trafił do szpitala, Jerzy do aresztu. Groził mu poprawczak i pewno by tam skończył, ale sprawa sądowa się nie odbyła. Rodzice kolegi niespodziewanie wycofali oskarżenie. Do awantury doszło w budynku puławskiego liceum. Z pisanych niedbale raportów zrozumiała, że kilku pierwszoklasistów zostało po lekcjach, żeby zagrać w RPG. Siedzieli w pustej klasie. Troniewski zajrzał do nich po ósmej wieczorem. Nie ustalono, co robił o tej porze w szkole. Nieoczekiwanie w drzwiach tuż za nim pojawił się Jerzy i rozbił mu na głowie butelkę. W czasie przesłuchania

tłumaczył, że próbował bronić młodszych chłopców, nie udzielił jednak odpowiedzi na pytanie przed czym. Obciążały go dodatkowo zeznania nauczycieli. Twierdzili, że Wójcik jest krnąbrnym, zamkniętym w sobie nastolatkiem. Wcześniej kilkakrotnie zachowywał się agresywnie w stosunku do starszych kolegów i nauczyciela WF-u. Po tygodniu rodzina poszkodowanego wycofała oskarżenie. Sędzia zdecydował, że pobyt w ośrodku zamkniętym wpłynąłby niekorzystnie na osobowość chłopca. Sprawę zamknięto. Zostały po niej chaotyczne, nieuporządkowane raporty i urwane w połowie przesłuchania świadków. Jerzego usunięto karnie ze szkoły. Skończył liceum wieczorowe. Ada znalazła jednak coś jeszcze – podpiętą do reszty dokumentów wstępną opinię psychologa. „Trudne dojrzewanie”, czytała. „Pacjent niestabilny emocjonalnie, skłonności depresyjne. Wzmożone poczucie winy. Skłonność do obarczania się zbyt dużą odpowiedzialnością. Istnieje podejrzenie zaburzeń osobowości afektywnych dwubiegunowych. Wskazana dalsza obserwacja”.

Zmarszczyła brwi. Opinia psychologa nie zgadzała się z zeznaniami nauczycieli. „Wzmożone poczucie winy”… Spróbowała się skoncentrować i ułożyć zebrane informacje w logiczny ciąg. Kilka lat temu Wójcik uderzył kolegę butelką w tył głowy. Od podobnego uderzenia zginęła Zofia Wagner. Nie należało bagatelizować tego podobieństwa. A jednak chłopak atakował wcześniej wyłącznie silniejszych od siebie mężczyzn. „Agresywny w stosunku do starszych kolegów i nauczyciela WF-u”. Wyraźnie napisano „starszych”. Czy mógł w takim razie skrzywdzić bezbronną kobietę? Co stało się w szkole? I dlaczego rzucił się na Troniewskiego? Ada odłożyła teczkę i pochyliła się nad klawiaturą komputera. „Choroba dwubiegunowa”, wpisała w przeglądarkę. „Choroba afektywna dwubiegunowa (ChAD) to przewlekłe zaburzenie psychiczne, które wpływa na samopoczucie oraz zachowanie pacjenta. Charakteryzuje się

naprzemiennymi cyklami manii i depresji”, czytała na stronie Instytutu Psychiatrii i Neurologii. „Jeśli wahania nastroju są bardzo drastyczne, pojawiają się objawy psychotyczne. W fazie depresji chorego ogarnia nadmierne poczucie winy i przekonanie o całkowitym braku własnej wartości, może nawet uważać, że nie istnieje. Zdarzają się również halucynacje – chory słyszy i widzi ludzi, których w danym miejscu nie ma”. Przebiegła oczami kolejny fragment tekstu, uważnie szukając słowa „przemoc”. W ostatnim akapicie znalazła: „Czasami hospitalizacja jest absolutnie konieczna, jeśli na skutek objawów chorobowych pacjent zagraża swojemu życiu lub życiu i zdrowiu innych osób”.

Odsunęła się od biurka. Ukryła twarz w dłoniach i siedziała przez dłuższy czas nieruchomo, intensywnie myśląc. W ciągu ostatnich godzin dochodzenie przybrało niespodziewany obrót. Zniknięcie Madiny i pieniądze znalezione w domu Demilowów jednoznacznie wskazywały, że właściwy trop w śledztwie prowadzi do uchodźców. Wójcik z najbardziej podejrzanego stał się mało istotnym świadkiem. Ada zgadzała się z wnioskami Sawickiego, a jednak coś mówiło jej, że nie powinna bagatelizować pozostałych poszlak. Wyłączyła komputer i odłożyła teczkę do szuflady. Czuła się bardzo zmęczona.

18

Dochodziła dwunasta, kiedy skręciła w wąską osiedlową uliczkę. Jechała wolno. Rozglądała się na boki, szukając miejsca do parkowania, dlatego zobaczyła go zbyt późno. Tuż przed drzwiami do klatki schodowej w ziarnistym świetle reflektorów majaczyła niewyraźna postać. Niski, zażywny mężczyzna stał oparty o ścianę domu. Najwyraźniej czekał na kogoś. Twarz i ramiona nikły w cieniu, ale Ada rozpoznała go natychmiast. W pierwszym odruchu chciała zawrócić w stronę komendy, ale drgnął i podniósł rękę w powitalnym geście, nim zdążyła docisnąć pedał gazu. Zatrzymała samochód. Z ociąganiem zebrała z tylnego siedzenia teczkę z materiałami śledztwa i żwirek dla kota. Mężczyzna stał teraz w jasnym kręgu tuż pod uliczną latarnią, zwracając ku niej pulchną, starannie ogoloną twarz. Poczuła narastającą irytację. Tyle razy prosiła, żeby nie przychodził bez zapowiedzi.

– Cześć. – Objął ją i próbował pocałować.

– Przestań. – Odsunęła się.

– O co chodzi? – zapytał z takim zdziwieniem, że omal w nie uwierzyła.

Ogarnęła ją złość. Furia tak potężna i niespodziewana, że ona, Ada, która panowała nad własnymi emocjami z niezmienną, zimną i upartą wprawą chirurga, nie zdołała jej się oprzeć.

– Nic do ciebie nie dociera?! – zapytała, krzyknęła. – W ogóle nie można na tobie polegać! – ciągnęła tym samym gwałtownym, idiotycznie

skrzekliwym tonem, nie mogąc się opanować i uporządkować tego, co działo się w jej głowie. – Obiecałeś tu nie przychodzić!

Po jego twarzy przemknął cień, ledwo dostrzegalny skurcz.

– Dzwoniłem…

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Bo nie odbierasz komórki.

Wyciągnęła z kieszeni telefon, po czym uniosła ze zdumieniem brwi. Nie odebrała trzech połączeń; widocznie skupiła się tak bardzo na czytaniu akt Wójcika, że nie słyszała dzwonka. Poczuła spazm bólu. Dlaczego to robił? Dlaczego nie mógł zostawić jej w spokoju? Gdyby przestał dzwonić i nieustannie ją nachodzić, mogłaby przynajmniej spróbować zapomnieć… Sztywnymi palcami szukała w torebce kluczy do mieszkania. Czuła, że twarz jej płonie. Niezależnie od tego, jak bardzo go nienawidziła, nie umiała przestać mu współczuć.

– Ale ty przecież nic nie rozumiesz. Nie chcesz rozumieć! – powiedziała z pasją i nieoczekiwanie zawładnęła nią dziwna, histeryczna wesołość. – Wystarczy jeden ruch z mojej strony. Jedno słowo, a twoja kariera i całe życie osobiste legną w gruzach. – Zaśmiała się gorzko.

Po tych słowach nastąpiło długie milczenie. Stali, ponuro mierząc się wzrokiem. Podły, podły, dudniło jej w głowie. Najbardziej podły i najbiedniejszy z ludzi… Zawsze to samo, myślała dalej z goryczą. Za każdym razem ta sama historia. Chce, żebym to ja czuła się winna wszystkiemu, co między nami zaszło… Dotknął jej ramienia. Szarpnęła się. Dźwięk upadających kluczy przerwał napiętą ciszę. Schyliła się po nie prędko i zacisnęła zimny metal w spoconej dłoni.

– Chciałem ci tylko coś pokazać – powiedział, jakby nie przyjmował do wiadomości jej zdenerwowania.

– O dwunastej w nocy? – zapytała, z trudem łapiąc oddech.

– Tak, to bardzo ważne.

– Nie wpuszczę cię do mieszkania.

– Nie mam zamiaru wchodzić na górę – odparł obojętnie, czym jeszcze bardziej ją rozdrażnił. – Przespaceruj się ze mną kawałek.

– Nie ma mowy – warknęła.

– Kilkadziesiąt metrów – nalegał. – Do kościoła po drugiej stronie ulicy.

Odwróciła się w stronę drzwi i wystukała kod na domofonie. Zabzyczał elektryczny zamek. Położyła dłoń na klamce.

– To dotyczy śledztwa, które prowadzisz – dodał pospiesznie.

Stał nieruchomo i czekał na jej reakcję.

– Czytałeś akta? – spytała, prawie krzyknęła.

Miała ochotę go zabić. Tak bardzo starała się wyłączyć go z własnego życia, a on powracał zawsze, przeciskał się przez szczeliny, których nie zdołała zabezpieczyć.

– Musisz coś zobaczyć – upierał się.

Powoli puściła klamkę. Był w końcu jej ojcem. Co więcej, był doświadczonym policjantem.

– Jak uważasz – zgodziła się po chwili wahania.

Przeszli przez ulicę i ruszyli w stronę kościoła. Drzwi bocznej nawy były uchylone. Ojciec wszedł pierwszy. Spokojnym, zdecydowanym krokiem poprowadził ją przed ołtarz. Stanął przed tabernakulum, odwrócił się i z całej siły chwycił ją za rękę.

– Naprawdę sądzisz, że zgodzę się na twój ślub z muzułmaninem? – zasyczał obcym, zmienionym głosem i nim zdążyła zareagować, wybiegł do zakrystii, zatrzaskując za sobą drzwi.

Spojrzała na rękę. Na przedramieniu pojawiło się pięć ciemnych plam. Pięć sinych, wyraźnych odcisków palców. Poczuła ciągnący od ziemi

chłód. Dopiero teraz spostrzegła, że stoi zanurzona po pas w gęstej, zawiesistej brei. Woda była mętna, pełna glonów. Nie widziała, co dzieje się pod powierzchnią, nie miała jednak wątpliwości, że w ciemnym szlamie czai się coś żywego. Coś, z czym w żadnym wypadku nie chciała się spotkać. Obły, podłużny cień przemknął tuż obok i odpłynął w stronę chrzcielnicy. Zastygła w bezruchu. Miała nadzieję, że jej nie zauważy. Powoli, rozglądając się wokół, ruszyła w kierunku ławek. Gdyby udało jej się do nich dotrzeć, mogłaby wdrapać się wyżej i przeskakując z oparcia na oparcie, uciec z kościoła. Wyciągnęła ostrożnie rękę. Jeszcze tylko dwa kroki. Jeszcze jeden… Nagle w powietrzu rozszedł się słodkawy, mdlący zapach. Charakterystyczny smród gnijących zwłok. Coś śliskiego otarło się o jej łydkę. Rzuciła się naprzód, próbując zrobić ostatni, rozpaczliwy krok. Wiedziała jednak, że nie zdąży. Chwyciła oparcie ławki i wyszarpnęła z wody skrwawiony, bezwładny kikut.

Usiadła na łóżku, oddychając z trudem. Spróbowała unieść ścierpniętą nogę. Odrzuciła kołdrę i pochyliła się, żeby rozmasować łydkę. Filip-Oleńka obudził się, spojrzał na nią z urazą i skoczył na podłogę. Nie przerywała masowania. Przykurczyła i rozprostowała palce. Krew zaczynała krążyć szybciej. Skurcz minął, ale nie czuła się dobrze. Bolała ją głowa, miała wyschnięte i spękane wargi. Nie lubiła snów o ojcu. Podstępnie, wbrew jej woli wyłuskiwały z zakamarków umysłu prawdy, które tak głęboko starała się ukryć. Czuła się obnażona, bezbronna i ośmieszona we własnych oczach. W jej sennych marzeniach podświadomość torowała sobie drogę na powierzchnię jak żyjący na bagnach stwór, który wystawia ślepy, odrażający pysk z podwodnego szlamu. Ojciec nigdy nie odwiedziłby jej o dwunastej w nocy, nie przyjmował do wiadomości gniewu, który do niego czuła, a już z całą pewnością nie potrzebował jej współczucia. Przynajmniej nie jest

policjantem, pomyślała z ulgą. Niezależnie od tego, jak daleko sięgają jego wpływy i znajomości, nie ma dostępu do akt sprawy, którą prowadzę. Westchnęła i wstała, żeby przynieść z kuchni szklankę wody. Zatrzymała się jednak, przechodząc obok okna. W śnie poza ojcem pojawiło się coś jeszcze. Coś, co wydało się jej istotne. Uniosła zasłonę. Po drugiej stronie ulicy stał niewielki pawilon. Nad wejściem do sklepu spożywczego żarzył się neon. Pod metalowym płotem w zdyscyplinowanym rzędzie stały rachityczne drzewka. Kościół zniknął.

19

Mikołaj Zalewski złożył mokry parasol przed betonowym blokiem numer dwanaście, stojącym przy ulicy Bełskiej. Wystukał kod na domofonie, poczekał na sygnał, po czym otworzył drzwi i przepuścił przed sobą żonę. W środku pachniało wilgotnym tynkiem i ludzkim moczem. Iza ściskała w dłoni bukiecik stokrotek. Minęła go prędkim krokiem, nie podnosząc głowy. Na schodach nie zamienili ani słowa. Nie spojrzeli na siebie, czekając na windę, która zjeżdżała na parter, grzechocąc i skrzypiąc. Wpatrywali się zgodnie w wymalowany na ścianie napis: „Żryj włosy z penisa”.

Odbywający się co kilka miesięcy rytuał spotkań rodzinnych niezmiennie kończył się awanturą. Za każdym razem wracali do domu skłóceni nie tylko z matką i dwoma młodszymi braćmi Mikołaja, ale też ze sobą nawzajem. Mikołaj nie pamiętał, kiedy przestał dogadywać się z rodzeństwem i od jak dawna matka trzymała go na dystans. Już w liceum, niedługo po śmierci ojca, poczuł się wyrzucony poza familijny nawias. Doskonale rozumiał dlaczego, chociaż nigdy nie rozmawiano z nim o tym wprost. Nikt w żadnym momencie nie wyartykułował pretensji, nie zgłosił obiekcji, nie upomniał go, niczego się nie domagał. A jednak nie miał najmniejszych wątpliwości, co powinien zrobić, żeby sytuacja uległa zmianie. Wiedział również, że rodzina wie, że on wie. Od lat trwali naprzeciw siebie w tępym uporze, jak szachiści, którzy nie przyjmują do

wiadomości, iż partia zakończyła się patem. Pomiędzy Mikołajem a matką wzrastał powoli solidny mur zapiekłej wrogości. Kiedy bracia dorośli, musieli dokonać wyboru. Matka nie uznawała kompromisów. Mikołaj został przez nich wykluczony. Nie wymazany czy usunięty, raczej przesunięty. Dyskretnie, centymetr po centymetrze wypchnięty z rodzinnych rejestrów. Matura została jeszcze zauważona – dopytywano się o stopnie, nawet mu gratulowano, ale nikt nie skomentował faktu, że dostał się na studia. Obrona jedna i potem druga jakby się nie zdarzyły. Nigdy nie zadawano mu pytań o pracę w laboratorium, wyniki i publikowane teksty naukowe. Najbardziej bolało go jednak, że zaręczyny i ślub z Izą zostały całkiem przemilczane. Dano mu jasno do zrozumienia, że rodzina nie traktuje poważnie świeckich ceremonii i potępia życie w grzechu, na które decydował się, rezygnując z kościelnego obrządku. Mikołaj nie wiedział, czy bracia i matka rozmawiają o nim za jego plecami. Byli jednak zadziwiająco zgodni i zsynchronizowani w swoich poczynaniach. Z wyjątkiem imienin i świąt Bożego Narodzenia cała trójka konsekwentnie starała się udawać, że Mikołaj nie istnieje. Nie dało się jednak nie zauważyć, że mimo wszystkich przeprowadzanych systematycznie akcji oczyszczania rodziny Zalewskich z najstarszego syna ten nadal trzymał się w jej pobliżu. Uparcie i wbrew zdrowemu rozsądkowi powracał, nieustępliwy i destrukcyjny, jak rzucony niewprawną ręką bumerang. Im bardziej dawali mu do zrozumienia, że nie jest mile widziany, tym bardziej stawał się widoczny, im rzadziej go zapraszali, tym gorliwiej szturmował ich drzwi.

Winda zazgrzytała ciężko i zatrzymała się na szóstym piętrze. Mikołaj stanął niezdecydowany przed drzwiami numer pięćdziesiąt osiem. Iza dotknęła jego ramienia.

– To urodziny? – zapytała.

– Nie, imieniny. Matka obchodzi tylko katolickie święta.

– To imieniny są religijne, a urodziny nie?

– Potem ci wytłumaczę – odpowiedział zmęczonym głosem i nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzyła pani Helena – matka Mikołaja. Miała na sobie szarą wełnianą garsonkę i białą bluzkę z żabotem ze sztucznego jedwabiu. W klapę marynarki wpięła ogromną bursztynową broszkę.

– Jesteście głodni? – Zaprosiła ich ruchem dłoni w głąb mieszkania. – Piotr przygotował sałatkę i grzanki z pesto – ciągnęła, odbierając od Izy bukiecik stokrotek. – Czekamy na Karola, żeby podać kisz. Sama upiekłam…

– Sama, powiadasz. – Mikołaj wyciągnął ręce w powitalnym geście, na co pani Helena odpowiedziała niezwykle skomplikowanym technicznie manewrem: wysunęła do przodu głowę, nadstawiając policzek, i jednocześnie cofnęła się pół kroku. Wyglądało to tak, jakby czekała na serdeczny pocałunek, ale znalazła się za daleko i w rezultacie Mikołaj cmoknął głośno powietrze.

– No to chodźmy jeść, zobaczymy, co tam przygotowałaś – mruknął lekko speszony i objął matkę, a ona pozwoliła poprowadzić się w głąb korytarza.

W dużym pokoju czekał najmłodszy Zalewski. Wchodząc, zobaczyli go z profilu. Siedział nieruchomo w kącie kanapy. Mikołaj drgnął zdziwiony, bo odniósł wrażenie, że widzi przed sobą odmłodzoną i znacznie szczuplejszą postać kleryka. Karol i Piotr byli do siebie uderzająco podobni, choć twarz jednego znaczyły przedwczesne zmarszczki mimiczne i głębokie bruzdy wokół ust, drugi natomiast nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat. Podobieństwo wzmogło się dodatkowo, od kiedy najmłodszy Zalewski zaczął kopiować styl i sposób zachowania średniego

brata. Piętnaście lat wcześniej, niedługo po śmierci ojca, to Karol, a nie starszy Mikołaj, stał się dla chłopca najwyższym autorytetem. I właśnie zgodnie z jego radami Piotr wybrał katolickie gimnazjum, potem liceum, a po maturze skończył filozofię na Uniwersytecie Kardynała Wyszyńskiego. Słuchał podobnej muzyki, czytał te same książki, a większość dyskusji kończył sakramentalnym: „Zresztą Karol też tak uważa”. Ostatnio zaczął też naśladować głos i sposób ubierania się kleryka. Tego dnia miał na sobie ciemne spodnie z zaprasowanym kantem, szary wełniany blezer i czarną koszulę. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł z seminarium.

– Poważny strój – roześmiał się Mikołaj. – Myślałem, że mam przed sobą księdza. Jeden w rodzinie chyba wystarczy?

Piotr zerwał się z miejsca, głośno przesuwając krzesło i potrącając nakryty stół. Nastąpiło hałaśliwe powitanie i męskie potrząsanie dłoni.

– Jak leci? – zapytał Mikołaj.

– Dobrze. A u was?

– Kupiliśmy nowy komputer i…

– Właśnie miałem ci powiedzieć – przerwał Piotr – miałem ci powiedzieć, że czytałem artykuł w „Świecie Nauki”. Podobno są takie małe organizmy, nazywają się archeony. Wiedziałeś o tym?

– Tak, tak… – Mikołaj kiwnął z roztargnieniem głową. – A komputer mógłby cię zainteresować. Ma kartę graficzną, która…

– Te archeony żyją w gorących źródłach i żywią się materią nieorganiczną. To chyba tak jakby jadły piasek albo szkło? Niektóre są podobno kwadratowe. – Piotr podniósł głos. Nie ulegało wątpliwości, że postanowił zignorować kwestię zakupu komputera.

– To prawda – przyznał z rezygnacją Mikołaj. – Niektóre mają komórki w kształcie sześcianu. Jak chcesz, mogę ci o nich coś więcej opowiedzieć…

– Pewno, bardzo chętnie. Niesamowita sprawa! Umówmy się kiedyś na wykład z mikrobiologii. – Mrugnął, ulokował się wygodniej w kącie kanapy i natychmiast zaczął mówić o czekającym go w poniedziałek egzaminie na prawo jazdy.

– Zapłaciłem tylko sześćset złotych, bo na Grouponie była promocja. Z jednym kolegą ze studiów się zapisałem – ciągnął beztrosko, składając, to znów rozpościerając na kolanach papierową serwetkę. – Żadnych lekcji nie potrzebowałem. Od dawna umiem prowadzić. Karol jeszcze w liceum mnie nauczył. Nawet instruktor się dziwił. Ale takie są w Polsce przepisy. Nie można zdać egzaminu bez kursu…

Piotr zdjął sweter i podwinął rękawy koszuli.

– Niezłe buły. – Mikołaj zerknął na nagie przedramiona młodszego brata.

– We wtorek jedziemy z chłopakami w góry. Chcemy się trochę powspinać.

– Teraz? Zimą?

Rozmowa o sporcie odpowiadała obu Zalewskim. Piotr był członkiem uniwersyteckiej sekcji lekkoatletycznej, Mikołaj w dzieciństwie trenował narciarstwo.

– Nie ma zagrożenia lawinowego. Taka przygoda…

– Też się denerwuję – przyznała pani Helena. – Ale pokładam w Bogu nadzieję, że nic złego się nie zdarzy. Zejdą z gór w piątek wieczorem, a w sobotę mamy niewielkie spotkanie z zakopiańską wspólnotą Ruchu. Niestety nie będzie ojca Gdańskiego. Pamiętasz go? – spytała.

Mikołaj niechętnie kiwnął głową.

– Jest chory – ciągnęła z naciskiem, jakby próbowała go do czegoś przekonać. – Daleka podróż by go wyczerpała.

Iza zaczerpnęła głęboko powietrza. Siedziała, utkwiwszy wzrok w czarno-białej rycinie przedstawiającej pasące się na łące krowy. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Mikołaj chciał zareagować, włączyć żonę do rozmowy, ale żaden sensowny pomysł na zmianę tematu i nastroju nie przyszedł mu do głowy. Na szczęście w tym momencie zadzwonił telefon. Pani Helena odebrała. Pozostali unieśli głowy i patrzyli w jej stronę, jakby spodziewali się, że za chwilę przekaże niezwykle ważną wiadomość.

– Dobrze, oczywiście – mówiła cicho, odsuwając się nieco od stołu. – W takim razie zobaczymy się później.

Mikołaj usłyszał w jej głosie ton niepokoju. Drgnął, ale matka właśnie odkładała słuchawkę, a na jej twarzy malował się ten sam łagodny, nieprzenikniony wyraz.

– To Karol. – Uśmiechnęła się. – Coś mu wypadło. Nie przyjdzie.

– Na imieniny własnej matki?

– Piotrze, pomóż mi, proszę, w kuchni – zignorowała pytanie i wyszła z pokoju.

Piotr poderwał się i ruszył za nią. Wyjmowanie kiszu z piekarnika zajęło sporo czasu. Iza podeszła do półki z książkami, sięgnęła po pierwszy z brzegu album i zaczęła go przeglądać. Mikołajowi zdało się, że z przedpokoju dobiega nerwowa, przyciszona rozmowa. Siedział sztywno, złożywszy nieruchome dłonie na obrusie. Jednoczesne towarzystwo żony i matki krępowało go w trudny do zniesienia sposób. W gorzkim odruchu samoświadomości zrozumiał, że wstydzi się obu kobiet: nadmiernie religijnej pani Heleny przed chłodną, inteligentną Izą i żony o zbyt silnej, dominującej osobowości przed tradycyjną matką. Obecność braci zawsze pogarszała sytuację. Miał poczucie, że cała trójka obserwuje uważnie jego małżeństwo, ocenia je w cichości ducha i w dogodnej chwili dzieli się

spostrzeżeniami. Jestem rozdrażniony, skarcił się ostro i posłał Izie serdeczny uśmiech. Odpowiedziała przyjaznym mrugnięciem.

– Piotrze, pokrój kisz. – Pani Helena z najmłodszym synem wrócili do pokoju. – I podaj nowe sztućce – dodała.

Piotr sięgnął po nóż. Mikołaj pomyślał mimo woli, że młodszy brat zachowuje się jak dobrze ułożony nastolatek. Tymczasem Piotr miał prawie dwadzieścia pięć lat. Mimo to ciągle mieszkał z matką i nie zamierzał się usamodzielniać. Reszta rodziny traktowała go jak wyrośnięte, lekko upośledzone dziecko i rola ta najwyraźniej bardzo mu odpowiadała.

– Sam nie wiem, co sądzić o tym czwartkowym proteście. – Najmłodszy Zalewski pochylił się nad zapiekanką. Rzucił uwagę półgłosem, jakby zastanawiał się nad czymś głęboko i mówił do siebie. – Całe śródmieście zatkane. Już od szóstej nie dało się przejechać Nowym Światem. A jak poszedłem pod uniwersytet, to się okazało, że manifestuje najwyżej dwieście osób.

– To była demonstracja pod hasłem rozdziału Kościoła i państwa – odpowiedział Mikołaj. – Z tego, co wiem, odbyła się również kontrdemonstracja pod pomnikiem Dmowskiego. Policja na wszelki wypadek rozdzieliła oba wiece, stąd korki.

– Ale ja nie rozumiem, o co w tym chodzi. Z czym ci ludzie mają problem? – Piotr nałożył matce kawałek kiszu z pomidorami i szpinakiem, po czym rozejrzał się po pokoju, jakby ściany mogły udzielić mu wyjaśnień.

Mikołaj się spiął.

– Czego nie rozumiesz? W tym kraju żyją nie tylko katolicy – mówił spokojnie, poczuł jednak w piersi zimny, nieprzyjemny skurcz.

Wiedział, że oto właśnie obaj z bratem wkraczają na grząski grunt.

– Ale są kraje muzułmańskie – ciągnął Piotr tonem zdumionego dziecka. – Są przecież kraje wyznaniowe i dobrze sobie radzą. Nie widzę w tym nic niestosownego.

– To wyjedź do Arabii Saudyjskiej i spróbuj publicznie nosić krzyżyk na szyi! – Mikołaj poczuł się prowokowany i jak zawsze dał się sprowokować. – Obetną ci łeb, będziesz miał swój wyznaniowy kraj! – Zaczerwienił się.

– Nie krzycz. – Matka podniosła rękę. – On chce się tylko dowiedzieć. Mów dalej, Piotrze.

– On ma dwadzieścia cztery lata i powinien zacząć samodzielnie myśleć.

– Nie chodzi o rozdział Kościoła i państwa, ale o pogwałcenie praw naturalnych – wyjaśnił Piotr spokojnym tonem.

– Nie rozumiem, dlaczego legalizacja związków partnerskich miałaby wyrządzać krzywdę naturze. A zwłaszcza dlaczego miałaby ją gwałcić. Wszystko ci się z seksem kojarzy. – Mikołaj zareagował tak gwałtownie, że Iza zastygła z widelcem uniesionym w połowie drogi do ust. – Naprawdę nie jesteś w stanie wyjść poza kategorie pornograficzne? – ciągnął. – Otóż wyobraź sobie, że tym ludziom nie chodzi o seks, ale o prawo do miłości.

– Do miłości? – powtórzył cicho Piotr, nie reagując na napastliwy ton brata, jakby prowadzili najzupełniej niewinną, przyjacielską pogawędkę.

Pani Helena przyglądała się synom niczym królowa matka: odległa, niedostępna i wszechmogąca. Wokół jej wąskich ust błąkał się cień. Mikołaj dojrzał w jej twarzy irytację, powagę i lekceważenie jednocześnie. Czuł się zdezorientowany. Rodzina po raz kolejny wmanewrowała go w sytuację, w której nie chciał się znaleźć. Zabrnął jednak za daleko, żeby się wycofać.

– Nie wierzysz, że homoseksualiści mogą się kochać? To nie są zwierzęta ogarnięte żądzą, tylko normalni ludzie, jak ty i ja – wypalił.

– Podobnie jak Karol wierzę w boski porządek i normalność – mruknął Piotr, przełykając kęs pomidora. – Mam kolegę, który się wyleczył z homoseksualizmu.

– Co ty mówisz? To znaczy, że z orientacji heteroseksualnej też można się wyleczyć? Na przykład w seminarium? Ciekawe, czy Karolowi się uda.

Przy stole zapadła cisza. Pani Helena uniosła się lekko i wzięła do ręki salaterkę.

– Czy komuś jeszcze sałaty? – spytała najzupełniej spokojnie.

– Ja proszę – przyszła jej z pomocą Iza.

Piotr siedział przez chwilę nieruchomo, po czym gwałtownie odłożył sztućce.

– Wcale nie chciałem cię urazić – zwrócił się do starszego brata. – Mówię to, co naprawdę myślę.

Mikołaj spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Dlaczego nie możesz powściągnąć własnych emocji? – Iza westchnęła, zdejmując wełniane rajstopy w kolorowe paski. Siedziała na stole, trzymając stopy na oparciu krzesła. Jak zawsze kiedy była zła, zawiesiła wzrok na niewidzialnym punkcie w połowie drogi pomiędzy nią a Mikołajem. W jej głosie pojawił się ostry ton, zjadliwa, przykra nuta skrajnego rozdrażnienia. Mikołaj zerknął na nią niespokojnie.

– To oni mnie prowokują i to oni mają problem – odpowiedział.

– Oni, oni – przedrzeźniała go. – Nie, to ty masz problem, bo dajesz się prowokować.

– Miałem prawo się zdenerwować.

– Skoro miałeś prawo, to oczywiście jesteś usprawiedliwiony – odparła sztywno. – Wy wszyscy macie do czegoś prawo. Ciągle to powtarzacie. Nie obchodzi was nic poza ustalonym w waszej rodzinie niepodważalnym przywilejem postępowania zgodnie z własnym widzimisię. Cudze uczucia w ogóle was nie interesują. Przecież Piotr cię przeprosił.

– Nie zauważyłem.

– W każdym razie na koniec się wycofał.

– Ale wcześniej musiał powiedzieć, co myśli. A niby dlaczego? Czy ja im bez przerwy opowiadam o prawie kobiet do aborcji albo gejowskich organizacjach? – Mikołaj bronił się gwałtownie. – Wciskam im lewicowe pisemka albo wysyłam linki do feministycznych tekstów?

– Nie – przyznała Iza.

– A my co dostaliśmy na gwiazdkę? Katechizm Kościoła Katolickiego – odpowiedział, nim zdążyła się odezwać. – A jaki prezent przyniosła mi matka na imieniny?

– Nie pamiętam.

– Zbiór broszurek: *Droga do świętości*, *Z Maryją za pan brat* i inne bzdury.

– *Z Maryją za pan brat*? – Potrząsnęła głową, próbując ukryć rozbawienie.

– Nieważne, coś w tym rodzaju. Z okazji matury rodzina sprezentowała mi różaniec, a kiedy skończyłem trzydzieści lat, przysłała mi pocztą Biblię. Piotr doskonale wie, co robi. On i te jego niewinne pytania. Naprawdę myślisz, że nie chciał mnie denerwować? – Otworzył szeroko oczy i przybrał wyraz twarzy zdumionego dziecka, przedrzeźniając brata tak dobrze, że Iza całkiem otwarcie się roześmiała. – I co on plótł? Kompletnie zgłupiał.

– Jest jeszcze młody i niedojrzały – zaprotestowała.

– Nieprawda. Jest dorosły. Powinien samodzielnie myśleć. Tymczasem powtarza jak katarynka słowa matki i Karola. Nigdy nie słyszałem, żeby mówił coś, czego wcześniej nie usłyszał i nie nauczył się na pamięć. Karol całkowicie go zdominował – dodał poważnie. – I to mnie bardzo martwi.

– Bezustannie zastanawiasz się nad tym, co się dzieje z twoimi braćmi, o czym myślą, co mówią, jakie mają poglądy. Moim zdaniem próbujesz ich kontrolować.

– Nie kontroluję ich – żachnął się, zdejmując buty i rozpinając koszulę. – Po prostu się martwię.

– Jeśli rzeczywiście ci na nich zależy, powinieneś przestać się narzucać – odpowiedziała zdecydowanie. – Są inni. Zaakceptuj to i daj im w końcu spokój.

Iza rzuciła rajstopy i podkoszulek na pościelone łóżko. Miała gęste ciemne włosy i harmonijną twarz o pięknych, regularnych rysach. Dziadek ze strony jej ojca pochodził z Delhi. Wyemigrował do Anglii pod koniec lat trzydziestych. Zdążył skończyć medycynę, nim wybuchła wojna. W roku czterdziestym poznał w Londynie młodziutką uciekinierkę z Polski. Co zdarzyło się potem, osnuła rodzinna tajemnica. Do czasu gdy w roku czterdziestym siódmym polska pielęgniarka wróciła do kraju, przywożąc ze sobą synka o czarnych włosach i śniadej cerze. Po hinduskich przodkach Iza odziedziczyła oszałamiająco długie nogi i równie oszałamiająco krótki tułów. Defekt ten był tak poważny, iż w pierwszej chwili sprawiał wrażenie kalectwa, zwłaszcza że poruszała się sztywnym, przyciężkim krokiem, charakterystycznym dla osób cierpiących na dyskopatię. Mikołaj nie mógł się zdecydować, czy bardziej pociąga go piękna twarz żony, czy uderzająca dysproporcja jej sylwetki.

– Denerwuję się – powiedział, chwytając ją za nadgarstek. – Oni zawsze trzymali mnie na dystans. Dawali do zrozumienia, że jestem inny, że źle się

prowadzę. Jakby mój brak wiary świadczył o moralnej zgniliźnie… Ale teraz przybrało to wprost kuriozalne rozmiary.

– Poszli inną drogą. W takich sytuacjach więzy się rozluźniają.

Kiwnął głową i przyznał jej rację, ale po chwili powrócił do porzuconego tematu.

– Nie musimy się kłócić. Jest tyle neutralnych tematów. Tymczasem za każdym razem kiedy się widzimy, wybucha awantura. I za każdym razem to oni zaczynają. Czuję się, jakby wciągali mnie w zasadzkę…

– Nie możesz w końcu przestać? – zapytała z goryczą, oswobodziła nadgarstek i włożyła szlafrok. – Nie wszystkie matki chcą utrzymywać kontakt z dorosłymi dziećmi. Nie wszyscy bracia muszą się kochać i żyć w harmonii. Powinieneś to zaakceptować.

Mikołaj odwrócił twarz. Zastanawiał się w milczeniu, czy rzeczywiście matka go nie kocha. Nie ulegało wątpliwości, że wzbudzał rosnącą niechęć z powodu zatwardziałości serca, uparcie głuchego na boskie wołanie. Od lat próbował jednak dojść z nią do porozumienia. Starał się też na wszelkie sposoby okazywać, iż mimo różnic światopoglądowych nadal zależy mu na familijnych kontaktach. Tymczasem sytuacja rodzinna zamiast się unormować, z roku na rok ulegała przykremu zaognieniu. Pani Helena przestała odbierać telefony i zdecydowanie sprzeciwiała się spotkaniom Mikołaja z Piotrem. Karol, który przez całe dzieciństwo blisko przyjaźnił się ze starszym bratem i miał z nim wielu wspólnych znajomych, miotał się między odruchową serdecznością a skrajną niechęcią. Mikołaj w żaden sposób nie potrafił zdecydować się na trudny krok ostatecznego zerwania kontaktów. Zamiast wybrnąć z frustrującej sytuacji, wikłał się coraz bardziej we własne żale i pretensje, które trafiały w próżnię.

Powoli zapadał wczesny zimowy wieczór. Niebo nad parkiem poszarzało. Zapłonęły miejskie latarnie. Nagie drzewa wyciągały w górę

czarne, lśniące ramiona. Deszcz ze śniegiem uderzał w szybę i bębnił po parapecie. W oddali ktoś zagwizdał na psa.

– Podaj mi krem – powiedziała Iza, wychodząc z łazienki.

– Zostaw krem. Tak się zdenerwowałem, że musimy natychmiast pójść do łóżka. – Mikołaj złapał ją w talii i przyciągnął gwałtownie do siebie.

– Perwers. – Roześmiała się i padła na poduszki.

Właśnie rozwiązywał pasek jej szlafroka, kiedy zadzwonił telefon. Dwanaście sygnałów, a potem przerwa i kolejnych dwanaście. Ktoś nie dawał za wygraną. Sięgnął dłonią po komórkę, żeby ją wyłączyć, ale spojrzał przelotnie na ekran i zamarł.

– To Karol – powiedział niepewnie. – Chyba powinienem odebrać…

– Odbierz. – Iza usiadła na łóżku.

Chciała wyjść do kuchni, ale przestraszyła ją nagle zmieniona twarz męża.

– Tak – powtarzał. – Bardzo mi przykro. Oczywiście, spotkajmy się. Kiedy tylko będziesz chciał. Czekam na telefon. – Odłożył komórkę.

Iza wstrzymała oddech. Mikołaj był śmiertelnie blady.

– Pamiętasz Zosię, narzeczoną Karola? Tę, którą zostawił, idąc do seminarium?

– Oczywiście. – Skinęła głową.

– Nie żyje. Została zamordowana. To dlatego Karol nie przyszedł na imieniny matki.

20

W poniedziałek rano pogoda była nadal paskudna. Temperatura podniosła się o dwa stopnie powyżej zera. Padał deszcz. Niebo przesłaniały ciemne, gęste chmury, przez które nie przebijał nawet najmniejszy promień słońca. O ósmej trzydzieści operacyjni Wydziału do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw, ubrani w czarne dresy i czarne kurtki przeciwdeszczowe z odblaskowym napisem „Policja” na plecach, wsiedli do służbowego busa i w ponurym milczeniu pozwolili zawieźć się do Łazienek. Bus zatrzymał się na Agrykoli.

– Żeż kurwa jebana mać! – zaklął Sawicki, wysiadając prosto w kałużę topniejącego śniegu.

Bolała go głowa. Poprzedniego dnia, wracając do domu, zadzwonił do Olgi. Powiedział, że przyjedzie przed ósmą i zdąży poczytać dziewczynkom na dobranoc. Po drodze kupił wino i cztery piwa. Wino na zgodę, tłumaczył sobie, wychodząc ze sklepu. Piwa na rozluźnienie. Olga nie była zachwycona, widząc alkohol, ale wypiła do kolacji kieliszek bordeaux. Potem poszła wziąć kąpiel. Kiedy Sawicki położył dziewczynki i zamknął drzwi do ich pokoju, w łazience nadal lała się woda. Dopił wino. Olga pojawiła się po dziesięciu minutach ubrana w szlafrok, z twarzą grubo nasmarowaną kremem. Na nogach miała idiotyczne, dziecinne żółte kapcie w kształcie kaczuszek. Usiadła obok. Otworzył puszkę żywca.

– Jeszcze piwo? – zapytała.

Zirytował go sposób, w jaki to powiedziała, akcentując słowo „jeszcze”, jakby ukrywał się pod nim jadowity gad. Zirytowała go jej poza: obrażona, wstydliwa i pruderyjna.

– Jestem zmęczony – odburknął.

Uważał, że nie powinna pokazywać mu się ubrana tak niechlujnie. I czy nie mogłaby częściej używać perfum? Na przykład jaśminowych… Olga westchnęła i odniósł wrażenie, że czyta w jego myślach. Spojrzał na nią niepewnie. Ale nie. Siedziała spokojna, jakby nieobecna, obracając w dłoniach zabawkę, którą podniosła z podłogi. Włączył radio. W Trójce zaczynała się właśnie audycja muzyczna. Sięgnął po kolejną puszkę. Ogarniało go coraz większe przygnębienie. Z pozoru proste, najprostsze z możliwych śledztwo skomplikowało się w wyniku głupiego błędu, którego właściwie nie powinien nawet nazywać błędem. Nie chciał się do tego przyznać, ale w głębi duszy wiedział, że postąpiłby dokładnie tak samo jak Ada – przesłuchałby Madinę w sobotę wieczorem i zwolnił, nie podejrzewając o udział w przestępstwie. Teraz Czeczenka zniknęła, a jego czekała przykra rozmowa z Modzelewskim. Olga ziewnęła i rozprostowała ramiona. Na domiar złego, myślał dalej, wracam do domu i zastaję żonę, której w najmniejszym stopniu nie interesuje, co robiłem przez cały dzień. Poczuł się urażony jej milczeniem. Sam jednak nie zaczął rozmowy, siedział tylko ponury i sączył piwo. Olga wstała.

– Dobranoc – powiedziała.

W drzwiach rzuciła mu długie, badawcze spojrzenie i wyszła. Około dwunastej Sawicki wypił ostatnie piwo i zasnął na siedząco, przy włączonym radiu.

W poniedziałek miał kaca jak armagedon. Perspektywa uprawiania joggingu w strugach deszczu przyprawiała go o mdłości.

– A pan naczelnik to gdzie? Nie będzie z nami ćwiczył? – zapytał Wiktor, wiążąc mokre sznurowadła.

– Stary coś mówił, że dojedzie innym samochodem. Tak się czaił, jakby musiał tajemnicy państwowej pilnować. – Chlor oparł się barkiem o samochód i zapalił papierosa. – Może w ogóle się nie pojawi. Pukniemy rolkę i wracamy do fabryki.

– Żeby biegać, trzeba dupę ze stołka podnieść. – Róg naciągnął kaptur na łysą czaszkę. – Jak pan naczelnik wstanie, to mu ktoś zaraz stołek zajmie.

– Ty, Rogowski, nie gadaj, tylko zajmij się sportem. Robota czeka. Nie mamy czasu na mielenie ozorem.

Sawicki otworzył szeroko oczy. Zza busa wychynął naczelnik Zaręba. Był ubrany w długą wojskową pelerynę, ocieplane kalosze i wełnianą czapkę. Siedział okrakiem na niewielkim trzykołowym quadzie. Wyglądał, jakby pożyczył dziecięcy rowerek syna i zamierzał pedałować na nim po parku. Obok stał prywatny samochód terenowy z niewielką przyczepą. Najwyraźniej naczelnik kupił sobie nową zabawkę i zamierzał ją dziś wypróbować. Kapusta parsknął śmiechem. Wiktor odwrócił się, przygryzając wargi. Ada zdołała zachować powagę.

– O ile wiem, czeka na was dwadzieścia pięć zaległych spraw. W ciągu ostatniego roku wykrywalność spadła o piętnaście procent. Dlatego musimy dbać o formę fizyczną. – Zaręba nacisnął gaz i objechał bus dookoła. – W szeregu zbiórka! – zarządził.

Siedmioro mokrych policjantów z ociąganiem ustawiło się w chwiejny, koślawy rząd.

– Ponad dwadzieścia postępowań w toku – ciągnął, unosząc się lekko nad siedzeniem, jak generał w strzemionach, który ostatni raz spogląda na armię przed decydującą bitwą. – Łącznie piętnaście nagan, sześć spraw

o kontakty ze zbójami i pięć o przekroczenie uprawnień służbowych. Wszyscy jesteście do odstrzału. Jak się wewnętrzny przypierdoli, to Matka Boska wam nie pomoże…

– To pan naczelnik myśli, że od biegania po parku nam wykrywalność skoczy? Wielu bandytów w Łazienkach nie spotkamy – mruknął Róg, poprawiając kaptur.

Kapusta znowu parsknął. Sawicki poczuł, jak zimna deszczowa strużka spływa mu za koszulkę.

– Tobie, Rogowski, to najwyżej emerytura może skoczyć na łeb na szyję, jak cię zdegradują za oszałamiające wyniki sekcji. Nic nie robicie, tylko chlacie i dupy samochodami wozicie. A na ulicy w bezpośrednim kontakcie z przestępcą nie macie żadnych szans. Od waszej formy zależy skuteczność interwencji. – Nabrał powietrza, najwyraźniej szykując się do dłuższego przemówienia. – Gdy przestępca ucieka – podniósł głos – a funkcjonariusz go goni, to funkcjonariusz musi posiadać kondycję, aby móc dogonić rzeczonego przestępcę. To jest wszystko w papierach opisane. Przepisy ustawy w sprawie zasad etyki zawodowej policjanta mówią, że funkcjonariusz jest obowiązany utrzymywać sprawność fizyczną zapewniającą właściwe wykonywanie przez niego zadań służbowych! – grzmiał, przekrzykując szum deszczu. – Zasady etyki wskazują, że policjant powinien stale doskonalić swoje umiejętności zawodowe…

Wiktor beknął głośno.

– Przepraszam – powiedział z przesadną skruchą w głosie. – Etyką zawodową się przejąłem…

Grupka policjantów zatrzęsła się od tłumionego śmiechu. Zaręba rzucił im wściekłe spojrzenie.

– Biegniemy! – wrzasnął. – Ja wyznaczam tempo!

Zawrócił quada w stronę bramy, po czym w kłębach czarnych spalin pojechał z rykiem piaszczystą aleją w głąb parku. Pozostali niechętnie ruszyli za nim drobnym kłusem. Ada biegła w milczeniu, stawiając lekkie, sprężyste kroki, i Sawicki zauważył z niepokojem, że z łatwością wysuwa się na przód kolumny. W ciągu pierwszych pięciu minut grupa policjantów rozciągnęła się na całą długość alei. Róg wlókł się na końcu, zanosząc się suchotniczym kaszlem. Wiktor wyraźnie oszczędzał siły. Ospale przebierał nogami, klął pod nosem na deszcz i wszechobecne błoto. Kapusta podskakiwał idiotycznie i machał chudymi rękami jak oszalały wiatrak, ale on jeden dotrzymywał Adzie kroku. Sawicki zacisnął zęby i zwiększył prędkość. Za wszelką cenę starał się dogonić pierwszą dwójkę. Serce łomotało mu gwałtownie, oddech stał się krótki i urywany, poczuł ostry, rwący ból w lewym boku. Kolka, pomyślał ze wstydem. Cholerna kolka. Zignorował ból i jeszcze bardziej przyspieszył. Po chwili udało mu się zrównać z Adą. Biegł z nią ramię w ramię i czuł, że robi się coraz bardziej czerwony. Krew pulsowała mu w skroniach. Charczał i dyszał jak zepsuty odkurzacz. Ada nie zwracała na niego uwagi. Utkwiła obojętny wzrok w pędzącym quadzie, poruszała się szybko i pewnie, oddech miała spokojny i regularny. Jak robot, pomyślał Sawicki. Jak pierdolony Terminator. Najwyraźniej może tak biec kolejnych sto kilometrów. Tymczasem ja za chwilę padnę trupem. Ada wyprzedzała go o dwa kroki. Nie przyspieszyła, to on zwalniał. Przed oczami latały mu czarne płatki, dzwoniło w uszach, czuł narastające zawroty głowy. Jak długo jeszcze będziemy się tak męczyć?, myślał z rozpaczą. Jeśli Stary natychmiast się nie zatrzyma, jeżeli… W tym momencie, jakby na życzenie Sawickiego, z bocznej alejki wyjechał meleks, który przeciął drogę quadowi. Zatrąbił, stanął i otworzył pneumatyczne drzwi, z których wyskoczył strażnik w granatowym mundurze.

– Co pan wyrabia?! – zawołał. – Tutaj nie wolno prowadzić takich pojazdów!

Sawicki zacharczał i chwycił się za lewy bok.

– Policja. Proszę nie utrudniać. Proszę się rozejść – odpowiedział z godnością naczelnik Zaręba.

Mężczyzna w mundurze poczerwieniał z gniewu.

– Nie interesuje mnie, kim pan jest! – krzyknął. – Znajduje się pan na terenie zabytkowego parku!

– Policja – powtórzył Zaręba i spróbował wyminąć strażnika.

Ten jednak okazał się szybszy i natychmiast zablokował quada własnym ciałem.

– W jakim celu niszczy pan zabytek? Goni pan tutaj przestępców? – Zatrząsł się ze złości.

Sawicki powoli odzyskiwał oddech. Wiktor dołączył do niego i oparł się plecami o starą akację. Róg kaszlał w głębi alei.

– Cel jest tajny! – wypalił Zaręba. – Proszę zejść mi z drogi.

– Tak? – Strażnik spojrzał na niego z góry i złapał kierownicę. – W takim razie proszę pokazać mi pozwolenie generalnego konserwatora zabytków. Jeżeli zgodził się na wandalizm i rozjeżdżanie parku w tajnych celach, oczywiście może pan ruszać dalej. W przeciwnym razie proszę zawrócić.

Naczelnik szarpnął kierownicą, bezskutecznie próbując ją wyrwać, i jednocześnie nacisnął niechcący gaz. Quad zawył, ruszył do przodu i gwałtownie zahamował. Wojskowa peleryna zafurkotała na wietrze i zaczepiła się o rosochaty krzew.

– Jeśli natychmiast nie opuści pan parku, zadzwonię do Ratusza – cedził chłodno strażnik. – Prezydent Warszawy jest bliską przyjaciółką dyrektora Łazienek. Na pewno będzie zainteresowana tajną akcją policji na terenie

parku. Postaram się też, żeby wiadomość o tym, co tutaj zaszło, dotarła jeszcze dziś do pańskiego zwierzchnika. Jak się pan nazywa?

Zaręba otworzył usta z oburzenia.

– Pan nie zdaje sobie sprawy, z kim rozmawia! To się dla pana źle skończy. Jestem komendantem stołecznym policji – skłamał.

Ta informacja najwyraźniej zaniepokoiła strażnika, bo puścił kierownicę i cofnął się o krok. Nie stracił jednak do końca zimnej krwi.

– Być może – odparł chłodno. – Ale skończy się również źle dla pańskiej tajnej akcji, kiedy opowiem o niej dziennikarzom. Myślicie, że policji wszystko wolno w tym kraju? Mylicie się! Daję panu trzy minuty na opuszczenie parku, potem dzwonię do dyrektora – zagroził, wsiadając do meleksa. Włączył silnik i odjechał w stronę pałacu Na Wodzie.

Zapadła cisza. Przez chwilę słychać było jedynie szum deszczu i ciężkie oddechy zmęczonych biegiem policjantów. Zaręba zsiadł z quada. Strzepnął pelerynę, powiódł roztargnionym wzrokiem po nagich drzewach i mokrych, przegniłych klombach, żeby skoncentrować go ostatecznie na Wiktorze.

– Wy dwaj! – wrzasnął. – Pawlak i Kapusta, wracać do Izabelina! Natychmiast. I nie pokazywać mi się na oczy, dopóki nie będę miał na biurku lokalizacji dziupli. Na dzisiaj ćwiczenia skończone – dodał wściekle.

Wsiadł na quada, zawrócił i odjechał pędem w stronę bramy. Sawicki i Wiktor płakali ze śmiechu.

– Co się stało? – wysapał Róg, który właśnie zdołał do nich dotrzeć.

– Nic. Jedziemy do Izabelina.

– Do Izabelina? Po co?

– Szukać chuja w stogu siana. – Wiktor splunął pod nogi. – Wolę to niż popierdalanie w deszczu i błocie.

21

Piętnaście po dziewiątej mokrzy i ubłoceni wysiedli z busa pod Pałacem Mostowskich. Ada pobiegła na górę zmienić ubranie. Sawicki uznał, że odczeka kilka minut, nim wróci do pokoju. Z niewiadomych przyczyn speszyła go myśl, że mógłby zobaczyć ją w bieliźnie. Przystanął przed wejściem, wypalił papierosa, po czym wyjął z kieszeni czekoladowy batonik i trzymając go w zębach, pchnął ciężkie drzwi. W poniedziałek rano w Pałacu Mostowskich panowała senna, markotna atmosfera. Wszyscy zdawali się dziwnie bladzi i wymięci. Funkcjonariusz dyżurny nie podniósł głowy znad kontuaru recepcji. Umundurowany policjant przy bramkach elektronicznych utkwił szklany wzrok w przeciwległej ścianie. Sawicki minął go bez słowa. Bolała go lewa łydka. Widocznie naciągnął mięśnie, kiedy w parku próbował dogonić Adę. Z wysiłkiem pokonując schody, doszedł do wniosku, że powinien uprawiać jakiś sport. Może znowu zapiszę się na siłownię?, pomyślał. Zebrał się w sobie, przeskoczył dziarsko dwa ostatnie stopnie i syknął z bólu. Na korytarzu drugiego piętra kręciło się niemrawo kilku policjantów, Dagmara narzekała głośno na deszcz, zimno i uporczywą mgłę. W pokoju Ada właśnie nastawiała elektryczny czajnik i z całą pewnością nie sprawiała wrażenia wymiętej ani zmęczonej. Wczorajsza energia najwyraźniej jej nie opuściła. Wyglądała nieco inaczej niż zwykle. Zrezygnowała z dyskretnej elegancji na rzecz sportowego

stroju. Włożyła luźne bojówki i skórzane trampki, w pasie zapięła zamszową torebkę.

– Mamy sporo roboty – zaczął od progu, zastanawiając się jednocześnie, czy przeprosić ją za wczorajsze zachowanie. – Omówimy czynności na dziś i podzielimy się zadaniami – ciągnął, podchodząc do krzesła.

Czekało ich kolejne podsumowanie śledztwa. Tym razem wiedzieli, dokąd zmierzają. Prowadziły ich jasne, wyraźne tropy. Ada kiwnęła głową.

– Skoncentrujmy się na poszukiwaniu Madiny. Prosiłem wczoraj o rozesłanie rysopisu do wszystkich jednostek w kraju. Prawdopodobnie uciekła z Warszawy. Miejmy nadzieję, że nie wyjechała z Polski. Straciliśmy ją z oczu na całą dobę. Wystarczy, żeby dotrzeć samochodem do Paryża. Zakładam, że nie wsiadała w samolot… – sarknął.

Ada podała mu kubek. Przyjął gorącą kawę i porzucił ostatecznie myśl o przeprosinach, zwłaszcza że noga dokuczała mu coraz bardziej.

– O szóstej rano dzwonił policjant sprzed domu Demilowów – podjął. – Wrócił ojciec Madiny. Pod drzwi podrzuciło go zielone bmw. Pojazd jest niezarejestrowany…

– Zielone bmw? – Zmarszczyła brwi. – Znam ten samochód. Należy do Czeczena mieszkającego w Słonecznym Domu.

– Okej, sprawdzimy to. Na razie stary Demilow siedzi na chacie. Mają go zatrzymać, gdyby próbował wyjść. Trzeba go jak najszybciej odpytać. Poza tym czekamy na analizę odcisków palców…

– Wczoraj wieczorem odezwał się Jerzy Wójcik – wtrąciła. – Był w Puławach u rodziców, tak jak przypuszczaliśmy. Twierdzi, że nie miał tam zasięgu. Powinien się u nas stawić między dziesiątą a jedenastą.

Sawicki spojrzał na zegarek.

– W takim razie pojadę na Wolę sam. Skontaktuję się też z Urzędem do spraw Cudzoziemców. Rozumiem, że nie odezwali się do tej pory, a my potrzebujemy informacji na temat statusu Demilowów. Pogadaj w tym czasie z Wójcikiem. Potem sprawdzisz sklepy AM-NAT. Weź zdjęcie Madiny i portret pamięciowy tego czeczeńskiego zbója. Pewno jest już gotowy. Ta cała Marek miała się zgłosić o dziewiątej rano – mówił coraz szybciej, odzyskując energię i pewność siebie. Był zadowolony, że pozbędzie się na kilka godzin towarzystwa Ady. Czuł, że potrzebuje od niej odpocząć. Oboje powinniśmy odetchnąć, zapewnił się w myślach, tłumiąc wątpliwości i wyrzuty sumienia. – Dopiję kawę i ruszam – dodał głośno. – Ty zajmij się dresem.

– Zostaje jeszcze rozmowa z psychologiem Wagner. No i gabinety lekarskie… – przypomniała.

Poczuł niesmak i odruchowe zmęczenie na myśl o nużącym przeglądaniu rejestrów.

– Te sprawy trzeba odłożyć na później. Skupmy się na najistotniejszych czynnościach.

Ada nie protestowała.

– Będziemy w kontakcie telefonicznym. Jeśli nic nowego się nie wydarzy, spotkamy się o drugiej w Słonecznym Domu.

Odstawił kubek, zapiął kurtkę i wyszedł z pokoju, starając się nie utykać.

Ada została sama. Piła kawę szybkimi łykami, śledząc w zamyśleniu ruchliwe plamy światła na przeciwległej ścianie. Sawicki starał się panować nad irytacją, ale ona była zbyt dobrym obserwatorem, żeby nie zauważyć nowego, pełnego rezerwy tonu, jakim się do niej zwracał. Siedział naprzeciw markotny, zniesmaczony, zajęty własnymi myślami i czymś, co

odczytała jako odległą zapowiedź bólu, wobec którego poczuła się bezradna. W ciągu nocy wyrósł pomiędzy nimi solidny mur niechęci. Westchnęła. Wyprostowała ręce i położyła dłonie równolegle na blacie biurka. Nic na to nie poradzę, pomyślała. Nie mam wpływu na jego uczucia. Właśnie zamierzała wstać, kiedy zadzwonił wewnętrzny telefon. Podniosła słuchawkę.

– Komisarz Adela Rochniewicz.

– Jest tu ktoś do ciebie – odezwała się policjantka z recepcji. – Wójcik Jerzy. Mówi, że chciałaś go widzieć…

Ada poderwała się z krzesła.

– Już schodzę – odpowiedziała i pospiesznie ruszyła w stronę drzwi.

W poczekalni na ławce pod ścianą siedział szczupły młody mężczyzna o długich rzęsach i lekko odstających uszach. Miał na sobie ocieplaną kurtkę w czarno-białe romby, jasne dżinsy i sportowe buty. Oparł głowę na dłoni. Robił wrażenie bardzo zmęczonego. Ada obserwowała go z daleka. Chłopiec, pomyślała. Śliczny, apetyczny chłopiec, jak świeżo dojrzały owoc. W jego wyglądzie było coś niezwykle pociągającego i wykwintnego zarazem. Poczuła niepokój podobny temu, który ogarnął ją, kiedy trzymała w dłoniach cienką, kosztowną filiżankę Zofii Wagner. Jerzy podniósł głowę. Miał gładką, mleczną cerę, blisko osadzone oczy i wystające kości policzkowe. Nie wyglądał na dresa z ponurego blokowiska. Ada drgnęła. Po wysokim chłopięcym czole przemknęła skaza, cień, którego nie potrafiła określić, a jednak była pewna, że coś odcisnęło na twarzy tego człowieka ponure piętno…

– Jerzy Wójcik? – Podeszła do ławki.

Chłopak łypnął na nią spod oka, jak uczniak próbujący uniknąć spotkania ze wzrokiem nauczyciela.

– Zgadza się – burknął.

– Komisarz Adela Rochniewicz. To ja do pana… Ja do ciebie dzwoniłam.

Szybko, niechętnie zacisnął palce wokół jej dłoni.

– O co chodzi? – zapytał. – Czy coś się stało?

– Wyjaśnimy wszystko na górze. Proszę za mną.

W pokoju posadziła go na krześle.

– Zimno? – zagadnęła i chciała natychmiast sięgnąć po czajnik, ale nagle coś ją powstrzymało. To, co właśnie odczuła, nazywało się… Poszukała w myślach odpowiednich słów: nieuzasadniona, odruchowa sympatia. Ten chłopiec o odstających uszach i twarzy ślicznej dziewczyny budził współczucie. Nawet w niej – nawet w Adzie Rochniewicz. Zrezygnowała z gotowania wody i siadła po drugiej stronie biurka.

– Czy wiesz, dlaczego tu jesteś? – spytała.

– Nie.

– Z powodu zabójstwa Zofii Wagner – powiedziała szybko, nie bawiąc się w stosowne w tej sytuacji wstępy. – Na pewno słyszałeś już, że nie żyje.

Jerzy drgnął nieznacznie.

– Nie – odparł po chwili. – Nie wiedziałem.

– Nie słyszałeś?

– Nie.

– Nie wyglądasz na zaskoczonego.

Miał apatyczne, ciężkie spojrzenie, jakby jej słowa w ogóle go nie interesowały. Ada zmarszczyła brwi.

– A czego się pani spodziewa? – zapytał ze zmęczeniem w głosie. – Łez i ataków histerii? Oczywiście, jestem zaskoczony. Trudno przyjmować taką wiadomość obojętnie. Prawda jednak jest taka, że nie widuję się z Zofią od

jakiegoś czasu. Co więcej, rozstaliśmy się w nie najlepszej komitywie… Czy powie mi pani w końcu, co się właściwie wydarzyło?

Nie odpowiedziała. Rozmowa z Jerzym ją zaskoczyła. Nie tylko nie wyglądał jak blokers, ale blokersem na pewno nie był. Oboje z Sawickim dali się zwieść przezwisku. Ktoś, kogo tak nazwano, powinien być ogolonym gładko prymitywem z osiedlowej siłowni, idealnym do roli brutalnego mordercy. Tymczasem siedział przed nią szczupły mężczyzna z jawnie wrażliwą i inteligentną twarzą. „To nie jest prawdziwy dresiarz, Zofia go tak nazywała, bo chodził w sportowych ubraniach i lubił piłkę nożną…", przypomniała sobie słowa Moniki Lewickiej. Westchnęła.

– Zofia została zamordowana – powiedziała w końcu.

Jerzy znowu drgnął. Odwrócił się w stronę okna, jakby dobiegł go stamtąd irytujący dźwięk, po czym przeniósł wzrok na Adę.

– To już zrozumiałem. – Westchnął z niechęcią. – Jak to się stało?

– W jej mieszkaniu. Zginęła od uderzenia w głowę. Innych szczegółów nie mogę zdradzać.

– Kto to zrobił?

Uśmiechnęła się kwaśno.

– Gdybym znała odpowiedź na to pytanie, nie rozmawialibyśmy dzisiaj. Prowadzimy śledztwo. Dobrze znałeś Zofię?

Wójcik milczał, jakby był pochłonięty myślami i nie usłyszał, co powiedziała.

– Dobrze ją znałeś? – powtórzyła.

Kiwnął głową.

– Chodziliście ze sobą?

Znowu kiwnięcie.

– Opowiedz coś o tym.

– Spotykaliśmy się przez trzy miesiące, od października do końca grudnia.

– Widzę, że dokładnie pamiętasz daty.

– Oczywiście – przyznał cierpko. – Oczywiście, że dobrze pamiętam. Zależało mi na tym związku.

– Podobno to ona cię rzuciła? Podobno bardzo z tego powodu cierpiałeś? – natychmiast przypuściła atak.

– Zgadza się – potwierdził spokojnie, ale jego cienkie, elfie uszy nabiegły krwią. – Dużo pani o mnie wie. Od kogo, jeśli można spytać?

– Nie można – odparła szorstko. – Wiem, że Zofia Wagner zostawiła cię trzy miesiące temu, a ty nie mogłeś pogodzić się z sytuacją. Nie dawałeś jej spokoju: dzwoniłeś, nachodziłeś ją, urządzałeś awantury. Byłeś zazdrosny – stwierdziła raczej, niż zapytała.

Jerzy niewątpliwie zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– Cicho – szepnął.

– Słucham? – zdziwiła się Ada.

– Przepraszam, mówiłem do siebie – bąknął zmieszany i podjął już wyraźnie: – Rzeczywiście byłem zazdrosny. I rzeczywiście przez jakiś czas próbowałem bezskutecznie namówić ją do powrotu.

– I co dalej?

– Nie rozumiem. – Wsunął dłonie do kieszeni i przyjrzał się własnym butom.

– Co się stało, kiedy zorientowałeś się, że nigdy do ciebie nie wróci?

– Nic – odpowiedział głuchym, beznamiętnym tonem. – Przestaliśmy się widywać.

– Nieprawda! – Była pewna, że Wójcik kłamie. – Znowu do niej przyszedłeś. Pokłóciliście się. I uderzyłeś ją w głowę. Tak?

Postanowiła zagrać w otwarte karty. Miała nadzieję, że uda się go zaskoczyć. Odpowiedział jej przyspieszony oddech.

– To proste. Mamy świadków, którzy zeznają, że ją nachodziłeś, stosowałeś przemoc. Wkurzyłeś się i w końcu przesadziłeś. Zabójstwo w afekcie. Jeżeli się przyznasz, sędzia potraktuje tę sprawę łagodnie – ciągnęła, nie dając mu czasu do namysłu.

– Nigdy nie użyłem wobec Zofii przemocy – przerwał zdecydowanie. – Jeśli ktoś tak powiedział, to kłamał. Chociaż pewno sama to pani zmyśliła. Nie ma żadnych świadków. Po prostu chce pani znaleźć kozła ofiarnego i szybko zamknąć sprawę. To pani problem. Nie mam ze śmiercią Zofii nic wspólnego. Nikt mnie w to nie wrobi.

W tym momencie do Ady dotarło to, co czuła od początku rozmowy – Wójcik spodziewał się oskarżenia. Przyszedł na przesłuchanie dobrze przygotowany, a ona zadała mu dokładnie takie pytania, jakich oczekiwał. Powinna szybko zmienić strategię. Powinna znaleźć sposób na wytrącenie go z równowagi.

– Dobrze. – Westchnęła uspokajająco. – Kiedy widziałeś ją ostatni raz?

– Cztery… Pięć tygodni temu…

– Gdzie?

– W kawiarni.

– O czym rozmawialiście?

– Próbowałem przekonać ją kolejny raz, żeby do mnie wróciła – odpowiedział szczerze.

– I?

– Dostałem kosza, przecież już pani wie.

– Pokłóciliście się. Doszło do awantury?

Jerzy znieruchomiał i trwał chwilę w milczeniu, jakby przypominał sobie całą scenę.

– Nie – podjął w końcu. – Już się nie kłóciliśmy. Płakałem – przyznał bez zażenowania. – Wiedziałem, że to ostatni raz.

Mówi prawdę, pomyślała Ada.

– I potem już się nie spotkaliście? – zapytała łagodniej.

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– W takim razie coś się nie zgadza. Sprawdziliśmy komórkę Zofii. Dzwoniła do ciebie w ostatni czwartek przez cały dzień.

Znowu go nie zaskoczyła. Kiwnął głową.

– Dzwoniła – przyznał. – Chciała się ze mną umówić. Nie mam pojęcia dlaczego. W każdym razie nie spotkaliśmy się.

Wyjął z kieszeni kurtki nowego iPhone’a.

– Jest w poczcie głosowej. Proszę posłuchać. – Wybrał odpowiedni numer i podał jej telefon nad blatem biurka.

Ada przyłożyła go do ucha, będąc jednocześnie absolutnie pewna, że Jerzy celowo nie wykasował poczty. W komórce odezwał się suchy kobiecy głos: „Chciałam odwołać spotkanie”. Zofia mówiła szybko, nerwowo, jakby się bardzo spieszyła. „Wypadło mi coś ważnego. Przepraszam cię bardzo. Zadzwonię jutro”.

– Dobrze. – Odłożyła telefon. – Ale to jeszcze nie znaczy, że do niej nie poszedłeś. Co robiłeś w czwartek wieczorem?

– Byłem w domu. Do szóstej. Potem pojechałem do Źródełka. Obejrzeć mecz Legia–Widzew.

– Do Źródełka?

Roześmiał się.

– Taka knajpa. Pracuje pani w policji i nie wie, co to Źródełko?

– Ja tu zadaję pytania – zdenerwowała się. – Czy ktoś może to potwierdzić?

– Może. Wiele osób. Proszę spytać barmana. Mają tam monitoring. – Zatrzepotał długimi rzęsami i szeroko otworzył niebieskie oczy.

– Sprawdzimy to.

Ada próbowała się skupić.

– Nie odbierałeś telefonów przez dwa dni. Nie było cię w domu. Nie poszedłeś do pracy. Twierdzisz, że w piątek wieczorem pojechałeś do Puław, zostaje jeszcze noc z czwartku na piątek i cały kolejny dzień. Co wtedy robiłeś? Możesz to wyjaśnić?

– Mogę.

I znowu dziwny, nieopanowany gest ni to odpychania, ni to strzepywania dłoni.

– Słucham więc.

– No… – zaczął i przerwał, robiąc efektowną pauzę, jakby udawał zmieszanego. – Spędzałem czas z nową koleżanką…

Ada przygryzła wargę. Nie miała wątpliwości, że ta odpowiedź również została przygotowana. Jerzy przez całe przesłuchanie czekał na odpowiedni moment, żeby jej o tym powiedzieć.

– Spotkałem dziewczynę – kontynuował niepewnie. – Zostałem u niej na noc. Straciliśmy poczucie czasu. Dopiero w piątek wieczorem pojechałem odwiedzić rodziców.

– A ta dziewczyna może to potwierdzić?

– Może.

– To daj mi jej numer.

Ada wiedziała, że Wójcik wymyka się jej z rąk. Za chwilę będzie musiała go zwolnić, nie uzyskawszy ani jednej przydatnej informacji. Cały wysiłek woli skupiła na drobnej postaci chłopca, próbując znaleźć szczelinę, najmniejsze bodaj pęknięcie, przez które mogłaby dostać się do środka. Zapadło dziwne, kłopotliwe milczenie.

– Jak się poznaliście? – zapytała w końcu.

– Słucham? – Uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Jak się poznaliście?

Jerzy głośno przełknął ślinę.

– A więc? – naciskała, czując, że natrafiła na ślad czegoś istotnego. – Gdzie spotkałeś Zofię?

– Wolałbym o tym nie mówić. To moje prywatne sprawy – odpowiedział z wahaniem.

Ada zareagowała natychmiast. Chwyciła karton z materiałami dochodzeniowymi i wyciągnęła z niego zdjęcia zrobione w czasie pierwszego dnia śledztwa.

– To jest Zofia. – Wskazała ciało leżące w kałuży krwi. – Została zamordowana. Rozumiesz? – dodała gniewnie. – Ktoś roztrzaskał jej głowę młotkiem i zostawił w łazience. Samą. Prawdopodobnie nie umarła od razu. – Celowo minęła się z prawdą. – Leżała tam przez wiele godzin. Nikt jej nie pomógł.

Wójcik był śmiertelnie blady.

– Nie umarła od razu? – zapytał.

– Prawdopodobnie nie. Gdyby ktoś wezwał pomoc, być może dziś by żyła – skłamała. – Dlatego – ciągnęła już spokojniej, podsuwając mu zdjęcie pod nos – właśnie dlatego muszę wiedzieć o wszystkim, co działo się z Zofią w ciągu ostatnich miesięcy. Rozumiesz?

Milczał dłuższy czas, zaciskając dłonie w pięści. Na gładkim czole pojawiły się krople potu. Ada czekała cierpliwie.

– Na terapii – odpowiedział w końcu.

– Słucham? – nie zrozumiała.

– Poznaliśmy się na terapii grupowej.

– U psychologa? – upewniła się.

– U psychologa – potwierdził.

– W takim razie poproszę nazwę tego ośrodka i kontakt do prowadzącego. – Wyjęła z szuflady notes i przesunęła go po blacie.

Jerzy wyciągnął dłoń. Zauważyła, że pisze chwiejnie i niewyraźnie, jak dziecko w pierwszych klasach szkoły podstawowej.

Ada sprowadziła Wójcika na dół. Po powrocie do pokoju stanęła przy oknie, patrząc na dziedziniec. Dwóch mundurowych wyprowadziło z samochodu mężczyznę ubranego w cienką koszulę. Na nogach miał kapcie. Potykał się o własne nogi, próbował gestykulować i krzyczał coś najwyraźniej obraźliwego pod adresem rozwścieczonych policjantów. Dochodziły do niej tylko urywki słów. Odsunęła się od szyby, ale nadal stała oparta dłonią o parapet. Myślała intensywnie. Jerzy wiedział o śmierci Zofii. Wypytał o szczegóły śledztwa, ale zachowywał się mechanicznie, jakby wcześniej nauczył się na pamięć roli, którą przed nią odegrał. Żadnych łez, drżenia rąk czy choćby rozbieganego spojrzenia. A przecież sam przyznał, że nie należy do mężczyzn, którzy wstydzą się płaczu. Przez większość rozmowy zdawał się nieobecny, jakby odklejony od rzeczywistości. To nie była spontaniczna reakcja kochanka, nawet najbardziej zawiedzionego. Przechował nagranie w komórce. Zadbał o odpowiednie alibi. Im dłużej myślała o wszystkich przekonujących szczegółach, które chłopiec podawał szybko i pewnie, tym bardziej czuła

się spięta. Nie potrafiła zajrzeć pod powierzchnię, wybadać jego emocji, zawiodła ją tak czuła zwykle intuicja. Dopiero kiedy pod koniec przesłuchania Jerzy stracił nad sobą kontrolę, na krótki moment rozchyliła się szczelna zasłona, mignęło ukryte wnętrze. Adzie nie spodobało się to, co zobaczyła. Nie umiała wytłumaczyć dlaczego, ale w tamtym momencie ogarnęło ją bezgraniczne przygnębienie, jakby leżała na dnie wilgotnej, ciemnej jamy i nie mogła się z niej wydostać. Podeszła do komputera i znalazła mapę Warszawy. Wójcik twierdzi, że spędził z nowo poznaną dziewczyną czwartkowy wieczór i noc, myślała, pochyliwszy się nad monitorem. Jeśli Zofia zginęła w czwartek wieczorem na Dąbrowskiego, to teoretycznie miał czas, żeby jej przyłożyć, a potem pójść do Źródełka i obejrzeć mecz. Ale czy mógł po czymś takim spokojnie podrywać inną dziewczynę? Czy to jest w ogóle możliwe? Co więcej, taki scenariusz nie wyjaśniał bałaganu w mieszkaniu Zofii i sprawy zaginionych pieniędzy… Ada wyrwała z notesu kartkę z adresem ośrodka terapeutycznego, złożyła ją starannie i schowała do kieszeni. Trzeba pogadać z psychologiem, uznała, po czym ruszyła na pierwsze piętro odebrać portret pamięciowy sporządzony według wskazówek Renaty Marek. Kiedy wsiadała do samochodu, wybiło południe.

22

Sawicki jak zawsze jechał agresywnie i zbyt szybko. W okolicach Grójeckiej przeskoczył na pomarańczowym świetle i bez wątpienia zabiłby wjeżdżającego na pasy rowerzystę, gdyby ten desperackim ruchem nie skręcił kierownicy. Serce zabiło mu gwałtownie. Widział we wstecznym lusterku, jak rowerzysta pada na beton, a potem gramoli się bezradnie, rozcierając potłuczony bok. Zwolnił i jak ostatni tchórz zatrzymał się dopiero za rogiem. Oddychał ciężko. Nic się nie stało, powtarzał w myślach. To nie moja wina. Nie wolno jeździć rowerem po przejściach dla pieszych. Starał się uspokoić i rozluźnić, ale nadal czuł w mięśniach nieznośne napięcie. Sięgnął po chusteczkę. W tym momencie zadzwonił telefon.

– Słucham? – odezwał się i ze zdumieniem odnotował, że z trudem otwiera usta.

– Dzień dobry. Bardzo przepraszam, że zawracam głowę… Czy nie przeszkadzam? – tłumaczył się męski nieśmiały głos.

– Nie. – Sawicki zapanował nad drżeniem szczęki. – Byle szybko – dodał i natychmiast pożałował własnego grubiaństwa, bo zrozumiał, z kim rozmawia.

– Mówi Jakub Orłowski… Nie wiem, czy pan komisarz mnie pamięta…

– Oczywiście, że pamiętam! – zawołał wesoło, czując jednocześnie zimny ucisk na dnie żołądka. – O ile dobrze sobie przypominam, trzy lata

temu przeszliśmy na ty, a teraz nagle mi od panów komisarzy wymyślasz? Co to za porządki? – Skrzywił się, słysząc swój sztuczny, wysilony ton. – Jak życie? – ciągnął, nie dopuszczając rozmówcy do słowa. – Straszna pogoda, nie?

Być może, myślał jednocześnie, Orłowski dzwoni tylko po to, żeby przeprosić za zachowanie żony. Być może Magda znalazła się już w sobotę wieczorem. Wróciła z imprezy, zadzwoniła albo wysłała maila z Krakowa czy Opola, z wyjaśnieniem, że pojechała do przyjaciółki, ciotki, kuzynki, w sprawach służbowych… Żeż kurwa, zaklął bezgłośnie.

– Tak… Paskudna pogoda. – Sawicki wiedział, że Jakub Orłowski się nie uśmiecha. – Pozwalam sobie zadzwonić, bo stało się coś dziwnego. Mam nadzieję, że nie złego – dodał pospiesznie. – Wiem, że rozmawiałeś już z moją żoną. W sobotę. Ona jest trochę… – chrząknął – nieco przewrażliwiona. Niestety wygląda na to, że tym razem miała rację… – Urwał.

– Tak – przyznał Sawicki. – To znaczy – poprawił się szybko – w sobotę po południu nie widziałem żadnego powodu do niepokoju.

– No właśnie. Ja również. Starałem się uspokoić Gosię i wyperswadować jej zgłaszanie tej sprawy na policję. Co prawda Magda jest bardzo uważna i obowiązkowa, ale mogło jej przecież coś wypaść… – zająknął się, drżał mu głos. – Nadal jej nie ma. Nie wiem, co robić.

Sawicki słyszał przyspieszony, urywany oddech. Jakub był bliski płaczu.

– Przede wszystkim uspokój się – bąknął, nie przybierając odpowiednio stanowczego tonu.

Słowa zabrzmiały żałośnie i cicho, wywierając odwrotny do zamierzonego skutek. Jakub zachłysnął się i oddychał coraz szybciej.

– Uspokój się – powtórzył głośniej Sawicki. – Naprawdę często się zdarza, że dorośli, odpowiedzialni ludzie znikają niespodziewanie na kilka dni. Nie masz pojęcia, ile takich zgłoszeń do nas trafia – przekonywał.

Udało się. Oddech w słuchawce wydawał się lżejszy i bardziej regularny.

– Z powodu głupoty, niedbalstwa, ale też dlatego że mają problemy, które chcą przemyśleć w spokoju, zanim zwierzą się z nich rodzinie – ciągnął. – Ponad dziewięćdziesiąt procent takich osób prędzej czy później się odnajduje. To, że z Magdą nie ma kontaktu, nie musi wcale oznaczać, że stało się coś złego. Niemniej powinieneś zgłosić zaginięcie na policję.

– Już to zrobiłem. Tam, gdzie mówiłeś, na Malczewskiego.

– Dobrze. Kto się tą sprawą zajmuje?

– Nie wiem… Rozmawiałem z komisarzem Kozłowskim. Taki niski szatyn.

– Bliźniaki… – mruknął Sawicki.

– Słucham?

– Znam ich – powiedział głośniej. – Kozłowski zawsze prowadzi śledztwo z bratem. To doświadczeni policjanci. Zadzwonię do nich jeszcze dziś. Dowiem się o szczegóły – obiecał. – Ty zajmij się żoną. Na pewno umiera z niepokoju. Postaraj się ją przekonać, że nic nie wskazuje na to, by wydarzyło się nieszczęście. Uwierz mi – starał się brzmieć stanowczo – jutro, pojutrze Magda się znajdzie.

– Dziękuję. – W głosie Jakuba brzmiała ulga.

– Nie ma za co. Wszystko będzie dobrze.

Położył komórkę na kolanach i siedział bez ruchu, patrząc przez przednią szybę. Magda nie dała znaku życia od trzech dni. Wiedział, że większość zaginionych prędzej czy później wraca, a ich nieobecność znajduje naturalne wytłumaczenie. Tym razem jednak instynkt podpowiadał

mu, że stało się coś złego. Zarówno Małgorzata, jak i Jakub Orłowscy podkreślali, że córka była uważna i skrupulatna. Przypomniał sobie dziewczynę, która trzy lata temu odwiedzała sklep z winami. Wpadała, żeby przynieść poranną gazetę i chwilę pogawędzić. Uwielbiała ojca. Na pewno nie narażałaby go na stres. Westchnął, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył, tym razem powoli, w kierunku domu Demilowów.

Na stercie pustaków siedział ten sam bury wyliniały kocur. Obserwował ulicę, niedbale liżąc łapę. Jedno ucho zwisało w zakrwawionych strzępach. Najwyraźniej miał za sobą burzliwą noc. Sawicki przyjrzał się sceptycznie zwierzątku. Odpowiedziało obojętnym, bezczelnym spojrzeniem, machając z irytacją ogonem. Splunął i otworzył drzwi zaparkowanej obok kii. Ubrany po cywilnemu policjant słuchał radia, popijając kawę z papierowego kubka.

– Stary Demilow w domu?

– W domu – odpowiedział policjant. – Na pewno nie wychodził.

– No to cię zwalniam. Możesz jechać na chatę.

– Dzięki – burknął tamten i natychmiast włączył silnik.

Sawicki wyprostował się, wszedł do bramy i sztywnym krokiem przeciął obskurne podwórko. Drzwi do mieszkania numer dwadzieścia otworzyła Tamara Demilowa. Na widok policjanta skurczyła się w sobie. Odniósł wrażenie, że postarzała się w ciągu dwóch dni.

– Policja. Chcę rozmawiać z ojcem Madiny – zakomunikował ostro.

Kobieta nie odpowiedziała, a kiedy wyciągnął rękę, syknęła i uskoczyła w bok.

– Ona nie może rozmawiać z obcymi – dobiegł z głębi mieszkania niski, gardłowy głos.

Ojciec Madiny miał bladą, wymiętą twarz i zaczerwienione oczy.

– Już nie – dodał stanowczo. – Skończyły się tu nieporządki. Pan wchodzi. – Bezceremonialnie odsunął żonę na bok.

– Gdzie jest Madina? – zapytał Sawicki i szybko przestąpił próg.

Czeczen się skrzywił.

– Nie wiem – odpowiedział krótko. – Pan wejdzie – powtórzył i dał znak żonie, która schwyciła małego synka i ukryła się za dzielącą pokój kotarą.

Demilow przesunął stos kolorowych czasopism, odstawił brudną filiżankę i usiadł przy stole. Sawicki zajął miejsce obok.

– Dobrze – mruknął, wyjmując notes. – Zaczniemy od początku. Nazwisko?

– Demilow.

– Imię?

– Asłan.

– Szukamy Madiny. Musimy ją jeszcze raz przesłuchać w związku z morderstwem Zofii Wagner… – zawiesił głos.

Asłan się nie poruszył.

– Zginęła Zofia Wagner – podjął. – Córka u niej sprzątała.

– Wiem – padła krótka odpowiedź.

– Musimy porozmawiać z Madiną; wszystko wskazuje na to, że posiada istotne dla nas informacje.

– Nie mam pojęcia, gdzie ona jest. – Demilow rozłożył ręce.

– Znałeś denatkę?

– Nie.

– Nigdy jej nie widziałeś?

– Nie.

– A może byłeś u niej w domu, kiedy Madina tam sprzątała? – Sawicki postanowił przyspieszyć i nie dawać przesłuchiwanemu czasu do namysłu.

Czeczen potrząsnął głową.

– A bez Madiny? Sam?

Odpowiedziało mu zdumione spojrzenie.

– Madina miała klucze do mieszkania Wagner?

Asłan zastanawiał się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Gdzie jest twoja córka?

Zapadła długa, nużąca cisza. Zza kotary dochodziło powolne szuranie i gaworzenie dziecka. Sawicki czekał, bębniąc palcami po stole. W końcu znowu się odezwał, tym razem głośniej i bardziej stanowczo.

– To poważna sprawa. Jeśli ją ukrywacie, wszyscy zostaniecie oskarżeni o współudział w morderstwie.

Wiedział, że nie ma podstaw, by kogokolwiek oskarżać, ale chciał nastraszyć Demilowa. Miał nadzieję, że taka strategia zadziała i w końcu się czegoś dowie. Tymczasem po raz kolejny odpowiedziało mu milczenie. Sawicki odłożył długopis i wstał. Asłan się nie poruszył, ale uważnie śledził każdy ruch policjanta.

– Współudział w morderstwie – ciągnął Sawicki. – Aresztowanie. Deportacja. Rosyjski sąd. Rozumiesz, co do ciebie mówię?!

– Tak. – Czeczen zamrugał powiekami.

Zdenerwował się. Sawicki musiał to jak najszybciej wykorzystać.

– To teraz powiesz mi po prostu – uśmiechnął się brzydko – powiesz mi, kochasiu, gdzie jest Madina i kto zabił Zofię Wagner.

– Nie wiem.

Komisarz uderzył dłonią w blat stołu.

– Gdzie, do kurwy nędzy, jest twoja córka i jej przydupas? Gadaj, chuju, bo jak nie, to cię na komendę zabiorę i tam inaczej zaśpiewasz!

Gratulował sobie w duchu, że nie ma przy nim Ady. Na pewno zaczęłaby protestować. Tym razem nie miał wątpliwości, że musi porządnie nastraszyć Czeczenów, żeby się czegoś dowiedzieć.

– No! – wysapał.

– Nie wiem, gdzie Madina. Sam szukałem. – Asłan oparł łokieć na kolanie i zapatrzył się w kąt między meblościanką a oknem.

– Słuchaj – Sawicki starał się mówić wolno i wyraźnie. – Ty dobrze wiesz, gdzie ona jest, mnie nie oszukasz. W końcu to twoja córka. Jaki byłby z ciebie muzułmański ojciec, gdybyś nie wiedział?

Poskutkowało. Czeczen drgnął.

– Ja jestem dobry ojciec – odparł ze złością. – Tylko wasz kraj zły. Dzieci psuje.

– Tak? – Sawicki zazgrzytał zębami. – To po jakiego chuja tu przyjeżdżałeś? Nikt cię nie zapraszał. Ile lat już u nas siedzisz? Pewno długo, co? Całkiem nieźle mówisz po polsku.

– Siem’.

– A twoja żona i Madina nie nauczyły się przez ten czas języka?

– Oni dojechali potem. Będzie trzy lata.

– To zostawiłeś dziewczyny same? W innym kraju? Nic dziwnego, że teraz nie możesz sobie z nimi poradzić. – Celowo drażnił Demilowa, wzmianka o złym ojcostwie najwyraźniej zrobiła na nim wrażenie.

– W Czeczenii mieszkały z bratom. Tam inne porządki są. Kobieta nie może chodzić, gdzie jej się podoba, i w spodniach, z gołą głową się ludziom pokazywać.

– A teraz jesteśmy w Polsce – odparował Sawicki. – I mamy kłopot. A konkretnie, bracie, kłopot masz ty. Więc gdzie jest Madina? Nawiała ci?

Demilow spiął się.

– Sama? – naciskał.

Odpowiedziało mu ciężkie milczenie.

– No, pytam. Sama?!

Cisza. Czeczen zamknął się w sobie.

– Odpowiadaj! – ryknął Sawicki.

Za zasłoną ktoś poruszył się nerwowo. Rozległ się przestraszony głos dziecka.

– Słuchaj – ciągnął już ciszej. – Nie masz tu żadnych praw, człowieku. Nie jesteś polskim obywatelem. Wiesz, co to znaczy, nikt się o ciebie nie upomni. Możemy cię zamknąć i trzymać w pierdlu, ile się nam podoba, rozumiesz? – Zaczerpnął tchu. – Pytam po raz ostatni: kto zabił Zofię Wagner? Ty, Madina czy jej chłopak? Gdzie jest twoja córka?

Asłan milczał.

– Tu nie ma co ściemniać – podjął ze złością. – To Madina, tak? I ten jej kochaś? Nie chroń ich, bo to się źle skończy dla reszty twoich dzieci. Musisz tylko powiedzieć, jak się nazywa chłopak twojej córki. Gdzie mieszka. I gdzie pracuje.

– Nie wiem, o co chodzi – burknął Czeczen.

– Mamy materiał dowodowy – próbował dalej Sawicki.

Obszedł stół i wskazał komodę.

– Tutaj, tu znaleźliśmy pieniądze, trzy tysiące osiemset. Jeżeli zostały na nich odciski palców Wagner, to sędzia uzna, że wszyscy razem zajebaliście tę dziewczynę. Rozumiesz?

– Nikogo nie zabiłem – szarpnął się Demilow.

– To skąd macie taką kasę, hę? – Pochylił się nad przesłuchiwanym. – Nic nie mówisz? Bo to są pieniądze Zofii Wagner. Madina i ten chłopak ją zajebali, a potem ona schowała pieniądze w domu. Tak?! Jak w sobotę zobaczyła policjantkę, to się przestraszyła i zwiała. Prędzej czy później ją znajdziemy, ale ty będziesz wtedy współwinnym morderstwa.

Czeczen patrzył na niego tępo.

– Dobra. – Sawicki pochylił się jeszcze niżej. Jego twarz znajdowała się teraz dokładnie naprzeciw twarzy Asłana. – Posłuchaj mnie uważnie. Jak nic nie powiesz, to sprawdzimy twoje papiery. Papiery twojej żony też. Zobaczymy, czy mieszka w Polsce legalnie. Na pewno nielegalnie, to zawsze można udowodnić. Znajdziemy jakiś błąd, ci z Urzędu do spraw Cudzoziemców nam pomogą. Im mniej was mają na głowie, tym dla nich lepiej. – Zawiesił teatralnie głos, czekając na reakcję. – A potem – ciągnął – potem skontaktujemy się ze służbami w Rosji. Rozumiesz? Oni się z wami nie będą pieścić. Pojedziecie na stare śmieci, do rosyjskiego więzienia. Tego naprawdę chcesz? Twoja żona jest przecież w ciąży, pomyśl o niej…

Oczy Demilowa rozszerzyły się gwałtownie.

– No? – zachęcał Sawicki.

– Nie znaju – odpowiedział Czeczen. Jego głos brzmiał cicho, prawie płaczliwie. – Nie wiem, panie. Te pieniądze zbieramy na ślub Madiny. Wsie my razem. – Niespodziewanie przestał radzić sobie z polskim, z trudnością dobierał słowa. – A ona uszła. Nie ma jej. Ja jejo szukał i nie naszedł.

On nie kłamie, pomyślał Sawicki. Naprawdę nie wie, gdzie się podziała Madina.

– Dobrze – zaczął łagodniej. – Na jaki ślub ta kasa była?

– Czeczeński, muzułmański.

– Wiem, że muzułmański, chyba nie katolicki. Ale gdzie ten ślub, z kim?

– W Czeczenii.

– W Czeczenii? A narzeczony gdzie?

– Toże w Czeczenii.

Sawicki westchnął i usiadł obok Asłana.

– Jak w Czeczenii, przecież ona ma tu chłopaka? – spytał zdumiony.

– Madina nie ma chłopaka – upierał się Demilow. – Nie ma! – powtórzył głośniej, jakby zwracał się nie tylko do Sawickiego, ale również do ukrytej za kotarą żony.

– Dobra. Dobra. To powiedz mi jeszcze, gdzie jej szukałeś.

– W fundacji, u podrugi, w takim domu obok…

– W Słonecznym Domu?

Asłan przytaknął.

– Okej. Kto cię woził samochodem?

– Znakomy.

– Jaki znajomy?

– Mahmud Adajew. On toże w Słonecznym Domu żyje.

– W takim razie jeszcze raz zapytam: jak się nazywa chłopak, kolega, przyjaciel Madiny czy chuj wie, kim według ciebie jest? Ten, który jeździł z nią do Zofii Wagner. Gdzie go można znaleźć?

– Madina nie ma chłopaka! – wykrzyknął Asłan z taką mocą, że dziecko za kotarą zaniosło się płaczem.

– Okej, niech i tak będzie. – Sawicki wstał. Wiedział, że nie uda mu się nic więcej uzyskać. – Lepiej by było, gdybyś współpracował. Przemyśl to. Nie możesz nigdzie wyjeżdżać – dodał. – Rozumiesz, co mówię? Ani ty, ani twoja rodzina. Siedzicie na dupach i czekacie na mnie. Na pewno jeszcze wrócę.

Schował notes i wyszedł bez pożegnania.

Idąc w stronę samochodu, myślał, że powinien przesłuchać również matkę Madiny. Demilow mówił prawdę, nie miał pojęcia, gdzie się podziewa córka.

– Ale to jeszcze nie znaczy – mruknął – to jeszcze nie znaczy, że matka tego nie wie.

Muzułmańskie kobiety miewają tajemnice i nie zwierzają się z nich mężczyznom. Tylko że Tamara nie zechce z nim gadać. Zwłaszcza po tym, jak jej stary zabronił… Zatrzymał się przy cegłach, kopnął pustą butelkę po coli i wystraszył kota. Będę musiał poprosić Adę o pomoc, zdecydował niechętnie. Deszcz znowu przybrał na sile. Mimo to nie wsiadł do samochodu. Oparł się o ścianę, zapalił papierosa i patrzył na robotników w pomarańczowych kombinezonach, którzy wykopywali rury po drugiej stronie ulicy. Nie szło im to najlepiej. Ziemia rozmiękła na powierzchni, zmieniając się w kleistą mamałygę, głębiej była jednak zbrylona i twarda. Niewielka koparka zazgrzytała, jakby trafiła na ciężki głaz, i odmówiła współpracy. Trzej mężczyźni stali bezradnie, wsparci na kilofach. Czwarty wysiadł z szoferki i zaczął kląć. Sawicki pomyślał, że zazdrości robotnikom. Czasami wydawało mu się, że wolałby machać łopatą, niż odpytywać uchodźców i patrzeć na ich zastraszone żony… Wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do Urzędu do spraw Cudzoziemców.

– Komisarz Marcin Sawicki – przedstawił się opryskliwie. – Prosiliśmy wczoraj o przekazanie dokumentów rodziny Demilowów. Nie wiem, czy państwo zdają sobie sprawę, że toczy się dochodzenie o morderstwo. Mam przyjechać po nie osobiście?

– Dokumenty przesłałam dziś rano faksem – odpowiedział rzeczowy kobiecy głos. – Nie trafiły do pana?

– Faksem? – Sawicki zazgrzytał zębami, myśląc o pani Dagmarze. – O której?

– Dokładnie piętnaście po ósmej. Akurat spojrzałam na zegarek.

– Nic do mnie nie dotarło – mruknął przepraszająco. – Sprawdzę w biurze i oddzwonię, gdybym miał problem.

– Bardzo proszę. – Urzędniczka odłożyła słuchawkę.

Podniósł papierosa do ust, ale wciągnął tylko wilgotne, zimne powietrze. Roztarł tytoń w dłoni, splunął z niesmakiem i wsiadł do samochodu. Wyjął ze skrytki batonik. Słodki, czekoladowy smak podziałał uspokajająco. Postanowił nie krzyczeć na panią Dagmarę. Wybrał numer do sekretariatu i cierpliwie wyjaśniał, o co mu chodzi.

– Dobrze – powtarzał, obserwując zmagania koparki przy przeciwległym krawężniku. – Dobrze, nie musi już pani przepraszać. Ale chciałbym wiedzieć, jaki oni mają status. S-t-a-t-u-s – przeliterował wolno. – Tak. O to mi chodzi.

– Różny – odpowiedziała po chwili milczenia Dagmara.

– Jak to różny? Tam jest napisane „różny”?

– Nie. – Roześmiała się beztrosko. – Nie jest tak napisane. Chodzi o to, że Asłan Demilow ma pobyt stały. A reszta rodziny jest w procedurze. Znaczy, czekają na decyzję – wyjaśniła usłużnie.

– Dziękuję. W takim razie proszę jeszcze powtórzyć Rogowi, że dalej potrzebuję kogoś do obserwacji mieszkania. Tylko niech to pani jak najszybciej zrobi!

– Oczywiście.

Wyłączył telefon. Czuł się zmęczony, nie potrafił skupić myśli ani zmusić się do analizowania zebranych informacji. Potrzebował krótkiej przerwy.

Pół godziny później siedział z Wiktorem w barze Tureckim w pobliżu Dworca Centralnego. Komisarz Pawlak był blady i zdenerwowany. Poranna

wycieczka za Warszawę przyniosła zaskakujący rezultat. Zgodnie z poleceniem Starego po nieudanych ćwiczeniach w Łazienkach wybrał się z Kapustą do Izabelina na poszukiwanie paserskiej dziupli. Zataczając kolejne koło wąskimi podmiejskimi uliczkami, zorientowali się, że działka numer jedenaście, którą według wskazówek informatora patrolowali w niedzielę po południu, została przedzielona metalową siatką. Na cofniętej względem ulicy części pośród sosen stały dwa niewielkie hangary; przed jednym z nich parkował drogi mercedes. Schowana za wysokimi cisami brama wjazdowa otwierała się od strony pierwszej parceli i nie była oznaczona numerem.

– Jak to możliwe, że wczoraj tego nie zauważyłem? – Wiktor pytał po raz kolejny, nabijając frytkę na plastikowy widelec. – Cała robota na nic. Już ich w tych barakach nie ma. Ten mercedes stoi tam na legalu, a zbóje zabrały fanty i do widzenia. Się zamelinowały gdzie indziej i teraz lataj człowieku i szukaj wiatru w polu. – Włożył do ust kawałek pieczonego mięsa. – Wstyd mi nawet do Starego chodzić i opowiadać, jak się zbłaźniłem…

Sawicki nie słuchał. Od czasu do czasu wydawał pocieszające mruknięcie i przyglądał się uważnie śniademu sprzedawcy, który opiekał pity. Czy on jest Turkiem?, zastanawiał się. Czy w barze z kebabami mogą pracować Czeczeni? Czy Turcy to muzułmanie?

– I co mam mu niby powiedzieć? Że nie zauważyłem drugiej działki? – jęknął Wiktor.

– Poradzisz sobie – odparł Sawicki.

– Taaak? Chyba z chujem w ścianie będę sobie radził.

A ten człowiek, rozważał dalej Sawicki, ten barman w białym fartuchu i papierowej czapce, czy pracuje w Polsce legalnie? Ma tu rodzinę? Żonę? Czy też ją bije? Nagle zawstydził się własnych myśli. Był policjantem od

dziesięciu lat i wiedział doskonale, że przemoc w rodzinie nie wiąże się z wiekiem, statusem majątkowym ani wykształceniem oprawców. Spotykał na swojej drodze sadystów robotników, nauczycieli, biznesmenów i profesorów, sadystów młodych chłopców i nobliwych starszych panów, którzy lubili przyłożyć żonie lub córce. Wszyscy mieli białą skórę. Większość regularnie chadzała do kościoła. Tamara na pewno bała się ponurego, aroganckiego męża, ale nic nie wskazywało na to, żeby używał w stosunku do niej siły. Poza religią… Słyszał wielokrotnie, że muzułmanie nie szanują kobiet… Odsunął z niechęcią talerz.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – Wiktor zgniótł puszkę po coli i cisnął ją do kosza. – Chuj mnie to wszystko obchodzi. Oddam raporty i biorę pięć dni wolnego. Od trzech tygodni zapierdalam bez przerwy jak ostatni frajer i takie są rezultaty. Człowiek nie może w ten sposób pracować. Maszyną nie jestem.

Sawicki spojrzał na zegarek. Dochodziła druga.

– Muszę lecieć – powiedział. – Jestem umówiony z Mimozą. Jak skończę z tą sprawą, pójdziemy na piwo.

Wiktor prychnął i odwrócił twarz.

23

Dziesięć po pierwszej Ada kończyła rozmawiać ze sprzedawcami w sklepie AM-NAT. Nikt nie kojarzył mężczyzny z portretu pamięciowego.

– Nie – zdecydowanie zaprzeczyła ubrana w ogrodniczki i kraciasty fartuch ekspedientka – nie widziałam. A pytała pani Ankę, tę dziewczynę przy kasie?

– Tak.

– A w sklepie na Kabatach pani była?

– Byłam.

– To on u nas zakupów nie robił – zdecydowała. – Mamy mały ruch. Ten tu – wskazała wydruk – wygląda groźnie. Ktoś by go zapamiętał.

– Skoro macie niewielu klientów, to pewno obroty też nie najlepsze?

Dziewczyna wykrzywiła się w odpowiedzi.

– Niewiele sprzedajecie? – ciągnęła Ada.

– Niewiele.

– A ile, dajmy na to… kluczy francuskich albo młotków schodzi w ciągu tygodnia?

– Nie wiem. – Sprzedawczyni cmoknęła sceptycznie i obejrzała się przez ramię. – Trzeba by wydruki z kas posprawdzać…

– W takim razie chciałabym je obejrzeć. Z ostatnich… – zawahała się – powiedzmy, z trzech ostatnich tygodni.

Sprzedawczyni znowu się obejrzała.

– Czy słyszy pani, co mówię? – zirytowała się Ada.

– Nie, to znaczy tak… – bąknęła. – Proszę porozmawiać z szefem.

– A gdzie go znajdę?

– W biurze.

Dziewczyna zatrzepotała rzęsami i odwzajemniła uśmiech wysokiego bruneta, który wyszedł z zaplecza.

– Proszę się z nim nie umawiać.

– Co?

– Nie umawiaj się z tym typem i nie zawracaj sobie nim głowy. Wczoraj przespał się z twoją koleżanką. Tą z kasy.

Ekspedientka otworzyła szeroko oczy.

– A teraz daj mi wydruki.

– Jak to? Skąd pani…

– Wiem, jestem policjantką. My wszystko wiemy. Wydruki – powtórzyła.

– Oczywiście – szepnęła dziewczyna. – Ale nie trzymamy ich w sklepie. Szef co wieczór zabiera rolki do biura.

Ada oparła się o ladę.

– W takim razie – powiedziała z uśmiechem – w takim razie powiesz szefowi, że chcę mieć rolki jutro z samego rana. Przyjadę tu i odbiorę je osobiście przed ósmą. A ty, gdy tylko skończysz pracę, jedź prosto do domu i nie odbieraj telefonów od tego przystojnego kolegi.

Dziewczyna przełknęła ślinę i skinęła posłusznie głową.

* * *

Ada zaparkowała samochód przy zardzewiałej, powyginanej bramie. Wiatr targał gałęziami topoli. Z pozbawionego błękitu nieba siąpił lodowaty deszcz. Każda kropla, która spadała na jej odsłoniętą twarz, przejmowała

dreszczem. Naciągnęła na głowę szal. Stała przed ogrodzeniem i patrzyła na stary szkolny budynek. W oknach zapalono światła, co sprawiło, że ponury dzień stał się jeszcze smutniejszy i bardziej szary. Zastanawiała się, czy słusznie postąpiła, mówiąc ekspedientce o romansach kolegi z pracy. Zobaczyła coś w aurze, która go otaczała, poczuła samczy zapach potu i chęć dominacji, ale niczego nie była pewna. Wyjaśnią to sobie, uznała w końcu. Jeśli nie zdarzyło się nic złego, na pewno to sobie wyjaśnią. W każdym razie istnieje spora szansa, że oszczędziłam tej małej mnóstwa przykrości… Pchnęła bramę i weszła na teren Słonecznego Domu. Minęła śmietnik i kryty falistą blachą składzik na narzędzia. W rogu boiska zobaczyła grupkę mężczyzn w skórzanych kurtkach. Stali przy zdezelowanym czerwonym passacie. Zaglądali przez otwarte okna do środka, cmokali z zadowoleniem, pochylając się nad otwartą maską. Odzywali się rzadko, od czasu do czasu wymieniali krótkie, brzmiące chrapliwie słowa, ale wyraźnie cieszyli się własnym towarzystwem. Spoglądali sobie w oczy i poklepywali się po ramionach. Pomiędzy nimi kręciło się kilku chłopców w przedszkolnym wieku, którzy z namaszczeniem naśladowali starszych. Jeden z malców podniósł z ziemi ciężki klucz francuski i przepełniony dumą dźwigał go, podążając za mężczyzną, który najwyraźniej był jego ojcem. We dwóch przecięli boisko – mężczyzna omijał kałuże, chłopczyk właził w nie obiema nogami i tupał, rozchlapując błoto. W końcu ojciec schwycił go za rękę.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się, podchodząc bliżej.

Ada rozpoznała w nim właściciela zielonego bmw.

– Z dziećmi ciągle kłopot – ciągnął, wskazując głową chłopca. – Muszę go zaprowadzić do matki. Zupełnie przemókł. Szuka pani kogoś?

Nie wyglądał tak groźnie jak w sobotę wieczorem. Zdała sobie sprawę, że ani skórzana kurtka, ani tanie obcisłe dżinsy i bazarowe buty nie robią

już na niej przykrego wrażenia. To tylko ubranie, pomyślała.

– Czekam na kolegę – odpowiedziała i też się uśmiechnęła.

Chłopczyk wyrwał się, wbiegł pędem na kopiec zbrylonego śniegu, poślizgnął się, wywrócił i wylądował twarzą w błocie. Jego ojciec westchnął ciężko.

– Starsze chodzą do szkoły. Ale młodsze nudzą się cały dzień i rozrabiają. Nie chcieli ich przyjąć do przedszkola… Zimno. Może wejdzie pani do środka? – zapytał, podnosząc malca z ziemi.

– Prawdę mówiąc – powiedziała Ada, podążając za Czeczenem – chciałabym zadać panu kilka pytań.

– Tak? – zagadnął, nie zatrzymując się i nie odwracając głowy.

– Pan jest właścicielem zielonego bmw?

– Nie.

– W sobotę widziałam, jak jeździł pan tym samochodem.

– Jeździłem – przyznał. – Ale bmw należy do mojego znajomego. Pożyczyłem i dziś rano musiałem oddać.

– Pojazd jest niezarejestrowany – bąknęła Ada.

– U nas w Czeczenii nikt nie rejestruje samochodów – oznajmił głośno, jakby ten zwyczaj omijania prawa stanowił osobliwy powód do dumy.

Chciała odpowiedzieć, że mieszkają w Polsce, ale w porę ugryzła się w język. Mężczyzna otworzył drzwi, postawił synka na ziemi, ściągnął mu kalosze i ponaglił go ostrym tonem. Chłopczyk skrzywił się i ruszył niechętnie w głąb korytarza.

– Jeździł pan w nocy samochodem razem z Asłanem Demilowem? – ciągnęła. – Chciałabym wiedzieć, dokąd i w jakim celu.

Mężczyzna otrzepał czapkę.

– Szukaliśmy Madiny – odpowiedział spokojnie. – Uciekła z domu.

– Dlaczego uciekła?

Wydął policzki.

– Nie rozumiem, co kobietom w głowie siedzi…

– Ale rozumie pan, że szuka jej również policja?

Przytaknął.

– I że gdyby ukrywał pan miejsce jej pobytu, to byłoby przestępstwo?

Spojrzał na nią zdziwiony, jakby nie do końca zrozumiał, co ma na myśli.

– Nie wiem, gdzie jest Madina – powiedział w końcu. – Gdybym wiedział, tobym nie jeździł w nocy po mieście.

Podała mu portret pamięciowy sporządzony według wskazówek Renaty Marek.

– Zna go pan?

Czeczen wziął do ręki kartkę, spojrzał na nią przelotnie i natychmiast zwrócił.

– Nie – zaprzeczył zdecydowanie.

Miała wrażenie, że kłamie. Zbyt krótko oglądał rysunek. Odsunął go od siebie ze wstrętem, jakby pociągła twarz o ciemnych oczach wzbudziła w nim obrzydzenie.

– Do widzenia – mruknął.

Odstawił buty na wycieraczkę i odszedł, zostawiając na posadzce ślady mokrych skarpetek. Ada oparła się o ścianę i zmarszczyła brwi. Niczego nie muszę rozumieć, myślała. Mogę zapomnieć o tym, co kryło się w oczach Madiny. Otaczają mnie powiązane logicznie fakty. Wystarczy, że schwycę koniec nitki i nawinę ją bezmyślnym, jednostajnym ruchem na kłębek. Niczego nie muszę oceniać. Chciałabym się tylko dowiedzieć… Żeby ktoś

mi powiedział, skąd wzięło się pięć siniaków, pięć wyraźnych odcisków palców na jej ręce.

Piętnaście po drugiej pojawił się Sawicki. Wpadł zziajany, w rozpiętej kurtce. Utykał na lewą nogę. Na przodzie koszuli miał dużą czerwoną plamę po keczupie. Otrząsnął z wody resztki rudych włosów jak mokry pies po kąpieli.

– Coś nowego? – zapytał, chuchając w zwinięte dłonie.

– Byłam w sklepach – Ada rozpoczęła chłodnym, rzeczowym tonem. – Nikt ze sprzedawców nie rozpoznał przyjaciela Madiny. – Twierdzą, że mają niewielu klientów, a ten na portrecie wygląda na tyle charakterystycznie, że na pewno by go zapamiętali.

– Coś jeszcze?

Ada otworzyła notatnik.

– Rozmawiałam z Wójcikiem.

– No i? – Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

Opowiedziała szczegółowo o porannym odpytaniu. Sawicki słuchał uważnie.

– Ma alibi – dokończyła i zamknęła notes. – Dziewczyna je potwierdza. Już z nią rozmawiałam. Spędzili razem czwartkowy wieczór i noc. Ale musimy pamiętać, że jeśli Wagner zamordowano w czwartek wieczorem na Dąbrowskiego, to Wójcik mógł teoretycznie najpierw ją zabić, a potem pójść do Źródełka i obejrzeć mecz. Poza tym jest coś jeszcze – ciągnęła. – Zniknął na cały weekend. Twierdził, że nie miał w Puławach zasięgu i dlatego nie odbierał telefonów. Chciał odpocząć od Warszawy. Może jednak nie czuł się wcale tak bardzo zmęczony miastem. Może wiedział, że będziemy go szukać, i chciał zyskać czas na przygotowanie się do

konfrontacji z policją. Albo musiał odpocząć po wstrząsie, jaki przeżył… – Ostatnie słowa wypowiedziała ciszej, jakby mówiła do siebie.

– Znowu jakaś urojona teoria? – Sawicki mruknął gniewnie.

– Zastanawiam się nad wszystkimi możliwościami. – Rzuciła mu lodowate spojrzenie. – Niczego nie powinniśmy ignorować, przynajmniej do czasu kiedy znajdziemy Madinę i mężczyznę, który z nią działał. Sprawdzenie Wójcika nie wpłynie na pozostałe części śledztwa. Ten człowiek kłamał. Twierdził, że nie wiedział nic o śmierci Wagner – ciągnęła. – A jednak wiadomość o morderstwie nie zdołała wytrącić go z równowagi. Nie tak zachowuje się były kochanek. Sprawdziłam jego papiery; wygląda na to, że cierpi na rodzaj choroby psychicznej, która może objawiać się agresją. Poznali się z Wagner u psychologa. Oczywiście powinniśmy w tej chwili skupić się na poszukiwaniach Czeczenów, ale naprawdę nie zaszkodzi porozmawiać również z terapeutą.

Sawicki musiał przyznać jej rację.

– Okej. Powoli. W takim razie trzeba najpierw sprawdzić monitoring w Źródełku i zobaczyć, o której Wójcik tam trafił, jak wyglądał i jak się zachowywał.

– Dzwoniłam do nich. Kasują taśmy po trzech dniach. Spóźniliśmy się.

– Kurwa.

– No właśnie. Ale można pogadać z barmanem. Może go pamięta.

– Dobrze, zrobimy to, jak tylko znajdziemy wolną chwilę.

– No i jeszcze jedno.

– Tak?

– Rozmawiałam z Czeczenem, tym kierowcą zielonego bmw. Przyznał, że jeździł z ojcem Madiny i szukał jej po Warszawie. Nie rozpoznał mężczyzny z portretu pamięciowego, nie jestem jednak pewna, czy mówił

prawdę. Ledwo zerknął na kartkę. Natomiast chyba rzeczywiście nie wie, gdzie podziała się dziewczyna.

Sawicki szperał w kieszeniach, bezskutecznie szukając batoników.

– Dobrze – zdecydował. – W takim razie rozejrzyjmy się trochę tutaj.

Portiernia była pusta. Szybę nad kontuarem zasłaniała gęsta firanka. W środku nie paliło się światło. Minęli niewielki hol. W powietrzu unosił się zapach pasty do podłóg i środków dezynfekcyjnych. Ściany pomalowano olejną farbą. Pod oknem stały duże pilśniowe płyty. Pośród krepinowych kwiatów wisiały na nich zdjęcia przedstawiające życie Słonecznego Domu: kobiety gotujące we wspólnej kuchni, kursy zawodowe, lekcje polskiego, wieczorny seans filmowy, zajęcia plastyczne dla dzieci i występ czeczeńskiego zespołu tanecznego. Wycięty z kolorowego papieru napis nad wystawą donosił z optymizmem: „Wielość, która nas wzbogaca”. Ada zatrzymała się na chwilę. Sawicki ruszył zdecydowanym krokiem w stronę uchylonych drzwi na końcu korytarza. Dogoniła go. Razem weszli do niewielkiego jasnego pomieszczenia, które w przeszłości służyło zapewne jako gabinet dyrektorski albo sekretariat. Teraz pokój był zawalony rzeczami: pod ścianą ustawiono rząd tekturowych pudeł, plastikowe wiadra, kilka krzeseł, a na nich coś, co na pierwszy rzut oka przypominało stos świeżo wypranej bielizny pościelowej. Na parapecie okiennym leżał zwój grubego materiału. Po szybie chodziła wielka granatowa mucha, która najwyraźniej obudziła się zbyt wcześnie, zmylona centralnym ogrzewaniem. Przy biurku stała niska kobieta, ubrana w legginsy i sięgającą połowy uda trykotową tunikę. Miała zdumiewająco chude nogi, kwadratowy tors i nieproporcjonalnie krótką szyję. Jasne farbowane włosy otaczały pociągłą twarz o zdecydowanych rysach. Rozkładała na blacie przybory plastyczne: farby, nożyczki i papier do rysowania. Pomagała jej ciemnowłosa dziewczyna. Właśnie przerzuciła

przez ramię długi, niedbale spleciony warkocz, podwinęła rękawy bluzki i uniosła z podłogi tekturowe pudło, kiedy zauważyła wchodzących i zastygła w bezruchu.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedziała kobieta, nie odwracając głowy.

– Jesteśmy z policji – zaczęła Ada.

Oboje z Sawickim wciąż stali w progu.

– Sądzę, że to z panią rozmawiałam kilka dni temu przez telefon. Nazywam się Adela Rochniewicz…

Kobieta włożyła okulary i zmierzyła ich roztargnionym wzrokiem krótkowidza.

– Pamiętam. Dzwoniła pani w sobotę – przyznała w końcu. – Proszę.

Prędkim, zamaszystym gestem odsunęła leżące na biurku przedmioty, zdjęła stos upranej bielizny z krzeseł i zaprosiła ich do środka. Ruszała się trochę za szybko i zbyt nerwowo, jakby napięła wszystkie mięśnie w oczekiwaniu nadchodzącej przykrości.

– Proszę wejść – powtórzyła.

– To jest komisarz Marcin Sawicki. – Ada wyciągnęła rękę. – Wspólnie prowadzimy sprawę zabójstwa Zofii Wagner.

– Anita Kalinowska, miło mi – odpowiedziała, ale wyraz ust i zmarszczony nos świadczyły bezsprzecznie, że nie odczuwa najmniejszej przyjemności ze spotkania.

Policjanci usiedli pod ścianą. Anita zajęła miejsce za biurkiem. Nie mogła mieć więcej niż czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Skóra jej twarzy była sucha i pożółkła, jak u wieloletniej palaczki, czoło przecinały głębokie bruzdy, na skroniach i odkrytym ramieniu Ada dostrzegła kilka wątrobowych plam, oczy pozostały jednak młode, o błyszczących białkach i intensywnie niebieskich tęczówkach.

– Czym mogę służyć? – zapytała, splatając dłonie i opierając nadgarstki o krawędź blatu.

Ada odchrząknęła.

– Szukamy Madiny Demilowej – zaczęła ostrożnie. – Sądzimy, że może nam pani pomóc…

Zdawała sobie sprawę, że jej rozmówczyni nie jest przychylnie nastawiona. Anita Kalinowska krótko pociągnęła nosem i opuściła wzrok.

– Dziewczyna zniknęła z domu – uzupełnił Sawicki. – Musimy ją znaleźć i jeszcze raz przesłuchać.

– Wiem, że jej szukacie. – Kobieta uniosła prawą dłoń, jakby starała się ich uciszyć. – Ale Madina nie ma z waszym zabójstwem nic wspólnego.

Sawicki zmarszczył brwi.

– To, czy Madina ma coś wspólnego z morderstwem, czy nie, ocenimy sami – odparł ostro. – Proszę nam tylko powiedzieć, czy wie pani, gdzie można ją znaleźć.

– To miła dziewczyna. – Anita zignorowała pytanie. – Znam ją dobrze. Mieszkała w Słonecznym Domu dziesięć miesięcy…

– Nie interesuje mnie, jak długo tu mieszkała – przerwał opryskliwie. – Proszę odpowiadać na pytania. Kiedy widziała ją pani ostatni raz?

Wydawało się, że kobieta w ogóle go nie słyszy. Siedziała z ponurą twarzą i opuszczonymi wzdłuż tułowia rękami, słuchając jedynie samej siebie.

– Proszę pani – ponaglił.

Mrugnęła powiekami.

– W styczniu – powiedziała niechętnie.

– Dobrze. – Sawicki wyjął z kieszeni notes. – I nie rozmawiała z nią pani od tego czasu?

Anita potrząsnęła głową. Ada zmrużyła oczy. Coś się nie zgadzało. Prezeska Fundacji „Przystań” zachowywała się co najmniej dziwnie. Czuła bijącą od niej gorącą, rozedrganą falę niechęci. Na twarzy widać było jednocześnie posępność i poczucie krzywdy. Ada dobrze znała ten wyraz bezsilnej złości, która nie może znaleźć ujścia. Tak patrzyli na nią aresztowani w pokoju przesłuchań: agresywni kibole, podpici amatorzy burd, wielcy, silni mężczyźni skuci, poskromieni i całkowicie bezradni. Ta kobieta ma złe doświadczenia z policją, przemknęło jej przez myśl. Trzeba ją szybko uspokoić, inaczej niczego się nie dowiemy.

– Proszę pani – zaczęła pospiesznie – nie ma żadnych bezpośrednich dowodów na to, że Madina brała udział w przestępstwie. Natomiast oboje uważamy, że może posiadać istotne dla nas informacje. Szukamy mordercy, który w tej chwili chodzi wolny po ulicach Warszawy. I właśnie dlatego powinniśmy jak najszybciej z nią porozmawiać. Poza wszystkim jej również może grozić niebezpieczeństwo. Proszę nas zrozumieć – ciągnęła. – Potrzebujemy wszystkich dostępnych wskazówek. To bardzo poważna sprawa…

Zmarszczki na czole Anity Kalinowskiej wygładziły się nieco.

– Rozumiem. – Odetchnęła spokojniej i spróbowała się uśmiechnąć.

– Czy przychodzi pani do głowy, gdzie może przebywać Madina? – podjął cierpliwie Sawicki.

– Nie – padła szybka odpowiedź. – Tak jak mówiłam, nie rozmawiałam z nią od stycznia.

– Nie odwiedzała Słonecznego Domu?

– Odwiedzała, na pewno. Wieczorami. Ale ja tu nie mieszkam. Mijałyśmy się.

– W takim razie kogo odwiedzała?

Anita rzuciła niepewne spojrzenie w stronę stojącej obok dziewczyny, która nadal ściskała w dłoniach tekturowe pudło.

– Może Hawa coś wie… – zaczęła.

– Przychodziła do mnie – przyznała dziewczyna. – Przyjaźnię się z Madiną.

Ada drgnęła.

– Nazywasz się Hawa Sodajewa?

– Tak.

– Wiesz, gdzie jest Madina?

– Nie. – Ton głosu był spokojny i zdecydowany. Ani Ada, ani Sawicki nie mieli wątpliwości, że Hawa mówi prawdę.

– Kiedy widziałaś ją po raz ostatni?

– W środę.

– Tydzień temu?

– Tak.

– I nie zauważyłaś nic podejrzanego? – Sawicki pochylił się w jej stronę. – Madina nie była zdenerwowana, przygnębiona, nie zachowywała się inaczej niż zwykle?

– Była przygnębiona – potwierdziła dziewczyna. – Przygnębiona i smutna. Ona od dawna miała kłopoty doma… – Urwała, jakby przestraszyła się, że powiedziała za dużo.

– Jakie kłopoty? – zareagował natychmiast. – To kluczowa informacja!

Hawa spuściła wzrok. Zapadła cisza. Ada obserwowała ją uważnie. Krępa nastolatka, która dopiero zaczęła się przepoczwarzać z miękkości wieku dziecięcego w dorosłą kobietę. Nie miała więcej niż szesnaście lat. Ada śledziła łagodną linię jej ramion i szyi, wolny rytm oddechu: spokojny i uparty. Dziewczyna uniosła głowę i zmierzyła wzrokiem twarz policjantki,

jakby chciała dać do zrozumienia, że nie powierzy tajemnic przyjaciółki komuś obcemu. Duża granatowa mucha oderwała się od szyby i krążyła leniwie po pokoju. W pewnym momencie uderzyła w ścianę i spadła na podłogę.

– Hawa – Ada podjęła łagodnie – kłopoty w domu Madiny mogą wyjaśnić jej ucieczkę i w dużej mierze oczyścić ją z podejrzeń. To, co nam powiesz, może jej pomóc.

Dziewczyna zacisnęła usta. Mucha bzyczała i kręciła się w kółko po podłodze. Sawicki spojrzał bezradnie na Anitę Kalinowską.

– Proszę nam pomóc. – Westchnął. – Od czterech dni przebijamy się przez gruby mur niechęci ze strony uchodźców. – Mówił tak, jakby Hawa nie była dojrzałą dziewczyną, ale małym dzieckiem, które przysłuchuje się niezrozumiałej rozmowie dorosłych. – To jakiś absurd. Nikt z otoczenia Madiny nie chce z nami rozmawiać. Trudno w tej sytuacji nie nabrać podejrzeń. Oni wszyscy… – wskazał podbródkiem Hawę – w ten sposób sami sobie szkodzą.

Za oknem słychać było nawoływania dzieci, szum samochodów i dalekie, niosące się echem szczekanie psa. Mucha na podłodze bzyknęła długo i żałośnie, po czym zesztywniała i ostatecznie ucichła. Anita wzięła do ręki ołówek. W zamyśleniu obrysowała nim ślad po rozlanej kawie na blacie biurka. Coś zmieniło się w jej twarzy, jakby się przełamała i podjęła trudną decyzję. Uniosła głowę. Patrzyła teraz wprost na Sawickiego.

– Demilowowie przeszli ostatnio kryzys – powiedziała.

– Słucham?

– Asłan Demilow ma za sobą długą i smutną historię. – Nabrała powietrza, najwyraźniej gotując się do dłuższej przemowy.

Ada i Sawicki słuchali uważnie.

– Był prześladowany w Czeczenii – podjęła Anita jakby z wahaniem, zastanawiając się nad każdym słowem. – Przeszedł tortury w rosyjskim więzieniu. Uciekł do Polski i natychmiast dostał azyl polityczny i prawo stałego pobytu. Przez wiele lat nie mógł sprowadzić rodziny. Rosjanie nie wypuszczali ich z kraju. W końcu udało im się przyjechać. Tyle tylko że Polska nie chce przyjmować kolejnych uchodźców. Żona Asłana żyje w ciągłym strachu przed deportacją.

– To dlaczego nie chcą z nami współpracować? – zdenerwował się Sawicki. – Ani on, ani Tamara? Oboje zachowują się, jakby stracili rozum.

– A czego się pan spodziewa? – Anita odłożyła ołówek; w jej głosie zabrzmiał ostry, nieprzyjemny ton. – Ci ludzie przeszli gehennę w Urzędzie do spraw Cudzoziemców. A to nie wszystko. Kiedy mieszkali w Słonecznym Domu, dwukrotnie doszło do rasistowskich incydentów. Jacyś pijani kibole zniszczyli ogrodzenie, porozbijali szyby, pisali sprejem na ścianach obraźliwe hasła. Za każdym razem wzywałam policję. I co zrobili pańscy koledzy? – Zawiesiła głos.

Sawicki nie odpowiedział.

– Aresztowali czeczeńskich mężczyzn, którzy próbowali powstrzymać wandali. A tych agresywnych kiboli spisali i puścili wolno. I oczekuje pan – ciągnęła już ciszej, jakby przygnębiona własnymi słowami – oczekuje pan, że po tym wszystkim uchodźcy będą mieć zaufanie do polskich służb?

Zapadło milczenie. Na parapecie wylądował gołąb. Przekrzywił główkę i łypał znacząco ciemnym okiem. Anita Kalinowska odetchnęła spokojniej.

– Dobrze – powiedziała w końcu, dotykając palcami brązowej plamy na szyi. – Zależy mi na tym, żeby sytuacja Demilowów była dla państwa jasna, jeśli rzeczywiście ma to pomóc Madinie… Jednak, tak jak mówiłam, nie widziałam ich od dwóch miesięcy. To, co teraz powiem, dotyczy czasów, kiedy mieszkali w Słonecznym Domu.

Prezeska fundacji zdjęła okulary i przetarła szkła rękawem tuniki. Policjanci czekali w milczeniu.

– Niestety zdarza się często – zaczęła – że bojownicy o wolność, ci najdzielniejsi, którzy wiele w przeszłości wycierpieli, za bardzo się radykalizują. Wojna wypacza i degeneruje. Nie tylko agresorów, również tych, którzy z nimi walczą. Asłan Demilow uciekł z Czeczenii i zmienił się w muzułmańskiego ekstremistę… To może zbyt ostre słowo. – Zawahała się. – Nie jest skrajnym fanatykiem, raczej… – Zastanawiała się, jak sformułować myśl. – Raczej muzułmańskim odpowiednikiem polskiego prawicowca. Takim upartym, twardogłowym konserwatystą – wyjaśniła. – Kiedy sprowadził do Polski żonę i córki – ciągnęła powoli – zaczął wywierać na kobiety nieznośną presję. Zabraniał im wychodzić z domu, uczyć się i rozmawiać z obcymi mężczyznami. Nie chciałam o tym mówić wcześniej, to ich sprawy, zwłaszcza że po jakimś czasie sytuacja trochę się wyrównała. Madina i jej matka rozpoczęły intensywny kurs polskiego, znalazły dorywczą pracę. Młodsze dziewczynki poszły do szkoły. Potem Demilowowie się wyprowadzili. To wszystko…

– Kiedy rozmawiałam z Madiną, widziałam na jej rękach siniaki. Pomyślałam, że ojciec…

Anita Kalinowska westchnęła ciężko.

– Nie przepadałam za Asłanem ani za tym, jak traktował kobiety – odparła wymijająco.

– Rozumiem. – Ada uśmiechnęła się przyjaźnie. – Jeszcze tylko jedno pytanie. – Wyjęła z torebki kartkę. – To portret pamięciowy Czeczena, którego widziano razem z Madiną. Rozpoznaje go pani?

Anita przysunęła kartkę do twarzy.

– Nie – powiedziała. – Nigdy go nie widziałam.

– Na pewno?

– Na pewno.

Hawa zajrzała jej przez ramię.

– To żaden Czeczen. – Roześmiała się głośno. – To Gregor.

Spojrzeli na nią zdumieni.

– Jaki Gregor? – zapytała Anita.

– Gregor z kursów polskiego. On jest Gruzin. Ja z nim nie rozmawiałam – dodała pospiesznie.

– Z Fundacji „Przystań”?

– Tak… Nie wiem… Nie znam go dobrze… – Hawa wyraźnie się spłoszyła.

– Aha. – Anita pokiwała głową. – Hawka, teraz idź do siebie. Ja tu jeszcze z państwem porozmawiam i gdyby mieli jakieś pytania, to cię zawołamy.

Dziewczyna odstawiła pudło i wyszła.

– Co za różnica: Czeczen czy Gruzin? – burknął Sawicki.

– Dla pana żadna – odpowiedziała chłodno. – Ale dla nich zasadnicza. Nie znam tego Gregora. – Zwracała się już tylko do Ady. – Ale między Gruzinami a Czeczenami od lat panuje niechęć. Jedni to chrześcijanie, drudzy muzułmanie. Czeczeni oskarżają Gruzinów o kolaborację, Gruzini twierdzą, że Czeczeni wspierali Rosjan podczas inwazji w Osetii Południowej. Na granicy czeczeńsko-gruzińskiej ciągle dochodzi do utarczek. Agresywnie zachowują się obie strony. To skomplikowany, ciągnący się od dawna konflikt. Nie sądzę, żeby rodzice Madiny byli zachwyceni, gdyby wiedzieli, że ma gruzińskiego przyjaciela…

– Rozumiem. – Ada skinęła głową. – Ta rozmowa wiele wyjaśnia.

– Jeszcze jedno – zatrzymała ich. – Hawa mieszka na pierwszym piętrze, w pokoju numer dwadzieścia cztery. Ale proszę… – zawiesiła głos

na wysokiej nucie – proszę zachować się dyskretnie. Nie chciałabym, żeby miała potem problemy…

– Oczywiście. Dziękuję. – Ada wyciągnęła rękę.

– W porządku. – Anita Kalinowska powróciła do rozkładania przyborów plastycznych. – Wierzę w państwa rozsądek i obiektywność. Mam nadzieję, że się nie zawiodę…

Na korytarzu stały dwie kobiety ubrane w długie spódnice i perkalowe chusty. Zerknęły na wychodzących policjantów i ucichły, prowadząc dalszą rozmowę konfidencjonalnym szeptem w całkowicie niezrozumiałym języku. Na górze trzasnęły drzwi. Rozległ się płacz dziecka i uspokajający dorosły głos.

– Trzeba jak najszybciej odwiedzić naszą starą znajomą, Agnieszkę Jekiel – podjął Sawicki. – Musimy znaleźć tego Gruzina. Warto by jednak pogadać jeszcze z tą Hawą… Może ty to zrobisz? Ja pojadę do Fundacji „Przystań”, zobaczę, ile da się wyciągnąć, i zadzwonię.

– Okej – zgodziła się bez entuzjazmu.

Znowu znalazł sposób, żeby się jej pozbyć.

24

Powoli, jakby jej nogi stały się ciężkie, Ada weszła na piętro, patrząc przez okna klatki schodowej na podwórko i grupkę mężczyzn skupionych wokół samochodu. Po drugiej stronie boiska dwie dziewczynki ubrane w identyczne różowe kombinezony napełniały plastikowe butelki ziemią. Ada skręciła w ciemny korytarz, odnalazła tabliczkę z numerem dwadzieścia cztery i zastukała. W drzwiach stanęła Hawa. Oparła dłoń o framugę i wyprostowała ramię, blokując wejście. Rozpuszczone włosy dodały jej twarzy łagodności. Wydawała się jeszcze młodsza, ale upór w jej oczach nie zniknął. Ada wiedziała, że dziewczyna powie jej tylko to, co sama uzna za konieczne. Nie zwiedzie jej podstępem, nie zmusi groźbą ani nie przekona. Natomiast jeśli uda im się nawiązać kontakt, może się wiele dowiedzieć.

– Porozmawiasz ze mną?

Dziewczyna cofnęła się w głąb pokoju.

– Muszę ugotować obiad. – Zarzuciła na ramiona chustkę i przestąpiła próg. – Może pani iść ze mną – powiedziała i podążyła szybkim krokiem ku niewielkiej ślepej kuchni na końcu korytarza.

– Często gotujesz? – Ada usiadła przy kwadratowym, przykrytym ceratą stole.

Hawa się roześmiała.

– Nieczęsto, jak się zdarzy. Ja gotować dobrze nie umiem. Ale dziś mama w pracy, a małe zaraz wrócą…

Schyliła się i wyciągnęła z szafki emaliowany garnek, usiadła na taborecie, rozsunęła szeroko kolana i zaczęła obierać kartofle.

– A Madina też gotowała? – spróbowała ostrożnie Ada.

Hawa zignorowała pytanie. Odłożyła obrany kartofel do zlewu. Podeszła do lodówki. Wyjęła włoszczyznę i kawałek czerwonego mięsa.

– Na zupę – wyjaśniła. – Kupujemy mięso u specjalnego rzeźnika. Krowy zabija się nożem, w imię Allaha, zwrócone głową do wschodu słońca… Ugotuję zupę, to taki polski biały barszcz.

Mord rytualny, przemknęło Adzie przez myśl.

– Masz dużo rodzeństwa?

– Trzy. Wszystkie młodsze.

– To sporo, ale o jedno mniej niż u Madiny.

Czeczenka odwróciła od niej spokojne, ciemne oczy.

– A ty nie chodzisz do szkoły? – nie poddawała się Ada.

– Chodzę. – Uśmiechnęła się, choć w jej głosie brzmiała uraza. – Do liceum.

– Do liceum? – Ada starannie dobierała słowa, żeby nie popsuć nawiązanego kontaktu. Najważniejsze, że udało się skłonić ją do rozmowy. – To musiało być trudne na początku – ciągnęła ostrożnie. – Obcy język, obcy ludzie…

Dziewczyna przysłoniła twarz dłonią, jakby raziło ją światło żarówki. Ada spojrzała na srebrny łańcuszek okalający jej szyję. Ledwo dostrzegalny puszek pokrywał łagodny, miękki kontur szczęki. Młoda Czeczenka oddychała płytko i spokojnie.

– Było ciężko – przyznała. – Jak skończę liceum, pójdę na studia – oznajmiła stanowczo.

– A ojciec? – Ada zdawała sobie sprawę, jak bardzo ryzykuje, zadając to pytanie, nie widziała jednak innego sposobu, żeby skierować rozmowę na temat związany z Madiną. – Ojciec pozwoli ci studiować?

Hawa wrzuciła mięso i warzywa do garnka, zalała je wodą i postawiła na gazie. Ada obserwowała bacznie jej powolne ruchy. Czekała długo. W milczeniu. W końcu dziewczyna odpowiedziała poważnym, podniosłym tonem zasmuconego dziecka.

– Nie wszyscy muzułmańscy mężczyźni są źli. U was przecież też różnie bywa. Złych mężczyzn w Polsce nie ma? Myślicie, że w Czeczenii ich więcej? Ale dlaczego?

Mądra mała, pomyślała Ada i uśmiechnęła się z uznaniem.

– Mój ojciec to inżynier – ciągnęła tamta. – Mama pielęgniarka. A rodzice chcą, żebym była lekarzem. Tata chce – dodała z dumą.

– Ale w domu Madiny wszystko wyglądało inaczej, prawda? – zripostowała szybko Ada. Postanowiła wykorzystać sytuację. Czuła, że podobny moment już się nie powtórzy. Jeśli teraz się nie uda, Hawa nic jej już nigdy nie powie.

– Inaczej – przyznała. – Ale tam… – Wyraźnie szukała odpowiednich słów. – Ale Madiny nikt w domu nie krzywdził. Ona się z ojcem zgadzała. Dopiero niedawno wszystko się zmieniło. Asłan nie lubił Gregora.

– Dlaczego? – Ada zareagowała natychmiast.

– On Gruzin, chrześcijanin. Kobiety muzułmańskie… – urwała, jakby nie miała pewności, czy może skończyć zdanie.

– Co kobiety muzułmańskie?

– Nic. – Jej głos zawisł na wysokiej nucie.

Ada widziała, jak waha się dłuższą chwilę. Czekała w napięciu. W końcu coś przełamało się w dziewczynie, jej oczy spochmurniały. Spojrzała wprost w twarz policjantki, jakby się broniąc, a jednocześnie szukając pomocy.

– Oni chcą, żeby Madina wróciła do Czeczenii – szepnęła. – Tam jej znaleźli chłopaka. Nawet go nie poznała. Ale się z tego cieszyła. Wsie zbierali pieniądze na wyjazd. Ona też. Chciała wyjść za mąż, urodzić dzieci. Nie lubiła się uczyć. Nie lubiła mieszkać w Polsce – dodała niechętnie. – Ale potem poznała Gregora…

Ada pochyliła się nad stołem.

– I wszystko się zmieniło, tak? Hawka – ściszyła głos – słuchaj, Hawka, to bardzo ważne. Madina była pod wielką presją. Potrzebowała pieniędzy, żeby uciec od ojca. Tak?

Hawa skinęła powoli głową.

– Czy myślisz, że mogła w rozpaczy zrobić coś złego?

Dziewczyna nie odpowiadała. Usta drżały jej lekko.

– A Gregor? Mógł użyć siły? Czy mógł zabić, żeby uratować Madinę?

W powietrzu rozszedł się zapach gotowanego mięsa. Pokrywka na garnku podskoczyła lekko. Hawa podeszła do kuchenki i zmniejszyła dopływ gazu. Kiedy się odwróciła, miała zupełnie spokojną twarz.

– Nie wiem. On był bardzo zły. Raz powiedział…

Ada wstrzymała oddech.

– Powiedział raz, że trzeba pieniądze ukraść. Że Polacy to bogate psy. Myśmy się wtedy pokłócili. Nie spotykałam się z nimi długo. W końcu Madina przyszła w środę. Wtedy widziałam ją ostatni raz.

W tym momencie do kuchni wbiegła obca kobieta z niemowlęciem na ręku. Postawiła na blacie pustą butelkę. Dziewczyna umilkła. Z dołu

dobiegł odgłos otwieranych drzwi, tupot na schodach i gwar dziecięcych głosów.

Rozmowa została przerwana. Ada wiedziała, że nie dowie się dziś niczego więcej. Wstała.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się, dotykając lekko ramienia Hawy. – Odwiedzę cię jeszcze jutro, dobrze? O której wracasz ze szkoły?

– O trzeciej – odparła krótko dziewczyna, nie odwzajemniając uśmiechu.

Pochyliła się nad garnkiem i mieszała energicznie zupę.

Ada zaparkowała w śródmieściu, tuż przed tajską knajpką Basmati Point. Wyskoczyła z samochodu, pchnęła obrotowe drzwi i zamówiła kluski z owocami morza na ostro. Nie opuszczał jej zapach warzyw i gotowanej wołowiny z kuchni w Słonecznym Domu. Była głodna. Siedziała przy oknie. Z parapetu kiwał do niej uśmiechnięty budda. Bar i drzwi toalety oplatały girlandy plastikowego bluszczu. Ubrany w biały fartuch skośnooki kucharz rzucił garść imbiru i trawy cytrynowej na rozgrzaną patelnię. Przy stoliku obok zebrało się hałaśliwe towarzystwo: dziewczyny w pistacjowych garsonkach i młodzi mężczyźni w marynarkach i źle dobranych krawatach. Najwyraźniej przyszli na wspólny pracowy obiad. Adę męczył głośny śmiech i wykrzykiwane w podnieceniu zdania, których nie mogła nie słyszeć. „Kupujemy mięso od specjalnego rzeźnika”, przypomniała sobie słowa Hawy. „Krowy zabija się nożem, zwrócone głową do wschodu słońca”. Tak mało wiem o tych ludziach, pomyślała. Nie mam nawet pojęcia, gdzie robią zakupy… Kucharz podał jej pałeczki i kwadratowe pudełko z kluskami. Jadła powoli, panując nad łapczywością. Kiedy skończyła, starannie wytarła usta. Wrzuciła serwetkę do pustego pudełka i spojrzała przez okno na szarzejącą ulicę. Deszcz siąpił

nieustannie. Temperatura wyraźnie spadła. Przechodnie poprawiali kołnierze, naciągali czapki na oczy i kulili się pod parasolami. Muszę wracać na komendę, pomyślała niechętnie. Niespodziewanie dopadło ją obezwładniające zmęczenie. W tym momencie zadzwonił telefon.

– Tu Marcin – powiedział Sawicki.

– Cześć. – Stłumiła ziewnięcie.

– Dostałem adres Gruzina. Nie ma go w domu, ale skontaktowałem się z właścicielem, od którego wynajmuje mieszkanie. Właściwie tylko pokój przy garażu.

– Tak?

– Właściciel otworzył mi drzwi. Nie grzebałem w szafach – ciągnął – ale lokal wygląda na opuszczony. Mało rzeczy zostało.

Chrząknęła niepewnie.

– Sprawdziłem – opowiadał dalej. – Ten gruziński koleżka pracuje w hurtowni pod Pruszkowem. Niestety otwartej od szóstej rano do drugiej po południu. Na razie nie mogę skontaktować się z szefem. Nie odbiera telefonów.

– Dobrze – oprzytomniała Ada. – W takim razie zobaczymy się na komendzie. Chciałabym porozmawiać i ustalić plan na jutro.

– Okej. – Głos w telefonie zanikał wśród syków i trzasków. – Ale przyjadę dopiero o siódmej. Bo muszę… Wcześniej nie dam… I jeszcze jedno…

– Tak?

– Agnieszka Jekiel wyraźnie nie lubi naszego Gregora. Twierdzi, że… się agresywnie, więc…

Połączenie zostało przerwane. Ada wyrzuciła pudełko po kluskach do kosza, naciągnęła rękawiczki i owijając się szczelnie szalem, wyszła na dwór.

Wróciła do Pałacu Mostowskich po piątej. Zaparzyła kawę, roztarła zbielałe dłonie i usiadła do komputera. Spisywała raporty, cierpliwie wypełniając kolejne rubryki: data, godzina, miejsce zajścia, rozmowa ze świadkiem, wnioski… Przez cały czas nie opuszczał jej widok krzątającej się po kuchni Hawy. Myślała o Anicie Kalinowskiej, upranej bieliźnie, czeczeńskim barszczu i w końcu o siniakach na rękach Madiny. Ada była zbyt doświadczonym śledczym, by nie zdawać sobie sprawy, że ludzie doprowadzeni do ostateczności stają się agresywni i niebezpieczni. Po latach spędzonych w policji wiedziała, że nie ma na świecie osoby, która w odpowiednich warunkach nie popełniłaby zbrodni. Nawet czeczeńska Julia i gruziński Romeo. Westchnęła, nacisnęła „Enter” i poszła do sekretariatu po wydruki raportów. Przy biurku zastała Dagmarę.

– A, to twoje. – Sekretarka drgnęła lekko, odsuwając od siebie dokumenty. – Zastanawiałam się właśnie, co wyskoczyło z drukarki. Na szczęście mamy w końcu zapas tonera i papier. I wszystko układa się pomyślnie, z wyjątkiem pogody – plotła jak zawsze bez sensu.

Ada odniosła wrażenie, że jest zmieszana i bardziej niż zwykle roztargniona. Nie patrzyła jej w oczy.

– Tak – przyznała pojednawczo. – Z wyjątkiem pogody. Poproszę raporty. – Wyciągnęła rękę.

Dagmara podała jej kartki.

– Już wychodzę – powiedziała. – I tak zasiedziałam się po godzinach. Ty też lepiej wracaj do domu – dodała karcąco, marszcząc usta. – Nie wolno się przepracowywać!

– Jasne. – Ada włożyła raporty do teczki. – Niedługo kończę, czekam tylko na Marcina. Musimy jeszcze porozmawiać. – Czuła się coraz bardziej zmęczona.

– Do jutra w takim razie. – Dagmara sięgnęła po filcowy kapelusik z piórkiem.

Ada wróciła do pokoju. Przez kilka minut szukała w rejestrach potrzebnej informacji, po czym podniosła słuchawkę i wybrała odpowiedni numer.

– Halo – kobiecy głos odezwał się po trzech sygnałach.

– Dzień dobry. – Przybrała oficjalny ton. – Nazywam się Iwona Rostkowska. Dzwonię z firmy Plus. Czy nie przeszkadzam?

– Nie. O co chodzi?

– Planujemy inwestycję w nowe maszty telefoniczne w związku z napływającymi zgłoszeniami o problemach z zasięgiem sieci komórkowych w okolicach Puław. Przeprowadzamy ankietę wśród mieszkańców…

– Ale ja nie mam żadnych problemów – zdziwiła się jej rozmówczyni.

– Odbiera pani sygnał w domu?

– Jak najbardziej.

– Ze wszystkich sieci?

– O ile mi wiadomo, ze wszystkich…

– W takim razie nie będę zajmować więcej czasu. Bardzo dziękuję za informację.

Odłożyła słuchawkę, oparła brodę na dłoniach i przez dłuższy czas się nie poruszyła. W końcu wstała, zalała kolejną kawę i znowu włączyła komputer.

Sawicki dojechał do komendy o siódmej. Ada siedziała przed komputerem. Zajrzał jej przez ramię – przeglądała dyskusje portalowe dotyczące choroby dwubiegunowej.

– Jerzy? – zapytał.

Przytaknęła.

– Dzwoniłam do Puław. Wójcik kłamał. Jego rodzice mają doskonały zasięg. Wszystkich sieci telefonicznych.

– Często przeglądasz Internet w pracy? – podjął zaczepnie.

Nie odwróciła głowy. Nie poruszyła się nawet.

– Często – odpowiedziała spokojnie. – Czasy się zmieniają, rosołu się już nie klaruje.

– Słucham?

– Nic. Tak mówiła moja cioteczna babka. Chodzi mi tylko o to, że świat się zmienia i trzeba za nim nadążać, również w pracy. Mam z tobą iść do Modzelewskiego? – zmieniła temat.

Milczał. Jaka ona dziwna i jaka inna, myślał. Zawsze panuje nad emocjami, umie nadać zdaniom odpowiednią formę, tak że ludzie otwierają się przed nią gładko jak dobrze naoliwione zamki, do których z wprawą dopasowała wytrych. A przecież w żaden sposób nie można by jej nazwać osobą ciepłą ani przyjazną. Jest jak wysokiej klasy włamywacz: zimna, opanowana i pewna celu.

– Co z Hawą? – zapytał w końcu. – Rozmawiałaś z nią jeszcze?

Odsunęła klawiaturę, wyprostowała się i spojrzała na niego przeciągle.

– Owszem – odrzekła. – Hawa przyznała, że Madina zachowywała się dziwnie w środę po południu. Co więcej, wygląda na to, że Gregor to jej chłopak. Próbowała ukrywać związek przed rodzicami i całą czeczeńską społecznością. Ale sprawa wyszła na jaw… – Zawahała się. – Rozumiem, że muzułmańscy mężczyźni mogą żenić się z kobietami innego wyznania. W ten sposób przyjmują żonę na własne terytorium. Muzułmańska społeczność zyskuje nowego członka. Sytuacja wygląda dokładnie odwrotnie, jeśli czeczeńska dziewczyna wiąże się, dajmy na to, z katolikiem. Społeczność ją traci. Jej przyszłe dzieci również.

Sawicki kiwnął głową.

– Dla mnie ta cała historia wygląda następująco: Asłan Demilow uważał, że żona i starsza córka mają w Polsce za dużo swobody. Najpierw sam próbował doprowadzić kobiety do porządku. Potem perswazje Anity Kalinowskiej, ale pewno też zwykła bieda spowodowały, że częściowo ustąpił. Madina musiała pracować, a żeby pracować, musiała też mówić po polsku. Demilow pozwolił córce chodzić na kursy językowe i sprzątać u Zofii Wagner – ciągnęła powoli. – W ten sposób coraz bardziej tracił nad nią kontrolę. W końcu postanowił odesłać dziewczynę z powrotem do Czeczenii i wydać za mąż. *Arranged marriage*.

– Co?

– Małżeństwo, które planują starsi, taki kontrakt między rodzinami. Państwo młodzi nie znają się przed ślubem i nie mają wpływu na podjętą decyzję.

– Koszmar. – Wstrząsnął ramionami. – Taki proceder w ogóle istnieje?

– Istnieje – przyznała. – Nie ma się co dziwić. Całkiem niedawno praktykowano go również w Polsce. A jak wyglądały małżeństwa arystokracji dwieście, trzysta lat temu?

– Okej – uciął prędko. – Wróćmy do tematu.

– No więc przypuszczam, że Madina zakochała się w Gruzinie, tymczasem rodzina postanowiła wyekspediować ją do Groznego. Sądzę, że nie miała żadnej możliwości, żeby zmienić tę decyzję. Hawa Sodajewa twierdzi, że oboje z Gregorem planowali ucieczkę. Co więcej, chłopak odgrażał się, że ukradnie pieniądze.

Sawicki bębnił nerwowo palcami po blacie.

– Nie do końca rozumiem – mruknął. – Asłan Demilow dostał azyl polityczny, tak?

Kiwnęła głową.

– W Czeczenii czeka go więzienie, a on wysyła tam najstarszą córkę prosto w ręce Rosjan?

– Mnie też to zdziwiło – przyznała. – Dlatego wstąpiłam jeszcze raz do Anity Kalinowskiej. Utrzymuje, że proceder odsyłania córek z powrotem do rodzinnego kraju jest wśród Czeczenów popularny. Prawdopodobnie Madinie nie grozi tam niebezpieczeństwo. Problemy mógłby mieć tylko jej ojciec. Sam Demilow najwyraźniej bardziej boi się zgnilizny moralnej w Polsce niż Rosjan w Czeczenii.

Ada wstała i podeszła do okna. Sawicki spojrzał na delikatną linię jej ramion i karku. Zapadła niezręczna cisza. Nie mieli nic więcej do powiedzenia.

– Czy mam iść z tobą do Modzelewskiego? – zapytała znowu. – Prawdę mówiąc, wolałabym urwać się dziś wcześniej…

Spojrzał na zegarek. Minęła siódma. Pracowali od rana. Wcześniej? Co to u niej znaczyło?

– Umówiłam się z siostrą.

– Masz siostrę? – zdziwił się, nim zdążył się zastanowić, jak głupio zabrzmi to pytanie. Myśl, że Ada może mieć rodzeństwo, wydała mu się absurdalna.

– Przyrodnią – wyjaśniła obojętnie. – Nie znamy się dobrze. To chcesz, żebym poszła z tobą? Jeśli tak, odwołam spotkanie.

– Nie – zaprzeczył trochę zbyt gwałtownie. – Zresztą nie wiem, czy zdążę, może tylko zadzwonię. Trzeba by wcześniej wypełnić kupę papierów. Nie powinienem wracać późno do domu. Olga prosiła… – dodał przepraszającym tonem.

– Tam są – wskazała metalowy regał.

– Co?

– Tam są wypełnione raporty.

Sawicki uśmiechnął się i zdjął z półki tekturową teczkę. Tym samym zaburzył chwiejną równowagę leżących za nią papierów i zrzucił stos kartek i plastikowe skoroszyty. Ada wyprostowała się gwałtownie. Patrzyła na notatniki bacznie, z przejęciem, jakby o czymś ważnym nagle jej przypomniały.

– Jak masz się spotkać z siostrą, to leć. Poradzę sobie.

– Nie. Nie o to chodzi. – wymamrotała. – Wydało mi się… Zresztą potem ci powiem… – Spojrzała na zegarek. – Rzeczywiście muszę już iść.

W pośpiechu zarzuciła kurtkę.

– Do jutra.

25

Sawicki wyjął z szuflady popielniczkę. Wypalił papierosa, nie dotykając go ani razu palcami. Wypluł peta i przyglądał się gasnącemu powoli żarowi. Myślał o Asłanie Demilowie i jego niechęci do Gruzinów. Do chrześcijan w ogóle. Wyprostował plecy i splótł ręce na karku. A on? Czy zgodziłby się na związek Tosi albo Hani z muzułmaninem? Przeszył go dreszcz. Musiał sam przed sobą przyznać, że byłby wściekły. Ale czy aż tak, żeby pchnąć własną córkę do kradzieży i morderstwa? Wolał nie odpowiadać na to pytanie. Zamknął teczkę i zadzwonił do biura Modzelewskiego, informując, że zjawi się w ciągu trzydziestu minut. Kiedy kuśtykał korytarzem w stronę klatki schodowej, natknął się na Wiktora dźwigającego pod pachą śpiwór i zwiniętą karimatę.

– Pomożesz mi znieść manele do samochodu? – zapytał. – Zostawiłem w pokoju przesłuchań torbę i nie chce mi się dwa razy ganiać po schodach. Wziąłem wolne, to szmaty akurat wypiorę.

Marcin zgodził się niechętnie. Noga porządnie mu dokuczała. Tępe, bolesne pulsowanie promieniowało w górę aż do kolana. Nie chciał jednak przyznać, że zdołał poważnie nadwyrężyć mięśnie w trakcie krótkiego biegu po parku, poszedł więc za Wiktorem do pokoju przesłuchań. W poniedziałek po południu nie spodziewali się zastać w nim nikogo, dlatego weszli bez pukania, nie zajrzawszy przez niewielkie okienko w drzwiach. Tymczasem przy biurku siedział Kapusta, a chwilę później

spod blatu wyłoniła się rozczochrana głowa Dagmary. Sawicki zatrzymał się zaskoczony i natychmiast odwrócił wzrok. Wiktor ruszył gniewnie do przodu.

– Wyjść – warknął.

Dagmara rzuciła mu przerażone spojrzenie i wybiegła, zapinając guziki bluzki.

– Ty też, zboczeńcu! – huknął na Kapustę. – Wynocha!

Kapusta oblał się rumieńcem.

– No, co się gapisz? – Wiktor ruszył w jego stronę. – Wypierdalaj stąd!

Twarz Kapusty z purpurowej zrobiła się śmiertelnie blada. Przez moment stał bez słowa. Sawicki widział, jak zaciska pięść, sprężony, w każdej chwili gotowy do ataku. Jednak już w następnym momencie roześmiał się jowialnie.

– No, idę, stary. – Klepnął Wiktora po ramieniu. – Już idę. Co ty się taki nerwowy zrobiłeś?

Zdjął kurtkę z oparcia krzesła i nie spiesząc się, ale też nie zwlekając, skierował się w stronę drzwi.

Sawicki sapnął ze zdumieniem.

– Nie lubię skurwysyna – oświadczył Wiktor, schylając się po worek leżący na podłodze obok sportowej torby. – Cholerny gnojek.

– Nie lubisz? Prawdę mówiąc, myślałem, że się przyjaźnicie.

Sawicki uświadomił sobie nagle, że od wielu miesięcy nie widział, żeby Wiktor rozmawiał z Kapustą, chociaż wcześniej większość spraw prowadzili tylko we dwóch. Nazywano ich nawet „partnerami”, które to przezwisko wzbudzało nieustanną radość całej komendy. Czyżby nie zauważył czegoś istotnego? Zmarszczył brwi. Najwyraźniej przestał zupełnie zwracać uwagę na to, co działo się w pracy.

– Pamiętasz tę dziwkę z Mokotowskiej? – zapytał Wiktor, ściszając głos. – Ilonę? Tę, którą dziewczyny znalazły zmasakrowaną po wizycie klienta? Straciła oko, trzy zęby i kawałek ucha. Teraz pracuje na kasie w Lidlu. I tak ma szczęście, że z taką twarzą ją przyjęli.

Sawicki skinął głową.

– No… A ona nigdy nie powiedziała, kto jej to zrobił. I reszta dziewczyn też nie chciała zeznawać. Tyle tylko że ja wiem, kto u niej był tamtej nocy. – Wiktor zacisnął szczęki. – Sam go, kurwa, na Mokotowską zaprowadziłem. A potem nic nie mogłem zrobić. Nie wiem, co mu odjebało. Musiał, kurwa, szału bojowego dostać. Damski bokser, kutas pierdolony. Chuj udaje teraz, że nie rozumie, o co chodzi. Ale on wie. On dobrze wie…

Zarzucił worek na ramię i kopniakiem otworzył drzwi. Do domu, pomyślał Sawicki, podnosząc z podłogi torbę. Chcę natychmiast do domu!

Piętnaście minut później wysiadł z samochodu przy skrzyżowaniu Królewskiej i Marszałkowskiej.

Biuro prokuratora Kazimierza Modzelewskiego znajdowało się w nowym budynku z fasadą wyłożoną szarą imitacją marmuru. Sawicki wcisnął guzik domofonu i wjechał na górę windą. Przeszedł przez wyłożony lastryko hol i zastukał do opatrzonych złotą plakietką drzwi.

– Proszę – usłyszał.

Nacisnął klamkę. Pokój był duży i jasno oświetlony. W kącie na lewo pod przeszkloną ścianą stały biurko, dwa fotele i stylizowana na antyk biblioteczka. Za biurkiem siedział gładko ogolony mężczyzna w ciemnym garniturze. Uśmiechnął się szeroko na widok Sawickiego.

– Proszę usiąść, komisarzu – powiedział, nie wstając. – Jakie wieści z frontu?

Sawicki spojrzał na niego bezbarwnym wzrokiem i wyjął teczkę.

– Tutaj są raporty z ostatnich dni – mruknął.

– Chyba nie oczekuje pan, że będę to wszystko czytał. Chciałbym po prostu usłyszeć, że sprawa została zamknięta.

Sawicki usiadł na brzegu krzesła. Zawsze gdy odwiedzał Modzelewskiego, czuł się jak niegrzeczny uczeń wezwany do dyrektora. Tyle tylko że dyrektor miał dziesięć lat mniej niż on. Na dodatek był kompletnym idiotą.

– Mamy zeznania świadków. – Westchnął i zaczął streszczać przebieg śledztwa.

Modzelewski słuchał niechętnie, bawiąc się długopisem. Kiedy Sawicki doszedł do przesłuchania Renaty Marek, zniecierpliwił się i przerwał:

– Wnioski, komisarzu! – wykrzyknął. – Jakie macie wnioski?

– No… Wnioski takie, że trzeba dalej prowadzić poszukiwania…

Prokurator odłożył długopis i splótł dłonie na brzuchu. Sawicki z zazdrością zauważył, że nie ma na nim ani grama tłuszczu. Biała koszula leżała płasko jak na drewnianym manekinie.

– To jest bardzo prosta sprawa na mój gust. Rabunek. Od razu tak mówiłem, a wy daliście uciec tej Czeczence. To oburzające. I po czterech dniach pan tu przychodzi z pustymi rękami. Po co? Żeby psuć statystyki – odpowiedział sam sobie z nieukrywaną satysfakcją.

– To nie jest takie proste, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. – Rozgniewał się. – Łatwo oceniać sprawę z perspektywy biurka i stołka!

Uśmiech Modzelewskiego zgasł jak zdmuchnięta świeca. Zmrużył oczy, wyprostował się w fotelu i podał Sawickiemu popołudniową bulwarówkę, otwartą na zdjęciu kamienicy Demilowów. Na pierwszym planie widać było numer domu i nazwę ulicy. Czerwony napis pod zdjęciem głosił: „Uchodźcy winni morderstwa polskiej dziewczyny. Nieudolna policja pozwala zbiec przestępcom”.

– Nie mam pojęcia – powiedział zimno – nie mam pojęcia, jak te informacje dotarły do prasy, jestem natomiast przekonany, że nie wyciekły z mojego biura. Nie życzę sobie, żeby taka sytuacja się powtórzyła.

Umilkł i wrzucił długopis do szuflady biurka.

– Wczoraj dzwonił do mnie ktoś z ministerstwa – zaczął już ciszej. – Wygląda na to, że pewnej osobie na górze zależy, żeby jak najszybciej zakończyć sprawę tej… no…

– Wagner – podpowiedział Sawicki.

– Właśnie. Wagner. Nie wiem, o co chodzi. Może jej rodzice mają jakichś znajomych na wysokich stołkach. W każdym razie jesteście pod lupą. Co gorsza, ja razem z wami. A to oznacza, komisarzu – wypuścił ze świstem powietrze – że macie przestać obijać się w tym waszym pałacu, zebrać dupę w troki i zacząć pracować.

Sawicki zatrząsł się z wściekłości.

– Mamy ponad dwadzieścia zaległych spraw i tylko siedmiu operacyjnych. Raporty wypełniamy ręcznie, brakuje komputerów, papieru i tonera do drukarek, samochodami służbowymi strach jeździć, bo się rozpadają… Dwadzieścia spraw, pan wybaczy, ważniejszych niż śmierć jakiejś laski na Mokotowie. Są zorganizowane szajki narkotykowe, przemyt, handel żywym towarem, a pan… – Urwał, bo zabrakło mu tchu.

– Dam znać naczelnikowi Zarębie, że sprawa ma priorytet.

– Co? Priorytet? Pan chyba żartuje… – Złość odebrała Sawickiemu mowę.

– Priorytet – powtórzył prokurator. – Od jutra. Zwołajcie zebranie czy co tam uważacie za konieczne i wszyscy się do tego przyłóżcie. Coś jeszcze? – Na twarzy prokuratora pojawił się znowu promienny uśmiech.

– Tak – wymamrotał Sawicki. – Potrzebuję nakazu rewizji mieszkania Gregora Okruszwilego.

– To proszę sobie wszystko na korytarzu wypełnić. A potem zajrzeć tu do mnie, to podpiszę. Nie ma sprawy. – Modzelewski skinął dobrotliwie głową, jakby właśnie wykazał się niezwykłą uprzejmością.

Miasto kłębiło się i przewalało w wilgotnym zmierzchu, pełne jaskrawych świateł, nieświeżych zapachów i napastliwych dźwięków. Klekotały tramwaje, trąbiły samochody, chodnikami ciągnął tłum przechodniów, jak zastępy nakręcanych żołnierzyków maszerujących w zgodnym szyku. Nad tym ulicznym niepokojem pomiędzy szczytami wieżowców sunęła wezbrana sadzą mgła, niczym olbrzymie cielsko widmowego stwora. Dochodziła ósma. Sawicki zdołał w końcu wydostać się z korka na Trasie Łazienkowskiej. Skręcił w Ostrobramską, wjechał na parking i zatrzymał samochód przed blokiem. Miniony dzień wywołał w jego głowie taki zamęt, że chciał posiedzieć chwilę w samotności i uspokoić bicie serca, nim wejdzie do domu. Wyłączył silnik. Oparł głowę o szybę i zamknął oczy. Nie upłynęła jednak minuta, kiedy tuż przy swojej twarzy zobaczył rozpłaszczony nos i zaczerwienione policzki parkingowego stróża. Podskoczył i otworzył drzwi.

– Co pan?! – zawołał.

– Pan tak siedzi, siedzi, że musiałem sprawdzić – powiedział starszy mężczyzna, potulnie odsuwając się od szyby. – Jedna moja kuzynka – tłumaczył się – znalazła ostatnio trupa w samochodzie przed własnym domem. Normalnie – dodał, przytupując i zabijając rękami. – Wyglądał, jakby zasnął nad kierownicą. A nie żył. Cały dzień tak przesiedział, to się w końcu zorientowała, że coś z nim nie tak, i na policję zadzwoniła. A policja co? – zadał pytanie teatralnym szeptem.

– Co?

– Nic, oczywiście. Oni nigdy nic nie robią! – wykrzyknął triumfalnie.

Sawicki zazgrzytał zębami, bez słowa wyminął stróża i pokonując ból nogi, ruszył zdecydowanym krokiem w stronę domu. Deszcz zmienił się w mokry, lepki śnieg. Nic nie wskazywało na to, żeby pogoda miała się poprawić. W zeszłym roku o tej porze kwitły już krokusy, a drzewa pokryły się świeżą, delikatną zielenią. Przypomniał sobie, że w połowie marca pojechał z dziewczynkami nad Wisłę. Karmili kaczki, Hania zrywała bazie. Grzało ciepłe wiosenne słońce… Wszedł na klatkę, przystanął i spojrzał przez szybę na wirujące wokół latarni płatki śniegu. Czuł się wyczerpany. Słońce, pomyślał, czy jeszcze kiedyś zaświeci? Miał ochotę tupać nogami i płakać ze złości jak rozgoryczony dzieciak. Ale zaraz przyszło mu do głowy, że na górze czeka Olga z kolacją. Nad stołem w kuchni pali się jasno lampa, dziewczynki szykują się do spania, a w lodówce stoi schłodzone piwo. I przepełniony tkliwą wdzięcznością do swojej rodziny, nie zwlekając dłużej, wbiegł na schody.

– Nie ma obiadu? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nie ma.

Olga siedziała przed telewizorem. Miała na sobie czarną wyjściową sukienkę i cienkie rajstopy z oczkiem biegnącym przez całą długość lewej nogi. Tusz rozmazał się i spłynął po jej policzku. Wyglądała, jakby przed chwilą się obudziła. Albo jakby płakała, przemknęło mu przez myśl.

– Jak to nie ma? – powtórzył bez sensu.

– Nie ma. Wczoraj był. Tylko akurat nie przyszedłeś.

– Wracam po całym dniu z pracy i jestem głodny – rozzłościł się.

– Ja też pracuję – odpowiedziała spokojnie, patrząc w ekran telewizora.

– Krócej. Inaczej. Wracasz do domu o czwartej i nie masz nic do roboty, jak tylko zająć się dziećmi i coś ugotować…

Nagle odwróciła głowę i spojrzała na niego z takim żalem i smutkiem, że zmieszał się i umilkł.

– Właśnie, dzieci. A co one jadły? – dopytywał się już spokojniej.

– Jadły u dziadka.

– U dziadka?

– U mojego ojca. Zostawiłam je tam. Musiałam coś załatwić na mieście.

– Na mieście? Załatwić? Co musiałaś załatwić?

– Nieważne.

– Jak to nieważne?! – krzyknął. – Co to znaczy nieważne?

– Nie musimy chyba kłócić się przy dziewczynkach? – Olga wstała i wyszła z pokoju.

Podążył za nią do kuchni.

– Słuchaj! – zawołał w stronę jej pleców. – Zapierdalam przez cały dzień. Nie mam na nic czasu. Przychodzę do domu i spodziewam się, że dostanę coś do jedzenia. A jeżeli nie, to przynajmniej jakieś wyjaśnienie. Dlaczego tu jest taki burdel? Przestałaś zmywać – wskazał pełny zlew – i prać! Z gotowania, rozumiem, też zrezygnowałaś?!

Olga usiadła powoli i uniosła głowę, jakby chciała mu coś powiedzieć, ale zawahała się i w ostatnim momencie umilkła.

– Odpowiesz mi?!

– Jesteś ciągle wściekły.

– Słucham?

– Jesteś w furii. Bez przerwy. Wszystko cię irytuje. Ciskasz się, miotasz…

Chciał jej przerwać, ale uniosła ostrzegawczo dłoń.

– Wracasz do domu późno. Jesz, pijesz piwo i walisz się do łóżka. Tyle. To cała twoja obecność tutaj.

– Nie wierzę – powiedział jakby do siebie. – Nie mogę uwierzyć w to, co mówisz! Kto zapomniał o urodzinach własnej córki? Chyba nie ja? Kto

się zajmował domem, kiedy ty spałaś? Już pytałem, czy coś cię boli. Jak jesteś chora, to mi powiedz! Idź w końcu do lekarza!

Olga zwiesiła ramiona. Siedziała tuż obok, ale zdawała się nie słyszeć, co do niej mówi. Przekrzywiła głowę na lewe ramię – bezwładna, bezmyślna kukiełka. W pewnym momencie sięgnęła po kolorowe czasopismo i zaczęła je mechanicznie kartkować. Rzucił się i wyrwał jej gazetę. Miał nadzieję, że wyprowadzi ją tym z równowagi, ale ona ledwie drgnęła i spokojnie złożyła ręce na blacie stołu. Uświadomił sobie nagle, że ostatnio często widuje ją w tym dziwnym, apatycznym stanie, senną, daleką, niby odgrodzoną grubą szybą, przez którą nie docierają żadne głosy zewnętrznego świata.

– W zamrażalniku jest pizza – powiedziała cicho. – Proszę, odgrzej sobie. Ja położę dziewczynki.

Wstała. Teraz dopiero zauważył, jak bardzo schudła. Nie wyglądała zresztą źle – ręce jej wyszczuplały, brzuch zrobił się płaski, piersi mieściły się w końcu w starym staniku. Złość opuściła go niespodziewanie, a jej miejsce zajęło płaczliwe zmęczenie.

– Olga… Oluś… – jęknął, natychmiast skłonny przepraszać za wcześniejszą kłótnię, i chwycił jej dłoń. – Boli mnie noga…

Tak bardzo chciał, żeby go przytuliła. Żeby żałowała go teraz i pocieszała, głaskała po głowie jak małe dziecko. Chciał opowiedzieć jej o porannym joggingu, uchodźcach, o Dagmarze i Kapuście, o Modzelewskim, o śniegu i błocie…

– Dobrze, już dobrze. – Poklepała go po policzku. – Trzeba zrobić kompres.

Westchnął, wstał powoli i wyjął pizzę z zamrażalnika. Jedząc, patrzył bezmyślnie na pożółkły szkic przedstawiający otyłą gospodynię w kraciastym fartuchu, unoszącą w radosnym geście tacę z ciastkami.

Potem przeniósł wzrok na ciemne okno. Wiedział, że Olga ma rację. Był ciągle wściekły. Złość narastała w nim przez wiele miesięcy, żeby eksplodować kilka dni temu, wraz z pojawieniem się Ady i bezsensownym, niekończącym się śledztwem. Zacisnął pieści. Tylko dlaczego Olga nie może go zrozumieć? Rozżalił się znowu. Dlaczego właśnie teraz, kiedy ledwo nadąża z ogarnianiem rzeczywistości, kiedy haruje jak wół, goni resztą sił, dlaczego zamiast kochać go i wspierać, zamyka się zimna i niedostępna w swoim pełnym urazy świecie? Potrzebował jej, potrzebował rozpaczliwie, żeby się nim zajęła. Kto mógłby mu wyrzucać, że przez chwilę skupił się tylko na sobie, skoro tak ciężko pracował? A może ona jest rzeczywiście chora?, przemknęło mu przez myśl. Może nie chce go martwić, chodzi w tajemnicy do lekarzy, zostawiając dzieci u dziadków? Dlaczego nic mu nie mówi? Jest taka smutna, taka nieobecna… I kiedy to się zaczęło?, próbował sobie przypomnieć, ale poczuł znowu ćmiący ból w lewej łydce, więc wstał chwiejnie, pokuśtykał do przedpokoju i krzyknął w stronę zamkniętych drzwi łazienki:

– Olga! Oooolga, zrobisz mi w końcu ten kompres?

26

Ada dotarła do Press Enter kilka minut po ósmej. Przez zaparowane szyby padał na ulicę ciepły snop światła. Barman w podkoszulku odsłaniającym tatuowane ramiona rozmawiał z opartym o kontuar klientem. Wymacała w kieszeni portfel, pchnęła drzwi i weszła do ciepłego wnętrza. Kasia już na nią czekała. Siedziała w kącie sali. Podciągnęła kolana pod brodę, głowę oparła na dłoni i zwinięta w pozycji klucza wiolinowego przeglądała w skupieniu plik zadrukowanych kartek. Na blacie obok pustej filiżanki i porozrzucanych chusteczek do nosa leżała nadgryziona kajzerka. Ada stanęła w progu i wpatrywała się w przyrodnią siostrę. Nie były podobne. Siedząca przy stoliku kobieta miała bladą, niezdrową cerę, zmysłowe usta, ogromne oczy i równie ogromny nos, który wyrastał na środku twarzy jak wieża z kości słoniowej. Była w jej powierzchowności jakaś sprzeczność: łagodność i zdecydowanie, wielkoduszność i małostkowość zarazem. Ada zastanawiała się, czy tak właśnie wyglądała matka: postawna blondynka, ani ładna, ani oryginalna, a jednak zwracająca uwagę czymś, co nadawało jej twarzy wyraz nieskrępowanej, prowokującej rozwiązłości. Spróbowała sięgnąć głębiej, do wnętrza siostry, chociaż wiedziała z doświadczenia, że jest skazana na porażkę. Kasia potrafiła ją powstrzymać. Za każdym razem dawała zdecydowany, bezwzględny odpór. Ada nie mogła jej przejrzeć ani zrozumieć. I nagle coś – drobna zmiana w powietrzu, szczęk naczyń

dochodzący z kuchni, widok przechodzącego mężczyzny za szybą czy szmer rozmowy – spowodowało, że Kasia uniosła głowę.

– A, jesteś – stwierdziła obojętnie. – Masz to dla mnie?

Ada wyjęła z torebki kopertę i podała siostrze.

– Miałam nadzieję, że się rozmyślisz – stropiła się tamta. – Trochę mi głupio…

Sprawiała wrażenie zawiedzionej.

Ada odsunęła zużyte chusteczki i usiadła obok. Jej pełna sprzeczności siostra wysunęła ostry podbródek zdradzający nieugiętą wolę i zmrużyła fiołkowe oczy. Widziały się wcześniej zaledwie trzykrotnie. Po raz pierwszy na pogrzebie. Potem u prawnika, gdzie Ada zrzekła się wszelkich roszczeń związanych z testamentem matki. W końcu, tak jak dziś, w jednej z warszawskich kawiarni. Nagle ogarnęła ją fala gorąca i onieśmielenia. Przy żadnej innej osobie na świecie nie doświadczała podobnych emocji.

– Jesteś podobna do matki? – zapytała.

– Nie – padła krótka odpowiedź. – Do ojca. Tak jak ty do swojego.

– Masz jej zdjęcia?

– Matki? Mam. Ale nie przy sobie. Nie podejrzewasz chyba, że noszę w portfelu portrecik nieboszczki?

– Pokażesz mi? Kiedy odeszła, ojciec zniszczył wszystkie pamiątki, fotografie również. W ogóle jej nie pamiętam.

– Jasne, kiedyś ci pokażę. Trzeba było przyjść na stypę. Miałabyś zdjęcie na pół ściany.

– Lubiłaś ją?

Siostra rzuciła jej zdumione spojrzenie.

– Matkę? Nie. Ty też byś za nią nie przepadała.

– Dlaczego?

– Była złą osobą. I wcale nie chodzi o to, że zostawiła ciebie i twojego ojca – uściśliła pospiesznie. – Za to ją w sumie podziwiam. Pomyśl, co taka decyzja oznaczała w latach siedemdziesiątych. Przecież ona podpisała na siebie wyrok – mówiła szybko, gwałtownie, jakby cały czas obawiała się, że Ada jej przerwie. – Nasza matka została na zawsze wykluczona, okrzyknięta kurwą, zdzirą, potworem. Jej rodzice zerwali z nią kontakty. Wiedziała, że tak będzie, a jednak nie dała się zastraszyć. Miała wystarczająco dużo siły, żeby pójść swoją drogą i na nikogo się nie oglądać.

Ada błądziła wzrokiem po ścianie, jakby szukała w niej oparcia. Zdawała sobie sprawę, że słowa siostry powinny ją zranić, a przynajmniej zasmucić. Nie czuła jednak nic poza narastającym zainteresowaniem, którego trochę się wstydziła.

– A potem – ciągnęła Kasia – potem zmieniła się w zgorzkniałą, wiecznie niezadowoloną kurę domową, która pod koniec życia uznała, że konwenanse to jedyna słuszna siła kierująca światem. Bez przerwy mi powtarzała, że odejście od twojego ojca to był grzech i niebo pokarało ją za to złym dzieckiem. Czyli mną – doprecyzowała, wycierając nos.

– Powiedziała ci, dlaczego od nas odeszła?

– Nie. A dlaczego? – Kasia najwyraźniej miała poczucie, że z powodów grzecznościowych powinna zadać to pytanie. Nie starczyło jej jednak cierpliwości, aby wysłuchać odpowiedzi. – Naprawdę żałuję – skrzywiła się – żałuję, że nie odważyła się po raz drugi porzucić rodziny. Może wtedy moja młodość wyglądałaby inaczej. – Właściwym sobie, prędkim ruchem odgarnęła włosy z czoła.

– Ale co ona ci zrobiła? – Ada nie potrafiła ukryć ciekawości. I popełniła błąd. Nim zdążyła umilknąć, zobaczyła, jak wokół ust

i podbródka Kasi pojawia się cień. Jej twarz stężała w czujnym wyrazie tropionego zwierzęcia.

– Nie chcę o tym mówić. I nie będę – oświadczyła. – Matka nie żyje, a ja mam tę sprawę przepracowaną i nie widzę powodu, żeby do niej wracać. Nie życzę sobie.

Drzwi zostały zamknięte, kontakt się urwał.

– Mam ciekawsze zdjęcia do oglądania. – Wyjęła iPhone'a i wyświetliła fotografię przedstawiającą ostatnią kondygnację budynku. – Co widzisz? – zapytała.

– Balkon – odpowiedziała niepewnie Ada.

– Otóż to. Balkon. A na nim?… – zawiesiła znacząco głos.

– Mokre prześcieradło?

– Prześcieradło? Co z ciebie za policjantka? Kamera! Wycelowana dokładnie w moje okna. – Powiększyła zdjęcie. – Rozumiesz? Człowiek czuje się swobodnie we własnym domu, a tu się okazuje, że od miesięcy jest filmowany. Czy wiesz, do kogo należy to mieszkanie?

Ada zaprzeczyła ruchem głowy.

– Do Kościoła. Cała kondygnacja budynku jest własnością Kościoła katolickiego i katole mnie inwigilują!

– To można zgłosić.

– Gdzie?

– Wszystko ci wyjaśnię, ale najpierw pójdę zamówić kawę – przerwała Ada. – Napijesz się czegoś?

– Owszem. Piwa. Musisz mi je niestety postawić – dodała z lekką konsternacją w głosie. – Nie mam przy sobie ani grosza. To znaczy oprócz pieniędzy, które mi pożyczyłaś, ale dokładnie tyle potrzebuję na zapłacenie rachunków.

A więc tak właśnie rozmawiają ze sobą normalni ludzie, myślała Ada, zamawiając piwo i duże latte. Ślizgają się po powierzchni drugiego człowieka, pełzną po omacku, nie mając pojęcia, dokąd zmierzają. Muszą dawać sobie nawzajem znaki, prowadzić jeden drugiego, zdezorientowani i zagubieni jak ślepcy na obrazie Bruegla. Jakież to smutne i jakież wyzwalające zarazem. Nic o niej nie wiem. Nie mam pojęcia, kim jest moja siostra… Kiedy wróciła do stolika, Kasia zrobiła teatralnie nieszczęśliwą minę.

– Oddam ci pieniądze. Właśnie tłumaczę tekst dla magazynu „Hello Zdrowie”. Naprawdę nie pojmuję, jak ktoś w tym kraju mógł w ten sposób nazwać miesięcznik: „Hell-o-Zdrowie”. – Ułożyła palce prawej dłoni w satanistyczny gest. – Ci ludzie nie wiedzą, co czynią. W każdym razie – ciągnęła, nie dopuszczając Ady do słowa – w każdym razie tekst dotyczy lady Richardson, która wyhodowała bratki z fiołków. Przyznam szczerze, nie mam pojęcia, po co to zrobiła, ale dostanę za tłumaczenie całkiem przyzwoitą kasę… Znowu przestałam panować nad własnym życiem, zwłaszcza nad jego stroną finansową – dodała płaczliwie. – Myślę poważnie o terapii.

– Tak?

– Tak – przyznała z mocą, jakby właśnie podjęła trudną decyzję. – Ale nieważne – ucięła prędko, całkowicie zmieniając ton głosu i wyraz twarzy. Śledziła wzrokiem barmana, który wycierał stoliki papierowym ręcznikiem. – Ładny. – Uśmiechnęła się przelotnie. – Uzależniłam się od seksu – dodała natychmiast ze skruchą w głosie. – Stanowię smutny zlepek nałogów i niezaradności życiowej.

Ada dawno się zorientowała, że Kasia jest nieuporządkowana. Gorączkowa i dziwna. Dziwniejsza niż ona sama. Niełatwo się z nią rozmawiało. Prezentowała światu zdumiewającą mieszaninę

ekshibicjonizmu i skrytości, w której Ada gubiła się jak w zawiłym, pełnym zasadzek labiryncie. Rozpoczynała intymną rozmowę, żeby przerwać ją w najbardziej istotnym momencie, jakby wyciągała dłoń pełnym ufności gestem i natychmiast cofała ją z odrazą, ni to zirytowana, ni to znudzona rozmówcą. Nie ulegało wątpliwości, że interesuje ją wyłącznie własna osoba, a jednak ów bezgraniczny i nieskrywany egocentryzm miał w sobie coś z dziecięcej naiwności, za którą trudno było się gniewać. Kasia miała wszystkie wady i zalety, których Adzie akurat brakowało.

– Nie jestem taka zawsze – Kasia zaprotestowała, jakby czytała w jej myślach. – I idę do psychologa, już ci to mówiłam. A teraz porozmawiajmy o bratkach, w końcu zdawałaś maturę z biologii, chciałaś iść na medycynę. Możesz mi powiedzieć, dlaczego zmieniłaś zdanie? Zresztą nieważne, nie chcę tego wiedzieć. – Po raz kolejny uniosła chusteczkę do twarzy. – Powiedz mi przynajmniej, czy jak się zasadzi pelargonie obok róż, to istnieje szansa, że po jakimś czasie wyrosną różo-pelargonie? Jak się nad tym zastanowić, to mamy do czynienia z niezwykle fascynującym tematem. Wypożyczyłam z BUW-u *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego*. Postanowiłam, że zrozumiem tę książkę.

Ada westchnęła z rezygnacją.

– Nie wyrosną – odpowiedziała i napiła się kawy.

Wokół ust i podbródka Kasi znowu pojawił się cień, ale oczy pozostały łagodne i ciekawe.

– A jak się pozbyć kamery? – błyskawicznie zmieniła temat.

– Jakiej kamery?

– Kamery, która mnie śledzi. Przed chwilą pokazywałam ci zdjęcie, czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię?

– Jeśli kamera działa, jest to nielegalne – odpowiedziała poważnie Ada. – Zresztą nawet na atrapę trzeba mieć pozwolenie. Najlepiej zgłoś sprawę

w gminie.

Kasia ucichła i zdawała się uważnie słuchać.

– Możesz zacząć po prostu w spółdzielni, oni skierują cię do odpowiedniego urzędu – tłumaczyła Ada.

Spotkałyśmy się, pomyślała jednocześnie, żeby stworzyć coś wspólnego. Liczę na to, że moja niezrównoważona siostra nauczy mnie porozumiewać się z ludźmi, budować normalną, szczerą relację. Nauczy mnie czuć. Jeśli mi tego nie wytłumaczy jedyna osoba, która potrafi zamknąć przede mną swój umysł i wyrzucić mnie z własnych myśli, to nikt inny mi nie pomoże… W tym momencie barman odsunął ze zgrzytem krzesło. Kasia potrąciła szklankę. Patrzyła bez ruchu, jak toczy się w stronę krawędzi stolika. Ada złapała ją w locie.

– Jestem bezwolna, beznadziejna i na dodatek strachliwa – westchnęła Kasia. – A ty zapewne nie masz czasu, żeby iść do gminy i załatwić za mnie tę przykrą sprawę?

– Wystarczy, że znajdziesz w necie telefon i do nich zadzwonisz – odpowiedziała sucho.

Kasia wstała, przeciągnęła się i poszła do toalety. Ada została sama. Bistro opustoszało. Barman układał czasopisma na stojaku obok drzwi. Z góry sączyło się senne, żółte światło. Na parapecie stał gliniany wazonik ze sztucznym kwiatkiem. Pomyślała o Zofii Wagner, która nigdy tu nie przychodziła. Może pijała kawę w sieciówce po drugiej stronie skwerku? A może w ogóle unikała kofeiny? Kim była? Dlaczego zginęła? Kolejna zbrodnia, niedorzeczna i absurdalna, niewinna dziewczyna straciła życie dla czterech tysięcy złotych. Nawet jeśli złapią mordercę, świat się przez to nie zmieni. Pozostanie równie brutalny i smutny, przepełniony aktami bezsensownej agresji. Spróbowała wzbudzić w sobie współczucie, złość, smutek, wykrzesać jakiekolwiek emocje. Ale nawet wspomnienie sinej,

opuchniętej twarzy Zofii nie zdołało jej poruszyć. Coś zimnego i oślizgłego wypełzło z cienia, wniknęło w nią i trzepotało się w środku jak uwięziona w sieci ryba.

– Słuchaj – zwróciła się do Kasi, kiedy ta wróciła z łazienki. – Muszę wyjść na piętnaście minut. Zamówiłam jeszcze jedno piwo. Niedługo wrócę i odwiozę cię do domu.

Kasia przechyliła głowę na prawe ramię.

– Dobrze – zgodziła się, nie pytając, dokąd wybiera się siostra, jakby w najmniejszym stopniu jej to nie obchodziło. – Poczytam o bratkach. Zamykają dopiero o dziesiątej. Tylko się nie spóźnij.

Ów ostentacyjny brak zainteresowania sprawił Adzie przykrość.

W mieszkaniu Zofii Wagner Ada zdjęła kurtkę, zsunęła buty i ustawiła je starannie na półce. Tym razem wiedziała, czego szuka. Weszła do sypialni. Nad łóżkiem wisiała czarno-biała grafika przedstawiająca kwitnącą jabłoń. Omiotła wzrokiem znane sprzęty: fotel, niewielki stolik, nocną lampkę i tekturowe pudełko na drobiazgi. Na regale po prawej stronie leżały kolorowe skoroszyty. Jeszcze w piątek rano stały równym szeregiem, ułożone od najcieplejszych do najzimniejszych odcieni okładek. Rozglądając się po mieszkaniu, zwróciła na nie uwagę. Lubiła porządek i sama tak właśnie by je zorganizowała, gdyby do niej należały. Teraz jednak niebieski segregator tkwił wsunięty pomiędzy żółty a czerwony. Musiała podświadomie odnotować tę zmianę w sobotę wieczorem, dlatego w niedzielę ogarnął ją niepokój. Nie potrafiła jednak zrozumieć, co ją dręczy, dopóki Sawicki nie zrzucił notatników z przeładowanej półki w komendzie. Wtedy stanęły jej przed oczami plastikowe grzbiety ułożone w tęczę. Tylko jeden kolor nie pasował. Między piątkiem rano a sobotą wieczorem ktoś obcy wtargnął do mieszkania Zofii Wagner. Grzebał w jej

rzeczach i przestawił segregatory. A jeśli morderca wrócił i szperał w mieszkaniu, oznaczało to – Adę przeszył zimny dreszcz – to oznaczało, że wcześniej nie znalazł tego, czego szukał. Na pewno nie ryzykowałby powrotu na miejsce zbrodni dla czterech tysięcy złotych. A to z kolei mogłoby sugerować, że śledztwo podąża fałszywym tropem. Pogubili się w zawiłych, krzyżujących się śladach. Przeoczyli niezmiernie istotny element. Ada zdawała sobie sprawę, że nie może rozmawiać o tym z Sawickim ani z żadnym z pozostałych policjantów. Nie teraz, kiedy cała uwaga związana z dochodzeniem skupiała się na uchodźcach. Gdyby zwierzyła się ze swoich podejrzeń, w najlepszym wypadku zlekceważono by ją albo, co bardziej prawdopodobne – wyśmiano. Przestawiony skoroszyt nie stanowił żadnego dowodu. Co więcej, nie mogła wykluczyć, że własna pamięć spłatała jej figla. Przez cały wieczór próbowała więc o tym zapomnieć i skupić się na rozmowie z siostrą, w końcu jednak uczucie niepokoju przeważyło. Postanowiła jeszcze raz zajrzeć do mieszkania Zofii. Przeszła przez pokój, zdjęła segregatory z regału i położyła na nocnym stoliku. Usiadła po turecku. Wzięła do ręki niebieski. Znalazła w nim kilka zdjęć: fotografie z wakacji nad morzem, obóz harcerski w górach, dzieci ustawione sztywno na szkolnym dziedzińcu, kilka starych pocztówek: kościół w górach, jezioro i w końcu wydrukowane na cienkim papierze zdjęcie znajomego mężczyzny o nieregularnych rysach. Ada uniosła kartkę do światła. Karol Zalewski patrzył na nią poważnie, marszcząc gęste brwi. Odłożyła skoroszyt. Pobieżnie przejrzała kolejne: pomarańczowy, żółty, seledynowy, zielony, granatowy i srebrny. Część zawierała zapiski z wykładów o architekturze wnętrz, część – rachunki z okresu remontu mieszkania. W dwóch kolejnych Zofia zebrała przepisy na potrawy ze zdrowych, nieprzetworzonych produktów: wypieki z mąki orkiszowej, zupy na szczęśliwej marchewce i kasze życia od

mnichów buddyjskich. Nie zawierały nic interesującego. Nic, co mogłoby rozjaśnić tajemniczy mrok osnuwający sprawę morderstwa. Ukryła twarz w dłoniach i przez chwilę siedziała bez ruchu. W końcu wstała i odstawiła skoroszyty na półkę. Wszystkie z wyjątkiem niebieskiego, który schowała do torby. Wyszła z mieszkania i starannie zamknęła drzwi. Na klatce schodowej unosił się chłodny zapach wilgotnego tynku. Źle przykręcona poręcz chwiała się lekko przy każdym dotknięciu. Ada schodziła powoli, nie zapalając światła. Czuła się zmęczona długim dniem, napięciem, które narosło pomiędzy nią a Sawickim, i chaotyczną, bezładną gadaniną Kasi. W domu czekał Filip-Oleńka. Nagle zapragnęła go zobaczyć.

– Hell-o-kitty – powiedziała do siebie i pchnęła drzwi prowadzące na podwórko.

W bistro zastała siostrę pogrążoną w intymnej konwersacji z barmanem. Stojąc w drzwiach, zauważyła jej ruch, inny, bardziej miękki i jakby natarczywy, nieomal wyczuła intensywny zapach potu, usłyszała przyspieszony rytm oddechu… Kasia odchyliła głowę i lekko uniosła górną wargę, odsłaniając zęby. Była w tym mimowolnym geście kpina i zapowiedź namiętności jednocześnie. Ada spuściła wzrok. Przez cały wieczór miała poczucie, że łączy ją z siostrą nić, drżąca i delikatna, wyprzedzająca pojawienie się prawdziwej więzi, ale ważna i w pełni rzeczywista. Teraz nić została zerwana.

– Zostanę tu jeszcze. – Kasia rzuciła jej krótkie, obojętne spojrzenie. – Nie musisz mnie odwozić.

Ada odwróciła się bez słowa. Wracała na Żoliborz z gorzkim uczuciem porażki, które tyleż ją uwierało, co niezmiernie dziwiło.

27

Obudziła się w środku nocy. Leżała na kanapie. Prawa ręka, bezwładna i drętwa, ciążyła ku podłodze, głowa zsunęła się z oparcia i zatrzymała w niewygodnej pozycji na drewnianym podłokietniku. Bolała ją nienaturalnie wygięta szyja. Obok na stoliku paliła się lampka. Pod nią leżał niebieski skoroszyt. Musiała zasnąć, przeglądając po raz kolejny jego zawartość. Z trudem rozprostowała plecy i wtedy odniosła wrażenie, że coś się zmieniło. Rozejrzała się uważnie, ale pokój wyglądał tak jak zawsze: schludny i obojętny, urządzony z gustem, przyjemny, przestronny i bezosobowy. Przeciąg uniósł jasną zasłonę. Po szybie spływały drobne krople. Obserwowała ich nerwowy ruch, próbując pozbyć się uczucia trwogi, jaka ją ogarnęła. Krople ześlizgiwały się w dół pospiesznym, nieregularnym zygzakiem, a napięcie wewnątrz jej ciała wciąż narastało. Co takiego mogło się zmienić w jej własnym mieszkaniu? Znowu ogarnęła wzrokiem pomieszczenie: półki z książkami, biurko, fotel, lustro i malowaną na zielono skrzynię. Zatrzymała spojrzenie na stoliku i drgnęła. Tuż obok skoroszytu leżało zdjęcie Karola Zalewskiego. Pod fotografią ktoś, być może sama Zofia, napisał jaskrawym fioletowym atramentem: „Są miejsca, z których już nie można wrócić”. W tym momencie zrozumiała, co ją niepokoi – zniknął Filip-Oleńka. Nie spał jak zawsze skulony na jej piersi, nie było go też nigdzie w pokoju, choć drzwi zostały zamknięte.

– Kici, kici – spróbowała zawołać.

Miała suche, obolałe gardło. Nie wydobył się z niego żaden dźwięk. Chciała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Wiedziała, że musi się podnieść. Wiedziała, że musi odnaleźć kota. Był gdzieś w głębi mieszkania. Groziło mu niebezpieczeństwo. Schwyciła prawą nogę i opuściła ją na podłogę. To samo zrobiła z lewą. Oparła dłonie na stoliku, uniosła się i rozpaczliwie powoli ruszyła przed siebie. Brnęła krok za krokiem, koncentrując wysiłek na unoszeniu stóp, które stały się ciężkie i bezwładne. Kiedy w końcu dotarła do drzwi, z największą ostrożnością otworzyła zasuwkę. Zamek szczęknął i odskoczył z głuchym trzaskiem. W przedpokoju ciężar, jaki czuła w nogach, zniknął. Szła szybciej, skulona, tuż przy ścianie. Przed sobą widziała padający z kuchni snop światła. Stawiała lekkie, delikatne kroki, uważając, by podłoga nie zaskrzypiała. Wokół panowała absolutna cisza. Na palcach podeszła pod drzwi, pchnęła je z całych sił, gotując się do zadania ciosu, i zatrzymała się w progu, niepewna, co robić dalej. Przy stole siedziała kobieta, jasne włosy w nieładzie opadły jej na twarz. Jedną dłonią podpierała czoło, drugą gładziła Filipa-Oleńkę, który mruczał zwinięty na jej kolanach.

– Kasia? Co tu robisz? – Ada zapytała ostro i ruszyła w stronę stołu.

Była zła. Jako ona śmie?, myślała. Jak może być tak zuchwała, żeby przychodzić tu nieproszona i bezczelnie przywłaszczać sobie cudzego kota?

Schwyciła siostrę za ramię. Kobieta uniosła głowę i Ada ujrzała otoczoną jasnymi włosami własną twarz z wyrazem nieskończonego zdumienia. Był to najbardziej wstrząsający, najbardziej upiorny widok, jaki kiedykolwiek przyszło jej oglądać. Ciała pomordowanych ofiar, sekcje w prosektorium czy umierający ludzie w szpitalu, w którym kiedyś pracowała – wszystko to nie przerażało jej nawet w części tak bardzo jak własne, zaskoczone oczy. Krzyknęła i obudziła się na kanapie w dużym pokoju. Nocna lampka rzucała przyćmione, łagodne światło. Przeciąg

podrywał zasłonę, a z przedpokoju dochodził ostry, uporczywy głos dzwonka. Poderwała się, pobiegła do drzwi wejściowych i odsunęła zasuwę. W progu stała jej młodsza siostra.

– Naprawdę myślałaś, że się mnie pozbędziesz? – Uśmiechnęła się brzydko. – Ta twarz jest twoja – powiedziała, przekraczając próg i wyciągając szyję, jakby chciała podać jej własną głowę.

Ada poczuła lodowate ukłucie strachu i otworzyła oczy. Tuż obok paliła się nocna lampka. Niebieski skoroszyt zsunął się na podłogę. Na stoliku zostało tylko zdjęcie Karola Zalewskiego. Fotografia nie była podpisana. Filip-Oleńka usiadł na poduszce i przeciągnął się leniwie.

Ada wzdrygnęła się, wstała i wzięła zwierzątko na ręce.

– Idziemy do łóżka – powiedziała, gasząc lampę. – Tu najwyraźniej nie można się porządnie wyspać. Ani porządnie obudzić.

28

Za oknem przesuwały się czarno-białe widoki – spłowiałe, stare pocztówki, jak w tanim fotoplastykonie. Mikołaj Zalewski patrzył ze zdziwieniem na ciemne, obojętne miasto. Widział obrazy i słyszał dochodzące z ulicy dźwięki, ale nie rozumiał, co widzi i dlaczego. Wszystko było jednakowo wyblakłe i głuche. W ustach czuł piekący, słony smak. Autobus zahamował gwałtownie przed skrzyżowaniem, podjechał na przystanek i otworzył drzwi. Mikołaj poderwał się i wysiadł. Zeskoczył z wysokiego krawężnika, wszedł na pasy, po czym stanął niezdecydowany na ulicznej wysepce. Denerwował się przed spotkaniem z bratem. Karol zadzwonił w niedzielę wieczorem. Płakał, przekazując wiadomość o śmierci Zosi.

– Jadę teraz do przewodnika duchowego – powiedział. – Bardzo źle się czuję… Może moglibyśmy się jutro zobaczyć? Jeśli nie jest to zbyt duży kłopot… – dodał przepraszająco.

Umówili się na poniedziałek. Przez cały następny dzień Mikołaj krzątał się w oszołomieniu wokół drobnych, niewymagających skupienia spraw. Nie widział Zosi od roku, ale przeżył szok na wieść o jej śmierci. Iza zdawała się nie mniej wstrząśnięta. Nie rozmawiali ze sobą na ten temat. W żaden sposób nie umieli przyjąć do wiadomości tego, co się wydarzyło. Pod wieczór zaczął szykować się do wyjścia.

– Może to nieprawda – powiedział, zakładając kurtkę. – Może to jakaś fatalna pomyłka?

Rzuciła mu długie, zdumione spojrzenie. Zmieszał się. Wyciągnęła dłoń i lekko, niezgrabnie poklepała go po policzku. Nie zareagował na ten gest. Schwycił czapkę i wybiegł na dwór.

Teraz stał pośrodku ulicy. Światło zmieniło się na zielone. Wysoki, ubrany sportowo mężczyzna potrącił go w ramię, po czym uśmiechnął się brzydko, bez słowa „przepraszam”. Mikołaj zebrał siły i ruszył przed siebie.

Dziesięć minut później szedł Traugutta ze ściśniętym gardłem i narastającą grozą w sercu, nie mogąc pozbyć się wspomnienia bladej, zmęczonej twarzy Zosi. Ostatni raz rozmawiał z nią tuż po tym, kiedy rozstała się z Karolem. Zosia zadzwoniła i poprosiła o spotkanie. Umówili się w kawiarni na Nowym Świecie. Było słoneczne jesienne popołudnie. W powietrzu unosił się zapach palonej kawy. Usta Zosi drżały.

– On całkiem oszalał – powiedziała, odpychając pustą filiżankę.

Mikołaj odnotował, że postarzała się w ciągu paru dni, zapadła w sobie i wychudła. Jej cera przybrała niezdrowy, szary odcień, a ciemne oczy błyszczały gorączkowo.

– Ale co się stało? – zapytał. – Nic nie rozumiem.

– Co się stało? – powtórzyła z oburzeniem. – Zmanipulowali go. Wyjechał na dwa tygodnie, razem z tym całym ruchem. To były zamknięte rekolekcje, nie mogłam w nich uczestniczyć. Nie mam pojęcia, co mu zrobili. W każdym razie kiedy wrócił, zachowywał się jak obcy człowiek. Próbowałam z nim rozmawiać, ale uparcie twierdził, że nie może wiązać się z kimś, kto nie ma w sobie prawdziwej wiary.

– Ale ty przecież jesteś wierząca?

– Wierząca? – Uśmiechnęła się krzywo. – „Obyś był zimny albo gorący! A tak, żeś letni, a nie gorący ani zimny, wypluję cię z ust moich”, to właśnie mi powiedział.

Uniósł z niedowierzaniem brwi.

– Tak długo byliście razem… Dlaczego teraz, kilka miesięcy przed ślubem? Co się zmieniło? Przecież Karol należy do ruchu od dziesięciu lat…

– Nie wiem, co się zmieniło. Ale coś się na pewno stało. Niczego nie zauważyłeś?

Kiwnął głową. Musiał przyznać, że zarówno matka, jak i młodsi bracia zradykalizowali się religijnie.

Nagle chwyciła go za rękę.

– To jest złe – szepnęła nerwowo. – Tam się dzieje coś niedobrego. Nie chodzi o mnie. Twój brat pakuje się w jakąś okropną historię…

Wtedy ostatni raz ze sobą rozmawiali. Kilka tygodni później Karol oświadczył, że wstępuje do seminarium.

Mikołaj skręcił w prawo, minął metalowy parkan i przeciął oświetlony plac na tyłach Akademii Sztuk Pięknych. Przystanął przed wejściem do Eufemii. Objął wzrokiem zaśnieżony trawnik, stertę skrzynek po piwie i porzucone przy drucianej siatce krzesła. Patrzył długo, jakby ten ponury widok mógł dodać mu sił. Wilgotna, gęsta mgła zawisła tuż nad ziemią, gromadząc się białym tumanem wokół śmietnika i pustej parkowej ławki. Z pobliskiego dachu doleciał wrzask dzikiego kota, jak rozpaczliwy, bolesny szloch małego dziecka. Coś poruszyło się w załomie muru. Przy krawężniku przemknął niezgrabny cień ptaka, który wlókł za sobą skrzydło. Mikołaj drgnął, rozprostował ramiona i niechętnie zszedł po betonowych schodach do baru.

Karol siedział przy okrągłym stoliku po lewej stronie ciemnego korytarza. Pomachał przyjaźnie na widok brata i podniósł do ust szklankę. Mikołaj poczuł ucisk w żołądku.

– Chyba się nie spóźniłem? – zapytał z niepokojem.

– Nie. – Karol uśmiechnął się uspokajająco. – Przyszedłem wcześniej. Zamówię ci piwo.

Ruszył do baru i wrócił z pełną szklanką. Wydawał się całkiem opanowany.

– Straszna historia – zaczął bez zbytecznych wstępów.

Mikołaj kiwnął głową, głos odmówił mu posłuszeństwa. Zamilkli.

– To było najprawdopodobniej zabójstwo na tle rabunkowym – podjął Karol.

– Ale kto? Jak?

– Nie mam pojęcia. Policja prowadzi śledztwo. Dowiemy się pewno za kilka tygodni. Zresztą jakie to ma znaczenie…

Mikołaj zauważył, że bratu drżą ręce. Karol uniósł szklankę do ust, ale nie mógł jej utrzymać i rozlał piwo.

– Zosia nie żyje… – odezwał się głośno i wyraźnie, jakby próbował zrozumieć sens wypowiadanych słów.

– Wiem. Tak strasznie mi przykro… Ona zawsze… – zająknął się. – Pamiętam ją z naszego wspólnego wyjazdu w góry. Panna idealna, tak o niej myślałem. – Był zbyt przytłoczony, żeby stawić czoła rzeczywistości, dlatego uchwycił się wspomnień. – Nawet trochę ci zazdrościłem, że z nią chodzisz – próbował zdobyć się na wesołość. – Sam się tego przed sobą wstydziłem. W końcu byłem dużo starszy…

Przez chwilę wspominali dawne czasy: liceum Karola i początek studiów. Mikołaj miał wrażenie, że rozmowa przynosi bratu ulgę. Zaczął nawet z pewnym ożywieniem opowiadać o stypendium Erasmusa i rzymskich archiwach, w których spędził sporo czasu, pisząc pracę magisterską. Nagle zbladł i chwycił Mikołaja za ramię.

– Mogłem dużo, naprawdę – powiedział z autentyczną rozpaczą w głosie. – Mogłem zostać, kim mi się podobało! Cokolwiek robiłem,

czegokolwiek próbowałem, szło mi jak z płatka! Trenowałem pływanie – wyliczał, zginając palec prawej dłoni – po pół roku miałem najlepszy czas na uniwersytecie. Grałem na pianinie – zgiął drugi palec – słuch absolutny. Języki: znam pięć. Praca magisterska: opublikowana w dwóch tysiącach egzemplarzy. Na studia doktoranckie sami mnie zapraszali…

Tymczasem został klechą, Mikołaj uśmiechnął się gorzko. A Zosia zginęła… Czy taki właśnie jest jego katolicki Bóg?, myślał. Krwawe, zachłanne, żądne poświęceń bóstwo, któremu oddał wszystkie zdolności i każdą przyjemność, a na końcu największą miłość swojego życia? I czego on się w zamian spodziewa? Co ma otrzymać tutaj, na ziemi? Bo tego, że Karolowi nie chodzi po prostu o wieczne zbawienie, był bardziej niż pewny. Zerknął na brata z niepokojem.

Karol uniósł głowę i spojrzał mu w oczy, jakby próbował przeciwstawić się słowom, które wcale między nimi nie padły.

– Dobrze – powiedział w końcu – dobrze, że to się stało teraz, przed święceniami. Nic już nie stoi mi na drodze…

Mikołaj oniemiał.

– Tu nie chodzi o ciebie! – krzyknął wzburzony. – Zosia nie żyje nie po to, żeby ułatwić ci trudne wybory! Świat nie kręci się wokół twojej osoby!

Karol milczał, rozważając w skupieniu słowa brata. Po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz twardej, niezłomnej pewności. Dłonie przestały mu drżeć.

– Niezbadane są wyroki boskie – odparł poważnie.

29

We wtorek rano termometr wskazywał dokładnie zero stopni. Śnieg przestał padać, a chmury zdawały się jakby lżejsze i mniej ponure. Olga wstała pierwsza. Jak co dzień kupiła chleb i zaparzyła kawę. Sawicki siedział przy stole, przyglądając się jej uważnie. Uznał, że nie wygląda na chorą. Wręcz przeciwnie, zdawała się pełna energii. Włożyła szary elegancki żakiet i czerwoną koszulę. Upięła włosy w kok.

– Dla kogo tak się stroisz? – zapytał.

Uśmiechnęła się. Poprzedniego dnia wieczorem rozpuściła żółty musujący proszek w gorącej wodzie, namoczyła w nim gazę i przyłożyła do spuchniętej nogi, po czym starannie owinęła ją bandażem.

– To powinno pomóc – powiedziała ciepło.

W nocy, kiedy próbował ją przytulić, odwzajemniła uścisk, ale potem zdecydowanie się odsunęła.

– Jestem bardzo zmęczona. Muszę spać – szepnęła.

Teraz kiedy patrzył, jak odkłada naczynia do zlewu i pakuje kanapki na drugie śniadanie, uprzytomnił sobie, że nie kochali się od wielu tygodni. Za każdym razem gdy próbował się do niej zbliżyć, odpychała go łagodnie, ale stanowczo.

– Wrócę dziś wcześniej – powiedział.

Skinęła w roztargnieniu głową. Zawołała dziewczynki i wybiegła na schody.

„Ona teraz ciągle śpi”, idąc do samochodu, przypomniał sobie słowa Hani. Co to właściwie znaczy, myślał, przekręcając kluczyk w stacyjce. Czy Olga jest rzeczywiście chora? Nic jej nie boli. To tylko wiosenne przesilenie. A jeżeli nie przesilenie, jeśli osłabienie całego organizmu, rako-białaczka czy inne świństwo? Przecież wygląda zdrowo… Są takie podstępne choroby, zastanawiał się gorączkowo. Atakują znienacka, uśmiercają bezboleśnie. Człowiek po prostu słabnie. Coraz więcej śpi i któregoś ranka po prostu się nie budzi…

– Jezu – jęknął. Białaczka albo sepsa, przecież nie poradzi sobie sam z dwójką dzieci… Próbował się uspokoić. Otworzył okno i zapalił papierosa. Przez chwilę zaciągał się w milczeniu. Zmierzał Trasą Łazienkowską w stronę Rozdroża. Ulica była zatkana, ale skręcił na buspas i jechał szybko, trzymając kierownicę lewą ręką. Prawą wybrał numer do Wiktora.

– Cześć – powiedział.

– Cześć. – Komisarz Pawlak ziewnął do telefonu.

– Słuchaj, jak się nazywa ta choroba, która nie ma wyraźnych objawów? Jesteś tylko coraz bardziej zmęczony, coraz dłużej śpisz, aż w końcu umierasz.

– Życie – odparł Wiktor. – Dzwonisz, żeby mnie o to spytać?

– Nie – przyznał kwaśno Sawicki. – Dzwonię, bo chcę ci powiedzieć, że za godzinę mamy w fabryce zebranie. Róg kazał się wszystkim stawić.

– Chyba żartujesz. Wziąłem wolne.

– Sorry, ale nic z tego. – Sawicki starał się, żeby jego głos nie brzmiał przepraszająco. – Modzelewski ogłosił mobilizację. Kazał nadać sprawie Wagner priorytet. Musimy ją jak najszybciej zamknąć. Ktoś z ministerstwa zaczął go naciskać.

– Niech cię chuj gwizdnie – zaklął Wiktor. – Ciebie i twoją Mimozę.

Sawicki rozłączył się pospiesznie.

Policjanci Wydziału do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw siedzieli w pokoju odpraw. Na wszystkich twarzach malowały się zmęczenie i ponura irytacja. Tylko Ada zachowała charakterystyczny dla niej wyraz zimnej obojętności. Patrzyła w okno, obracając w palcach wisiorek z niebieskich kamyków. Miała na sobie płócienne spodnie, wsunięte niedbale w cholewy kowbojskich butów. Wyglądała zawadiacko, jakby na przekór panującej w pokoju ciężkiej atmosferze. Zebranie zaczęło się o dziesiątej.

– Dostaliśmy odgórne polecenie, żeby skoncentrować się na zabójstwie Zofii Wagner – powiedział Rogowski. – Mamy od cholery ważniejszych spraw, musimy jednak odłożyć je na bok. Najlepiej by było, gdyby Sawoj wprowadził nas w szczegóły.

Sawicki wstał. Jadąc do Pałacu, zastanawiał się, jak rozplanować postępowanie dochodzeniowe. Nic sensownego nie przyszło mu jednak do głowy.

– Wiemy już sporo – zaczął pozytywnie. – O udział w zabójstwie podejrzewamy Madinę Demilową i jej chłopaka Gregora Okruszwilego. O Czeczence wspominałem na poprzednim zebraniu. Okruszwili to Gruzin. – Streścił pokrótce zeznania Anity Kalinowskiej i zdał relację z czynności przeprowadzonych w domu Demilowów, pominął natomiast całkowicie inne szczegóły śledztwa. – Czekamy na analizę odcisków palców z banknotów znalezionych u Demilowów – ciągnął.

Szczepaniak głośno wytarł nos.

– Mam już wyniki. – Poruszył nerwowo policzkami. – Na dwóch banknotach są odciski palców Wagner.

Wiktor, który do tej pory ziewał ostentacyjnie i bujał się na krześle, znieruchomiał.

– To jeszcze żaden dowód. Madina u niej pracowała, no nie? Najgorszy adwokat z urzędu to wytknie.

– Nie dowód – zgodził się Sawicki – ale poważna poszlaka. Mamy takich poszlak masę, nie wyglądają na przypadkowy zbieg okoliczności.

– Jasne. – Wiktor oparł łokcie na stole. – Mówię tylko, że jak ich znajdziemy, to trzeba będzie urządzić niezły balet, żeby przyznali się do winy. Inaczej nie spuścimy zbójów za kraty. Pełnoletnia dziewczyna uciekła z kochasiem od chujowego ojca, to żadne przestępstwo.

– Problem polega na tym – przerwał Sawicki – że nie działała sama. To łagodna, przygłupia laska. Wygląda na to, że łatwo ulega wpływom. Sprawdziłem wczoraj tego jej Gruzina. Niezłe z niego ziółko. Był trzykrotnie notowany, w tym raz za włamanie.

Ada uniosła z niepokojem głowę.

– To zmienia obraz sytuacji.

– A ja jestem ciekaw, jak ich znajdziemy, hę? – Kapusta rozsunął szeroko nogi. – Jak ostatnie pizdy pozwoliliście im zwiać.

– Wysłaliśmy zdjęcia do prasy i telewizji – bronił się Sawicki. – Ktoś powinien ich rozpoznać. To charakterystyczna para.

– Chuj nie rozpoznać. Minęły dwa dni. Teoretycznie mogli w tym czasie dotrzeć na Jamajkę.

– Za cztery tysiące, których nawet ze sobą nie wzięli? – wtrąciła niespodziewanie Ada.

Kapusta przygryzł wargę.

– Zakładamy, że stary Demilow kłamie, a pieniądze, które znaleźliśmy u niego w domu, zostały zrabowane Zofii Wagner – ciągnęła spokojnie. – Madina i Gregor zniknęli. Z jakichś powodów nie zdążyli zabrać ze sobą

łupu. Może Demilow wrócił wcześniej do domu, siedział w pokoju i Madina nie mogła dostać się do komody. Może zorientował się w całej sytuacji i zarekwirował kasę, a może stało się jeszcze coś innego. W każdym razie albo odciski Wagner na banknotach stanowią dowód rzeczowy i wtedy nasi podejrzani podróżują bez pieniędzy, albo zarekwirowaliśmy niewłaściwe banknoty. Jedno albo drugie. Innej możliwości nie widzę.

Nastała chwila ciszy. Sawicki skrzywił się, patrząc na Adę, po czym zmieszany opuścił wzrok.

– Ten Gruzin mógł mieć własną kasę – oponował Kapusta.

– Nie sądzę – odpowiedziała zdecydowanie. – Zarabiał grosze w hurtowni. Opłacał wynajęty pokój, musiał coś jeść. Oczywiście istnieje możliwość, że obrabował kogoś jeszcze poza Zofią Wagner, ale nic nam o tym nie wiadomo.

– W każdym razie popełniliście błąd w oczywistej sprawie. Teraz cały wydział ma latać po mieście i odwalać za was pańszczyznę.

– To nie była nasza decyzja – Ada mówiła powoli i spokojnie – tylko moja. Ja rozmawiałam z Madiną i nie zabrałam jej na komendę. Ale nie popełniłam błędu, postępowałam zgodnie z…

– Postępowałaś głupio – warknął Wiktor.

Twarz Ady nie zmieniła wyrazu, ale w jej oczach pojawiły się stalowe błyski.

– Dobrze – przerwał szybko Sawicki. – Niezależnie od tego, co stało się w sobotę, dziś mamy wtorek. Nie wiemy, gdzie jest Madina. Nie musimy angażować was wszystkich. Nadal potrzebujemy kogoś do stałej obserwacji mieszkania Demilowów i jeszcze kogoś do monitoringu pokoju Okruszwilego. – Spojrzał pytająco na kolegów.

– Okej – zgodził się Rogowski.

– Ja pojadę do hurtowni – ciągnął Sawicki. – Ada wróci do Słonecznego Domu. Dogadała się z przyjaciółką Madiny. Warto coś jeszcze od niej wyciągnąć… Czy są dodatkowe pytania albo sugestie?

– Sekcja zwłok? – zapytał Chlor.

– Zbok obiecał wyniki dziś po południu.

Ada wyjęła foliową torbę pełną papierowych rolek.

– To są wydruki z kas z obu sklepów AM-NAT. Ostatnie trzy tygodnie. Nie spodziewam się po tym dowodzie specjalnych rewelacji, ale i tak potrzebuję kogoś, kto je przejrzy i odnotuje wszystkie sprzedane młotki.

Zapadła cisza. Zebrani patrzyli na nią ze zdumieniem, jakby do głowy im nie przyszło, że może czegoś od nich wymagać. W końcu Róg odkaszlnął głośno.

– W porządku. Coś jeszcze?

Nikt się nie odezwał.

– W takim razie chciałbym poruszyć na koniec pewną sprawę. – Położył na stole dwa numery bulwarówki. Jego ruchy były powolne i spokojne, ale Sawicki zauważył pulsującą na skroni żyłkę i lekkie drganie kącika warg. Wiedział, że Rogowskim targa furia. – To – zaczął, wskazując piątkowe, idiotyczne zdjęcie Ady i Sawickiego – to zwykła dziennikarska złośliwość. Nie ma się czym przejmować. Natomiast chciałbym się dowiedzieć, i bardzo mnie to ciekawi – podniósł do góry poniedziałkowe wydanie – skąd ta nędzna hiena – sprawdził nazwisko – skąd Marczyński wie, gdzie mieszkają nasi podejrzani?

W pokoju zawrzało. Róg zaniósł się brzydkim kaszlem, ale w końcu odetchnął spokojniej i podniósł rękę. Zebrani przycichli.

– Mamy do czynienia z przeciekiem i obiecuję wam, że dowiem się, kto tu podpierdala. A kiedy się dowiem… kiedy się dowiem, dołożę wszelkich starań, żeby ta osoba pożegnała się z nami na zawsze.

– Chujnia – mruknął Kapusta. – Czegoś podobnego nigdy wcześniej u nas nie było.

Sawicki zerknął nerwowo na Adę. Nie poruszyła się. Siedziała, patrząc intensywnie na rozłożoną gazetę.

– To bardzo niebezpieczne – powiedziała powoli.

– Oczywiście, że niebezpieczne, a co myślałaś? Gdyby wszystko, co tu robimy, wyciekało do prasy, to nawet mandatów za parkowanie nie moglibyśmy wystawiać – wrzał Kapusta.

– Nie o to chodzi. – Wskazała palcem zdjęcie. – Tu widać dokładnie numer domu i nazwę ulicy.

– No i?

– Tam mieszkają uchodźcy podejrzani o morderstwo polskiej kobiety. Za chwilę możemy mieć na głowie rasistowskie zamieszki.

Wiktor gwizdnął przez zęby.

– Mimoza ma rację – przyznał.

Gwar w pokoju znowu przybrał na sile.

– Cisza! – Rogowski walnął pięścią w stół, co nie zrobiło mu dobrze, bo znów się rozkaszlał. – Na razie mieszkanie jest pod obserwacją – zachrypiał. – To też ochrona. Nie ma powodu do obaw. Zamykam zebranie. Weźcie się wszyscy do roboty.

Sawicki wyszedł szybko z pokoju odpraw. Był zły i zawstydzony. Nie udało się zamknąć prostej sprawy i teraz cały wydział ponosił konsekwencje zaniedbań, za które czuł się odpowiedzialny. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby współpracował z przyzwoitym prorokiem albo gdyby nie musiał prowadzić śledztwa z babą… Przyspieszył kroku, chociaż wiedział, że Ada próbuje go dogonić. Otworzył z rozmachem drzwi do pokoju i chciał je równie gwałtownie zamknąć, ale w tym samym momencie drobna kobieca dłoń schwyciła zdecydowanie klamkę. Komisarz

Rochniewicz nie była ani zdenerwowana, ani zasmucona. Minęła próg lekkim, sprężystym krokiem. Sawicki zacisnął szczęki.

– Zbieram się i jadę do Słonecznego Domu – powiedziała. – Hawa jest teraz w szkole, ale może powiedzą mi, w którym liceum się uczy. Sądzę, że łatwiej nawiążę z nią kontakt w otoczeniu polskich kolegów niż w obecności innych uchodźców.

Chciał odpowiedzieć coś opryskliwie, ale przypomniał sobie nagle, jak wzięła na siebie całą odpowiedzialność za zniknięcie podejrzanych. Przypomniał sobie krzywe spojrzenie Wiktora i oskarżycielski ton Kapusty.

– Eeee… W obecności innych uchodźców… – powtórzył bez sensu jej ostatnie słowa.

Wypadło to dość zabawnie i Ada się roześmiała. Patrząc na nią, uświadomił sobie, że po raz pierwszy śmieje się przy nim pełnym głosem.

– Dobrze – uciął chłodno. – Jedź.

Umilkła natychmiast i włożyła kurtkę.

Sawicki włączył komórkę. Ktoś dzwonił do niego w czasie zebrania. Numer wydawał się znajomy. Przejrzał połączenia z poprzedniego dnia. Ta sama osoba telefonowała w poniedziałek wczesnym popołudniem… Jakub Orłowski, uświadomił sobie w końcu. Zrobiło mu się głupio. Zapomniał porozmawiać z bliźniakami. Podszedł natychmiast do służbowego telefonu.

– Co? – w słuchawce odezwał się gburowaty głos.

– Wojtek? – zapytał.

– Nie, Marek.

– Macie jedną komórkę? – zdziwił się Sawicki.

– A co to za różnica?

– Ehem – zająknął się. – Tu Marcin Sawicki.

– Wiem, dzwonisz ze służbowego telefonu.

– Zapisałeś ten numer w kontaktach?

– Mamy zapisane wszystkie kontakty, które mogą okazać się przydatne. O co chodzi?

– Chodzi o sprawę zaginięcia Magdy Orłowskiej. Podobno ją prowadzicie – zaczął niepewnie.

– No, prowadzimy. I co z tego?

Sawicki znał bliźniaków od wielu lat. Wiedział, że słyną z arogancji. Dzwoniąc, próbował nastawić się ugodowo, w końcu to on miał interes. Odetchnął głęboko.

– Znam jej ojca. Chciałbym się dowiedzieć, jak przebiega postępowanie. I… co o tej sprawie myślicie?

– Nic nie myślimy. Nie ma co dumać nad tym specjalnie. Zniknęła dorosła laska. Ma prawo nie gadać z rodzicami i jeździć, gdzie jej się podoba.

Sawicki milczał. Marek dyszał głośno do telefonu. W końcu westchnął, odchrząknął i zaczął nieco łagodniej.

– Słuchaj, stary, tak między nami, sprawa nie wygląda dobrze. Dziewucha nie kontaktowała się z rodzicami ani z żadnym znajomym od trzech dni. Co gorsza… – zawahał się – co gorsza, zdaje się, nie zabrała z domu żadnych rzeczy; walizki, zimowy płaszcz, buty, wszystko zostało na miejscu. Nawet szczoteczka do zębów…

– Samobójstwo?

– Może skoczyła na bosaka do Wisły, cholera wie – przyznał. – Bierzemy jednak pod uwagę uprowadzenie.

– Co?! – krzyknął Sawicki.

– Gówno – zripostował natychmiast Marek. – Nie słyszysz, co mówię?

– Słyszę, ale na jakiej podstawie…

– Już mówiłem, przepadła, nie zabierając żadnych osobistych rzeczy. Ale to tylko wstępna teoria… Słuchaj – zdenerwował się nagle – nie mam teraz czasu wdawać się z tobą w pogawędki. Jak chcesz, to przyjedź do nas. Jak nie, to daj mi spokój i bądź łaskaw nie powtarzać nic rodzicom. A zwłaszcza tej pierdolniętej matce. I tak mamy ją cały czas na karku. Oficjalna wersja jest taka, że robimy, co w naszej mocy, i na razie nic nie wiemy.

– Dobrze.

Marek rozłączył się natychmiast. Sawicki usiadł przy biurku, podparł głowę rękami i starał się oczyścić umysł. Jakaś uporczywa, nachalna myśl nie dawała mu spokoju. Po chwili udało mu się ją zepchnąć w głębiny podświadomości. Zadzwonił do Jakuba Orłowskiego, krótko poinformował, że śledztwo prowadzone jest bez zarzutu, po czym wymusił z siebie kilka pocieszających konwencjonalnych zwrotów.

Właśnie kończył rozmowę, kiedy do pokoju wszedł Wiktor. Bez słowa usiadł na krześle Ady i zapatrzył się w okno, jakby oczekiwał od kolegi wyjaśnień. Zapadła kłopotliwa cisza.

– Tak? – zapytał Sawicki.

Wiktor wyjął z zębów pogryzioną skuwkę od flamastra.

– Przychodzi facet do domu z owcą pod pachą. Staje przed żoną i mówi: „To jest świnia, którą rżnę”. Żona na to: „To nie jest świnia”. A mąż: „Nie do ciebie mówię”.

Sawicki próbował się nie roześmiać. W końcu poddał się jednak i parsknął. Wiktor uśmiechnął się z satysfakcją.

– Dobra, gadaj, o co chodzi, bo nie mam czasu.

– Chodzi o Mimozę.

– Aha, no i? – Sawicki otarł usta.

– I o przeciek do prasy. Nie sądzisz, że może mieć z tym coś wspólnego?

Zatkało go. Taka myśl nie przemknęła mu nawet przez głowę.

– Nie – zaprotestował zdecydowanie. – Nie lubię jej. Sam wiesz. Nie jestem zadowolony, że ze mną pracuje, ale to formalistka, co więcej, ma swój własny… – zastanowił się – jakby swój własny kodeks moralny. Nie zrobiłaby tego.

– A ona się w ogóle na coś przydaje? Wypuściła Madinę. Może po prostu chujowa z niej policjantka i dlatego pozbyli się jej we Wrocławiu?

– No… nie do końca chujowa. Dziewucha ma nawijkę. Ludzie się przed nią otwierają. Nie wiem, jak to robi, ale robi to dobrze… – Urwał zdziwiony własną szczerością.

– A nazwisko?

– Co nazwisko?

– Nigdy cię nie zdziwiło, że ma drogie ciuchy, jeździ nową mazdą? Myślisz, że na to wszystko z policyjnej pensji uzbierała?

– No nie wiem – bąknął. – Może ma bogatego kochanka albo rodziców…

– Właśnie. Ona się nazywa Rochniewicz.

– I co z tego?

– Rochniewicz to mogul. Należy do niego większość brukowej prasy w Polsce. Na przykład ta bulwarówka, która opublikowała wasze zdjęcia.

Sawicki patrzył na niego zaskoczony.

– Stary ma sześćdziesiąt dwa lata – ciągnął Wiktor. – Spokojnie może być ojcem Mimozy.

– Sprawdzałeś ją?

– Sprawdzałem – przyznał. – Lubię wiedzieć, z kim pracuję. I powiem ci coś jeszcze: nie ma żadnych dostępnych dokumentów, żadnych śladów, które tłumaczyłyby to nagłe przeniesienie do innego miasta. Coś tu śmierdzi…

– Sądzisz, że… Myślisz…

– Ja nic nie myślę – przerwał. – Mówię tylko, żebyś miał ją na oku.

Wiktor znów wsadził w zęby skuwkę, podrapał się po zarośniętej brodzie i wyszedł, nie zamykając drzwi. Sawicki wzruszył ramionami. Czuł się bardzo zmęczony. Zastanawianie się nad przeciekiem wydało mu się w obecnym momencie niedorzeczne. Zbiegł do samochodu, powtarzając w takt kroków: „Ja pierdolę, ja pierdolę”. Na dworze uderzył go chłodny podmuch. Dzień był wietrzny, ale jasny i suchy. Odetchnął, zwracając z wdzięcznością twarz w stronę bladego słońca. „Mniejsza o to. Mniejsza o to”, mruczał, siadając za kierownicą. Wyjechał gładko z dziedzińca, zatoczył półkole i włączył się w regularny, pulsujący jak uderzenia krwi rytm miasta. Tuż nad dachami domów kołowało stadko gołębi. Zawyła karetka. Przez pasy przebiegła uśmiechnięta atrakcyjna dziewczyna w butach na wysokich obcasach. Po drugiej stronie ulicy czekała na nią przyjaciółka albo siostra. Objęły się czule. Serce ścisnął mu nieoczekiwany skurcz. Nadepnął z furią pedał gazu i pognał przed siebie, trąbiąc i wymijając samochody w szalonym, morderczym pędzie.

Poranne korki właśnie się skończyły. Bez przeszkód przejechał Puławską i kilka minut po jedenastej dotarł do hurtowni. Wysiadł przed halą krytą falistą blachą. Dwóch tragarzy rozładowywało samochód dostawczy. Pchali przed sobą wózki widłowe pełne książek zawiniętych w celofan.

– Szukam Adama Kępy – zwrócił się do jednego z nich.

– W biurze – tragarz rzucił przez zęby i wskazał ręką jedyne okno.

Sawicki ruszył w kierunku hali. W środku panował półmrok. W niewielkiej kanciapie, za szybą siedział starszy mężczyzna we flanelowej koszuli i w skupieniu przeglądał faktury.

– Adam Kępa? – zapytał.

– Zgadza się. – Mężczyzna odłożył druczki i spojrzał znad kontuaru ze szczerym, rozbrajającym uśmiechem.

– Policja – powiedział z ociąganiem Sawicki, przekonany, że zniechęca właśnie do siebie miłą, przyjaźnie nastawioną osobę.

Tymczasem uśmiech Adama Kępy wcale nie zgasł. Podniósł się z krzesła i zaprosił gościa do biura.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

– Szukam Gregora Okruszwilego – wyjaśnił Sawicki, siadając na plastikowym krześle w kącie ciasnego pomieszczenia. – Podobno u pana pracował.

Po twarzy hurtownika przebiegł cień niepokoju.

– Niestety nie widziałem go od czwartku.

– I nie kontaktował się z panem?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Proszę pana – ciągnął Sawicki – wszystkie informacje są dla nas w tej chwili istotne. Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa. Nie będę ukrywał, mamy pewne podstawy sądzić, że Okruszwili mógł być w nie zamieszany… Czy zachowywał się ostatnio inaczej? Coś zwróciło pana uwagę? Był agresywny, nieobecny myślami, próbował pożyczyć pieniądze?

Adam Kępa już się nie uśmiechał. Zmarszczył twarz, jakby coś gwałtownie go zabolało, i wsparł czoło na dłoni.

– Żal mi tego chłopca – powiedział po chwili. – Przyjąłem go do pracy na prośbę kuzynki. Ona zajmuje się taką fundacją…

– „Przystań”?

– Zgadza się, „Przystań”. Pyta pan, czy był agresywny? Może to za dużo powiedziane, może nerwowy, łatwo popadał w konflikty. Ostatnio mu się ta nerwowość nasiliła. W zeszłym tygodniu prawie doszło do bójki. To nie on zaczął, ale zareagował napastliwie na głupią zaczepkę i…

– A pieniądze? – przerwał Sawicki.

– Owszem. – Mężczyzna kiwnął niechętnie głową. – Mówił, że ma poważne kłopoty rodzinne, zrobiło mi się przykro. Ci ludzie… uchodźcy… łatwo im nie jest… – Potrząsnął ze smutkiem głową. – Gregor prosił o trzy tysiące. Pożyczyłem dwa. Zachowałem się chyba mocno naiwnie – ciągnął, pocierając w roztargnieniu czoło. – Od tamtej pory nie pokazał się w pracy. – Adam Kępa rozłożył bezradnie ręce.

– Dziękuję. Chciałbym jeszcze porozmawiać z tym pracownikiem, z którym pobił się Okruszwili.

– To nie była bójka, raczej przepychanka – zaprotestował hurtownik, ściskając mocno rękę policjanta. – Oni…

Przerwał mu dzwonek telefonu. Sawicki przeprosił i odebrał.

– Jakaś kobieta do ciebie – odezwał się policjant z centrali dowodzenia. – Twierdzi, że wynajęła pokój dwójce Czeczenów.

– Jest na komendzie?! – ryknął.

– Nie, dzwoni…

– To ją przełącz, do jasnej cholery!

Skinął głową zdumionemu Kępie i wybiegł przed halę.

– Dzień dobry – w telefonie odezwał się niski, przepalony głos.

– Komisarz Marcin Sawicki, słucham.

– Nazywam się Irena Józefowicz, oglądałam wczoraj Wiadomości i…

– Tak? – zachęcał.

– Prowadzę kemping pod Pułtuskiem – ciągnęła kobieta. – Teraz mamy martwy sezon, ale w sobotę wieczorem przyjechała para. Taka dziwna… – Zawahała się.

Sawicki wstrzymał oddech.

– Ja tam nikogo nie dyskryminuję. Mieli dowód, na jego, tego Czeczena, nazwisko, wiec wynajęłam domek. Ale wczoraj po Wiadomościach pokazywali zdjęcia poszukiwanych i na mój rozum to oni są – ściszyła znacząco głos.

– Jakie nazwisko było w dowodzie?

– Takie obce. Zaraz, za… – zająknęła się. – Sprawdzę w zeszycie.

Sawicki czekał niecierpliwie. Słyszał skrzypienie otwieranych drzwi, szuranie i stukot wysuwanej szuflady.

– Halo? – odezwała się znowu kobieta.

– Tak? – powiedział, prawie krzyknął.

– Okruszwili. Gregor Okruszwili. To właściwie nie był dowód, tylko…

– Gdzie ta para obecnie przebywa? – przerwał gwałtownie.

– No u mnie. Znaczy w domku na polu namiotowym – wyjaśniła nieco zbita z tropu.

– Oboje?

– Oboje, widziałam, jak wracali ze sklepu.

– I nie wiedzą, że pani do nas dzwoni? – upewnił się.

– Nie, no skąd. Ja się teraz boję z nimi rozmawiać.

– Proszę pani – Sawicki starał się mówić wolno i wyraźnie – nic pani nie grozi, ale proszę na razie zostać w domu i obserwować ich przez okno. Jeśli to możliwe.

– Możliwe.

– Świetnie. Wiec niech oni myślą, że wyszła pani na zakupy albo do sąsiadki. Proszę siedzieć za firanką i nikomu nie otwierać. Przyjedziemy w ciągu dwóch godzin.

– Dobrze, do widzenia…

– Halo! – wrzasnął.

– Tak?

– Adres i numer tego domku poproszę!

Wsiadając do samochodu, połączył się z Rogowskim i szczegółowo wyjaśnił sytuację.

– Jedziemy! Włącz radio i bądź z nami w kontakcie – zarządził tamten. – Spotkamy się gdzieś po drodze.

Wystawił syrenę na dach. Gnał Puławską, zaciskając szczęki. Ada była w szkole na Ochocie. Pewno w tej chwili prowadziła zupełnie nieprzydatną rozmowę z Hawą… Przez krótką chwilę bił się z myślami. W końcu wyciszył komórkę i wcisnął guzik radiostacji. Zrównał się z dwoma policyjnymi wozami kilkanaście kilometrów za mostem Siekierkowskim. Po niebie przemknął ptasi klucz. Słońce wyłoniło się zza chmur, asfalt odbijał światło, a nad łąkami po obu stronach szosy wzniósł się wilgotny tuman. Wiatr przybrał na sile i targał anteną. Z radia dochodziły niepokojące trzaski, ale słyszeli się nawzajem.

– Kemping znajduje się za Pułtuskiem – wyjaśniał dyżurny z centrum dowodzenia. – Musicie minąć miasteczko i zaraz za cementownią skręcić w pierwszą w prawo.

– Słyszę cię – odpowiedział Rogowski.

– To ślepa droga. Kończy się chyba jakimś lasem, dalej jest rzeka. Możecie odciąć im drogę ucieczki…

– W porządku. Wjeżdżamy i otaczamy domek – kontynuował Rogowski, zwracając się już do osób siedzących w samochodach. – Sawoj zostaje w wozie.

– Co?! – ryknął Sawicki.

– Zostajesz. Nie masz kamizelki. Reszta otacza domek. Chlor wchodzi ze mną do środka.

– Nic dla mnie nie wzięliście?

– Nie. Siedzisz na dupie – uciął zastępca naczelnika.

Do Pułtuska dojechali o pierwszej. Mimo że przez radio pilotował ich oficer dyżurny, zdołali się zgubić w niewielkim miasteczku. Dwukrotnie objechali rynek. Sawickiemu puściły nerwy, wymyślał każdemu, kto próbował się do niego odezwać. Przy skręcie za cementownią wyłączyli syreny, zatrzymali samochody i wymienili kilka końcowych uwag, a potem ruszyli piaszczystą drogą, na której końcu stało niewielkie gospodarstwo otoczone kempingowymi domkami. W tym momencie niebo niespodziewanie pociemniało. Wiatr przybrał na sile, o ziemię uderzyły twarde lodowe kulki.

– Grad – jęknął Wiktor.

– To dobrze – odpowiedział Sawicki poprzez trzaski radia. – Nie usłyszą nas.

Jechał na końcu kawalkady. Potem widział przez okno, jak uzbrojeni koledzy wyskakują z wozów i otaczają jeden z paździerzowych domków. Nie ma ich tam, przemknęło mu przez myśl. Chciał się poderwać i biec sprawdzić, ale wiedział, że tylko przeszkodziłby w akcji. Policjanci musieliby dodatkowo go ochraniać, zamiast skupić cały wysiłek na obławie. Dwójka uchodźców w takim pudełku z tektury, co może się zdarzyć?, sarknął w duchu i natychmiast sam sobie odpowiedział: może się zdarzyć dosłownie wszystko, nie da się wykluczyć, że Okruszwili ma broń.

Musiał siedzieć i czekać cierpliwie. Grad walił wściekle w dach samochodu. Sawicki widział, jak Rogowski wspina się ostrożnie po betonowych schodkach; za nim szedł Chlor. Zatrzymali się, a potem Róg natarł barkiem na drzwi i obaj zniknęli w środku. Przez nieskończenie długą chwilę nie działo się zupełnie nic. Sawicki miał wrażenie, że czas stanął w miejscu, grad ucichł i wiatr przestał wyć. Policjanci zastygli z uniesioną bronią. A potem okno domku pękło z trzaskiem i prosto w ramiona Wiktora wyskoczyła Madina. Szarpała się i gryzła, ale policjant szybko ją obezwładnił. Sawicki usłyszał znowu grzechot na blaszanym dachu i zawodzenie wichury. W następnym momencie na schodach pojawił się Chlor, prowadząc skutego Okruszwilego. Rogowski trzymał się za twarz. Z nosa leciała mu krew. Sawicki poderwał się i wyskoczył z samochodu. Chlor z całej siły pchnął Gruzina i powalił go na ziemię.

– Chuj przylał Rogowi. Trzeba było tego, kurwa, nie robić! – darł się, kopiąc leżącego. – Nie wiesz, pizdo, że policji ruszać nie wolno?

Madina zaczęła wrzeszczeć. Mokra, z rozwianym włosem i strużką krwi płynącą wzdłuż skroni wyglądała jak opętana przez diabła postać z horroru. Wiktor wykręcił jej rękę. Przed zabudowania wybiegła kobieta w kolorowym swetrze.

– To oni! Wiedziałam! Jak tylko zobaczyłam ich w telewizji!

– Dobra, policzymy się z nim na komendzie. – Rogowski obtarł krew rękawem koszuli i szturchnął Chlora, który nadal szalał nad Okruszwilim. – Dziękujemy pani.

Policjanci poprowadzili więźniów do dwóch oddzielnych samochodów. Nikt nie zapytał, gdzie jest Ada. W drodze powrotnej Sawicki poczuł się tak zmęczony, że ledwo panował nad kierownicą, ale nie przestawał się uśmiechać. Koniec, myślał. Nie muszę się już niczym przejmować. A zwłaszcza nie muszę przejmować się Mimozą.

30

Spotkanie z Hawą nie zajęło Adzie wiele czasu. Odnalazła szkołę, poczekała do przerwy i zlokalizowała dziewczynę w kolorowym tłumie uczniów. Stała pod oknem, zajęta rozmową z koleżankami. Nie nosiła chusty. Gruby warkocz przerzuciła przez ramię.

– Dzień dobry – przywitała się Ada.

– Dzień dobry – bąknęła Czeczenka, zerkając na nią niespokojnie.

– Chciałabym zamienić z tobą dwa słowa…

– Mam lekcje.

– To zajmie nie więcej niż kilka minut – obiecała Ada, rozglądając się jednocześnie po korytarzu. – Może wyjdziemy na boisko? – zaproponowała.

Na zewnątrz dął silny wiatr, ale świeciło słońce i zrobiło się cieplej. Stadko ciemnych ptaków obsiadło druty wysokiego napięcia. Utrzymywały równowagę, balansując długimi ogonami. Jaskółki?, przeszło Adzie przez myśl. Niemożliwe. Nie o tej porze roku. Ptaki zakołysały się lekko i przybliżyły ku sobie, jakby dyskutowały ważki problem. W końcu podjęły decyzję i równocześnie śmignęły w niebo.

– Tylko jedno, Hawka – Ada spojrzała dziewczynie w oczy – i już ci daję spokój. Co takiego zdarzyło się w środę? Co cię tak zdenerwowało? Co powiedziała Madina?

– Ona… – zaczęła Hawa i urwała natychmiast. Ścisnęła w dłoni koniec warkocza.

Zadźwięczał dzwonek. Z wnętrza budynku doszedł tupot setek pospiesznych kroków.

– Muszę iść.

– Posłuchaj. – Ada schwyciła ją za rękę i wtedy to poczuła. – Hawa, ja wiem, że masz starszą siostrę, tam, w Czeczenii. Dlatego tak bardzo zależy ci na Madinie, prawda?

Dziewczyna milczała.

– Już ci mówiłam, twoje zeznania mogą jej tylko pomóc, nie zaszkodzić.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem. W końcu Czeczenka westchnęła z rezygnacją.

– Widziała pani, co napisali na Słonecznym Domu? – zaczęła cicho. – „Wypierdalać z naszego kraju”.

Ada skinęła głową.

– Nie chciałam mówić przy pani Anicie, bo znowu wezwałaby policję. Przez to są tylko kłopoty…

– Ja jej nie powiem – zapewniła Ada.

Hawa uśmiechnęła się z trudem.

– W środę wieczorem – podjęła – przyszło do nas trzech mężczyzn. Polacy. Krzyczeli, wywlekli śmiecie, mieli farbę i pomazali ściany. My z Madiną stałyśmy na dole. W portierni. Madina zobaczyła, co się dzieje, i wybiegła na dwór. Ona myślała, że jak zobaczą kobietę, to się uspokoją. A oni się tylko śmiali. Pytali, czy ona łysa, bo zakrywa głowę. Jeden złapał ją za rękę, stąd te siniaki. Drugi ściągnął chustę. Potem wybiegli z domu nasi mężczyźni i ich przepędzili. Kiedy było po wszystkim, Madina powiedziała, że nie zostanie w tym kraju ani chwili dłużej i…

– I? – Ada pochyliła się w stronę Czeczenki. – Czy stało się coś jeszcze?

– Ona… – zająknęła się – ona powiedziała, że potrzebuje sześć tysięcy dla siebie i Gregora na wyjazd do Holandii. I że wydobędzie je od pani Zofii, nawet gdyby miała kraść. A ja nie mam starszej siostry – dodała z mocą, po czym szarpnęła się, wyrwała rękę i odeszła spiesznie w stronę szkoły.

Ada patrzyła, jak znika w otwartych drzwiach. Nagle ogarnęła ją fala tęsknoty za miejscem, którego sama nie znała. Fala cudzej tęsknoty. Doznanie było tak silne i realne, że nie potrafiła się poruszyć. Próbowała przypomnieć sobie język, którym nigdy nie mówiła, ostre, gardłowe słowa. Chciała dojrzeć twarze, których ona, Hawa, nigdy już nie zobaczy. Dlaczego nie można zapomnieć ani cierpienia, ani żalu, ani tamtych widoków? Czyż nie zasłużyła na miano zdrajczyni? Jakiś spóźniony uczeń przebiegł obok i potrącił ją plecakiem. Wróciła do własnego ciała. Wyprostowała się, otrząsnęła, a potem zaczerpnęła głęboko powietrza i spojrzała na komórkę. Dochodziła jedenasta. Sawicki się nie odzywał, za to czterokrotnie dzwoniła Kasia. Ada wsunęła telefon z powrotem do kieszeni. Postanowiła, że pojedzie do śródmieścia, wstąpi do którejś z sieciówek, zamówi kawę i będzie czekała na wiadomość od Sawickiego.

* * *

Przedpołudniową porą kawiarnię Green Coffee na placu Konstytucji odwiedzało niewiele osób. Mężczyzna w podniszczonej marynarce czytał gazetę. W kącie dwoje nastolatków piło mrożoną herbatę. Pogrążeni w intymnej rozmowie nie zwracali uwagi na otoczenie. Ewidentnie urwali się ze szkoły – pod stolikiem leżały porzucone torby z książkami. Ada zamówiła kawę i kanapkę z kozim serem. Jadła powoli, trzymając łokcie przyciśnięte do tułowia, jakby znajdowała się na oficjalnym przyjęciu, a nie

w sieciowym bistro. Od czasu do czasu zerkała na siedzącą naprzeciw dwójkę. Powoli zbliżali się głowami. Chłopiec uniósł rękę i niezgrabnie próbował położyć ją na oparciu krzesła. Oparcie jednak okazało się za wysokie i ręka zawisła w wykręconej, nienaturalnej pozycji. Najwyraźniej wstydził się ją cofnąć. Ada patrzyła na nich z coraz większą ciekawością. Wyglądali tak zdrowo i niewinnie. Ona w błękitnej sukience, z rzęsami pociągniętymi brązowym tuszem, on taki czysty, uczesany, z zupełnie jeszcze gładkim podbródkiem. Reszta świata ich nie dotyczy, pomyślała z mieszaniną wstydu i irytacji. Nie interesują ich zbrodnie, nieszczęścia ani bieda skrywana za fasadą tego miasta. Życie i śmierć dotyczą tylko nas samych, myślała dalej, odkładając serwetkę i odsuwając pusty talerz. Cudze cierpienie nigdy nie stanie się w całości naszym udziałem. Gdybyśmy byli zdolni do odczuwania prawdziwego współczucia, gdyby rozwinął się w nas w pełni dar empatii, ludzkość nie przetrwałaby nawet jednego pokolenia. W tym momencie światło zmieniło się za oknem i w jednej chwili całą salę ogarnął niepokój. Kelnerka odstawiła niedomytą szklankę, mężczyzna w marynarce uniósł głowę znad gazety. Chłopiec cofnął rękę i odsunął się od dziewczyny. Idzie burza, przemknęło jej przez głowę. To pierwszy w tym roku znak wiosny.

Telefon zadzwonił o wpół do pierwszej. Właśnie kończyła drugą kawę.

– Tu Adrian Małecki – odezwał się skrzeczący, nieprzyjemny głos.

– Adrian Małecki? – zdziwiła się.

– Sawoj nie odbiera – ciągnął mężczyzna, ignorując pytanie. – Jak chcesz, to przyjedź, mam coś dla was.

– Dobrze – zgodziła się spokojnie. – Tylko gdzie mam przyjechać?

– Jak to gdzie? – Adrian sarknął z urazą. – Na Oczki oczywiście.

Zbok, zrozumiała w końcu.

– Będę za dziesięć minut – odpowiedziała i poderwała się z miejsca.

Wychodząc, zobaczyła jeszcze, że dwójka licealistów, porzuciwszy szklanki z herbatą i odsunąwszy krzesła od stolika, namiętnie się całuje. Chłopiec opuścił dłoń na biodro dziewczyny. Dziewczyna przywarła do niego, ufna i szczęśliwa. Ada uśmiechnęła się do nich na pożegnanie.

Na dworze wyraźnie się ochłodziło, ale burza, jeśli rzeczywiście była to burza, przeszła bokiem. Gołębie, które na wszelki wypadek pochowały się pod samochodami, wyległy na ulice i rozpoczęły swój bezczelny żebraczy proceder, gruchając przymilnie i plącząc się pod nogami przechodniów. Ada dotarła do prosektorium kwadrans przed pierwszą. Minęła pustą recepcję. Zwalisty, zarośnięty mężczyzna pchał przez korytarz okryty prześcieradłem wózek. Na widok Ady umyślnie zarzucił noszami tak gwałtownie, że spod prześcieradła wysunęła się biała, bezwładna ręka. Skrzywił się złośliwie. Ada przeszła obok, całkowicie go ignorując. Dotarła do przeszklonych drzwi i pchnęła je zdecydowanie. Znalazła się w sporej, wyłożonej kafelkami sali. Na dwóch metalowych stołach leżały zwłoki. Wiatrak pod sufitem obracał się powoli. Miała wrażenie, że zamiast rozrzedzać, potęguje potworny smród panujący w pomieszczeniu. Odruchowo przyłożyła dłoń do twarzy.

– A co, niedobrze nam od samego patrzenia? – Zbok wyszedł z zaplecza i uniósł brodę, przyglądając się policjantce. – Jak się chce czegoś dowiedzieć, to trzeba pocierpieć.

Malutki człowieczek z wielką jak dynia głową cmoknął z satysfakcją i zatarł dłonie. Miał na sobie ten sam pokryty żółtymi plamami, za duży fartuch, w którym kilka dni wcześniej pojawił się na miejscu zbrodni. Ada zmarszczyła brwi i nie odejmując dłoni od twarzy, podeszła do stołu po lewej stronie. Ciało Zofii Wagner pokrywały sine plamy. Pośmiertna opuchlizna wzdęła jej brzuch i szyję. Przez całą długość korpusu biegło bezkrwawe, wąskie cięcie. Uniosła splątane, zmatowiałe włosy. Prawa

skroń była zmiażdżona i zapadnięta w głąb czaszki. Zbok pokiwał z uznaniem głową.

– Nie boimy się trupów, co? – zagadnął i podał jej pudełko z mentolem.

Wtarła maść w górną wargę.

– A więc co pan dla mnie ma? – zapytała.

– Denatka zginęła od ciosu w głowę – zaczął obojętnie. – Konkretnie od pierwszego, bo zadano dwa. Tępym metalowym narzędziem. – Wskazał wklęśnięcia w czaszce. – Tu i tu, jeden obok drugiego. Każdy byłby śmiertelny. Nietrudno w ten sposób zabić, ale w tym wypadku ktoś uderzył z ogromną siłą. Laska padła trupem na miejscu. – Pociągnął za bezwładny nadgarstek Zofii tak mocno, że rozsunęły się krawędzie rany na brzuchu.

Adę przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Zaczynała rozumieć, skąd wzięło się przezwisko patologa. Ostentacyjny brak szacunku, z jakim obchodził się z ciałem zmarłej, miał w sobie coś perwersyjnego.

– To już wiemy – odpowiedziała sucho. – Czy znalazł pan coś jeszcze? Coś, co mogłoby pomóc nam w śledztwie?

– Zaraz, skarbie, powolutku. – Zbok wdrapał się na obrotowe krzesło i z jego wysokości obserwował z lubością nagi korpus.

Ada odczuła niepowstrzymaną chęć, żeby okryć Zofię leżącym z boku prześcieradłem. Uniosła jednak tylko głowę i powtórzyła zdecydowanie:

– Coś ważnego?

– Tia… – Obleśny uśmiech nie znikał z twarzy patologa. – Na waszym miejscu, na waszym miejscu – powtórzył z naciskiem, jakby próbował budować napięcie – założyłbym, że zrobił to młody mężczyzna. Wysoki. Nie uderzał z dołu, głowa denatki znajdowała się prawdopodobnie na wysokości jego ramienia. Aha – dodał – ten zbój był praworęczny. Niespecjalnie przydatna informacja, większość ludzi posługuje się sprawniej prawą ręką, ale zawsze warto wiedzieć.

– To wszystko? – zirytowała się.

– W zasadzie tak.

Odwróciła się bez słowa. Kiedy kładła rękę na klamce, usłyszała za sobą skrzekliwy, przepełniony kpiną głos.

– Czekaj, kotku. Powiedziałem „w zasadzie wszystko”, a nie „wszystko”.

Zatrzymała się, pokonując wściekłość.

– Tutaj, widzisz – Zbok wskazał ciętą ranę – to moja robota. Znalazłem w środku coś ciekawego. Możesz sama poszukać, jak chcesz. W tych no… kobiecych miejscach. – Wyciągnął w jej stronę szyję, jak węszący pies.

Ada zacisnęła wargi. Nie odzywając się, prędko zdjęła kurtkę i włożyła silikonowe rękawiczki, a potem sięgnęła ręką do wnętrza ciała Zofii Wagner. Przesunęła dłoń ku dołowi i przez dłuższy czas w skupieniu badała zwłoki. W końcu się wyprostowała.

– Była w ciąży – powiedziała zaskoczona.

– Mądra dziewczynka – ucieszył się Zbok. – Studiowałaś medycynę?

– Nie skończyłam – mruknęła, ściągając rękawiczki.

– Trzeci miesiąc. Albo początek czwartego. Możecie zawiadomić dziadków. – Zachichotał. – W każdym razie – zmitygował się, widząc jej płonący wzrok – w każdym razie powiedzcie rodzinie, że jutro rano powinni ją odebrać.

– Potrzebne nam będą próbki płodu do analizy DNA.

– Nie ma sprawy. – Kiwnął jej przyjaźnie głową, jakby właśnie zostali najlepszymi przyjaciółmi, zeskoczył ze stołka i zniknął na zapleczu.

Ada wyszła z prosektorium spokojnym, równym krokiem. W kieszeni kurtki trzymała jednak zaciśniętą pięść i rozluźniła palce dopiero na dworze. Opierając się o ścianę budynku, wyjęła z torebki komórkę

i kilkakrotnie, bez skutku, dzwoniła do Sawickiego. W końcu wybrała inny numer.

– Jerzy Wójcik?

– Tak – odpowiedział ktoś bardzo cicho.

– Komisarz Adela Rochniewicz. Musimy się natychmiast spotkać. Gdzie pan jest?

– W domu. – Ada zauważyła, że odpowiedzi padają zbyt wolno, jakby każde słowo sprawiało Wójcikowi trudność.

– Proszę się nigdzie nie ruszać. Będę za pół godziny.

Wsiadła do samochodu, zawróciła i ruszyła szybko w stronę Ursynowa.

31

Przed Pałac Mostowskich podjechali przed trzecią. Niebo znowu przysłaniały gęste, szare chmury. Słońce znikło i policjantom zdawało się, że przed południem lśniło jedynie w ich wyobraźni, a burzy gradowej po prostu nie było. W gmachu zapalono światła. W środku panowała dziwna o tej porze cisza, tylko z daleka dobiegał odgłos muzyki i niski, wibrujący śpiew. Zatrzymali się zaskoczeni i rozejrzeli niepewnie po dziedzińcu.

– W dupę – zaklął Rogowski. – Oficjalne występy Chóru Policji Stołecznej. Stary kazał mi przyjść. – Skrzywił się. – Ty pójdziesz – zwrócił się do Chlora. – I ty. – Szturchnął Kapustę. – Ale najpierw spuśćcie tę laskę za kraty. Wy dwaj – ciągnął, patrząc na Sawickiego i Wiktora – zajmijcie się od razu Gruzinem. Ja muszę do lekarza. Chuj mi chyba nos złamał.

Sawicki i Wiktor weszli bocznymi schodami na drugie piętro. Okruszwili miał na głowie płócienny worek. Co chwila potykał się i zatrzymywał, próbując stawiać opór.

– Idź, dziadu! Maszeruj przed siebie! – warczał Sawicki. – No, dalej!

Gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi pokoju przesłuchań i wepchnął Gruzina do środka, po czym usadził go na krześle. Gregor jęknął. Wiktor odwrócił głowę i jednym susem znalazł się przy aresztowanym. Złapał go za szyję, zaciskając worek, a wyraz twarzy miał przy tym tak zawzięty i pełen agresji, że Sawicki drgnął przestraszony.

– Już ci źle, pizdo?! – zapytał. – Widzisz, a nie zaczęliśmy jeszcze rozmawiać… Nie lubisz siedzieć, co? To sobie postoisz. – Poderwał mężczyznę i przykuł kajdankami do odsłoniętej rury z ciepłą wodą. – No – sapnął z satysfakcją. – To ty sobie, kochasiu, tutaj poczekaj, a my pójdziemy zapalić.

Usiadł, oddychając ciężko. Sawicki zadzwonił po dyżurnego policjanta i kiedy ten się pojawił, zostawili więźnia pod strażą i wyszli. Na korytarzu zastali Kapustę, który klarował coś ściszonym głosem skulonej pod ścianą Dagmarze. Sawickiemu przeszło przez myśl, że sekretarka wygląda na przestraszoną. Zbyt był jednak zajęty sprawą przesłuchania, żeby się nad tym zastanawiać.

– A ty nie na koncercie? – rzucił cierpko w stronę Kapusty. – Spiesz się, bo ci kultura koło chuja przejdzie.

Policjant posłał mu kose spojrzenie i ruszył niechętnie w kierunku dobiegającej z dołu muzyki.

Piętnaście minut później Sawicki i Wiktor wrócili na górę i zatrzymali się w korytarzu, obserwując Gruzina przez niewielkie okienko w drzwiach pokoju przesłuchań. Okruszwili stał przy ścianie i kiwał się jak w ataku choroby sierocej.

– Chyba się przestraszył – ocenił Sawicki.

– Zasraniec. – Wiktor uśmiechnął się brzydko. – Jak na brudasa nie jest wcale taki głupi… Mamy mało czasu, trzeba z niego wszystko do rana wyciągnąć. Ty wejdź pierwszy i graj dobrego policjanta. Ja będę zły. Zajrzę do was za chwilę.

Marcin mruknął potakująco, wszedł do pokoju, odesłał dyżurnego, po czym odpiął Gruzina od rury i zdjął mu worek z głowy. Twarz Gregora była purpurowa i zlana potem. Oddychał z trudem.

– Siadaj. – Sawicki wskazał krzesło, a sam zajął miejsce po drugiej stronie biurka. Wyjął protokół.

– Nazwisko?

– Okruszwili.

– Imię?

– Gregor.

– Narodowość?

– Gruzińska.

– Obywatelstwo?

– Gruzińskie.

– Ręce na stół! – wrzasnął niespodziewanie. – I siedzieć prosto!

Gregor się wyprostował.

– Imię?

– Przecież już mówiłem…

– Nie pytam, co mówiłeś, pytam, jak masz na imię!

– Gregor.

– Nazwisko?

– Okruszwili.

– Dobrze, i tak masz odpowiadać.

Sawicki odłożył długopis i wstał. Gregor się nie poruszył, ale uważnie śledził każdy ruch policjanta, spięty i czujny jak złapane we wnyki zwierzę.

– A teraz powiesz mi – Sawicki uśmiechnął się łagodnie – jak zajebałeś Zofię Wagner.

– Nie rozumiem, o co chodzi. – Okruszwili skulił się w sobie.

Sawicki kopnął w krzesło.

– Mówiłem, siedź prosto!

– Adwokata – odpowiedział Gruzin.

– O jakim adwokacie mówisz? – Policjant podniósł głos. – Jakiego adwokata ci się zachciewa, co? Ty nie masz tu żadnych praw, człowieku. Nie jesteś polskim obywatelem. Wiesz, co to znaczy, nikt się o ciebie nie upomni. Możemy cię tu trzymać, ile się nam podoba, rozumiesz? – Zaczerpnął tchu. – Pytam: jak zabiłeś Zofię Wagner? Opowiadaj wszystko od początku do końca. I tak wiemy, że to ty. Jak się przyznasz, dostaniesz lżejszy wyrok. Madina też – dodał zachęcająco.

Gregor milczał.

– Człowieku – warknął Sawicki. – Tu nie ma co ściemniać. Mamy zeznania świadków, że potrzebowałeś pieniędzy, żeby zwiać z Madiną od jej ojca. I ja to w sumie rozumiem. Stary niefajny jest. Bije żonę. O tobie nawet słyszeć nie chciał. Postanowił odesłać dziewczynę i wydać za mąż w Czeczenii za muzułmańskiego fanatyka, co jej zrobi dziesiątkę bachorów i z domu nigdy nie wypuści.

Okruszwili podniósł ze zdziwieniem głowę.

– No widzisz, my wszystko wiemy. Więc zacznij wreszcie gadać, jak było… – urwał, po czym dodał groźnie: – A może ja mam to za ciebie zrobić?

Odpowiedziała mu cisza.

– Słuchaj – tłumaczył. – I tak się z tego nie wywiniesz. Są dowody, są zeznania przeciw tobie i Madinie. Nie unikniecie kary, ale nadal macie pole do negocjacji. Ty masz, bo ona, wiadomo – uśmiechnął się porozumiewawczo – młoda, dziewczyna i słabo mówi po polsku. Od ciebie tylko zależy, co zdecyduje prokurator. Za przyznanie się do winy czeka was lżejszy wyrok: piętnaście, może nawet dziesięć lat – skłamał. – Inaczej wlepią wam dwudziestkę piątkę. Wyjdziesz na wolność o lasce. W więzieniu szybko się człowiek starzeje. Zwłaszcza taki innostraniec, co zabił polską dziewczynę. Koledzy cię za kratami pieścić za to nie będą… –

Zaczerpnął powietrza. – Zastanów się dobrze. Zacznij współpracować, opłaca się.

– Ja niczego nie zrobiłem.

– Jasne, tylko rozwaliłeś łeb Zofii Wagner. Dla twojego dobra, mówię ci, przyznaj się do winy.

Gruzin odwrócił głowę.

– Patrz na mnie! – krzyknął Sawicki.

Siadł na biurku tuż przy przesłuchiwanym i założył nogę na nogę.

– Nie chcesz mówić, no to ci trochę pomogę. Potrzebowaliście kasy na ucieczkę, tak? Więc poszliście we dwójkę prosić Wagner o pożyczkę. Mam rację? Nie, nie musisz nic mówić. Jest świadek, który słyszał, jak się kłóciłeś z denatką w czwartek po południu. Zła pani, co? Nie dała mamony. Jak nie dała, to się podkurwiłeś. Wziąłeś od Madiny klucze, wróciłeś wieczorem i przyłożyłeś dziewczynie w łeb. Tak było?

Gregor się nie poruszył.

Sawicki przysunął się bliżej. Mówił teraz prosto w twarz aresztowanego.

– I myślałeś, że nikt cię nie zauważył, co? A tu skucha, chłopie. Rozpoznał cię sąsiad Wagner. Potrąciłeś go w bramie. Leżysz, bratku, i kwiczysz. Pytanie tylko, czy dostaniesz piętnaście, czy dwadzieścia pięć lat. Wybieraj, co wolisz?

Przesłuchiwany zaczerpnął powietrza.

– Job twoju mat’ – wycedził, nie podnosząc głosu i nie zmieniając wyrazu twarzy, po czym splunął siarczyście na buty policjanta.

Przez ułamek sekundy Sawicki patrzył na własne stopy całkowicie zaskoczony, nie rozumiejąc, co zaszło, zaraz jednak zalała go fala wściekłości. Zamachnął się i z całej siły uderzył Okruszwilego w twarz, kopnął krzesło, zrzucił skutego mężczyznę na podłogę i usiadł mu na piersi.

– Ty zasrańcu czarny, ty… – wysapał, unosząc pięść.

– Ej! – Wiktor wpadł do pokoju i złapał go za ramię. – Miałeś być dobrym policjantem!

Odciągnął Sawickiego na bok, postawił Gregora na nogi i przyjrzał mu się sceptycznie.

– Ty głupi jakiś jesteś, wiesz? – syknął. – Czarny i tępy, jak wszystkie dzikusy. Od razu widać, że z dżungli przyjechałeś. To ty nie wiesz, że jak przy zatrzymaniu uderzyłeś policjanta, to my cię tu możemy na śmierć skatować i nikt nam nic nie udowodni? – Podniósł rękę do zainstalowanej pod sufitem kamery i nacisnął czerwony guzik. Światełko nad obiektywem zgasło. – Zobaczymy, jaki z ciebie kozak.

Gregor zbladł.

– Zdejmuj portki! – wrzasnął Wiktor i kopnął go w udo.

Gruzin krzyknął z bólu.

– No dalej, jazda. Albo sami cię rozbierzemy.

Okruszwili zaczął rozpinać rozporek skutymi rękami.

– Szybciej! – krzyknął Sawicki, podbiegł i brutalnie szarpnął go za ubranie.

Wiktor przyjrzał się z rozbawieniem obnażonemu mężczyźnie.

– No, stary, rekordzistą rozmiaru to ty nie jesteś – mruknął.

Przez chwilę żuł w milczeniu gumę.

Sawicki sapał głośno.

– Zaraz mi tu, kurwo jedna, podpiszesz, że zajebałeś Wagner dla czterech tysięcy.

Wiktor ruszył leniwie w stronę biurka i wyjął z szafki policyjną pałkę.

Okruszwili miał łzy w oczach.

– Na kolana! – ryknął Wiktor i kopnął Gruzina tak silnie, że ten znowu upadł na podłogę.

– Komisarzu Pawlak! – odezwał się kobiecy głos za ich plecami. – Jeszcze jeden ruch, a nie ręczę za siebie.

Obaj policjanci zastygli nad ofiarą. W drzwiach stała Ada i patrzyła na nich z zimną furią w oczach. Zapadła cisza. Po chwili Wiktor uśmiechnął się krzywo, pokazując drobne, żółte zęby.

– I co, zabijesz mnie? – Wyprostował się powoli i zrobił krok w jej stronę.

– Nie – odpowiedziała spokojnie. – Ale złożę doniesienie.

– Pojebało cię! – Sawicki odzyskał głos. – Jakie doniesienie? Zbój złamał Rogowskiemu nos. Myślisz, że się będzie twoim durnym papierem przejmował? Przestań w końcu przeszkadzać, głupia pindo! – Trząsł się ze zdenerwowania.

– Jeśli przeszkadzam, to bardzo przepraszam – sarknęła. – Sądziłam jednak, że chciałbyś to wiedzieć: godzinę temu Jerzy Wójcik przyznał się do zabójstwa Zofii Wagner. Właśnie przywiozłam go do fabryki.

32

Sawicki otworzył drzwi tak gwałtownie, że omal nie zmiażdżył przechodzącej korytarzem Dagmary. Sekretarka odskoczyła z piskiem, z rąk wypadł jej telefon, uderzył o przeciwległą ścianę i rozsypał się na części. Wiktor wyprowadził pobitego więźnia. Sawicki z Adą bez słowa ruszyli w stronę wspólnego pokoju. Kiedy zamknęli drzwi, usiedli naprzeciw siebie i pogrążyli się w kłopotliwym milczeniu.

– Zaparzę kawy – powiedziała w końcu Ada swoim zwykłym, opanowanym głosem.

Podniosła się lekko i sięgnęła po czajnik. Marcin obserwował ją zmęczonym, obojętnym wzrokiem. Wyparowało z niego całe napięcie i podniecenie. Nawet złość i dojmująca świadomość upokorzenia, jakiego doznał na wiadomość o aresztowaniu Wójcika, zniknęły bez śladu. Czuł się tak wyczerpany, że omal nie upuścił gorącego kubka, który mu podała. Ada poklepała go po ramieniu. Nie było w tym ruchu ani cienia protekcji czy goryczy. Był to tylko sztywny, ale najzupełniej szczery gest mający wyrażać wsparcie.

– Muszę wypuścić Madinę – odezwał się cicho. – Okruszwili zostanie i odpowie za czynną napaść na policjanta. Rogowski mu nie daruje, ale spróbuję go trochę udobruchać. Ada – dodał po chwili wahania – wiem, że nie powinienem…

– Nie wypuszczaj jej – przerwała szybko.

Uniósł brwi i odstawił kubek.

– Nie mam podstaw, żeby ją przetrzymywać.

– Dwadzieścia cztery. Musimy sprawdzić przedtem jeszcze jedną rzecz. Nie chciałabym po raz drugi popełnić błędu.

„Nie chciałaby po raz drugi popełnić błędu”, ona, Ada. Znowu wzięła na siebie całą odpowiedzialność za zniknięcie Madiny. Nawet teraz, kiedy rozumiała przecież świetnie, że celowo nie zawiadomił jej o obławie, chociaż wspólnie prowadzili dochodzenie. Nie pozwoliła się przeprosić. Stała przy oknie opanowana, skupiona, gotowa do działania, jakby osobiste zniewagi nie miały znaczenia. Liczyło się tylko śledztwo.

– Zeznania Wójcika mocno mnie niepokoją – podjęła, siadając znowu przy biurku. – Gdy tylko dowiedziałam się od Zboka o ciąży Wagner, pojechałam na Ursynów. Dobijałam się do drzwi przez dziesięć minut. Otworzył w końcu, zarośnięty, ubrany tylko w podkoszulek i majtki. W mieszkaniu panował straszny bałagan. Ale nie miałam wrażenia, że oglądam gromadzony tygodniami brud. To wyglądało raczej… – zastanowiła się – jakby Wójcik w szale powyrzucał książki z półek i rozwlókł po podłodze śmieci.

Sawicki oparł łokcie o blat i zaczął uważnie słuchać.

– Próbowałam z nim rozmawiać; odpowiadał na pytania, ale tak, jakby się upił albo zażył jakieś pigsy. Bredził coś o ciągach liczb pierwszych, pokazał mi zapisane cyframi kartki, a potem rozprawiał o grzesznych myślach, ogniu piekielnym i karze, którą można wyliczyć za pomocą algorytmów.

– Badania?

– Dokładne wyniki dostaniemy rano – odpowiedziała.

Jak to się stało?, jęknął w duchu. Dlaczego nie zadzwoniłem do niej przed południem?

Widział odsłonięty łokieć policjantki, drobne kości pod skórą, lekkie i kruche jak u ptaka. Nie ma usprawiedliwienia, myślał dalej. Zachowałem się podle. Nie cofnę czasu i nie zmienię tego, co już się stało… Na serdecznym palcu Ady błyszczał pierścionek z niebieskim kamykiem. Uderzyła nim o blat, jakby próbowała wyrwać Sawickiego z labiryntu ponurych rozważań i przywołać do rzeczywistości.

– Wiem, że jesteś przemęczony – powiedziała łagodnie. – Straszny dzień. Musisz pojechać do domu i porządnie się wyspać.

Spojrzał na nią z wdzięcznością małego dziecka, któremu została darowana kara.

– Niestety powinniśmy wcześniej załatwić razem jeszcze jedną sprawę.

Czekała bez ruchu, aż da jej znak, żeby dokończyła zaczętą myśl. Przytaknął odruchowo, nie wiedząc, o co chodzi.

– Widzisz, Wójcik mógł się oczywiście czegoś nałykać i stracić kontakt z rzeczywistością, ale ja bym obstawała przy ataku psychotycznym. Wiemy – ciągnęła – że miał problemy, chodził na terapię…

Sawicki poruszył się niespokojnie.

– Sugerujesz, że jego zeznania są nic niewarte?

– Niekoniecznie. Kiedy powiedziałam o ciąży, natychmiast się otrząsnął. Zaczął wypytywać o szczegóły i sensownie odpowiadać na pytania. Potem wstał, przeprosił i wyszedł do łazienki. Po chwili wrócił ubrany, a następnie głośno i wyraźnie oświadczył, iż zabił swoją byłą dziewczynę, Zofię Wagner, i świadomy własnych czynów oddaje się dobrowolnie w ręce policji.

– W takim razie nie do końca rozumiem, o co ci chodzi. Chłopak miał kilka dni na rozważenie sytuacji. Najwyraźniej nie dawał sobie rady z wyrzutami sumienia, więc pił albo łykał prochy i bił się z myślami. Wiadomość o ciąży przeważyła szalę. Przyznał się. *End of story*.

– A jeśli pomieszało mu się w głowie? Znowu wypuścimy uchodźców i za kilka dni się okaże, że to jednak była ich sprawka?

– Boże… To co mamy robić i co właściwie myśleć? – jęknął z rozpaczą.

Skronie ścisnęła mu niewidzialna obręcz, przed oczami zawirowały roje ciemnych płatków. Czyżby zupełnie tracił nad sobą panowanie? Miał uczucie, że zalewa go ciężka jak ołów fala. Chciał wstać, zostawić ten cały bałagan poszlak i domysłów prowadzących w kolejne ślepe uliczki i natychmiast pojechać do domu.

– Nie wiem na razie, co myśleć – podjęła cierpliwie. – Uważam jednak, że zanim wypuścimy Madinę, powinniśmy zyskać pewność, gdzie znajdują się cztery tysiące Zofii Wagner. Trzeba to sprawdzić jeszcze dziś. Wójcikiem zajmiemy się jutro.

Wstała, podeszła do regału i zdjęła z niego pudło z dowodami. Przez chwilę szukała czegoś, po czym położyła na biurku postrzępiony skrawek recepty z niekompletnym adresem.

– Ulice z końcówką „ego”. Szukamy gabinetów ginekologicznych pod numerem siódmym. Zostało niewiele czasu. Dochodzi piąta.

Sawicki rzucił jej szybkie spojrzenie i poderwał się z miejsca.

– Pani Dagmaro! – ryknął, otwierając drzwi. – Pani Dagmaro, proszę wezwać z dołu wszystkich wolnych policjantów.

Podzielili się dzielnicami. Do wpół do szóstej znaleźli jedenaście przychodni i wtedy Ada przerwała pracę.

– Musimy kończyć. Gabinety lekarskie zamykają przeważnie około siódmej – wyjaśniła, dziękując za pomoc pani Dagmarze i dwóm policjantom.

– Interesują nas tylko prywatne kliniki – zwróciła się do Sawickiego. – To zawęża listę do ośmiu pozycji. – Zerknęła na spis adresów. – Musimy

zaryzykować i coś wybrać, wszystkich nie zdążymy dziś ogarnąć. – Zmrużyła oczy, przyglądając się w zamyśleniu mapie Warszawy. – Tu i tu. – Zaznaczyła flamastrem dwa punkty. – Jeden gabinet na Mokotowie, drugi na Żoliborzu, obok miejsca, w którym pracowała Wagner. Najpierw pojedziemy na Mokotów – zarządziła.

Bez słowa założył kurtkę. Na dole Ada ominęła mazdę i podeszła do starego opla. Zauważyła, że Sawicki się waha. Mruknął coś niezrozumiale, a pomiędzy brwiami pogłębiła mu się mała zmarszczka. Zdawała sobie sprawę, że policjant przeżywa kryzys. Pięć dni nieprzerwanej pracy zdołało go wyczerpać. Nie chodziło o ciągnące się, skomplikowane śledztwo, lecz o nagromadzone emocje, których nie umiał nazwać, a tym bardziej rozładować. Teraz szarpały nim wyrzuty sumienia. Pozwolił jej przejąć inicjatywę, słuchał z ostentacyjną uwagą tego, co mówi, i za każdym razem pokornie zgadzał się z jej zdaniem. Wiedziała, że w ich relacji nastąpił przełom. Wskazówka barometru wzajemnej sympatii drgnęła i powoli przechyliła się na jej korzyść. Drżała jednak niepewna i zmienna, gotowa w każdej chwili wrócić do starej pozycji. Ada nie chciała wychowywać Sawickiego. Nie miała też zamiaru niczego mu udowadniać. W rzeczywistości ani jego uczucia, ani sympatie jej nie interesowały. Liczyło się śledztwo. Żeby przebiegało sprawnie, musiała doprowadzić ich wzajemną relację do stanu stabilnej równowagi. Gdyby teraz wykorzystała emocje Sawickiego, pozwoliła mu się tłumaczyć i przepraszać, zasiałaby w jego duszy kolejne ziarno goryczy, które szybko rozrosłoby się w pokaźnych rozmiarów drzewo i wydało na świat cierpkie owoce.

– Ty prowadzisz – powiedziała ugodowo.

Uśmiechnął się i wyjął z kieszeni kluczyki. Minęli Ratusz i Ogród Saski. W okolicach Rotundy ulicę zablokował korek. Sawicki wystawił na dach koguta i włączył syrenę. Samochody niechętnie ustępowały im

z drogi. W szarzejącym zmierzchu rozbłysły kolorowe światła neonów. Chodnikami przetaczała się wezbrana fala pieszych. Wjechali pędem w zbitą, skłębioną materię miasta.

– Mam pewną wątpliwość – bąknął. – Chodzi o pieniądze Wagner… Widzisz, suma pewnie mniej więcej się zgadza, ale…

– Aborcja? – podsunęła Ada.

– Właśnie. Czy za takie rzeczy nie płaci się przypadkiem po zabiegu?

– Masz rację – przyznała natychmiast i z ulgą dostrzegła, że Marcin mocniej chwyta kierownicę.

– Z drugiej strony – ciągnął już pewniej – to jest nielegalne. Lekarz może sobie zażyczyć zapłaty z góry. Gotówką, żeby nie wzbudzać podejrzeń. W zasadzie może sobie zażyczyć czegokolwiek od zdeterminowanej pacjentki. A Wagner była już przecież w trzecim miesiącu. To późno, prawda? Dlaczego czekała tak długo?

Ada wiedziała, że właśnie zdarzyło się coś istotnego. Ich myśli znowu się spotkały. Podążali teraz ramię w ramię wspólnym tropem.

– Nie wiem – odpowiedziała. – I mogę się mylić, ale w tej chwili nie pozostaje nam nic innego, jak sprawdzić tę ewentualność.

Piętnaście minut później stwierdzili ze zdumieniem, że pod numerem siódmym na ulicy Czackiego znajduje się sklep ze sprzętem komputerowym. Niechlujny sprzedawca o przetłuszczonych włosach i zębach pokrytych papierosowym nalotem poinformował ich leniwie, że gabinet lekarski został zamknięty trzy lata temu.

– Potem otworzyli tu jeszcze kawiarnię, ale splajtowali – dodał, wkładając do ust kawałek brudnego sznurka.

Sawicki i Ada wymienili niespokojne spojrzenia. Zapisali aż osiem adresów prywatnych ginekologów, lecz oboje mieli wrażenie, że została im jeszcze tylko jedna szansa. W drodze na Żoliborz niewiele się odzywali.

Sawicki znowu odczuł działanie adrenaliny. Krew szumiała mu w uszach, senność opuściła go całkowicie. Zegarek wskazywał dwadzieścia po szóstej, kiedy z piskiem opon skręcili w ulicę Słowackiego i zaparkowali przed czteropiętrowym budynkiem. Domofon przy wejściu do klatki schodowej nie został oznaczony. Ada wyjęła listę, sprawdziła adres i nacisnęła guzik z numerem trzecim.

– Słucham? – odezwał się kobiecy głos.

– Jestem umówiona z doktorem Głowackim – odpowiedziała pewnie.

Zabzyczał zamek i drzwi odskoczyły. W przerobionym na recepcję przedpokoju siedziała dziewczyna ubrana w jasną koszulę i obcisłą granatową spódnicę. Na widok wchodzących uśmiechnęła się promiennie.

– Państwo dziś we dwójkę? Doktor za chwilę przyjdzie. Proszę poczekać. – Wskazała krzesła pod ścianą.

Ada puściła Sawickiego przodem.

– Policja. – Pokazał legitymację.

Uśmiech kobiety natychmiast zgasł.

– Czy mają państwo listę… – zawahał się – rejestr, spis wszystkich pacjentów? Jakikolwiek dokument zawierający nazwiska kobiet, które się tu badają? – zakończył, postępując krok do przodu i pochylając się nad recepcjonistką.

– Oczywiście – odparła. – Prowadzimy komputerową rejestrację…

– Szukamy osoby o nazwisku Wagner. Zofia Wagner – uściślił. – Chcielibyśmy sprawdzić, czy była państwa pacjentką.

– Ale ja nie wiem, czy… – Zawahała się.

Sawicki spojrzał na zegar ścienny nad jej głową. Minęło wpół do siódmej.

– Proszę nie dyskutować i wykonać polecenie! – krzyknął.

Recepcjonistka otworzyła szeroko oczy i pochyliła się nad monitorem.

– Temkin, Urbańska… Jest: Wagner. Tak, to nasza pacjentka, leczy się regularnie u doktora Głowackiego od dwa tysiące dziesiątego roku…

– O co chodzi? – rozległ się za ich plecami męski głos.

Z pokoju po lewej stronie wyszedł otyły mężczyzna w białym kitlu. Miał okrągłą twarz, bulwiasty nos i trzy gładko ogolone podbródki. Wysunięta dolna szczęka poruszała się na boki z wyraźną irytacją.

– Policja – powtórzył Sawicki. – Musimy z panem porozmawiać.

Lekarz rzucił im niespokojne spojrzenie.

– Proszę do gabinetu – powiedział niechętnie i wskazał otwarte drzwi.

Kiedy weszli, zamknął je starannie i ciężkim, zdecydowanym krokiem ruszył w stronę biurka.

– Słucham – rzucił szorstko, nie prosząc, by usiedli.

– Pańska pacjentka, Zofia Wagner, została zamordowana. Prowadzimy dochodzenie – wyjaśniła Ada.

– To straszna wiadomość. – Ginekolog pobladł gwałtownie. Wyglądał na autentycznie wstrząśniętego. – Znałem ją dobrze. Przychodziła do mnie od kilku lat…

– Zofia była w ciąży – przerwał Sawicki. – Mamy podstawy przypuszczać, że chciała ją usunąć – skłamał. – Czy rozmawiała z panem na ten temat?

Lekarz wyraźnie spiął się w sobie.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – odparł krótko.

– Kiedy widział ją pan ostatni raz?

– Cztery miesiące temu – padła szybka odpowiedź.

Kłamie, pomyślała Ada. Widziała, że Sawicki zmarszczył brwi.

– A to ciekawe – syknął. – Bo denatka była akurat w trzecim miesiącu i nic pan o tym oczywiście nie wiedział?

– Nie.

– Stara pacjentka i nie przyszła do zaufanego lekarza w takiej sytuacji? Rozumie pan, że trudno w to uwierzyć?

Lekarz zachował kamienną twarz.

– W takim razie sprawdzimy, czy mówi pan prawdę. Proszę nam udostępnić kartotekę.

– W takim razie – ginekolog uśmiechnął się cierpko – w takim razie poproszę o nakaz. Moja ewidencja zawiera poufne dane.

Sawicki zacisnął szczęki. Ada się nie odzywała. Stała tuż za jego plecami i pozwalała mu działać.

– Człowieku – warknął. – Wiemy, że Wagner chciała usunąć ciążę. Nie dość tego, brakuje nam czterech tysięcy. Suma jakby się zgadza. Ta kasa stanowi ważny dowód w śledztwie i musimy ją jeszcze dziś zlokalizować. Oczywiście możemy teraz wyjść i wrócić jutro z nakazem, ale jest nam to bardzo nie na rękę.

Ginekolog chciał mu przerwać, ale Sawicki powstrzymał go gestem.

– Co więcej – ciągnął – panu to też nie na rękę. Dziś mnie nie interesuje, jakie zabiegi się tu przeprowadza. Jeśli dostanę odpowiednie informacje, wyjdę i nigdy więcej się nie spotkamy. Ale jutro, jutro sytuacja zmieni się zasadniczo. Przewalimy ten gabinecik do góry nogami. A potem osobiście postaram się, żeby podobne kontrole zdarzały się regularnie przez najbliższych kilka lat.

Lekarz nie odezwał się i usiadł ciężko na krześle. Wysunięta szczęka wydłużyła się i opadła jak niedomknięta szuflada.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Pani Wagner rzeczywiście wpłaciła w zeszłym tygodniu cztery tysiące złotych. Umówiliśmy… – zawahał się –

W każdym razie więcej się nie pojawiła i nie odebrała pieniędzy. Mam nadzieję, że ta informacja państwu wystarczy.

– Wystarczy – odparła krótko Ada. – Do widzenia.

* * *

Sawicki zapalił papierosa. Ada usiadła na masce samochodu. Zdołali rozwikłać tajemnicę zaginionych pieniędzy Zofii Wagner. Jerzy Wójcik przyznał się do winy. Zamknięty w areszcie czekał na jutrzejsze przesłuchanie. Mogli spokojnie wrócić do domów i odpocząć. Trwali jednak nieruchomo, patrząc w dół ulicy z poczuciem ulgi, za którą zaraz pojawiło się ciężkie, obezwładniające zmęczenie. Wieczór był suchy i rześki. Wiatr gonił po niebie niewielkie obłoki. W gałęziach drzew nad ich głowami zakwilił ptak. Najwyraźniej długa zima zmęczyła się w końcu i powoli ustępowała miejsca wiośnie. Sawicki rzucił papierosa. Ada otworzyła drzwi opla od strony pasażera. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na to, że tuż nad ziemią, w otworach studzienek kanalizacyjnych i wzdłuż krawężników gromadzi się znowu gęsty, wilgotny tuman.

33

Z oddali dobiegał cichy, rytmiczny szmer, jak szelest suchych liści albo granie świerszcza. Ów miarowy odgłos wydawał się znajomy, nie potrafiła go jednak zidentyfikować. Dopiero po chwili zrozumiała, że słyszy tykanie zegara. Wskazówki sunęły bez pośpiechu po niewidzialnej tarczy, coraz bliżej i bliżej jej twarzy. Próbowała otworzyć oczy, ale powieki opadły w dół, ciężkie i nieruchome. Opieczętował je strach. Usłyszała tuż przy uchu: „tik-tak, tik-tak”, po czym tykanie skurczyło się, zwinęło w cienką nić i otworem prawego ucha wniknęło do wnętrza jej ciała. Wokół panowała cisza. A w jej głowie „tik-tak” rozbrzmiewało niczym uporczywy, przedśmiertny krzyk cykady. Uniosła powieki. Piasek był zbity, twardy i całkiem biały. Niebo miało czerwony kolor. Nad horyzontem zawisło czarne słońce. Wiedziała, że śni, nie potrafiła się jednak obudzić. Muszę się stąd wydostać, pomyślała. Na pewno się wydostanę, jeżeli będę szła dość długo. Ruszyła przed siebie. Tykanie wewnątrz jej ciała przybrało na sile. Za chwilę miało się zdarzyć coś strasznego. Uniosła dłonie do uszu, zachwiała się, zgięła wpół i wtedy je zobaczyła. Biegły pomiędzy wydmami w stronę horyzontu – drobne, wyraźne tropy. Wstawiła bosą stopę w niewielkie zagłębienie. Zrobiła kolejny krok. I jeszcze jeden. Ktoś szedł przed nią. Ślady idealnie pasowały do jej nóg. Lewa stopa skierowana do wewnątrz, prawa z podwiniętym środkowym palcem, tak jakby sama… Przebiegł ją nagły dreszcz. Zatrzymała się i powoli odwróciła głowę. Z tyłu

rozpościerała się idealnie gładka stromizna wydmy. Uniosła nogę. Zagłębienie pod stopą w mgnieniu oka wypełniło się piaskiem. Skręciła w prawo, potem w lewo. Niezależnie od tego, jak bardzo kluczyła, wciąż widziała przed sobą ten sam świeży trop, który urywał się zaraz za jej plecami. To się dzieje na odwrót, pomyślała z przerażeniem. Cofam się po własnych śladach. Zacieram trop, zamiast go zostawiać. Tykanie w głowie zmieniło się w ostry, wibrujący dźwięk, który rozrywał jej czaszkę. Uwięziona cykada postanowiła wyrwać się na wolność. W powietrzu uniósł się zapach spalenizny. Krajobraz zadrżał od gorącego podmuchu. Ada zachwiała się, straciła równowagę i spadła prosto w płomienie.

Otworzyła oczy. Leżała na plecach we własnym łóżku. Otaczała ją ciemność. Obok skrzeczała uwolniona cykada. Wyciągnęła rękę i schwyciła suche, rozedrgane ciało owada.

– Halo? – wymamrotała półprzytomnie, podnosząc komórkę do ucha.

– Ada? Obudziłem cię?

Wiedziała, że stało się coś złego. Przejechała dłonią po twarzy, odrywając od niej resztki snu.

– O co chodzi?

– Musisz natychmiast przyjechać na Wolę – Sawicki mówił głuchym, drewnianym głosem. – Ktoś podpalił drzwi mieszkania Demilowów. Ta mała… – zająknął się, jakby tłumił szloch – ta ruda dziewuszka ciężko się poparzyła. Nie wiem, co z resztą rodziny…

Spojrzała na zegarek. Dochodziła pierwsza.

– Będę za dwadzieścia minut – powiedziała.

Usiadła i naciągnęła sweter na gołe ciało.

34

Minęła czwarta rano. Znad rzeki wiał silny, przejmujący wiatr. Wilgoć w powietrzu ściął mróz. Temperatura znowu spadła kilka stopni poniżej zera. Ada i Sawicki zaparkowali jednocześnie na dziedzińcu Pałacu Mostowskich, wyszli z samochodów i zatrzymali się przy schodach, w pół drogi do drzwi komendy. Stali tak dłuższą chwilę, kuląc się i dygocąc, jakby bali się odwrócić i zostawić za plecami niestrzeżone szaleństwo i grozę mijającej nocy.

– To moja wina – Sawicki odezwał się głucho. – Moja wina…

Ada nie odpowiedziała. Wyjęła z kieszeni płaszcza kartę magnetyczną, otworzyła bramkę i nie oglądając się, ruszyła korytarzem swoim zwykłym, zdecydowanym krokiem. Powlókł się za nią z wysiłkiem, poruszał się jak w szklanej bańce. Widział przed sobą sunące w powietrzu plecy Ady i miał jej za złe, że zachowała zimną krew, ani przez chwilę nie pozwalając emocjom dominować nad pełną skupienia uwagą. A jednocześnie był jej za to nieskończenie wdzięczny. Wspomnienie ostatnich godzin rozmazało się w jego pamięci w kolorową smugę, jak puszczony zbyt szybko film. Tuż po północy obudził go telefon Rogowskiego. Przez dłuższy czas nie potrafił zrozumieć, co się właściwie stało. Zbierał z podłogi porozrzucane ubrania, krzycząc do telefonu:

– Co? Co ty pierdolisz? Co?!

– Jedź tam, kurwa, natychmiast! – wrzasnął Rogowski i przerwał połączenie.

Olga usiadła na łóżku. Wyciągnęła rękę i mówiła coś w jego stronę z gniewem w oczach. Nie usłyszał. Wyszedł bez wyjaśnienia i bez pożegnania. Dopiero w samochodzie zadzwonił do Ady. Musiała natychmiast wstać i wybiec z domu, bo na Wolę dotarła zaledwie kilka minut po nim. Sanitariusze właśnie wynieśli z kamienicy maleńką, okrytą białym prześcieradłem postać. Pobiegł w stronę noszy i cofnął się przerażony, widząc czerwoną, poparzoną głowę i okaleczoną twarz pod aparatem tlenowym. Spod prześcieradła wystawał nadpalony, martwy kosmyk rudych włosów.

– Co się stało? – zapytał, łapiąc jednego z pielęgniarzy za łokieć.

Mężczyzna szarpnął się z gniewem.

– Proszę mnie puścić! Niosę ranną.

– Policja! Odpowiadać na pytania!

Sawicki postąpił naprzód, czując jednocześnie, że słabnie, że brak mu tchu.

W następnej chwili Ada potrząsała go za ramiona. Widział tuż przed oczami jej zirytowaną, zmarszczoną twarz. Poruszała ustami, jakby próbowała coś mu powiedzieć. Zdobył się na wysiłek, skupił się i w końcu usłyszał.

– To nie jest twoja córka, Marcin! Rozumiesz? To nie twoje dziecko!

Dopiero wtedy oprzytomniał i rozejrzał się dookoła. Stali na wewnętrznym podwórku, przy drzwiach garaży. Pod ścianą domu zaparkował samochód straży pożarnej. Wyciszył syrenę, ale lampa na dachu pozostała włączona. Niebieskie pulsujące światło wyłaniało z mroku ruchliwe ludzkie sylwetki: policjantów, mieszkańców kamienicy stłoczonych wokół trzepaka i kontenera na śmieci, pielęgniarzy

zamykających właśnie drzwi karetki. Obłok dymu częściowo przysłaniał okna na czwartym piętrze. Na ziemi leżało szkło rozbitych szyb. Sanitariusz w zielonym uniformie rozdał koce ubranej jedynie w piżamy rodzinie Demilowów. Asłan odłożył pled na maskę samochodu. Zdawał się nie odczuwać zimna. Rozmawiał z umundurowanym policjantem. Miał osmaloną twarz i czerwone rany na przedramionach, stał smutny, zgarbiony, jakby zapadł się w sobie i w ciągu jednej nocy postarzał o dziesięć lat. Tamara trzymała na rękach synka. Zapłakana ciemnowłosa dziewczynka wciskała głowę pod jej pierś. Sawicki wciągnął w nozdrza gryzący swąd. Zdrowi, pomyślał. Wszyscy cali i zdrowi z wyjątkiem tej rudej. Tej małej Pippi Langstrumpf… Karetka włączyła syrenę i przejechała przez bramę.

– To moja wina – zwrócił się do Ady, szukając w jej twarzy pocieszenia. – To przeze mnie. Kiedy ścigaliśmy Madinę, byliśmy przekonani, że to koniec śledztwa. Rogowski odwołał wszystkich ludzi. Nikt nie pa… pamiętał… – jąkał się. – Zapomniałem zupełnie o zdjęciach w gazecie…

– Uspokój się. – Ada poklepała go po ręce.

Jakby nauczyła się tego gestu z filmów, pomyślał. Jest sztywna i nieczuła. Ani podpalenie, ani cierpienie tej małej nie zdołało wytrącić jej z równowagi. Maszyna, robot, kawał drewna… Mimo to uśmiechnął się do niej z wysiłkiem.

– To nie twoja wina – powiedziała zdecydowanie. – Nie ty podpaliłeś ich mieszkanie, prawda?

– Nie o to chodzi – żachnął się. – My… ja nie dopilnowałem…

W tym momencie podszedł do nich nieznajomy policjant.

– Starszy sierżant Adam Izdebski, IV Komenda Rejonowa.

– Komisarz Adela Rochniewicz, Wydział do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw, Komenda Stołeczna. – Ada wyciągnęła rękę. – Prowadzimy śledztwo w sprawie…

– Wiem – przerwał jej. – Rogowski poinformował nas o wszystkim telefonicznie.

– Co tu się stało? – Sawicki poczuł, że znowu ogarnia go panika. Drżał mu głos.

Izdebski wyjął notes, jakby bez pomocy notatek nie mógł wyjaśnić im sytuacji, i twardym, służbistym tonem począł zdawać relację z przebiegu wydarzeń.

– W toku prowadzonego postępowania wstępnego ustalono następujące fakty. – Odchrząknął. – O godzinie jedenastej czterdzieści pięć otrzymaliśmy telefon od Aldony E., zamieszkałej przy ulicy Górczewskiej piętnaście, lokal trzy. Obywatelka poinformowała, iż na czwartej kondygnacji w jej budynku doszło do umyślnego zaprószenia ognia. Poinformowała również, iż uprzednio wezwała straż pożarną. Znaczy nim do nas zadzwoniła – wyjaśnił Izdebski, unosząc wzrok znad notesu.

Sawicki potarł czoło.

– Z polecenia oficera dyżurnego z komisariatu IV Komendy Policji Rejonowej w Warszawie na miejsce zdarzenia zostało wysłanych trzech funkcjonariuszy. Znaczy ja z kolegami. – Sierżant znowu podniósł wzrok. – Koledzy nadal przebywają na miejscu zdarzenia, znaczy na czwartym piętrze…

Sawicki stracił cierpliwość.

– Człowieku, chory jesteś na głowę? Pojebało cię do reszty? Mówić normalnie w tej waszej rejonowej nie umiecie? Gadaj mi tu natychmiast, co się stało.

Sierżant przełknął ślinę.

– Normalnie. – Podciągnął odruchowo spodnie. – Jakieś zbóje podpaliły drzwi do mieszkania tych Czeczenów. Trzech ich było. Sąsiadka widziała,

jak uciekali. Obok za rogiem jest monitoring. Znajdziemy ich bez problemu.

– Jak wygląda mieszkanie?

– Nie tak źle. – Izdebski ziewnął.

W momencie, w którym porzucił służbisty ton, cała sprawa przestała go interesować.

– Spłonęły drzwi, okna popękane, ściany osmalone, ale poza tym wszystko okej. Ten Demilow jak nic zna się na gaszeniu. Gdyby nie on, całe piętro poszłoby z dymem. Idioci benzynę pod drzwiami w plastikowym kanistrze trzymali.

– A ta mała? Ta, która pojechała do szpitala?

– No właśnie, ona chyba pierwsza się obudziła, spanikowała i próbowała wybiec na klatkę. Spadła na nią półka i jakieś pudła z płonącymi szmatami. Ponoć ojciec wyciągnął ją z ognia w ostatniej chwili. I mądrze zareagował, do zimnej wody ją wsadził, lekarz tak mówił… W każdym razie reszcie nic się nie stało. Tylko stary ma ręce poparzone, ale niegroźnie. Nawet tknąć się sanitariuszom nie dał. – Izdebski ziewnął po raz kolejny.

Sawicki z trudem powściągnął irytację.

– Do którego szpitala?

– Co?

– Do którego szpitala odwieźli dziewczynkę?

– No chyba Wolskiego, będzie najbliżej…

– Jedziemy – zwrócił się do Ady.

– Czekaj – powstrzymała go. – Trzeba najpierw zadzwonić do fabryki, żeby zwolnili Madinę. Ona nadal siedzi w areszcie, prawda? Niech jej powiedzą o pożarze i odwiozą… – zawahała się – niech ją odwiozą tam,

dokąd im powie. Poza tym warto załatwić Demilowom przyzwoity nocleg. Ta mała jest w szpitalu pod dobrą opieką, a oni tu marzną. Musimy skontaktować się z Anitą Kalinowską.

Po pierwszej gwar na podwórku zaczął powoli cichnąć. Strażacy odjechali. Policjanci z komendy na Woli kończyli spisywać protokół. Mieszkańcy kamienicy, którzy wcześniej stali zbici w nerwowe, rozgadane grupki, rozeszli się do domów. Jedna z sąsiadek zaprosiła Demilowów na herbatę. Ada poszła obejrzeć ich mieszkanie. Sawicki zapalił papierosa. Zaciągnął się, podniósł głowę i spojrzał w zachmurzone niebo, na którym nie było widać ani jednej gwiazdy. Potem przeniósł wzrok na ciemne, osmalone otwory okien. Zadzwoniła komórka. Anita Kalinowska zimnym, pełnym nieskrywanej pretensji tonem oznajmiła, że przygotowała już miejsca noclegowe w Słonecznym Domu.

– Czy jest pan z siebie zadowolony? – zapytała na koniec.

Nie odpowiedział. Przygniótł butem niedopałek i szybkim krokiem przeciął podwórko.

Pół godziny później wiózł rodzinę Demilowów w kierunku Słonecznego Domu. Dzieci zmęczone płaczem usnęły. Ani Tamara, ani Asłan się nie odzywali.

– Bardzo nam przykro – powiedział, parkując przy bramie boiska. – Gdybyśmy mogli w czymś pomóc…

Demilow obrzucił go ponurym spojrzeniem, wziął na poranione ręce córeczkę i wysiadł. Sawicki czekał, aż wejdą do budynku. Szli powoli wzdłuż parkanu i wyboistym chodnikiem do oświetlonych drzwi, w których stała Anita Kalinowska. Tuż obok zaparkował radiowóz. Wyskoczyła z niego długowłosa dziewczyna, pchnęła furtkę i rzuciła się pędem, przecinając na ukos trawnik i boisko. Dwie odległe postaci zatrzymały się

w połowie chodnika. Dziewczyna dopadła do nich. Rodzina zbiła się w ciemną, nieruchomą gromadkę. Stali przez kilka sekund, a potem ruszyli w kierunku frontowych drzwi. Sawicki westchnął, przekręcił kluczyk w stacyjce i zawrócił w stronę Górczewskiej.

Ada siedziała na stercie cegieł przy bramie wjazdowej od ulicy. Dochodziła trzecia.

– Niczego nowego się nie dowiedziałam – powiedziała, wstając. – Kilku młodych ogolonych typków, w sportowych ubraniach. Można się było tego spodziewać… Sąsiadka nie widziała ich dokładnie, ale nie mieli zasłoniętych twarzy. Tu wszędzie są kamery. – Zatoczyła ręką koło. – Podobno zainstalowano je rok temu ze względu na wysoką przestępczość w okolicy. Na pewno ich znajdą… Odwiozłeś Demilowów? – zapytała po krótkiej przerwie.

Skinął głową.

– Widziałem, jak chłopaki przywieźli Madinę. Wygląda na to, że od razu pogodziła się z rodziną. W każdym razie rozmawiała z ojcem…

Syknął, zabolało go ramię. Odpiął suwak kurtki i górne guziki koszuli. Przy obojczyku zobaczył ciemny ślad palca.

– To ja – przyznała Ada. – Przepraszam, straciłeś nad sobą panowanie. Zacząłeś się szarpać z sanitariuszem. Wołałeś swoje córki, Hanię i Tosię, pamiętasz?

Patrzył na nią zdumiony.

– Ale dlaczego? Jak to?

– Nie wiem – przerwała. – Może coś złego w twoim życiu ma się dopiero wydarzyć…

Drgnął przerażony i chciał gwałtownie zaprotestować, ale napotkał tylko obojętny wyraz jej twarzy, któremu towarzyszyło lekkie wzruszenie

ramion. Uprzytomnił sobie, że nie jest pewny, czy rzeczywiście usłyszał ostatnie zdanie, czy tylko je sobie wymyślił. Czuł się nieskończenie zmęczony. Podmuchy lodowatego wiatru wyjaławiały go doszczętnie, usuwały z przemarzniętego ciała resztki energii niezbędnej do myślenia. Było ciemno. Stał i patrzył na Adę. Noc wydobyła szczegóły, których nie dostrzegał za dnia: dziwne, metaliczne błyski jej oczu, płaczliwy grymas ust, nieregularną kreskę brwi. Miał wrażenie, że zapada się w mrok jak w ruchome piaski. Oddech zaczepił się gdzieś, zaplątał w nagie gałęzie krzewów forsycji. Nie mógł go oderwać…

– Teraz pojedziemy do szpitala – zdecydowała.

Posłusznie ruszył za nią w kierunku zaparkowanych samochodów.

* * *

Do szpitala dojechali w ciągu następnych dwudziestu minut. Lekarz dyżurny był zajęty, ale pielęgniarka, niska rumiana kobieta w wełnianym swetrze narzuconym na kitel i białych chodakach na nogach, wyjaśniła, że Zulę Demilową przyjęto na oddział intensywnej terapii. Dziecko znajdowało się w ciężkim stanie. Poparzenia były powierzchowne, ale rozległe i groziły częściową martwicą tkanki skórnej tułowia i głowy.

– Myślę, że mała przeżyje – powiedziała. – Ktoś, kto wyciągnął ją z płomieni, zareagował właściwie. Pielęgniarze zastali ją zawiniętą w czyste prześcieradło i okrytą kocem. Nie wychłodziła się. Na razie nie widać śladów zakażenia. Ale z ostateczną oceną sytuacji trzeba poczekać do rana. Jedno nie ulega wątpliwości, dziewczynka będzie oszpecona do końca życia…

Rozległ się dzwonek w dyżurce i pielęgniarka pospiesznie odeszła. Sawicki usiadł na krześle pod ścianą i ukrył twarz w dłoniach. Ada stanęła obok.

– Napijmy się kawy – zaproponowała i szturchnęła go lekko w ramię, jakby próbowała niezdarnie dodać mu otuchy. – Na dole widziałam automat.

– To moja wina – jęknął. – Po tylu latach pracy jak mogłem nie pomyśleć? Jak mogłem być aż tak głupi?

Czuł się jak odurzony alkoholem. Pojawiła się w nim natarczywa, ckliwa potrzeba szczerości. Siedząc w szpitalnym korytarzu, gotów był otworzyć się i wyznać jej całą prawdę o sobie, a potem czekać na oczyszczające rozgrzeszenie. Jestem upartym, tępym, nadętym bucem, myślał. Powinienem coś zrobić, natychmiast. Zadzwonić do gazet, do telewizji. Złożyć samokrytykę. Zrezygnować z pracy… Uniósł głowę. Ada, nie oglądając się za siebie, ruszyła w kierunku schodów.

* * *

Przed czwartą dotarli do komendy. Żadne z nich nie myślało o powrocie do domu, chociaż oboje potrzebowali snu. Za kilka godzin powinni przeprowadzić wstępne przesłuchanie Jerzego Wójcika i na tej podstawie odtworzyć przebieg tragicznych wydarzeń w mieszkaniu Zofii Wagner. Rogowski zapowiedział zebranie na dziesiątą trzydzieści. Miał w nim również uczestniczyć Modzelewski. Wszyscy w sekcji spodziewali się ostatecznego zamknięcia śledztwa.

Sawicki wyjął z kieszeni czekoladowy batonik.

– Zjesz pół? – zaproponował, siadając przy biurku.

Ada uśmiechnęła się i swoim zwyczajem nie odpowiedziała. Przemknęło mu przez głowę, że zabrzmiał jak mały chłopczyk, który wychodzi z propozycją przyjaźni w piaskownicy, i ku własnemu zdumieniu odkrył, iż owo skojarzenie wcale go nie peszy. Zrzucił buty i skarpetki, wyprostował nogi. Był całkowicie wyczerpany, ale nie potrafił się uspokoić

ani zapomnieć widoku małego poranionego ciała, które leżało bezwładnie na noszach.

– Co za kurewstwo, co za jebane, nieprawdopodobne skurwysyństwo! – Zazgrzytał zębami. – Kto mógł zrobić podobną rzecz? Dziecku? Wyobrażasz sobie, małej dziewczynce?

Ada, która właśnie włączała czajnik, odwróciła do niego szarą, zmęczoną twarz. Dopiero teraz zauważył, że nie ma makijażu. Wyglądała zdecydowanie starzej niż zwykle: przezroczyste, pozbawione koloru usta, oczy podbite ciemnym sińcem, zwiotczała skóra na szyi i dekolcie.

– To przypadek, że akurat ucierpiała Zula. Napastnicy nie kierowali agresji przeciw dzieciom, tylko przeciw uchodźcom.

– Niemniej skrzywdzili dziewczynkę – odpowiedział zdumiony. – Naprawdę tego nie pojmujesz? Całkowicie bezbronną…

– Nie sądzę, żeby w sytuacji, kiedy płonie dom, dzieci były bardziej bezbronne niż rodzice – przerwała sucho.

– Co ty gadasz? – Wyprostował się. – Krzywda wyrządzona dzieciom to coś znacznie gorszego niż krzywda dorosłych. To chyba oczywiste? Każdy tak uważa.

– Ja nie. – Usiadła, trzymając w ręku parujący kubek. – Dlaczego miałabym współczuć bardziej małym ludziom niż dużym? Dokładnie tak samo odczuwają ból. Dzieci mają większe głowy w stosunku do reszty ciała, mały, wklęsły nos, wysokie czoło, duże, okrągłe oczy o bardziej intensywnym kolorze – recytowała. – Od dawna wiadomo, że są to cechy, które wywołują rozczulenie. I nie tylko u ludzi. Jeśli przyjrzysz się kociętom albo szczeniakom, zauważysz podobieństwa. Tak działa ewolucja. Twoje wzruszenie to reakcja ściśle zaprogramowana przez naturę w celu przetrwaniu gatunku. Nie ma nic wspólnego z racjonalnym myśleniem.

Był tak zdziwiony, że odebrało mu głos. Przez dłuższy czas wpatrywał się w nią bez słowa.

– Więc jej nie żałujesz? – zapytał w końcu. – Nic cię ta mała nie obchodzi?

– Żałuję – przyznała. – Ale tak samo współczułabym jej matce albo ojcu, gdyby to oni ulegli wypadkowi.

– Przecież Zula została poraniona i trwale oszpecona na samym początku życia… – oponował.

– I właśnie dlatego że jest mała, lepiej sobie z tą sprawą poradzi. – Ada odstawiła kubek. – Zostanie w Polsce, nikt nie spróbuje wysłać jej do Czeczenii i wydać za mąż. Z poparzoną twarzą i bez znajomości polskiego Tamara czy Madina nigdy nie znalazłaby tu pracy. Zula skończy szkołę; ma dużo czasu, żeby przywyknąć do swego wyglądu i znaleźć sposób, żeby się z nim pogodzić.

Chciał protestować, otworzył usta, ale niespodziewanie zalała go ciężka jak ołów, dusząca fala zmęczenia. Wszystko jedno, pomyślał, opuszczając powieki. Jest mi najzupełniej wszystko jedno, co ona sobie myśli…

– Muszę się zdrzemnąć – mruknął.

– W porządku – odpowiedziała, wstając. – Jadę do domu. Wrócę do fabryki przed dziewiątą i wspólnie przesłuchamy Wójcika.

Usłyszał jeszcze trzaśnięcie drzwi i oddalające się kroki, a potem zapadł w głęboki, pozbawiony majaków sen.

35

Głos odezwał się w poniedziałek rano, kiedy wracał pociągiem z Puław. Nie był pewny, czy słyszy jedną osobę, czy kilka nakładających się narracji. Nie miało to większego znaczenia, bo wszystkie powtarzały to samo.

– Jesssteś zły – usłyszał wyraźnie. – Jesssteś podłym, marnym człowiekiem. Robakiem, który nie zasługuje na to, aby żyć.

Z początku myślał, że mówi do niego współpasażer, korpulentny, ubrany w przyciasną marynarkę mężczyzna, który siedział przy oknie i przeglądał gazetę. Spojrzał na niego zdumiony, ale pulchny człowieczek założył jedną tłustą, krótką nóżkę na drugą i czytał w skupieniu, nie zwracając uwagi na otoczenie. Jerzy opuścił wzrok.

– Ty idioto, ty sssssskończony debilu!

– Czego pan chce?!

Mężczyzna podniósł głowę.

– Słucham?

Jerzy był pewny, że uśmiecha się złośliwie.

– Zzzzzzakłłłamany potwór!

– Sądzi pan, że może obrażać ludzi bez powodu?

Uśmiech na ustach mężczyzny zmienił się w ohydny, zwierzęcy grymas.

– Nie bardzo rozumiem, ty debilu, ty chory idioto, o co chodzi?

– Jak pan śmie!

Mężczyzna wstał, zdjął z wieszaka płaszcz i sięgnął po walizkę.

– Spójrz na siebie – mówił, otwierając drzwi. – Jesteś gównem, kurewskim, bezwartościowym śmieciem. Potwór, gówno, gówno, kawał gówna. Nigdy się nie zmienisz.

Wyszedł z przedziału, ale głos nie ucichł. A właściwie głosy, bo teraz mówiły równolegle.

– Powinieneś wyskoczyć z pociągu – oświadczył pierwszy.

– Tak – przyznał drugi. – Nie zasługujesz na to, aby żyć.

Trzeci ograniczał się tylko do epitetów.

– Żałosssssssssny, pierdolony kundel. Najgorszszszsza pomyłka Stwórcy. Zło, zło i podłość.

Jerzy zaczął się pocić i trząść jak w gorączce. Postanowił opuścić przedział. Głosy wypełzły za nim na korytarz, a stamtąd do Warsu i na peron, kiedy pociąg wtoczył się w końcu na stację Warszawa Centralna. W autobusie słuchał wyzwisk i najgorszych obelg szeptanych wprost do ucha. Wiedział, że na nie zasłużył. Wiedział, że nigdy już nie uda mu się ich pozbyć.

Po powrocie do domu wziął prysznic, założył świeże ubranie i pojechał do Pałacu Mostowskich na przesłuchanie. Policjantka wyglądała przyjemnie. Głosy zdawały się ją lubić albo przynajmniej szanować. Uspokoiły się i przycichły. Jerzy był zadowolony z przebiegu rozmowy. Odpowiadał na pytania dokładnie tak, jak wcześniej zaplanował, nie dał się wytrącić z równowagi. Tylko pod sam koniec, kiedy padło pytanie o psychologa, głosy zaczęły się denerwować i podniosły wrzawę, którą z trudem zdołał opanować. Nie sądził jednak, żeby komisarz Rochniewicz cokolwiek zauważyła. Rozmawiała tylko z nim, nie zwracając uwagi na otaczające ich szmery i szepty. Dlatego doszedł do wniosku, iż przekaz, który otrzymuje, jest skierowany wyłącznie do niego. Nikt więcej nie mógł

słyszeć głosów. Mijając bramki na parterze i otwierając ciężkie drzwi komendy, pojął niespodziewanie, że oto właśnie kontaktuje się z boską istotą, która doskonale znała każdy, najmniejszy szczegół jego życia.

Dochodziło południe. Deszcz, który padał przez cały ranek, zamienił się w uporczywą, ćmiącą mżawkę. Jerzy przystanął na podjeździe. Zdziwiła go panująca na dworze cisza. Daleko, po przeciwległej stronie placu, przejechał tramwaj, ale sunął lekko i bezgłośnie. Przy wejściu do metra dostrzegł ciemną sylwetkę mężczyzny, który zbiegł po schodach i zniknął w podziemiach. Plastikowy kubek po coca-coli wypadł z przepełnionego kosza i potoczył się po chodniku. Potem znowu zapadła cisza i całkowity bezruch. Pomyślał, że Warszawa minionej nocy umarła… Ruszył przed siebie pustą ulicą. Od rzeki powiał wiatr. I najwyraźniej to chłodne, wilgotne tchnienie obudziło śpiące miasto. Zapłonęły światła w sklepach spożywczych. Na trawniki i skwerki wylegli spacerowicze z psami. Zatrąbił autobus. Jerzy szedł uparcie przed siebie, nie oddalając się jednak od centrum. Dotarł piechotą do Łazienek, a stamtąd wzdłuż Wisły wrócił na Stare Miasto; około trzeciej znalazł się w Ogrodzie Saskim. Usiadł na ławce, obserwując pokrytą krą taflę stawu i drepczące po lodzie kaczki. Kra układała się w regularne geometryczne wzory. Patrząc na głodne, zmarznięte ptaki, zastanawiał się, skąd pochodzą głosy, które słyszy w swojej głowie. Były groźne, wzbudzały przerażenie, bez przerwy obrażały go i oskarżały, Jerzy wiedział jednak, że mają rację. Ich siła paraliżowała go całkowicie, ale jednocześnie wzbudzała nabożny szacunek, jakby przemawiała do niego prastara, obdarzona nieskończoną mądrością istota.

– Pooooootwór. Pierdolony chuj. Ona wiedziała, wieeedziała, ty sssukinsynu.

Nad stawem przefrunęła wrona. Głosy brzmiały teraz jak zdarta płyta. Jerzy z trudem rozróżniał pojedyncze słowa.

– Myśl pozytywnie, żyj kreatywnie, a życie w końcu z brudu cię dźwignie. Trele morele. Złote gwinee. Gówno, gówno. Żryj je równo. Żyj kolorowo, optymistycznie, aby zaśpiewać nieco lirycznie. Ruchaj się, kichaj i marnie zdychaj.

Głosy przybrały na sile. Wrzeszczały teraz, obrzucając go najohydniejszymi wyzwiskami. Muszę zrozumieć, skąd się biorą, pomyślał, i w tym momencie uprzytomnił sobie, że ważna informacja na temat głosów została zaszyfrowana w kodzie kreskowym rachunku ze sklepu H&M. Rachunek znajdował się gdzieś w jego mieszkaniu. Jerzy nie pamiętał gdzie.

– Twoja własssssna apokalipssssa. Nie prymitywnie i nie naiwnie do celu zmierzaj, ruszaj się dziwnie. Trąbka, bombka, ty potworze, nikt ci teraz nie pomoże. Góóóówno!

Wiadomość przekazana za pomocą głosów wychodzących z brzucha otyłego mężczyzny w pociągu linii Puławy–Warszawa Centralna stanowiła idealną, klarowną informację.

– Ty chchchuju!

Wtedy to do niego dotarło. Zrozumiał w końcu, że głosy pragnęły śmierci Zofii, a on je wyczuł. Zrozumiał i wykonał zlecenie kilka dni przed tym, nim się do niego odezwały. Jerzy wstał z ławki i ruszył w kierunku metra z mocnym postanowieniem, że odnajdzie rachunek i brakujący kod kreskowy.

Poszukiwania zajęły mu całą dobę. Sprawdził kieszenie wszystkich ubrań, przekartkował książki, drobiazgowo przejrzał kosz na śmieci, a nawet zawartość apteczki i kuchennych szafek. Przez cały czas nic nie jadł. Czuł się wyczerpany i bardzo śpiący. Głosy nie pozwalały mu

odpocząć. Gdy tylko próbował się położyć albo przynajmniej na chwilę usiąść, podnosiły wrzawę. Nie potrafił znieść ich krzyku, podrywał się więc natychmiast i wracał do poszukiwań. W końcu postanowił zerwać wykładzinę dywanową i wtedy właśnie znalazł rachunek wciśnięty za drewnianą listwę. Przeniósł go delikatnie na biurko i rozprostował na blacie, a potem włączył Internet. W kodzie kreskowym powtarzała się cyfra siedem. Wiedział, że odnajdzie w sieci odpowiedni klucz potrzebny do rozszyfrowania kodu. Przez osiemnaście godzin nie odchodził od monitora, przejrzał tysiące stron, blogów i portalowych dyskusji. Był bliski rozwiązania zagadki, kiedy zadzwoniła policjantka.

– Muszę znowu z panem porozmawiać – powiedziała. – Proszę się nigdzie nie ruszać, zaraz przyjadę.

Nie protestował. Gdzie miałby iść? Gdy tylko odwracał wzrok od monitora, głosy podnosiły potworny wrzask. Siedział przykuty do biurka. Policjantka pojawiła się po dwudziestu minutach. Weszła do mieszkania i nie chciała odejść, chociaż próbował tłumaczyć, że musi rozwiązać ważny algorytm. Słuchała wyjaśnień, wpatrując się w jego twarz dziwnym, natarczywym wzrokiem. Głosy zaczęły się niepokoić. Skomlały i powarkiwały.

– Uderz ją. Uuuuuderz, ty sssssukinsynu! Chuju, gnooooju!

Zaczął drżeć na całym ciele. Znowu obficie się pocił. Bóg jeden wie, co mogło się zdarzyć, gdyby policjantka w porę nie poinformowała go o ciąży Zofii. Wtedy głosy przycichły, a on zrozumiał, że nie pojawiła się w jego życiu przypadkiem. Wiedział już, co powinien zrobić. Duch Święty, posługując się głosami, powołał komisarz Adelę Rochniewicz na wykonawcę swojej woli. Policjantka oczywiście o niczym nie wiedziała, stanowiła jedynie ślepe narzędzie w boskiej dłoni. Jerzy przeprosił, wyszedł

do łazienki, założył czyste ubranie, a po powrocie do pokoju spokojnie przyznał się do winy.

Noc w areszcie nie należała do przyjemnych. Głosy wrzeszczały, przeklinając i drwiąc z jego położenia.

– I co teraz zrobiszszsz, dupku? Jak stąd wyjdziesz? Nigdy nie wyjdzieszsz, sssssukinsynu pierdolony, jebana pizdo, złamany kutasie! Sssspójrz na siebie, jesteś żałosny! Żżżżżałosny, odstręczający, żenujący robak, gnida, wesz!

Jerzy nie zmrużył oka. Nie tknął też śniadania, które przyniesiono mu wczesnym rankiem. Chodził po celi. Ruch przynosił ulgę. Tak mu się w każdym razie zdawało. Około dziewiątej doprowadzono go na drugie piętro i usadzono w niewielkim pomieszczeniu bez okien. W pokoju stał przyśrubowany do podłogi stół i trzy krzesła. Na suficie bzyczała jarzeniówka w metalowym koszu, na ścianie wisiał prostokątny zegar elektroniczny. Jerzy wiedział, że czeka na przesłuchanie. Dokładnie siedem po dziewiątej drzwi otworzyły się gwałtownie i wszedł przez nie wysoki, otyły mężczyzna. Miał na sobie przepoconą flanelową koszulę, dżinsy i sportowe buty wsunięte na bose stopy. Był nieogolony, rude włosy sterczały nad uszami. Wyglądał, jakby spał w ubraniu i przed chwilą wstał z łóżka.

– Komisarz Marcin Sawicki – przedstawił się. – Wczoraj przyznał się pan do zabójstwa Zofii Wagner. Chciałbym spisać zeznania.

Jerzy milczał. Rudy policjant mu się nie podobał. Głosy zasyczały podejrzliwie.

– Zacznijmy od początku. – Sawicki wyciągnął protokół. – Jak się pan nazywa?

Nie odpowiedział.

– Nazwisko? – powtórzył policjant.

– Skuuuuurwiel! Duuuupek! – głosy podjęły chórem. – Ruuuuuda małpa!

– Proszę odpowiadać na pytania! Jak się pan nazywa?

– Cccccciota! Ciota! Męska kurwa!

Jerzy starał się za wszelką cenę panować nad głosami. Grube krople potu wystąpiły mu na czoło.

– Proszę pana, przyznał się pan do popełnienia bardzo poważnego przestępstwa. Czy podtrzymuje pan wczorajsze oświadczenie?

– Rudy peeeedryl!

– Czy byłaby możliwość… – Jerzy mówił z wysiłkiem, każde słowo sprawiało mu trudność. – Czy mógłbym porozmawiać z policjantką, która mnie aresztowała?

Sawicki westchnął, spojrzał na niego z rezygnacją, po czym wstał i machnął w kierunku kamery. Po kilku minutach do pokoju weszła komisarz Rochniewicz. Jerzy pamiętał jej nazwisko.

– On nie chce ze mną rozmawiać. – Policjant zakołysał się lekko w tył i w przód. – Prosił, żebyś przyszła. – Odsunął krzesło i usiadł w wyczekującej pozie, najwyraźniej ustępując pola swojej koleżance.

Głosy przestały warczeć, powietrze falowało łagodnie wokół drobnej postaci policjantki. Jerzy odetchnął spokojniej.

Ada włączyła dyktafon i wzięła do ręki długopis.

– Nazwisko?

– Wójcik.

– Imię?

– Jerzy.

– Wczoraj przyznał się pan do zabójstwa swojej byłej dziewczyny, niejakiej Zofii Wagner, czy podtrzymuje pan zeznania?

– Jak najbardziej.

Głosy wybuchły piskliwym, lżącym śmiechem.

– Z jakiego powodu dokonał pan przestępstwa?

– Nie jestem jeszcze do końca pewien. Sądzę, że z nakazu Ducha – odpowiedział spokojnie.

Policjantka uniosła brwi.

– Z czyjego nakazu?

– Ducha Świętego.

– Kim jest Duch Święty?

– Bogiem oczywiście – wyjaśnił cierpliwie, choć odpowiedź dla wszystkich powinna być przecież oczywista.

– Czy są wyniki badań? – tym razem zwróciła się do rudego policjanta.

– Ani śladu alkoholu czy innych substancji odurzających. – Westchnął, podając jej świstek.

– W porządku. – Skrzywiła się i posłała mu długie, znaczące spojrzenie. – W takim razie – wróciła do rozmowy z Jerzym – w takim razie proszę mi wyjaśnić, w jaki sposób Duch Święty się z panem kontaktował.

– Przez głosy. Bezpośredni kontakt nastąpił za pomocą przekazu dźwiękowego.

– Dźwiękowego?

– Tak – tłumaczył, coraz bardziej zdenerwowany. – Głosy przekazały mi wiadomość.

Policjantka przełknęła ślinę.

– I kiedy ten kontakt nastąpił?

– W poniedziałek, czwartego marca, dokładnie o godzinie siódmej dwadzieścia jeden, w pociągu na linii Puławy–Warszawa Centralna.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– W takim razie spotkał się pan z Duchem Świętym po śmierci Zofii Wagner, a nas interesuje moment jej zabójstwa – przerwał rudy policjant.

Głosy wrzasnęły wściekle. Jerzy nie odpowiedział.

– Proszę mi to wyjaśnić – podjęła Ada. – W jaki sposób ten… Duch Święty mógł mieć coś wspólnego z przestępstwem, skoro skontaktował się z panem czwartego dnia po śmierci ofiary?

– Dzdzdziwwwwka! Niewyruchana sucz!

– Zawirowania czasoprzestrzenne – odpowiedział ostrożnie.

Był to jeden z terminów, które udało mu się odnaleźć w Internecie.

– Kurwa! Chuda kurwa!

Policjantka wpatrywała się w niego w milczeniu. Sawicki pocierał dłońmi twarz.

– Dobrze. – Nabrała głęboko powietrza. – W porządku, Jerzy. Potem to wyjaśnimy. Teraz powiedz nam tylko, jak doszło do zdarzenia. W jaki sposób zabiłeś Zofię Wagner? Zacznij może od momentu, kiedy po raz pierwszy przyszło ci do głowy, że chciałbyś jej zrobić krzywdę.

– Zadzwoniła do mnie w czwartek rano. Nie wiem, czego chciała, wydawała się zdenerwowana. Prosiła, żebym wpadł wieczorem. Zgodziłem się.

– To wiemy.

– Wtedy właśnie przyszło mi do głowy, że mógłbym ją zabić.

– Z nakazu Ducha Świętego?

– Nie – zirytował się. – Wtedy nie wiedziałem, że kieruje mną Duch. Usłyszałem jego głos dopiero kilka dni później, już to pani tłumaczyłem.

Uniosła brwi i zapisała coś w protokole.

– W takim razie dlaczego chciałeś zamordować Zofię?

– Zerwała ze mną. Bardzo z tego powodu cierpiałem. Podejrzewałem, że ma nowego kochanka. Czułem się upokorzony. Właściwie nie chciałem jej zabić, tylko nastraszyć, poniżyć tak samo, jak ona mnie poniżyła.

– Wiedziałeś, że jest w ciąży?

– Nie – odparował ze złością.

Policjantka okazała się naprawdę mało rozgarnięta.

– Dobrze… – Przełknęła głośno ślinę. – Skupmy się na samym zabójstwie. Co wydarzyło się tamtego dnia?

– Nic. – Podrapał się po policzku. – Nic. Pojechałem do niej około siódmej. Drzwi do domu były niedomknięte, drzwi do mieszkania – otwarte. Wszedłem i… – Zawahał się.

– I co?

– Pokłóciliśmy się… Chyba… Zdenerwowałem się i uderzyłem ją w głowę.

– Czym?

– Nie rozumiem?

– Czym uderzyłeś Zofię?

– Ty jebana dziwwwwwko! – zawyły glosy.

– Coś ciężkiego leżało w przedpokoju… – Próbował zebrać myśli. – Młotek. Tak, uderzyłem ją młotkiem.

– Czyli rozmawialiście wcześniej, stojąc w przedpokoju?

– Właśnie.

– O czym?

– Słucham?

– O czym mówiliście?

– Nie pamiętam. Po prostu wkurzyła mnie i ją zabiłem. Przyznaję się. Czy to nie wystarczy?

– Posłuchaj. – Ada Rochniewicz położyła dłoń na blacie stołu. – Chciałabym, żebyś się skupił i dokładnie odtworzył przebieg zdarzenia. To ważne. Twoje zeznania muszą się zgadzać z tym, co zastaliśmy na miejscu zbrodni.

– Nawet jeśli się przyznaję?

– Nawet.

Zapadła cisza. Sawicki mrugał oczami, Ada oparła brodę na dłoni.

– Twierdzisz – podjęła w końcu – twierdzisz, że Zofia powiedziała coś, co cię zirytowało. – Mówiła wolno, wyraźnie, jakby zastanawiała się nad każdym słowem. – Wtedy chwyciłeś ciężkie narzędzie i zadałeś jej cios w głowę, tak?

– Zgadza się.

– Nie przyniosłeś młotka ze sobą, był własnością Zofii Wagner i leżał w przedpokoju? Chwyciłeś go pod wpływem impulsu?

– Tak.

– A więc z tego wynika, że zabiłeś Zofię w przedpokoju?

– Jesssteś idiotą, iiiiidiotą!

– Nie. – Jerzy czuł coraz większe napięcie. – Zabiłem ją w łazience. Może uciekła. Tak. Właśnie tak zrobiła, uciekła do łazienki, a ja za nią pobiegłem.

– Broniła się?

– Trochę – przyznał niepewnie.

– Co zrobiłeś z narzędziem zbrodni?

– Rzuciłem na podłogę – odpowiedział natychmiast.

Ada nabrała głęboko powietrza.

– Jeszcze chwila i kończymy. Damy ci spokój.

Jerzy uznał, że szczerze się do niego uśmiecha. Głosy nie protestowały.

– Czy możesz go spytać – jęknął rudy policjant – czy możesz z niego wyciągnąć, dlaczego Duch Święty kazał mu zajebać byłą narzeczoną?

Jerzy wyczuł w jego głosie złość.

– Mój czyn był jedynie bezwolnym poddaniem się woli boskiej. Ale i tak muszę za to ponieść karę śmierci.

– Czekaj, próbuję dobrze zrozumieć… – Policjantka zmarszczyła czoło. – Chcesz powiedzieć, że zabiłeś ją, żeby samemu zostać skazanym?

– Właśnie.

– Na śmierć?

– Tak.

– Nie działałeś pod wpływem własnej woli, ale z bożego nakazu? Otrzymałeś nakaz czwartego dnia po zabójstwie Zofii, ale paradoks ten można wyjaśnić zawirowaniami czasoprzestrzennymi?

– Zgadza się.

– Twierdzisz, że zasługujesz na potępienie?

Kiwnął głową.

– Duch Święty posłużył się życiem Zofii tylko po to, żeby wymierzyć ci karę?

Znowu przytaknął.

– Ale dlaczego ją poświęcił? Czyżbyś był od niej ważniejszy? Lepszy? Zofia nie obchodziła Ducha Świętego?

Jerzy spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Sssssuka, ssssuka, kurwa! – wrzeszczały głosy.

– Nie wiem – bąknął w końcu. – Ty dziwko! – dodał na koniec, mimo iż bardzo starał się uważać, co mówi.

Komisarz Sawicki poderwał się na nogi, kobieta chwyciła go za ramię i usadziła z powrotem na krześle. Potem przesunęła po stole długopis i kartkę z zapisem przesłuchania. Kiedy podpisywał zeznania, obserwowała go uważnie. Na koniec znowu wymieniła znaczące spojrzenia ze swoim partnerem, jakby Jerzy nie siedział tuż obok i nie widział, co robią. Uznali go za szalonego. Ale ich zdanie nie miało najmniejszego znaczenia.

– Czy wiesz, że w Polsce nie ma kary śmierci? – zapytał rudy policjant. – W najgorszym wypadku zostaniesz skazany na dożywocie. Czy Duch Święty wziął to pod uwagę?

36

Zebranie zaczęło się punktualnie. Policjanci zajęli miejsca w pokoju odpraw. Równo o dziesiątej trzydzieści pojawił się Rogowski w towarzystwie Modzelewskiego. Prokurator jak zawsze nosił białą, idealnie czystą koszulę i wełniany garnitur. Sprawiał wrażenie zadowolonego.

– A więc wygraliśmy bitwę – oświadczył, rozkładając na stole notatnik, wieczne pióro w srebrnej oprawce i poranną bulwarówkę. – Zła wiadomość jest taka, że w prasie pojawiły się nowe zdjęcia. No i w nocy zdarzyła się ta przykra historia… Trzeba wystosować oświadczenie dla mediów. – Chrząknął, szturchając palcem złożoną gazetę. – Zacznijmy jednak od spraw przyjemnych – podjął, całkowicie ignorując siedzącego obok zastępcę naczelnika. – Udało się zamknąć trudne dochodzenie. Prosiłbym więc komisarza Sawickiego o podsumowanie.

Róg skrzywił się z irytacją. Drażniło go, że prokurator natychmiast przejął dowodzenie, nie odważył się jednak oponować. Sawicki wstał z ociąganiem. Był nieuczesany i nieogolony. Flanelowa koszula śmierdziała potem. Czuł w ustach przykry, kwaśny smak wypitej w nadmiarze kawy.

– Otrzymaliśmy informacje z Zakładu Medycyny Sądowej – zaczął, wyjmując z teczki notatki Zboka. – Mam tu pełną dokumentację. – Podał Modzelewskiemu plik spiętych zszywaczem kartek i czekał przez chwilę

z dłonią opartą na krześle, podczas gdy prokurator przerzucał niedbale papiery.

– Zgon nastąpił w czwartek, dwudziestego ósmego lutego, w okolicach ósmej wieczorem – podjął. – Zadano dwa ciosy młotkiem, który został następnie porzucony na miejscu zbrodni. Siła i kąt uderzenia sugerują, iż morderca to młody, sprawny mężczyzna. A więc nasza wstępna diagnoza zgadza się z orzeczeniem lekarskim. Wagner stała tyłem do napastnika. Zmiażdżeniu uległy kości skroni i prawej części twarzoczaszki: kość jarzmowa i prawa część łuku brwiowego. A to z kolei oznacza, że zabójca jest praworęczny – dodał powoli, jakby chciał podkreślić ostatnie słowa. – Poza tym sekcja ujawniła dodatkową, niezwykle ważną informację: denatka spodziewała się dziecka. Według Zboka… to znaczy według doktora Małeckiego była mniej więcej w dwunastym tygodniu. – Przerwał, żeby zaczerpnąć tchu. – Wczoraj po południu, dowiedziawszy się od patologa o nowych okolicznościach śledztwa, obecna tu komisarz Adela Rochniewicz udała się do byłego chłopaka Wagner, niejakiego Jerzego Wójcika, w celu powiadomienia go o ciąży denatki – ciągnął z wysiłkiem. Język zesztywniał mu w ustach. Trudność sprawiało składanie najprostszych zdań. Gardło zacisnęło się boleśnie, nie mógł przełknąć śliny.

– I Wójcik przyznał się do winy – dokończył za niego prokurator. – A więc po kłopocie. Mamy mordercę, możemy zamknąć śledztwo, a potem zająć się…

Sawicki poczuł gwałtowny przypływ irytacji. Krew uderzyła mu do głowy.

– Pan wybaczy – przerwał. – Prowadzimy dochodzenie wspólnie. W poniedziałek wieczorem ogłoszono mobilizację. Cały wydział skupił się na poszukiwaniu mordercy. W tej sytuacji wszystkim tu obecnym należą się wyjaśnienia. – Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się tyłem do

prokuratora. – Popełniliśmy kilka brzemiennych w skutki błędów. A właściwie to ja je popełniłem – mówił teraz wyłącznie do kolegów. – Jak wiecie, byłem przekonany, że Wagner została obrabowana i zamordowana przez gruzińskiego przyjaciela Madiny, Gregora Okruszwilego. Madina i Gregor zniknęli w sobotę wieczorem. Uznaliśmy… – zająknął się – ja uznałem, że ukrywają się przed policją. Tymczasem uciekali przed rozwścieczonym ojcem… Co więcej, poza bałaganem w mieszkaniu Wagner nic nie wskazuje na to, żeby ktoś próbował ją okraść. Na miejscu zostało wiele cennych przedmiotów, w tym komputer, tablet do rysowania, sprzęt muzyczny i portfel z kartami kredytowymi. Zaginione cztery tysiące odnalazły się wczoraj wieczorem, w gabinecie ginekologicznym na Żoliborzu. Wagner zapłaciła za skrobankę. Tyle że lekarz nie zdążył przeprowadzić zabiegu… – Potarł spoconymi dłońmi o blat stołu. – Tymczasem informacja, że podejrzewamy uchodźców, wyciekła do prasy. Dzisiejszej nocy jakieś rasistowskie skurwysyny podpaliły drzwi do mieszkania Asłana Demilowa. Jedna z jego córek jest w ciężkim stanie. Leży na oddziale intensywnej terapii…

Rogowski oddychał ciężko, starając się przezwyciężyć astmę, Kapusta wodził wzrokiem po pustej ścianie, Chlor siedział bez ruchu. Szczepaniak uśmiechał się głupio i poruszał pulchnymi policzkami. Modzelewski chciał się odezwać, ale w tym momencie Ada odwróciła głowę i wbiła w niego czujne, stalowe spojrzenie, więc zmieszał się nieoczekiwanie i zamknął usta.

– No żeż kurwa mać – zaklął Wiktor. – Po raz kolejny pytam: kto tu podpierdala? Do tej pory nie mieliśmy do czynienia z przeciekami na taką skalę. – Podniósł głos. – A to znaczy, że ten, kto nadaje dziennikarzom, ma bezpośredni dostęp do informacji. Czyli siedzi z nami przy tym stole. – Stuknął palcem w blat i spojrzał ostentacyjnie w stronę Ady.

Ada się nie poruszyła, nie drgnęła nawet. Utkwiła wzrok w niewidocznym punkcie tuż nad głową Modzelewskiego. Słowa Wiktora odbiły się od niej i uleciały w przestrzeń.

– Chcę zobaczyć nowe zdjęcia. – Kapusta wyciągnął rękę w stronę bulwarówki, ale Rogowski był szybszy.

Schwycił gazetę i położył ją na kolanach.

– To sobie kup – warknął. – O zdjęciach porozmawiamy po zebraniu – zachrypiał, przekrzykując narastający gwar. – Wiktor, Sawoj, pan prokurator i ja. A teraz skończmy podsumowanie śledztwa! Cisza! – wrzasnął, gdy jego słowa nie odniosły skutku. – Kończymy podsumowanie!

Sawicki znowu wstał. Rzucił Adzie rozpaczliwe spojrzenie i ku własnemu zdziwieniu odnalazł w jej wzroku coś na kształt zachęty i obietnicy wsparcia. Odetchnął głęboko, wyprostował ramiona i podjął spokojniejszym głosem:

– Dziś rano przesłuchaliśmy Jerzego Wójcika. I… mamy problem… – Wykonał nieokreślony gest, po czym zamarł, jak robot na filmie SF, któremu przepaliły się obwody.

Zebrani czekali w napięciu. W końcu Ada przejęła inicjatywę.

– Oczywiście potrzebujemy diagnozy kompetentnego psychiatry – zaczęła ze swojego miejsca przy rogu stołu. – Ale w naszej opinii aresztowany znajduje się w stanie ostrej psychozy. Tym samym nie może odpowiadać za swoje czyny, a my nie możemy traktować poważnie jego zeznań.

Modzelewski zesztywniał.

– Proszę wytłumaczyć, co dokładnie ma pani na myśli, mówiąc o psychozie – poprosił nieprzyjemnym, zgrzytliwym tonem.

– Twierdzi, że Duch Święty czwartego dnia po śmierci Zofii Wagner kazał mu ją zabić – odpowiedziała spokojnie. – Utrzymuje, że doszło do

zawirowań czasowych czy czegoś w tym rodzaju. To kompletny bełkot. Trudno w ogóle zrozumieć, o co mu chodzi…

– Może udaje? – wtrącił Chlor.

– Może – zgodziła się. – Tylko po co? Przecież przyznał się do winy. Oboje z Marcinem mieliśmy poczucie, że rozmawiamy z ciężko chorym człowiekiem.

– To wcale nie oznacza, że nie mógł popełnić przestępstwa. – Modzelewski obracał w palcach wieczne pióro. – Wręcz przeciwnie. Niestabilny stan psychiczny stanowi dodatkowe obciążenie. Ten… ten…

– Wójcik – podpowiedziała uprzejmie.

– Wójcik sam oddał się w ręce policji. Nie rozumiem, na czym polega problem. Czyżby wycofał zeznania?

Ada spojrzała na niego twardo.

– Nie wycofał. Problem polega na tym, że to, co mówi, nie zgadza się z tym, co ustaliliśmy w czasie czynności dochodzeniowo-śledczych. W tej kwestii jesteśmy z Marcinem zgodni.

Sawicki drgnął i przytaknął.

W pokoju zapadła cisza. Ada dała zebranym chwilę na odnalezienie się w nowej sytuacji i pozbieranie myśli, po czym wyjęła protokół z przesłuchania i rozłożyła go przed sobą.

– Wójcik zeznał, że przyszedł do Zofii Wagner w czwartek wieczorem – podjęła. – Był zazdrosny i rozżalony. Chciał ją nastraszyć, może nawet pobić. Do tego momentu wszystko się zgadza. Nawet fakt, że potrącił w bramie sąsiada i zaklął po rosyjsku. Podobno oglądał wcześniej rosyjski serial o gangsterach i z niego nauczył się kilku obcojęzycznych zwrotów. Wydaje się, że ów serial odgrywa istotną rolę w kontaktach oskarżonego z Duchem Świętym, myślę jednak, że pozostawimy ten szczegół psychiatrze… – Uśmiechnęła się lekko i mówiła dalej: – Wójcik

opowiedział nam dość szczegółowo, co myślał, jakie miał zamiary i jak dostał się do mieszkania denatki. Niestety aresztowany wydaje się nie pamiętać, co zdarzyło się później. Podobno pokłócił się z Wagner, nie potrafi jednak odtworzyć przebiegu rozmowy. Twierdzi, że złapał leżący w przedpokoju młotek, dziewczyna zaczęła uciekać, a on pobiegł za nią do łazienki. Tam doszło do przepychanki. Wagner się broniła. A więc musiała stać do niego przodem, kiedy padły śmiertelne ciosy. Tymczasem wiemy, że napastnik atakował od tyłu. Co więcej, Wójcik bez dwóch zdań jest leworęczny, a według słów patologa morderca posługiwał się prawą ręką – zakończyła.

– A może w wyniku ataku psychotycznego stracił częściowo pamięć? Wyparł najbardziej traumatyczne zdarzenia? – zasugerował Rogowski.

– Owszem. – Sawicki nieoczekiwanie odzyskał głos. – Powinniśmy wziąć tę możliwość pod uwagę. Wójcik nie potrafił wyjaśnić okoliczności zbrodni, na przykład nie miał pojęcia o bałaganie i rozwleczonych dokumentach. Upiera się, że natychmiast po dokonaniu zabójstwa rzucił młotek na ziemię i wyszedł z mieszkania denatki.

– W takim razie powinniśmy wrócić do hipotezy, według której Wagner sama porozrzucała papiery. Po prostu czegoś szukała i z przyczyn oczywistych nie mogła potem posprzątać.

– Może. – Sawicki skinął głową. – Długo rozmawialiśmy na ten temat z komisarz Rochniewicz. Staraliśmy się rozważyć wszystkie hipotezy. Jesteśmy przekonani, że w czwartek wieczorem Wójcik przebywał w mieszkaniu denatki. Wiedział, w którym pomieszczeniu została zabita i jakim narzędziem dokonano zbrodni. To bardzo obciążające okoliczności. A jednak wątpliwości budzi rozbieżność zeznań z tym, co ustaliliśmy w toku postępowania przygotowawczego i w dalszej części śledztwa. Wcześniej zgadzaliśmy się wszyscy, że morderstwo zostało dokładnie

zaplanowane – w czasie wykonywania czynności zabezpieczających dowody nie odnaleziono odcisków palców ani innych śladów mogących prowadzić do mordercy. Sąsiedzi nic nie słyszeli. Wszystko odbyło się sprawnie, szybko i w całkowitej ciszy. Poza wgnieceniami czaszki na ciele denatki nie wykryto żadnych śladów przemocy, ani jednego zadrapania czy siniaka. Tymczasem Wójcik opowiada o kłótni, bijatyce i zabójstwie w afekcie. Coś tu się nie zgadza.

Modzelewski próbował przerwać, ale Sawicki uniósł dłoń i dokończył:

– Być może znaleźliśmy winnego. Motyw wydaje się jasny. W końcu Wójcik oddał się dobrowolnie w ręce policji. Oboje jednak uważamy – zerknął na Adę – oboje uważamy, iż w tej sytuacji powinniśmy przeprowadzić oględziny miejsca z udziałem podejrzanego, wykorzystując złożone przez niego zeznania w celu potwierdzenia popełnienia przestępstwa oraz upewnienia się, czy to, co zeznał, jest zgodne z rzeczywistością.

Zapadła cisza. Wszystkie oczy zwróciły się na Modzelewskiego. Ten bębnił nerwowo palcami po eleganckiej okładce notatnika.

– Dobrze – powiedział w końcu. – W takim razie pokażcie go świadkom. Może ktoś go rozpozna i potwierdzi jego wersję. Jeszcze dziś przeprowadzimy wizję lokalną. Muszę pojechać na dwie godziny do biura. Możemy się umówić… – zerknął na zegarek. – Umówmy się o drugiej. Przywieźcie ze sobą aresztowanego, kamery, manekin… No wiecie, wszystko, czego potrzebujemy. Skontaktujcie się też natychmiast z ekspertem WPP**. Najpóźniej jutro wieczorem chcę mieć na biurku raport psychologa.

Zebranie dobiegło końca. Policjanci powoli rozchodzili się do codziennych zajęć. Nie odwołano oficjalnie mobilizacji, ale wszyscy uważali za

oczywiste, że ostatecznym domknięciem sprawy zajmą się Ada z Sawickim. Modzelewski szarpał w roztargnieniu kosmyk włosów nad czołem. Wstał, zbliżył się do okna i przysłoniwszy ręką oczy, wyjrzał na dwór, po czym wrócił na dawne miejsce. Wstrząsnął nim dreszcz.

– Sawoj i Wiktor, zostańcie, proszę, z nami – zachrypiał Rogowski.

Ada zatrzymała się w progu. Wydawało się oczywiste, że ona również powinna uczestniczyć w kolejnym spotkaniu. Zastępca naczelnika ją zignorował. Sawicki poczuł się niezręcznie. Wczorajszy dzień i miniona noc spowodowały w nim dziwną, dość radykalną zmianę. Wiedział, że stan, w jakim się znajduje, to wynik zmęczenia i ciążących mu, trudnych do udźwignięcia wyrzutów sumienia, w obecnej chwili jednak miał wrażenie, że zna Adę i współpracuje z nią nie od tygodnia, ale od wielu lat.

– Czy komisarz Rochniewicz… – zaczął, ale nim zdążył dokończyć, Ada wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– To bardzo poważny problem – Modzelewski zwrócił się do Sawickiego. – Bardzo poważny.

– Tak? – Marcin poczuł się lekko zdezorientowany. – W takim razie powinienem obejrzeć te zdjęcia…

– Nie chodzi o prasę. – Prokurator odsunął gazetę. – Tę sprawę załatwicie we trójkę, z naczelnikiem Rogowskim. Nie chcę się wtrącać w wewnętrzne sprawy policji – dodał łaskawie. – Chodzi mi o niedomknięte dochodzenie. – Ręka Modzelewskiego znowu powędrowała do niesfornego kędziora na skroni. – Mam nadzieję – powtórzył z naciskiem – że wyciągniecie z Wójcika, co trzeba. Jestem przekonany o jego winie. Rozumiem jednak: czynności urzędowe… formalności… W każdym razie musimy jak najszybciej zamknąć śledztwo. Nie chciałem mówić przy wszystkich. – Ściszył głos. – Ale tą sprawą interesuje się osobiście podsekretarz stanu, minister Jan Algierski. Pan rozumie,

komisarzu, minister. Dzwonił do mnie dwukrotnie – dodał z przejęciem. – I dopytywał się o szczegóły. Wygląda na to, że łączy go stara przyjaźń z ojcem denatki. Studiowali razem czy coś w tym rodzaju… Wypadałoby w tej sytuacji odpowiednio się wykazać.

Rogowski, który od początku zdawał się z trudem znosić obecność Modzelewskiego, poruszył się gniewnie na krześle.

– Pan prokurator miał zapewne na myśli, iż nie powinniśmy zaniedbywać obowiązków niezależnie od tego, kogo dotyczy prowadzone śledztwo – sarknął.

Modzelewski odwrócił głowę. Uporczywie i z godnością mierzył wzrokiem siedzącego obok mężczyznę, dopóki nie rozważył w całości poruszonego zagadnienia.

– Wręcz przeciwnie, naczelniku – odpowiedział protekcjonalnym tonem, który zdawał się sugerować, że tłumaczy sprawę tak oczywistą jak kwestia obrotu Ziemi wokół Słońca. – Dokładnie na odwrót. Musicie skupić się na tym konkretnym śledztwie właśnie ze względu na szacunek dla osoby powiązanej z rodziną zamordowanej. Czyli dla ministra Algierskiego. A teraz – podniósł się energicznie – teraz zostawiam panów samych.

Schował notatnik i wieczne pióro do skórzanej teczki, po czym sprężystym krokiem opuścił pokój.

– No to kim w końcu jest Algierski? – zapytał Wiktor, kładąc obie nogi na blacie stołu. – Podsekretarzem czy ministrem? Jak ministrem, to ja o takim za chuja nie słyszałem.

– Tak się mówi na sekretarzy stanu, to jest, zdaje się, któraś z funkcji wice – mruknął Sawicki, przysuwając do siebie gazetę. – O kurwa… – zaklął, patrząc na zdjęcie. – O kurwa mać…

Rogowski nie zareagował, ale Wiktor poderwał się i pochylił nad stołem.

– Ja jebię – sapnął.

Zdjęcie, opatrzone żółtym jaskrawym tytułem „Brutalna akcja policji”, przedstawiało ubranego po cywilnemu mężczyznę, który z pałką w dłoni pochylał się nad półnagim, skutym kajdankami więźniem. Policjant miał zamazaną twarz, ale nie ulegało wątpliwości, że był to Wiktor. „W czasie śledztwa wszystkie chwyty dozwolone. Policja torturuje zatrzymanych”, głosił tekst poniżej. Komisarz Pawlak osunął się ciężko na krzesło.

– To sprawa dla wewnętrznego – Rogowski odezwał się ponuro.

Wstał, założył ręce za plecy i przemierzał pokój powolnym krokiem, utkwiwszy wzrok w podłodze.

– To twoja kolejna sprawa o przekroczenie uprawnień służbowych, do tego dochodzi awantura, która na pewno rozpęta się w prasie. Dziś rano zwolniłem Okruszwilego z aresztu. – Uniósł w roztargnieniu dłoń do opuchniętego nosa. – Nie sądzę jednak, żeby zmieniało to zasadniczo sytuację. Niewiele mogę ci pomóc… – Usiadł przy stole. – Wyjebią cię z sekcji – zawyrokował ponuro.

Wiktor zbladł.

– Przecież przy tym byłem. Do niczego nie doszło! Nic się temu Gruzinowi nie stało. – Sawicki trząsł się ze zdenerwowania.

– To nie ma znaczenia. – Róg wzruszył ramionami. – Facet ma jaja na wierzchu. Pawlak macha mu pałką przed nosem. Myślisz, że wewnętrzny uwierzy, że po prostu miło sobie gawędzili? – Sawicki zamilkł. W pokoju zapanowała grobowa cisza.

– Obejrzałem dokładnie tę fotkę – podjął Rogowski. – Ktoś pstryknął ją przez wizjer. Drzwi do pokoju przesłuchań musiały być wtedy zamknięte. Tu widać wzmocnienia w szybie pancernej. – Wskazał palcem zdjęcie. –

O ile dobrze pamiętam, Kapusta, Chlor i cała reszta poszli w tym czasie na koncert. – Uśmiechnął się kwaśno. – Ja siedziałem u lekarza. Kto jeszcze kręcił się po korytarzu?

Sawicki poczuł, że drżą mu kolana.

– Mimoza! – Wiktor walnął pięścią w stół. – Przerwała przesłuchanie wiadomością o aresztowaniu Wójcika. Suka!

Rogowski spojrzał pytająco na Sawickiego.

– To prawda – odpowiedział niepewnie Marcin. – Nie mamy jednak żadnych dowodów… Nie mamy podstaw…

– Ochujałeś?! – krzyknął Wiktor. – Cała afera z prasą zaczęła się dokładnie w momencie, w którym dołączyła do zespołu. Nawet nie próbuj jej bronić! To kto zrobił zdjęcie, hę? Dagmara, która nie ma zielonego pojęcia, co się dzieje w sekcji, nie pamięta, kto się czym zajmuje, i wiecznie myli dokumenty? Nikogo więcej tu nie było. A więc Dagmara, tak? Odpowiedz mi!

– Wyluzuj – Sawicki próbował oponować. – Nie twierdzę, że to pani Dagmara, ale…

– Ja mam się wyluzować! – wrzeszczał Wiktor. – Ja? To nie ciebie wypierdolą z roboty! Sprawdziłem tę cipę – zwrócił się do Rogowskiego. – Nie ma żadnych dokumentów, które tłumaczyłyby nagłe przeniesienie z Wrocławia. Pewno tam też podpierdalała i chcieli się jej pozbyć, ale nie mogli laski po prostu wyjebać, bo kurewka ma mocne plecy. Jej ojciec to właściciel połowy brukowej prasy w Polsce, na pewno kryje córunię, a w zamian dostaje od niej informacje i zdjęcia.

– Jesteś pewien, że to jej ojciec?

– Nie jestem pewien – odparował. – Niczego już, kurwa, nie jestem pewien. W jej papierach nie figuruje imię ojca. I ja się, do chuja, pytam: dlaczego?

– Może nic ich nie łączy… Może jej ojciec to zupełnie kto inny, a ona ma tylko takie samo nazwisko jak ten mogul? – bąkał Sawicki.

– Ja pierdolę! – Wiktor poderwał się z miejsca. – Zakochałeś się? Mózg ci wyżarło?!

– Wiktor ma rację – przerwał Rogowski i przez chwilę kaszlał, zasłaniając twarz materiałową chustką. – Trzeba… – ciągnął, chwytając z trudem powietrze – muszę zadzwonić do Wrocławia. Mam tam znajomego w komendzie miejskiej, spróbuję się czegoś dowiedzieć. Sawoj, ani słowa o tym, co tu zaszło. Pracujesz normalnie; przeprowadź wizję lokalną i zamknij w końcu to jebane śledztwo. Wiktor, ty siedzisz cicho. Żadnych szaleństw, żadnych awantur z Mimozą – dodał ostro. – Pojedziesz do Okruszwilego, przeprosisz go i wybadasz, czy chce podać sprawę do sądu. Użyj uroku osobistego. – Skrzywił się. – Nie wiem, zaproś go na wódkę czy co… Ja zajmę się oświadczeniem dla prasy. To tyle na dziś.

Wiktor wyszedł, trzaskając drzwiami. Sawicki spojrzał na Rogowskiego. Chciał się odezwać, ale tamten odwrócił wzrok.

– Nie mam zamiaru tolerować czegoś podobnego – powiedział twardo. – Dowiem się, kto podpierdala, choćbym miał prowadzić miesiącami wewnętrzne śledztwo. A ty mi w tym pomożesz – dodał ponuro.

Sawicki skinął niechętnie głową i opuścił pokój odpraw.

* * *

Ada czekała w ich wspólnym pokoju. Siedziała z rękami skrzyżowanymi na kolanach i patrzyła w okno. Kiedy wszedł, przeniosła na niego uważne spojrzenie. Przez moment mierzyli się wzrokiem i miał nieodpartą chęć wbrew zaleceniom Rogowskiego zrelacjonować jej całą niedawną rozmowę. A potem zapytać: „Co wiesz o tych zdjęciach? Odpowiedz, a ja ci uwierzę”. Ada jednak uśmiechnęła się lekko, jakby był dzieckiem albo inną

równie bezradną istotą. Jeśli wcześniej dostrzegał w jej twarzy coś skrytego, coś, co próbowała zataić, teraz widział jedynie maskę obojętności, która być może, pomyślał, być może nie jest wcale maską. Odwróciła głowę.

– Dzwoniłam do szpitala – powiedziała. – Dziewczynka przetrwała noc. Rany są poważne, ale nie doszło do zakażenia. Gorączka spadła. Jeśli jej stan się nie pogorszy, przeniosą ją jutro na inny oddział.

Przez okno napływał wyraźny, zlewający się z jej słowami odgłos kościelnych dzwonów. Zrozumienie, co do niego mówi, zajęło Sawickiemu kilka sekund.

– Powinieneś się przespać. – Podniosła się i przeszła lekko przez pokój.

Stała teraz tuż obok. Czuł wyraźny zapach jaśminowych perfum.

– Poradzę sobie z wizją lokalną i Modzelewskim. Nie musisz się tym przejmować.

Jej głos nie brzmiał miękko ani współczująco. Nie traktowała go przyjaźnie ani nieprzyjaźnie. Nie okazywała troski ani irytacji z powodu stanu, w jakim się znajdował. Po prostu stwierdzała fakty.

– Nie wątpię, że sobie poradzisz. – Uśmiechnął się kwaśno. – Ale chcę uczestniczyć w wizji. Potem pojadę do domu i zostawię ci na głowie spisanie raportów i przefaksowanie ich do proroka. Jeśli to okej.

– Okej. – Wzruszyła ramionami.

– Trzeba umówić się z ekspertem WPP.

– Już to zrobiłam – usłyszał dokładnie to, czego oczekiwał. – Będzie w fabryce po siedemnastej.

Znów ogarnął go płaczliwy, nieznośnie rzewny nastrój spowodowany przemęczeniem. Widział teraz wszystkie mankamenty jej urody: zbyt wąski nos, chude policzki, spierzchnięte dłonie i wszelkie oznaki nieuchronnie zbliżającego się przekwitania, które tak skrzętnie, z taką pieczołowitością

przykrywała warstwami różu i aksamitnego pudru. Jak mógł jej wcześniej nie doceniać? „Już dzwoniłam, już to sprawdziłam, już rozmawiałam, uzupełniłam raporty…” Ufał jej. Pracował w policji od kilkunastu lat i wiedział, że taka sytuacja nie zdarza się często.

Procedurę wizji lokalnej rozpoczęto dokładnie piętnaście po drugiej. Sawicki stał z kamerą w ręku obok dwóch funkcjonariuszy, którzy towarzyszyli im jako dodatkowa obstawa więźnia. Wezwany przez Modzelewskiego Zbok ożywił się na widok Ady i uścisnął serdecznie jej dłoń, całkowicie ignorując resztę zgromadzonych, po czym z ostentacyjnie obojętną miną zapalił papierosa. Policjanci z eskorty Wójcika, posługując się protokołem technicznym, odtworzyli punkty odniesienia i punkty pomiarowe ciała oraz wszystkich przedmiotów znalezionych na miejscu zbrodni. Modzelewski przyglądał się uważnie ich pracy. Osobiście sprawdził raport. Wprowadzono aresztowanego. Sawicki włączył kamerę.

– W czwartek, dwudziestego ósmego lutego dwa tysiące trzynastego roku znalazłeś się w mieszkaniu Zofii Wagner, zgadza się? – rozpoczął prokurator.

Jerzy stał w drzwiach i błądził niepewnym wzrokiem po przedpokoju. Robił wrażenie mało przytomnego, jakby przed chwilą ktoś wybudził go z ciężkiego snu.

– Czy w czwartek wieczorem przebywałeś w mieszkaniu denatki? – powtórzył Modzelewski.

– Tak – odpowiedział cicho Jerzy.

– W zeznaniach złożonych w obecności komisarza Marcina Sawickiego i komisarz Adeli Rochniewicz twierdziłeś, iż pokłóciłeś się z denatką, chwyciłeś… – zawahał się – chwyciłeś narzędzie zbrodni… i zrobiłeś, co zrobiłeś… Czy jakieś konkretne słowa Wagner albo uczucia… tak właśnie,

uczucia, jakie zrodziły się w tobie, popchnęły cię do czynu, który popełniłeś?

Ada zauważyła, że Modzelewski się denerwuje. Jego głos przycichł, jakby skupienie zmieniło się w nerwowe, pełne obawy roztrząsanie, a potem zabrzmiała w nim nuta zakłopotania. Nie mógł spojrzeć na więźnia.

– Pokłóciliśmy się – odpowiedział Jerzy. – Zdenerwowała mnie.

– W takim razie – prokurator odchrząknął – w takim razie najdokładniej, jak potrafisz, opisz i zademonstruj nam przebieg wydarzeń.

Wójcik patrzył na niego, nie rozumiejąc.

– To znaczy co mam zrobić?

– Opisz, co się stało. Zaczynając od momentu, w którym wszedłeś do mieszkania. Gdzie stałeś podczas kłótni, w którym miejscu leżało narzędzie zbrodni, kiedy je podniosłeś.

– No… Wszedłem… – Jerzy wyraźnie się spiął.

Wykonał gest otwierania drzwi, zerkając nerwowo w kamerę.

– Zastukałeś?

– Nie. Sam otworzyłem drzwi. Czy to konieczne? – Wskazał Sawickiego. – Nie potrafię jasno myśleć, kiedy mnie filmują.

– Konieczne – uciął Modzelewski. – Mów dalej.

Jerzy westchnął, pokręcił się chwilę w miejscu i podjął opowieść.

– Tu stałem, kiedy Zofia wybiegła z kuchni. Od razu się zdenerwowała, że wchodzę bez pukania. Pokłóciliśmy się.

– Głośno?

– Słucham?

– Czy kłóciliście się głośno?

– Dosyć – przyznał. – Krzyczałem. W pewnym momencie Zofia też zaczęła wrzeszczeć.

– Czy możesz opisać dokładnie, o czym rozmawialiście?

– Nie. Nie pamiętam. Byłem zdenerwowany. Chciałem jej powiedzieć, jak bardzo mnie upokorzyła, a ona zaczęła się śmiać. Straciłem nad sobą panowanie. Zobaczyłem młotek… – Rozejrzał się nerwowo, po czym zastygł niepewnie w pół kroku.

W przedpokoju nie było żadnej szafki ani komody, na której mogłyby leżeć porzucone przedmioty. Pod wieszakiem stała niska, zbudowana z metalowych prętów półka na buty.

– Młotek leżał na butach. Schyliłem się i go podniosłem – podjął już bardziej zdecydowanie. – Byłem w rękawiczkach. Nie zdążyłem ich zdjąć.

Sawicki posłał Adzie zdumione spojrzenie. Modzelewski pstryknął nerwowo palcami. Jeden z policjantów położył na półce drewniany przedmiot imitujący młotek. Wójcik sięgnął po niego lewą ręką.

– Wtedy Zofia się przestraszyła i zaczęła uciekać w stronę łazienki – ciągnął. – Pobiegłem za nią.

Ruszył kilka kroków do przodu. Ada wyprzedziła go i uniosła z kamiennej posadzki manekin.

– Czy Zofia próbowała się bronić? – zapytała.

– Tak. Odwróciła się w drzwiach.

Wójcik wydawał się teraz spokojny i najzupełniej pewny. Ada ustawiła manekin w odpowiedniej pozycji.

– Tak właśnie?

Spojrzał na nią z uwagą.

– Zgadza się – przyznał. – Chwyciłem ją za ramię. – Wykonał zdecydowany gest i wepchnął plastikową lalkę wraz z Adą do łazienki. –

A potem zadałem cios. – Wziął szeroki zamach i uderzył lewą ręką. – Zofia upadła.

Ada upuściła manekina.

– Ile razy uderzyłeś?

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Ile razy… – powtórzył niepewnie. – Nie pamiętam dokładnie, już tłumaczyłem, że bardzo się zdenerwowałem, nie myślałem, co robię…

– Spróbuj sobie przypomnieć.

– Raz – odpowiedział w końcu, a w jego głosie brzmiała rezygnacja. – Uderzyłem ją raz, bardzo mocno.

– A potem?

– Potem rzuciłem młotek – upuścił drewniany przedmiot na podłogę w łazience – i wyszedłem.

– Nie zaglądałeś do innych pokoi, niczego nie dotykałeś?

– Nie. – Pokręcił głową.

Stał blady, prawie przezroczysty, z rękoma opuszczonymi wzdłuż tułowia. Ada czuła bijącą od niego potężną, duszącą falę rozpaczy. Ten człowiek głęboko cierpiał, ale nie z powodu morderstwa, którego nie popełnił. Świat Jerzego zmienił kształt. Zrozumiały i jasny pejzaż życia oddalał się od niego w zawrotnym tempie. Ogarniały go coraz głębsze ciemności.

– Wyprowadzić aresztowanego – prokurator przerwał ciszę matowym, trzeszczącym jak wysuszone drewno głosem.

Jerzy został odprowadzony do samochodu. Pozostali uczestnicy wizji lokalnej stali skonfundowani w przedpokoju mieszkania Zofii Wagner. Sawicki opuścił kamerę. Modzelewski gryzł paznokieć wskazującego palca.

Nawet dla niego stawało się powoli jasne, że Wójcik nie ma pojęcia, w jaki sposób zostało dokonane morderstwo.

– Mam jeszcze dwa pytania – zwrócił się do Zboka. – Czy aresztowany mógł zadać cios lewą ręką zza prawego ramienia – wykonał odpowiedni gest – i trafić w prawą skroń denatki? Czy to możliwe? I czy istnieje prawdopodobieństwo, że aresztowany rzeczywiście zaatakował denatkę, która stała do niego przodem, a potem przesunął ciało? W takim wypadku ślad po uderzeniu zgadzałby się z jego leworęcznością.

Patolog omiótł go wzrokiem i skierował spojrzenie na wieszak z płaszczami.

– Możliwe – przyznał. – Wszystko jest możliwe, z wyjątkiem przesuwania ciała, bo to natychmiast zauważyliby techniczni: smugi krwi na podłodze, nienaturalne ułożenie zwłok i tak dalej. Sprawdźcie w protokole, to nie moja rzecz – sarknął. – Co do reszty, pana spekulacje wydają się mało prawdopodobne. Cios zza ramienia byłby słabszy. Poza tym, o ile dobrze widziałem, temu świrusowi wszystko się miesza. Nie ma pojęcia, skąd wziął narzędzie zbrodni, ile razy uderzył i w którym miejscu upadło ciało. Co więcej, o ile dobrze pamiętam, na młotku nie wykryto odcisków palców Wagner. Jak więc znalazł się na butach? Podrzucili go kosmici? Na mój gust – splunął bezceremonialnie na podłogę – na mój gust to sprawa dla psychiatry. Najpierw trzeba ustalić, czy w tym stanie można w ogóle gadać z podejrzanym. Najprawdopodobniej trzeba go podleczyć, a potem jeszcze raz odpytać. O ile w ogóle da się go wyleczyć – dodał i uśmiechnął się brzydko.

Modzelewski westchnął żałośnie, pokiwał głową i zatarł dłonie, jakby sam sobie próbował dodać otuchy.

– Panowie – zwrócił się do Ady i Sawickiego. – Panowie – powtórzył z pompatyczną powagą, patrząc prosto w oczy Ady – sytuacja wymyka się

spod kontroli. Nie należy jednak wysnuwać pochopnych wniosków z tego, co przed chwilą tu zobaczyliśmy. Ów człowiek – skinął w kierunku drzwi wejściowych – potrzebuje specjalisty. Rozumiem, że już skontaktowaliście się z psychologiem.

Sawicki przytaknął.

– W takim razie czekam na raport. Oficjalnie śledztwo zostaje zawieszone do momentu orzeczenia o poczytalności aresztowanego.

W czasie swojej przemowy posunął się o kilka kroków w stronę wyjścia. Po jej zakończeniu poprawił kołnierz płaszcza, rzucił krótkie: „Do widzenia” i wyszedł zamaszystym krokiem. Zbok parsknął, zapiął suwak puchowej kurtki i nie żegnając się, podążył w jego ślady.

Policjanci zostali sami. Sawicki schował kamerę do niewielkiego futerału i podniósł z podłogi manekina.

– I co teraz? – zapytał cichym, bezbarwnym tonem.

– Nie wiem – odpowiedziała Ada. – Chyba musimy zacząć od początku, ale najpierw powinieneś się przespać.

** Wydział Psychologów Policyjnych.

37

Popołudnie było wilgotne i mroczne. W powietrzu unosił się ten sam od tygodni, późnozimowy zapach. Po zwiastunach nadchodzącej wiosny nie pozostał najmniejszy ślad, jakby wczorajsza burza wcale się nie zdarzyła. Niebo wisiało nad dachami domów ospałe i tłuste. Sawicki omijał korek na moście Łazienkowskim, korzystając z buspasa. Zacząć od początku, myślał. Ale co to znaczy? Powinni wrócić do starych dowodów, tylko że było ich tak niewiele. Śledztwo skomplikowało się, zapętliło i teraz pożerało własny ogon. Nie mieli nowych punktów zaczepienia… Jakiś samochód zatrąbił wściekle, taksówkarz pogroził mu pięścią. Sawicki czuł się zmęczony i odrętwiały, wszechobecna agresja warszawskich kierowców, która zwykle mu się udzielała, dziś niewiele go obchodziła. Chciał dotrzeć do domu. Jak najszybciej. Myślał o wannie pełnej gorącej wody, o granatowym płaszczu kąpielowym i świeżej pościeli pachnącej prasowaniem. Olga raz w miesiącu oddawała bieliznę do magla, chociaż musiała w tym celu odbywać coraz dłuższe podróże do coraz bardziej odległych punktów usług. Niedługo będzie wozić pranie do Piaseczna, pomyślał. Kto oprócz mojej żony w dzisiejszych czasach krochmali prześcieradła? Ominął parking osiedlowy i zatrzymał samochód tuż przed drzwiami do klatki schodowej. W mieszkaniu paliło się światło, z salonu dobiegała prosta, wesoła muzyka. Dziewczynki oglądały telewizję. Olga stała przy kuchence przepasana fartuchem.

– Wyszedłeś w środku nocy – powiedziała, odkładając ścierkę na oparcie krzesła. – Nie odezwałeś się słowem od nie wiem ilu godzin. Nie przyszło ci do głowy, że możemy się denerwować? – W jej głosie nie było pretensji. Brzmiała raczej, jakby powtarzała wyuczoną na pamięć lekcję albo jakby uważała, że powinna się zirytować, ale ostatecznie zabrakło jej energii. – Nie odbierałeś telefonów – dodała, podważając drewnianą łyżką cienki, przyrumieniony kawałek mięsa.

– Przepraszam. – Westchnął szczerze skruszony. – Miałem straszną noc. Prawie w ogóle nie spałem. I koszmarny dzień. Opowiem ci wszystko… – Urwał. Nie mógł zebrać myśli ani złożyć najprostszego zdania. – Muszę się położyć – dokończył. – Muszę się chwilę przespać. Porozmawiamy wieczorem, dobrze?

– Jak chcesz.

Ruszył w stronę łazienki, ściągając przepocone ubranie. Wziął szybki prysznic i zawinięty w ręcznik powlókł się do łóżka. Naciągnął na głowę koc. Gdzieś z daleka usłyszał jeszcze, że Olga woła dziewczynki na obiad, i zasnął, nim zdążył pomyśleć, jak bardzo jest głodny.

Wydobył się ze snu jak z głębokiego cienia. Usiadł. Zaczerpnął powietrza. W pokoju panował mrok. Znalazł po omacku komórkę. Minęła dwunasta w nocy. Przespał siedem godzin. Wysunął dłoń, chcąc objąć Olgę, ale natrafił na zimne, puste miejsce po swojej lewej stronie. Zaniepokojony wstał, wciągnął T-shirt, spodnie od dresu i wyszedł z sypialni. W salonie paliło się światło. Olga oglądała serial. Na głowie miała słuchawki. Nie usłyszała, że do niej podchodzi. Położył jej rękę na ramieniu. Spojrzała w górę, mrużąc z wysiłkiem oczy, jakby znajdowała się bardzo daleko.

– Zjem coś – powiedział. – I wszystko ci opowiem. Jeszcze raz przepraszam…

– Obiad w lodówce, w czerwonym pudełku. Zjedz, potem pogadamy – oznajmiła i nagle zdało mu się, że w jej słowach pobrzmiewa ukryta groźba.

Odwrócił z niepokojem głowę, ale Olga naciągnęła słuchawki na uszy i patrzyła obojętnie w ekran. Spod nocnej koszuli wystawało okrągłe kolano. Jeden kapeć zsunął się ze stopy. Miała spękane pięty. Poszedł do kuchni. Odgrzał kotlet i zjadł go łapczywie z zimnymi kartoflami i resztką mizerii. Potem wrócił do pokoju. Olga wyłączyła komputer. Siedziała teraz wyprostowana, wciśnięta w kąt kanapy, zaciskając dłoń na pluszowym podłokietniku. Jakby na coś czekała, przemknęło mu przez myśl i nagle ogarnął go lęk. Usiadł pospiesznie w fotelu. Zaczął mówić głośno, opowiadać – nie jej chyba, tylko komuś niewidzialnemu, kto siedział razem z nimi w pokoju – o pożarze, wizji lokalnej, przecieku informacji do prasy. Olga utkwiła nieruchomy wzrok tuż nad jego ramieniem.

– Przepraszam – szepnął – że zapomniałem zadzwonić.

Sięgnął po jej rękę, odwrócił wnętrzem dłoni do góry i bezmyślnie przyglądał się siatce linii papilarnych.

– Nigdy nie dzwonisz – powiedziała, uwalniając rękę z uścisku. – Wychodzisz z domu i wcale cię nie interesuje, że ktoś w nim zostaje. Postarzałeś się, kiedyś byłeś przynajmniej zabawny…

Ostatnie zdanie wydało mu się całkowicie pozbawione sensu. O co właściwie jej chodzi? Miał opowiadać dowcipy?

– Przepraszam – powtórzył automatycznie.

– Czekałam, żebyś się obudził – odrzekła cicho. – Chciałam ci powiedzieć, że to koniec.

Co się dzieje? Chciał krzyknąć, zerwać się z miejsca, za wszelką cenę zapragnął się ocknąć. Bo przecież to był tylko sen. Męczące, pozbawione sensu majaki. Siedział jednak nadal w fotelu i patrzył na Olgę.

– Koniec czego? – zapytał głucho, chociaż wiedział doskonale, co mu odpowie, a jednocześnie poślizgnął się, stracił równowagę i zaczął spadać.

– Koniec naszego małżeństwa.

– Co ty mówisz? Dlaczego? O co chodzi? – Chciał przekuć przerażenie w złość, ale usłyszał tylko swój słaby, drżący głos. – Dlaczego? – powtórzył. – Przecież nie zrobiłem nic złego…

– Nie zrobiłeś – przyznała. – Nic złego ani nic dobrego. To jest życie, Marcin, a nie dochodzenie śledcze. Nie zarzucam ci zbrodni, tylko zaniedbanie, obojętność i to, że za dużo pijesz.

– Alkoholizm? – Spróbował uchwycić się tego słowa. – O czym ty mówisz?

Dobrze, myślał gorączkowo. Rozmawiajmy o nałogu. Proszę bardzo. Mogę przecież przestać pić jutro, dziś jeszcze. Zaraz. Mogę udowodnić…

– Nie jestem uzależniony, dobrze o tym wiesz!

Olga jednak uchyliła się lekko i zgrabnie ominęła przynętę.

– Nieważne. – Zgarbiła ramiona. – Może i nie jesteś.

– Nieważne? Jak to nieważne?! – podniósł głos. – Przecież chcesz się ze mną z tego powodu rozstać. Więc mówię ci, że natychmiast przestanę pić, jeśli ci na tym zależy. Ja…

– Marcin! – przerwała tak ostro i zdecydowanie, że urwał w pół zdania. – Marcin, nie odchodzę od ciebie dlatego, że za dużo pijesz. To tylko część problemu. Odchodzę, bo mam cię dość.

Nie potrafił zrozumieć, co powiedziała. Odkryta szyja, jasny, trochę zbyt obfity meszek nad górną wargą, spierzchnięta, drobna dłoń zaciśnięta na kolanie… Olga… Jego Olga…

– Ale przecież dzieci, co z nimi? – mamrotał bez sensu. – Daj mi szansę, błagam. Zmienię się. Zrobię, co zechcesz. – Poczuł w gardle gorzki, piekący smak.

Olga też płakała. Widział spływające po policzkach łzy. Przez jedną króciutką chwilę myślał, że się uśmiechnie, że machnie ręką, powie: „To wszystko głupstwo, nieprawda, taki kiepski żart”.

– Jest jeszcze coś. – Odgarnęła włosy z twarzy. – W moim życiu pojawił się inny mężczyzna.

Sawicki wielokrotnie zastanawiał się później, czy miałby szansę skłonić ją do zmiany decyzji, gdyby w tamtym momencie inaczej zareagował. Może to był test? Może sprawdzała, czy potrafi choć na chwilę zapomnieć o sobie? Znieść upokorzenie, wysłuchać jej cierpliwie? Może miała nadzieję… Tymczasem on zareagował jak zawsze. Wezbrała w nim dzika, nieokiełznana furia, potężna jak fala przypływu, której pozwolił się unieść. Za każdym razem kiedy wracał myślami do tej sceny, ogarniało go beznadziejne, ciężkie uczucie wstydu. Z drugiej strony wiedział, że przetrwał tamtą noc tylko i wyłącznie dzięki wściekłości, jaka się w nim zrodziła. Uchwycił się jej jak koła ratunkowego.

– A więc to tak?! – wrzasnął, podrywając się na nogi. – Więc o to chodzi!?

– Nie krzycz – poprosiła cicho. – Obudzisz dzieci.

– Dzieci? I ty mi mówisz, jak mam się zachowywać w stosunku do dzieci? Ty…

Miał ochotę ją uderzyć. Przestała płakać. Uniosła głowę, w jej oczach malował się teraz zimny upór i determinacja.

– Nie będziemy w ten sposób rozmawiać. – Zwilżyła językiem wargi.

– Ja decyduję o tym, kiedy i jak mamy rozmawiać, rozumiesz? – Nie mógł zaczerpnąć powietrza. – Kim jest ten człowiek?

– Nieważne – odpowiedziała już zupełnie spokojnie. – Nie znasz go.

– Od jak dawna?

– Od kilku tygodni.

– A więc to jest ta twoja choroba – cedził przez zęby. – To ciągłe zmęczenie, dziwne utraty pamięci. Dlatego spóźniłaś się na urodziny własnej córki?

Olga milczała.

– Odpowiadaj! Widziałaś się wtedy z tym człowiekiem?

– Nie. Jak mogło ci coś takiego przyjść do głowy?

Kopnął stół i zrzucił z niego komputer.

– Kłamałaś w żywe oczy! Mnie i własnym dzieciom również, ty suko!

Siedziała nieruchomo, spuściwszy głowę. Uderzył pięścią w ścianę.

– Jak mogłaś?

– To nie ma znaczenia – próbowała mu przerwać. – Nie odchodzę z powodu innego mężczyzny, ale z powodu tego, co działo się wcześniej między nami. Spróbuj choć raz zrozumieć…

– Między nami? Kurwa mać!

Zamachnął się w jej stronę. Twarz Olgi momentalnie stężała w twardym, złowrogim wyrazie.

– Ostrzegam cię, Marcin – rzuciła ostro. – Zadzwonię na policję i zgłoszę przemoc. Może twoi koleżkowie zatuszują sprawę, ale dowiedzą się o wszystkim, również o tym, że dajesz się zdradzać.

Opuścił rękę. Stał na rozstawionych nogach i dyszał jak rozwścieczony byk. W końcu odwrócił się, porwał z wieszaka kurtkę i wybiegł. Na dworze natychmiast ogarnęło go bezgraniczne zdumienie.

– Moje małżeństwo się skończyło – powiedział głośno.

To przecież tylko słowa. Tylko słowa, które w ułamku sekundy zmieniły rzeczywistość. Czy gdybym powiedział teraz: „Moje małżeństwo trwa”, świat wróciłby na dawne miejsce? Drobne, zimne krople spadały mu na ramiona i twarz. Był wolny, czyż nie tego pragnął skrycie od wielu lat?

W oddali zatrąbił samochód. Światła reflektorów omiotły ciemną uliczkę i uciekły spłoszone, znacząc jasny, migotliwy szlak na drzewach i murach domów. Był wolny. Tylko dokąd właściwie miał teraz pójść?

38

Obudził się zwinięty w niewygodnej pozycji na kanapie, pod cudzym kocem, w obcym pokoju. Natychmiast z niezwykłą wyrazistością przypomniał sobie wydarzenia minionej nocy. Wybiegł z domu. Wsiadł do samochodu i ruszył, nie wiedząc, dokąd jechać. W pierwszym odruchu chciał dzwonić do Rogowskiego. Ale zastępca naczelnika miał nową, młodą żonę i małe dziecko. Odwiedzanie go w środku nocy nie wchodziło w grę. Zastanawiał się nad pozostałymi: Kapusta, Chlor, Szczepaniak… Nigdy nie umawiał się z nimi prywatnie. Trzymał się z boku. Trochę ze względu na własne posępne usposobienie, trochę po prostu dlatego że nie przepadał za kolegami z pracy. Kiedyś proponowali mu wspólne oglądanie meczu, wyjścia do kina czy pubu, on jednak zawsze odmawiał. Nie miał ochoty przesiadywać w barach Go Go, chlać wódy i wysłuchiwać rynsztokowych dowcipów. Został Wiktor, z którym łączyła go stara i szczera przyjaźń. I właśnie dlatego że znał komisarza Pawlaka nie od wczoraj, wiedział doskonale, jak zareaguje na wiadomość o zdradzie Olgi. Perspektywa znoszenia niekończących się cynicznych uwag i uszczypliwych żartów wydała mu się nie do zniesienia. Zmarszczył brwi. Innych znajomych nie miał. Praca wypełniała mu całe życie. Zaczął odruchowo szperać w kieszeniach. Znalazł nadgryziony batonik, ale rzucił go ze wstrętem na podłogę. Z pogniecionej paczki wyjął papierosa. Zapalił, zaciągnął się głęboko i docisnął gaz. Tuż przed drugą dotarł na Żoliborz. Wjechał

w osiedlową uliczkę rozświetloną upiornym, neonowym blaskiem. Nad sklepem spożywczym mrugał napis ułożony z giętych niebieskich jarzeniówek: „Alkohole, prasa, papierosy 24 h”. Zaparkował i oparł głowę na kierownicy. Przez jakiś czas trwał w bezruchu. W końcu rozprostował plecy, nabrał głęboko powietrza i wysiadł z samochodu. Znalazł odpowiednią klatkę schodową. Wcisnął guzik domofonu, raz, drugi, trzeci…

– Kto tam? – odezwał się zaspany głos.

– Sawoj – odpowiedział i nacisnął klamkę.

Ada czekała w otwartych drzwiach. Kiedy wchodził po schodach, patrzyła na niego w skupieniu. Nie wydawała się zdziwiona. Jej oczy pozostały uważne i zimne. Jak rentgen, pomyślał. Jakby prześwietlała mi mózg i wiedziała wszystko, nim zdążę się odezwać. Nie zadawała pytań. Niczego nie musiał tłumaczyć. Odsunęła się i wpuściła go do mieszkania.

– Możesz spać na kanapie – powiedziała, wyjmując koc i poduszkę z zielonej malowanej w kwiaty skrzyni. – Chcesz środek uspokajający?

Zaskoczyło go to pytanie. Zajrzał ostrożnie do własnego wnętrza.

– Tak – przyznał niechętnie.

Przyniosła dwie małe tabletki i szklankę.

– Xanax – wyjaśniła. – Działa przeciwlękowo, szybko po nim zaśniesz.

Uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Stare zapasy. – Uśmiechnęła się lekko. – Już go nie zażywam. Połknij.

Wziął pastylki i popił wodą, jak chore, posłuszne dziecko.

Sawicki stęknął i rozprostował obolałe ciało, żeby w następnym momencie zwinąć się znowu w kłębek. Sekundę wcześniej leżał spokojny i ciepły od snu, a teraz trząsł się i skomlał, jak porzucone w lesie szczenię. Olga, Olga, powtarzał w myślach i byłby chyba oszalał z bólu i rozpaczy, gdyby nie

przyszedł mu z pomocą stary, ćwiczony przez lata mechanizm obronny. „Dziewczynki jadły u dziadka”, przypomniał sobie słowa żony i ten dziwny, speszony uśmiech, z jakim na niego patrzyła, kiedy dla żartu zapytał, dla kogo stroi się do pracy. Zacisnął pięści. Pod moim nosem, pomyślał rozwścieczony. Idiota! Stary, zramolały dureń! Niczego nie zauważyłem, a przecież jestem policjantem! Teraz wszystkie zdarzenia ułożyły się w spójny, logiczny ciąg: dziwne roztargnienie Olgi, nadspodziewanie długie wyjścia do sklepu, prowadzone przyciszonym głosem rozmowy telefoniczne i zdecydowanie, z jakim odsuwała go, kiedy próbował się do niej zbliżyć. Złość, jedyne lekarstwo, które stosował na zszargane nerwy, jak zawsze dodała mu sił. Odrzucił koc. Wstał i podciągając spodnie, ruszył w głąb korytarza. Kuchnia była pusta. W zlewie stała brudna filiżanka, na stole leżała kartka: „Wyszłam do fabryki, wrócę za godzinę. Zrób sobie kawy. Mleko w lodówce. Chleb w szafce nad zlewem”. Nastawił ekspres, ale nie miał ochoty jeść. Z kubkiem w dłoni przeszedł do salonu i otworzył rozsuwane drzwi, za którymi znajdował się niewielki aneks. Bez większego zainteresowania obejrzał sypialnię i łazienkę. Mieszkanie było jasne, urządzone oszczędnie i z wyczuciem, a jednocześnie pozbawione jakichkolwiek osobistych rysów: żadnych pamiątek, żadnych zdjęć, niepotrzebnych drobiazgów czy innych bibelotów przywiezionych z wakacji – puste, białe przestrzenie. Kilka większych i zapewne bardzo drogich mebli: antyczna biblioteczka, komoda, wiejska skrzynia. Przyjrzał się obojętnie mosiężnej, giętej ramie lustra. Jeszcze wczoraj gust Ady by mu imponował, dzisiaj jednak nie zainteresowałby się, nawet gdyby znalazł oryginalnego Picassa nad jej łóżkiem. Wrócił z aneksu, usiadł przy biurku i włączył komputer, a potem sprawdził komórkę. Nikt nie próbował się z nim kontaktować. I co teraz?, zastanawiał się gorączkowo. Rozwiedziemy się? Olga zostanie

z dziewczynkami? Zabierze mi mieszkanie? Dostała je w spadku po ciotce, kilka lat przed ślubem. Należało wyłącznie do niej. Sawicki nie miał też wątpliwości, że nawet gdyby udowodnił zdradę żony, żaden sąd nie przyzna mu opieki nad dziećmi. Nie w okolicznościach, jakich wymagała praca policjanta. Miał zresztą głęboką świadomość, że sam nie zdołałby się nimi odpowiednio zająć. Ale jakim cudem z niewielkiej pensji miał płacić alimenty i wynajmować najmniejszy nawet pokój w Warszawie? Kurwa, zaklął w myślach. Kurwa pierdolona mać. Dla komisarza policji stołecznej utrzymanie dwójki dzieci było wysiłkiem na granicy możliwości finansowych. Na rozwód w żaden sposób nie mógł sobie pozwolić.

* * *

Zazgrzytał zamek. Trzasnęły drzwi. Ada weszła do salonu, niosąc w obu rękach duże tekturowe pudło. Robiła wrażenie wypoczętej i pełnej energii.

– Jak się czujesz?

Spojrzał na nią spod oka i nie odpowiedział. Postawiła pudło, otrzepała dłonie. Gruby, czarno-biały kocur natychmiast wskoczył na stół i zajrzał ciekawie do środka.

– To jest Filip-Oleńka. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Poznaliście się już, prawda?

Sawicki mruknął coś niezrozumiale. Kot łaził za nim przez cały ranek i wrzeszczał, domagając się jedzenia. W pewnym momencie odsunął go zdecydowanie nogą, a wtedy zwierzątko zagulgotało złowrogo i uderzyło go rozczapierzoną łapą po nagiej stopie.

– Przyniosłam z fabryki dowody. Sądzę, że dobrze nam zrobi zmiana scenerii. Urządzimy dziś tymczasowe biuro u mnie w domu.

Sawicki poczuł przypływ wdzięczności. Nie wyobrażał sobie, żeby mógł w obecnym stanie znieść pobyt w komendzie.

– Powinniśmy przejrzeć wszystko, przeczytać stare raporty i zastanowić się, z którymi świadkami chcemy jeszcze raz porozmawiać – ciągnęła, rozpinając płaszcz. – Tu masz materiały z wczorajszego badania Wójcika. Tak jak się umawialiśmy, przefaksowałam je Modzelewskiemu. Przeczytaj. Ja zaparzę kawy i zaraz przyjdę. Jadłeś coś? – spytała, przystanąwszy w progu, ale kiedy posłał jej posępne, umęczone spojrzenie, wzruszyła ramionami. Sawicki skrzywił się i sięgnął po teczkę z raportem psychologa.

* * *

Ada zmełła świeżą kawę. Ubiła starannie lepki, pachnący proszek na metalowym sitku i włączyła ekspres. Z maszyny uleciał kłąb syczącej pary. Czekała wpatrzona w okno. Z gęstej, mlecznobiałej mgły wystawały nagie korony drzew, w oddali majaczyły niewyraźne zarysy budynków, jak porzucone w dokach ogromne cielska przerdzewiałych wraków. Miasto tonęło w wilgotnym, zimnym tumanie. „Pierdolę”, z głębi mieszkania doleciało stłumione przekleństwo.

Drgnęła. Wyłączyła ekspres. Sawicki zjawił się pod jej drzwiami w środku nocy. Był blady, roztrzęsiony, wystarczyło jedno spojrzenie i już wiedziała, że ma przed sobą człowieka na skraju załamania nerwowego. Wszedł, a raczej wtoczył się do przedpokoju i nieproszony opadł ciężko na kanapę w dużym pokoju. Potem mówił coś bez ładu i składu o zdradzie, upokorzeniu i umierającej miłości. Nie słuchała go. Ominęła potok słów i sięgnęła wprost do wnętrza, a potem cofnęła się przed zbyt silnymi uczuciami, jakie napotkała. Pozwoliła mu bełkotać i kląć, sama zaś szukała rozwiązania, jak lekarz zastanawiając się w skupieniu nad diagnozą trudnego przypadku. Należało działać szybko, zdecydowanie i doraźnie. Nie miała czasu na popełnianie błędów. Nie teraz, kiedy śledztwo zabrnęło w ślepy zaułek. Prowadzenie dalszego dochodzenia z dodatkowym ciężarem w postaci załamanego partnera nie wchodziło w grę. Po raz

kolejny przyjrzała się ostrożnie szalejącym emocjom Sawickiego. Wznosiły się i opadały jak czarna, bulgocząca topiel. Wiedziała, że nie powinni teraz rozmawiać. Jak większość mężczyzn nie radził sobie z wypowiadaniem bólu. Słowa jedynie by go rozjuszyły, a później pogrążyłby się we wstydzie i w wyrzutach sumienia z powodu własnej słabości. Ada zacisnęła wargi. Potrzebowała środka, który zadziała gwałtownie i postawi go na nogi. Wyjęła ze skrzyni dodatkową pościel. Przyniosła z łazienki xanax. Najpierw należało uśpić pacjenta i zmusić go do odpoczynku. Sawicki łyknął posłusznie pastylki. Wyszła, nie zamykając drzwi. Siedziała potem w ciemnościach, czekając cierpliwie. Położyła się, dopiero gdy usłyszała chrapanie. Praca, pomyślała i okryła się kołdrą. Jutro trzeba go natychmiast zająć pracą.

Wróciła do pokoju, niosąc na tacy dwie filiżanki i miseczkę z owsianymi ciastkami. Sawicki kończył czytać raporty. Miał ściągniętą, bladą twarz, lecz ręce przestały mu drżeć. Poprzedniego dnia Ada pokazała zdjęcie Wójcika sąsiadom Wagner. Niektórzy pamiętali, że odwiedzał mieszkanie Zofii, ale zgodnie twierdzili, że od kilku miesięcy nie pokazywał się na Dąbrowskiego. Zaproszony do komendy emerytowany żołnierz obejrzał Jerzego przez lustro weneckie. Prosił, żeby podejrzany naciągnął kaptur i przeszedł się szybkim krokiem po pokoju. Zastanawiał się dłuższą chwilę i na koniec rozłożył bezradnie ręce, po czym oświadczył, że w bramie było zbyt ciemno.

– To nie on. – Sawicki odłożył orzeczenie biegłego. – Psycholog sugeruje, że Wójcik wszystko zmyślił. Co więcej, nasz podejrzany niemal na pewno zdaje sobie sprawę, że nikogo nie zamordował. Nie do końca rozumiem, po co w takim razie przyznał się do winy, ale to już problem psychiatry. Według tego, co tu napisano, trzeba go jak najszybciej przewieźć na obserwację do szpitala. Tam się nim zajmą… Rozumiem, że

facet jest ciężko zaburzony, ma zwidy i inne takie. – Popukał palcem w teczkę.

– Tak. – Postawiła tacę na stole. – Ostra psychoza. „Prawdopodobnie atak schizofrenii spowodowany silnym wstrząsem emocjonalnym” – zacytowała słowa raportu. – Przeglądałam papiery Wójcika i skontaktowałam się z lekarzem, który dwa miesiące temu przepisał mu psychotropy. Twierdzi, że nie zdarzyło się nic szczególnie niepokojącego. Chłopak miał chwiejną osobowość z tendencją do skrajnych wahnięć nastroju, zaniżone poczucie własnej wartości oraz problemy z nawiązaniem stabilnych kontaktów międzyludzkich. Dlatego chodził na terapię grupową. Po rozstaniu z Zofią pojawiła się depresja, więc lekarz zalecił psychotropy, ale nie zdiagnozował poważnego zaburzenia. Wójcik nosił w sobie bombę zegarową. Odpaliła, kiedy zobaczył zamordowaną eksnarzeczoną. Sądzę, że przyszedł do mieszkania Wagner tuż po tym, jak dokonano morderstwa. Kto wie, może nawet przepłoszył sprawcę? Swoją drogą warto by w którymś momencie go o to dopytać, rozumiem jednak, że teraz to zupełnie niemożliwe… W każdym razie – kontynuowała – najprawdopodobniej znalazł leżące w łazience ciało, spanikował i uciekł.

– Modzelewski nie będzie zachwycony – mruknął Sawicki. – Niejaki Algierski studiował razem z ojcem Wagner. A teraz jest podsekretarzem stanu i naciska, żeby jak najszybciej znaleźć mordercę.

Sięgnął po ciastko, wepchnął je w całości do ust i zaczął wyjmować kolejne przedmioty z tekturowego pudła. Wydawał się coraz bardziej ożywiony.

– W takim razie zobaczmy, co tu mamy. – Podał jej zgnieciony świstek.

– Nigdy nie rozmawialiśmy z psychologiem Wagner. – Rozprostowała na blacie karteczkę z adresem i numerem telefonu. – Poza tym trzeba wrócić do sklepu AM-NAT – ciągnęła, kładąc obok rulon wydruków z kas.

– Chlor przejrzał taśmy. Młotek, który nas interesuje, został kupiony cztery tygodnie temu na Ursynowie… – Szukała odpowiedniej notatki. – O piętnastej trzydzieści – dodała po chwili.

Skinął głową.

– I najważniejsza sprawa. – Ada uniosła ciężki, owinięty w folię przedmiot. – Laptop Zofii Wagner. Technicy złamali hasło trzy dni temu. Tyle tylko że nas o tym nie zawiadomili. Komputer leżał u nich i czekał, a my zajmowaliśmy się innymi sprawami.

Sawicki westchnął. Właśnie cofnęli się po własnych śladach do punktu wyjścia. Wstał, przeszedł przez pokój i oparł się o parapet.

– Błądzimy w cholernej mgle – powiedział, wyglądając na dwór.

Ada obserwowała go uważnie. Twarz policjanta zarumieniła się, oczy mu błyszczały. Lekarstwo zaczynało działać. W tym momencie zadzwoniła komórka. Sawicki odebrał, przeprosił i wyszedł do kuchni.

– Nie teraz – usłyszała podniesiony głos. – Nie mam na to czasu. Przeglądamy właśnie dowody!

Potem rozmowa przycichła. Dolatywał ją tylko ledwie słyszalny, nerwowy szmer. Po kilku minutach Sawicki wrócił do pokoju. Był zdenerwowany. Wyjął papierosa i nie zapalając, włożył go do ust.

– Dzwonił Rogowski – powiedział. – Mam coś załatwić. Mam pojechać do innego miasta… – Urwał i rzucił jej niespokojne spojrzenie. – Rozkaz szefa – dodał i skrzywił się nieprzyjemnie.

Ada milczała. Czuła niezrozumiałe napięcie i narastający niepokój.

– To trochę jego prywatne sprawy, a trochę nie… – jąkał się. – Twierdzi, że poradzisz sobie sama przez jeden dzień – tłumaczył, coraz bardziej zmieszany. – Nie mam wyjścia. Muszę natychmiast iść…

Kiwnęła powoli głową.

– W porządku. – Starała się mówić spokojnie. – Kiedy wracasz?

– Jutro – odpowiedział prędko. – Jutro po południu.

– W takim razie jutro skończymy przeglądać dowody. W tym czasie odpalę laptop Wagner.

Ruszył do drzwi.

– W sobotę rano jest pogrzeb – rzuciła za jego plecami. – Chyba powinniśmy się tam pojawić i zobaczyć, kto przyjdzie opłakiwać Zofię.

– Okej, zdążę. – Wykonał zamaszysty ruch, jakby próbował zostawić w tyle wszystkie irytujące go sprawy. – Ada? – bąknął w progu.

– Słucham?

– Masz może jeszcze te małe pastylki? Obawiam się, że mogę ich potrzebować…

39

Ada została sama. Przez pewien czas siedziała nieruchomo, wpatrując się w podłogę. Nagły telefon Rogowskiego, a potem zmieszanie i nieudolne wykręty Marcina zbiły ją z tropu. Jednak naprawdę przestraszyło ją to, co na moment ujrzała tuż za plecami Sawickiego. Jakiż sens ma wracanie do przeszłości?, myślała. Dlaczego miałabym po raz kolejny wikłać się we wspomnienia, które nic nie znaczą? Niczego nie cofnę. Niczego nie uda się już zmienić. Spojrzała w tamto miejsce w kącie pokoju, gdzie przed chwilą czaiła się ciemność. Ale zobaczyła tylko rozedrganą, połyskliwą plamę – odbicie wody z wazonu, w którym stały sztywne czerwone gerbery. Sięgnęła do pudła. Wyjęła laptop, rozerwała chroniącą go folię, postawiła go na biurku i podłączyła kable. „GraysonPerryS”, wpisała hasło odblokowujące system. Zdążyła sprawdzić w komendzie: Grayson Perry był znanym brytyjskim artystą, który lubił od czasu do czasu przebierać się w damskie ciuszki. Uśmiechnęła się rozbawiona. Czyżby grzeczną, poukładaną Zofię interesowali artyści transwestyci? Na pulpicie znajdowało się kilka ikon. Ada kliknęła w „Moje dokumenty”. Znalazła duży plik z pracą magisterską, życiorys, wniosek o stypendium Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, kilka książek w PDF-ach, zeskanowane felietony o sztuce, grafiki i oddzielny folder z przepisami na orientalne potrawy. Spodziewała się zwykłego systemowego bałaganu, tymczasem komputer Zofii był utrzymany w równie żołnierskim porządku jak jej

mieszkanie. Żadnych niepotrzebnych ikon, starych tekstów czy zapamiętanych przypadkowo obrazków z Internetu. Nawet kosz w rogu pulpitu okazał się całkowicie opróżniony. Zdjęła dłonie z klawiatury. Ogarnęło ją dobrze znane uczucie niepokoju.

– Gdzie, Zofio? – zapytała, wpatrując się w monitor. – W którym miejscu zostawiłaś dla mnie wiadomość?

Skuliła ramiona. Zacisnęła i rozluźniła palce, po czym otworzyła folder „Płatności” zawierający kopie transakcji z konta elektronicznego. Następnie bez specjalnego zainteresowania obejrzała spory zbiór ilustracji. Jeden z rysunków przedstawiał skręcone, kwitnące drzewo jabłoni na tle górskiego krajobrazu. Taka sama grafika wisiała nad łóżkiem w sypialni Zofii. Adzie zdawało się, że odbywa kolejną, tym razem wirtualną podróż po jej mieszkaniu. Wstała od biurka i pogrążona w myślach zaczęła krążyć po pokoju. Znowu natknęła się na higieniczny, poukładany świat, w którym wszystkie przedmioty tkwiły na wyznaczonych miejscach. Wszystkie elementy do siebie pasowały. Nie znalazła ani jednego pęknięcia, najmniejszej bodaj rysy, od której mogłaby zacząć dochodzenie. Czuła się jak wspinacz stojący naprzeciw idealnie gładkiej ściany.

– No mów! – warknęła w stronę komputera.

Sterylny świat Zofii Wagner milczał uparcie.

Wróciła do biurka i otworzyła foldery ze zdjęciami. Przebrnięcie przez albumy zabrało jej sporo czasu, obejrzała mało oryginalne, stylizowane na stare fotografie Warszawy, portrety rodzinne i w końcu kolorowe pamiątki z wakacji w Chorwacji, Hiszpanii, na Malcie i w zatłoczonych Dębkach nad Bałtykiem. Wszędzie widziała uśmiechniętą, rozluźnioną twarz, zgrabne opalone ciało, gęste ciemne włosy spadające na kark… Zmarszczyła brwi. Coś się nie zgadzało. Nie rozumiała tylko co. Po raz drugi, tym razem uważniej, przejrzała pliki. Wśród zdjęć z Półwyspu Iberyjskiego znalazła

folder z napisem „Karol”, który wcześniej przeoczyła. W tym momencie uświadomiła sobie, co ją niepokoi. Zofia przez wiele lat miała stałego narzeczonego. Tymczasem nie znalazła ani jednej fotografii, na której całowałaby, obejmowała czy chociaż trzymała za rękę kogoś przeciwnej płci. Czyżby nie jeździli razem na wakacje? A może po zerwanych zaręczynach skasowała wszystkie wspólne pamiątki? Ada otworzyła folder i zmrużyła z zainteresowaniem oczy. W środku znajdowała się tylko jedna fotografia, przedstawiająca twarz jasnowłosego mężczyzny o nieregularnych rysach.

– Niebieski skoroszyt – mruknęła, przygryzając dolną wargę.

Zerknęła na pasek w dole ekranu. Minęły cztery godziny, od kiedy usiadła do komputera. Czuła pulsujący ból w dole kręgosłupa i narastające drżenie mięśni. Wstała. Zrzuciła buty i wykonała kilka rozluźniających ćwiczeń jogi. Po paru minutach napięcie zelżało. Poszła zaparzyć kolejną kawę. Ogarnęło ją przykre uczucie zniechęcenia. Nie odkryła nic ciekawego. W kuchni usiadła na parapecie, podciągnąwszy kolana pod brodę. Filip-Oleńka miauknął cicho i usadowił się na jej stopach. Machał ogonem i mruczał ciepło, dając do zrozumienia, że pozostaje otwarty na propozycję przyjaźni, jeśli tylko Ada zechce go w końcu nakarmić.

– Jesteś okropnie gruby – powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał odpowiednio surowo. – Nic ci teraz nie dam.

Kot przestał mruczeć. Spojrzał na nią z odrazą i zeskoczył z parapetu. Uśmiechnęła się i uniosła filiżankę do ust. Piła drobnymi łykami, nie czując smaku, jakby przełykała gorące, gęste lekarstwo.

– Gdzieś tam – mruknęła – gdzieś tam na twardym dysku znajduje się pokój, w którym szperał morderca.

Spojrzała w okno. Na dworze trochę pojaśniało. Chmury podniosły się, tu i ówdzie odsłaniając skrawki błękitnego nieba. Po przeciwnej stronie

ulicy starsza kobieta wyrzucała z torby kawałki suchego chleba. Stadko wróbli dziobało pilnie w przegniłej trawie. „Błądzimy we mgle”, przypomniała sobie słowa Sawickiego.

– Ale mgła nie może utrzymywać się wiecznie – mruknęła, odstawiając filiżankę. – Mgła musi w końcu opaść.

Włączyła ponownie komputer z mocnym postanowieniem, że tym razem znajdzie brakujące ogniwo: zdjęcie, skan dokumentu, tekst, to, czego w realnym życiu szukał morderca. Wpatrzyła się ponuro w ekran, jakby rzucała wyzwanie wirtualnemu przeciwnikowi. Zdążyła przejrzeć wszystkie pliki i foldery. Zbadała każdą ikonę na pulpicie, z wyjątkiem jednej, którą zostawiła na sam koniec. Położyła dłoń na myszce i przesunęła kursor na rysunek lisa owiniętego wokół kuli ziemskiej: „Firefox”; kliknęła i wstrzymała oddech. Otworzyła się strona startowa, a na niej wyświetliły się linki do najczęściej odwiedzanych miejsc w sieci. Ada uśmiechnęła się z zadowoleniem. Przeglądarka nie miała zablokowanej historii. Wpisała literę „G” i Internet natychmiast zaproponował jej połączenie z pocztą Google. Weszła na stronę Gmaila. Pełna obaw wstukała „Z” w okienku z napisem „User”. „Z.Wagner5”, doradził laptop. Ada wypuściła głośno powietrze. Wpisała login i nacisnęła „Tab”, w nadziei że komputer zapamiętał również hasło, jednak tym razem nie otrzymała podpowiedzi. Oparła łokcie na kolanach i zmarszczyła brwi. Wiedziała, że sama nie zdoła złamać hasła do skrzynki pocztowej. Mogła co prawda poprosić o pomoc techników policyjnych, ale praca zajęłaby im kolejnych kilka dni, nie miała też pewności, czy w ogóle poradziliby sobie z dobrze strzeżonym systemem Gmaila. Z wahaniem przeniosła ręce na klawiaturę. „GraysonPerryS”, wpisała i nacisnęła „Enter”. Monitor zamrugał złośliwie. *The email or password you entered is incorrect*. Ada stała przed zamkniętymi drzwiami. Nie miała klucza. Oparła łokcie o blat, splotła palce i starała się skupić.

– Grayson Perry, Grayson Perry – powtarzała półgłosem.

W końcu otworzyła dodatkowe okno, wpisała w przeglądarkę „artysta transwestyta” i otrzymała w ciągu ułamka sekundy trzynaście tysięcy linków. Dodała słowo „znany”. Wybór rozszerzył się o kolejnych dziesięć tysięcy propozycji. Świat roił się od artystów o wyrafinowanych preferencjach seksualnych i nieokreślonej tożsamości płciowej. Równie dobrze mogłaby zastanawiać się nad nazwiskami anglojęzycznych pisarzy albo niemieckich muzyków.

Wstała, położyła się na kanapie i sięgając machinalnie po kolejne owsiane ciastko, zaczęła intensywnie myśleć. W ciągu tygodnia dowiedziała się niemało o życiu zupełnie obcej kobiety. Jaka była Zofia Wagner? Niezależna, odpowiedziała natychmiast. Zdecydowana, dodała, pracowita. Co jeszcze? Oczywiście świetnie zorganizowana…

– Aua! – krzyknęła.

Filip-Oleńka wbił pazury w jej odsłonięte ramię.

– Oszalałeś? – Podniosła się gwałtownie.

Kot odmiauknął wściekle. Wyjęła komórkę z kieszeni dżinsów.

– Masz rację – przyznała ze skruchą. – Masz zupełną słuszność. Zaraz dostaniesz obiad.

Piętnaście minut później Filip-Oleńka leżał na fotelu zwinięty w ciepły, przyjazny kłębek i mruczał z rozkoszą. Ada podrapała go za uszami i wróciła na kanapę. Zofia Wagner…, próbowała odtworzyć przerwany tok rozumowania, wykształcona, wysportowana, dobrze zorganizowana… Tego słowa szukała. Chwyciła je mocno i rozmyślała dalej. W jaki sposób ludzie zapamiętują coraz liczniejsze kody dostępu, hasła do poczty, kont elektronicznych, Dropboksów, Facebooka? Jak zapamiętywała je lubiąca porządek Zofia? Sięgnęła po papier i długopis. „Grayson Perry”, napisała. „GraysonPerryS”; zatrzymała się na ostatniej literze i starannie ją

pogrubiła. „S”… co to znaczy? Numer? Dziewiętnasta litera w alfabecie? A może dwudziesta czwarta, jeśli uwzględnić polskie znaki? „S” jak sejf, skrytka, szyfr… Dłuższą chwilę wpatrywała się w pogrubiony znak na środku kartki i nagle poczuła szum w uszach, gwałtowne uderzenie krwi i zastrzyk adrenaliny. Poderwała się z miejsca i podbiegła do komputera. „S” pochodziło oczywiście od słowa „system”. Jeśli miała rację, Zofia używała logicznej, a jednocześnie niezwykle prostej metody tworzenia haseł. Wystarczyło znać imię i nazwisko grafika. A przecież Ada otrzymała je kilka godzin wcześniej od techników policyjnych. Ostatnia litera hasła pochodziła od nazwy zakodowanego elementu: „GraysonPerryS” dla systemu komputerowego, „GraysonPerryF” w przypadku Facebooka, „GraysonPerryD” dla Dropboksa… Drżącymi palcami wstukała: „GraysonPerryG” i w następnym momencie przeżyła gorzkie rozczarowanie. „GraysonPerryM”, spróbowała. *The email or password you entered is incorrect*. Jeśli nie Gmail i nie mail, to co?, zastanawiała się gorączkowo. Skrzynka? Inbox? Poczta? „GraysonPerryP”; komputer zabzyczał. Przez ułamek sekundy zdawał się stawiać opór, a potem poddał się ostatecznie. Hasło zostało złamane, drzwi otwarte. Na monitorze pokazał się pełny spis korespondencji Zofii Wagner. Ada roześmiała się głośno.

40

26 września 2011

Karol Zalewski

Przepraszam, że nie odzywałem się długo. Widzisz, potrzebuję spokoju. Bardzo martwi mnie to, co dzieje się ostatnio między nami. Sądzę, że chwilowa rozłąka dobrze nam zrobi. Oboje powinniśmy zastanowić się poważnie nad tym, czego chcemy. Dokąd zmierza nasze życie – wspólne? Osobne?

Nie ukrywam, że zabolały mnie Twoje słowa. Jak możesz obwiniać Ruch o nasze osobiste problemy? Cóż to za dziwny, absurdalny pomysł? Próbowałem Ci wytłumaczyć, że wiara oparta jedynie na tradycji i przyzwyczajeniu załamuje się, napotykając przeszkody. I powtórzę jeszcze raz: Twoja wiara jest naskórkowa. Tak, to dla mnie poważny problem. Ruch nie ma z tym nic wspólnego, po prostu trudno mi wiązać przyszłość z osobą, dla której najistotniejsza część mojego życia pozostaje niezrozumiała. Wiem, że ten list brzmi szorstko, a nawet brutalnie, ale tylko przez prawdę i wzajemną szczerość możemy odnaleźć właściwą drogę, prawdziwą świętą wspólnotę kobiety i mężczyzny.

Wiara musi przejść przez próby cierpienia, przez próby wyrzeczeń i poświęceń. Boga można doświadczyć, jedynie

pozbywając się złudnego oparcia – w ludziach, uczuciach, starych praktykach religijnych czy nawet w chwilowym uniesieniu, jakie odczuwasz podczas modlitwy. W drodze do świętości człowiek staje w obliczu Majestatu nagi i bezbronny.

Rozumiem teraz, że nic nie zdarza się przypadkiem. Nasze problemy i kłótnie to rodzaj próby. Ale też i dar. Każde cierpienie ma sens. Jeśli będziemy posłusznie trwać w bólu, oddając się bez reszty Bożej opiece, po drugiej stronie czeka na nas blask łaski Pańskiej. Uczucie między kobietą a mężczyzną tylko przez Boga może osiągnąć pełnię. Droga do doskonałości prowadzi przez wyrzeczenia. Również droga małżeńska. Aby uświęcić miłość między ludźmi, trzeba z niej najpierw zrezygnować. Zawierzyć bezgranicznie Najwyższemu i być gotowym na poświęcenie, nawet tak trudne jak rozstanie z ukochaną osobą.

To chciałem Ci powiedzieć – K.

Ada uniosła brwi. Od dwóch godzin przeglądała pocztę. Tak jak się spodziewała, listy były starannie posegregowane, podzielone na: *Personal*, *Receipts*, *Travel*, *Work*, *Social* i *Forums*, co niezwykle ułatwiało jej pracę. Zerknęła przelotnie na zakładkę *Social*. Wszystkie wiadomości okazały się krótkie, suche i bardzo konkretne. Zofia umawiała się na wyjście do kina, kawę, urodzinową kolację. Czasem opisywała dłużej jakąś wystawę lub koncert, poza tym strzegła pilnie prywatności. Ada przesłała kilka wiadomości na własny adres. Potem zajrzała do zakładki *Personal*. Wpisała w wewnętrzną przeglądarkę: „Karol Zalewski” i otrzymała pięć propozycji. Trzy maile pochodziły z dwa tysiące jedenastego roku – jeden z nich już przeczytała. Dwa pozostałe wysłano na początku grudnia dwa tysiące dwunastego.

– Nie rozumiem, co ten człowiek miał na myśli – mruknęła zdziwiona. – Żeby kochać, należy najpierw zrezygnować z miłości? To przypomina chińską pułapkę na palce…

4 października 2011

Karol Zalewski

Wiem, że męczy Cię nasza rozłąka. Dla mnie jest ona jednak absolutnie konieczna. Proszę więc, przestań dzwonić i nie pisz do mnie przez jakiś czas. Zresztą oddałem komórkę jednemu z księży, nie chcę, żeby świat zewnętrzny mnie teraz rozpraszał. Czuję się bardzo dziwnie. Dobrze, szczęśliwie i spokojnie. W końcu dotarło do mnie, że wszelkie silne uczucia wymagają energii, a więc prędzej czy później się wyczerpują. Dotyczy to również ludzkiej, cielesnej miłości. Prawdziwy pokój i szczęście można osiągnąć jedynie dzięki Niemu. Im dalej człowiek posuwa się w poznaniu Boga, tym mniej sił zewnętrznych może go zniszczyć. W jedynie prawdziwej, intymnej relacji z Bogiem pokój jest niezniszczalny. Staje się wieczny.

Nasze pragnienia, bolączki, zranienia, rozczarowania oddalają nas od Prawdy. Codziennie dręczy mnie nieznośna pokusa, by uciec w grzech, grzech zapomnienia. By zaufać temu, co mam tu na ziemi. Również innym ludziom, również miłości do nich. Powoli, w trudzie dorastam do wiary. Otwieram się na jej łaski. Wiem, że świeci nade mną gwiazda, Matka Nadziei, i jej miłujące ramiona pozostają dla mnie otwarte. Nie mogę wybierać pomiędzy Nią a Tobą. Zrozum, takiego wyboru po prostu nie ma. Pójdę za Jej głosem, czegokolwiek ode mnie zażąda. Czekam na Jej decyzję.

– K.

14 października 2011

Karol Zalewski

Wracam jutro wieczorem. Chciałbym się z Tobą jak najszybciej spotkać. Musimy porozmawiać.

– K.

Karol pisał prawdopodobnie z zamkniętych, wewnętrznych rekolekcji ruchu. Zofia nie zachowała odpowiedzi. Musiała wysyłać maile z oddzielnego okna, a potem skasować część korespondencji. Dlaczego? Na to pytanie Ada nie umiała odpowiedzieć. Odsunęła laptop i wstała. Powoli traciła zdolność koncentracji. Pracowała od ośmiu godzin. Była głodna i wyczerpana. Zadzwoniła do baru wietnamskiego i zamówiła zupę krewetkową. Potem rozpięła guziki koszuli. Zdjęła spodnie. Na bosaka poszła do łazienki, pochyliła się nad wanną i odkręciła gorącą wodę. Leżąc w pianie, pozwoliła myślom krążyć swobodnie. Gdzieś na granicy świadomości pojawiło się odległe wspomnienie letniego popołudnia. Miała dziesięć, najwyżej jedenaście lat. Siedziała w ogrodzie ojca. Wokół kręciło się mnóstwo osób. Trawnik zalało słońce. Kolumna czarnych mrówek podążała zwartym szykiem w stronę rozstawionego na werandzie stołu. Młoda, długonoga kobieta o blond włosach upiętych w imponujący kok opowiadała głośno o swoim koledze czy też kuzynie, który okazał się gejem.

– Kiedy nas odwiedził, nosił kolczyk w uchu i złoty sygnet na palcu – mówiła. – Mieszka ze swoim chłopakiem w RFN-ie. Dobrze się urządził. Kochanie, napijesz się soczku?

Ada nie odpowiedziała. Zwiewna nitka babiego lata zawisła na krzaku dzikiej róży. Połyskliwy chrząszcz przewrócił się na grzbiet i leżał na ścieżce, machając bezradnie nogami. Dziewczyna schyliła się i podała mu źdźbło trawy. Jak ona miała na imię? Agnieszka? Ania? Kiedy kilka

miesięcy później zniknęła z ich życia, Ada gorzko żałowała, że nie starała się być dla niej miła. Wszystkie kobiety prędzej czy później odchodziły, zostawiając ją samą, uwięzioną w jednym domu z ojcem. Zabrzęczał dzwonek domofonu. Wyskoczyła z wanny. Nie zdążyła wciągnąć spodni. Odebrała zamówienie w szlafroku.

– Dwadzieścia dwa pięćdziesiąt.

Chłopiec noszący za dużą, zsuniętą na kark bejsbolową czapkę wpatrywał się uparcie w jej stopy. Zauważyła, że brak mu jedynki.

– Reszty nie trzeba.

Zatrzasnęła drzwi. Krople wody spływały z włosów w dół pleców. Poczuła ciągnący od podłogi chłód. Wspomnienie dawno minionego lata zadrżało i znikło. Ada owinęła głowę ręcznikiem, włożyła dres, odgrzała zupę w mikrofali i zaniosła plastikową miseczkę do pokoju. Otworzyła kolejny mail od Karola. Tym razem trafiła na pełny zapis korespondencji. Plik zawierał również odpowiedzi Zofii. Sięgnęła po łyżkę i jedząc, zabrała się do czytania.

7 grudnia 2012

Karol Zalewski

Zofio, Zosiu, moja kochana. Sam nie wiem, co Ci napisać. To, co stało się ostatniej nocy, nigdy nie powinno się zdarzyć. Okazałem się słaby. Jestem słaby, zawsze o tym wiedziałem. Bóg w swoim nieskończonym miłosierdziu mi wybaczy. Ale czy Ty będziesz skłonna zrobić to samo? Posłuchaj, jakkolwiek okrutnie to zabrzmi, musisz zapomnieć o tym, co między nami zaszło. Potknąłem się. Zgrzeszyłem. I jednocześnie skrzywdziłem Cię daną pochopnie obietnicą. Nie zawrócę jednak z raz obranej drogi. Kiedy zobaczyłem Cię stojącą samotnie na ulicy, nie

potrafiłem się powstrzymać. Podszedłem. Zaczęliśmy rozmawiać. Oboje wiemy, jak skończył się ten wieczór. Zawładnęła mną żądza cielesna, ale też stare, głębokie uczucie do Ciebie, którego się wyrzekłem. Czuję dziś ból, tęsknotę i rozpacz, ale wiem, że doświadczenie zagubienia i bezradności powoduje, iż otwieram się jednocześnie na Boże Miłosierdzie. Wieczorem pójdę do spowiedzi, porozmawiam z przewodnikiem duchowym. Zacznę od początku.

Trzymaj się i wybacz mi, jeśli potrafisz.

7 grudnia 2012

Z.Wagner5

Karol, dlaczego nie odbierasz telefonów? Proszę, nie rozmawiaj z nikim! Spotkaj się ze mną jeszcze raz! Przypomnij sobie, co mówiłeś w nocy! Przypomnij sobie własne wątpliwości! Nie możesz się teraz wycofać! Odezwij się, błagam!

8 grudnia 2012

Karol Zalewski

Zosiu, rozmawiałem z przewodnikiem duchowym. Zrozumiałem swój błąd. Nie możemy się więcej kontaktować. Jeszcze raz proszę Cię o wybaczenie.

PS

Tamtej nocy zgubiłem klucze, jeśli zostały u Ciebie, wyślij je, proszę, na ten adres:

Stanisław Czarnota

ul. Pawlaczyka 15

02-777 Warszawa.

Będę wdzięczny.

Trzymaj się! Modlę się za nas oboje.

8 grudnia 2012

Z.Wagner5
Karol! Proszę, zastanów się, co robisz!

Na tym korespondencja się urywała. Do kolejnej wymiany maili doszło dwa tygodnie później. Tym razem pierwsza odezwała się Zofia.

22 grudnia 2012

Z.Wagner5
Znalazłam Twoje klucze. Użyłam ich. Mam coś, na czym powinno Ci zależeć.

23 grudnia 2012

Karol Zalewski
Zofio, to się nazywa kradzież. Oddaj natychmiast to, co sobie przywłaszczyłaś, albo porozmawiamy inaczej!

23 grudnia 2012

Z.Wagner5
Inaczej rozmawiałeś ze mną tamtej nocy. Otrząśnij się w końcu.

23 grudnia 2012

Karol Zalewski
Wiesz dobrze, że mówiłem pod wpływem gwałtownych emocji. Myliłem się. Pozwól mi przynajmniej wytłumaczyć. Odbierz telefon!

25 grudnia 2012

Z.Wagner5

Im dłużej to wszystko trwa, tym lepiej rozumiem, jak podłą, pozbawioną skrupułów jesteś osobą. Przestań w końcu do mnie wydzwaniać! Rozumiesz? Bo zgłoszę sprawę o nękanie! Muszę się zastanowić, co dalej robić. Może nie zrobię nic. A może jednak coś. Męcz się teraz sam ze sobą, nędzny hipokryto! Wesołych Świąt!

25 grudnia 2012

Karol Zalewski

Ostrzegam Cię, Zofio! Podstępnie wykorzystałaś moją słabość. Okradłaś mnie i postawiłaś w bardzo trudnej sytuacji. Nie przeciągaj struny.

Ada wyjęła łyżkę z ust i gwizdnęła przeciągle, jak żul, który właśnie znalazł leżący na środku chodnika banknot.

Minęła dziesiąta, kiedy w końcu oderwała się od monitora. Spędziła część popołudnia i cały wieczór, szperając w sieci w poszukiwaniu wiadomości na temat Ruchu Dzieci Niepokalanej. Szybko zdążyła się zorientować, że Zofia prowadziła wcześniej podobne śledztwo. W historii przeglądarki odnalazła linki do stron i forów o tematyce religijnej. Tytuł jednej z dyskusji brzmiał: *Sekty i nowe ruchy chrześcijańskie – alternatywa dla religii czy forma zniewolenia człowieka?* Zapisała na pulpicie kilka interesujących dokumentów PDF, między innymi cały zbiór wydawanych przez ruch broszurek, i przyniosła drukarkę. Papier szeleścił, przesuwając się między wałkami maszyny. Filip-Oleńka uniósł głowę i obserwował z napięciem kartki tworzące coraz grubszy stos. Potem przeniósł wzrok na swoją panią. Ada stała, mocno zaciskając lewą dłoń na oparciu krzesła. Uniesionym ramieniem przytrzymywała przy uchu telefon.

– Proszę cię… – powiedziała.

Kot wyciągnął rozczapierzoną łapkę i ziewnął szeroko.

– Zdaję sobie sprawę, że dochodzi jedenasta, nie dzwoniłabym, gdyby to nie było naprawdę konieczne – tłumaczyła, wsuwając papier do drukarki.

– Ja…

– Zrozum…

Nabrała powietrza, jakby chciała przerwać rozmówcy, ale osoba po drugiej stronie słuchawki najwyraźniej nie dopuszczała jej do słowa.

– Bardzo cię proszę – powtórzyła.

– Nie, muszę przyjechać jeszcze dziś! To ważne!

Kot zamachał ogonem, zmarszczył nos i wydał groźny pomruk z samego dna piersi.

– Wychodzę. – Ada odłożyła komórkę. – Wrócę za godzinę. – Uśmiechnęła się do zwierzątka, ale Filip-Oleńka zeskoczył z fotela i odszedł obrażony w stronę sypialni.

Schowała zadrukowany plik do teczki i zamówiła taksówkę. Dwadzieścia minut później wysiadła przed dziesięciopiętrowym blokiem na rogu Rakowieckiej i Bruna. Wjechała na górę i zastukała do drzwi znajdujących się dokładnie naprzeciw windy. Kasia stanęła w progu ubrana w kolorowe bawełniane majtki i podkoszulkę z tłustą plamą na lewej piersi. Między udami dyndała odpruta nitka.

– No – powiedziała zdecydowanie zbyt głośno – mam nadzieję, że to, co przywiozłaś, mnie zainteresuje. I chciałabym wiedzieć, w jaki sposób zamierzasz mi wynagrodzić dzisiejsze poświęcenie – ciągnęła, nie wpuszczając Ady za próg. – Musiałam wyrzucić Janusza z łóżka, a bardzo przyjemnie się nam pieprzyło.

– Janusza?

– Janusza, opowiadałam ci o nim – kolega ze znamieniem w kształcie słonia. Zresztą to tylko pseudonim, prawdziwego imienia nie zdradzam, na wypadek gdyby ktoś nas podsłuchiwał albo gdybyś okazała się plotkarą, chociaż – przyznała, rzucając Adzie protekcjonalne spojrzenie – to raczej mało prawdopodobne; na szczęście nie znasz moich przyjaciół ani w ogóle nikogo… Masz jakichś znajomych w Warszawie?

Ada rozejrzała się po brudnej klatce schodowej i odrapanych drzwiach, próbując omijać wzrokiem siostrę. Niespodziewanie uświadomiła sobie, że Kasia od dawna kojarzy się jej z negliżem. Duże jasne ciało robiło wrażenie obnażonego, bez względu na to, czy miała na sobie tylko bieliznę, czy zapięty pod szyję sweter. Zawsze skrawek pleców, fałd brzucha albo krągłość ramienia wymykały się spod materiału. Ciało rozlewało się na wszystkie strony, z każdym ruchem podwajając swoją obecność, a jego właścicielka przyjmowała ten cudownie mnożący się nadmiar z niezmiennym zadowoleniem.

– Wejdziesz w końcu czy będziesz tak całą noc stała na schodach, strasząc sąsiadów? I bez ciebie mam tu nie najlepszą opinię; zdaje się, że powszechnie uznano mnie za osobę rozwiązłą. Kiedy sypiałam z kobietami, nikt nie zgłaszał pretensji, uważano, że jestem towarzyska. Zmieniłam się – ciągnęła, łapiąc Adę za ramię i popychając w głąb mieszkania. – Ale któż z nas panuje nad własną seksualnością? Nie potrafię się ostatnio obejść bez penetracji, no i za każdym razem, wyobraź sobie, mam orgazm pochwowy. Możesz przestać gapić się na mnie tym swoim pseudoprzenikliwym wzrokiem policyjnej krowy? – dodała, opadając na leżący pod ścianą stos brudnych ubrań. – I tak niczego więcej nie wyczytasz. Jestem cała na wierzchu. – Rozłożyła ręce w geście mającym świadczyć o bezgranicznej otwartości.

Ada wzdrygnęła się mimo woli na widok bałaganu. Na podłodze leżały sterty książek, płyty CD, połamane długopisy, zeszyty, skórki pomarańczy zaplątane w brudne pończochy, kubki z zapleśniałą herbatą, ręczniki i w końcu sparciały korek od wanny w kącie pod oknem. Na wierzchu spoczywała cała nieokiełznana cielesność Kasi, wyzbyta wstydu i wszelkich zahamowań.

– Możesz usiąść, jeśli nie boisz się pobrudzić – rzuciła cierpko. – Odkąd cię poznałam, nie mogę się nadziwić, że zawsze wyglądasz tak czysto. Twój ojciec kąpał cię w domestosie? Bo mój w ogóle mnie nie mył. Uważał, że woda wysusza skórę. Więc czego i przede wszystkim dlaczego czegoś ode mnie chcesz?

– Zależy mi na tym, żebyś coś przeczytała, a potem wyjaśniła mi parę spraw – odpowiedziała, podnosząc ze stołu skoroszyt z napisem: „Kobieta a ruchy religijne we współczesnej Europie”.

– Uważaj, to są notatki do doktoratu – syknęła Kasia. – Uzupełniałam je przez ostatnie trzy lata.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj, tylko niczego tu nie ruszaj – mruknęła, szukając w stosie ubrań wełnianych skarpetek, po czym naciągnęła je na zmarznięte stopy. – No dobrze, więc przychodzisz tu, straszysz moich kochanków i oczekujesz, że ci pomogę. Czy mogłabym wiedzieć, na jakiej podstawie?

– Jesteś moją siostrą…

– Zawsze to samo: jesteś moją siostrą, jesteś moją siostrą. I co z tego? Pozwól, że powiem ci, co zrobiła moja jedyna siostra tydzień temu: obraziła się z powodu barmana, z którym nawet nie poszłam do łóżka. Nie odbierała telefonów i zachowywała się w sposób żenujący… Sądzisz, że mam brudne paznokcie? – zapytała niespodziewanie, podsuwając Adzie dłoń pod sam

nos. – Ale ja w sumie lubię taki nieoczywisty melanż – dodała, cofając rękę. – Czerwony lakier i ciemne obwódki…

– Przepraszam – powiedziała cicho Ada, otwierając przyniesioną teczkę. – Nie mam nikogo poza tobą, kogo mogłabym prosić o pomoc.

– A, to trzeba było wcześniej dbać o naszą znajomość. A nie obrażać się o faceta. Oszalałaś? Odbiło ci kompletnie? Przecież ty nawet nie wiesz, jak on ma na imię.

– Słuchaj – przerwała Ada. – Żałuję, że nie odbierałam telefonów. Ale potrzebuję pomocy. Od kogoś dobrze wykształconego i zaufanego, a ufam tylko tobie.

– Ufasz mi? – zdziwiła się Kasia. – To zmienia postać rzeczy. Chociaż powinnam cię uprzedzić, że popełniasz błąd.

– Zapłacę ci. – Ada wyjęła z torebki portfel.

– Może powiedz najpierw, o co chodzi.

– Natrafiłam na coś dziwnego w czasie śledztwa. Na organizację… – Ada się zawahała – ruch katolicki… Nazywają się Dzieci Niepokalanej. To chyba coś takiego jak Neokatechumenat albo Odnowa w Duchu Świętym… Nie znam się na tym. Chciałabym, żebyś pomogła mi zrozumieć, co robią i jak działają. Wydrukowałam próbki broszurek, które publikują. Mam też zapisany link do oficjalnej strony i kilka adresów miejsc w sieci, gdzie można znaleźć dodatkowe informacje na ich temat…

– Nie znam się. Nie jestem specjalistką – Kasia odpowiedziała sucho i odwróciła wzrok.

– Przecież właśnie o tym piszesz doktorat, o ruchach religijnych w Europie.

– Właśnie. – Wyjęła z ust gumę i przykleiła ją do krzesła. – Piszę doktorat od siedmiu lat i nic nie wskazuje na to, żebym miała się w najbliższym czasie obronić.

– Na pewno zrozumiesz znacznie więcej niż ja. To ważne…

Kasia zamyśliła się, kręcąc w palcach jasne pasmo włosów. W końcu podniosła się z podłogi.

– Dobrze, przejrzę to – powiedziała, podeszła do stołu i położyła dłoń na teczce. – Ale w zamian chcę straszak.

– Co?!

– Chcę pistolet. Podróbkę, ale wyglądającą na autentyk. Na pewno macie coś takiego na komendzie.

– Po co ci straszak?

– Jest taka laska, nazwijmy ją Gosia, chociaż to pseudonim, w rzeczywistości ma inaczej na imię… W każdym razie przespałam się z nią i teraz Gosia nie daje mi spokoju. Wystaje pod drzwiami, siedzi na wycieraczce, śledzi mnie po kawiarniach i straszy moich przyjaciół. Dostała ciężkiej obsesji. Chcę, żeby się odczepiła.

– Nie ma mowy.

– W takim razie zabieraj te papiery i radź sobie sama. – Sięgnęła po leżącą na stole plastikową torebkę z marihuaną, wyjęła z szuflady tytoń i z obojętną miną zaczęła zwijać skręta.

– Mogę ją aresztować za nękanie – zaproponowała niepewnie Ada.

– To nic nie da. Wyjdzie z aresztu i tu wróci. Muszę mieć w domu coś, czego by się bała. Dajesz straszak, robię dla ciebie research. Bez straszaka szukaj kogoś innego.

– Dobra – poddała się. – Przywiozę pistolet w sobotę wieczorem.

– Oki. – Kasia włożyła skręta do ust. – A ja przejrzę teczkę i spróbuję powiedzieć ci coś konkretnego.

41

Noc ze środy na czwartek Sawicki spędził u Ady. Rano akurat zabierali się wspólnie do pracy, kiedy zadzwonił Rogowski.

– Odezwał się mój znajomy z wrocławskiej policji – powiedział. – Znalazł kogoś, kto pracował wcześniej z Mimozą. To komisarz Rymkiewicz. Zgodził się porozmawiać, ale tylko osobiście. Więc musisz pojechać do Wrocławia. Jak najszybciej – dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Czyli jeszcze dziś.

Sawicki próbował oponować, ale Róg przerwał mu ostro:

– To polecenie służbowe. Nie podlega dyskusji. Zresztą już was umówiłem. Masz się pojawić o siódmej wieczorem w barze Tokaj na Ruskiej piętnaście. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem – odparł niechętnie.

Wyłączył komórkę, wrócił do pokoju i mętnie wytłumaczył się Adzie ze zmiany planów. A raczej wcale się nie wytłumaczył, tylko zostawił ją zdziwioną w jej schludnym mieszkaniu, razem z komputerem Wagner i pudłem z dowodami, a sam zbiegł do samochodu. Minęła godzina korków, więc dość szybko wydostał się z Warszawy. Na autostradzie stary opel trząsł się i rzęził ostrzegawczo, jeśli tylko próbował przekroczyć sto dziesięć. Uchylił okno i zapalił papierosa. Niespodziewanie z całą okrutną wyrazistością wróciły do niego obrazy środowej nocy. Nie mógł przed nimi uciec: ściągnięta, blada twarz Olgi, jej zaciśnięte usta i spojrzenie, które

teraz nie wydawało mu się ani zimne, ani złowrogie, tylko pełne bolesnej rezygnacji. Spojrzenie, jakie rzuciła mu, kiedy podniósł rękę, żeby ją uderzyć. Nie czuł złości. Gniew wypalił się i uleciał, nie pozostawiając po sobie wyraźnych śladów. Otworzyła się w nim ciemna, wilgotna jama i z każdą mijającą minutą stawała się coraz głębsza i bardziej rozległa. Gdyby kiedykolwiek wcześniej zastanawiał się nad własnymi emocjami, wiedziałby, że to ziejące chłodem pęknięcie nazywa się rozpacz i że nie da się go w żaden sposób pokonać ani zignorować.

Do Wrocławia dotarł przed czwartą. Zostawił samochód na płatnym parkingu. Zjadł hamburgera i podwójne frytki w McDonaldzie, wypił mocną kawę, kupił pastę i szczotkę do zębów w Rossmannie i znalazł tani hotel, za który Rogowski miał zapłacić z funduszu delegacyjnego sekcji. Hotelowy pokój nie mógł mieć więcej niż dziesięć metrów. Mieściły się w nim tylko wąskie jednoosobowe łóżko i szafka, na której stał przedpotopowy telewizor. Wykładzina na podłodze miała nieokreślony, bury kolor. Sawicki zastanawiał się przez chwilę, czy nie połknąć jednej z magicznych tabletek Ady, ale uznał, że powinien zachować przytomność umysłu w czasie rozmowy z komisarzem Rymkiewiczem. Wziął więc tylko gorący prysznic i opuścił hotel, kierując się w stronę ulicy Ruskiej.

Bar Tokaj okazał się ciemną, zatłoczoną speluną. Za oświetlonym halogenami barem siedziała pulchna barmanka, ubrana w dżinsową kurtkę i biały podkoszulek. W powietrzu unosił się zapach skwaśniałego piwa.

– Co podać? – zapytała.

Sawicki zamówił wodę mineralną. Zajął stolik w bocznej sali przeznaczonej dla palących i czekał na sygnał. Po piętnastu minutach odezwała się komórka.

– Tu Rymkiewicz. Właśnie wszedłem. Gdzie siedzisz?

Zobaczył wysokiego mężczyznę, który przeciskał się przez tłum. Miał pociągłą, kościstą twarz, osadzone głęboko oczy i wąskie, zgarbione ramiona. Ocenił go na czterdzieści lat.

– Cześć. – Podali sobie ręce.

– Zamówię piwo. – Rymkiewicz wycofał się w stronę baru.

Po kilku minutach wrócił, niosąc w dłoniach dwa kufle.

– Napij się. Pewno jesteś zrąbany. Długo jechałeś?

– Pięć godzin. – Sawicki zawahał się, ale w końcu odsunął szklankę z wodą i przyjął z wdzięcznością piwo.

– Musiało was tam w Warszawie nieźle przycisnąć, skoro fatygowałeś się taki kawał. Rochniewicz daje do wiwatu? – Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zdrowe, białe zęby.

– Mamy trochę nadwrażliwego naczelnika, chce dokładnie wiedzieć, z kim pracuje – mruknął wymijająco.

– Słusznie, słusznie – wrocławianin przytaknął z powagą. – Ostrożności nigdy za wiele, zwłaszcza w wypadku Rochniewicz.

– Co masz na myśli?

Policjant rzucił mu uważne spojrzenie i bez słowa uniósł kufel do ust. Kiedy go odstawił, nad górną wargą drżała biała obwódka z piany.

– Słuchaj, stary – zaczął powoli, wyciągając pod stolikiem długie nogi. – Zgodziłem się pogadać, bo Ostaszewski, kumpel twojego naczelnika, to mój stary przyjaciel. Mam wobec niego… – zastanowił się – mam pewne zobowiązania. I okej. Mogę wam sprzedać do Warszawy parę historyjek o Rochniewiczowej. Znam ją. Pracowaliśmy razem kilka lat… – Urwał i patrzył znacząco na rozmówcę, jakby spodziewał się odpowiedzi. Sawicki poruszył się niespokojnie. – Ale wszystko, co ci tu opowiadam, mówię prywatnie, z grzeczności. Rozumiemy się? Ta cała Ada już u nas nie pracuje

– ciągnął. – Nie mam żadnego interesu wchodzić z nią w konflikt, a zwłaszcza w konflikt z jej starym.

– Z jej starym? – Sawicki udał zdziwienie.

– Tym, jak mu tam… Olgierdem Rochniewiczem. Nie wiedziałeś? Do kolesia należy połowa gazet w Polsce. To niezła szycha. Ma wszędzie znajomości. Od lat przyjaźni się z naszym komendantem. I tak, kurwa, tylnymi drzwiami wcisnął nam babę. A myślałeś, że jak dziewucha trafiła do dochodzeniówki? Bo była zdolna? – Odchylił głowę do tyłu i parsknął głośno. Miał dźwięczny, zaraźliwy śmiech i Sawicki też uśmiechnął się bezwiednie.

– U nas się sprawdza – oznajmił pospiesznie. – Moim zdaniem ma talent.

– Talent, talent – przedrzeźniał go Rymkiewicz. – Idź lepiej i kup nam jeszcze po jednym, to ci opowiem o tym talencie.

Sawicki wrócił do stolika z dwoma kolejnymi kuflami. Rymkiewicz czekał w niedbałej pozie, trzymając łokieć na oparciu krzesła. Palił skręta. Na blacie leżała torebka z tytoniem, bibułki i bletki. Na widok pełnych kufli rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu. Sawicki poczuł odruchową sympatię do tego szczupłego, wesołego mężczyzny.

– Więc jak? Rozmowa prywatna? Moje nazwisko nigdzie się nie pojawi? Mogę na ciebie liczyć?

– Jasne – zapewnił prędko.

– Widzisz – Rymkiewicz odebrał piwo – kiedy Ada przyszła do nas do fabryki, wszyscy się nią zachwycali, że taka mądra, taka, kurwa, w chuj wykształcona. A głównie chodziło o to, że znała komendanta i naczelnikowi się dupa trzęsła, jak z nią rozmawiał. Okej, ja nie mówię, że nic nie robiła. Pracowała nawet w porządku. Rozwiązywała sprawy jak każdy. Taka robota, się nie ma czemu za bardzo dziwić, nie? – Szturchnął Sawickiego

w bok i znowu parsknął. – Od razu ci powiem szczerze, że jej nie lubiłem, więc nie spodziewaj się ode mnie jakiejś w stu procentach obiektywnej nawijki, oki? U spowiedzi w końcu nie jesteśmy. – Pociągnął łyk piwa. – No, w każdym razie gadali o niej w kółko, że utalentowana, o tych jej wizjach czy innych proroczych snach też napierdalali, jakby jakimś jebanym medium była, a nie normalną laską z krwi i kości.

Sawicki starał się nie sprawiać wrażenia zaskoczonego. Na szczęście Rymkiewicz nie oczekiwał po swoim rozmówcy szczególnego zaangażowania. Najwyraźniej lubił opowiadać.

– Miała babka intuicję, przyznaję – podjął, skręcając kolejnego papierosa. – I gadane też miała. Rozkminiała szybko klientów. Ale, kurwa, żeby ją jak ostatni autorytet traktować… Doszło do tego, że naczelnik na zebraniach zawsze jej pierwszej się o zdanie pytał, niezależnie od tego, kto prowadził sprawę… – Urwał, wetknął papierosa w kącik ust i począł kiwać się na krześle do przodu i do tyłu, jak gdyby kiwaniem chciał podkreślić wagę własnych słów. – I w końcu koleś zdrowo się na niej przejechał – powiedział, przeciągając sylaby.

– Ale co się stało? – Sawicki zapytał, choć w głębi serca wcale nie chciał usłyszeć odpowiedzi. Patrzył spokojnie przed siebie, starając się zachować obojętną twarz, splótł jednak pod stołem palce obu dłoni i zacisnął je mocno.

– Co się stało, co się stało? – Rymkiewicz ciężko położył rękę na blacie. – Policja to nie robota dla kobiet, nie? – oczekująco zawiesił głos.

Sawicki przytaknął niechętnie.

– Zwłaszcza dla rozpieszczonych, bogatych lalek – ciągnął. – Naprawdę nie wiem, po co w ogóle pracowała, i to jeszcze w takich warunkach… Miała kasy, ile chciała, drogie ciuchy, mieszkanie, samochód. Wszystko od ojca. A ona się uparła, żeby zbójów ścigać nocami, nie wiem, może chciała

coś, kurwa, udowodnić? Tylko komu? Tatusiowi? – rzucił zaczepnie i znowu sięgnął po piwo. – No, wyobraź sobie, człowieku, że przez kilka lat nawet nieźle sobie radziła. Skończyła kurs oficerski, w fabryce wszyscy ją szanowali. Nieraz, widzisz, się zastanawiałem, skąd ona zbiera informacje, w jaki sposób rozkminia sprawy w kilka dni, skoro innym dochodzenie zajmuje całe tygodnie…

– No… – bąknął Sawicki.

– No właśnie, jak to się działo? – Rymkiewicz wycelował w niego wskazujący palec.

Sawicki nabrał głęboko powietrza.

– Jej ojciec… – zaczął niepewnie.

– Co ojciec?

– No, ojciec jej pomagał, nie wiem, dostarczał informacji od dziennikarzy śledczych…

Wrocławski policjant zmarszczył brwi i patrzył na niego z zainteresowaniem.

– A wiesz, to mi nie przyszło do głowy – odparł powoli. – Chociaż… – zadumał się – nigdy nic nie wiadomo… – Kiwnął zdecydowanie głową, jakby przemyślał i ostatecznie ocenił sytuację. – Ale to raczej mało prawdopodobne. Jej stary siedział w Warszawie. Ktoś gadał na komendzie, że Rochniewiczowa ciągnie od niego kasę, ale woli mieszkać w innym mieście. Że go nienawidzi, a on cały czas stara się zrekompensować jej nieudane dzieciństwo… Jakaś taka dziwna historia… – Podrapał się w głowę. – Nie pamiętam… – Wsadził palec w mokrą plamę i narysował na blacie koło. – Nie. Od ojca informacji nie dostawała.

– Więc co?

– No właśnie… Ona miała te swoje chore intuicje. Te dziwaczne wizje. Mówiła: „Czuję, widziałam, śniłam” i naczelnik jej wierzył. Wyobrażasz

sobie? Zamiast odesłać dziewuchę do psychiatryka, słuchał jej jak jakiś ochujały dureń. No i któregoś dnia Rochniewiczowa znowu coś wyczuła, tyle że niewłaściwie… – Wyjął bibułkę, nabrał szczyptę tytoniu i rozradowanym wzrokiem podążył za niecierpliwym ruchem swojego towarzysza, który bezwiednie uniósł dłoń do czoła. – Zaraz ci wszystko opowiem. Ale napijmy się jeszcze. Napijemy się?

Sawicki z rezygnacją skinął głową. Dziesięć minut później Rymkiewicz otarł rękawem wilgotne wargi i z zadowoleniem opadł na oparcie krzesła.

– Widzisz – zaczął – ta cała Adela miała swojego przydupasa. Nie, nie kochanka, nic z tych rzeczy. Po prostu razem pracowali. Nazywał się Kowalski. Norbert Kowalski. W sumie oki koleś. Młodszy, nieśmiały. Dwadzieścia parę lat i całkiem łysy. – Zaśmiał się wesoło, ale po chwili spoważniał i podjął przerwaną opowieść. – Jak Kowalski przyszedł do fabryki, to Rochniewiczowa się nim zajęła. Trzeba przyznać, niańczyła go cierpliwie przez dłuższy czas. Łaził za nią krok w krok jak jakiś przedszkolak. Chyba okazał się dobrym policjantem, w każdym razie ona go sobie ceniła. Zawsze prowadzili dochodzenie we dwójkę. Partnerzy, rozumiesz, z amerykańskiego serialu – prychnął, potarł dłonią policzek i przez kilka sekund milczał, próbując zebrać myśli. – Wszystko zaczęło się trzy… może dwa i pół roku temu. Była tu u nas taka dziwna sprawa, ginęli mężczyźni około sześćdziesiątki, zawsze w ten sam sposób: uduszeni, opleceni sznurami, jakby wpadli do pajęczej sieci. Mało przyjemna historyjka. Może słyszałeś? Gazety pisały, że po ulicach grasuje maniak. Nawet w Wiadomościach o tym mówiono.

Sawicki potrząsnął głową.

– No, tak właśnie było. I Rochniewicz dostała kompletnego jobla na punkcie tego śledztwa. Chodziła blada, cała roztrzęsiona. Bredziła, że się jej wielka pajęczyca ukazuje i takie tam bzdury. Niczym innym nie chciała

się zajmować. Ciągnęli z Kowalskim tę sprawę przez kilka tygodni, ale zbója nie znaleźli. Nie pamiętam dokładnie, jak to się wszystko odbyło, w każdym razie w końcu prorok kazał im się zająć czymś innym.

– Ale co to ma wspólnego z podpierdalaniem? – zapytał zdumiony Sawicki.

– Z jakim podpierdalaniem? Nie mówiłem Ostaszewskiemu, że ktoś u nas podpierdala. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Rochniewicz nie kablowała prasie?

– Nie. – Rymkiewicz wykonał gest, jakby odganiał natrętną muchę.

– W porządku, w porządku… – Sawicki wypuścił głośno powietrze.

Jego rozmówca podrapał się po szyi.

– Słuchaj, jak rozmawiałem z twoim naczelnikiem… Jak mu tam?

– Rogowski.

– Jak rozmawiałem z Rogowskim, to mu obiecałem, że coś wam na tę laskę dam, ale o żadnej prasie nie wspominałem, bo nic na ten temat nie wiem.

– Jakoś tak przyszło mi to do głowy… Może ze względu na jej ojca… Bez sensu… – Sawicki bąkał zmieszany. – Opowiadaj dalej – poprosił.

– Któregoś dnia – Rymkiewicz wrócił do przerwanego wątku – któregoś dnia pojechali z Kowalskim na interwencję. To było wejście na cztery pały, jakaś ostra domówka, narkotyki, dziewczynki. A ona pod drzwiami miała znowu objawienie. Czaisz? Powiedziała, że widzi pajęczycę, że musi gdzieś pojechać. Natychmiast. Zostawiła Norberta i jeszcze jednego policjanta, a sama się zmyła. Tamci dwaj weszli do mieszkania. Okazało się, że koleś w środku ma broń. Strzelił Kowalskiemu w łeb. Chłopak zszedł na miejscu. I koniec historii.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Sawicki przełknął ślinę i wodził ponuro oczami po sali.

– Znalazła pajęczycę? – zapytał w końcu.

– Co?

– Czy rozwiązała tę sprawę?

– A jakie to ma znaczenie? – Rymkiewicz skrzywił się kwaśno. – Zaraz potem trafiła do domu wariatów.

– Jak to?

– Normalnie. Oszalała. W robocie zawiesili ją od razu za opuszczenie stanowiska, ale nadal przychodziła do fabryki, jakby kompletnie nie rozumiała, co się właściwie stało. Na dodatek przestała się myć, zmieniać ubranie. Wyglądała jak zmora, jakby spała w śmietniku. Siedziała całymi dniami na zakładzie brudna, rozczochrana. Nikt się do niej nie odzywał. W końcu naczelnik kazał jej pogadać z psychologiem, a tamten natychmiast wysłał ją do psychiatryka. Już do nas nie wróciła.

– Nie ma żadnego śladu po leczeniu psychiatrycznym w jej papierach.

– No nie ma, jasne. A jak sobie to wyobrażasz? Wariatów nie trzymają w policji, nie? Słuchaj, to kompletna świruska. Wiem dobrze, rozmawiałem z psychologiem. Facet jest mężem mojej kuzynki. Piliśmy razem na jakimś weselu i gadał, że nigdy nie miał tak dziwnego pacjenta jak Rochniewicz. W żaden sposób nie mógł jej rozgryźć. Podobno łączy w sobie cechy, które nie pasują do jednej spójnej osobowości. Tak się jakoś wyraził… Że niby jest autystyczna i jednocześnie nadwrażliwa, przeczulona. Mówił, że bał się z nią rozmawiać, że czyta cudze emocje jak w otwartej księdze. Ponoć robiła mu w czasie sesji wodę z mózgu. A jednocześnie sama jakby nic nie czuła. Kawał drewna. Mówię ci, stary, masakra. W każdym razie to wszystko wyjaśnia.

– Co wyjaśnia?

– No, jej wizje. To, że błyskawicznie rozwiązywała każdą sprawę. Wariaci są bardzo inteligentni. Tak słyszałem. Tyle że niebezpieczni.

– A skąd wiesz, że jest chora psychicznie?

Rymkiewicz spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Przecież ci cały czas tłumaczę – westchnął. – Trafiła do wariatkowa.

– Ale zdiagnozowali ją? Może się po prostu załamała?

– Nie wiem. – Wrocławski policjant wyraźnie się zirytował. – Doktorem nie jestem. Ten psycholog, mąż mojej kuzynki, podejrzewał rozszczepienie osobowości, ale w szpitalu podobno to wykluczyli. Nieważne. Nikt jebuski w fabryce nie chciał więcej oglądać. Trafiła do SDS***, ale zaczęło jej znowu odbijać. Słyszałem, że dostała depresji, nie mogła znieść pracy biurowej.

Sawicki chrząknął nerwowo.

– No to tatuś zadziałał. Sam wiesz, że papiery wyparowały, nie? Ciekawe, jakim cudem. – Rymkiewicz mrugnął porozumiewawczo. – Laska ma mocne plecy. Przenieśli ją do Warszawy. I to wszystko. Teraz wy się z nią bawcie. – Dopił piwo i odstawił kufel. – Powodzenia.

O jedenastej Sawicki wrócił do hotelu niedopity i w podłym nastroju. Rzucił się na łóżko i przez wiele godzin leżał wpatrzony w sufit. Nie mógł spać. Myślał o Oldze, o dziewczynkach, o mieszkaniu, które wspólnie urządzali, a z którego będzie musiał się wyprowadzić. Ilekroć próbował zamknąć oczy, spadał w zimną, przerażającą otchłań. Nad ranem zszedł do recepcji, dowiedział się o najbliższy sklep całodobowy, kupił małpkę żołądkowej i zasnął, dopiero kiedy opróżnił butelkę. W piątek obudził się przed dziesiątą. Uregulował rachunek za nocleg, odebrał fakturę i ruszył w stronę parkingu z zamiarem jak najszybszego powrotu do Warszawy. Niestety stary opel nie chciał zapalić. Na tablicy rozdzielczej zabłysła czerwona lampka silnika. Sawicki wrócił do hotelu, z pomocą recepcjonistki znalazł numer do serwisu i wezwał pomoc drogową.

Właściciel niewielkiego warsztatu, do którego udało mu się dotrzeć około jedenastej, oświadczył, że nie działa pompa olejowa.

– Miał pan szczęście. – Uśmiechnął się, podnosząc umorusaną twarz znad dymiących wnętrzności samochodu. – W ten sposób można całkowicie zatrzeć silnik.

– Ile potrwa naprawa?

– Proszę się zgłosić jutro, około dziesiątej.

– Jutro? Ale ja muszę jeszcze dziś wrócić do Warszawy…

– W takim razie proszę pojechać pociągiem albo poszukać innego mechanika. Choć wątpię, czy ktokolwiek we Wrocławiu wymieni pompę w kilka godzin. To sporo roboty.

Sawicki westchnął, zostawił opla w warsztacie i poszedł do kafejki internetowej sprawdzić połączenia kolejowe. Najbliższy pociąg odchodził o pierwszej i dojeżdżał na Centralny kilka minut przed dziewiętnastą. Sześć godzin? Przecież to jedna z najważniejszych tras w kraju!

Straciłby cały dzień na podróż, a w sobotę rano i tak musiałby wrócić po samochód. Przeklinając w myślach PKP, usiadł zrezygnowany na mokrej ławce i zadzwonił do Ady.

– W porządku – odpowiedziała, wysłuchawszy mętnych tłumaczeń i usprawiedliwień. – Sporo znalazłam w komputerze Zofii. Muszę to jeszcze przemyśleć i uporządkować. Wolny piątek akurat mi się przyda. Porozmawiamy, jak wrócisz.

Sawicki chciał się dowiedzieć o przebieg śledztwa, ale dopadł go kac i zmęczenie po nieprzespanej nocy.

– W takim razie będę w sobotę – zdecydował i przerwał połączenie.

Przymknął oczy, oparł głowę na dłoni i przez kwadrans nie ruszał się z miejsca. Kiedy mdłości nieco zelżały, powlókł się do pobliskiego baru,

zamówił wodę mineralną z cytryną, wyjął komórkę i wybrał numer Rogowskiego.

– Utknąłem we Wrocławiu – wymamrotał, opróżniając jednym haustem szklankę i gestem prosząc o następną. – Zepsuł mi się samochód, cholerna kupa złomu! Wrócę jutro.

– Dobra. – Rogowski zaniósł się mokrym kaszlem. Najwyraźniej problemy z oplem niewiele go interesowały. – Dowiedziałeś się czegoś?

Sawicki streścił rozmowę z Rymkiewiczem, starannie pomijając sprawę śmierci Kowalskiego i pobyt Ady w szpitalu psychiatrycznym.

Zastępca naczelnika chrząkał z niezadowoleniem.

– Ale czy ten koleś powiedział coś konkretnego? Coś, co mogłoby się przydać?

– Raczej niewiele – mówił spokojnie, starał się, by jego głos brzmiał zdecydowanie. – W każdym razie nic o podpierdalaniu. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, po co w ogóle się ze mną umawiał. Rozumiem, że ma jakiś dług wdzięczności wobec twojego znajomego, tego Ostaszewskiego, i czuł się zobowiązany…

– Twierdził wcześniej, że da nam coś interesującego – przerwał niecierpliwie Rogowski.

– Może to wydawało mu się ciekawe. – Sawicki wycisnął cytrynę do szklanki. – Widzisz, Mimoza zna osobiście komendanta wrocławskiej policji. Rzeczywiście spieprzyła jakieś śledztwo, przeniesiono ją do SDS. Źle znosiła pracę biurową, więc po znajomości dostała się do nas. Ale to wszystko, czego się dowiedziałem…

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

– W porządku. – Rogowski wytarł nos. – Bez sensu się najeździłeś. W każdym razie trzeba było to sprawdzić.

– Jasne. – Sawicki pociągnął łyk wody. – Jasne.

– Słuchaj, teraz strasznie się spieszę, ale jutro… – zawahał się – najpóźniej pojutrze chciałbym, żebyś jeszcze raz dokładnie powtórzył mi całą rozmowę z Rymkiewiczem.

– Okej, nie ma sprawy.

– Tak czy siak, uważaj na Mimozę. To, że wcześniej nie podpierdalała, nie oznacza wcale, że teraz tego nie robi. – Zaniósł się ostrym kaszlem, pod którego osłoną zakończył wątek.

– Będę miał ją na oku – zapewnił Sawicki.

– I pamiętaj wziąć fakturę z hotelu i za naprawę samochodu, inaczej nie zwrócimy ci kasy.

Zjadł ostrą zupę z trawą cytrynową i poczuł się lepiej. W drodze do hotelu kupił pięć piw. Wypił je, siedząc w fotelu przed zdezelowanym telewizorem. Na Jedynce leciała powtórka z niedzielnego programu rozrywkowego. Grupa młodych ludzi współzawodniczyła o nagrodę, którą miał być dwutygodniowy wyjazd na Wyspy Kanaryjskie. Sawicki nie potrafił zrozumieć, na czym polegał konkurs. Uczestnicy śpiewali, tańczyli, a nawet jeździli na łyżwach. Nim ogłoszono werdykt, skończył ostatnią puszkę i zapadł w ciężki, pełen męczących majaków sen. Stał na brudnej klatce schodowej wśród porozrzucanych śmieci. Ogromny bernardyn leżał na wycieraczce i szczerzył kły. Z wnętrza mieszkania dochodził rozdzierający krzyk niemowlęcia. Potem biegł z Adą wzdłuż Trasy Łazienkowskiej. Jerzy Wójcik umykał, klucząc między samochodami. Sawicki czuł zawroty głowy i głuche dudnienie krwi w uszach. Ada zaczęła się oddalać. Nie mógł jej dogonić. W pewnym momencie minął go naczelnik siedzący na trójkołowym quadzie.

– Rogacz z ciebie! – zawołał i zniknął we mgle.

Obudził go ciężki, bolesny ucisk w skroniach. Pobiegł do łazienki i zwymiotował. Kiedy wrócił do pokoju i wyjrzał przez okno, okazało się, że zapadł już zmrok. Wyłączył telewizor. Zebrał z podłogi porozrzucane puszki, położył się do łóżka i natychmiast znowu zasnął.

Następnego dnia rano odebrał samochód i ruszył w drogę powrotną. Kac minął. Prowadził szybko i pewnie. Kilkadziesiąt kilometrów przed Warszawą poczuł nagły spazm w piersi. Chwycił mocniej kierownicę i starał się równo oddychać. Ostre kłucie w mostku nasilało się z każdą chwilą, brakło mu tchu, po czole spływały grube krople potu. Mam atak serca, pomyślał i rozejrzał się z rozpaczą w poszukiwaniu zjazdu. Mokry asfalt rozwijał się przed nim pośród brunatnych pól i biegł dalej, aż do łagodnego zbocza ponad lasem, żeby zniknąć po drugiej stronie wzniesienia. Żadna droga nie odchodziła w bok. Złowrogi, niski odgłos nadpłynął skądś z tyłu i odbijał się głuchym echem w jego głowie. Zwolnił, włączył światła sygnalizacyjne i zjechał na pobocze. Drżącymi rękami wyciągnął ze schowka pudełko aspiryny, wsadził do ust dwie tabletki, popił wodą, a potem wyswobodził się z pasów i odrzuciwszy głowę do tyłu, siedział bez ruchu, pogrążony w zimnym, przerażającym mroku.

– Olga! – jęknął.

Dlaczego nie było jej obok? Skulił się. Wstrząsały nim lodowate dreszcze. Pocił się coraz obficiej, ale kłucie w piersi nieco zelżało i zrozumiał, że tym razem jeszcze nie umiera. Strach nadal paraliżował mu ruchy, zdołał jednak odnaleźć w kieszeni pudełko z xanaksem. Zażył cudowną tabletkę i czekał już spokojniej, aż minie to, co sam zdołał zdiagnozować jako atak paniki. Tuż obok przemknął rozpędzony tir. Podmuch wiatru potrząsnął samochodem, o przednią szybę uderzyła wyrzucona spod kół grudka ziemi. Sawicki uniósł z trudem powieki. Zobaczył przed sobą przerdzewiałą siatkę, za nią porośnięty krzewami

parów. W oddali, wysoko nad podmokłą łąką, szybował drapieżny ptak. Wyprostował się w fotelu. Poruszył nogami. Ciało działało normalnie, ból złagodniał, drżenie ustąpiło. Uniósł dłonie do twarzy i otarł czoło. Minęła pierwsza po południu. Od Warszawy dzieliło go tylko pięćdziesiąt kilometrów. Odpalił silnik i wrócił ostrożnie na drogę.

*** Wydział Statystyki Dochodzeń i Śledztw.

42

W powietrzu unosił się zapach przegniłych liści. Z nieba siąpił deszcz, drobny i uparty. Krople przestały wsiąkać w ziemię. Po błotnistych cmentarnych alejkach spływała woda. Skuleni pod parasolami żałobnicy otaczali trumnę. Andrzej Wagner stał sztywno wyprostowany, trzymając żonę pod rękę. Był blady, ale spokojny. Matka Zofii słaniała się na nogach. Po jej zmienionej, szarej twarzy płynęły łzy. Kobieta ubrana w czarny płaszcz i kapelusz z woalką podawała jej chusteczki. Monika Lewicka oparła się o pomnik sąsiedniego grobu. Nie płakała. Utkwiła wzrok w rozkopanej jamie. W dłoni trzymała bukiet drobnych chryzantem. Orszak pogrzebowy podzielił się na dwie części. Po prawej skupiła się rodzina Wagnerów, po lewej w powadze i milczeniu trwała gromadka młodszych osób. Od czasu do czasu ktoś szeptał: „To straszne” albo „Trudno uwierzyć”. Ada obserwowała uważnie ludzi, którzy przybyli, żeby pożegnać Zofię. Krótko, bez większego zainteresowania przyjrzała się przybranej w czerń rodzinie: ciotkom w eleganckich kapeluszach, wujkom w garniturach i wełnianych płaszczach. Tak zwane przyzwoite towarzystwo, pomyślała i przeniosła wzrok na znajomych Zofii. Widziała poważne, przejęte autentycznym smutkiem twarze. Kilka osób płakało. Inni wydawali się mniej zatroskani, przytupywali i wymieniali ściszonym głosem zdawkowe uwagi. Dwie dziewczyny podtrzymywały sporych rozmiarów wieniec z goździków. „Drogiej koleżance z pracy”, odczytała

biegnący wzdłuż wstęgi napis. Z tyłu w bocznej alejce stał wysoki blondyn o wąskich ustach i małych, rozbieganych oczach. Drgnęła, rozpoznając Karola Zalewskiego. Towarzyszył mu szczupły, zdecydowanie niższy mężczyzna. Miał prosty nos, większe oczy, pełniejsze usta i szpakowate skronie. Mimo wyraźnych różnic podobieństwo było uderzające i Ada nie miała wątpliwości, iż ma przed sobą braci. Ten drobniejszy i lekko już siwiejący obejmował ramieniem ciemnowłosą, piękną kobietę o egzotycznej urodzie.

Ceremonia dobiegła końca. Ksiądz poświęcił trumnę. Czterej pracownicy zakładu pogrzebowego opuścili ją na sznurach w głąb dołu i zakopali grób. Jak zwykle przy podobnych okazjach wśród zgromadzonych dało się odczuć konsternację i lekkie zniecierpliwienie. Żałobnicy szemrali, przestępując z nogi na nogę. Nina Wagner zaniosła się gwałtownym szlochem i reszta towarzystwa ucichła przejęta jej bólem. Na świeżym kopczyku ułożono kwiaty. Uczestnicy pogrzebu zaczęli podchodzić do rodziców Zofii z kondolencjami. Ada również ustawiła się w kolejce. Serdecznie uścisnęła dłoń Niny.

– Chciałabym zapewnić, że robimy, co w naszej mocy – zwróciła się do ojca Zofii.

– Dziękuję. – Starszy pan niezgrabnie potrząsnął jej ręką. – Znalezienie mordercy nie zwróci nam córki, ale przynajmniej… – zająknął się.

– Nam również zależy, aby winny został ukarany – dokończyła Ada. – I zostanie. Zapewniam pana. Proszę uspokoić ministra Algierskiego, jesteśmy bliscy celu – skłamała gładko.

– Ministra? Algierskiego? – Andrzej Wagner zamrugał powiekami.

– Podsekretarza stanu – poprawiła się Ada. – Interesował się przebiegiem śledztwa. Podobno studiował z panem?

– To jakaś pomyłka. Nigdy nie słyszałem tego nazwiska. – Ojciec Zofii skrzywił się zaskoczony. – Mam nadzieję, że zajmą się państwo sprawą mojej córki niezależnie od politycznych powiązań, których nie mamy.

– Oczywiście… – bąknęła. – Moje kondolencje…

Starszy pan odwrócił się w kierunku dziewczyny w szarym prochowcu.

Idąc przez cmentarz, Ada zastanawiała się nad reakcją ojca Zofii. Mógł ukrywać przed żoną albo krewnymi, że posłużył się znajomościami do prywatnych celów. Taka opcja wydawała się jednak mało prawdopodobna. Stracił jedyne dziecko. Nie obowiązywały go stosowane w innych wypadkach normy. A może zirytował się, bo uznał, że policjantka przychodzi na pogrzeb i w sposób całkowicie pozbawiony taktu próbuje rozwiązać własne problemy służbowe? Ta wersja brzmiała bardziej przekonująco. Co więcej, Ada nie miała wątpliwości, że Andrzej Wagner rzeczywiście nie zna ministra Algierskiego. Jego zdziwienie było szczere.

– Ciekawe… – szepnęła. – Bardzo ciekawe.

Deszcz przestał padać, zza pomnika klęczącego chłopca poderwał się duży brunatny ptak z rudym podgardlem. Uniosła głowę. Konary drzew odcinały się ostrą kreską na tle szarego nieba. W oddali zagwizdał kos. Wcisnęła ręce do kieszeni i nie zwlekając dłużej, ruszyła w kierunku wyjścia. Przy bramie zobaczyła Karola Zalewskiego. Szedł z bratem. Kobieta o egzotycznej urodzie podążała kilka kroków za nimi. Poruszała się sztywno, pochylona w przód, jakby stawianie kroków sprawiało jej trudność. Ada minęła ją pospiesznie.

– Dzień dobry – zwróciła się do mężczyzn. – Komisarz Adela Rochniewicz, Komenda Stołeczna. Możemy porozmawiać?

Bracia zatrzymali się zaskoczeni.

– Poznaje mnie pan? – zwróciła się do Karola. – Rozmawialiśmy tydzień temu.

Mężczyzna skinął głową.

– W protokole mam zapisane, że Zofia Wagner od wielu miesięcy nie kontaktowała się z panem. Chciałabym się dowiedzieć, czy podtrzymuje pan zeznania.

– A dlaczego miałbym je nagle zmienić?

– Prowadzę dochodzenie. To dla mnie istotne.

– To oficjalne przesłuchanie? – Po twarzy Karola przemknął cień irytacji.

– Nie – odparła spokojnie. – Ale mogę postarać się o nakaz, jeśli nie zechce pan ze mną porozmawiać.

– Ale o czym? Nie mam nic wspólnego z…

Stojący obok mężczyzna położył mu łagodnie rękę na ramieniu.

– Proszę zrozumieć brata – zwrócił się do Ady. – To bardzo ciężki moment dla nas wszystkich.

– Oczywiście. Mam tylko jedno pytanie, odpowiedź na nie zajmie piętnaście sekund.

– Słucham więc. – Karol poruszył się niecierpliwie.

– Powtarzam: kiedy ostatni raz widział się pan z Zofią Wagner?

Uniósł brwi i uśmiechnął się kpiąco.

– Jako kompetentna policjantka powinna to pani chyba pamiętać? Dokładnie dwudziestego października, prawie półtora roku temu. Wtedy zerwaliśmy zaręczyny.

Ada zmrużyła oczy. Tym razem wiedziała, że kłamie. I to w wyjątkowo naiwny, głupi sposób. Powinien się przecież spodziewać, że w ciągu

minionego tygodnia sprawdziła pocztę Wagner. A może uważał, że polskie służby nie są w stanie złamać hasła do skrzynki mailowej?

– I nigdy więcej się z panem nie kontaktowała?

– Nigdy.

– To dobrze – powiedziała pod wpływem nagłego impulsu. – Zofia była w ciąży, koniec trzeciego miesiąca, w takim razie mogę spokojnie skreślić pana z listy ewentualnych ojców. Do widzenia.

Odwracając się, zdołała jeszcze zobaczyć pobladłą, gwałtownie zmienioną twarz Karola. Podniosła kołnierz i odeszła w stronę zaparkowanego samochodu.

43

Po powrocie z pogrzebu zastała w pokoju czekającego na nią Sawickiego. Siedział pochylony, z twarzą ukrytą w dłoniach. Usłyszawszy trzaśnięcie drzwi, uniósł głowę i spojrzał na nią zmieszany, jakby przyłapała go na wyjątkowo wstydliwej czynności.

– Wróciłeś – stwierdziła obojętnie, ściągając rękawiczki.

Już w czwartek podjęła decyzję, że nie będzie zadawać pytań o niespodziewaną podróż do innego miasta. Którego?, zastanawiała się mimo woli. Czy wyjazd miał z nią coś wspólnego? Jeśli Sawicki wybrał się do Wrocławia, żeby gmerać w jej przeszłości, nie mogła temu zapobiec, nie miała też ochoty z niczego się tłumaczyć. Poczekam, aż sam zacznie rozmowę, zdecydowała. Rzuciła mu krótkie, uważne spojrzenie. Marcin miał opuchniętą twarz. Był nieogolony.

– Wróciłem – powiedział cicho.

– Strasznie zmarzłam. – Nalała wody z plastikowego dystrybutora. – Napijesz się kawy?

Wzruszył ramionami.

– Pod twoją nieobecność zdarzyło się kilka rzeczy – ciągnęła, wyjmując kubki. – Powinniśmy porozmawiać.

– Po to tu jestem – odparł sucho.

Wyczuła głęboki smutek w jego głosie, drżącą, bolesną nutę. Myśl, że może stać się dodatkowym ciężarem i przeszkodą w śledztwie, budziła

w niej autentyczny niepokój. Potrzebowała go skupionego na pracy, chciała, żeby pomógł znaleźć mordercę. Nic poza sprawą zabójstwa Wagner obecnie jej nie interesowało.

– Udało mi się dostać do poczty Zofii – podjęła cierpliwie.

Sawicki milczał ponuro. Ada westchnęła. Zdawała sobie sprawę, że przekierowanie jego uwagi ze spraw osobistych na śledztwo zajmie trochę czasu; niecierpliwiła ją ta dodatkowa komplikacja. Sięgnęła do szuflady. Z niebieskiego skoroszytu wyjęła zdjęcie jasnowłosego mężczyzny i pchnęła w stronę Marcina.

– To jest Karol Zalewski.

Rzucił okiem na fotografię.

– Wiem – burknął, nie okazując zainteresowania.

– Pojawił się na pogrzebie.

Włączyła komputer, weszła na stronę Gmaila i zalogowała się jako użytkownik Z.Wagner5.

– Przejrzałam korespondencję Zofii z ostatniego roku. Praca zajęła mi wiele godzin. No wiesz – patrzyła na niego intensywnie, zastanawiając się jednocześnie, co zrobić, żeby wytrącić go z apatii – dziesiątki maili służbowych, rachunki z banku i najzwyczajniejsze listy od znajomych. Nic, o co można się zaczepić. Z wyjątkiem tego. – Odwróciła monitor w jego stronę. – Przeczytaj, proszę.

Sawicki niechętnie przesunął krzesło. Początkowo wodził obojętnie wzrokiem po ekranie, powoli jednak na jego twarzy pojawiał się wyraz skupienia. Zmarszczył brwi i zamrugał powiekami, jakby próbował otrząsnąć się ze snu. Ada poczuła ulgę. Najwyraźniej nadal był zdolny do pracy.

– I jeszcze to. – Otworzyła kolejne maile.

Uniósł ze zdumieniem brwi.

– Chłopak jej groził… – mruknął. – Parę miesięcy przed popełnieniem morderstwa. To poważna sprawa.

– Zgadza się – przytaknęła, ale nie rozwijała tematu; czekała, aż sam zacznie się nad nim zastanawiać.

– Czy to są jedyne listy od Karola? Nic więcej nie znalazłaś?

– Nic.

– To bardzo dziwne, nie sądzisz? W końcu byli przez wiele lat w stałym związku. Musieli wymienić setki maili. Wszystkie inne skasowała? Dlaczego zachowała akurat te?

– Może stanowiły część niezakończonej historii? Może nie chciała się ich pozbywać, dopóki ostatecznie nie zamknie czegoś… nie wiem czego… jakiejś ostatniej łączącej ich sprawy…

– Ale jakiej sprawy? O co tu chodzi? – Twarz Sawickiego zmarszczyła się z wysiłku.

Milczał przez chwilę, przygryzając dolną wargę, w końcu wstał i zaczął krążyć po pokoju.

– Ustalmy, czego właściwie dowiedzieliśmy się z tych listów. – Spojrzał na Adę, ale ta milczała, więc sam podjął wątek. – Półtora roku temu Karol zerwał z narzeczoną. Tak? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: – Zarówno rodzice denatki, jak i jej przyjaciółka twierdzą, że na decyzję Zalewskiego duży wpływ miała świecka organizacja katolicka, do której należał. Jak ona się nazywa?

– Dzieci Niepokalanej.

– Tak… Właśnie… Te pierwsze maile nie wydają się więc specjalnie dziwne – ciągnął powoli w rytm odmierzanych w skupieniu kroków. – Koleś robi wrażenie maniaka religijnego, ale w listach nie ma nic, czego byśmy nie wiedzieli. Pisze z jakiegoś wyjazdu. Może z rekolekcji ruchu, na których uznał, że ma powołanie. Potem korespondencja się urywa. Wrócił

do Warszawy, zerwał z Wagner, wstąpił do seminarium. Wszystko się zgadza…

Ada kiwnęła głową. Do tej pory Sawicki podążał dokładnie tym samym tropem, którym czwartkowego wieczoru biegły jej myśli.

– Niepokojące za to wydają się maile sprzed trzech miesięcy. Nie rozumiem do końca, co się stało. Spotkali się? – Tym razem zawiesił głos, czekając niecierpliwie na jej reakcję.

– Najwyraźniej – przyznała. – Z listów wynika, że niespodziewanie wpadli na siebie na ulicy.

– Oraz niespodziewanie poszli ze sobą do łóżka. – Sawicki uśmiechnął się drwiąco. – Kleryk mocno nabroił.

– Tego nie wiemy na pewno.

– „Zawładnęła mną żądza cielesna” – zacytował. – To brzmi jednoznacznie. Swoją drogą, co za dziwaczny język: „żądza cielesna”; kto tak mówi w dzisiejszych czasach?

– Księża.

Sawicki zaśmiał się cicho.

– Okej. Możemy założyć, że ze sobą spali – zgodziła się Ada. – I co potem?

– No właśnie. Co?

Odsunął krzesło, usiadł obok i zatarł ręce jak mechanik przygotowujący się do rozbiórki silnika samochodowego. Ada odetchnęła z ulgą. Obudził się. Znowu przy niej był.

– Zofia próbowała go do czegoś przekonać. Oboje piszą krótko, ale wspominają o wątpliwościach Karola. Według mnie dziewczyna chciała go wyciągnąć z seminarium.

– Nie byłabym taka pewna. To oczywiście bardzo prawdopodobne założenie, ale musimy pamiętać, że nie wiemy dokładnie, o co jej chodziło. Zwróć uwagę, że ona ani razu nie podejmuje tematu wprost.

– Co sugerujesz?

– Sama nie wiem… Postawmy w tym miejscu znak zapytania.

– Dobrze – zgodził się po chwili wahania. – Znak zapytania. W każdym razie cokolwiek to było, Zalewski stanowczo odmówił. A Zofia się wściekła i zemściła. Nie oddała znalezionych kluczy. Dwa tygodnie później włamała się do domu Karola i zabrała…

– Czekaj. – Ada uniosła rękę. – Od tego miejsca zaczynam mieć wątpliwości. Dlaczego akurat w tamtym momencie obmyśliła zemstę? Nie zrobiła tego rok wcześniej, kiedy Karol rzucił ją tuż przed ślubem, zranił i upokorzył?

– Może nadarzyła się odpowiednia okazja? Zalewski sam jej pomógł, gubiąc klucze.

– Może… Ale sprawa kluczy również mnie niepokoi. Gdzie Zofia się włamała? Przecież Karol mieszka w dormitorium, z innymi klerykami. Myślisz, że mogła się tam wślizgnąć niezauważona? Kobieta? Wśród setki mężczyzn?

– Cholera. – Sawicki potarł czoło i odruchowo włożył dłoń do kieszeni w poszukiwaniu batonika. – Może w nocy – zastanawiał się – jakoś udało się jej przemknąć? A może to klucze do innego miejsca?

– Właśnie. Też o tym pomyślałam. Karol prosił, żeby odesłała je na adres niejakiego Stanisława Czarnoty. Sprawdziłam. Facet ma niewielkie wydawnictwo. Mieszka na Ursynowie.

– Okej. Ale co mogła zabrać? I dlaczego Zalewski tak się zdenerwował? W mailach sprawia wrażenie, jakby stracił nad sobą kontrolę. Może

zakosiła dowód na to, że poszedł z nią do łóżka? Zdjęcia porno? Filmik erotyczny? Dla kleryka to chyba poważny problem.

Ada wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę. Karol pisze, że spotkał się z przewodnikiem duchowym, wszystko mu opowiedział i uzyskał rozgrzeszenie.

– Więc co to mogło być?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że historia pasuje do tego, co znaleźliśmy na miejscu zbrodni. Wszyscy byliśmy zgodni, że morderca szperał w rzeczach Wagner. Może wcale nie chodziło o pieniądze? Tydzień temu byłam pewna, że ktoś oprócz mnie i techników wracał do mieszkania na Dąbrowskiego i przestawił kilka drobiazgów na półkach.

Sawicki patrzył na nią w milczeniu, zastanawiając się nad tym, co właśnie powiedziała.

– Dobrze – mruknął. – W porządku. Sugerujesz, że Karol chciał odzyskać coś, co mu zabrała, i z tego powodu rozwalił jej łeb?

– Biorę pod uwagę taką możliwość. Nasz kleryk kręci, i to mocno. Po pogrzebie spytałam ponownie, kiedy ostatni raz kontaktował się z Zofią. Powiedział, że półtora roku temu. O ich ostatnim spotkaniu nie pisnął ani słówka.

– Ale jeśli ją zabił, dlaczego nie zrobił tego w grudniu? Po co czekał aż trzy miesiące?

– Coś musiało w tym czasie zajść…

Zapadła cisza. Oboje myśleli intensywnie.

– Ciąża! – wykrzyknął w końcu Sawicki. – Założyliśmy, że to sprawka Wójcika, a przecież Wagner spała również z Zalewskim.

– Przyszło mi to do głowy. – Ada spojrzała na niego uważnie. – Dziecko rzeczywiście skomplikowałoby plany życiowe kleryka. Lada dzień powinny przyjść wyniki testów DNA.

Zrobiła pauzę. Wiedziała, że działają teraz wspólnie, uzupełniając nawzajem swój sposób rozumowania. Czuła narastające podniecenie. Pojawił się przed nimi nowy trop. Ruszyli nim ramię przy ramieniu.

– Wagner zamierzała usunąć ciążę. – Marcin postukał palcem w blat biurka. – Nic się nie zgadza…

Ada rozłożyła ręce. Sawicki zmierzwił w roztargnieniu przerzedzone włosy.

– Tak czy siak – westchnął z rezygnacją – musimy przyjrzeć się bliżej panu Zalewskiemu, a przy okazji Dzieciom Niepokalanej. A to oznacza kolejną przeprawę z Modzelewskim. Żaden prorok nie lubi zadzierać z Kościołem.

– Obawiam się, że będziemy mieli o wiele poważniejszy problem. – Ada uśmiechnęła się krzywo. – Rozmawiałam z ojcem Wagner. Nigdy w życiu nie słyszał o ministrze Algierskim. A już na pewno nie studiował z nikim o podobnym nazwisku.

Sawicki otworzył szeroko oczy. Tej informacji w żadnym razie nie mogli przekazać prokuratorowi.

– Zastanowimy się jeszcze nad raportem – powiedział powoli. – Trzeba zgrabnie uzasadnić potrzebę prześwietlenia organizacji związanej z Kościołem. Algierskiego na razie zostawmy… Czy taki scenariusz ci odpowiada?

– Jak najbardziej – zgodziła się krótko.

Wyjęła notatnik i naostrzony ołówek.

– Zrobiłam niewielki research w sieci – podjęła po krótkim namyśle. – Przejrzałam fora internetowe i dyskusje na temat Dzieci Niepokalanej. Zapisałam kilka linków, które wydały mi się ciekawe. Chciałabym, żebyśmy razem na nie zerknęli. Skontaktowałam się też z pewną osobą, która może powiedzieć coś więcej na temat ruchów religijnych… – Urwała.

– To moja młodsza siostra – dodała niepewnie. – Pisze doktorat z antropologii.

– Dobrze. Coś jeszcze? – zapytał obojętnie, chociaż myśl o spotkaniu siostry Ady wzbudziła w nim ciekawość.

– Trzeba skontaktować się z psychologiem Zofii i pokazać zdjęcie Karola sprzedawcom w sklepie AM-NAT. Może go zapamiętali. Obawiam się jednak, że musimy odłożyć te sprawy do poniedziałku.

– W porządku.

Ada przygryzła końcówkę ołówka.

– W takim razie proponuję poczytać o Dzieciach Niepokalanej, a potem przejrzeć stare dowody. – Wskazała stojące na półce tekturowe pudło. – Powinniśmy ułożyć jeszcze raz puzzle, które udało się nam zebrać. O dziewiątej trzydzieści umówiłam się z siostrą. Pojedziesz ze mną? Chyba że powinieneś wracać do domu? – dodała niepewnie.

Sawicki rzucił jej ponure spojrzenie.

– Idę zapalić – powiedział. – Potem zabieramy się do pracy.

Kiedy wrócił po piętnastu minutach, lewy kącik warg miał uwalany czekoladą. Ada musnęła go chłodnym spojrzeniem. Nie uśmiechnęła się, ale wyraźnie się odprężyła. Wiedziała, że jest gotów poświęcić jej całą uwagę. Ból i rozgoryczenie postanowił odłożyć na później. Poprawiła jedwabną chustkę na szyi i przesunęła krzesło, robiąc mu miejsce obok.

– Wydrukowałam PDF-y broszurek, które wydają Dzieci Niepokalanej, i zawiozłam siostrze. Porozmawiamy o nich wieczorem. Oprócz tego znalazłam wczoraj kilka ciekawych dyskusji na forach poświęconych ruchom religijnym. Nie przeczytałam ich dokładnie. Założyłam, że zrobię to z tobą po pogrzebie Wagner. – Wpisała adres w przeglądarkę i otworzyła odpowiednią stronę.

Sawicki zmrużył oczy i przysunął się do monitora. Ada wskazała kursorem początek wątku.

Bernadetta:
Dzień dobry. Odzywam się tu po raz pierwszy. Szukam wszelkich informacji na temat Dzieci Niepokalanej. Niedawno wróciłam z rekolekcji tego ruchu i jestem zdumiona tym, co mnie spotkało.

Sinner:
Bernadetto, jestem członkiem Ruchu od wielu lat. Napisz dokładnie, o co chodzi.

Bernadetta:
To skomplikowane i niestety zajmie sporo miejsca. Spróbuję jednak pisać w jak największym skrócie. Za namową przyjaciółki wybrałam się na dwutygodniowe rekolekcje ruchu. Nie powiedziano nam, dokąd jedziemy, dopiero na dworcu usłyszeliśmy nazwę stacji docelowej; poproszono nas też o nieużywanie komórek. Bardzo się z tego powodu zmartwiłam, bo zostawiłam w domu pięcioletnią córeczkę. Po przyjeździe na miejsce okazało się, że nie możemy spać z przyjaciółką w jednym w pokoju. Ksiądz przekonał nas, że „tak będzie lepiej”. Miałam wrażenie, że cały czas ktoś mnie obserwuje, że wszyscy uczestnicy rekolekcji nawzajem się kontrolują. Wieczorami zbieraliśmy się w świetlicy i pod nadzorem animatorów opowiadali dokładnie, co robiliśmy w ciągu dnia, a nawet co myśleliśmy i jak odbieraliśmy zachowania innych uczestników rekolekcji. Ten proceder nazywano „momentem prawdy”. „Moment” trwał godzinami. Czasem czułam się tak bezbronna

i zmęczona, że byłam skłonna uwierzyć we wszystko, co mi mówiono, a głównie w to, że nie ma we mnie ani odrobiny dobra, że jestem podłą, obrzydliwą grzesznicą i jeśli nie zacznę dziękować Maryi i Jezusowi za całe moje życie, to spotka mnie straszliwa kara. Przyznam, że zdarzało mi się protestować i wchodzić w dyskusję z księdzem. Popełniłam błąd, za który słono teraz płacę.

Sinner:
Bernadetto, zastanów się nad tym, co piszesz. Padają takie słowa jak kontrola, nadzór, proceder czy kara. Kto chciał Cię ukarać? Ksiądz? Przyjaciółka? Mam wrażenie, że przypisujesz Ruchowi złe intencje. A może od początku byłaś źle nastawiona? Jak piszesz, irytowało cię, że nie znasz celu podróży, że proszono o wyłączenie telefonów komórkowych. Takie działania miały ułatwić uczestnikom rekolekcji skupienie się na tym, co naprawdę w ich życiu istotne. Na Chrystusie. Pomóc zostawić za sobą cały niepotrzebny zamęt tego świata, również niepokój o najbliższych, nawet troskę o dzieci. Rodzina jest oczywiście ważna, ale tylko tutaj, na ziemi. Twoją prawdziwą rodzinę tworzą przecież Jezus Chrystus i Jego Matka. Nikt nie powinien Ci Ich przysłaniać. Nawet mała córeczka. Przypomnij sobie księży i ludzi, z którymi byłaś na rekolekcjach. Zastanów się, czy możesz naprawdę oskarżać ich o tak poważne rzeczy?

Sawicki przerwał i spojrzał na Adę.

– To tylko forum internetowe – powiedział. – Ale jeśli tej pani rzeczywiście przydarzyła się podobna historia, to serdecznie współczuję. „Moment prawdy”? Brzmi jak zebrania partyjne za czasów stalinowskich…

– Czytajmy dalej. – Wskazała brodą ekran.

Sawicki odnotował ponuro, że od drobnej czcionki bolą go oczy. Powinienem zapisać się do okulisty, pomyślał i przetarł powieki.

> Bernadetta:
> Wiem, że Dzieci Niepokalanej to nie sekta. I przepraszam, jeśli uraziłam Twoje uczucia. Po prostu metody ich działania wydawały mi się dziwne. Nie napisałam jeszcze najgorszego. Po rekolekcjach moja przyjaciółka zerwała ze mną znajomość. Pracujemy razem, więc musimy się kontaktować, ale przeszła ze mną na pani. Nie wiem, co robić.
>
> Alicja_222:
> Jestem w Ruchu od dziewięciu lat. Wiem, że wiele osób, które uczestniczą w naszych rekolekcjach pierwszy raz, ma podobne do Twoich problemy. To, co obecnie przeżywasz, nazywa się próbą wiary. Szatan istnieje i walczy o Twoją duszę! Dlatego wszystkie wątpliwości powinnaś od razu wyjaśnić w rozmowie z kapłanem. Kierownictwo duchowe to jeden z podstawowych elementów Ruchu Dzieci Niepokalanej, dlatego nie znajdziesz rozwiązania swojego problemu pośród tych, którzy nie zagłębili się w jego duchowość. Myślę, że jak najszybciej powinnaś skontaktować się z animatorem i zapisać na rozmowę z przewodnikiem duchowym. Zrób tak koniecznie!!! Nie poddawaj się!!! Pozdrawiam i trzymam kciuki.

– Ograniczanie związków z rodziną i przyjaciółmi to typowe działania sekt. – Ada oparła się łokciem o blat i z uwagą śledziła dialog na internetowym forum.

Sawicki spojrzał na nią, marszcząc czoło.

– Nie znam się na mechanizmach sekciarskich, ale nie podoba mi się to, co przeczytałem.

– Dalej odzywa się ktoś z Neokatechumenatu. – Zjechała kursorem w dół strony. – Zmienili temat. Chyba nic więcej tu nie znajdziemy.

Chciała wpisać kolejny adres, ale Sawicki wskazał wypowiedź osoby ukrywającej się pod nickiem Obolały1.

– Zobacz – zatrzymał ją. – To też wygląda interesująco.

> Obolały1:
> Bernadetto, spędziłem w Dzieciach Niepokalanej dobrych parę lat. Jestem szczęśliwy, że w końcu udało mi się od nich uwolnić. Masz całkowitą rację. W ruchu manipulacja jest wszędzie. Członków uzależnia się od przewodników duchowych, którzy z kolei podlegają ścisłej kontroli ważniejszych księży. Ludzie zachowują się jak kukiełki podwieszone na sznurkach animatorów i spowiedników. Twojej przyjaciółce zakazano kontaktów z Tobą i ona karnie wykonała rozkaz. Widziałem gorsze rzeczy. Młodym mężczyznom wmawiano powołania seminaryjne, niszczono związki i rozbijano rodziny, a przede wszystkim deptano elementarne poczucie ludzkiej godności. Nad całą organizacją czuwają trzy osoby: ks. Tomasz Gdański, ks. Witold Budka i Stanisław Czarnota. O panu Czarnocie chodziły słuchy, że jest obdarzony charyzmatem maryjnym. Znam tylko plotki na ten temat. Ta informacja jest trzymana w ścisłej tajemnicy, ale podobno ważniejsi członkowie ruchu modlą się do Czarnoty na kolanach.

Sawicki uniósł prawą brew.

– Co to jest charyzmat maryjny?

– To znaczy, że przez tego człowieka przemawia Matka Boska. – Ada uśmiechnęła się krzywo. – Znalazłam zdjęcie Czarnoty w Internecie. Ma łysinę i nosi zgrabnie przystrzyżoną bródkę.

– Matka Boska z łysiną! – parsknął Sawicki.

– To wcale nie jest zabawne – odpowiedziała poważnie.

Przyznał jej rację. Jeśli Obolały1 pisał prawdę, natknęli się na poważnych rozmiarów minę.

> Obolały1:
> Autorem doktryny ruchu jest ojciec Gdański. To naprawdę wykształcony, niezwykle inteligentny człowiek. Słyszałem go kilkakrotnie i zrobił na mnie ogromne wrażenie (niestety). Ma tytuł profesora. Wykładał przez dłuższy czas teologię i filozofię na UW. Potem wycofał się z pracy akademickiej i skupił wyłącznie na ruchu. Naucza, że wszystko, co nas spotyka, jest podyktowane Bożą miłością. Wszystko jest łaską. I dobre, szczęśliwe zdarzenia, i złe, takie jak choroby, rozwody czy śmierć najbliższych. Grzech wprawdzie łaską nie jest, ale za sprawą cudownego działania może zostać obrócony w wielkie dobro (???). W ruchu ciągle nam powtarzano: „Bóg pisze prosto po krzywych ścieżkach ludzkich”. A oznacza to tyle, że Dzieci Niepokalanej dopuszczają istnienie zła, a nawet uważają, że jest ono konieczne, i w związku z tym podsycają je w sercach swoich członków. Nie pojmuję, dlaczego Kościół pozwala działać takiej organizacji! Uciekaj od nich jak najdalej!!!!

Na tym wypowiedź się kończyła. Ada drgnęła niespokojnie.

– Ksiądz Gdański uważa, że można posługiwać się złem w imię dobra. Takie pomysły prowadzą w bardzo niebezpiecznym kierunku.

– Kurwa.

– Właśnie, kurwa mać!

Sawicki oniemiał. Pierwszy raz słyszał przeklinającą Adę.

– Wszystko układa się w logiczny wzór – ciągnęła, nie zwracając uwagi na jego zdumienie. – Wiemy już, kim jest Stanisław Czarnota. Do niego miały trafić klucze Karola. Obolały pisze o manipulacjach i rzekomych powołaniach. To się zgadza z zeznaniami Moniki Lewickiej. O ile dobrze pamiętam, mówiła, że do Dzieci Niepokalanej należą niektórzy członkowie warszawskiej kurii.

– Słuchaj – przerwał Sawicki. – Jednej rzeczy nie rozumiem. Jeżeli wszystko, co tu napisano, jest prawdą, to dlaczego ludzie dobrowolnie wstępują do tego ruchu? Wyrzekają się własnych osobowości, często tracą kontakt z rodziną i przyjaciółmi; co dostają w zamian?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że dziś wieczorem Kasia nam to wyjaśni.

Sawicki wyszedł na kolejnego papierosa. Ada wstała od komputera i otworzyła okno, żeby wywietrzyć pokój. Mgła znowu spowiła miasto. Przybrała podejrzanie żółty odcień i gęstniała z każdą chwilą. W brudnych oparach znikały budynki i ulice. Ada zmarszczyła brwi. Coś się nie zgadzało. Usłyszała odległy huk, jak grzmot zapowiadający zbliżającą się burzę, choć dźwięk był głębszy i bardziej złowrogi. Wilgotna bryza znad rzeki zmieniła się w suchy, przesycony zapachem chemikaliów powiew. To nie mgła, zrozumiała. To dym z płonącego budynku. Gdzieś obok szalał pożar. Nie słyszała jednak strażackich syren. Wokół panowała cisza, przerywana tylko upiornym odgłosem pękających ścian. Chciała podbiec do telefonu, ale sparaliżował ją strach. Nie odrywała wzroku od ścielących się

po dziedzińcu, skłębionych oparów. Czyjeś pospieszne kroki zadudniły na korytarzu. Snop iskier uniósł się w powietrze. To u nas, pomyślała, płonie Pałac Mostowskich. Czerwone języki ognia pokazały się w oknie pierwszego piętra i zaraz wybuchły ze zdwojoną siłą, ogarniając całą kondygnację. Boczne skrzydło budynku zadrżało i rozpadło się w gruzy, odsłaniając widok na to, co kiedyś było miastem. Przed Adą rozpościerał się spustoszony krajobraz: spękany bruk, powyginane szkielety samochodów, ruiny wypalonych domów, wśród których sterczały sczerniałe kikuty drzew i kominów. W toksycznej żółtej mgle błąkały się drobne, zagubione ludzkie sylwetki. Ada trwała bez ruchu, samotna, skamieniała ze zgrozy. Nagle na wysokości drugiego piętra pojawiła się otulona płaszczem postać kobiety. Dryfowała powoli w stronę otwartego okna. Rozchyliła wargi, zbliżyła się i pocałowała Adę w usta.

– RAJ MUSI GINĄĆ – powiedziała, uśmiechając się słodko.

Z dołu dobiegł oszalały, zawodzący krzyk.

– Ada! – Sawicki potrząsał ją za ramiona. – Ada, słyszysz mnie?

– Co? – burknęła ze złością.

– To ja pytam co! – krzyknął. – Mówię do ciebie od jakiegoś czasu, a ty stoisz bez ruchu, jakbyś miała atak katatonii. – Był naprawdę przestraszony.

– Nic mi nie jest. Zamyśliłam się.

– Zamyśliłaś się? Oczy uciekły ci w tył głowy. Sądziłem, że mdlejesz.

– Mówię przecież, że nic się nie stało.

Sawicki stał tuż obok. Oddychał ciężko.

– Obejrzyjmy stare dowody. – Odsunęła go delikatnie, przeszła przez pokój i zdjęła z półki tekturowe pudło.

44

Mikołaj Zalewski siedział w niewielkim barze na rogu ulicy Burakowskiej i patrzył, jak młodszy brat pochłania szybkimi łykami kufel piwa. Sam zamówił kawę. Po rozmowie z policjantką Karol zachłysnął się nagle, zatoczył i zachwiał tak mocno, że Mikołaj podparł go, obawiając się, że upadnie. Nie minęła jednak chwila, a kleryk wyprostował się i zaśmiał.

– Co mówi lekarz po aborcji? – zwrócił się nieoczekiwanie do Izy.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała, patrząc na niego rozszerzonymi oczami.

– Czy zapakować resztki dla pieska? – Parsknął histerycznie.

Iza stała oniemiała na chodniku. Cała ta odbywająca się przed cmentarną bramą scena nie trwała dłużej niż cztery minuty. Karol potrząsnął głową i odszedł bez pożegnania. Mikołaj pomyślał, że jego brat oszalał.

– Powinienem chyba sprawdzić, co się z nim dzieje… – Uśmiechnął się niepewnie do żony. – Ty jedź już do domu. Wrócę autobusem.

Iza westchnęła i wzięła od niego kluczyki, a Mikołaj ruszył w ślad za klerykiem, który szedł w dół ulicy rozkołysanym, zawadiackim krokiem. Dogonił brata przy Burakowskiej i z trudem łapiąc oddech, chwycił go za ramię.

– Może usiądziemy na chwilę? – zaproponował, wskazując otwarte drzwi baru Stokrotka.

– Pewnie. Napijmy się. W końcu minęła trzynasta. – Karol pchnął okratowane drzwi.

Weszli do ciemnego, pustego o tej porze wnętrza. Barman, oparty łokciami o kontuar, czytał poranną bulwarówkę. W kącie drzemał mężczyzna o chorobliwie napuchniętej twarzy. Poza nimi nie było nikogo. Mikołaj zapłacił pięć złotych za ohydną zalewaną kawę. Karol pospiesznie wychylił pierwsze piwo i natychmiast zamówił drugie. Mikołaj czuł na sobie spojrzenie jego czujnych, twardych oczu.

– Nie sądziłem, że wiadomość o ciąży Zofii zrobi na tobie takie wrażenie – powiedział ze współczuciem.

– A co ty w ogóle o mnie wiesz? – Twarz Karola stężała z gniewu. – Że zadaję się z Radiem Maryja i pingwinami?

Agresja w jego głosie była tak niespodziewana i gwałtowna, że Mikołaj cofnął się przestraszony i uniósł rękę, jakby próbował obronić się przed słowami brata.

– Mój świat jest dla ciebie obcy. Nigdy go nie zrozumiesz!

– Nie musisz krzyczeć – odparł chłodno Mikołaj. – Nie ma też żadnego powodu do wstydu ani złości. To normalne, że cierpisz po stracie bliskiej osoby.

– Całe moje życie, wszystko, co robię, czego oczekuję i do czego dążę, jest dla ciebie niezrozumiałe – ciągnął Karol przez zaciśnięte zęby. – Masz pretensje do mnie, do matki i Piotra, że nie chcemy utrzymywać z tobą bliższych kontaktów. Ale jak można porozumieć się z człowiekiem, który jest głuchy i ślepy? I z własnej woli postanowił taki pozostać?

Mikołaj nabrał głęboko powietrza. Miał ochotę wstać od stolika i wyjść, z drugiej strony nigdy jeszcze nie prowadził tak szczerej rozmowy z bratem. Czuł bijącą od niego ogromną, niepowstrzymaną falę emocji. Postanowił stawić jej opór.

– Ludzie są różni – odpowiedział spokojnie. – Ale to nie znaczy, że masz prawo ich oceniać. Inny nie znaczy gorszy.

– Ludzie są jednakowi w oczach Boga. – Karol odstawił kufel. – Nie rozumiesz? Ulegasz iluzji. Żyjesz w fatamorganie, przekonany, że to, co zbudujesz na ziemi, ma jakąkolwiek wartość; Iza, praca, mieszkanie, samochód to tylko ułuda, tekturowe rekwizyty, które w każdej chwili mogą zniknąć. Naprawdę nic do ciebie nie dociera?

– Nazywasz moją żonę rekwizytem?

– Tak. Wasza ludzka relacja jest marna, słaba i z gruntu fałszywa. Lada moment rozsypie się w proch. – Pstryknął palcami. – Trwa jedynie dlatego, że Bóg uważa za stosowne ją podtrzymywać. Odszedłem od Zofii, a teraz cierpię z powodu jej śmierci i śmierci nienarodzonego dziecka… – Zawahał się. – Ale wiem, że wszystko, co mnie spotyka na ziemi, zostało dokładnie zaplanowane i przeprowadzone zgodnie z wolą Bożą dla mojego dobra.

Mikołaj próbował przerwać, ale Karol nie dopuszczał go do słowa. Siedział naprzeciw pałający, rozogniony, ze zmierzwionymi włosami.

– Poddaję się więc woli Bożej i zgadzam na wszystko, czego ode mnie zażąda. Pytałeś, więc ci odpowiadam, chociaż wiem, że nie jesteś w stanie pojąć ani jednego zdania – dokończył.

– Karol – wyjąkał Mikołaj – Karol, przecież to, co się stało, było złe. Jak możesz traktować tę potworną rzecz, zabójstwo Zosi, jako łaskę? I to łaskę dla ciebie? A co z nią? Co z jej rodzicami?… – urwał. Brakowało mu słów.

– Wiem, że cierpią – odparł spokojniej kleryk. – Powtarzam ci jednak, dla mnie liczy się jedynie relacja z Bogiem. Moja, a nie Zofii czy jej rodziców.

Mikołaj nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Zostało wyrządzone zło – powtórzył uparcie.

– Bóg chce skutków zła – odparł Karol tak zdecydowanym tonem, że jego starszy brat odsunął się ze strachem. – Żyjemy w ciągłym grzechu. I choć obrażamy w ten sposób Boga, Chrystus nam wybacza, obdarza nas swoją największą miłością. Święta Teresa od Dzieciątka Jezus mówiła: „Winnaś się cieszyć z upadku, bo gdyby nie było w tym obrazy Bożej, należałoby umyślnie czcić grzech, by się upokarzać” – dokończył ciszej i jakby mniej pewnie.

Alkohol zaczął działać. Kleryk westchnął, wzdrygnął się i umilkł. Bracia siedzieli naprzeciw siebie w ciszy. Barman przy kontuarze szeleścił gazetą. Pijak w kącie sali obudził się i zabełkotał z irytacją.

– Nieważne. – Karol poderwał się z miejsca. – Zapomnij o tym, co ci powiedziałem.

Odsunął krzesło i zanim Mikołaj zdążył się poruszyć, wybiegł na ulicę.

45

Ada postawiła na biurku pudło z dowodami. Sawicki przyglądał się jej z niepokojem. Zaledwie przed kilkoma minutami stała pod oknem zdrętwiała, bez czucia, śmiertelnie blada. Nie odpowiadała na pytania. Gdy podszedł i położył jej rękę na ramieniu, wzdrygnęła się i łapczywie wciągnęła powietrze, jakby wypływała z wodnej głębiny. Przestraszył się. Niespodziewanie zrozumiał, jak bardzo mu na niej zależy. Chciał wzywać pomocy, dzwonić po karetkę. Krzyknął. Objął ją wpół. A ona otworzyła oczy i spokojnie odsunęła go na bok.

– Nic mi nie jest – powiedziała zdecydowanie.

Co się stało? Co się właściwie zdarzyło? Mimo woli przypomniał sobie słowa Rymkiewicza: „Jebane medium”.

– Wiem, że to nudne – Ada odezwała się lekkim, beztroskim tonem – ale wyjmijmy wszystkie dowody i jeszcze raz je przejrzyjmy. Do spotkania z Kasią zostało półtorej godziny. Powinniśmy się wyrobić.

Sawicki obserwował ją uważnie. Wyglądała najzupełniej normalnie. Przełknął ślinę i podszedł do biurka.

– Młotek i wydruki z kas, o tym już rozmawialiśmy. Skrawek recepty, nie sądzę, żeby był jeszcze potrzebny – wyliczała. – Ręcznik ze śladami krwi Wagner, jej dres. – Wyjęła szczelnie owinięty folią pakunek. – Telefon…

– Zaczekaj. – Sawicki zmarszczył brwi. Jakaś myśl zrodziła się na dnie jego umysłu. Ogarnął go popłoch, serce zabiło gwałtowniej. Skąd wzięło się to dziwne uczucie?

– Nigdy nie odsłuchałem tej wiadomości w poczcie głosowej, do której nie potrafiliśmy zidentyfikować numeru. Powinienem to zrobić teraz.

Ada obejrzała komórkę.

– Jest rozładowana – stwierdziła. – Nie mam kabla do takiego sprzętu, ale w jednym z protokołów spisałam dokładnie, co tam zostało powiedziane… Zaraz… – Sięgnęła po notatki. – O tutaj, masz.

Podała mu notes.

„Cześć. Mam nadzieję, że wieczorne spotkanie się udało. Że jesteś już spokojniejsza. Naprawdę uważam, że postąpiłaś słusznie, decydując się na tę rozmowę. Słuchaj, może się jednak zobaczymy? Ugotuję coś dobrego i wezmę ze sklepu ojca lekkie wino. Kieliszek nie powinien nikomu zaszkodzić”.

Sawicki złapał się za głowę.

– O Boże – wyszeptał.

– Co się stało?

– Ja… Bo… – jąkał się, próbując pozbierać myśli.

Ada czekała cierpliwie.

– Widzisz – westchnął ciężko i opadł na krzesło – w zeszłym tygodniu urządzałem urodziny córki w McDonaldzie. Pamiętasz?

– Zgadza się. W sobotę.

– Wyszedłem wcześniej z fabryki. Kiedy przechodziłem obok dyżurki, spotkałem żonę znajomego. Czekała na mnie – ciągnął, biorąc do ręki rozładowany telefon i obracając go w palcach. – Chciała zgłosić zaginięcie Magdy Orłowskiej, swojej dwudziestopięcioletniej córki. Zbyłem kobietę,

bo oględnie rzecz ujmując, zachowywała się histerycznie. Jeszcze poprzedniego dnia rozmawiała z zaginioną. W sobotę rano Magda nie pojawiła się na umówionym spotkaniu i matka wpadła w panikę. To był początek naszego śledztwa i przyznam, przez chwilę wydało mi się podejrzane, że na Mokotowie ginie młoda dziewczyna, a w tym samym czasie druga znika bez śladu. Potem jednak doszedłem do wniosku, że nie ma się czym przejmować. Sama wiesz, większość dorosłych prędzej czy później się odnajduje.

Ada czekała na dalszy ciąg opowieści.

– Naprawdę lubię Kubę Orłowskiego, ojca tej Magdy. Miły facet. – Zaczerpnął tchu. – Następnego dnia, kiedy dziewczyna się nie odezwała, zadzwoniłem do bliźniaków z dwójki i poprosiłem, żeby rzetelnie przyjrzeli się sprawie. To dobrzy policjanci, mam do nich zaufanie. Po jakimś czasie dostałem wiadomość, że Magdy nadal nie ma, a jej zaginięcie wydaje się podejrzane. Podobno nie zabrała z domu żadnych rzeczy. Przepadła, nie zostawiając za sobą śladów. Potem zająłem się naszym śledztwem i zapomniałem o całej sprawie. Ani bliźniacy, ani Kuba Orłowski więcej do mnie nie dzwonili.

– Przepraszam. – Ada uniosła brew. – Przepraszam cię bardzo, ale nie do końca rozumiem, co to ma wspólnego z nagraniem na sekretarce Zofii.

– Jakub Orłowski ma sklep z winami. Tuż obok domu, w którym mieszkała Wagner – odparł ponuro Sawicki.

Ada patrzyła na niego bez słowa.

– Dzwonię do bliźniaków. Ty idź do działu technicznego. Może mają odpowiednią ładowarkę.

Ada wróciła po piętnastu minutach z kablem w dłoni. Sawicki stał tyłem do drzwi i nerwowo przeglądał stare raporty.

– No i? – zapytała od progu.

– Sprawa została zamknięta. – Odwrócił się. Miał ściągniętą, niespokojną twarz.

– Magda się znalazła?

– Nie – odpowiedział. – Wysłała do rodziców kartkę. Podobno napisała, że musi kilka spraw przemyśleć i potrzebuje samotności.

– Kartkę? – Ada odłożyła kabel na biurko. – Kto w dzisiejszych czasach wysyła pocztówki?

– Właśnie. – Sawicki pokiwał głową. – Też mnie to zdziwiło.

– Może powinieneś zadzwonić do Orłowskiego?

– Już to zrobiłem. Nie odbiera. Zostawiłem wiadomość. Prosiłem, żeby się z nami skontaktował. Trzeba mu dać do odsłuchania nagranie z komórki Wagner. Powinien rozpoznać głos córki.

– Może to tylko zbieg okoliczności? – Ada podłączyła telefon do ładowarki.

– Może. – Sawicki nie robił wrażenia przekonanego.

Wciąż przerzucał kartki raportów.

– Jest piętnaście po ósmej – przerwała mu łagodnie. – Musimy jechać do Kasi.

Weszli do windy obskurnego bloku. Przez ściany dobiegł odgłos dzwonów wzywających na wieczorne nabożeństwo w kościele Jezuitów.

– Powinnam cię uprzedzić. – Ada wcisnęła guzik z cyfrą dziewięć. – Nie mam z Kasią najlepszych układów. Już chyba mówiłam, to moja przyrodnia siostra. Słabo się znamy.

– I? – Czekał na dalszy ciąg.

– Po pierwsze, ona jest trochę dziwna…

Sawicki pomyślał, że nie może być chyba dziwniejsza niż jej starsza siostra, ale powstrzymał się od komentarza.

– Więc nie przestrasz się, jeżeli powie coś… – zastanowiła się – coś nie do końca parlamentarnego…

– W porządku.

Winda zazgrzytała i zatrzymała się na przedostatnim piętrze.

– Po drugie – ciągnęła Ada, wychodząc pierwsza – zgodziła się nam pomóc tylko w zamian za pewną przysługę. – Otworzyła dużą, płócienną torbę i wyjęła z niej rewolwer hukowy. – Muszę jej to pożyczyć na kilka dni.

– Co?! – Sawicki chciał zaprotestować, ale w tym momencie drzwi mieszkania otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich postawna jasnowłosa dziewczyna.

– No, jesteście – powiedziała albo raczej zapytała, jakby dziwiła się, że dotarli na umówione spotkanie. – Przyniosłaś? – Wyciągnęła rękę i chwyciła Adę za ramię, całkowicie ignorując Sawickiego.

– Może nas najpierw wpuścisz?

Kasia otworzyła szerzej drzwi. Nie przypominała Ady. Miała jasne, okrągłe ciało, spore piersi i haczykowaty długi nos. Sawicki nie mógł zdecydować, czy jest brzydka, czy jednak ładna. Ładno-brzydka, uznał, przekraczając próg, i znalazł się w najmniejszej, najbrudniejszej kawalerce, jaką kiedykolwiek widział.

– To jest Marcin – przedstawiła go Ada.

– Cześć, Marcin. – Kasia podała mu wąską dłoń, ciepłą i ruchliwą jak nerwowe zwierzątko. – Siadajcie. – Zrzuciła książki i ubrania z krzeseł, a potem przesunęła rzeczy leżące na stole, odsłaniając kawałek czystego blatu. – Herbaty?

Sawicki spojrzał na stojący na podłodze kubek. W środku pływał sporych rozmiarów zielony grzyb.

– Nie, dziękuję – odpowiedział nieco zbyt szybko.

– Dobrze, bo i tak mam tylko wodę z kranu. – Kasia roześmiała się głośno. – No, to formalności i inne takie mamy za sobą. A teraz chcę zobaczyć mój fant.

Ada podała jej straszak.

– Znalazłaś coś, co mogłoby nas zainteresować? – spytała.

– Nie mam pojęcia. Nie powiedziałaś mi, co cię interesuje. – Kasia błyskawicznie schowała pistolet do szafy. – *Deal is deal*. Spluwy nie oddaję.

– W porządku. Nie mamy zamiaru niczego ci odbierać. – Ada zerknęła niepewnie na swojego towarzysza. – Chcieliśmy się tylko dowiedzieć czegoś na temat Dzieci Niepokalanej.

Kasia odwróciła się tyłem i przeglądała leżące na kanapie swetry.

– Zielony kardigan. – Mrugnęła do Sawickiego. – Postanowiłam ubierać się jak bogate lesbijki z Manhattanu: białe koszule, kolorowe wełny i cygaretki. Co o tym sądzisz?

Sawicki osłupiał.

– Yyyyyy – sapnął.

– Dobrze, dobrze. – Poklepała go pobłażliwie po ręce. – No więc – podeszła do stołu – czego mianowicie chcecie się ode mnie dowiedzieć?

– No… Dlaczego Dzieci Niepokalanej to oddzielny ruch? – Ada zaczęła niepewnie. – Czy istnieją jakieś różnice między nimi a tradycyjnym Kościołem katolickim? Jak wyglądają ich praktyki religijne? – recytowała. – Jeden z naszych świadków nazwał ich sektą…

– I słusznie – przerwała jej siostra.

Miała teraz skupiony wyraz twarzy. Siadła i podciągnęła nogi pod brodę. Zupełnie jak Ada, pomyślał Sawicki.

– W pewnym sensie to rzeczywiście sekta – zaczęła. – Oczywiście nie składają ofiar z ludzi. – Roześmiała się, widząc przerażoną minę Marcina. – Żadnych lochów, skarbów, labiryntów czy innych wyrafinowanych pułapek. To nie Indiana Jones. Natomiast – otworzyła plastikową teczkę – według mnie to, co głoszą, jest na granicy doktryny katolickiej albo tę granicę przekracza…

Sięgnęła po wydrukowany przez Adę plik. Przejrzała go pospiesznie i wydobyła kilka poznaczonych stron.

– To, co tu przeczytałam, wygląda naprawdę ciekawie. – Pośliniła wskazujący palec i przerzuciła dwie kartki. – Przynieśliście pistolet. Doceniam wasz wysiłek i w związku z tym postaram się powiedzieć szybko i w miarę prosto, co myślę o Dzieciach Niepokalanej. Nie daję jednak żadnej gwarancji. Rozumiemy się? Miałam za mało czasu, żeby rzetelnie się przygotować… – Zawiesiła głos.

Ada skinęła głową.

– Oczywiście. Będziemy wdzięczni za każdą pomoc – bąknęła i Sawicki ze zdumieniem wyczuł w jej głosie nieśmiały, lekko drżący ton.

– Dobra. Załatwione. Mamy półtorej godziny. Potem musicie iść, o jedenastej przychodzi do mnie kochanek, nie chcę straszyć go policją.

Ada westchnęła. Kasia nie kryła złośliwego uśmiechu.

– W takim razie zaczynamy. – Spoważniała nagle i położyła przed sobą pokreśloną flamastrem kartkę. – Dwie sprawy zwróciły moją uwagę. Pierwsza z nich jest dość skomplikowana, chodzi o rzeczywistość otaczającego nas świata. A raczej brak tej rzeczywistości.

Sawicki i Ada patrzyli na nią skonfundowani.

– Ktoś, kto pisał te broszurki, wydaje się sugerować, że rzeczy, które nas otaczają, to jedynie dekoracje, a ludzie to podstawieni przez Boga statyści – tłumaczyła. – Jak w *Truman Show*, oglądaliście ten film? Facet

gra w *reality show*, ale o tym nie wie – podjęła, nie czekając na odpowiedź. – Kiedy się urodził, rodzice podpisali umowę z kanałem telewizyjnym. Sprzedali niemowlę. Miasteczko, w którym mieszka, bank, w którym pracuje, park, sklepy, domy sąsiadów to tylko dekoracje, a otaczający go ludzie, łącznie z najbliższymi przyjaciółmi i żoną, to aktorzy.

Ada i Sawicki nadal sprawiali wrażenie zdezorientowanych.

– To znaczy, że według Dzieci Niepokalanej ludzie nie są prawdziwi?

– I tak, i nie. – Kasia rzuciła jej spojrzenie spod przymkniętych powiek.

Mówiła wolniej niż zwykle, starannie dobierając słowa.

– Każdy człowiek pozostaje w osobistej relacji z Bogiem. I odgrywa w tym układzie autentyczną rolę umiłowanego, najważniejszego dziecka. Natomiast związki międzyludzkie nie istnieją. To tylko mrzonki, iluzje. Twoi znajomi i bliscy to marionetki podwieszone do bożych palców. Bóg jest reżyserem, który zmienia rekwizyty i statystów w *reality show* twojego życia. Wszechmocny *master of puppets* – dokończyła cicho, a w jej głosie zabrzmiała ponura nuta.

– Ale skąd mam wiedzieć, czy jestem człowiekiem, czy marionetką?

– A nie czujesz tego?

– No… Nie czuję się nakręconą zabawką.

– I masz odpowiedź. A innymi ludźmi nie musisz zawracać sobie głowy. To już sprawa Boga.

Sawicki kaszlnął i nerwowo pociągnął nosem.

– Nic nie rozumiem – jęknął.

– Trudno. – Kasia machnęła ręką. – Chcieliście się dowiedzieć czegoś o odstępstwach od doktryny Kościoła. Pomysł z nieprawdziwym światem i bliźnimi, którzy w gruncie rzeczy są tylko nakręcanymi zabawkami sterowanymi przez Boga, wydaje się mało chrześcijański.

Ada uniosła podbródek, oczy jej błyszczały.

– Druga sprawa mnie osobiście bardziej interesuje – ciągnęła Kasia, zbliżając jedną z kartek do oczu. – Posłuchajcie: „Ziemia poruszona gwałtownymi wstrząsami pęka, otwierając wypełnione lawą szczeliny. Rzeki występują z brzegów. Pioruny biją w oceany, wyrzucając wysokie na setki metrów słupy wody. Na lądzie płoną miasta, z trzaskiem walą się wieżowce, wybuchają fabryki, autostrady rozpadają się w pył, grzebiąc w zgliszczach samochody, a w nich uciekających, przerażonych ludzi. Upiorne czerwone słońce gaśnie powoli” – czytała, marszcząc brwi. – „Tu kiedyś był raj albo zaczątek raju, który próbowali zbudować ludzie. Teraz morze płomieni niesie zniszczenie i grozę. Nad nim unosi się nieustający, beznadziejny krzyk bólu i rozpaczy”. – Odłożyła kartkę. – Fantastyczny obraz! – Uśmiechnęła się, nie kryjąc entuzjazmu. – Co wam to przypomina?

– Filmy grozy… – bąknął niepewnie Sawicki.

– Widzę, że kino katastroficzne nie jest ci obce. – Rzuciła mu rozbawione spojrzenie. – Masz rację.

– To jest po prostu opis apokalipsy – wtrąciła Ada. – Mało przyjemny, ale prawdę powiedziawszy, nie widzę w nim nic szczególnie zaskakującego.

– Słuchajcie dalej. – Kasia sięgnęła po kolejną kartkę. – „Przez nagie, dymiące pogorzeliska idzie biało odziana kobieta. Spod jej stóp strzelają płomienie. To ona zniszczyła świat ludzkiej ułudy. Płacze z bólu nad cierpieniem człowieka. Po twarzy i dłoniach Maryi spływa krew. To nasze grzechy tak poraniły jej święte ciało. Krew miesza się ze łzami. Czy naprawdę potrzebujesz jeszcze kogoś oprócz mnie? Czy ja ci nie wystarczam?, pyta. Czyż muszę cię doświadczać tak ciężko, abyś w końcu przejrzał na oczy?”

– No i? – zniecierpliwiła się Ada.

– To nie jest wizja końca świata – Kasia sięgnęła po papierosa – ale wizja tego, co może się przydarzyć każdemu z nas już teraz, za chwilę, jeśli będziemy szukać w życiu innego oparcia poza Bogiem.

Ada wzdrygnęła się mimo woli.

– Czeka nas kara miłującej matki? – zapytała ze wstrętem. – To raczej przywodzi na myśl rodzica, który katuje dziecko pasem, a jednocześnie tłumaczy, że sam cierpi, wymierzając razy.

– Właśnie tak. – Kasia wypuściła nosem cienką smużkę dymu. – Umiesz jednak samodzielnie myśleć. To jest ostra sadomasochistyczna wizja. Ten sam obraz powtarza się w kółko we wszystkich ich tekstach. – Wskazała palcem teczkę. – Przekaz wydaje się jasny: jeśli nie będziecie posłuszni, spotkają was straszliwe nieszczęścia. Zniszczeniu ulegnie każda rzecz, zginie każda osoba, którą kochacie na ziemi, jeżeli nie pojmiecie, iż tylko Bóg zasługuje na miłość i uwagę. A wszystko to dla waszego dobra oczywiście – dodała rozbawiona. – Dla Ruchu Dzieci Niepokalanej zasadnicze znaczenie ma postać Maryi – ciągnęła. – To bardzo dziwne, że tak zdecydowanie przysłania swojego syna. Z jednej strony jest tylko pośredniczką w dialogu z Bogiem. Z drugiej zaś sama działa, i to nader aktywnie. To ona, a nie Jezus czy Bóg Ojciec, pojawia się w postapokaliptycznej wizji. Jej postać jak duch sunie przez zgliszcza ludzkich miast. Ona jak Chrystus cierpi za ludzkie grzechy. Nigdy z czymś podobnym się nie spotkałam – dodała z entuzjazmem w głosie. – Kobieta bóg. Wielka królowa. – Zamilkła, wpatrując się w zamyśleniu w teczkę. – Ale jest coś jeszcze. – Podniosła głos. – To niezwykle istotne. Tu napisano, że Maryja „wypuszcza spod swego płaszcza szatana”. Pozwala działać diabłu. Rozumiecie? – Spojrzała na nich z przejęciem. – Zło, ból,

zniszczenie mają służyć Bogu. Szatańskie działanie jest akceptowane, a nawet wspierane, o ile w końcu doprowadzi do nawrócenia trzódki.

Ada i Sawicki wymienili spojrzenia.

– Czy to oznacza, że sekta mogła namawiać swoich członków do popełniania przestępstw?

– A tego nie wiem. – Kasia rozprostowała plecy. – Od takich spraw to wy chyba jesteście, nie? – Zerknęła na komórkę. W jednej chwili straciła zainteresowanie rozmową i gośćmi. Wstała, oparła się o parapet i zapaliła kolejnego papierosa. – Musicie już iść – oznajmiła. – Dochodzi jedenasta.

– Ostatnie pytanie – poprosił Sawicki. – Wytłumacz mi, dlaczego ludzie wstępują do takich ruchów. Co z tego mają?

– Bardzo dużo: prawdę. – Kasia uśmiechnęła się przelotnie. – Otrzymują niedostępną innym wiedzę o świecie. Stają się wyjątkowi i oczywiście lepsi od wszystkich znajdujących się poza sektą. A teraz zdecydowanie was żegnam. – Wskazała drzwi.

Na dworze panował dotkliwy chłód. Wokół ulicznych latarni unosiły się żółte, rozświetlone kręgi. Sawicki odetchnął spokojniej, widząc pusty skwerek, zajezdnię tramwajową i stare boisko szkolne obsadzone topolami. Postapokaliptyczna wizja z Matką Boską w roli karzącego Boga ustąpiła miejsca spokojnej warszawskiej rzeczywistości.

– Przyznam szczerze, że nie wiem, jak opowieść twojej siostry miałaby nam pomóc – powiedział, opierając się o samochód.

– Kasia potwierdziła to, co udało się nam wcześniej wywnioskować. – Ada zapięła płaszcz i wsunęła ręce do kieszeni. Drżała z zimna. Sawicki wiedział, że spotkanie kosztowało ją sporo wysiłku. Miał ochotę ją objąć. – Dzieci Niepokalanej to rodzaj sekty, wyrosłej w łonie Kościoła katolickiego – ciągnęła. – Najbardziej niepokoi mnie opowieść o tym filmie, no wiesz…

– *Truman Show* – podpowiedział.

– Właśnie. Jeśli otaczający nas ludzie nie są prawdziwi, to… – Zawahała się.

– Można ich bezkarnie zabijać – dokończył.

Zamilkli. Sawicki patrzył na drobną sylwetkę Ady. Na jej kształtną, krótko ostrzyżoną głowę, topniejący w blasku latarni policzek, opadający, drżący kącik ust.

– Ada. – Przysunął się bliżej, wciągając w nozdrza zapach jaśminowych perfum – jesteście inne, ty i Kasia, a jednocześnie bardzo podobne.

Sam nie rozumiał, dlaczego to mówi. Odwróciła twarz i na ułamek sekundy dojrzał przyjazny uśmiech. Jednak już w następnym momencie patrzyła na niego ze zwykłą, zimną obojętnością.

– Mógłbym dziś znowu u ciebie nocować?

– Raczej nie. – Odsunęła się sztywno. – Powinieneś chyba ogarnąć prywatne sprawy.

46

W piątek, ósmego marca, Jerzy Wójcik został ubrany w kaftan bezpieczeństwa, wyprowadzony z aresztu i przewieziony busem o okratowanych oknach do szpitala psychiatrycznego na ulicę Nowowiejską. W izbie przyjęć spędził dokładnie pięćdziesiąt sześć minut. Eskortujący go aspirant cały czas stał w pobliżu drzwi wejściowych, ściskając w spoconych dłoniach policyjną czapkę. Co chwila zerkał nerwowo w kierunku zgromadzonych w poczekalni osób. Niewątpliwie panicznie bał się wariatów. Jerzy też się bał. Siedział na plastikowym krześle, tuż pod plakatem przedstawiającym atrakcyjną dziewczynę o zmysłowych ustach. Dziewczyna podpierała głowę rękoma, jakby miała gorączkę albo migrenę. Mężczyzna w białym kitlu uśmiechał się łagodnie, podając jej plastikową fiolkę. Napis poniżej głosił: „Źle się czujesz? Nie możesz spać? Życie straciło urok? Polecam citalopram”. Gruba, niechlujna kobieta usiadła obok i beznamiętnym tonem opowiadała o swojej synowej.

– Dodaje do herbaty radioaktywne krople – mówiła. – Potem zamyka buteleczkę w ołowianym sejfie. Od trzech lat nie wzięłam do ust herbaty, a kiedyś nic innego nie piłam…

Jerzy starał się myśleć o tym, że jako jeden z niewielu ludzi na świecie usłyszał głos Ducha Świętego. Coraz bardziej niepokoiły go jednak inne, przyziemne kwestie.

– Przepraszam – zwrócił się do siedzącej za szybą recepcjonistki. – Przepraszam bardzo, iluosobowe macie tu sale?

W szpitalu niewiele się działo. Pacjenci oglądali telewizję albo przysypiali na rozstawionych pod ścianami krzesłach. Grupka chorych codziennie od nowa podpisywała petycję w sprawie zniesienia zakazu palenia na oddziale zamkniętym. Potem składała ją w dyżurce i głośno dyskutowała z salową na temat dyskryminacji osób uzależnionych od tytoniu. O pierwszej rozwożono wózki z obiadem. O czwartej pojawiały się talerze z kisielem i biszkoptami. O siódmej roznoszono kolację. Jedzenie miało przykry, mdły smak. Piątego dnia lekarz zapytał Jerzego, dlaczego nie rozmawia z innymi pacjentami.

– Mógłby pan obejrzeć film w świetlicy, pograć w piłkarzyki albo wziąć udział w zajęciach artystycznych – zaproponował.

– Nie mam ochoty gadać z wariatami.

– Myślę, że dobrze by panu zrobiły warsztaty plastyczne. Odbywają się w każdy wtorek i czwartek, zaraz po obiedzie. Dzisiaj również – dodał z naciskiem.

O drugiej Jerzy udał się karnie do świetlicy. Kilku ubranych w dresy pacjentów darło kolorowy papier na małe kawałki, żeby następnie naklejać je na jeden duży karton, tworząc w ten sposób wspólny obraz. To się nazywa wyrywanka, przypomniał sobie panią od plastyki ze szkoły podstawowej. Usiadł obok szczupłego mężczyzny o pociągłej twarzy i zapadniętych, podkrążonych oczach.

– Za co cię zamknęli? – zapytał, drąc karton i mażąc papierki klejem.

– Schizofrenia niezróżnicowana o przebiegu subchronicznym – odpowiedział jego towarzysz beznamiętnym tonem. – A ciebie?

– Zamordowałem narzeczoną.

– Aha. – Mężczyzna nie wydawał się zaskoczony. Umilkł, skupiając się na pracy.

– Czy wiesz, że pierwsze zdanie Biblii zawiera trzydzieści różnych kombinacji siódemki? – zapytał nieśmiało Jerzy, przywołując w myślach wszystkie informacje, które zdołał zgromadzić w czasie osiemnastogodzinnych poszukiwań w Internecie.

– Oczywiście. Jeśli odczytać je w języku hebrajskim – przyznał tamten, wyklejając jednocześnie wielkie czarne słońce w prawym górnym rogu kartonu. – Lepiej jednak nie opowiadaj o tym głośno. Porozmawiamy po zajęciach. Spotkajmy się w męskim kiblu – zaproponował.

Od tego momentu zaraz po porannym obchodzie Jerzy udawał się do świetlicy i spędzał długie godziny, siedząc na ceratowej kanapie w kącie sali wraz z nowym szpitalnym znajomym Filipem D. Jerzy opowiedział mu o przejściu między boskim a ludzkim światem, które otworzyło się w brzuchu mężczyzny jadącego pociągiem z Puław do Warszawy, o głosach Ducha Świętego i cyfrze siedem pojawiającej się wielokrotnie na kodzie kreskowym rachunku ze sklepu H&M. Filip okazał się prawdziwą kopalnią wiedzy.

– Siedem to liczba mistyczna – tłumaczył belferskim tonem, podkreślając każde słowo rytmicznymi uderzeniami stopy o podłogę. – Wyróżnia się bogatą symboliką. Siedem dni tygodnia, siedem Hesperyd, siedmiu synów Heliosa, siedem pomniejszych bóstw egipskich… W grocie Lascaux przedstawiono siedem wielkich byków nacierających na głowę konia. To malowidło ma ponad siedemnaście tysięcy lat. Cyfra siedem – ciągnął – symbolizuje w Biblii doskonałość i pełnię. Pojawia się na jej stronach bardzo często: siedem kościołów, siedmiu archaniołów, siedem grzechów głównych, siedem pieczęci i siedem dni stworzenia świata. Trzy siódemki symbolizują potrójną doskonałość stwórcy. Zwróć uwagę – dodał

z powagą – że na klawiaturze komputera siódemka występuje w połączeniu z odwróconym symbolem nieskończoności.

– Skąd to wszystko wiesz? – Jerzy patrzył na niego z rosnącą fascynacją. – Jesteś historykiem?

– Niezupełnie. – Filip zmieszał się lekko. – Można powiedzieć, że nie mieszczę się w ciasnych ramach systemu akademickiego z powodu skomplikowanej osobowości. Mam jednak za sobą lata studiów. I – ściszył głos – doświadczeń.

– Duch Święty nawiązał z tobą kontakt? – Jerzy zadrżał z podniecenia.

Filip spojrzał na niego z pogardą.

– Jaki Duch Święty, człowieku? O jakim duchu mówisz? Liczba siedem pochodzi od kosmitów. Naprawdę tego nie rozumiesz?

Jerzy odczuł gorzki posmak zawodu.

– Jaki numer ma Ziemia? – zapytał Filip.

– Słucham?

– Ziemia, która to z kolei planeta?

– Chyba trzecia – odpowiedział.

– Licząc od Słońca. Ale nie stamtąd. Nie lecąc z kosmosu. Od drugiej strony Ziemia ma numer siedem. Tyle tylko że naukowcy wszystko ostatnio spieprzyli – skrzywił się niechętnie – bo wyłączyli Plutona z Układu Słonecznego…

– Słyszałem głosy. Nadal je słyszę. – Nachmurzył się. – Liczba siedem pochodzi od Boga. Biblia to święta księga. Została napisana pod natchnieniem Ducha Świętego, a nie przysłana przez pojebów z odległej galaktyki.

– Tak? A skąd możesz wiedzieć, że twój bóg nie jest kosmitą?

– Po prostu wiem. Sam objawił mi prawdę.

– Bogowie czy kosmici, można ich różnie nazywać. Są żywymi istotami, tak jak ty i ja, ale znacznie starszymi i o wiele od nas mądrzejszymi.

– Jest jeden Bóg, w trzech osobach – zdenerwował się Jerzy. – To on stworzył człowieka i wszystkie inne istoty…

– Na Ziemi – dokończył Filip. – I zgadza się. Prastara cywilizacja kosmiczna wszczepiła nam cząsteczkę DNA, czyli generator postrzegania i narzędzie wirtualnej rzeczywistości. Przez molekułę DNA obcy ustalają zasady na naszej planecie, nie tylko regulując życie, ale chroniąc ludzi przed pełnym poznaniem. Jeśli chcesz, możesz nazywać ich Duchem Świętym, nazwa nie ma znaczenia. Ważne jest to, co się za nią kryje.

– Bóg zsyła natchnienie Ducha Świętego, czyli przekaz tego, jak należy postąpić w danej sytuacji zgodnie z jego wolą, a nie cząsteczki DNA – próbował oponować Jerzy. – Ze wszystkich ksiąg Starego Testamentu płynie przekonanie, że Bóg przemawia bezpośrednio do człowieka. Podobnie sprawa przedstawia się w Nowym Testamencie: „Musiało się wypełnić słowo Pisma, które Duch Święty zapowiedział przez usta Dawida” – przywołał cytat, który odnalazł w Internecie.

– Stary Testament został spisany w dwunastym wieku przed naszą erą, Nowy powstał prawie dwa tysiące lat temu. Naprawdę sądzisz, że opowiadanie ludziom o lotach międzygalaktycznych i obcych cywilizacjach miało wtedy jakikolwiek sens?

– Nie ma żadnych obcych cywilizacji! Jest jeden Bóg, dla człowieka niepojmowalny i niewytłumaczalny. Bóg komunikuje się z nami poprzez Ducha Świętego.

– Jasne. A Duch Święty to nic innego, jak wiązka promieniowania wysłana z przestrzeni międzygwiezdnej wprost do ludzkich umysłów – odparował Filip. – Emisja nadawana przez obcą, prastarą i supermądrą

cywilizację. W każdym razie – dodał, śliniąc wskazujący palec – w każdym razie zatrzymają cię tutaj na zawsze, jeśli nie przestaniesz wygadywać głupstw.

Jerzy wiedział, że Filip jest kompletnie szalony. Nie przypadkiem trafił do domu wariatów. Chciał wyjaśnić Boga i podać dowód na jego istnienie. Duch Święty nie poddawał się racjonalnemu rozumowaniu. Można go było doświadczyć jedynie dzięki łasce wiary i objawieniu.

47

Sawicki otworzył oczy. Spędził noc na kanapie w dużym pokoju. W pierwszym momencie zdziwił się, że Olga nie pomogła mu jak zwykle przenieść się do ich wspólnego łóżka, i dopiero w następnej chwili przypomniał sobie, że się rozstali. Nie dzielili już sypialni, a on jak najszybciej powinien wyprowadzić się z domu. Tylko dokąd?, zastanawiał się. Do rodziców? Na myśl o powrocie do niewielkiego mieszkanka w bloku na Chomiczówce zrobiło mu się słabo. Wyobraził sobie, że leży na wersalce w swoim dawnym dziecinnym pokoju, a jego nagie, wielkie stopy wystają poza krawędź łóżka. Nie miał pojęcia, jak wytłumaczyć rodzicom obecną sytuację. Wiadomość o romansie Olgi wprowadziłaby sporo dodatkowego zamieszania w i tak skomplikowane rodzinne relacje. Może Wiktor zechce przyjąć współlokatora albo…

– Nie śpisz? – Zobaczył nad sobą twarz żony.

I wydało mu się, że dojrzał w jej oczach coś na kształt uśmiechu, a może nawet współczucia. Obudziła się w nim nadzieja. Natychmiast usiadł. Czuł gwałtowne kołatanie serca.

– Ja… przyszedłem wczoraj w nocy… – zaczął niepewnie. – Nie chciałem cię budzić, więc położyłem się tutaj…

Chciał ją błagać o chwilę rozmowy, ale pierś ścisnął mu lodowaty szpon i czuł już tylko duszącą złość, która zatrzęsła całym jego ciałem. Zdradzała mnie, pomyślał. Pod moim nosem. A ja jak ostatni idiota dałem się oszukać.

– Słyszałam otwieranie drzwi – odpowiedziała spokojnie.

Teraz było mu najzupełniej obojętne, jak na niego patrzy i co sobie myśli. Przesunął dłonią po zmierzwionych włosach.

– Nie obudziłeś mnie, jeszcze nie spałam – dodała.

Sawicki próbował coś odpowiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. Jak ona mogła? Przekreśliła lekką ręką dwanaście lat wspólnego życia. Wyrzuciła małżeństwo do kosza, jakby było zużytym przedmiotem, a nie skomplikowaną relacją, którą budowali z takim trudem… Zrobiła coś, czego nie da się wybaczyć. On nie wybaczy…

– Oczywiście możesz u nas nocować, ale powinieneś zacząć rozglądać się za czymś do wynajęcia. – Usiadła w fotelu.

„U nich”, jak to „u nich”? Złość opuściła go w jednej chwili. Zastąpiło ją płaczliwe rozżalenie. Głos Olgi był stanowczy, jej ruchy spokojne, wzrok nieczuły i odpychający. Jak mógł się czegokolwiek spodziewać po tej kobiecie?

– Poszukam więc – mruknął, starając się powstrzymać łzy.

– W porządku. – Skinęła głową, jakby miała na myśli niepozmywane naczynia albo niezapłacony rachunek telefoniczny. – Porozmawiamy innym razem. Teraz bardzo się spieszę. Dziewczynki jeszcze śpią. Zajmij się nimi, wrócę o piątej. – Wstała i zniknęła w otwartych drzwiach, nim zdołał ją zatrzymać.

Usłyszał trzask zamka, cichnące echo kroków na klatce schodowej i poczuł, jak na ramiona spada mu nieznośny ciężar. Oddychając z trudem, osunął się na kanapę. Dopiero po paru minutach uspokoił się na tyle, żeby wstać i pójść do kuchni zaparzyć kawę. Przynajmniej nie mieszka tu na razie żaden inny facet, pomyślał, sięgając po kubek do szafki nad zlewem. Jak ja sobie poradzę? Łzy napłynęły mu do oczu. Co mam teraz z tym wszystkim zrobić?

– Cześć, tato. – Tosia stała w progu ubrana tylko w majtki i jedną wełnianą skarpetkę. – Gdzie byłeś? – Drobnym tanecznym krokiem podeszła do lodówki i wyjęła z niej mleko. – Mama mówiła, że się rozwodzicie – dodała wesoło, stawiając na stole karton i plastikową miseczkę.

Sawicki zastygł z uniesionym kubkiem i otwartymi szeroko ustami.

– Rozstania rodziców nie powinny odbijać się na życiu dzieci. – Hania przechyliła się przez krawędź bagażnika i wyjęła różową walizeczkę z przyborami do rysowania. – Dojrzali, odpowiedzialni dorośli rekompensują swoim pociechom trudną sytuację – dodała głosem surowej nauczycielki i spojrzała znacząco na ojca.

– Rekompensują? Kto cię nauczył takich słów? – Sawicki zamknął z trzaskiem bagażnik, wziął młodszą córkę na ręce, a starszą pchnął lekko w kierunku drzwi.

Stali na dziedzińcu Pałacu Mostowskich. Temperatura na dworze nie przekraczała zera. Padał ciężki, mokry śnieg.

– Asia. – Hania otworzyła usta i złapała na język kilka wirujących płatków.

– Co za Asia? – zapytał, próbując wyszarpnąć z kieszeni kartę magnetyczną.

– Koleżanka z klasy. Jej rodzice też się rozwiedli i teraz mieszka z mamą i jej nowym chłopakiem, ale raz w tygodniu odwiedza ojca. Jej tata bardzo się stara, chodzą razem do kina i do McDonalda.

– Chcę do McDonalda! – krzyknęła Tosia.

– Dobrze. – Sawicki przepchnął dziewczynki przez bramki. – Pójdziemy na hamburgera…

– I na lody?

– Na lody też, ale najpierw muszę tu coś załatwić. Poczekacie grzecznie, porysujecie, pogracie na komputerze, a ja postaram się jak najszybciej wrócić.

– W niedzielę rano możemy oglądać kreskówki – poskarżyła się Hania.

– Nie chcesz zobaczyć, gdzie pracuję?

– Nie.

– Może to cię jednak zainteresuje? Mamy tu muzeum policji – zachęcał.

– Nie zainteresuje. Rodzice po rozwodzie powinni…

– Z nikim się jeszcze nie rozwiodłem – zdenerwował się. – Koniec gadania i marsz na górę! Poproszę pewną miłą panią, żeby się wami zajęła – dodał pojednawczo. – Ona się świetnie zna na dzieciach.

W pokoju zastali Adę. Siedziała przy komputerze i uzupełniała raporty. Nie odwróciła głowy. Mruknęła tylko zdawkowe: „Cześć”. Miała na sobie ciemnozielony golf, obcisłą popielatą spódnicę i wiązane buty z miękkiej skóry.

– To jest ta miła pani? – zapytała z wyraźną rezerwą Tosia.

– Tak. – Sawicki starał się brzmieć przekonująco. – Zajmie się wami.

– Słucham? – Ada odwróciła się gwałtownie od monitora. – Czym mam się zająć?

– Tylko przez godzinę – odpowiedział prosząco. – Olga musiała wyjść, zostałem sam z dziewczynkami, a właśnie zadzwonił Jakub Orłowski, umówiliśmy się na jedenastą. Pogadam z nim, dowiem się, co z Magdą, i zaraz wrócę. Trzeba to jak najszybciej załatwić. Sama chyba przyznasz, że lepiej, żebym to ja z nim rozmawiał. Dobrze się znamy – dodał pospiesznie.

Hania ściągnęła płaszczyk. Tosia rozłożyła na podłodze przybory do rysowania. Ada przyglądała się dzieciom z widoczną odrazą. Nie protestowała jednak. Westchnęła i wcisnęła „Enter” na klawiaturze.

– Właśnie drukuję raporty. Idź, proszę, do sekretariatu, podpisz wszystko i przefaksuj Modzelewskiemu. A my w tym czasie spróbujemy się bliżej poznać…

– Jesteś nową dziewczyną taty? – zapytała Tosia, unosząc głowę znad zabazgranej kartki.

– Nie, broń Boże! Skąd ci to, dziecko, przyszło do głowy?

Sawicki poderwał się i wypadł na korytarz.

W sekretariacie nie zastał nikogo. Na biurku stała plastikowa taca, a na niej umyte szklanki, odwrócone dnem do góry. Obok leżała serwetka i łyżeczka z porcelanową końcówką. Przeciąg poruszał pierzastymi liśćmi paprotki. Oparł się o framugę drzwi i uniósł dłoń do czoła. Był zaskoczony, że własne córki przyjmują obecną sytuację w sposób całkowicie pozbawiony refleksji. Spodziewał się pretensji, płaczu, w przyszłości depresji albo przynajmniej anoreksji. Trzydzieści lat temu, kiedy sam chodził do szkoły, nie miał kolegów, którzy mieszkali tylko z matką. Albo „z mamą i jej nowym chłopakiem”, przypomniał sobie swobodne określenie, jakiego użyła Hania. O mieszkaniu z ojcem nawet nie było mowy. Dzieci z rozbitych rodzin nie przyznawały się do swojej sytuacji. Rozwód stanowił powód to wstydu i piętnował nie tylko dorosłych, ale również młodsze pokolenia. Tymczasem zarówno Tosia, jak i starsza, bardziej od niej świadoma Hania zdawały się odbierać czekającą ich zmianę najzupełniej naturalnie.

– To dobrze – mruknął. – To dla nich lepiej.

W głębi duszy czuł się jednak dotknięty. Westchnął. Podszedł do drukarki, wyjął plik kartek, po czym usiadł na miejscu pani Dagmary i zaczął je systematycznie podpisywać. Ada wypełniła raporty, stosując się do strategii, którą wspólnie ustalili. Koncentrowała się na osobie Karola w roli byłego narzeczonego. Informowała krótko o seminarium, związkach

z Ruchem Dzieci Niepokalanej i podejrzeniach dotyczących ciąży Wagner, ale starała się nie wysnuwać daleko idących wniosków. O ministrze Algierskim w ogóle nie wspomniała.

– Cześć. – Drzwi uchyliły się i do sekretariatu wszedł Wiktor.

– Cześć. – Sawicki włożył pierwszą kartkę do faksu. – Pani Dagmary nie ma.

Nacisnął guzik. Maszyna zaskrzypiała opornie i wciągnęła papier.

– Dziś niedziela.

Wiktor usiadł na skraju biurka.

– Wyobraź sobie, przyszedłem do ciebie, nie do Dagmary.

– Do mnie? O co chodzi? – zapytał z roztargnieniem, segregując raporty w odpowiedniej kolejności.

– O Mimozę oczywiście.

Sawicki oderwał się od pracy i spojrzał uważnie na przyjaciela. Wiktor wytrzymał jego wzrok.

– Już ci mówiłem. – Zmarszczył z irytacją brwi. – Zostaw ją w spokoju. Nie ma z podpierdalaniem absolutnie nic wspólnego. Pojechałem do Wrocławia, gadałem z policjantem, z którym pracowała kilka lat…

– Wiem – przerwał Wiktor. – Rozmawiałem z Rogiem. Nie musisz się, kurwa, tak pluć w jej obronie!

Sawicki zamilkł. Wiktor przełknął ślinę. Miał ściągniętą, zmęczoną twarz i podkrążone oczy.

– Przepraszam, stary. Może to i prawda. Może wcale nie Mimoza podpierdala, tylko jakiś inny cwel. – Zrobił nieokreślony ruch ręką w stronę korytarza. – Ale za chwilę wypierdolą mnie z sekcji. I, kurwa, muszę wiedzieć, że to nie ona.

– A jak, do chuja, jeśli można spytać? W jaki sposób zamierzasz zyskać stuprocentową pewność? – Sawicki poczerwieniał ze złości.

– Myślałem o tym. – Wiktor stuknął kłykciem w blat biurka. – Mamy, zdaje się, w fabryce wariograf i o ile dobrze wiem, właśnie ty umiesz go obsługiwać.

Sawicki otworzył szeroko oczy.

– Nie – zdecydował po chwili wahania. – Nie ma mowy.

– A to dlaczego?

– Po prostu. Nie zgadzam się. To upokarzające.

– Chuja, nie upokarzające – warknął Wiktor. – Zresztą decyzja nie należy do ciebie. Zapytam ją. Może sama chciałaby ostatecznie oczyścić się z zarzutów. Znaczy z domniemanych zarzutów oczywiście…

Sawicki spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

– Mam czterdzieści minut – przyznał z oporem. – Potem muszę lecieć.

– Akurat wystarczy, nie? – Wiktor pokazał w uśmiechu drobne zęby.

W tym momencie do sekretariatu wpadły dziewczynki, a zaraz za nimi wkroczyła komisarz Rochniewicz ze zmierzwioną fryzurą i skonsternowaną miną.

– Ona wcale nie jest miła! – krzyknęła Tosia, łapiąc ojca za nogę. – Mówi do mnie „dziecię”!

– Ada – bąknął Sawicki. – Ada, Wiktor ma do ciebie pewną sprawę…

Wariograf znajdował się w niewielkim, pozbawionym okien pomieszczeniu, tuż obok sekretariatu. Pokój był pusty. Nie stało w nim nic poza biurkiem, dwoma fotelami i podpiętą do komputera metalową puszką. Sawicki zatrzymał się w progu.

– To nie ma sensu – zaoponował po raz kolejny.

Liczył, że Ada zignoruje Wiktora. Wysłuchała go jednak uważnie i natychmiast zgodziła się na badanie. Do żadnego z nich dwojga nie docierały racjonalne argumenty. Zaproponowali, żeby zostawić dziewczynki w recepcji. Nie odzywając się i nie patrząc na siebie, sprowadzili je na dół, a potem wrócili na drugie piętro i stali teraz sztywno tuż obok Sawickiego. Słowo daję, pomyślał, dwa uparte muły.

– Już wam tłumaczyłem – podjął niechętnie. – Testy powinien przeprowadzić ekspert. Analiza wyników jest skomplikowana. Tego nie można robić z doskoku. Trzeba najpierw przygotować odpowiedni zestaw pytań…

– Dobrze, dobrze. – Wiktor poklepał go po plecach. – Dasz sobie radę.

Ada milczała, skrzyżowawszy ręce na piersi.

– Nic nie rozumiesz – zdenerwował się Sawicki. – Tu nie ma czerwonej lampki ani brzęczyka, który się odezwie, jak ona skłamie. To nie teleturniej. Dostaniemy skomplikowany wykres, który będę musiał odczytać. Nie mam takich kompetencji…

– Wszyscy w fabryce wiedzą – przerwał mu Wiktor – wszyscy wiedzą, że umiesz to robić. Bawiłeś się tą maszyną przez pół roku.

– Właśnie, bawiłem się – powtórzył gwałtownie. – Naprawdę nic do ciebie nie dociera?

– Ona chce. – Wiktor wskazał Adę ruchem głowy. – Posłuchaj – ciągnął – może nie dowiemy się wszystkiego, ale coś uda się sprawdzić. To oczyści atmosferę. Tobie też powinno na tym zależeć.

Sawicki zacisnął szczęki.

– Świetnie. Proszę bardzo. – Wzruszył ramionami. – Ale w pokoju mogą przebywać tylko dwie osoby: badany i badający.

– Będę cicho – zapewnił Wiktor.

Sawicki rzucił mu ponure spojrzenie. Nie miał siły dalej protestować.

– Siadaj więc – zwrócił się do Ady, odsuwając jeden z foteli. – Połóż ręce na oparciach. Podepnę ci elektrody; staraj się nie denerwować, myśl o czymś przyjemnym… – Urwał, napotkawszy jej chłodne, całkowicie spokojne oczy. – Wszyscy wiemy, jak to działa – podjął, opadając ciężko na fotel po drugiej stronie biurka. – Zadam ci kilka prostych pytań. Odpowiadasz „tak” lub „nie”. W tym czasie maszyna zarejestruje reakcje fizjologiczne zachodzące w twoim ciele: zmiany tętna, poziom wydzielanego potu i tak dalej – mówił do Ady, ale patrzył tylko na Wiktora.

Był zły i zmieszany. Niespodziewanie dotarło do niego, dlaczego się denerwuje. A jeśli Ada kłamie?, pomyślał z przerażeniem. Była niedziela, dziesiąty marca. Niecałe dwa tygodnie temu zżymał się na myśl, że musi pracować z kobietą. Teraz obawiał się, że ją straci. Powoli wyprostował plecy i ukradkiem dotknął dłonią schowanego w kieszeni batonika, po czym zastygł w bezruchu. Przed oczami przemknęły mu w zawrotnym tempie wspomnienia z ostatnich dziesięciu dni: krucha, ukryta w cieniu postać Ady, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, mieszkanie Zofii Wagner, trup leżący na podłodze w łazience, Słoneczny Dom, uchodźcy, w końcu rozmowa z wrocławskim policjantem.

– Sawoj… – Wiktor trącił go w ramię.

Wzdrygnął się, zamrugał powiekami i włączył odpowiedni program w komputerze.

– Możemy zaczynać. – Westchnął. – Jesteś gotowa?

Ada skinęła głową.

– Dobrze. Czy na dworze pada śnieg? – zadał pierwsze pytanie.

– Tak.

Wykresy dały spokojny, regularny odczyt.

– Czy masz na sobie zielony sweter?

– Tak.

– Nazywasz się Adela Rochniewicz?

– Tak.

– Urodziłaś się w Kłodzku?

– Nie.

Wiktor stał za jego plecami i z uwagą obserwował monitor.

– Czy masz męża? – pytał dalej Sawicki tym samym, pozbawionym intonacji głosem.

Ciśnienie Ady lekko podskoczyło.

– Nie – odpowiedziała.

– Czy masz dzieci?

– Nie. – Zaczęła się nieznacznie pocić.

Przez chwilę zastanawiał się, jakie pytanie może wytrącić ją z równowagi.

– Czy czujesz się samotna? – zapytał w końcu.

– Nie. – Wykres pulsomierza wykonał gwałtowny skok.

Sawicki poczuł, że się czerwieni.

– Czy mieszkasz w Warszawie?

– Tak.

Tętno opadło.

Odetchnął głęboko i zebrał się w sobie.

– Czy Olgierd Rochniewicz, właściciel gazety, w której ukazały się zdjęcia naszej komendy, to twój ojciec?

– Nie – padła natychmiastowa odpowiedź. – Nie mam z tym człowiekiem nic wspólnego.

Wiktor sapnął cicho. Sawicki drgnął zdumiony. Żaden z czujników nie zarejestrował zmiany. Diagram wyglądał dokładnie tak samo jak przy pytaniu o pogodę za oknem. Ada siedziała naprzeciw, patrząc mu spokojnie

w oczy. Zapadło niezręczne milczenie. Gdzieś z daleka dobiegł stłumiony sygnał pędzącej karetki. Przez szparę w drzwiach wpadł chłodny podmuch i poderwał leżący na podłodze kłaczek.

– W porządku – Sawicki podjął niepewnie. – Ostatnie pytanie: czy przekazywałaś prasie informacje dotyczące prowadzonego przez nas śledztwa?

– Nie.

Nie musiał patrzeć na monitor. Był pewien, że kształt wykresu nie uległ zmianie. Ada wyprowadziła wariograf w pole. Wiedział, że wykrywacz kłamstw nie jest doskonały. Dokładność odczytu wynosiła od siedemdziesięciu do dziewięćdziesięciu procent. Maszyna dawała się zmylić ludziom, którzy w wyniku długotrwałych ćwiczeń nauczyli się kontrolować oddech i pracę serca. Agenci specjalni czy szpiedzy umieli przyspieszać tętno i symulować wzburzone emocje, co powodowało szum informacyjny, który uniemożliwiał porównanie reakcji fizjologicznej przy odpowiedzi na obojętne i na kontrolne pytania. Ale Ada zrobiła coś odwrotnego – świadomie skłamała i jednocześnie całkowicie zapanowała nad ciałem. O czymś podobnym nigdy jeszcze nie słyszał.

– Możesz odpiąć elektrody – powiedział, czując jednocześnie, jak oblewa go zimny pot. – Wiktor, jesteś zadowolony?

Komisarz Pawlak przechylił głowę na lewe ramię i skrzywił się lekko.

– Nawet ja widzę na tych bazgrołach, że nie ma się do czego przypierdolić. Mimoza… – wyciągnął dłoń – nie miej mi za złe…

– Nie mam – odpowiedziała chłodno i odwzajemniła męski uścisk.

Sawicki milczał, utkwiwszy wzrok w podłodze.

– No to nie będę wam dłużej dupy zawracać… – Wiktor przestąpił z nogi na nogę.

Sprawiał wrażenie przygnębionego. Wyciągnął ręce wzdłuż tułowia i zgarbił plecy. Powoli, niechętnie powlókł się w stronę drzwi. Nacisnął klamkę, ale zatrzymał się w progu, jakby nie miał pewności, czy może opuścić pokój.

– To nie ty – powiedział matowym, bezbarwnym głosem. – Ale ktoś podpierdala. Ktoś z nas – dodał cicho i wyszedł na korytarz.

Ada wstała, ale Sawicki powstrzymał ją gestem. Znieruchomiała posłusznie. Zajrzał jej głęboko w oczy. Wytrzymała spojrzenie. Drzwi zamknęły się za Wiktorem, a oni stali nieruchomo, mierząc się nawzajem wzrokiem.

– Kłamiesz – powiedział w końcu. – Bezczelnie kłamiesz. Umiesz oszukać wariograf. Wiedziałaś od początku, że ci się uda, dlatego zgodziłaś się na badanie.

Nie odpowiedziała.

– Ada. – Podniósł głos. – Wiem, że jesteś córką Olgierda Rochniewicza. Pojechałem do Wrocławia na zlecenie Rogowskiego. Kazał cię sprawdzić. Rozmawiałem z komisarzem Rymkiewiczem. Powiedział mi wszystko… – wypalił.

Zobaczył w jej twarzy coś obcego, nieznaczny ruch, drganie pod skórą. Coś w jej wnętrzu starało się ostrzec go i powstrzymać.

– Ada – powtórzył – wiem wszystko… – Jego głos ucichł, a potem zgasł, jakby pewność zmieniła się w wątpliwości i bezgraniczne, wszechogarniające poczucie wstydu.

Odwróciła głowę.

– To nie w porządku – powiedziała.

– Nie szpiegowałem cię z własnej woli – mruknął. – To był rozkaz szefa.

Ada stała oparta biodrem o blat biurka, z twarzą skupioną i poważną, zastanawiając się nad sytuacją, w której oboje się znaleźli, bez złości, chłodu i bez ciepła. Po prostu rozważała możliwości i w końcu podjęła decyzję, a potem odezwała się tonem, którego nie umiał odczytać.

– Olgierd Rochniewicz rzeczywiście jest moim biologicznym ojcem. Od dawna jednak nie uważam się za jego córkę. Ma dużo pieniędzy – ciągnęła sucho i stanowczo. – Kupił mi mieszkanie, samochód, co pewien czas dostarcza gotówki. Ma wobec mnie spory dług. Powiedzmy… – zawahała się – powiedzmy, że w przeszłości nie zachowywał się w porządku. Ja o tym wiem, on płaci mi za milczenie. Czy takie wyjaśnienie ci wystarczy? – Zmierzyła go zimnym wzrokiem.

Sawicki przełknął głośno ślinę.

– A fotografie w gazecie? – zapytał.

– Posłuchaj – odpowiedziała twardo – nie pracuję dla tego typa. Nie dostarczam mu informacji. Nie potrzebuję tego robić, rozumiesz? I tak mi płaci, a ja biorę jego pieniądze. To jedyna rzecz w moim życiu, co do której mam wątpliwości… – dodała ciszej. Odepchnęła się dłonią od biurka i stanęła przed nim wyprostowana, z rękami skrzyżowanymi na piersi. – Nie donoszę dziennikarzom. – Uniosła brodę. – Ale Wiktor ma rację. Ktoś w fabryce to robi. I powinniśmy się dowiedzieć kto.

Sawicki drgnął. Był przekonany, że przeoczył coś ważnego. Coś, co zdarzyło się niedawno, drobny, ale istotny szczegół, który pominął, wyparł z pamięci.

Minęła jedenasta, kiedy zaparkował przed domem Ady. Nie rozmawiali więcej na temat wykrywacza kłamstw ani spotkania z wrocławskim policjantem. Po wyjściu z pokoju przesłuchań Sawicki zatrzymał się przed dużym kwadratowym oknem na korytarzu i stał nieruchomo, obserwując

przechodniów mijających Pałac Mostowskich. Nie mógł się zdecydować, co teraz zrobić: ubrać się, odebrać dziewczynki z recepcji na dole, przepraszać Adę czy też wypytywać, w jaki sposób oszukała wariograf. Czuł się otępiały, zdezorientowany i speszony, jak człowiek, który właśnie obudził się z ciężkiego snu i nie jest pewien, gdzie się znajduje. Nie potrafił odejść od okna. Otrząsnął się, dopiero gdy poczuł na ramieniu lekkie dotknięcie dłoni Ady.

– Ubieraj się – powiedziała. – Podwieziesz mnie i dzieci na Żoliborz. Zajmę się nimi, coś wymyślę – dodała bez przekonania. – Jakoś tę godzinę wytrzymają, a ty porozmawiasz z Jakubem Orłowskim.

Podała mu dziecięce płaszczyki. Jej twarz miała ten sam co zawsze spokojny, nieprzenikniony wyraz. Nie wiedział, czy ukrywa przed nim niepokój, czy też urazę. Nie był pewien, czy w ogóle coś ukrywa.

– Dobrze – zgodził się, odbierając ubrania. – W takim razie chodźmy do recepcji.

Ruszyła pierwsza zdecydowanym, prędkim krokiem. Dogonił ją na parterze. Piętnaście minut później byli już na Żoliborzu.

– Cała rozmowa zabierze mi godzinę. Najwyżej półtorej – zapewniał Sawicki. – Potem pójdziemy do McDonalda.

Hania wydęła policzki. Tosia odsunęła się od Ady. Stała na skraju krawężnika z naburmuszoną buzią i oczami pełnymi łez.

– Zaraz wracam. – Pogłaskał ją po włosach, pchnął delikatnie w kierunku domu i zatrzasnął drzwi.

Nacisnął pedał gazu, wykręcił ostro, ale natychmiast zatrzymał się z piskiem opon na środku wąskiej uliczki. Nad wejściem do sklepu spożywczego wisiała reklama przedstawiająca uśmiechniętą kobietę kupującą warzywa. Zdjęcie zmarszczyło się pod wpływem wilgoci i częściowo odkleiło od tablicy. Z postaci sprzedawcy pozostała tylko

wyciągnięta ręka z pomidorem tkwiącym w zaciśniętych palcach. Reszta plakatu zwisała smutno po prawej stronie billboardu. Sawicki gwizdnął przeciągle i schwycił dźwignię ręcznego hamulca. Od czasu badania wariografem jakaś uporczywa myśl nie dawała mu spokoju. Miał dziwne, nieokreślone uczucie, że coś przegapił. Patrząc na naderwaną reklamę, zrozumiał niespodziewanie, co go dręczy. Pospiesznie odkręcił szybę.

– Hej! – zawołał. – Poczekajcie!

Ada odwróciła się i podeszła do samochodu.

– O co chodzi?

– Pamiętasz ostatnie zdjęcie, które ukazało się w gazecie?

– Tak. – Skinęła głową.

– Kto na nim był?

– Jak to kto? – zdziwiła się. – Przecież wiesz: Wiktor i Okruszwili.

– No właśnie.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nie rozumiesz?! – krzyknął w podnieceniu. – Ja też odpytywałem Okruszwilego, ale nie zostałem sfotografowany.

– No i? – Nadal nie wiedziała, o co mu chodzi.

– Ktoś w fabryce zaczął podpierdalać – mówił, wychylając się przez okno – dokładnie wtedy, kiedy przyszłaś do roboty. To oczywiście bardzo sprytne, bo podejrzenia automatycznie skupiły się na tobie. Ten chuj, kimkolwiek jest, musiał długo czekać na odpowiednią okazję.

Ada zmarszczyła brwi.

– A więc – ciągnął Sawicki – nie robi tego dla pieniędzy, bo gdyby rozpaczliwie potrzebował kasy, toby się nie czaił i nie kombinował. Mam rację?

– Tak… – przyznała niepewnie.

– Na ostatnim zdjęciu w gazecie widać tylko Wiktora i to Wiktor przez całą tę aferę może wylecieć z roboty. Rozumiesz?

Ada zwilżyła wargi koniuszkiem języka.

– Czy ktoś w fabryce bardzo nie lubi eksperta Pawlaka? – zapytała po chwili wahania.

– Owszem – odparł, przyciskając knykcie do skroni. – I owszem. To żaden dowód, ale wiem, że Wiktor kilka miesięcy temu popadł w ostry konflikt z Kapustą.

– Zimno mi! – krzyknęła Hania.

Ada skrzywiła się odruchowo. Sawicki cofnął głowę i zaczął podciągać szybę.

– Muszę lecieć, jestem już strasznie spóźniony. Wrócę niedługo – obiecał po raz kolejny tego przedpołudnia.

Nie oglądając się więcej, odjechał w kierunku centrum. Siedzący na dachu śmietnika gawron zakrakał głucho i łypnął na samochód błyszczącym czarnym okiem.

48

Ada weszła do pokoju, niosąc na tacy dwie szklanki z wodą.

– Chciałyście pić… – powiedziała zmęczonym głosem.

Hania nawet na nią nie spojrzała. Leżała na podłodze, trzymając w rękach sporych rozmiarów album średniowiecznych narzędzi tortur. Oparła ubłocone botki o krawędź kanapy i ze zmarszczonymi brwiami studiowała rycinę przedstawiającą zgiętego wpół mężczyznę zakutego w żelazne dyby.

– „Bocian – przesylabizowała na głos – powodował bolesne skurcze mięśni brzucha i odbytnicy”.

Filip-Oleńka wpadł przez otwarte drzwi, odbił się od podłogi i wskoczył na półkę, po czym warcząc i prychając wcisnął się w szparę między ścianą a książkami. Zaraz za nim wbiegła do pokoju Tosia.

– Chcę pogłaskać kotka – żaliła się. – Chciałabym potrzymać go na rękach.

– Nie możesz. – Ada odstawiła tacę i zdecydowanym ruchem chwyciła dziewczynkę za ramię. – On nie lubi dzieci.

– Tak jak ty?

– Podobnie – przytaknęła, podnosząc z podłogi rozrzucone książki. – Już trzy razy prosiłam, żebyś zdjęła buty – zwróciła się do Hani. – Nie wiem, czego nauczyli cię rodzice, ale w tym domu obowiązują pewne zasady…

– „Tortura prowadziła do długiej i bardzo bolesnej agonii – dukała Hania, nie zmieniając pozycji. – Z biegiem czasu dolegliwości doprowadzały człowieka uwięzionego w bocianie do szaleństwa”.

– Nudzi mi się! – krzyknęła Tosia.

Ada uniosła dłoń do ust. Czuła się całkowicie wyczerpana.

– Może porysujesz? – zaproponowała bez przekonania.

– Już rysowałam – Tosia odpowiedziała niechętnie, stając jednocześnie na palcach i próbując dosięgnąć zwisającego z półki kociego ogona. – To chłopczyk czy dziewczynka?

– Kto?

– Kot.

– Chyba *queer*. – Ada usiadła ciężko na kanapie.

– Co to *queer*? – zainteresowała się Hania.

Ada rzuciła jej ponure spojrzenie.

– Znajdź w encyklopedii – zaproponowała – stoi obok albumów. I zdejmij natychmiast buty!

– Masz telewizor? – Tosia zrezygnowała z polowania na kota i sięgnęła po stojące na toaletce pudełko z biżuterią.

– Nie. Lepiej niczego tu nie ruszaj. – Odebrała dziewczynce drewnianą skrzynkę i odstawiła ją na parapet.

– To co mam robić? – Mała wykrzywiła buzię, gotowa natychmiast wybuchnąć płaczem.

Ada poczuła, że zaczyna się pocić. W tym momencie zadzwonił telefon.

– To wasz tata. – Mrugnęła pocieszająco. – Na pewno już jedzie.

Hania natychmiast odłożyła album i uniosła głowę.

– Halo?

– Hej – głos Sawickiego brzmiał niepewnie. – Mam złe wiadomości… – mruknął. – Spóźniłem się, a Jakub Orłowski musiał skoczyć do hurtowni. Czekam na niego, powinien niedługo wrócić, ale trochę to jeszcze potrwa…

– W porządku, nie ma sprawy – zapewniła Ada. – Załatw wszystko spokojnie. Poradzimy sobie.

– Dziewczynki grzeczne?

– Grzeczne – przytaknęła odrobinę zbyt entuzjastycznie. – Bardzo grzeczne – dodała, wyrywając z rąk Tosi gliniany wazon. – Czekamy na ciebie.

– Chcę do domu! – krzyknęła Tosia.

Ada rozłączyła się pospiesznie. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się bez ruchu w pięciolatkę chłodnym, przenikliwym spojrzeniem. Po policzkach dziewczynki zaczęły płynąć łzy.

– Nie płacz. – Pogłaskała ją sztywno po ramieniu. – Tylko mi się tu nie rozklejaj. Chcesz jeszcze bardziej przestraszyć kota? Zobacz, co narobiłaś!

Tosia zachłysnęła się i skurczyła w sobie. Filip-Oleńka nie przestawał prychać. Ada spróbowała zdjąć go z półki, ale zwierzątko fuknęło groźnie i uderzyło ją rozczapierzoną łapką. Westchnęła i ponownie wyjęła komórkę.

– Czekajcie, zaraz coś zorganizujemy – powiedziała, wybierając numer. – Musimy coś wymyślić. Tę sytuację trzeba natychmiast opanować – dodała zdecydowanie. – Dagmara? Jesteś zajęta? – jęknęła do słuchawki. – Bo widzisz, mam wielką prośbę…

Pół godziny później po raz kolejny gratulowała sobie znajomości z sekretarką. Jej wizyta rozwiązała problem. Hania zdjęła botki i dała się usadzić wraz z Tosią przed komputerem. Dziewczynki dostały sok jabłkowy, kanapki i fistaszki w skorupkach. Ada obrzuciła niechętnym wzrokiem miskę z orzeszkami.

– Czy one przypadkiem nie nabrudzą? – zapytała ściszonym głosem.

– Nabrudzą – przytaknęła beztrosko Dagmara, włączając płytę z kreskówkami. – Posprzątasz później. Widzisz, jak to dobrze, że mieszkam blisko – ciągnęła wesoło, idąc za Adą do kuchni – i że miałam w domu te wszystkie płyty DVD. Trochę to dziecinne – dodała speszona – ale muszę ci powiedzieć w sekrecie, że uwielbiam filmy rysunkowe. Wszystkie. Te stare polskie i czeskie… Pamiętasz Reksia? Albo Żwirka i Muchomorka? To była taka dziwna bajka…

– Nie – ucięła krótko Ada. – Napijesz się herbaty?

– A Krecika? Wszyscy kochają Krecika! „Oj… No neee…” – Ściągnęła wargi w zatroskany ryjek.

– Zieloną czy czarną?

– Czarną. Bo akurat za Bolkiem i Lolkiem zasadniczo nie przepadałam – ciągnęła sekretarka, poprawiając fryzurę. – To mnie ogólnie nudziło. Za to Colargola się bałam. Dziękuję. – Odebrała filiżankę. – Ale ja jak zwykle za dużo mówię… – Urwała, widząc ponure spojrzenie Ady. – Nie chcę cię zanudzać…

Siedziała z nogą założoną na nogę, przybrana w róże, żółcie i niebieskości, wesoła, rozedrgana, nieskończenie męcząca. Wystarczy, że się do niej uśmiechnę, wystarczy, że na jedną chwilę, na mgnienie oka skrócę dzielący nas dystans, a nigdy już nie będę mogła się od niej uwolnić, pomyślała Ada, opuszczając wzrok i zastanawiając się jednocześnie nad dziwną bezwładnością własnej ręki leżącej na blacie. Mogłabym ją odtrącić. Tak jak odtrącają ją wszyscy. Co z tego, że mi pomaga? Przez całe życie ludzie ją wykorzystują, szturchają, ośmieszają, a ona za każdym razem podnosi się i uśmiecha zaskoczona, zdezorientowana, jak niedorozwinięte dziecko, które nie zdążyło zauważyć albo zrozumieć, że właśnie ktoś je uderzył.

– Nie nudzisz mnie – powiedziała. – Naprawdę nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Poradziłaś sobie z dziewczynkami w pięć minut…

Na twarzy Dagmary pojawił się natychmiast szczęśliwy, ciepły uśmiech.

– Już ci mówiłam, lubię dzieci. Dawno bym miała własne, gdyby nie to, że stary jeździ na tirach, nigdy go w domu nie ma. Taka robota…

Westchnęła i sięgnęła przez blat po cukierniczkę. Luźny muślinowy materiał zaczepił się o wystającą drzazgę i na krótką chwilę odsłonił nagi skrawek pleców. Dagmara drgnęła i natychmiast obciągnęła bluzkę. Ada zastygła bez ruchu z uniesioną do ust filiżanką.

– Ładną masz zastawę. – Dagmara zamieszała herbatę i odłożyła łyżeczkę na spodek. – Musisz mi koniecznie powiedzieć, gdzie ją kupiłaś. Teraz jak oficjalnie zostałyśmy sąsiadkami, będziemy się przecież zasadniczo widywać po pracy. Gdy skończycie z tą sprawą, może pojedziemy razem na zakupy? Chętnie bym wpadła do IKEA albo…

– Dagmara – przerwała ostro Ada – co to było?

Sekretarka uniosła ze zdziwieniem brwi.

– Nie rozumiem – szepnęła zmieszana.

Ada błyskawicznie podciągnęła jej bluzkę, odsłaniając ogromny krwawy ślad. Dagmara pisnęła i odskoczyła do tyłu jak spłoszone zwierzątko.

– Kto cię tak urządził? – syknęła Ada. – Powiedz mi: kto to zrobił?

Wiedziała, że Dagmara nie odpowie. Skuliła się w kącie kuchni, zaciskając pięści. Ada nie potrzebowała zresztą żadnych wyjaśnień. W momencie, w którym zobaczyła krwiak, przed oczami stanęła jej scena z poprzedniego tygodnia: mokry plac Bankowy, zziębnięte gołębie stłoczone na gzymsach, przystanek tramwajowy i turkusowy płaszcz Dagmary. Miała przecież zapytać o jej towarzysza. Nie widziała go dobrze.

Sawicki docisnął gaz i przemknęli obok tak szybko, że w pamięci pozostała jej nie tyle postać mężczyzny, ile brutalny, nieznoszący sprzeciwu gest, jakim schwycił sekretarkę za łokieć. Ogarnęło ją wtedy niepojęte, dręczące uczucie niepokoju. Dopiero teraz zrozumiała, kogo tak naprawdę widziała. Drobne, na pozór niepowiązane fakty złożyły się w jej umyśle w logiczną całość.

– Posłuchaj – powiedział miękko, podnosząc się z krzesła i idąc powoli w jej kierunku. – Nie musisz się obawiać. Obiecuję, nikomu nie powiem, nie zrobię nic bez twojej zgody, ale my dwie – wyciągnęła delikatnie rękę – my dwie musimy porozmawiać…

49

Sawicki odebrał dzieci dopiero o drugiej po południu. Jakub Orłowski wrócił z hurtowni po dwunastej, rozmowa z nim i panią Małgorzatą zajęła ponad godzinę. Potem jak najszybciej pojechał na Żoliborz. Wbrew obawom zastał dziewczynki zadowolone i otoczone opieką. Siedziały na podłodze w dużym pokoju, jadły obrane, pokrojone w ćwiartki jabłka i grały z panią Dagmarą w chińczyka. Zgromadził sporo interesujących informacji w czasie spotkania z rodzicami Magdy, ale postanowił poczekać ze sprawozdaniem na spokojniejszy moment. Umówił się z Adą o szóstej w Pałacu Mostowskich. Potem podziękował sekretarce, spakował porozrzucane kredki do różowej walizeczki i zabrał córki na obiecane hamburgery. Po obiedzie poszli na lody i krótki spacer po Starym Mieście. Sawicki wypił dwa piwa i nastrój mu się poprawił. Kiedy jednak dwadzieścia po piątej odprowadzał dzieci do domu, niosąc kupione po drodze kauczukowe piłeczki i wypełnione helem baloniki, czuł się jak niedzielny ojciec, a wisząca nad nim niejasna do tej pory i odległa groźba rozwodu przybrała wyraziste, jak najbardziej realne kształty. Nie wszedł do mieszkania. Na widok Olgi zmieszał się i cofnął o dwa kroki.

– Dziewczynki już jadły – wymamrotał w progu i bez pożegnania zbiegł na dół.

Przystanął przed klatką schodową. Zdziwiła go panująca na dworze cisza. Świat spowijał półmrok, mglisty i uparty, jakby zima była jedyną

porą roku. Jakby wilgoć, dojmujący chłód i ciemności miały się nigdy nie skończyć. Rzeczywistość zazgrzytała niczym zepsuty mechanizm i stanęła w miejscu, a on zastygł wraz z nią, mając nadzieję, że nigdy więcej się już nie poruszy. Czuł się stary, wysuszony wiekiem i całkowicie bezsilny. Zamknął oczy. Ogarnęły go ciemność i bezgraniczne przygnębienie. A potem usłyszał, jak tuż obok przejeżdża samochód. Świat ocknął się z zamyślenia. Sawicki uniósł powieki. Właśnie zabłysły latarnie i wypełniły zamarznięte kałuże srebrnym światłem. Na trawnik przed blokiem wylegli spacerowicze z psami. Stróż parkingowy wyszedł ze swojej budki i przeciągnął się leniwie. Sawicki poczuł ostry ból w klatce piersiowej. Oddychając ciężko, sięgnął do kieszeni. Wyjął xanax, łyknął pastylkę i stał oparty o poręcz schodów, czekając, aż lekarstwo zadziała. Z nieba padały ciężkie, spuchnięte płatki, które topniały natychmiast po zetknięciu z ziemią. Między samochodami skakała sroka. Z dzioba zwisał jej kłaczek wełny albo kawałek nitki. Uśmiechnął się do ptaka i zapalił papierosa. Wypełnił go sztuczny, chemiczny spokój. Mógł wracać do pracy.

Do Pałacu Mostowskich dotarł przed Adą. W pokoju było zimno. Z parapetu kapała woda. Na szarej wykładzinie rozlała się ciemna plama. Wychodząc, zapomnieli zamknąć okno. Zaparzył kawę i wyjął notatki sporządzone w czasie rozmowy z Jakubem Orłowskim. Przeczucie, które od dawna mówiło mu, że między zaginięciem Magdy a zabójstwem Zofii zachodzi niejasny związek, teraz zmieniło się w pewność. Czarnym flamastrem podkreślił kilka uwag. Gdybym normalnie pracował od samego początku śledztwa, pomyślał z żalem, gdybym zamiast walczyć z Adą i bezustannie jej zaprzeczać, zauważał fakty, wyciągał wnioski i postępował zgodnie z tym, co podsuwał zdrowy rozsądek, już dawno zamknęlibyśmy sprawę. Odepchnął od siebie notes. Nie chciał łykać kolejnej pigułki, ale

wyjął z kieszeni batonik. Cukier działał kojąco. Odgryzł spory kawałek i przymknął oczy. W tym samym momencie trzasnęły drzwi.

– I czego się dowiedziałeś? – spytała Ada, rozpinając płaszcz.

Sawicki przełknął.

– Dziwnie to wygląda – odpowiedział.

Ada położyła czapkę na półce.

– Orłowscy rozpoznali głos Magdy w telefonie Zofii, nie mieli żadnych wątpliwości – mówił, zawijając prędko niedojedzony baton w papierek.

Ada znieruchomiała.

– Tego się spodziewaliśmy. – Westchnęła. – Nadal istnieje szansa, że Zofia i Magda po prostu się kolegowały. Zofia zginęła, a Magda, nic o tym nie wiedząc, zaplanowała wakacje. Wysłała przecież do rodziców pocztówkę… – Ada mówiła spokojnym, wyważonym tonem, jak zawsze przenikliwa, rzeczowa i opanowana. Jej głos działał na Sawickiego kojąco. Przetarł oczy i rozprostował plecy.

– Obawiam się, że nie możemy przyjąć takiej hipotezy. Widzisz, młoda Orłowska rzeczywiście napisała kartkę – ciągnął, podczas gdy Ada wyjmowała z szafy kubek i pudełko z herbatą. – Jakub i jego żona bardzo się uspokoili. Pismo się zgadza. No i dziewczyna prosi w postscriptum, żeby wytargali za bródkę Szantiego. Szanti to ich pies, sznaucer, Magda podobno tak właśnie się do niego zwraca: „Chodź, wytargam cię za bródkę” – zacytował.

– Ciekawe. – Ada zmarszczyła czoło. – Jakby starała się przekonać rodziców, że to ona napisała kartkę. Dlaczego więc nie wysłała maila z prywatnego konta?

– Właśnie – przytaknął. – Co dziwniejsze, na pocztówce nie ma zdjęcia, które sugerowałoby, z jakiego miasta albo części kraju została wysłana, tylko bukiet róż z napisem: „Wszystkiego najlepszego”. Nie ma też stempla

pocztowego – dodał. – Wygląda na to, że Magda albo ktoś inny wrzucił kartkę bezpośrednio do skrzynki Orłowskich…

– Mówili coś jeszcze? – zapytała, nim usiadła. – Jakieś zmiany w zachowaniu córki? Jakiekolwiek powiązania, odniesienia do naszego śledztwa?

– Owszem. – Sawicki poklepał się po kieszeni i wyjął pustą paczkę chesterfieldów. – I owszem, Magda od dwóch lat należy do Ruchu Dzieci Niepokalanej.

Ada uniosła brew.

– Nie doceniłem jej matki – podjął, gniotąc pudełko. – W pierwszym momencie wydawała się histeryczna i niezrównoważona, ale jest przenikliwa i dobrze zna własną córkę. Twierdzi, że Magda była zawsze bardzo religijna. Od liceum angażowała się w ruchy katolickie, należała do Oazy i Neokatechumenatu, dwa lata temu pojechała na rekolekcje Dzieci Niepokalanej. Podobno wróciła zauroczona. Od tamtej pory co piątek uczestniczyła w specjalnych mszach i spotkaniach, przydzielono jej prywatnego spowiednika. Panią Małgorzatę martwiło zbyt duże zaangażowanie córki. Magda zerwała znajomość ze wszystkimi starymi przyjaciółmi. Po jakimś czasie rodzice odkryli, że płaci dziesięcinę na rzecz ruchu.

– Mów dalej, słucham uważnie – zapewniła Ada.

– Od tego momentu zaczynają się spekulacje – ciągnął. – Zarówno Jakub, jak i jego żona uważają, że coś nieprzyjemnego zdarzyło się między Magdą a jej spowiednikiem. Pani Orłowska podejrzewa wręcz, iż zażądano od córki, aby zerwała kontakty z rodziną, ale nie ma żadnych dowodów na poparcie własnych słów. W każdym razie Magda odeszła z ruchu albo została z niego usunięta. Przez wiele miesięcy czuła się bardzo samotna, bo wcześniej skutecznie odstraszyła wszystkich znajomych. Popadła w apatię,

jej przygnębienie coraz bardziej rosło, aż trzy miesiące temu oświadczyła rodzicom, iż nieporozumienie zostało wyjaśnione.

– Nieporozumienie?

– Tak się wyraziła.

– Wróciła do sekty?

– Tak. Od razu zaczęła jeździć na spotkania. Podobno widywała się ze spowiednikiem kilka razy w tygodniu.

Sawicki obrócił w palcach flamaster.

– Trzy miesiące temu – powtórzył. – Właśnie wtedy Karol pokłócił się z Zofią. To kolejny dziwny zbieg okoliczności. Nie powinniśmy go ignorować.

Ada skinęła głową.

– Coś jeszcze?

– Niewiele. Tyle tylko że Magda odzyskała energię, choć pani Małgorzata twierdzi, że zrobiła się nerwowa. A Jakub uważa, że żona przesadza. Odprowadzając mnie do samochodu, przyznał, że miewała paranoiczne lęki związane z Ruchem Dzieci Niepokalanej.

Ada zalała herbatę.

– Powinniśmy jak najszybciej znaleźć Magdę – powiedziała stanowczo. – Obawiam się, że lęki Małgorzaty Orłowskiej są jak najbardziej uzasadnione. Ta dziewczyna może stanowić klucz do wyjaśnienia sprawy.

– Dzwoniłem kilkakrotnie do Modzelewskiego. Potrzebujemy nakazu rewizji, żeby obejrzeć mieszkanie Magdy. Ale ten idiota nie odbiera. Nagrałem wiadomość na sekretarkę, musimy jednak grzecznie poczekać. – Sawicki zgrzytnął zębami. – W każdym razie – dodał nieco swobodniejszym tonem – w każdym razie pomyślałem, żeby zajrzeć dziś wieczorem na Ursynów i porozmawiać z panem Czarnotą. Możemy powiedzieć, że znaleźliśmy jego adres w notatkach Wagner i chcemy się

dowiedzieć, dlaczego go zapisała. A przy okazji przyjrzymy się bliżej Matce Boskiej z łysiną. Co o tym myślisz?

– Może czas porządnie przycisnąć Karola? Pokazać mu maile Zofii, zażądać wyjaśnień i próbki DNA do ustalenia ojcostwa?

– Poczekaj. – Sawicki wykonał gest, jakby próbował ją powstrzymać. – Nie straszmy go jeszcze przez chwilę. Zbierzmy trochę informacji. Dziś odwiedzimy gniazdo sekty, jutro trzeba popytać sprzedawców w sklepie AM-NAT. Pogadamy z psychologiem Wagner i po południu odezwiemy się do Zalewskiego. Warto przygotować się solidnie do tej rozmowy.

Ulica Pawlaczyka okazała się niewielkim zaułkiem, wzdłuż którego stały dwupiętrowe segmenty, jedne z tych, które pod koniec lat dziewięćdziesiątych wyrosły nielegalnie na skarpie warszawskiej i mimo protestów ekologów pozostały na niej, szpecąc krajobraz i powodując powolne, acz nieubłagane osuwanie gruntu. Sawicki zaparkował przed ogrodzeniem z metalowych sztachet. Ada wysiadła z samochodu i rozejrzała się ciekawie. Dom numer piętnaście wyglądał całkiem normalnie: malowane na biało drzwi garażu, rząd iglastych krzewów wzdłuż betonowego podjazdu, okryte folią deski w rogu trawnika. Kiedy nacisnęła guzik domofonu, z rosnącej przy furtce tui poderwało się stadko wron. Ptaki najwyraźniej postanowiły tu nocować. Głośny dzwonek spłoszył je i zdezorientował. Krocząc, zatoczyły obłąkańczy krąg tuż nad ich głowami. Ada poczuła na policzku muśnięcie skrzydła i cofnęła się odruchowo, uderzając boleśnie stopą o wystającą płytę chodnikową. W tym momencie zabzyczał domofon. Furtka odskoczyła. Sawicki ruszył pierwszy w stronę kamiennych schodków. W drzwiach domu stanął mężczyzna ubrany w sutannę. Miał szczupłą twarz o wyrazistych rysach: kościsty nos, wypukłe czoło i blade, szerokie usta.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powitał ich.

– Na wieki wieków – odpowiedział Sawicki.

– Dzień dobry, komisarz Adela Rochniewicz, Komenda Stołeczna Policji. – Ada wyciągnęła dłoń, która na kilka sekund zawisła w powietrzu, nim ksiądz zdecydował się ją uścisnąć. – Chcemy rozmawiać z panem Stanisławem Czarnotą.

Mężczyzna postąpił krok do tyłu, tarasując wejście.

– Musiałbym się dowiedzieć, czy to w tej chwili możliwe… Szkoda, że państwo nie uprzedzili o wizycie. Pan Stanisław jest bardzo zajętym człowiekiem.

– Nie prosimy o audiencję – zdenerwował się Sawicki. – Chcemy zadać kilka pytań w związku ze śledztwem, które prowadzimy.

– Oczywiście, rozumiem – odpowiedział, kiwając z powagą głową, nadal jednak nie ruszył się z miejsca. – Pan Czarnota spędza dziś wieczorem czas na modlitwie, wolałbym nie przeszkadzać. Czy jutro rano, ewentualnie…

– Proszę mu natychmiast powiedzieć, że czekamy – przerwał Sawicki ostrym, nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Dobrze. – Ksiądz uśmiechnął się uprzejmie. – W takim razie dam mu znać.

Nim zdążyli się zorientować, zniknął za zamkniętymi drzwiami.

– Widziałaś?! – Sawicki kopnął leżący na podeście kamyk. – Co on sobie wyobraża?

Ada nie odpowiedziała. Wpatrywała się w gipsową, podświetlaną figurę Maryi stojącą w jednym z okien. Po kilku minutach ponownie zgrzytnął zamek.

– Pan Czarnota zgodził się porozmawiać. – Kapłan skłonił głowę i zaprosił ich do środka.

Zachowywał się z ostentacyjną uprzejmością. Na jego twarzy malowało się coś, co można by nazwać mieszaniną cierpliwej łagodności i wyniosłości. Ada zmrużyła oczy.

– Mieszka pan tutaj? – zagaiła, przekraczając próg.

– Czasami. Jeśli jestem potrzebny – padła enigmatyczna odpowiedź.

– A obowiązki parafialne?

Ksiądz uśmiechnął się przelotnie.

– Proszę usiąść i chwilę poczekać.

Znajdowali się w obszernym holu, który wystrojem przypominał poczekalnię w gabinecie lekarskim. Wzdłuż nagich ścian stały twarde drewniane krzesła. Jedyną ozdobę stanowił duży mosiężny krzyż. W kącie na stoliku leżało kilka książek i stos broszurek. *Zawierzyć Matce*, *Bóg wzywa grzeszników*, przeczytała Ada dwa pierwsze tytuły. Usiedli. Nie umiała określić, jak długo czekali. Czas pełzał ślepy i zagubiony po kamiennej posadzce. Myśli wymknęły się spod kontroli i biegły swobodnie od skojarzenia do skojarzenia: Zofia, Karol, Maryja, mężczyzna przebrany za kobietę, królowa matka z łysiną… Wokół panowała cisza. Nie usłyszała zbliżających się kroków, w pewnym momencie odczuła jednak wyraźnie czyjąś obecność. Ktoś się jej przyglądał. Odwróciła głowę i zauważyła przygarbioną sylwetkę schowaną w cieniu schodów. Ksiądz. Inny. Zdecydowanie wyższy od tego, który otworzył im drzwi. Starszy, oceniła. Nie potrafiła dojrzeć twarzy, ale wiedziała, że śledzi ją czujne, skupione spojrzenie. Odpowiedziała na nie. Postać drgnęła i wychynęła z cienia.

– Tomasz Gdański? – zapytała.

Ksiądz uśmiechnął się ciepło. Miał gęste, nietknięte siwizną włosy i miękką, kobiecą urodę. Naznaczona łagodnym zmęczeniem twarz budziła zaufanie. Adę zaskoczył spokój bijący od ciemno ubranej postaci. Poprzedniego dnia obejrzała zdjęcia profesora Gdańskiego zamieszczone na

oficjalnej stronie Dzieci Niepokalanej – wyglądał na nich zdecydowanie bardziej surowo niż w rzeczywistości.

– Pani mnie zna? – zapytał ze zdziwieniem.

– Komisarz Adela Rochniewicz. – Wyciągnęła rękę. – A to Marcin Sawicki, mój partner. Chcemy się widzieć z panem Czarnotą.

Tomasz Gdański serdecznie uścisnął jej dłoń.

– Oczywiście. Ale on jest akurat w tej chwili bardzo zajęty…

– Jego prywatne zajęcia nas nie interesują. Prowadzimy śledztwo i musimy z nim porozmawiać – przerwał Sawicki.

– Stanisław Czarnota nie ma żadnego obowiązku rozmawiać z państwem.

Adzie wydało się nagle, że widzi w oczach Gdańskiego zimny błysk.

– Nie ma – zgodziła się pospiesznie. – Liczymy jednak, że nam pomoże. Chcemy zadać mu kilka pytań – ciągnęła grzecznie. – Prowadzimy sprawę morderstwa niejakiej Zofii Wagner. To rutynowe przesłuchanie, ale możemy oczywiście wrócić jutro rano z nakazem i odbyć je na komendzie – dodała niewinnie.

Ksiądz odwrócił głowę, oczy na powrót mu zmatowiały, a twarz nie wyrażała nic poza łagodnością.

– W takim razie bardzo proszę o chwilę cierpliwości – powiedział. – Napiją się państwo czegoś? Kawy? Herbaty?

– Nie trzeba. Dziękujemy. – Sawicki ponownie usiadł na krześle.

Ojciec Gdański odszedł. Zostali sami. Ada oparła skroń o ścianę. Wdychała zapach kwiatów, który unosił się w powietrzu jak w cmentarnej kaplicy. Atmosfera domu źle na nią działała. Zapadła się w sobie. Na zewnątrz ciała rozwarła się chłodna przepaść. Widocznie w tej właśnie chwili gęste chmury rozstąpiły się na krótki moment, bo przez okno nad drzwiami wejściowymi wpadły drobne, migotliwe blaski i rozświetliły

półmrok w holu niby połyskliwe rybki mknące pod powierzchnią oceanu. A potem przygasły i zniknęły. Ada z trudem zaczerpnęła powietrza. Zapach kwiatów przyprawiał o zawrót głowy. Usta wypełniała woda. Niewidzialna siła wciągała ją w morską głębinę. Wiedziała, że blednie, że traci kontakt z rzeczywistością. Nie chciała znowu przestraszyć Sawickiego. Ten jednak był zbyt zirytowany, żeby zwracać uwagę na to, co się z nią dzieje. Po kilku minutach wstał i zaczął przemierzać hol rozkołysanym krokiem.

– Ile mamy tu jeszcze siedzieć? Co oni wyrabiają w tym cholernym domu?

Otrzeźwił ją ruch i głośno wypowiedziane słowa. Woda opadła. Krtań znowu wypełniło powietrze. Zawroty głowy ustały. W tym samym momencie usłyszeli skrzypienie podłogi na piętrze, a potem lekkie kroki na schodach.

– Jeszcze raz przepraszam za zwłokę i zapraszam na górę. – Ojciec Gdański zszedł do holu i uśmiechał się do nich życzliwie.

Znaleźli się w części domu przypominającej zwykłe mieszkanie. Na ścianie wisiały kolorowe akwarelki, posadzkę okrywał miękki chodnik. Ksiądz pchnął drzwi po lewej stronie. W niewielkim, wyłożonym boazerią pokoju stały trzy fotele i niska ława. Sufit schodził skosem do samej podłogi.

– Proszę usiąść. Pan Czarnota zaraz przyjdzie.

Na parapecie stała niedopita herbata. Szyba nad szklanką zaparowała. Ktoś był tu przed chwilą i wyszedł w pośpiechu. Ada nie miała wątpliwości, że odgrywa się na ich użytek przedstawienie. Sawicki rzucił jej zdumione spojrzenie, nie zdążyli jednak zamienić ani słowa, bo w tym momencie w drzwiach pojawił się średniego wzrostu mężczyzna o zaczerwienionych gładkich policzkach. Całkowicie białe włosy okalały

wianuszkiem sporych rozmiarów łysinę. Miał intensywnie niebieskie tęczówki i równie ciepły uśmiech jak ojciec Gdański.

– Dzień dobry. Chcieli się państwo ze mną widzieć?

– Komisarz Marcin Sawicki i komisarz Adela Rochniewicz, Komenda Stołeczna Policji, Wydział do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw – wyrecytował Sawicki.

Stanisław Czarnota uścisnął mu dłoń.

– A więc – mężczyzna usiadł i poprosił gestem, żeby zrobili to samo – czym mogę służyć?

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa niejakiej Zofii Wagner. Chcemy zadać kilka pytań.

– W takim razie nie na wiele się przydam. – Rozłożył bezradnie ręce. – W zasadzie jej nie znałem.

– To dziwne – zripostował natychmiast Sawicki. – Bo ona najwyraźniej znała pana. Znaleźliśmy w jej notatkach tutejszy adres. Obok napisała: „Odwiedzić po pierwszym marca” – skłamał. – Liczymy na szczere odpowiedzi – dodał szorstko.

Ada milczała. Na razie postanowiła nie włączać się do rozmowy.

– Odpowiedź jest jak najbardziej szczera – odrzekł spokojnie Czarnota. – Nie mam pojęcia, dlaczego zanotowała mój adres. Mogę tylko zapewnić, że nigdy się z nią nie kontaktowałem. – Błękitne oczy patrzyły na nich bystro spod wspaniałych krzaczastych brwi. – Niemniej – ciągnął spokojnie – ze względu na działalność, jaką prowadzę, sporo osób się ze mną umawia. Nie wszystkie pamiętam.

– Co za osoby tu przychodzą i jaki interes mają do pana? – zapytał ostro Sawicki.

– Zwykli ludzie – odpowiedział z rozbrajającą prostotą. – Katolicy.

– Związani z Ruchem Dzieci Niepokalanej?

– Zgadza się.

– I pan temu ruchowi przewodniczy?

– Nie przewodniczę. Należę do niego. To prywatne stowarzyszenie duchownych i świeckich. Nie ma wśród nas ważniejszych ani mniej ważnych członków. Wszyscy jesteśmy równi.

– Czy to stowarzyszenie działa legalnie? – nie poddawał się Sawicki.

– Jak najbardziej. Działamy w oparciu o Kodeks Prawa Kanonicznego, ale przestrzegamy też stosownych przepisów świeckich. Na naszej stronie internetowej znajdzie pan tekst uchwały i kopię statutu.

– Proszę pana – Sawicki poruszył się w fotelu – wiemy doskonale, kim pan jest. W ciągu ostatnich dni opowiedziano nam sporo o… ruchu. Nie mam pojęcia, jak zapatruje się na tę sprawę Kościół katolicki, ale mnie osobiście nie przekonuje pomysł na kolejne wcielenie Matki Boskiej.

Jeśli chciał wyprowadzić rozmówcę z równowagi, próba zakończyła się fiaskiem.

– Ludzie gadają głupstwa. – Czarnota roześmiał się najzupełniej szczerze. – Słyszałem plotki o moim charyzmacie, ale ja sam nic na ten temat nie wiem. Związałem się z Ruchem ponad dwadzieścia lat temu, od tego czasu poświęcam życie modlitwie. Osoby, z którymi się spotykam, przychodzą do mnie po poradę duchową.

– I pan im pomaga?

– Nie zawsze potrafię – odpowiedział poważnie, ignorując sarkazm w głosie Sawickiego. – Ale wierzę, że na tym polega moja misja na ziemi, na rozmowie i niesieniu wsparcia. Nikomu go nie odmawiam.

Z wyjątkiem policji, pomyślała Ada.

– Zofia Wagner była narzeczoną jednego z członków ruchu, Karola Zalewskiego – podjął Sawicki. – Zna go pan?

– Jak najbardziej – przyznał. – Karol to niezwykle mądry i uduchowiony młody człowiek. Często się widujemy.

– I nie słyszał pan o śmierci jego narzeczonej?

– Byłej narzeczonej – sprostował Czarnota. – Oczywiście, słyszałem. To tragiczna historia. Ale Karol rozstał się z tą kobietą dawno temu. Wstąpił do seminarium. Ich drogi się rozeszły.

– Karol zerwał z Zofią tuż przed ślubem. O takich sprawach nie zapomina się w ciągu kilku miesięcy.

– Rozmawiamy głównie na tematy religijne, czytamy Pismo Święte. Karol zostawia osobiste problemy za drzwiami tego domu. Wiele osób myli księży i przewodników duchowych z terapeutami. Nie prowadzę gabinetu psychoanalizy. Jakkolwiek dziwnie to brzmi w dzisiejszych czasach, skupiamy się tu na modlitwie i kontakcie z Bogiem. Dążymy do świętości poprzez proces ciągłego nawracania. Przewodnictwo duchowe to jeden z ważnych elementów Ruchu. Polega na udzielaniu wskazówek na drodze do osiągnięcia prawdziwej wiary, a nie na próbach leczenia ułomnych ze swej natury relacji ludzkich. Ziemskie sprawy nie są dla nas istotne – zakończył Czarnota i oparł splecione dłonie na kolanach.

Sawicki milczał. Ada uznała, że powinna przejąć inicjatywę.

– Nigdy nie spotkał pan Zofii Wagner?

– Owszem. Dwa… może trzy razy. Ale widziałem ją tylko przelotnie, w czasie mszy. Przy okazji Wielkanocy czy Bożego Narodzenia. Wiem, że Karol bezskutecznie próbował ją przekonać, żeby wstąpiła do Ruchu. Trzymała się z boku. Odpowiadała jej bardziej tradycyjna forma religijności.

Odniosła wrażenie, że słyszy w jego głosie tłumione echo pogardy albo źle skrywaną kpinę, lecz oczy Czarnoty pozostały skupione i poważne.

– Rozumiem – podjęła. – Czy rozpoznałby pan jej twarz?

– Sądzę, że tak.

– A jednak wspominał pan, iż mógł przeoczyć spotkanie z Zofią?

– Proszę nie przeinaczać moich słów – zaoponował grzecznie, ale zdecydowanie. – Powiedziałem tylko, że nie pamiętam wszystkich, którzy do mnie przychodzą. Nie wspominałem o Zofii. Pani wybaczy, ale nie do końca rozumiem, na co mógłbym przydać się policji. Ostatni raz widziałem Zofię Wagner dwa lata temu. Nie mam pojęcia, dlaczego zapisała mój adres. Karol rzadko o niej wspomina, jestem jednak pewien, że chętnie odpowie na wszystkie pytania i rozwieje ewentualne wątpliwości. Proszę się zwrócić do niego. Obawiam się, że marnujemy tylko cenny czas.

Ada poczuła pod językiem gorzki, piekący smak. Stanisław Czarnota rozdawał karty z pewnością wprawnego szulera, a oni nie potrafili przyłapać go na oszustwie. Umilkła, próbując sobie wyobrazić scenę, gdy przez usta tego człowieka przemawia Matka Boska, a zgromadzeni wokół wierni modlą się do niego na kolanach.

– Dziękujemy za rozmowę. – Sawicki wstał.

Ada również się podniosła. Zeszli na parter.

– Jeszcze ostatnie pytanie. – Sawicki zatrzymał się w progu. – Czy Karol Zalewski ma klucze do tego domu?

Czarnocie na moment zadrżały policzki. Zmarszczył brwi, jednak natychmiast odzyskał panowanie nad mimiką twarzy.

– Tak, od jakiegoś czasu pomaga nam w sprawach związanych z Ruchem. Często tu przychodzi. Traktujemy go jak domownika. Do widzenia – pożegnał ich zdecydowanie i zamknął drzwi.

Sawicki ruszył w kierunku furtki. Ada dotrzymywała mu kroku.

– Nie można go na niczym przyłapać – powiedziała cicho, kiedy znaleźli się na ulicy.

– Owszem – przyznał. – A jednak odniosłem wrażenie, że facet cały czas coś ukrywał. Jeśli mam rację, to dobry z niego aktor.

– Ma też świetnego reżysera.

– Słucham?

– Ojciec Gdański trzyma się z boku, ale z tego, co czytałam, wynika, że on jest założycielem ruchu, i dam sobie rękę uciąć, że właśnie on odkrył naturalny aktorski talent Czarnoty i stworzył z niego Matkę Boską.

Sawicki westchnął i wyjął kluczyki. W szarzejącym zmierzchu zamigotało pomarańczowe światło. Mgła zgęstniała tak bardzo, że ledwo dostrzegali kontury samochodu.

50

Iza czesała włosy, siedząc na wysokim taborecie. Mikołaj podążał wzrokiem za ruchem jej ręki. Było wczesne niedzielne popołudnie. Przez uchylone okno dobiegał szum samochodów, dźwięki klaksonów, odgłosy dalekich rozmów, muzyki puszczanej z tanich magnetofonów i szczekanie psów. Wszystko to zlewało się w jeden płynny, nieokreślony huk, jak stłumiony ryk uwięzionego pod ziemią potwora. Dłoń Izy opadła, spod szczotki strzeliły drobne iskierki, a długie pasma włosów jak zaczarowane uniosły się sztywno w powietrzu.

– Naelektryzowałaś się niczym Hatifnat przed burzą – powiedział.

Zatrzymała rękę.

– Chyba zdenerwowałam się wczorajszym pogrzebem. Ta policjantka… – powiedziała cicho, odkładając szczotkę. – Nie docierało do mnie wcześniej, że cały czas trwa śledztwo w sprawie morderstwa Zosi. Myślisz, że podejrzewają Karola?

– Skąd. – Starał się, aby jego głos brzmiał pewnie. – Co też przychodzi ci do głowy?

Podszedł do żony i pogłaskał ją po policzku. Spotkanie z komisarzem w spódnicy i wiadomość o ciąży Zofii na nim również wywarły wrażenie, a późniejsza rozmowa z bratem całkowicie wytrąciła go z równowagi. Kiedy Karol wybiegł z baru, Mikołaj zamówił kolejną kawę i siedział nieruchomo, starając się przemyśleć to, co usłyszał. Nie zdziwił go widok

kleryka znowu i w nadmiarze pijącego piwo. W ciągu ostatniego roku Karol zachowywał purytańską wstrzemięźliwość, wcześniej miewał jednak momenty szaleństwa i zatracenia. W takich chwilach z godną podziwu determinacją topił w alkoholu nigdy niewypowiedzianą frustrację. Nie próbował nikogo nawracać ani upominać. Nie gorszył się, nie obrażał, z niekłamaną radością brał udział nie tylko w nocnych zabawach w wąskim gronie, ale i w dużych publicznych imprezach. Raz na kilka miesięcy zmieniał wygląd, usposobienie oraz poglądy. Pił, palił jak nałogowiec i bawił się każdej nocy, żeby po kilku tygodniach powrócić cichy i pokorny na łono Kościoła i całkowicie oddać się modlitwie. Wśród bliskich towarzyszy imprezowych wędrówek Karola nikt poza Mikołajem i Izą nie zdawał sobie sprawy, jak różne role potrafił odgrywać. Izę o wiele bardziej drażniła dwulicowość szwagra niż przejawy religijnego fanatyzmu.

– Doktor Jekyll i Mr Hyde – mówiła. – On jest po prostu próżny. Musi być zawsze w centrum uwagi, niezależnie od tego, czy znajduje się w kościele, czy w burdelu.

– Przynajmniej ma jakiś burdel – oponował Mikołaj. – Może gdzieś odreagować to całe religijne napięcie. Przecież nie robi nic złego…

– To się nazywa hipokryzja. Naprawdę tego nie widzisz? – Iza była bezwzględnie prawdomówna.

Czasem nienawidził tej cechy. On sam za każdym razem traktował Karola najzupełniej serio, zmieniając do niego stosunek w zależności od sytuacji i miejsca, w jakim się spotykali. W głębi duszy uważał, że podwójna osobowość czyni zeń człowieka niezwykle interesującego. Ale kim Karol był naprawdę? Na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć. „Nic już nie stoi mi na drodze”, przypomniał sobie słowa brata i zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Ogarnął go dziwny lęk. Otrząsnął się. Zdecydowanym ruchem odsunął filiżankę. Wychodząc z baru, postanowił,

że przed powrotem do domu wstąpi do pracy, żeby wysiać bakterie potrzebne do poniedziałkowego doświadczenia.

W laboratorium okazało się, że nie ma wylanych szalek ani gotowej pożywki, która stała zwykle w litrowych kolbach na korytarzu. Nie złościł się jednak i nie klął na polski bałagan, jak to miał w zwyczaju. Cierpliwie odważył potrzebne składniki, zalał kolby wodą i zszedł do sutereny, gdzie mieściła się pożywkarnia. Dopiero kiedy nastawił sterylizację, dotarło do niego, że cały proces potrwa co najmniej dwie godziny. Autoklaw zasyczał i wypuścił kłąb pary. W głębi korytarza bzyczała żarówka w drucianej osłonie. Po prawej stronie ciągnął się rząd lodówek. Powyżej na wilgotnej ścianie rósł sporych rozmiarów grzyb. Idealna sceneria na morderstwo, pomyślał, zdejmując silikonowe rękawiczki. Zabójca czai się w ciemnościach i wyskoczy nagle z siekierą w dłoni. Nikt nie usłyszy, że krzyczę. Znajdą mnie rano, pokrojonego na kawałki i schowanego w jednej z zamrażarek, wśród transgenicznych drożdży i bakterii… Zadrżał. Ale kto miałby go zabić? Poczuł gwałtowne zawroty głowy. Kto zabił Zosię? I kto był ojcem jej dziecka? Odetchnął głęboko, próbując opanować narastające mdłości, po czym wyłączył autoklaw, włożył kurtkę i pobiegł w stronę przystanku, pozostawiwszy nieprzesiane bakterie własnemu losowi. Panicznie, rozpaczliwie bał się o młodszego brata.

W niedzielę obudził się spokojniejszy. Zjadł późne śniadanie i usiadł do komputera, żeby przejrzeć poranne wiadomości w Internecie. Nie mógł jednak skupić się na czytaniu. Lęk, który odczuwał poprzedniego wieczoru, pozostawił po sobie przykre, męczące uczucie niepokoju. Uniósł głowę i zapatrzył się w okno. Z dworu doszedł ostry dźwięk gwizdka i urywane chłopięce okrzyki. W pobliskim parku osiedlowa drużyna nastolatków rozgrywała właśnie mecz na przemarzniętym trawniku. Na klatce schodowej szczęknął zamek. Ktoś przeszedł pod drzwiami i nacisnął guzik

windy. Iza zwinęła włosy w luźny węzeł. Pachniała lawendą i prasowaną bielizną. W niewielkim zagłębieniu tuż nad obojczykiem chował się kuszący, miękki cień.

– O czym myślisz? – spytała.

– O Karolu – odpowiedział szczerze. – Mam po wyżej uszu własnej rodziny. Czasami wydaje mi się, że ich nienawidzę. A jednak w żaden sposób nie potrafię się od nich uwolnić.

51

Noc była miękka niczym wata. Ada podkradła się pod bramę. Jak kot rozpoznawała drogę po zapachach i szelestach, wyczuwając miejsca cieniste, drzewa i krzewy, w których nocowały ptaki. Mgła przesłaniała widok, tłumiła dźwięki. Uniosła głowę. Po niebie płynął tłusty, wulgarny księżyc w wianuszku postrzępionych chmur. W dole tuż nad ziemią kłębił się i przewalał w mroku wilgotny tuman. Dochodziła trzecia, jednak nie wszyscy spali. W oddali pojedyncze okna płonęły żółtym światłem. Wstrzymała oddech. Przez chwilę stała nieruchomo, po czym chwyciła się sztachet i jednym zwinnym ruchem przeskoczyła parkan. Segment numer piętnaście spowijała ciemność. Ada sunęła drobnym, sprężystym krokiem. Mgła ułatwiła jej zadanie. Po południu obejrzała uważnie podjazd oraz niewielki ganek i nie znalazła kamer ani instalacji alarmowej. Najwyraźniej mieszkańcy domu nie obawiali się włamania. Natychmiast podjęła decyzję, że wróci tu za kilka godzin. Przez jakiś czas zastanawiała się, czy nie wtajemniczyć w swój plan Sawickiego, ostatecznie postanowiła jednak działać sama. Gdyby się nie powiodło, lepiej, żeby przyłapano na przestępstwie samotną policjantkę niż dwójkę śledczych.

Wyjęła z kieszeni zestaw umocowanych na kółku cienkich blaszek i zajęła się zamkiem.

Nie sprawił większych kłopotów. Po dwóch minutach szczęknął głucho i odskoczył. Pchnęła drzwi i weszła do holu. Przez niewielki świetlik

wpadało skąpe błękitne światło. Wzdłuż ścian stały krzesła, jak wychudzone, śpiące zwierzęta. Sufit ginął w mroku. W powietrzu unosił się intensywny zapach kwiatów. Ada zadrżała, nie zatrzymała się jednak, sunęła ostrożnie w głąb mieszkania. Minęła schody. To, czego szukała, znajdowało się za drzwiami po prawej stronie. Stopy grzęzły w gęstej liliowej ciemności. Nogi zrobiły się ciężkie i niezgrabne. Ada spróbowała przyspieszyć kroku, ale nieoczekiwanie zmalała albo dom urósł i uniósł się nad nią, wyginając grzbiet na podobieństwo gotyckiej katedry. Wyciągnęła dłoń. Klamka znajdowała się zbyt wysoko. Nie mogła jej dosięgnąć. Wiedziała, że w pokoju po drugiej stronie drzwi dzieje się coś złego. Ktoś cierpiał, umierał. Jeśli się nie pospieszy, ta osoba skona. Odwróciła się w poszukiwaniu krzesła lub stołu, czegoś, na co mogłaby się wspiąć. Za jej plecami niczym kamienna czeluść rozwarło się wnętrze kościoła. Ściany pięły się w górę, związane żebrami spojeń. Po granitowych kolumnach spływały strużki wody. Ktoś mamrotał w ciemnościach. Słowa spadały na posadzkę jak zabite ćmy. Nie mogła zaczerpnąć tchu, rozchyliła wargi. Wielki kosmaty robak wpełzł do jej ust i położył się na języku. Zakrztusiła się, strąciła z twarzy łapę Filipa-Oleńki i zapaliła nocną lampkę. Kot spojrzał na nią z żalem.

– Jeszcze tylko chwila – szepnęła, drapiąc go za uchem. – Dwa, najwyżej trzy dni. To już niedługo się skończy.

52

W poniedziałek rano Sawicki miał lekkiego kaca. Poprzedniego wieczoru wypił pół butelki wina na sen. Mimo to obudził się przed szóstą. Zjawił się w komendzie o ósmej i zastał w pokoju pochyloną nad klawiaturą Adę.

– Już jesteś? – zdziwił się.

– Kończę raport. Męczę się nad nim od godziny. Musimy dobrze uzasadnić wczorajszą wizytę w sekcie. W przeciwnym razie Modzelewski się wścieknie.

Miała szarą, wymiętą twarz i zaczerwienione oczy. Ubrała się, jak na nią, wyjątkowo niedbale. Włożyła bluzę z kapturem, luźne płócienne spodnie i skórzane tenisówki. Wsunęła stopy pod krzesło i skrzyżowała kostki.

– Nie wyspałaś się?

– Nie – przyznała sucho.

– Ja też. Przeprowadziłem się do rodziców… – dodał.

Rzuciła mu uważne spojrzenie. Nie skomentowała jednak tego, co powiedział.

– Wczoraj wieczorem dzwoniłam do Anity Kalinowskiej – zmieniła temat. – Mam dobre wieści. Zula Demilowa niedługo wychodzi ze szpitala. Nie wygląda pięknie, ale nic nie zagraża jej życiu.

Sawicki z ulgą wypuścił powietrze.

– Co więcej, Madina pogodziła się z rodzicami. Asłan zaakceptował gruzińskiego narzeczonego. Sam nie chce z chłopakiem rozmawiać, ale nie zabrania córce się z nim widywać.

– Tymczasem my od dziesięciu dni kręcimy się w kółko. – Westchnął.

Ada zdjęła dłonie z klawiatury. Na jej twarzy pojawiło się coś miękkiego, co przy odrobinie dobrej woli można by nazwać wyrazem współczucia.

– Zaraz skończę pisać i zastanowimy się, co robić dalej. Oboje jesteśmy przemęczeni, ale dopadniemy drania, nie martw się – dodała pewnie.

Uśmiechnął się z wdzięcznością.

– W takim razie pisz, a ja pojadę do sklepu AM-NAT. Pokażę im zdjęcie Zalewskiego. Może ktoś go rozpozna. Po drodze wstąpię do ślusarza. Muszę dorobić klucze do mieszkania rodziców – wyjaśnił niechętnie. – Spotkajmy się w fabryce za trzy godziny. Na dwunastą umówiłem się z psychologiem Wagner. Trzeba w końcu z nim pogadać.

– Dobrze. – Ada wróciła do pracy.

Włożył kurtkę. Już w drzwiach uzmysłowił sobie, że od początku śledztwa nie wypełnił ani jednego raportu. Ada wzięła na siebie cały ciężar i nudę papierkowej roboty.

Jakaś mglista, niesprecyzowana myśl pojawiła się na dnie umysłu Ady. Próbowała ją odgonić, ale niepokojące uczucie powróciło ze zdwojoną siłą. Dopiero kiedy skończyła pisać i wydrukowała raporty, zrozumiała, co dręczy ją od jakiegoś czasu. Spojrzała na komórkę. Dochodziła dziewiąta. Kawiarnię Press Enter otwierano dopiero o dziesiątej, ale istniała szansa, że barman przychodził wcześniej. Włożyła papiery do teczki i narzuciwszy płaszcz, zbiegła na dół. Temperatura na dworze przekroczyła pięć stopni. Powietrze nabrzmiało wilgocią. Na dziedzińcu unosił się zapach ziemi

i rozmokłego tynku. Wsiadła do samochodu i ruszyła w kierunku Mokotowa. Dwadzieścia po dziewiątej zaparkowała na Puławskiej. Minęła skwerek i zatrzymała się przed drzwiami kawiarni. Wewnątrz panował całkowity bezruch. Światło było zgaszone. Krzesła leżały na stolikach odwrócone nogami do góry. Na środku stało porzucone wiadro z brudną wodą. Dopiero gdy przycisnęła twarz do szyby, w kącie, przy stojaku z gazetami, dostrzegła pochyloną postać. Zastukała.

– A, pani komisarz. – Barman odsunął zasuwkę. – Jeszcze zamknięte. – Przekrzywił głowę na prawe ramię. Na jego twarzy pojawił się chłopięcy, wesoły uśmiech. – Ale chętnie zrobię dla pani wyjątek. – Otworzył szerzej drzwi. – Zapraszam do środka. Duże latte na jednym espresso? Dobrze pamiętam?

Ada przytaknęła.

– Dziękuję – powiedziała, siadając na wysokim krześle. – Nie jadłam jeszcze śniadania…

– Zaraz, proszę zaczekać. – Barman zniknął na zapleczu.

Wrócił po kilku minutach, niosąc talerz z kanapkami.

– *Free leftovers.* – Mrugnął porozumiewawczo.

– Ale ja chętnie zapłacę. – Natychmiast wyjęła portfel.

– Są wczorajsze. – Zaśmiał się, pokazując równe, białe zęby. – Spędziły noc w lodówce, nie da się ich sprzedać, za to my mamy darmowe śniadanie. Ja też jestem głodny – dodał.

Usadowił się po drugiej stronie kontuaru, rozłożył ścierkę na kolanach i sięgnął po bagietkę z białym serem.

– Jak śledztwo? – zapytał z pełnymi ustami.

– Dobrze – odpowiedziała. – To znaczy nie za dobrze.

Znowu się roześmiał.

– Prawdę powiedziawszy, przyszłam właśnie w tej sprawie. Chciałabym o coś zapytać…

– Tak? – Podstawił filiżankę pod parujący ekspres.

– Kiedyś powiedział pan, że pamięta wszystkich gości…

– Zazwyczaj pamiętam – przyznał, podając jej kawę. – Słodzi pani?

– Trochę.

– Tam stoi cukier.

– Według naszego patologa Zofia Wagner zginęła w zeszły czwartek wieczorem – ciągnęła, sięgając po cukierniczkę. – Zastanawiałam się, czy tamtego dnia nie zauważył pan czegoś niepokojącego. Kogoś, kto pojawił się tu niespodziewanie i dziwnie się zachowywał.

Młody człowiek zerknął na nią ciekawie.

– Chodzi mi o konkretną osobę – tłumaczyła, otwierając torebkę i wyjmując z niej zdjęcie Karola Zalewskiego. – Czy widział pan tego mężczyznę?

Wziął fotografię zatłuszczonymi palcami i przyjrzał się jej z uwagą.

– Owszem – przyznał po chwili. – Pojawił się tu w czwartek późnym popołudniem. Zwróciłem na niego uwagę, bo sam wyglądał spokojnie i dość przyzwoicie, ale siedział w mało ciekawym towarzystwie. Chłopak, z którym przyszedł, był ogolony na łyso. Z plecaka wystawała mu pałka albo metalowa rurka. Tamtego dnia odbywała się prawicowa demonstracja pod pomnikiem Dmowskiego. Pamiętam, że zastanawiałem się, czy właśnie stamtąd przyszli.

– Jest pan pewien, że to on?

– Prawie… – Zawahał się. – To znaczy jestem pewien, tyle że ten ze zdjęcia wygląda jakby…

– Tak? – naciskała.

– Jakby bardziej niechlujnie… Ale to ten sam mężczyzna – dokończył zdecydowanie.

– O której stąd wyszedł?

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Na pewno przed siódmą został sam. Skinhead zapłacił i zniknął. A ten tu – wskazał brodą zdjęcie – siedział jeszcze jakiś czas, patrząc w okno. Potem wpadli moi znajomi. Zająłem się rozmową i nie zwracałem na niego uwagi.

– Bardzo mi pan pomógł. – Ada poderwała się z miejsca.

– A kawa? Niech pani poczeka! – zawołał. Sięgnął po filiżankę i przelał jej zawartość do tekturowego kubka. – Na koszt firmy.

Zawahała się.

– Proszę schować pieniądze – powiedział i nim zdążyła się zorientować, schwycił ją za łokieć. – Następnym razem pani stawia. – Zajrzał jej głęboko w oczy.

– Dobrze – zgodziła się zmieszana.

– Do zobaczenia więc! – zawołał za nią.

– Do zobaczenia – bąknęła w drzwiach.

Gdyby ten śliczny chłopiec nie był od niej młodszy o piętnaście lat, uznałaby, że dość bezczelnie stara się ją poderwać.

Sawicki wrócił do komendy przed jedenastą. Przyniósł mało zachęcające wieści: żaden ze sprzedawców w sklepie AM-NAT nie rozpoznał Karola. Czuł się przygnębiony, ale ożywił się natychmiast po wysłuchaniu relacji ze spotkania z barmanem.

– Może patrzę na całą sprawę zbyt pesymistycznie – przyznał i zatarł dłonie. – Wygląda na to, że krąg się zacieśnia.

– Jak najbardziej – zgodziła się energicznie.

– Spróbujmy poskładać wszystkie informacje, jakie udało się nam zebrać na temat Zalewskiego – ciągnął w podnieceniu. – Zerwał z Wagner jakieś półtora roku temu i wstąpił do seminarium. Nie podjął samodzielnej decyzji, tylko został zmanipulowany przez sektę…

– Fakty – przerwała Ada. – To są przypuszczenia.

– Zgadza się – mruknął. – Masz rację. A więc poszedł do seminarium, trzy miesiące temu spotkał się z Zofią. Uprawiał z nią seks – wyliczał, zginając palce prawej dłoni. – Potem doszło do kłótni. Wagner ukradła klucze. I zabrała coś, na czym zależało mu tak bardzo, że groził jej w listach.

– Co jeszcze?

– Zofia zaszła w ciążę. Poza tym wiemy, że w czwartek wieczorem, tuż przed popełnieniem morderstwa, Zalewski siedział w barze przy jej domu. I na koniec: Karol zeznał, iż ostatni raz rozmawiał z Wagner ponad rok temu. Mamy dowody, że kłamał.

– Chyba nadszedł czas, żeby zaprosić naszego kleryka do Pałacu Mostowskich na dłuższą pogawędkę – zawyrokowała Ada.

– Najwyższy czas – przyznał. – Proponuję zwinąć go zaraz po spotkaniu z psychologiem. Ubieraj się, jedziemy na Służew!

* * *

Prywatna przychodnia Extramed zajmowała cały parter bloku przy ulicy Wałbrzyskiej. Ada i Sawicki weszli do pomalowanego pastelowymi kolorami wnętrza. Na lewo od drzwi znajdowała się poczekalnia: kanapa i dwa głębokie fotele. Po ścianie piął się sztuczny bluszcz. Z umieszczonych nad oknami głośników dolatywał śpiew ptaków i szum morskich fal.

– Dzień dobry – Ada zwróciła się do recepcjonistki. – Jesteśmy umówieni z panem Gałkowskim.

Kobieta sprawdziła coś w komputerze.

– Państwo Sawiccy?

Ada nie protestowała.

– Gabinet numer trzy. W korytarzu po lewej stronie. Proszę poczekać przed drzwiami, doktor państwa zawoła.

– Doktor? Myślałam, że pan Gałkowski to psycholog.

– Nie. – Kobieta wyraźnie się zaniepokoiła. – Państwo źle się zapisali? Doktor Gałkowski jest psychiatrą. Ale mamy też bardzo dobrych terapeutów. Może… – Sięgnęła po broszurkę informacyjną.

– Nie, nie – powstrzymała ją Ada. – Zależy nam na panu Gałkowskim.

– W porządku. W takim razie poproszę jeszcze sto trzydzieści złotych.

Sawicki wyciągnął legitymację.

– Przyszliśmy tu służbowo. Gdzie ten gabinet?

Kobieta otworzyła szeroko oczy i bez słowa wskazała korytarz. Sawicki bezceremonialnie pchnął drzwi numer trzy. W środku siedział jasnowłosy mężczyzna o gładko ogolonej twarzy i ciepłym spojrzeniu.

– Komisarz Marcin Sawicki i komisarz Adela Rochniewicz, byliśmy umówieni.

– Zapraszam – powiedział, nie wstając od biurka. – Proszę usiąść. – Wskazał kanapę. – Czym mogę służyć?

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa niejakiej Zofii Wagner. Była kiedyś pańską pacjentką.

– To z panem rozmawiałem przez telefon, prawda? – lekarz zwrócił się do Sawickiego. – Przygotowałem kartę Zofii Wagner. – Sięgnął po leżący na blacie zeszyt. – Tu są notatki z naszych spotkań. Wolałbym jednak bez

nakazu ich nie udostępniać, to poufne dane. Nawet… – zawahał się – nawet jeżeli pacjentka nie żyje.

– Chcielibyśmy zadać tylko kilka pytań.

– Zatem słucham.

– Wiemy, że Zofia zgłosiła się do przychodni po tym, jak narzeczony zerwał z nią i wstąpił do seminarium – zaczęła Ada.

– Tak. – Lekarz kiwnął głową. – Przeszła załamanie nerwowe. Miała początki depresji.

– Czy mógłby pan w miarę dokładnie streścić przebieg terapii?

– Zapisałem antydepresanty. Na szczęście dość szybko zadziałały.

– Czy Wagner opowiadała panu o swoim narzeczonym?

– Oczywiście. Nie wypisuję recept bez konsultacji z pacjentem. Terapia indywidualna stanowi element leczenia.

– Co mówiła?

Doktor Gałkowski westchnął i otworzył zeszyt.

– Bardzo źle zniosła rozstanie. Była ambitna i mocno skupiona na sobie. Jak każdy egocentryk miała poważny problem z odrzuceniem. Nie potrafiła pogodzić się z odejściem tego… – przesunął palcem po notatkach – Karola.

– Może po prostu go kochała? – przerwała Ada.

– Zgadza się. – Uśmiechnął się lekko. – Ale zawiedzione uczucie stanowiło tylko element problemu. Widzi pani – oparł się wygodnie na krześle i rozprostował nogi – Zofia Wagner cierpiała na depresję reaktywną. Jak sama nazwa wskazuje, jest to schorzenie wywoływane trudnym zdarzeniem życiowym. Najczęściej utratą bliskiej osoby, nagłym zakończeniem związku. Taka dolegliwość trwa przeważnie krótko, choć jej przebieg bywa gwałtowny. Depresji, poza obniżonym nastrojem, może towarzyszyć dużo innych symptomów. W przypadku Zofii Wagner –

przewrócił stronę – odnotowałem nerwicę obsesyjno-kompulsywną. A nawet paranoiczne zaburzenia osobowości.

– Może to pan wyjaśnić?

– Oczywiście. Pani Wagner żywiła przekonanie, iż ruch katolicki, do którego należy jej narzeczony, to tak naprawdę podstępna sekta. Uważała, że został zmanipulowany i dlatego wstąpił do seminarium. W gorszych momentach twierdziła, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Całymi dniami śledziła w Internecie fora o tematyce religijnej. Doszło do tego, że zmieniała wygląd, na przykład zakładała perukę, okulary, dziwne, niepasujące do niej ubrania i jeździła na spotkania tego ruchu. Zamierzała wniknąć w jego struktury i zdemaskować urojony spisek.

Ada i Sawicki bez słowa wpatrywali się w lekarza.

– Zapisałem jej psychotropy – podjął Gałkowski – po których pani Wagner stopniowo się uspokajała. Sugerowałem, aby odcięła się na jakiś czas od wspólnych znajomych, wyrzuciła przedmioty, które mogły przypominać jej narzeczonego. To standardowa praktyka w takich wypadkach – świeży start w nowym środowisku.

– A więc zniszczyła pamiątki, zdjęcia i listy?

– Tak. Wcześniej czytała i w kółko analizowała starą korespondencję z Karolem. Nalegałem, żeby wykasowała ją ze skrzynki mailowej. Zrobiła to. Po pewnym czasie jej stan bardzo się poprawił. Skierowałem ją na terapię grupową. Spotkaliśmy się jeszcze kilka razy. Mówiła, że zaczęła pracować jako wolontariuszka w fundacji zajmującej się uchodźcami. Znalazła nowego chłopaka. Zaleciłem odstawienie leków… I to w zasadzie wszystko… – Urwał, odkładając notatki.

– Czy nie uważa pan… – zająknął się Sawicki. – Nie sądzi pan, że mogła mieć rację? Mam na myśli sektę… To znaczy ten ruch katolicki, do

którego należy jej narzeczony. Nie brał pan pod uwagę, że rzeczywiście dzieje się tam coś złego?

Lekarz spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Sekta? – Roześmiał się po chwili. – Tu, w Polsce? W Kościele katolickim? Takie historie się chyba nie zdarzają?

Cała rozmowa nie trwała dłużej niż dwadzieścia minut. Doktor Gałkowski dał im wyraźnie do zrozumienia, że jego czas jest cenny.

– Nie podoba mi się ten konował – mruknął Sawicki, wychodząc z przychodni.

Na dworze dął silny wiatr. Po wczorajszej mgle nie zostało ani śladu. Chmury uniosły się wysoko nad miastem, odsłaniając niebo. Na stojącej pod blokiem zdezelowanej ławce przycupnął szpak i energicznie czyścił ciemne piórka.

– Nawet nie zapytał, jak zginęła. – Obrócił w palcach papierosa. – Przez kilka miesięcy zwierzała mu się z najbardziej intymnych szczegółów swojego życia, a on mówił o niej z taką… – próbował zapalić, ale gwałtowny podmuch natychmiast zgasił płomyk – z taką obojętnością… Kurwa! – zaklął i rzucił zapałkę na chodnik.

Przestraszony szpak poderwał się z ławki.

– „Paranoiczne zaburzenia osobowości”, słyszałaś? – sarkał, próbując osłonić się od wiatru. – W ten sposób można przekonać człowieka, że jest wielbłądem. Ja pierdolę, schowajmy się gdzieś, bo nigdy nie uda mi się zapalić.

– Mamy szczęście, że Zofia nie wykasowała wszystkich maili. – Ada poszła za nim w stronę klatki schodowej. – Gdyby to zrobiła, stracilibyśmy najważniejszy ślad.

– I tak jak mówiłaś, to nie przypadek, że zachowała akurat te listy – odpowiedział przez zęby.

Zatrzymał się w załomie muru i odwrócił plecami do ulicy. W tym momencie zadzwonił telefon.

– Halo – odebrał, wypuszczając nosem kłąb dymu.

– Cześć – zachrypiał Rogowski. – Mamy breloka na Ursynowie. Chcę, żebyście tam natychmiast pojechali.

– Nie ma takiej opcji – warknął Marcin. – Wiesz dobrze, że Modzelewski siedzi nam na karku. Musimy jak najszybciej zamknąć sprawę. Działamy tylko we dwójkę, nie prosimy o pomoc, ale daj nam przynajmniej spokojnie pracować!

– Ten brelok nazywał się Zalewski – przerwał zastępca naczelnika. – Karol Zalewski. Pawlaczyka piętnaście – dodał i rozłączył się bez pożegnania.

Sawicki stał nieruchomo, wpatrując się ze zdumieniem w twarz Ady. Powoli opuścił rękę i schował komórkę do kieszeni.

– Co się stało?

– Dzwonił Róg – mówił powoli, jakby nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. – Karol Zalewski popełnił samobójstwo. Albo – dodał po chwili wahania – albo został zamordowany.

53

W ciągu dziesięciu minut dojechali na ulicę Pawlaczyka. Zastali otwartą furtkę. Ada minęła podjazd i nie oglądając się na Sawickiego, pchnęła drzwi do domu numer piętnaście. Zniknęły kolory i dźwięki, rzeczywistość osypała się przed jej oczyma jak wysuszony tynk. Szła spowolniona, nieprzytomna, oplątana snem niczym trującym bluszczem. Młody ksiądz, który przywitał ich poprzedniego dnia, zatarasował własnym ciałem wejście do wąskiego korytarza za schodami i w zdenerwowaniu próbował coś tłumaczyć. Kukiełka, pomyślała. Marionetka podczepiona do bożych palców. Odsunęła go na bok. Tym razem bez trudu dosięgła klamki. W pokoju po prawej stronie wisiał trup. I wydało jej się, że bezwładne, spotworniałe ciało wypełnia całe pomieszczenie, że puchnie, rośnie w oczach jak drożdżowe ciasto. Maleńka, podobna do ziemniaka główka kołysze się miękko, oparta o rozdętą pierś. Potem dostrzegła biurko. Z niego właśnie musiał skoczyć, kiedy zawiązał wokół szyi linę. Pod ścianą stał metalowy regał, na nim doniczka. W doniczce kwiatek. Obok regału leżało przewrócone krzesło. Na końcu odnotowała otwarte okno. I z niewiadomych przyczyn dopiero wtedy zrobiło jej się żal. Dopiero kiedy zobaczyła domy na tle brudnego nieba.

– Musimy poczekać na Modzelewskiego – odezwał się tuż przy jej uchu znajomy głos.

– Nie zdążyłam – odpowiedziała, patrząc z rozpaczą w twarz Sawickiego. – Nie zdążyłam mu pomóc.

Gdy Ada wyskoczyła z samochodu i ruszyła pędem, zawołał, ale nawet nie odwróciła głowy.

Wyłączył silnik, chwycił z przedniego siedzenia jej torebkę i zdążył wejść do domu w momencie, w którym odepchnęła roztrzęsionego księdza i zniknęła za drzwiami po prawej stronie korytarza. Poszedł za nią. Stała na środku niewielkiego pomieszczenia, wpatrzona w zwisające z sufitu ciało Karola Zalewskiego. Była blada, miała posiniałe wargi i puste, nienaturalnie rozszerzone oczy. Nie zareagowała, kiedy się do niej odezwał. Już raz widział ją w tym dziwnym lunatycznym stanie, odgrodzoną od świata, zamkniętą w szklanym kloszu. Poczuł zimny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa; przemógł narastające uczucie grozy, wyciągnął rękę i dotknął lekko jej ramienia.

– Ada… – szepnął.

Jej twarz skurczyła się boleśnie. Powiedziała coś, czego nie zrozumiał, obcym, gardłowym basem, jakby słowa ulatywały wprost z jej krtani, gdy usta pozostały zaciśnięte. Nie mógł pochwycić jej wzroku, miał wrażenie, że tysiąc nieludzkich, splątanych ze sobą wrzasków wybucha w jego głowie. A potem wszystko ucichło jak ucięte nożem.

– Ada – powtórzył.

– Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, czy to rzeczywiście samobójstwo. Mam nadzieję, że ktoś z centrali zawiadomił Zboka, wolałabym sama do niego nie dzwonić.

Przebudziła się. W jednej chwili zniknęła niezdrowa bladość, jej cera nabrała rumieńców, a głos jak zawsze brzmiał spokojnie i rzeczowo.

– Tak – odpowiedział niepewnie. – Tak, zawiadomili go…

– To dobrze. Zaczekamy tu na technicznych.

Sawicki poczuł, że się poci, że drżą mu kolana. Gwałtownie zaczerpnął tchu. Z korytarza dobiegł głuchy odgłos. Coś ciężkiego uderzyło o podłogę.

– Według mnie to ten młody ksiądz. – Wskazała głową otwarte drzwi. – Jest w kompletnym szoku. Trzeba poprosić Zboka, żeby zaaplikował mu środki uspokajające. Na pewno nie da się z nim teraz rozmawiać. Gada od rzeczy, próbował mnie zatrzymać, bredząc coś o boskim gniewie i zemście Maryi.

Sawicki powoli odzyskiwał zimną krew. Odetchnął ostrym, czystym, chłodnym powietrzem. Jestem w pracy, powiedział w myślach i poczuł, że osadza się pewniej we własnym ciele. Odsunął od siebie obawę o Adę i rozejrzał się wokół. Pokój, w którym się znaleźli, przypominał niewielkie biuro. Stało w nim tylko biurko z płyty paździerzowej, krzesło i sporych rozmiarów metalowy regał, podobny do tych, których w państwowych urzędach używa się do przechowywania teczek z dokumentami. Udało mu się wyłączyć emocje. Starał się skupić i rozumować logicznie. Co widział przed sobą? Co mówił mu ten wysprzątany pokój? Wyjął z kieszeni papierową chustkę i otworzył pierwszą szufladę. Była pusta, podobnie jak następna i trzy kolejne. Na samym dole regału znalazł sztywną kwadratową karteczkę z wydrukowaną literą „W”. Podniósł ją ostrożnie w palcach i przytknął do frontu szuflady. Mieściła się idealnie w metalowej ramce służącej do rozdzielenia przegródek. Ada obserwowała go uważnie. Uniosła lewą brew. Oboje wiedzieli, że natrafili na coś istotnego.

– Sądzę, że warto by od razu poszukać Gdańskiego i Czarnoty – powiedział, prostując plecy. – Powinniśmy odpytać ich jak najszybciej.

Skinęła potakująco.

– Nie wyszli nam na spotkanie, ale może są gdzieś w domu.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa z korytarza dobiegły pospieszne kroki.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Odwrócił się. Za jego plecami stał ojciec Gdański.

– Dzień dobry – sucho odpowiedziała Ada, nim Sawicki zdążył wyrecytować odpowiednią formułkę.

– Dzień dobry – powtórzył za nią automatycznie.

– Kto znalazł ciało? – Sawicki zadał kolejne pytanie.

Siedzieli w pokoju na poddaszu, tym samym, w którym poprzedniego dnia odbywali rozmowę z Czarnotą. Na dole pracowała ekipa techniczna. Dojechał również Zbok i z uwagą oglądał odcięte od sznura zwłoki. Sawicki prowadził przesłuchanie ojca Gdańskiego i Stanisława Czarnoty, podczas gdy Ada siedziała obok milcząca i sztywna, obserwując spod przymrużonych powiek obu mężczyzn. Tym razem role się odwróciły. Gdański przejął inicjatywę, Czarnota zaś tkwił zgarbiony w skórzanym fotelu. Jego ręce spoczywały oparte na poręczach. Oczy, wczoraj intensywnie niebieskie i uważne, dziś wyblakły i zmętniały. Od czasu do czasu zerkał nerwowo na swego towarzysza.

– Ja – odpowiedział ksiądz.

Gdański nie miał na sobie sutanny, tylko ciemny garnitur i koloratkę. Kiedy mówił, jego twarz była nieruchoma, jakby na trwałe zastygła w tym samym dobrodusznym wyrazie.

– O której? – kontynuował Sawicki.

– O jedenastej dwadzieścia pięć. Wiem dokładnie – ksiądz uprzedził następne pytanie – bo o wpół do dwunastej wszyscy zbieramy się na modlitwę. Zszedłem na dół, żeby zawołać Karola.

– I od razu zawiadomił pan… ksiądz… – poprawił się Sawicki – od razu zawiadomił ksiądz policję? Z komisariatu zadzwonili do nas całą godzinę później.

– My chcieliśmy… – wyrwało się Czarnocie, ale Gdański rzucił mu lodowate spojrzenie, więc ten natychmiast umilkł.

Nie było najmniejszych wątpliwości, który z nich dwóch kontroluje sytuację.

– Jak najszybciej – przytaknął. – Oczywiście byliśmy w szoku. Można powiedzieć, że wpadliśmy w panikę. Chwilę trwało, nim zdołaliśmy uspokoić się na tyle, by podjąć odpowiednie kroki.

– Za to teraz robi ksiądz wrażenie całkowicie opanowanego. – Sawicki śledził uważnie reakcję swego rozmówcy.

Gdański uśmiechnął się smutno.

– Zdaję sobie sprawę, że w tej sytuacji najważniejszy jest spokój. Robię, co w mojej mocy. Wezwałem policję… Zawiadomiliśmy również rodzinę – wtrącił niespodziewanie, jakby chciał, żeby ta informacja zapadła im w pamięć.

Sawicki poczuł, że siedząca obok Ada tężeje. Zaciął usta.

– Czy ksiądz lub którakolwiek z przebywających tu osób dotykała ciała albo przedmiotów znajdujących się w pokoju na dole?

– Oczywiście nie.

– Proszę nam wyjaśnić, z jakich powodów Karol Zalewski przebywał tu dziś rano. Na dodatek sam, w zamkniętym pokoju. Rozumiem, że nie przyszedł z wizytą towarzyską.

Gdański otworzył usta, ale w tym momencie Ada włączyła się do przesłuchania.

– Chciałabym usłyszeć, co ma do powiedzenia na ten temat pan Czarnota. W końcu znajdujemy się w jego domu.

– Tak… – Czarnota szarpnął brodę. – Oczywiście… Ja… To znaczy… – Spojrzał przelotnie na Gdańskiego, a potem odpowiedział już płynnie, jakby widok księdza dodał mu otuchy. – Od jakiegoś czasu Karol odwiedzał nas regularnie. Wspominałem państwu o tym. Nie wyjaśniłem tylko, że przychodził pomagać w uporządkowaniu dokumentów.

Sawicki nie miał wątpliwości, że ta odpowiedź została wcześniej dokładnie przemyślana.

– Dokumentów? Jakich dokumentów? – zdziwiła się Ada.

– Ruch Dzieci Niepokalanej to spora organizacja – wtrącił Gdański, próbując znowu usunąć swojego towarzysza w cień. – Kiedyś działaliśmy w niewielkim gronie. Wszystko odbywało się na zasadzie nieformalnych kontaktów towarzyskich. Teraz, kiedy liczba członków wzrasta z każdym dniem, potrzebowaliśmy kogoś w rodzaju sekretarza. Osoby, która zechciałaby prowadzić kalendarz, koordynować spotkania i organizować rekolekcje. Karol Zalewski podjął się tej roli.

– Pan wybaczy – Ada znowu zwróciła się do Czarnoty – ale nie zauważyłam żadnych dokumentów. Regał w pokoju na dole jest pusty.

– Zgadza się – odpowiedział nieco zbyt szybko. – Niedawno go kupiliśmy. Tak jak wspomniał ojciec Gdański, dopiero zaczynamy pracę.

– Kiedy? – wtrącił ostro Sawicki.

– Przepraszam?

– Kiedy kupił pan regał?

– W zeszłym tygodniu… – Zawahał się. – W środę… Tak, na pewno w środę.

– W takim razie chciałbym zobaczyć paragon. Mam nadzieję, że go pan zachował.

– Nie. – Czarnota uniósł ze zdumieniem brwi. – Nie mam takiego zwyczaju. Ale co to ma do rzeczy? Co regał ma wspólnego ze śmiercią

Karola?

Sawicki zmieszał się lekko. Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, a jednak czuł, że dotyka istotnego tematu. Przez chwilę panowała cisza. W końcu Ada podjęła przesłuchanie.

– Czy któryś z panów rozmawiał dziś rano z denatem?

– Tak, obaj rozmawialiśmy. Zjedliśmy wspólnie śniadanie. – Tym razem Gdański się poruszył. Westchnął głęboko i przytknął palce prawej dłoni do nasady nosa, jakby próbował powstrzymać napływające łzy.

– Czy Karol zachowywał się inaczej? Był zdenerwowany, przygnębiony? Nienaturalnie podniecony?

Obaj mężczyźni pokręcili głowami.

– Nic panowie nie zauważyli? – zdziwiła się. – Żadnej zmiany na kilka godzin przed samobójstwem?

Gdański rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Wyglądał zupełnie normalnie. Rozmawialiśmy krótko, na obojętne tematy. Mówił coś o filmie, który oglądał poprzedniego wieczoru. Jakiś dokument austriackiego reżysera… Nie pamiętam nazwiska…

– Wspominał też, że musi wyjść wczesnym popołudniem. Miał mało czasu i prosił, żeby mu nie przeszkadzać – dodał Czarnota.

– Czy w ostatnim czasie zdarzyło się coś, co mogło wytrącić Karola z równowagi? Spowodować nagłe załamanie?

– Nic po za tym, o czym wczoraj rozmawialiśmy. – Twarz Czarnoty skurczyła się lekko. – Znałem tego chłopca od kilku lat. Obserwowałem jego rozwój duchowy. Wydawało się, że w momencie wstąpienia do seminarium odnalazł właściwe miejsce w świecie… Uspokoił się, wypogodniał… Ja… – zająknął się – naprawdę nigdy bym nie przypuszczał… – Westchnął autentycznie przygnębiony.

– To dla nas kompletne zaskoczenie. Nie mamy pojęcia, dlaczego wydarzyło się tak straszne nieszczęście – dokończył Gdański.

Sawicki rzucił Adzie zrezygnowane spojrzenie.

– To na razie wszystko – zadecydowała. – Obaj panowie muszą jednak pozostać do naszej dyspozycji. Niewątpliwie będziemy mieli wiele dodatkowych pytań, kiedy dostaniemy wstępny raport patologa i informacje od pracowników technicznych.

– Oczywiście.

Policjanci wstali i ruszyli w stronę drzwi. Ada odwróciła się w progu.

– Nie wydaje się panu dziwne – zwróciła się tym razem do księdza Gdańskiego – nie zastanawia się pan, dlaczego Karol Zalewski popełnił samobójstwo w obcym domu? Akurat w tym domu? – dodała z naciskiem.

Ksiądz nabrał głęboko powietrza.

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Chociaż należy pamiętać, że Karol nie mieszkał przecież sam. Jakkolwiek zabrzmi to strasznie w tej sytuacji, prawdą jest, że taki akt jak samobójstwo wymaga prywatności, a w dormitorium o nią trudno.

I znowu Sawicki nie mógł oprzeć się wrażeniu, że pytanie zostało przewidziane, a odpowiedź na nie dokładnie przygotowana.

– Jeśli rzeczywiście mamy do czynienia z samobójstwem. – Ada uśmiechnęła się cierpko i zeszła po schodach, żeby porozmawiać ze Zbokiem.

Patolog czekał oparty o framugę drzwi. Podciągnął rękawy fartucha, odsłaniając nagie, porośnięte sztywną szczeciną przedramiona, i w skupieniu czyścił paznokcie ostrzem skalpela. Ada powstrzymała odruch obrzydzenia. Zdążyła się już zorientować, że Zbok jest dobrym fachowcem. Potrzebowała jego opinii. Zdawała sobie sprawę, że lekarz nie

przepada za Sawickim. Musiała wziąć rozmowę na siebie, jeśli chciała szybko uzyskać wstępne informacje.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się z wysiłkiem i wyciągnęła rękę.

– A, nasza śliczna pani komisarz. – Zbok uniósł górną wargę, obnażając dziąsła. Nie uścisnął jej dłoni, tylko wsunął skalpel do kieszeni i opuścił rękawy fartucha. – Czego chce?

– Czy wstępne oględziny ciała zostały zakończone? – zapytała sztywno.

– Zakończone, zakończone. A co, chciała sama obejrzeć?

– W porządku. – Ada wydobyła z kieszeni silikonowe rękawiczki i zaczęła naciągać je na dłonie. – W porządku. Chodźmy więc.

Zbok rzucił jej kose spojrzenie.

– Nie trzeba. – Splunął na podłogę. – Wiem, że nie boi się trupów. – Z niewiadomych przyczyn postanowił zwracać się do niej wyłącznie w trzeciej osobie.

Sawickiego całkowicie ignorował.

– Powiem jej wszystko, niech się nie martwi. – Wykonał zapraszający ruch głową. – Niech idzie ze mną. Sama – dodał z naciskiem, widząc, że Sawicki ma zamiar im towarzyszyć.

Policjant uniósł brwi, ale został w korytarzu. Ada weszła za patologiem do pokoju. Na podłodze leżał czarny plastikowy worek. Zbok pociągnął brutalnie za suwak, odsłaniając głowę i obnażoną szyję Karola.

– Zgon nastąpił niedawno. Dwie, najwyżej trzy godziny temu.

– Zgadza się – mruknęła.

– Na moje oko to samobójstwo. Nie potwierdzę tego bez sekcji. Muszę sprawdzić, czy rdzeń kręgowy uległ przerwaniu. Chociaż… – Zawahał się. – Sznur był za krótki. Chłopak zawiązał fachowy węzeł, ale kopnął się w obliczeniach. Widać miał trudności z matematyką. – Zaśmiał się,

szczerze ubawiony własnym dowcipem. – Ciało waży około dziewięćdziesięciu kilogramów… Potrzeba by… – zamyślił się. – Mniej więcej półtora metra – zdecydował po chwili. – Powinien skakać z mostu albo z drzewa, a nie z biurka. Śmierć nastąpiła najprawdopodobniej w wyniku odcięcia dopływu krwi do mózgu. Denat niepotrzebnie męczył się przez kilka minut. Albo i nie – dodał wesoło. – Może od razu stracił przytomność. W każdym razie nie znalazłem żadnych śladów przemocy. To wielki chłop, stawiałby opór, gdyby ktoś próbował zrobić mu krzywdę. – Z nieukrywaną ekscytacją przeciągnął dłonią po sinej prędze.

Ada z trudem powstrzymywała irytację. Zbok zerknął na nią przelotnie.

– Na pierwszy rzut oka krtań nieuszkodzona – podjął. – Żadnych dodatkowych siniaków po zaciśniętych palcach. Nikt go nie dusił, chyba że zatkano mu nos i usta, a on leżał spokojnie i pozwolił się zamordować… – Nadal wodził nagimi palcami po szyi nieboszczyka.

Zapadła długa cisza.

– To tyle. – Wyprostował się niespodziewanie.

– Potrzebne są próbki DNA – powiedziała, siląc się na spokój. – Zalewskiego i dziecka Wagner. Płodu – poprawiła się. – Musimy ustalić ojcostwo.

– Już poszły.

– Już?

– Tak. Modzelewski musiał niezłego rabanu narobić u tych z laboratorium, bo mają odesłać wyniki w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Ada westchnęła.

– Dziękuję za pomoc – bąknęła niechętnie.

– Nie ma za co. – Zbok naciągnął puchówkę. – Niech się dobrze bawi ze swoim Sawojem – dodał i nim zdążyła odpowiedzieć, wyszedł prędkimi,

drobnymi kroczkami.

Ada wyjrzała na korytarz.

– Samobójstwo – powiedziała w odpowiedzi na pytające spojrzenie Marcina. – Może nie wytrzymał presji? –
zastanawiała się głośno. – Może wiadomość o ciąży wywarła na nim zbyt silne wrażenie?

– Większe niż morderstwo Wagner?

Ada wzruszyła ramionami.

– W każdym razie musimy ustalić ojcostwo. Podobno Modzelewski już dzwonił do laboratorium. Mają w ciągu doby dostarczyć wyniki badań.

– Wiem. Odzywał się do mnie, kiedy gadałaś ze Zbokiem. Pojechał na konferencję. Do Zakopanego – dodał, nie ukrywając rozbawienia. – Wraca jutro. Jest absolutnie przekonany, że to Karol zabił Wagner.

– Na jakiej podstawie?

– Na żadnej. Obawiam się jednak, że jeśli DNA płodu i DNA Zalewskiego będą zgodne, zamknie śledztwo. W końcu my też podejrzewaliśmy go jeszcze dzisiaj przed południem.

– Prawda – przyznała. – Coś się tu jednak nie zgadza.

– Nic się tu nie zgadza – mruknął ponuro.

54

Kiedy wreszcie około szóstej wyszli przed dom, wiatr wyraźnie się uspokoił. Zrobiło się cieplej. Od strony skarpy napłynęły tłuste, podbite różową podszewką chmury i na ich widok Adę ogarnął znowu obezwładniający smutek. Okoliczni mieszkańcy wrócili już z pracy. Wzdłuż krawężnika stał rząd kolorowych samochodów. Przygarbiony mężczyzna wyłonił się z cienia i kanciastym krokiem ruszył przed siebie, żeby po kilku metrach zatrzymać się gwałtownie i oprzeć o parkan, płosząc tym samym stadko wróbli schowanych między gałązkami żywopłotu. Ada naciągnęła czapkę. Sawicki wyjął nadgryziony batonik, obejrzał go uważnie i schował z powrotem do kieszeni.

– Powinniśmy wrócić na komendę i przeanalizować całą sytuację – bąknął.

Ada spojrzała na niego uważnie. Stał spięty, przestępując z nogi na nogę i zerkając co chwila na komórkę.

– Powinniśmy – przyznała chłodno. – Możemy to jednak odłożyć do jutra.

Łypnął na nią pospiesznie i natychmiast opuścił wzrok.

– Dajmy sobie czas na przemyślenia – ciągnęła. – Spotkamy się rano i porównamy wnioski. W końcu i tak musimy czekać na wyniki z laboratorium.

– Prawdę mówiąc – przyznał zmieszany – byłoby mi to na rękę. Obiecałem Oldze, że o siódmej odbiorę dziewczynki z basenu. Sama rozumiesz, że w obecnej sytuacji wolałbym nie nawalić…

– Rozumiem – przyznała obojętnie.

– Ale zdążę odwieźć cię do domu.

– Pojadę jeszcze do fabryki.

– Do fabryki w takim razie.

Niebo nad domami poszarzało. Na wąskim pasku trawnika wzdłuż ulicy sterczały kępki pożółkłej trawy. Patyki i gnijące liście poniewierały się po chodniku. Gałęzie żywopłotu były czarne, zbite w lśniącą od wilgoci, kolczastą masę. Dzień chylił się ku zachodowi.

Sawicki zgrabnie ominął korki, klucząc wąskimi zaułkami. Jechał nieznanym Adzie skrótem. Dwadzieścia po szóstej wysadził ją pod Pałacem Mostowskich. Równie dobrze mogła poprosić, żeby zawiózł ją na Żoliborz, i zastanowić się nad minionym dniem, siedząc na kanapie z Filipem-Oleńką. Z jakichś powodów jednak myśl o domu budziła w niej niepokój. W ciepłym, wygodnym mieszkaniu, z mruczącym kotem na kolanach nie potrafiłaby naprawdę się skupić. A tego właśnie potrzebowała – maksymalnego skupienia. Samobójstwo Karola całkowicie ją zaskoczyło. I jednocześnie utwierdziło w przekonaniu, że kleryk nie miał nic wspólnego z morderstwem Wagner. Co więcej, wiedziała, że Sawicki jest podobnego zdania. Nie dysponowali jednak żadnym sensownym argumentem na poparcie wspólnych intuicji. Dlatego gdyby DNA Zalewskiego i DNA płodu były zgodne, w dyskusji z Modzelewskim znaleźliby się automatycznie na straconych pozycjach. Weszła do recepcji i przygryzając palec skórzanej rękawiczki, ściągnęła ją z dłoni. I w tym samym momencie

zauważyła kątem oka, że od ściany po prawej stronie odrywa się zwalisty cień i zdecydowanie zbyt gwałtownie rusza w jej kierunku.

– To pani! To przez panią! – krzyknął cień, chwytając ją boleśnie za ramię.

Wykonała szybki unik, wyrwała się z uścisku i stanęła w obronnej pozycji, po czym opuściła ręce, rozpoznając starszego brata Karola Zalewskiego. Dyżurujący przy bramkach policjant zareagował natychmiast i schwycił od tyłu rozjuszonego mężczyznę. Ten szarpał się jeszcze przez chwilę, rzucając wyzwiska pod adresem Ady, po czym równie nieoczekiwanie jak zaatakował, oklapł i zwisł w ramionach policjanta. Oczy napastnika zmatowiały, twarz z czerwonej zrobiła się popielatoblada, ramiona zaczęły mu drżeć.

– Przepraszam – wybełkotał. – Bardzo przepraszam.

– Napaść na funkcjonariusza! – wykrzyknął dyżurny.

Recepcjonistka za kontuarem zdążyła wcześniej wcisnąć guzik alarmowy i do holu wbiegło kilku mundurowych z pałkami i paralizatorami w dłoniach.

– W porządku. – Ada powstrzymała ich ruchem ręki. – Zostawcie go.

Dyżurny nie zwalniał uścisku. Reszta patrzyła na nią zaskoczona.

– W porządku – powtórzyła. – Biorę za tego człowieka odpowiedzialność. Mam nadzieję, że zachowa pan spokój.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Będzie spokój? Gadaj! – upewniał się dyżurny.

– Będzie – jęknął Mikołaj.

– Co będzie?

– Spokój. Będę spokojny.

– Przepuśćcie nas – zakomenderowała Ada. – Zabieram go na górę.

Gabinet lekarski znajdował się na pierwszym piętrze. Starszy pan w białym kitlu obrzucił Mikołaja sceptycznym spojrzeniem.

– Muszę przesłuchać świadka – wyjaśniła Ada – a w tym stanie nie nadaje się do rozmowy. Mam nadzieję, że znajdzie pan środki uspokajające. Potrzebuję czegoś mocnego, ale w miarę możliwości nieusypiającego.

Lekarz westchnął, wstał powoli zza biurka i nie zadając żadnych pytań, otworzył przeszkloną apteczkę, po czym flegmatycznym ruchem wyjął z niej tekturowe pudełko.

– Proszę połknąć. – Podał Mikołajowi dwie okrągłe pigułki.

– Dziękuję – uśmiechnęła się Ada.

Mikołaj Zalewski przełknął, popił wodą i potulnie wyszedł za policjantką z gabinetu.

– Na drugie piętro – rzuciła ostro.

W pokoju usiadł posłusznie na krześle, które mu wskazała. Zgarbił plecy, opuścił ręce wzdłuż tułowia i nie podniósł głowy, dopóki nie postawiła przed nim gorącej, mocno słodzonej herbaty.

– Nie trzeba. – Wykonał odmowny gest.

– Proszę się napić – powiedziała surowo.

Nie bała się. Wiedziała, że atak szału minął bezpowrotnie. Miała przed sobą bezsilnego, niezdolnego do przemocy człowieka.

– Dlaczego uważa pan, że jestem winna śmierci Karola? – zapytała, zajmując miejsce po drugiej stronie biurka.

– Powiedziała mu pani o ciąży Zosi – odparł cichym, bezbarwnym głosem. – Ta wiadomość zrobiła na nim ogromne wrażenie. Nie mógł się uspokoić. A dwa dni później… A dzisiaj… – Przerwał mu krótki szloch.

– Samobójstwo to osobista decyzja. Nie namawiałam go do niczego. Nie sądzę również – ciągnęła zimno – żeby wiadomość o ciąży byłej

narzeczonej mogła wywołać podobną reakcję.

– Ale ja nie rozumiem… – zająknął się – nie potrafię pojąć…

– Łączy pan to, co się dzisiaj stało, z osobą Zofii Wagner?

Mikołaj otworzył szeroko oczy, jakby otrzeźwiła go, a jednocześnie przeraziła brutalność jej słów.

– Sam nie wiem… Karol… On nie mógł zapomnieć… – Zachłysnął się.

Na czoło wystąpiły mu grube krople potu.

– Rozumiem. Proszę się jeszcze napić. – Wskazała kubek.

Wykonał polecenie.

– Jakie stosunki łączyły pana z bratem?

Przez chwilę patrzył na nią, mrugając powiekami, jakby starał się zrozumieć pytanie.

– Trudne. Skomplikowane – odpowiedział w końcu, ściszając głos do szeptu.

– Proszę to wyjaśnić.

Wyjął z kieszeni paczkę chusteczek, rozerwał plastikowe opakowanie i wytarł twarz. Trwał potem przez kilka sekund w bezruchu, jakby próbował powstrzymać płacz i zebrać siły potrzebne do rozmowy.

– Kiedyś bardzo się przyjaźniliśmy – zaczął z wysiłkiem. – Większość dzieciństwa spędziliśmy na wspólnych zabawach. Dzieli nas niewielka różnica wieku. Dobrze się rozumieliśmy. Potem – zaczerpnął gwałtownie powietrza i znowu otarł czoło – potem sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Piętnaście lat temu zmarł mój ojciec. Matka została sama z trójką dzieci…

– Trójką?

– Mam jeszcze sporo młodszego brata, Piotra. Kiedy umarł ojciec, skończył dziewięć lat.

– Rozumiem, proszę opowiadać dalej.

– Matka, która na pewno potrzebowała w tym czasie wsparcia, związała się z pewnym ruchem katolickim… Karol i Piotr również zaangażowali się głęboko w działalność religijną. – Zaaplikowane przez lekarza środki zaczęły działać i Mikołaj mówił teraz spokojnie i płynnie. – Poróżniły nas poglądy, coraz bardziej radykalne w wypadku Karola… i zapewne w moim również – dodał niepewnie.

– Pan nie jest religijny?

– Nie. – Potrząsnął głową. – Jestem niewierzący.

– To dziwne, że tak bardzo oddalił się pan od rodziny.

– Wiem – przyznał. – Zupełnie inaczej zareagowałem na śmierć ojca. Byłem w ostatniej klasie liceum. Irytowała mnie myśl o szukaniu emocjonalnych podpórek. Szybko się usamodzielniłem.

– I mówi pan, że Karol nie akceptował pańskich poglądów?

– Można tak powiedzieć. – Mikołaj westchnął. – To był oczywiście powolny proces. Ale nasze drogi się rozeszły.

– Chciałabym, żeby powiedział pan coś więcej o zaangażowaniu rodziny w Ruch Dzieci Niepokalanej.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Od dwóch tygodni prowadzę sprawę morderstwa Zofii Wagner – wyjaśniła cierpliwie. – Informacja o tej organizacji przewijała się wielokrotnie podczas śledztwa. Jedna z przyjaciółek Zofii twierdziła nawet, że Karol poszedł do seminarium, bo został zmanipulowany przez członków sekty, do której należał. Co pan na ten temat sądzi?

Mikołaj zacisnął wargi. Policzki zbielały mu tak bardzo, że stały się przezroczyste.

– Obawiam się, że nie jestem obiektywny – odpowiedział z wahaniem. – Jeśli chce pani znać moje zdanie, to wielokrotnie zdawało mi się, że Karol i reszta mojej rodziny tkwi w czymś w rodzaju sekty. Nie mam jednak na to

żadnych dowodów. Po prostu stawali się coraz bardziej radykalni, a nawet fanatyczni. Cała ich działalność została owiana tajemnicą. Nie mam pojęcia, co dokładnie robili. Nigdy nie rozmawiali ze mną na ten temat, jakby należeli do konspiracji… Matka redagowała jakieś broszury, organizowała rekolekcje. Chyba stała się ważną osobą, koordynatorem, przewodniczką duchową… Miała ogromny wpływ na moich braci. Pod koniec liceum Karol zaczął regularnie uczestniczyć w spotkaniach religijnych. O Piotrze nie ma nawet co wspominać. On się w sekcie wychował. Poszedł do małej katolickiej szkoły, której nauczyciele byli związani z ruchem. Wakacje spędzał na rekolekcjach albo obozach Dzieci Niepokalanej. Nie miał żadnych innych znajomych. Do tej pory nie ma… Nie ma też własnych poglądów ani potrzeb… Czasem wydaje mi się, że mój najmłodszy brat przeszedł pranie mózgu – dodał z gniewem, ale natychmiast się opanował i umilkł zmieszany.

– A Karol? – zapytała Ada.

– Karol był inny. Taki – szukał odpowiedniego słowa – niejednoznaczny. Dostrzegał świat poza ruchem. Bez ustanku szarpały nim wątpliwości. Do momentu kiedy zerwał z Zosią i wstąpił do seminarium. Wtedy coś w nim ostatecznie pękło…

– Został zmanipulowany?

– Wizja sekty wzrastającej w Polsce pod opiekuńczymi skrzydłami Kościoła katolickiego wydaje się niezbyt przekonująca…

– Czym według pana różnią się Dzieci Niepokalanej od tego, co ma do zaoferowania tradycyjna religia?

– To trudne pytanie. – Przejechał ręką po twarzy. – Sam zadawałem je sobie kilkakrotnie… Widzi pani, jako młody chłopak dwa razy brałem udział w rekolekcjach ruchu. Te wyjazdy podziałały na mnie raczej odstręczająco. – Uśmiechnął się smutno. – Starałem się słuchać kazań, brać

udział w dyskusjach, obserwować ludzi, którzy się tam gromadzili, i miałem poczucie, że uczestniczę w czymś, co można by nazwać próbą odrodzenia chrześcijańskiego nurtu mistycznego.

Ada skinęła głową na znak, że nadąża za tokiem rozumowania.

– Próbą odejścia od skostniałego, pozbawionego duchowości rytuału, w jakim zatonął tradycyjny Kościół – ciągnął. – Mówiono nam wtedy dużo o tym, że każdego człowieka łączy osobista, niepowtarzalna więź z Chrystusem. Najdrobniejsza rzecz, która przydarzała się nam w życiu, miała się dziać za sprawą przemyślanej boskiej decyzji. Uczono nas pokory i ubóstwa duchowego, a wzorem do naśladowania i przewodniczką po świecie miała być Maryja. Dlatego zalecano „komunię życia z nią”, cokolwiek miałoby to oznaczać. Spotkania i modlitwy odbywały się w atmosferze tajemnicy i powszechnego przekonania, że pod koniec drogi duchowej, na którą właśnie wstępujemy, czeka ukryta przed oczami innych prawda. Aby jednak tę prawdę osiągnąć, należało bezwzględnie podporządkować się starszym członkom ruchu – mówił coraz wolniej, jakby przytłaczało go, narastając, trudne do zniesienia zmęczenie.

Ada słuchała uważnie.

– Tradycyjny Kościół ugrzązł w oficjalnych, odprawianych automatycznie obrzędach. Nie ma w nim życia. Ludzie potrzebują mistycyzmu. Szukają duchowości. Dzieci Niepokalanej są próbą ponownego jej odkrycia, choć z mojego punktu widzenia próba ta zakończyła się całkowitym fiaskiem. Dość szybko zauważyłem, że większość uczestników rekolekcji to osoby skrzywdzone, poturbowane przez los, znajdujące się na zakręcie życiowym, czyli takie, nad którymi łatwo przejąć kontrolę. Zamiast powrotu do korzeni otrzymywały fałszywą obietnicę, zamiast wolności i braterstwa – zniewolenie… – Mikołaj sprawiał wrażenie kompletnie wyczerpanego. Mówił z coraz większym

trudem. Powieki opadły mu do połowy oczu, dłonie drżały z wysiłku. – W gruncie rzeczy uważam, że katolicyzm ostatecznie utracił swoją duchowość. Nie ma już do niej powrotu. Każda odnowa staje się jedynie wypaczeniem, smutną karykaturą albo po prostu oszustwem… – dokończył cicho.

– Jak pan sądzi, dlaczego Karol wstąpił do ruchu? Co tak bardzo pociągało go w tej organizacji, że zerwał z narzeczoną i poświęcił życie sekcie?

Mikołaj oparł głowę na dłoni i dłuższą chwilę się nie odzywał.

– Próżność – powiedział w końcu. – To był słaby punkt Karola. On naprawdę myślał, że zostanie świętym.

– Muszę zadać panu jeszcze jedno pytanie – Ada uśmiechnęła się łagodnie – i skończymy. Czy w ostatnim czasie zdarzyło się coś, oprócz wiadomości o śmierci Zofii, a później o jej ciąży, coś, co mogło wstrząsnąć pańskim bratem? Wyprowadzić go z równowagi? Proszę się dobrze zastanowić, każdy drobiazg ma w tej sytuacji znaczenie.

Potrząsnął zdecydowanie głową.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Rozumiem. – Uśmiechnęła się. – Nie będę pana dłużej męczyć. Pewnie powinien pan teraz wesprzeć matkę i młodszego brata? Mogę wezwać taksówkę.

– Matka i Piotr postanowili spędzić noc na modlitwie, z przyjaciółmi z ruchu – odpowiedział głucho.

– W takim razie proszę pojechać do domu. – Przypomniała sobie ciemnowłosą kobietę, którą widziała na cmentarzu. – Żona na pewno się niepokoi.

– Tak właśnie zrobię – zapewnił, wstając. – Czy sądzi pani… – zatrzymał się nagle, jakby podjął niespodziewaną decyzję – czy podejrzewa

pani, że Karol miał coś wspólnego ze śmiercią Zofii?

Ada obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Czekał w napięciu.

– Nie – odpowiedziała zdecydowanie. – W tej chwili nie biorę takiej możliwości pod uwagę.

Na twarzy Mikołaja pojawił się wyraz ulgi.

– Dziękuję – szepnął.

– Karol był bardzo do pana podobny – powiedziała, podając mu rękę.

Mrugnął zaskoczony.

– Fizycznie – wyjaśniła prędko.

– A tak, tak – przyznał z roztargnieniem. – Wszyscy jesteśmy podobni. Cała trójka. Wielokrotnie nam to powtarzano. – Uścisnął jej dłoń. – Jeszcze raz przepraszam za dzisiejszą napaść.

– Taksówka czeka – powiedziała i popchnęła go lekko w stronę wyjścia.

55

We wtorek Sawicki przyszedł do pracy piętnaście po ósmej i zastał na biurku czekającą na niego wiadomość. Dziesięć minut później zjawiła się Ada.

– Są już wyniki? – zapytała.

Wskazał ręką zadrukowaną kartkę. Podniosła ją z blatu i przebiegła oczami tekst.

– Modzelewski zamyka śledztwo. – Westchnęła i sztywno usiadła.

– Bezdyskusyjnie – powiedział ponuro. – Wczoraj późnym wieczorem potwierdzono ojcostwo Zalewskiego. To przeważyło szalę. Wnioski narzucają się same. Kleryk zrobił dziecko, a potem zamordował dziewczynę, żeby ukryć prawdę. Nie wytrzymał presji i kilka tygodni później popełnił samobójstwo. Dziecinnie proste.

– Ale…

– Żadnych „ale”. Sami jesteśmy sobie winni. W raportach koncentrowaliśmy się na Zalewskim i dla świętego spokoju pomijaliśmy wszelkie spostrzeżenia i wnioski związane z sektą. Wiesz dobrze, że nie mamy żadnych argumentów. Zresztą ten kretyn jest wyjątkowo odporny na perswazję. Chce zamknąć śledztwo. Z góry naciska go minister, statystyki się psują…

– Dobrze, w porządku – przerwała Ada. – Możemy się chyba chwilę zastanowić? We dwójkę, na własny użytek?

– Możemy, ale co to da? – Kopnął ze złością nogę biurka.

– Być może nic. Chcę jednak wiedzieć, czy zgadzasz się z opinią Modzelewskiego.

Sawicki wzruszył ramionami. Ada patrzyła na niego wyczekująco.

– Nie – warknął w końcu. – Nie zgadzam się. Oczywiście jest możliwe, że to Karol zabił Wagner, nie mamy jednak żadnych bezpośrednich dowodów. Niestety, ponieważ podejrzany zszedł, już ich prawdopodobnie nie znajdziemy – dodał z furią w głosie.

– Skąd pomysł, że to nie Karol?

– Co? – Uniósł ze zdziwieniem głowę. – Sama dobrze wiesz. Zbyt wiele rzeczy się nie zgadza, wygląda dziwnie…

– W takim razie zapiszmy je. – Wyjęła z szuflady kartkę i długopis. – Nic się nie stanie, jeśli zmarnujemy na tę sprawę jeszcze kilka minut. Zmarnowaliśmy już dwa tygodnie.

– Okej – zgodził się kwaśno. – Jak uważasz. A więc cała ta wczorajsza historia wydaje się co najmniej podejrzana – podjął. – Dlaczego Zalewski popełnił samobójstwo w domu Czarnoty? Słyszałaś kiedyś o czymś podobnym? Bo ja nie. Ludzie wieszają się w lesie, parku, wyjeżdżają na działkę, ale w mieszkaniu znajomego?

– To prawda. – Obróciła długopis w palcach. – Sądzę, że nie zrobił tego przypadkiem. Celowo wybrał ten właśnie dom i ten konkretny pokój, jakby chciał zostawić ślad… – Zawahała się. – Jakby zostawił nam na koniec zaszyfrowaną wiadomość…

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– I ten pokój, to biuro – wypalił Sawicki. – Jak opuszczone archiwum SB. Widziałaś regał z przegródkami? Wszystkie puste, ani jednej teczki, żadnych notatek, komputera, długopisu, nic! Co Zalewski robił tam od kilku dni? Siedział bezczynnie na krześle?

– Też o tym myślałam – przyznała. – Posłuchaj, Gdański zeznał, że znalazł ciało Karola o jedenastej dwadzieścia pięć…

– Zgadza się.

– Zadzwonił na policję, dopiero kiedy zdołał opanować nerwy. Zajęło mu to trochę czasu.

Marcin kiwnął głową.

– A może…

– Co może?

– Może nie zdenerwował się tak bardzo… Było ich tam trzech, razem z Czarnotą i tym młodym księdzem, prawda?

– Prawda, prawda, powiesz wreszcie, o co chodzi?

– Załóżmy, że w pokoju, w którym powiesił się Karol, znajdowało się coś ważnego. Nielegalne towary, narkotyki, hurtowe ilości cyjanku, cokolwiek, czego sekta nie chciała ujawniać.

– No.

– Przypuśćmy, że Gdański rzeczywiście zszedł na parter o jedenastej dwadzieścia pięć – ciągnęła. – Prawdopodobnie nie miał pojęcia, jak precyzyjnie współczesny patolog potrafi odtworzyć czas zgonu, no i zbyt późne odkrycie ciała wyglądałoby podejrzanie…

– Racja.

– Wcale nie wpadł w panikę, ale zwołał domowników i przy ich pomocy w ciągu trzydziestu minut opróżnił pokój…

– Obok regału leżało przewrócone krzesło – przypomniał Sawicki. – Jakby ktoś potrącił je w pośpiechu. Karol tego nie zrobił, bo skakał z biurka przy przeciwległej ścianie – ożywił się, ale natychmiast znowu spochmurniał. – I co nam to da? Jak zamierzasz udowodnić swoją hipotezę?

– Nie wiem. – Zamyśliła się. – Może mamy coś jeszcze? Jakieś brakujące ogniwo?

– Bałagan u Wagner? – zapytał. – Tego nigdy nie udało się wyjaśnić.

Tym razem Ada spojrzała na niego szklanym, zrezygnowanym wzrokiem.

– A więc również sprawa zaginionych kluczy i tego, co Zofia wykradła Karolowi. – Zapisała na kartce. – Za dużo niewiadomych…

W tym momencie Sawickiego ogarnął nagły niepokój. Jakaś uporczywa myśl kołatała się na dnie zmęczonego umysłu i nie chciała wypłynąć na powierzchnię.

– Słuchaj – zaczął ostrożnie. – Mówiłaś, że ktoś wracał do mieszkania Wagner i szperał tam już po rozpoczęciu śledztwa?

– Tak mi się zdawało – przyznała.

– Bo zaraz po zabójstwie nie zdołał zabrać tego, po co przyszedł?

– Miałam taką teorię.

– A skąd wiesz, że znalazł to za drugim razem?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Może to coś, czymkolwiek jest, coś, co Zofia ukradła Karolowi, znajduje się nadal w jej mieszkaniu?

Ada poderwała się na nogi.

– Zaczekaj – próbował ją zatrzymać. – Nie mamy kluczy. Oddałem rodzicom Wagner…

– Kiedy nabrałam podejrzeń, że ktoś buszuje w mieszkaniu, natychmiast zleciłam wymianę zamków. – Odwróciła się w drzwiach. – Nie mówiłam ci, żebyś się nie wściekał. Odwiozłam nowe klucze na Bielany. Ale zachowałam jedną parę…

Sawicki chwycił kurtkę.

Na Dąbrowskiego Adę ogarnęły nagłe wątpliwości. Od pogrzebu minęły dwa dni. Od śmierci Zofii – prawie dwa tygodnie. Wiedziała, że rodziny ofiar starają się zazwyczaj jak najszybciej dopełnić wszelkich formalności. I co za tym idzie, błyskawicznie porządkują osobiste rzeczy zmarłych, segregują książki, ubrania oddają do PCK i remontują mieszkania, żeby nie natykać się co dzień na bolesne pamiątki. Za późno, pomyślała. Wejdziemy do pustych, świeżo malowanych pokoi. Tajemnica, którą skrywało mieszkanie Zofii, na zawsze pozostanie nieodkryta. Zadrżała. Nie mogła trafić w zamek. Sawicki wyjął klucz z jej dłoni, przekręcił go lekko i pchnął drzwi. Przez krótki moment Adzie zdawało się, że otwiera się przed nią obce, dokładnie wysprzątane wnętrze, że czuje zapach tynku, rozpuszczalników i farby olejnej. W następnej chwili jednak przekroczyła próg i znalazła się w dobrze znanym przedpokoju. Na ścianie po lewej stronie wisiały skórzana torebka, kurtka i płaszcz przeciwdeszczowy Zofii. Buty stały równo na metalowej półce. W powietrzu unosił się zapach kurzu. Najwyraźniej państwo Wagner nie zdecydowali się jeszcze tu zajrzeć.

– Podzielmy się – powiedział Sawicki. – Myślę, że możemy zostawić na koniec pokój po prawej. Morderca zdążył przewrócić go do góry nogami…

– W takim razie ja wezmę kuchnię, a ty sypialnię.

– Okej. Ada… – zatrzymał się w pół kroku – czego właściwie szukamy?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała i weszła do kuchni.

Dwie godziny później mieszkanie Zofii wyglądało, jakby przeorał je tajfun. Ada wystawiła z szafek wszystkie torebki, słoiczki i pudełka. Otworzyła je po kolei i uważnie zbadała zawartość. Przetrząsnęła lodówkę, elektryczny grill oraz kuchenkę mikrofalową. Wysunęła szuflady z szyn. Obejrzała rolety, framugi okna, opukała podłogę. Na blacie piętrzyły się kopce rozsypanej mąki, kasz i owocowych herbat. Stół uginał się pod ciężarem

garnków i porcelany. Zlew wypełniała ziemia z doniczek. Nie znalazła jednak nic poza ekologiczną żywnością. Westchnęła i poszła do sypialni. Sawicki pracował równie skrupulatnie. Przekartkował czasopisma i książki, jeszcze raz przejrzał kolorowe skoroszyty, wyjął z szafy ubrania, wytrząsnął je i obmacał kieszenie.

– I co? – zapytała.

– I nic – odpowiedział, rzucając na podłogę poszewkę jaśka.

– Zaglądałeś pod łóżko? Może przykleiła coś od spodu?

Spojrzał na nią ponuro.

– Abażur? – Nie dawała za wygraną.

Prychnął. Ada potoczyła wzrokiem po pokoju.

– Zamieńmy się – zaproponowała. – Każdemu zdarza się coś przeoczyć.

Bez słowa ruszył do kuchni.

A ona stała przez chwilę nieruchomo, kontemplując bałagan. Biedna Zofia, pomyślała. Co myśmy zrobili z jej czyściutkim mieszkankiem… Podeszła do łóżka i wyciągnęła rękę, żeby jak zawsze poprawić przekrzywioną grafikę, i w tym momencie zastygła bez ruchu.

– Marcin! – zawołała. – Marcin! Zdejmowałeś obraz ze ściany?

Z kuchni doleciał głuchy odgłos. Jakiś przedmiot uderzył o podłogę i najwyraźniej rozleciał się na kawałki.

– No żeż kurwa… – zaklął Sawicki.

– Marcin! – krzyknęła ponownie.

– Co? – zapytał, stając w progu.

– Czy zdejmowałeś ze ściany obraz?

– Oczywiście. Za kogo mnie masz? – sarknął. – Nic za nim nie znalazłem.

Ada bezradnie opuściła ręce.

– Została łazienka i przedpokój. Co wolisz? – zapytał.

– Przedpokój – odpowiedziała ze zmęczeniem w głosie.

Tym razem wybrała łatwiejsze zadanie. Obejrzała buty i metalową półkę, podczas gdy Sawicki, sapiąc i klnąc, grzebał w rezerwuarze. Potem zdjęła z wieszaka okrycia. Pod płaszczem przeciwdeszczowym wisiała para kluczy. Na pewno nie pasowały do poprzedniego zamka. Wyglądały jak zestaw do skrzynki na listy, zamka do roweru albo…

– Słuchaj… – szepnęła. – Słuchaj, Marcin! – podniosła głos.

– Co znowu?

– Czy w tym domu jest piwnica?

Trzy minuty później znaleźli się w wilgotnym, nieotynkowanym korytarzu. Metalowa krata opatrzona tabliczką z numerem siedem zamykała przejście do komórki, którą prawie w całości wypełniał rower. Po prawej stronie stał wąski regalik z pustymi słoikami. Upchnięto pod nim dwa sporych rozmiarów kartony. Ada wyjęła klucze. Tym razem ręce jej nie drżały. Bez trudu otworzyła kłódkę i pchnęła kratę. Przeszukanie podłogi, obmacanie ścian oraz zdjęcie słoików i ustawienie ich z powrotem zajęło im trochę czasu. Sawicki otarł pot z czoła.

– Zostały kartony – powiedział. – Weźmy je na górę.

Zatrzasnęli kratę i wrócili na trzecie piętro. Zmęczeni i zakurzeni usiedli w sypialni Zofii Wagner. Przed nimi stały dwa tekturowe pudła. Zdążyli się już zorientować, że spakowano w nie zbiór mocno podniszczonych książeczek dla dzieci.

– Nie ma się co pieprzyć – zdecydował Sawicki i jednym ruchem opróżnił pierwsze z nich.

Książeczki rozsypały się u ich stóp.

– Co to jest? – zapytała Ada.

Wśród kolorowych okładek leżała żółta biurowa teczka. Sawicki pochylił się błyskawicznie i podniósł ją z podłogi.

– „Martyna Algierska” – przeczytał napis na skrzydełku.

– Pokaż!

– Czekaj… – Otworzył teczkę.

W środku znajdował się plik zadrukowanych kartek. Do pierwszej strony ktoś przypiął spinaczem zdjęcie przedstawiające szpakowatego mężczyznę, który trzymał na kolanach dwie dziewczynki o egzotycznej urodzie. Dzieci nie mogły mieć więcej niż dziesięć, najwyżej jedenaście lat. Były całkiem nagie. Mężczyzna lubieżnym gestem wsuwał dłonie między ich uda.

– O ja pierdolę… – jęknął Sawicki.

56

– Niezła historia! – Sawicki zrzucił buty, skarpetki i bezceremonialnie oparł nagie stopy na blacie biurka.

Czuł się całkowicie wyczerpany. Od kilku godzin wspólnie z Adą próbował rozszyfrować zawartość teczki znalezionej w piwnicy Zofii Wagner. Zidentyfikowanie pedofila nie nastręczyło większych problemów. Po powrocie do komendy natychmiast wpisali w przeglądarkę nazwisko wiadomego podsekretarza stanu i Google wyświetlił kilkanaście zdjęć postawnego bruneta o skroniach przyprószonych nobliwą siwizną. Na jednej z fotografii mężczyzna ów trzymał pod rękę korpulentną szatynkę w eleganckiej garsonce. „Minister Algierski z żoną Martyną”, głosił podpis. Dobrą chwilę natomiast zabrało im zrozumienie, że zawartość teczki to raporty z działalności Martyny Algierskiej w Ruchu Dzieci Niepokalanej oraz skrócone zapisy jej rozmów ze spowiednikiem, z przewodnikiem duchowym i innymi członkami organizacji. Na pierwszej stronie widniały tylko cztery zdania: „12 stycznia 2010 – pojawia się regularnie od kilku miesięcy, uczestniczyła w jesiennych rekolekcjach. Niepewna. Trzyma się z boku. Przewodnik duchowy B.L.”. Pod notatką dodano odręcznym pismem: „Na spotkania przyjeżdża sportowym samochodem, mąż – wysoki urzędnik państwowy”. Następny zapis pojawił się po trzech miesiącach: „9 kwietnia 2010 – przeprowadzić rozmowę na temat obowiązków wobec wspólnoty (otwartość, szczerość, zaufanie)”. Z czasem uwagi stawały się

dłuższe. Wreszcie natrafili na coś na kształt profilu psychologicznego: „W pierwszym kontakcie sprawia wrażenie osoby spokojnej, opanowanej, z dystansem. W rzeczywistości nieśmiała i wycofana. Unika towarzystwa. Zachowuje powagę, nadmiernie kontroluje mimikę i gestykulację. Zaniżone poczucie własnej wartości. Prawdopodobnie łagodny przypadek fobii społecznej. Skłonność do nadużywania alkoholu. Obawia się odrzucenia, dlatego łatwiej do niej dotrzeć w indywidualnych rozmowach, dbając o zachowanie intymnej, bezpiecznej atmosfery. Bezdzietna. Kłopoty małżeńskie”, ostatnie słowa podkreślono i opatrzono znakiem zapytania. W tym miejscu wklejono wycinek z gazety dotyczący Jana Algierskiego. Jeden z dzienników wydrukował tekst o nowym energicznym polityku, który szybko awansuje w strukturach rządowych. Ada i Sawicki brnęli wytrwale przez zwierzenia kolejnych członków ruchu, snujących dywagacje dotyczące osobistych problemów Algierskiej. Wśród wypowiedzi powtarzało się zakreślane czerwonym długopisem słowo „zdrada”. Z kolejnych notatek wynikało, że od początku 2011 roku Martyna prowadziła otwarte rozmowy z przewodnikiem duchowym na temat podejrzanych wyjazdów Algierskiego do Tajlandii. Pod datą 17 maja napisano: „Doradzać prywatnego detektywa”. Następnie 3 września: „Dowody złożono w sejfie”.

– Niezła historia – powtórzył i zdjął nogi ze stołu. – Ta Algierska ewidentnie wpadła z deszczu pod rynnę. Nie układało jej się z mężem pedofilem, więc związała się z sektą, a oni w ciągu roku zdołali z niej wszystko wyciągnąć i namówili do wynajęcia prywatnego detektywa – ciągnął, prostując kręgosłup. – Zdobyli kompromitujące zdjęcie. Zapewne więcej niż jedno. Wspominają tu o jakimś sejfie…

– Miałeś rację, trafiliśmy na archiwum jak za czasów SB. – Ada sięgnęła po zimną kawę. – Nic dziwnego, że Algierski dążył do zamknięcia

śledztwa.

– Wiedział o zdjęciach?

– Pewno go szantażowali.

– Szantaż – mruknął. – Jasne.

– Przynajmniej mamy odpowiedź na pytanie, co znajdowało się w pokoju, w którym Zalewski popełnił samobójstwo. – Zmarszczyła brwi. – Nie sądzę, żeby Karol zajmował się archiwum od dwóch tygodni. Prawdopodobnie robił to już w grudniu, kiedy spotkał Zofię. Gdański najwyraźniej ufał mu bezgranicznie. Zresztą nic dziwnego, chłopak od wielu lat należał do ruchu. Przeszedł też najtrudniejszą próbę – wyrzekł się narzeczonej, którą bardzo kochał, i wstąpił do seminarium.

– Mów dalej. – Sawicki słuchał w skupieniu.

– Gdański to niebezpieczny człowiek. Nieprzeciętnie inteligentny. Z tych notatek wynika, że doskonale zna się na psychologii, a jednak pomylił się w przypadku Karola. Młodym klerykiem szarpały wątpliwości, dręczyły go wyrzuty sumienia i prawdopodobnie w nagłym, niekontrolowanym odruchu zwierzył się Zofii. Sądzę, że opowiedział jej o sprawie Algierskiego…

– Obawy Zofii się potwierdziły. – Sawicki przejął inicjatywę. – Jej paniczny strach znalazł uzasadnienie. Miała nadzieję, że Karol otrzeźwiał, przejrzał na oczy. Tymczasem on już następnego dnia porozmawiał z przewodnikiem duchowym i wycofał się z obietnic danych Zofii.

Pochylili się ku sobie. Z wysiłkiem składali kawałki układanki, które zbierali żmudnie od niemal dwóch tygodni. Z chaotycznych, pozornie niepasujących do siebie fragmentów zaczął tworzyć się powoli spójny obraz.

– I na tym by się skończyło – ciągnął Sawicki. – Żadnych dowodów, niewygodnych świadków, w najgorszym razie absurdalne zeznania kobiety,

która leczyła się psychiatrycznie. Gdyby nie zgubione klucze. Zofii udało się w jakiś sposób dostać do archiwum. Dzięki rozmowie z Karolem wiedziała dokładnie, czego szuka. Wykradła teczkę Martyny Algierskiej.

– Dzielna dziewczyna…

Sawicki utkwił wzrok w odległym punkcie za oknem.

– Jedno mnie niepokoi – ciągnął powoli. – Wagner ukradła teczkę w grudniu, a zginęła trzy miesiące później. Skąd ta zwłoka?

– Może Karol ukrywał przez jakiś czas, co się stało? Może Gdański się wahał, w końcu morderstwo to poważna sprawa… – zaczęła niepewnie.

Oboje wiedzieli, że trafili na lukę, której na razie nie umieją wypełnić.

– Dlaczego zakładamy, że zabił ją Gdański albo inny działacz ruchu? – zastanawiał się Sawicki. – Może to sprawka samego Algierskiego?

– Nie wykluczam takiej możliwości – przyznała. – Oskarżenie o pedofilię zakończyłoby dość gwałtownie polityczną karierę ministra. Ale skąd Algierski zdobył informację, że Zofia wykradła teczkę? Mogli go o tym powiadomić tylko członkowie ruchu. Jeśli jest bezpośrednio zamieszany w zabójstwo Wagner, to zarówno Gdański, jak i Czarnota o tym wiedzą. Pamiętaj, że gdyby te papiery trafiły do dziennikarzy, oznaczałoby to ostateczny upadek Dzieci Niepokalanej. Wyszłoby na jaw, że Gdański z Czarnotą sprawują rząd dusz, manipulują niewinnymi ludźmi, inwigilują wiernych, prowadzą nielegalne archiwum. Żadne wtyki w kurii by im nie pomogły. Budowana od dwudziestu lat misterna konstrukcja ległaby w gruzach.

– Dobra, załóżmy, że masz rację. Ale do czego ruchowi były potrzebne pornograficzne zdjęcia Algierskiego?

– Już odpowiedzieliśmy na to pytanie: szantaż. – Wzruszyła ramionami. – To chyba oczywiste.

– Tylko o co im szło? – denerwował się. – Czego konkretnie chcieli? Musimy się tego dowiedzieć, bez twardych dowodów Modzelewski nie wznowi śledztwa. Znam go aż nazbyt dobrze. Uzna, że teczka nie ma nic wspólnego ze śmiercią Zofii. Żaden prorok nie lubi zadzierać z rządem i Kościołem, a Modzelewski do odważnych nie należy.

Zapadła cisza. Ada szperała w komputerze. Sawicki czekał cierpliwie, obserwując delikatne wygięcie jej karku i złoty kolczyk, który drżał lekko, gdy przebiegała palcami po klawiaturze.

– Idę zapalić – powiedział w końcu, wsuwając buty na nagie stopy. – Zajrzę też do stołówki, jestem strasznie głodny. Przynieść ci coś do jedzenia?

Nie odpowiedziała.

Po czterdziestu minutach wrócił na górę, niosąc styropianowe pudełko z zupą pomidorową.

– Zjedz coś. Bo mi tu jeszcze zemdlejesz.

Ada wyprostowała się i obojętnie przyjęła pudełko, nie zwracając najmniejszej uwagi na troskę w jego głosie.

– Nic nie znalazłam – przyznała niechętnie. – Dotarłam do całej masy informacji na temat Algierskiego, ale nie mam pojęcia, która z nich mogłaby naprowadzić nas na właściwy trop…

– Jasne – mruknął ponuro.

– Posłuchaj. – Sięgnęła po łyżkę i machinalnie uniosła ją do ust. – Gdański to stary wyga. Doświadczony gracz. Według mnie Czarnota jest tylko pionkiem. Każda sekta potrzebuje tajemnic, żeby powoli odkrywać je przed członkami. Taką właśnie funkcję pełniła Matka Boska z łysiną. Gdański stworzył fantastyczną, męsko-kobiecą hybrydę i manipulował nią z ukrycia, sam pozostając niewidoczny.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Nie można go o nic zahaczyć – ciągnęła ze złością. – Dom na Ursynowie, czyli faktyczna siedziba ruchu, należy do Czarnoty. Dzieci Niepokalanej działają legalnie, pod auspicjami Kościoła. A prywatnego detektywa wynajęła żona Algierskiego, poza teczką nie ma żadnych dowodów na związek ruchu z tą sprawą. Gdański gra rolę skromnego sługi bożego, podczas gdy w rzeczywistości zdobywa władzę i pieniądze.

Sawicki zmarszczył brwi. Był pewien, że usłyszał coś ważnego. Coś, na co powinien zwrócić uwagę.

– Możesz powtórzyć?

– Od początku? No… Chodziło mi o to, że nie można złapać go za rękę…

– Właśnie, właśnie – mruczał. – A dalej? Ostatnie zdanie?

– Słucham? Nie pamiętam… No, że Gdańskiemu zależy na kasie i władzy…

– Forsa! Oczywiście! Na tym polega szantaż.

Ada uniosła ze zdumieniem brwi.

– Oczywiście chcą wyciągnąć od Algierskiego pieniądze. A cóż by innego?!

– Słuchaj – tłumaczył w podnieceniu. – Mówiłaś kiedyś, że Czarnota jest właścicielem małej firmy, prawda?

– Owszem, wydawnictwa – przyznała.

– A teraz twierdzisz, że Gdański wykonuje brudną robotę cudzymi rękami?

– Tak. Wytłumacz w końcu, o co chodzi!

– Otóż nie sądzę, prawdę powiedziawszy, żeby sekcie tak bardzo zależało na prywatnym koncie Algierskiego. Archiwum, detektyw, szantaż,

w grę muszą wchodzić znacznie większe sumy… – Podniósł z blatu długopis i przygryzł w zamyśleniu jego końcówkę. – A w jaki sposób można zdobyć grubszą kasę przez podsekretarza stanu?

Ada czekała w napięciu.

– Przez ustawione przetargi, lewe konkursy, rządowe dotacje dla firm – odpowiedział. – Wszystko się zgadza. Czarnota jest prezesem firmy, Gdański jak zwykle pozostaje w cieniu. Zdobyli pornograficzne zdjęcia, trzymali Algierskiego w szachu. Wystarczyło tylko czekać, aż znajdzie się w odpowiedniej komisji decyzyjnej, i pociągnąć za sznurki – zakończył.

– Nieźle. – Spojrzała na niego z uznaniem.

– Nigdy bym tego nie wymyślił, gdyby nie skandal z przetargiem ustawionym przez ojca Modzelewskiego. Nasz prorok choć raz się na coś przydał.

– W takim razie musimy sprawdzić, czy wydawnictwo Czarnoty starało się w ostatnich tygodniach o większe pieniądze.

– Tylko jak?

Ada skrzywiła się niechętnie. – Wygląda na to, że w trybie przyspieszonym będę musiała odnowić kontakty z ojcem…

Dwadzieścia po ósmej Sawicki wychynął z pokoju blady, w rozpiętej na piersi koszuli, tocząc wokół błędnym wzrokiem. Chwiał się na nogach. Pracował od dwunastu godzin z krótką przerwą, w czasie której zdążył zjeść talerz pomidorowej i wypalić jednego papierosa. Ada wyszła przed siódmą. Chciała jak najszybciej skontaktować się z ojcem i poprosić o dyskretne prześwietlenie poczynań Czarnoty. Sawicki jeszcze raz przejrzał teczkę i uzupełnił notatki. Czuł narastający ucisk w skroniach, drżały mu dłonie. W końcu musiał wstać i przejść się dokoła biurka. Nagle zdał sobie sprawę, że przez cały dzień nikt im nie przeszkadzał, nikt nie

wchodził do pokoju. Najwyraźniej Rogowski uznał, że po zamknięciu śledztwa oboje zrobili sobie przerwę.

I byłoby to na razie najlepsze wyjście z sytuacji, mruknął, pochylając się nad blatem. Wyrwał kartkę ze skoroszytu i w kilku słowach wyjaśnił, że komisarz Adela Rochniewicz oraz komisarz Marcin Sawicki spędzą najbliższe dwa dni w domu, odpoczywając po dwóch tygodniach nieprzerwanej pracy. Wrzucił długopis do szuflady i udał się do sekretariatu, żeby zostawić wiadomość.

57

Wieczór był zimny i wilgotny. Chmurna pogoda spowijała miasto, które ostatecznie straciło nadzieję, że kiedyś zaświeci słońce. Ludzie wracali do domów zmęczeni po długim dniu pracy. Nikt nie miał ochoty na towarzyskie spotkania w kawiarniach, klubach czy restauracjach. Tym bardziej na spacery. Ulice opustoszały. Adę zaskoczyła panująca przed domem cisza. Na placu zabaw zwisała smętnie huśtawka, tuż obok stał opuszczony konik na sprężynie. Na dnie piaskownicy leżała mokra gazeta. Świat zastygł w bezruchu i tylko z sąsiedniej ulicy dochodziły upiorne, pomarańczowe błyski pracującej śmieciarki. Poprawiła gruby wełniany szal. Do spotkania z ojcem zostało czterdzieści minut. Akurat tyle, żeby dojechać pod Rembertów. Ściągnęła rękawiczki i wsiadła do samochodu. Z niewiadomych przyczyn zamiast w jednym ze swoich mieszkań, ojciec umówił się z nią w starym drewnianym domu, na którego tarasie urządzał kiedyś wiosenne przyjęcia. Skręcając w boczną ulicę, zdała sobie sprawę, że minęło ponad dwadzieścia lat, odkąd ostatni raz odwiedziła to miejsce. Z trudem rozpoznała kapliczkę przy skrzyżowaniu, na którym powinna skręcić w prawo. Piaszczystą drogę wyasfaltowano, zniknęły leszczyny i sosnowy zagajnik. Na ich miejscu wyrosły eleganckie bungalowy. Po lewej stronie drogi ciągnął się jednak ten sam co kiedyś porośnięty głogiem parów, a za nim znajomy, malowany na zielono parkan. Ada zatrzymała samochód przed bramą. Zarzuciła na ramię torebkę, pchnęła obluzowany

pręt przy furtce i przez dziurę w płocie wcisnęła się na teren posesji. Ogród tonął w ciemnościach. Włączyła latarkę w komórce i przeszła szybko między krzewami swobodnie zarastającymi trawnik. Stary dom wydawał się zdumiewająco mały. We wspomnieniach z dzieciństwa widziała sporą, reprezentacyjną willę. Teraz skurczyła się do rozmiarów przeciętnej podwarszawskiej daczy. Na werandzie pachniało igliwiem. Przejechała dłonią po wilgotnej poręczy i natychmiast cofnęła się przerażona, bo pod dotykiem palców drewno pękło i rozpadło się na kawałki. Korniki, pomyślała. Od kilkunastu lat nikt nie dba o to miejsce.

Ale dlaczego ojciec umówił się z nią właśnie tutaj? Co też przyszło mu do głowy? Zdjął ją strach. Poczuła biegnący po plecach lodowaty dreszcz. Otrząsnęła się jednak i weszła zdecydowanym krokiem na werandę. Klucz leżał pod doniczką. Przekręciła go w zamku. Drzwi otworzyły się powoli. Szukając po omacku włącznika światła, usłyszała szelest i cichy tupot. Drobne pazurki przebiegły po dachu. Asfaltową drogą przejechał samochód. Reflektory omiotły ogród i wydobyły kształty z głębokiego cienia. W końcu wymacała kontakt. Rozbłysła żarówka. Stanęła zaskoczona widokiem surowego wnętrza. Ojciec wywiózł większość mebli. Pozostał tylko drewniany stół i trzy krzesła. Na stole stał obtłuczony wazon, świeczka i przerdzewiała puszka do połowy wypełniona wodą. Zdjęła płaszcz, powiesiła go na kołku przy drzwiach i usiadła. Ojciec się nie pojawiał. Czekała długo. Cierpliwie. Na blacie z nieheblowanych desek tuż obok świeczki leżała nieżywa pszczoła. Ada szturchnęła ją palcem. Ciałko owada było sztywne i lekkie. Skrzydełka krępowała pajęcza nitka. Za wazonem zauważyła kolejne wysuszone truchełko i jeszcze jedno utopione w puszce z wodą. Widocznie nie przetrwały długiej zimy, pomyślała. Strzepnęła pszczoły ze stołu i w tym momencie z sufitu spadła niewielka złota kulka, a za nią następna i kolejne trzy. Owady żyły. Poruszały

czułkami, prostowały przykurczone skrzydła, gramoliły się na nogi, balansując niezgrabnie odwłokami. Poczuła dziwne łaskotanie pod bluzką, wzdrygnęła się, a potem ostrożnie uniosła głowę. W kącie pokoju tuż pod pułapem, jak przyczajone drapieżne zwierzę, siedział ogromny rój. Dopiero teraz usłyszała złowrogi niski dźwięk – wyzwanie, które rzucały jej jednocześnie tysiące rozjuszonych stworzeń. Nie odwracając wzroku, wstała z krzesła i ruszyła tyłem w kierunku drzwi. Rój pulsował. Wiedziała, że śledzi ją niezliczone mnóstwo maleńkich oczu. Wyciągnęła ostrożnie rękę, żeby zdjąć płaszcz z kołka, ale przegniła podłoga zapadła się i uwięziła jej kostkę między deskami. Rój zmienił kształt, wydłużył się i zbliżył do niej jak pysk węszącego drapieżnika, a potem zawył, zawirował, rzucił się, obsiadł jej twarz, szyję i ramiona. Chwilę później całe ciało Ady okrywał drgający, złoto-czarny całun. Z oddali dobiegło ją własne bulgotanie, jęki i coraz cichsze charczenie. Potem straciła przytomność.

Ocknęła się i wydobyła głowę spod kołdry, chwytając łapczywie powietrze. Stary budynek wcale nie wyglądał jak rekreacyjny domek. Pamiętała doskonale, że oprócz tarasu, salonu i sporej kuchni na parterze były jeszcze trzy sypialnie na piętrze i całkiem elegancka łazienka. Wolała się nie zastanawiać, w jaki sposób w połowie lat osiemdziesiątych w peerelowskiej Polsce ojciec zdobył pieniądze i pozwolenie na podobny zbytek. W każdym razie willa została sprzedana dawno temu. Nie umówili się pod Rembertowem. Ada wolała unikać spotkań, jeśli nie były absolutnie konieczne. Zadzwoniła więc tylko i wyjaśniła, że poszukuje informacji na temat wydawnictwa, które należy do niejakiego Stanisława Czarnoty.

– Chodzi mi o to, żebyś sprawdził, czy występowało w ostatnim czasie o dofinansowanie rządowe albo czy brało udział w przetargach rządowych. Interesuje mnie szczególnie jedna osoba: podsekretarz stanu Jan Algierski.

– Powoli, wyraźnie powtórzyła nazwisko. – Muszę się jak najszybciej dowiedzieć, czy ma jakiekolwiek powiązania z tą firmą.

– W porządku. Oddzwonię rano – odpowiedział krótko.

Wiedziała, że uruchomi wszelkie możliwe dojścia i odezwie się następnego dnia. Mogła na nim polegać. Zawsze spełniał jej prośby. Był inteligentny. Rozumiał, że nie ma innej możliwości.

Ada wstała. Strząsnęła z ramion zmęczenie jak martwego owada. Uchyliła okno i poszła do kuchni zaparzyć owocową herbatę. Siedziała potem przy stole, analizując w skupieniu nocną podróż na działkę. Jak zawsze pod koniec śledztwa wizje zdarzały się coraz częściej, zarówno na jawie, jak i podczas snu. Każda z nich miała znaczenie, każda zawierała elementy, na które powinna zwrócić uwagę, istotne wskazówki ukryte w fantastycznym, pełnym urojeń transie. Problem polegał na tym, żeby odróżnić prawdę od iluzji, odnaleźć właściwą drogę w zawiłym labiryncie. Oparła brodę na dłoni i w zamyśleniu stukała stopą o podłogę. Jeszcze niedawno była przekonana, że nigdy więcej nie popadnie w trans. Zbyt dużo ryzykowała. Nie tylko własnym życiem i zdrowiem, również życiem innych ludzi. Jej dziwne zwidy już raz doprowadziły do nieszczęścia. Jednak im dłużej trwało śledztwo w sprawie morderstwa Zofii Wagner, tym boleśniej przekonywała się, że to nie ona kieruje snami, lecz sny całkowicie nad nią panują. Nie mogła od nich uciec. Mogła je tylko ignorować albo zacząć z nich korzystać. Przez dwa tygodnie biła się z myślami; samobójstwo Karola ostatecznie przechyliło szalę. Racjonalna Ada uległa własnym rzeczowym argumentom i zgodziła się współpracować ze swoją niezrównoważoną stroną.

– Pszczoły – powiedziała cicho. – Rój, owady…

Zazwyczaj najstraszniejsze, najbardziej wyraźne elementy wizji okazywały się potem najmniej istotne.

– Samochód, podróż, może dom? – zastanawiała się dalej.

– Dom – powtórzyła głośniej. – Działka.

Uniosła do ust filiżankę. Herbata pachniała pomarańczą i zimowymi jabłkami. Uśmiechnęła się. Wiedziała, że odnajduje właściwy trop.

58

W środę rano termometr wskazywał dwa stopnie Celsjusza. Sawicki wyłączył budzik. Wstał półprzytomny, sięgnął po przepoconą koszulę i z przykrością spostrzegł, że znowu zapomniał zrobić pranie. Podniósł pustą puszkę po piwie. Przez chwilę przyglądał się jej niepewnie i w końcu wrzucił pod tapczan. Od kilku dni mieszkał z rodzicami i do tej pory udawało mu się wychodzić na tyle wcześnie i wracać tak późno, żeby nie musieć ich spotykać. Oczekiwali wyjaśnień. Oczekiwali, że będzie miał plan na przyszłość. Koniecznie chcieli się dowiedzieć, co zamierza. Czy wynajmie oddzielne mieszkanie? Czy istnieje szansa, żeby pogodził się z Olgą? Nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Czego się spodziewał? Na co liczył? Czy miał chociażby mgliste wyobrażenie przyszłości? Czasem wydawało mu się, że grzęźnie w gęstym, cuchnącym mule, ciężki, spowolniony, niezdolny do działania. W takich momentach rozpacz chwytała go za włosy, a tęsknota za Olgą przeszywała takim bólem, że padał na kolana i łkał jak małe dziecko, zrozpaczony i bezsilny. W następnej chwili chciał się poderwać, jechać na Grochów i błagać o przebaczenie. To moja wina, powtarzał w myślach. Moja wina, wszystko zniszczyłem, zepsułem, rozwaliłem. Dziesiątki razy odbywał w wyobraźni tę samą rozmowę: tłumaczył, gniewał się, w końcu płakał, na przemian upokarzał się i rzucał ciężkie oskarżenia. Owe rozmowy nigdy nie miały jednak zakończenia. Sawicki poprzestawał na długich, zawiłych

monologach. Jednocześnie obserwował uważnie sytuację w mieszkaniu na Grochowie i nie zauważył śladów obecności innego mężczyzny. Hania zapytana o gości odwiedzających mamę odpowiedziała, że owszem, w niedzielę wieczorem przyszła babcia. Olga nie wyglądała też na osobę, która właśnie rozpoczyna nowe życie. Kiedy w poniedziałek odwiózł dzieci z basenu, miała szarą, przygnębioną twarz i zaczerwienione oczy. Rzuciła mu w drzwiach pytające spojrzenie, jakby na coś czekała. On jednak nie potrafił dobyć z siebie głosu, skinął jej tylko głową i zbiegł ze schodów. Tak bardzo bał się ponownego odtrącenia, że wolał trwać w nieznośnym zawieszeniu, niż wykonać najmniejszy bodaj gest. Chwilami zdawało mu się, że bez żalu i zbędnych wyjaśnień powinien ruszyć do przodu, w przyszłość, gdzie unosił się delikatny zapach jaśminowych perfum… Pod wpływem takich myśli czuł jednak natychmiast dotkliwe ukłucia wyrzutów sumienia i wikłał się coraz bardziej w dręczących rozważaniach nad dwoistością własnej natury, które niezmiennie kończyły się bólami w klatce piersiowej i atakami paniki. Czuł się rozbity i tylko dzięki pracy odzyskiwał chwiejną równowagę. W ciągu ostatnich dni sprawa morderstwa Zofii Wagner znacznie się skomplikowała. Był jednak przekonany, że są bliscy rozwiązania, i na tym rozwiązaniu koncentrował uwagę, odcinając się od nieznośnego chaosu własnych emocji.

Wyłączył budzik. Wciągnął z obrzydzeniem cuchnącą koszulę i stąpając jak najciszej, żeby nie obudzić rodziców, poszedł do kuchni zaparzyć kawę. Noc nie przyniosła ulgi ani wypoczynku. Zdołał przespać siedem godzin, a mimo to czuł się zmęczony i rozkojarzony, tak że zdejmując czajnik z gazu, potrącił stojący obok garnek i zrzucił go na podłogę. W mieszkaniu rozległ się huk. Kilka sekund później z głębi korytarza doszło go skrzypienie otwieranych drzwi, a potem ciche szuranie kapci. Jednym ruchem wlał do ust gorzki, gorący płyn, chwycił kurtkę i wybiegł na

schody. Na dole ruszył szybkim krokiem przed siebie i przystanął dopiero przed sklepem, żeby zapalić papierosa. Wczorajsza wilgotna mgła zmieniła się w deszcz, który padał prostymi strugami. Rosnące wokół trawnika krzewy gięły się pod uderzeniami ciężkich kropli. Gdzieś daleko, na granicy szarego horyzontu, stadko gawronów uniosło się w niebo, wyklinając skrzekliwie na podłą pogodę. Było dwadzieścia po szóstej. Z Adą umówił się o dziewiątej, a kawiarnie otwierano najwcześniej o ósmej. Pozostały czynne przez całą dobę bary w podziemiach przy Dworcu Centralnym. Rzucił niedopałek na mokry chodnik, postawił kołnierz i niechętnie poszedł w kierunku samochodu.

Za piętnaście dziewiąta zaparkował przed domem Ady. Oboje doszli do wniosku, że zachowają w tajemnicy nowe szczegóły śledztwa. Bez twardych dowodów rozmowa z Modzelewskim była skazana na porażkę, a ewentualne wznowienie dochodzenia nie wchodziło w grę. Sawicki przetarł oczy. Od rana zdążył wypić trzy kawy. W jednej z dworcowych sieciówek zjadł jajecznicę na bekonie i mus czekoladowy z wiśniami. Poprosił kelnera o poranną gazetę, a potem przejrzał z nudów bulwarówkę i kolorowe czasopismo zawierające porady dla młodych, bardzo bogatych ludzi na temat modnych obecnie wzorów tapet, rodzajów porcelany, kształtów umywalek, wanien oraz najzdrowszych, wypchanych naturalnym włosiem materacy. Doszedł do wniosku, iż przy obecnych zarobkach mógłby ewentualnie kupić zestaw widelców do *fondue* i paczkę eleganckich serwetek, zapłacił za śniadanie i ruszył na Żoliborz. Ada otworzyła drzwi z miną jak zawsze obojętną, coś jednak w wyrazie jej twarzy – lekki uśmiech ukryty w kąciku warg, błysk oka czy bardziej niż zwykle gwałtowny ruch ręki – zwróciło jego uwagę. Zmęczenie i ciężki ból głowy opuściły go natychmiast. Przekraczając próg, nie miał wątpliwości, że zdążyła porozumieć się z ojcem.

– A więc? – zapytał bez wstępów.

– Napijesz się kawy?

– Nie, nie. Wypiłem dzisiaj sto kaw.

– To herbaty?

– Ada! – zirytował się, idąc za nią do kuchni.

– Herbaty też nie?

– Nie wygłupiaj się. Powiedz natychmiast, czy dowiedziałaś się czegoś konkretnego.

Przystanęła w połowie przedpokoju. Popatrzyła na niego bystro, wesoło, nie powstrzymując uśmiechu. Pomyślał, że nigdy nie widział jej równie ożywionej.

– We wrześniu tego roku rozpoczęto projekt rządowy „Ograniczenie przestępczości, niedostosowania i aspołecznych zachowań wśród dzieci i młodzieży”. Przeznaczono na to ogromne pieniądze, mają powstać świetlice, domy opieki dla nieletnich, ośrodki terapeutyczne, planuje się też zakrojoną na szeroką skalę kampanię społeczną: billboardy, plakaty, broszury informacyjne…

– No… – zachęcał ją.

– Został więc ogłoszony przetarg na usługi poligraficzne – ciągnęła. – Na projektowanie i druk tych wszystkich materiałów. W grę wchodzi koło ośmiu milionów złotych. Jedną z firm startujących w konkursie jest wydawnictwo Czarnoty. W komisji decyzyjnej zasiada oczywiście podsekretarz stanu Jan Algierski.

– To pięknie. – Gwizdnął przez zęby. – Mamy ich.

– Jeszcze nie. – Potrząsnęła głową. – Wyniki przetargu zostaną ogłoszone dopiero za pięć dni. Pamiętaj, że mamy słaby motyw. – Zaśmiała się gorzko. – O ile cztery tysiące dla Czeczenów mogły stanowić

wystarczającą pokusę, o tyle osiem milionów w wypadku organizacji kościelnej brzmi mało przekonująco.

– Wiemy doskonale, że pieniądze stanowiły tylko dodatkowy argument. Sama powiedziałaś wczoraj, że chodziło o rząd dusz. Zgadzam się z tobą. Zabili Zofię, bo bali się, że zostaną zdemaskowani.

– Ale to wcale nie znaczy, że zgodzi się ze mną Modzelewski. W każdym razie musimy poczekać na ogłoszenie wyników, żeby w ogóle zechciał nas wysłuchać.

Weszli do kuchni. Sawicki opadł ciężko na taboret pod oknem.

– Nie możemy siedzieć bezczynnie przez cały tydzień.

– Wiem. – Ada zalała zieloną herbatę. – Może powinniśmy przycisnąć Algierskiego?

– Sądzisz, że się przyzna? Do pedofilii?

– Nie musi. – Podsunęła mu filiżankę. – Mamy zdjęcie.

Sawicki zmarszczył brwi i machinalnie wybijał takt łyżeczką.

– Widzisz – zaczął, ważąc słowa, jakby nad każdym dokładnie się zastanawiał – jeśli zaczniemy przyciskać Algierskiego, sekta wycofa się z przetargu. Czekaj! – Ada otworzyła usta, ale powstrzymał ją ruchem dłoni. – Daj mi skończyć. Wiem, że wystarczy teczka i zeznania ministra, żeby oskarżyć ruch o szantaż. Ale co dalej? Przecież szukamy mordercy Wagner. Zastanów się, czy chcesz odkrywać wszystkie karty.

– Dobrze – zgodziła się. – Więc siedźmy cicho i uważnie ich obserwujmy. Samobójstwo Karola wprowadziło sporo zamieszania. Istnieje szansa, że spanikują, zaczną działać chaotycznie, popełnią błąd.

– Przede wszystkim trzeba założyć podsłuch w domu Czarnoty – mruknął, wkładając do ust trzonek łyżeczki. – Tylko to znowu wymaga porozumienia z Modzelewskim i wznowienia śledztwa. Nie ufam mu,

facetowi zależy na Algierskim. Nie wiemy, jakie łączą ich interesy i co mu tamten obiecał w zamian za wyciszenie śledztwa.

– W takim razie jesteśmy w klinczu. – Bezradnie potrząsnęła głową.

Sawicki odwrócił wzrok. Ada pochyliła się nad zlewem i opłukała ręce zimną wodą.

– Słuchaj – powiedziała w końcu, odwieszając ścierkę na poręcz krzesła. – Posłuchaj, prędzej czy później będziemy musieli poinformować Modzelewskiego. Nie mamy innego wyjścia. Ale został jeszcze jeden ślad, którego nie zbadaliśmy, a który wydaje się istotny. Proponuję najpierw odnaleźć Magdę Orłowską. Jestem pewna, że ma nam wiele do powiedzenia.

– Tylko jak? – Westchnął. – Przepadła prawie dwa tygodnie temu, a ja zbagatelizowałem sprawę.

– Nikt nie znika bez śladu – odpowiedziała energicznie. – Wystarczy dobrze poszukać, żeby trafić na właściwy trop.

Sawicki kiwał głową i rozważał w milczeniu jej słowa.

– Myślę – odezwał się w końcu – że bez wiedzy Modzelewskiego możemy założyć podsłuch u Czarnoty. Znam dwóch takich – uśmiechnął się przelotnie – takich dwóch, co się znają na technicznych gadżetach.

– Nielegalny podsłuch nie stanowi dowodu w śledztwie…

– Wiem, sama jednak twierdzisz, że powinniśmy skupić się na szukaniu Magdy. Zgadzam się. Dobrze byłoby jednak wiedzieć, co w tym czasie dzieje się na Pawlaczyka. Pogadam z bliźniakami, na pewno zgodzą się nam pomóc. Uwielbiają działać poza prawem. Zadzwonię też do Kuby Orłowskiego. Od czego chcesz zacząć?

– Najpierw pogadajmy z bliźniakami, potem sprawdzimy mieszkanie Magdy.

– Uprzedzę Jakuba, że przyjedziemy po klucze.

Mieszkanie bliźniaków znajdowało się na ostatnim piętrze wysokiego budynku w centrum miasta, na styku ulic Jasnej i Moniuszki. Domofon nie działał. Policjanci dzwonili cierpliwie do sąsiadów, aż któryś zgodził się w końcu otworzyć, po czym dostali się na górę świeżo wyremontowaną windą. W drzwiach czekał na nich Wojtek. Tak w każdym razie się przedstawił, kiedy Sawicki zapytał, którego z braci mają przed sobą. Ada ze zdziwieniem zerknęła do jednego z dwóch pustych pokoi. Całe umeblowanie stanowiło wąskie, niepościelone łóżko. Nad nim wisiała ponakłuwana kolorowymi pineskami mapa Warszawy. W sporej kwadratowej kuchni nie było stołu ani krzeseł. Marek siedział na parapecie i palił papierosa. Gdy weszli, cisnął peta za okno.

– A, Sawoj – mruknął, ignorując Adę. – Znowu, kurwa, nam dupę zawracasz. Jestem ciekaw, dlaczego nie można tej sprawy załatwić przez telefon.

– Przez telefon – powtórzył Wojtek.

– To skomplikowane. – Sawicki rozejrzał się bezradnie po pustym pomieszczeniu. – Wymaga dłuższych wyjaśnień…

– Dłuższe wyjaśnienia to my codziennie otrzymujemy od twojej walniętej znajomej. Matki tej laski, która spierdoliła – warknął Marek.

– Magdy?

– Magdy, Magdy. Uspokoiła się na chwilę, a teraz znowu świruje. Od dwóch dni przesiaduje na komendzie. – Wojtek wykonał gwałtowny ruch dłonią, jakby oganiał się od natrętnej muchy.

– Nic dziwnego, że się denerwuje – słabo oponował Sawicki. – Poza jedną dziwną kartką jej córka nie dała znaku życia…

– Co za pizdopierdy opowiadasz? Po pierwsze ona nie jest mała. Dorosła dziewucha, może robić, co chce.

– Dajcie nam wytłumaczyć…

– Chuja, a nie tłumaczyć. Jeszcze tę starą podjudzasz. Twierdzi, że byłeś u nich ostatnio i interesujesz się osobiście jej problemami. Stołeczni, kurwa wasza mać, do wszystkiego muszą się mieszać.

Ada uniosła brwi. Marek rzucił jej krótkie spojrzenie.

– W porządku – przerwał bratu. – Skoro już przyleźli, daj im powiedzieć, o co chodzi. Sawoj?

– Ja wytłumaczę – wtrąciła prędko Ada.

Bliźniacy jak na komendę przenieśli na nią ciemne spojrzenia.

– Zacznijmy od piątku, pierwszego marca, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy w mieszkaniu Zofii Wagner… – podjęła.

Rozmowa nie należała do łatwych. Zwłaszcza że odbywali ją na stojąco. Po dwóch godzinach porządnie rozbolały ich nogi. Wojtek przyniósł z sąsiedniego pokoju niski taboret, nie zaproponował jednak gościom, żeby usiedli. Marek przerywał co chwila i irytował się za każdym razem, kiedy trafiał na niekonsekwencje śledztwa, jakby sam prowadził dochodzenie. Zadawał jednak celne pytania. Ada zorientowała się szybko, że ma do czynienia z doświadczonym, zdolnym policjantem. W miarę jak opowieść rozwijała się i komplikowała, bracia słuchali z coraz większym zainteresowaniem.

– Oboje z Marcinem doszliśmy do wniosku, że w tej chwili nie możemy powiadomić prokuratora o nowych okolicznościach dochodzenia – kończyła. – Powinniśmy natomiast uważnie śledzić rozwój sytuacji w domu Czarnoty. Dlatego potrzebujemy waszej pomocy… – Urwała i spojrzała na nich pytająco.

– Zawsze mówiłem, że Modzelewski to kawał chuja. – Marek zsunął się z parapetu. – Ciągnie druta połowie prokuratury i kilku ministrom również.

– Chcemy wykorzystać czas do momentu ogłoszenia wyników przetargu i skupić się na szukaniu Magdy Orłowskiej. Jej zeznania mogą

okazać się istotne – podjął Sawicki. – Rozumiem, że nie macie nowych informacji na jej temat.

Wojtek wbił spojrzenie w kąt kuchni. Marek zmieszał się, wysunął czubek języka i wypuścił smugę dymu.

– Nie – odpowiedział niechętnie. – Nic ponad to, o czym już ci mówiłem. Dziewczyna zniknęła, nie zabierając z mieszkania żadnych rzeczy.

– Jakieś pomysły, gdzie się ukryła?

Bracia milczeli.

– W takim razie jeszcze raz przeszukamy jej mieszkanie, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Jasne. – Wojtek rozprostował plecy.

Marek znowu usadowił się na parapecie.

– Zorganizowanie podsłuchu nie powinno nastręczać większych trudności – powiedział, odgadując natychmiast, o co zamierzają prosić. – Lubimy to.

– Lubimy – zawtórował Wojtek.

– I wkurwia nas Modzelewski.

– Wkurwia – powtórzył jak echo bliźniak.

– Trzeba wejść na Pawlaczyka. Zazwyczaj udaje się to zrobić na kominiarza. Sprawdzimy przewody wentylacyjne w segmencie i zgubimy w nich kilka drobiazgów. Spoko. Ale działamy sami – zastrzegł. – Tylko we dwóch. Sami też odsłuchujemy nagrania. Jakby co, damy wam znać.

Ada zerknęła na Sawickiego, ten jednak nie wydawał się ani zaskoczony, ani zaniepokojony. Najwyraźniej miał do bliźniaków pełne zaufanie.

– Stoi – zgodził się natychmiast.

– Załatwimy to w ciągu dwóch godzin – zapewnił Marek. – A teraz, z łaski swojej, zawiadom Orłowską, że przejmujecie sprawę Magdy. Nie chcę widzieć więcej tego babona na komendzie.

– Dzwońcie do nas natychmiast, gdyby zdarzyło się coś niepokojącego. Nawet najmniejszy drobiazg – poprosił Sawicki, żegnając się w przedpokoju. – Jesteśmy cały czas pod telefonem.

Ada uścisnęła dłonie bliźniakom. W kuchni miała wrażenie, że bez trudu rozróżnia braci. Teraz straciła orientację. Przyjrzała się im z niepokojem.

– Nawet nie próbuj – mruknął Sawicki, kiedy weszli do windy. – Zamieniają się rolami.

– Słucham? – zapytała, wciskając guzik.

– Zamieniają się – powtórzył. – Podobno zawsze tak robili. Zaczęli w podstawówce, bo Marek miał zdolności matematyczne, a Wojtek świetną pamięć. Tak się więc ciągle zdarzało, że na sprawdziany przychodził tylko jeden, a drugi chorował i pisał w kolejnym terminie. Potem wymieniali się przyjaciółmi, dziewczynami. I tak już zostało. Teoretycznie ten inteligentniejszy i dominujący to Marek, tyle tylko że nigdy nie wiesz, czy Marek to Marek, czy dzisiaj jednak Wojtek, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

59

Nowy apartamentowiec, w którym mieszkała Magda, stał między parkingiem a boiskiem szkolnym. Od ulicy Grażyny odgradzał go wysoki parkan. Przy bramie zainstalowano kamery.

– Buractwo! – zirytował się Sawicki, próbując dopasować jeden z kluczy do zamka przy furtce. – Stawiają zasieki, jakbyśmy w dzikim kraju żyli… Niedługo wszystko wykupią, pogrodzą, zamkną na kłódkę i zaczną nas filmować dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Gdyby wspólnota w domu Zofii zainstalowała kamerę, dawno znaleźlibyśmy mordercę – odpowiedziała spokojnie Ada.

– A ty i ja nie mielibyśmy pracy – sarknął i szarpnął sztachety.

Kilka minut później znaleźli się w sporych rozmiarów studio. Ogromne okno i drzwi balkonowe otwierały się na południowy taras. Łazienkę urządzono w oddzielonej luksferami wnęce po lewej stronie wejścia. Po prawej stał wieszak, a na nim płaszcz, dwie kurtki i wełniany sweter.

Ada uważnie przejrzała ubrania.

– Na pewno nie miała nic innego?

– Nie sądzę. – Sawicki potrząsnął głową. – Małgorzata Orłowska twierdzi, że świetnie się orientuje w garderobie córki. I jestem skłonny jej wierzyć – dodał z przekąsem. – Swoją drogą nie dziwi mnie, że Magda związała się z sektą. Taka mamusia może każdego doprowadzić do szaleństwa…

Ada ruszyła w głąb pokoju. Wiedział, że go nie słucha. W zamyśleniu dotykała mebli i poustawianych na półkach bibelotów. Miała na sobie miękką szaroniebieską koszulę z szerokimi rękawami. Po raz kolejny tego dnia z niejasnym wzruszeniem zerknął na przysłonięty kołnierzykiem kark. Piegi pod prawym uchem tworzyły brunatną, nieregularną plamkę, jakby stadko muszek przysiadło na chwilę na jej szyi. Poczuł dziwny ucisk w gardle i odwrócił wzrok.

– Sprawdź biurko i regał – zaproponowała. – Ja poszukam w szafie, a potem pójdę do łazienki.

– Do… – odpowiedział, ale głos załamał mu się i ucichł w pół słowa. – Dobrze – powtórzył, odchrząkując.

Półtorej godziny później usiedli zmęczeni na kanapie. Nie przeszukali pokoju tak dokładnie jak mieszkania Zofii Wagner, ale skrupulatnie przerzucili złożone w równy stos papiery, przetrząsnęli kieszenie spodni i bluz, pudełka na drobiazgi, półki z książkami i niewielką szafkę stojącą przy łóżku. Na próżno. W historii przeglądarki komputera nie znaleźli śladu, który mógłby wskazywać, że Magda sprawdzała połączenia kolejowe, rezerwowała bilety albo hotele. Sawicki spojrzał z rezygnacją w okno. Deszcz ustał, a z ziemi uniósł się znowu szary tuman.

– Straszna pogoda – westchnął. – W życiu nie widziałem czegoś podobnego. Zdaje się, że to skutek globalnego ocieplenia czy innego świństwa. Jutro ma być jeszcze gorzej. Mówili w radiu, żeby unikać jazdy samochodem ze względu na ograniczoną widoczność.

– Trzeba jak najszybciej odpytać przyjaciół Magdy – Ada przerwała mu niecierpliwie.

– Nikt taki nie istnieje. Kiedy związała się z ruchem, zerwała wszystkie stare znajomości – przypomniał jej. – Możesz najwyżej pogadać z Gdańskim.

– Ale ktoś przecież wie, gdzie się podziała. Ktoś ją musiał widzieć. – Jej twarz ściągnął mimowolny grymas, kąciki ust zadrżały i opadły. Wyglądała jak rozzłoszczona mała dziewczynka. Sawicki uśmiechnął się szeroko.

– Nie wiem jak ty, ale ja ledwo żyję. Nie jadłem nic od rana. Jak będziemy tyle pracować, to wbrew własnej woli rzucę palenie. Zdążyłem dziś wyjarać dwa papierosy, a dochodzi czwarta.

Ada popatrzyła na niego, marszcząc brwi, jakby nie zrozumiała, co mówi.

– Przestaję myśleć. Muszę chwilę odpocząć – wytłumaczył cierpliwie.

Zamrugała powiekami.

– Dobrze – zgodziła się mało przytomnie. – Masz rację. Zróbmy przerwę. Może jutro bliźniacy się odezwą. A może któreś z nas wymyśli coś nowego. – Splotła palce dłoni i zacisnęła je tak mocno, że zbielały kłykcie.

– Odwiozę cię do domu – zaproponował.

– Dzięki.

Wstała i jeszcze raz omiotła wzrokiem pokój. Najwyraźniej nie znalazła jednak nic godnego uwagi, bo zarzuciła płaszcz i szybkim krokiem wyszła na klatkę.

* * *

Trafili na popołudniowe korki. Utknęli przy Rakowieckiej. Dojazd do placu Unii zajął im dwadzieścia pięć minut. Gdy mijali plac Konstytucji, Sawicki pomyślał, że mógłby zaproponować wspólny obiad. Zerknął na Adę spod oka. Siedziała milcząca, jakby nieobecna, z dłońmi wsuniętymi w rękawy płaszcza.

– Wysadź mnie, proszę, w okolicach Wilczej – odezwała się nagle, jakby czytała w jego myślach i postanowiła odrzucić zaproszenie. – Muszę coś jeszcze załatwić.

– To przecież tutaj. – Zahamował gwałtownie i skręcił w prawo.

– Właśnie – odpowiedziała obojętnie, naciągając czapkę. – Widzimy się jutro rano. U mnie o dziewiątej?

– O dziewiątej – zgodził się nieco zaskoczony.

Zarzuciła torebkę na ramię i wysiadła. Sawicki odprowadził wzrokiem jej drobną, energiczną postać. Dumając ponuro nad tym, gdzie spędzić resztę popołudnia oraz nadchodzący wieczór, dojechał na plac Bankowy i bezwiednie skręcił przed Pałac Mostowskich. W tym momencie przyszło mu do głowy, żeby odwiedzić policyjną siłownię. W bagażniku miał torbę z rzeczami, które zabrał z domu, a w niej spodnie od dresu i T-shirt. Sportowe buty leżały na dnie szafy w pokoju w komendzie. Zaparkował. Zaciągnął suwak kurtki i licząc na to, że nikogo nie spotka po drodze, a zwłaszcza nie spotka Rogowskiego, wbiegł schodami na drugie piętro i przemknął korytarzem.

Buty nosiły ślady nieudanego joggingu w Łazienkach. Otrzepał je z błota, a prostując się, poczuł narastające skurcze żołądka. Muszę natychmiast coś zjeść, pomyślał i zawrócił gwałtownie w stronę drzwi.

Wychodząc, natknął się jednak na scenę tak dziwną, że zatrzymał się w pół drogi, zapominając o głodzie i czekającej siłowni. Przed jednym z pokoi stał w pozie triumfującego torreadora Wiktor. Wsparł się ręką pod bok, uniósł kanciastą brodę, a twarz promieniała mu taką radością, że Sawicki ze zdumienia potknął się o własne nogi.

– Co się stało? – zapytał.

– A stało się – warknął przez zęby Pawlak. – Stało się, kurwa, w końcu to, co powinno się stać już dawno.

W tym momencie z pokoju wyszedł przygarbiony Kapusta w kapturze naciągniętym na głowę. Na ramieniu niósł wypchaną torbę, pod pachą

dźwigał tekturowe pudło. Minął ich, nie odzywając się i nie podnosząc wzroku.

– Wypierdalaj, chuju – syknął Wiktor. – I żeby twoja noga więcej nie postała ani tu, ani na żadnej innej komendzie. Won na ochroniarza do Biedronki!

Sawicki osłupiał.

– Co się stało? – powtórzył.

Wiktor nadal uśmiechał się szeroko.

– Nic nie wiesz? – zapytał. – Kapusta wyleciał z sekcji. I w ogóle z policji. Mimoza ci nie mówiła?

– Nie mam o niczym pojęcia – przyznał Marcin lekko zmieszany.

Wiktor otarł usta wierzchem dłoni i potrząsnął gwałtownie głową.

– Nie wiem, jak ta twoja dziewucha zdołała się tego dowiedzieć. Nie wiem też, w jaki sposób udało jej się przekonać Dagmarę – ciągnął. – Obie laski poszły w poniedziałek do Starego.

– W poniedziałek? – zdziwił się. – O której?

– Wieczorem, o ile mi wiadomo. W każdym razie – ekspert Pawlak znowu uśmiechnął się szeroko – w każdym razie Dagmara przyznała, że od dwóch miesięcy Kapusta zmuszał ją do szpiegowania, przeglądania raportów i robienia zdjęć funkcjonariuszom. A zwłaszcza mnie.

– Nic nie rozumiem. Jak to zmuszał?

– Normalnie. Pamiętasz urodziny Roga w styczniu? A nie – zreflektował się – ty przecież nigdzie z nami nie chodzisz. No więc Rogowski wynajął klub. Zaprosił pół komendy, było żarcie i otwarty bar. Chłopak się stara imponować młodej żonie. Dobra, zresztą chuj z nim. – Machnął ręką. – Ważne, że Dagmara załatwiła się na sztywno. O pierwszej leżała na stole i jęczała, że umiera. No i Kapusta, nasz dżentelmen, nasz, kurwa, nieoceniony bohater, zaofiarował się, że odprowadzi ją do domu.

Tyle tylko że kiedy otworzyła drzwi, wepchnął ją do pustego mieszkania, zgwałcił, a potem zrobił kilka zdjęć.

– Co ty gadasz?! Niemożliwe!

– Gadam, co wiem – obruszył się Wiktor. – Normalnie. Co ty, życia nie znasz?

– I co dalej?

– Co dalej, co dalej… Sam zgadnij.

– Kapusta chciał cię usunąć z sekcji… – zaczął Sawicki.

Nagle zrobiło mu się słabo. Przed oczami wirowały ciemne płatki.

– No i wymyślił, inteligent jeden – podjął Wiktor – że będzie szantażował Dagmarę. Wyczekał na odpowiedni moment, aż Mimoza przyszła do pracy, żeby wszystkie podejrzenia na niej się skupiły. A potem to już tylko dawał cynk dziennikarzom. Pamiętasz tego Marczyńskiego? Taki upierdliwy typ, łaził za wami na początku dochodzenia.

Sawicki oparł się o ścianę.

– Będzie śledztwo? – zapytał.

– Nie. – Pawlak wzruszył ramionami. – Stary dogadał się z Kapustą. Podobno nie musiał mu nawet specjalnie grozić. Od razu podpisał zwolnienie.

– Ale powinno się…

– Ochujałeś? – przerwał Wiktor. – Śledztwo? Tutaj? Prasa, skandal, podkopywanie wizerunku policji? Kto by się na to zdecydował?

– A Dagmara? – oponował słabo.

– Nie chciała wnieść oficjalnego oskarżenia. Dziwisz się? Poprosiła o przeniesienie. No – Pawlak klepnął go w ramię – w każdym razie gdyby nie Mimoza, Dagmara nie puściłaby pary z gęby. Miałeś rację. Twoja laska jest w porządku. Nawet więcej niż w porządku.

– Rozumiem – wymamrotał Sawicki.

Pornograficzne zdjęcia, wykorzystane kobiety, szantażyści i zawikłane scenariusze intryg wirowały w jego umyśle, powodując nieznośny zawrót głowy. Pociągnął nosem i ruszył w stronę wyjścia.

– Marcin! – krzyknął za nim Wiktor.

– Co?

– Rozmawiałeś już z Olgą?

Sawicki zatrzymał się, całkowicie zbity z tropu.

– Słucham?

– Powinieneś z nią pogadać, ona na to czeka. Jeszcze nie wszystko stracone.

– Mimoza zdążyła ci zakablować? – zdenerwował się.

– Ustaliliśmy już chyba, że Mimoza nie podpierdala. Spotkałem Olgę w supermarkecie.

– Nie twoja sprawa.

– Znam cię, stary. Może nie jestem ekspertem w dziedzinie pożycia małżeńskiego, ale dobrze ci radzę, nie pękaj i nie czaj się, tylko porozmawiaj z nią, póki czas.

Sawicki zgrzytnął zębami i odszedł bez słowa.

60

Skłębione, niespokojne miasto uniosło się ku wieczorowi wezbraną falą. Ada bezskutecznie próbowała wypłynąć na powierzchnię. Ołowiany ciężar spadł na jej ramiona i przycisnął do dna. Zatonęła w jednostajnym nurcie przechodniów, maszerujących ulicami jak zastępy nakręcanych zabawek. Wraz z napierającym ze wszystkich stron tłumem minęła pasy, kiosk, ciąg witryn sklepowych i szła dalej wyboistym chodnikiem, wzdłuż siatki, za którą sterczały przegniłe łodygi chwastów. W duszącej, gęstej mgle tonęły dźwięki, rozpuszczały się światła. Straciła orientację. Powodowana nagłym odruchem skręciła w ciemne podwórko i usiadła na ławce przy śmietniku. Pod palcami wyczuła spękaną fakturę łuszczącej się farby. To ją uspokoiło. Oderwała wyschnięty płatek i skruszyła go w palcach. Sawicki miał rację. Powinni odpocząć, na jedno popołudnie zapanować nad narastającą obsesją śledztwa i podreperować siły. Z głębi podwórka jak z dna studni dobiegło ujadanie psa. Ada uniosła głowę. Tuż nad nią sunął szary skudlony tuman. Wstała, całkowicie już opanowana poprawiła szal i naciągnęła rękawiczki. Wiedziała, jak zamierza spędzić resztę wieczoru.

Wizyta u fryzjera i kosmetyczki zajęła kilka godzin. Ada podgoliła włosy na karku, przycięła grzywkę, zapłaciła za oczyszczenie twarzy, maskę nawilżającą i woskowanie dłoni. O ósmej czuła się wypoczęta i zadowolona. W Domach Towarowych kupiła kolczyki i spodnie do jogi w przyjemnym ceglastym kolorze. Mijając lustro, skinęła z uznaniem

własnemu odbiciu, po czym zjechała ruchomymi schodami do podziemi, żeby w sklepie ze zdrową żywnością wybrać dwa ciemnoczerwone kawałki tuńczyka. Przed dziesiątą wróciła do domu, niosąc pod pachą butelkę wina. Filip-Oleńka obrzucił ją wrogim spojrzeniem i zamiauczał z wyraźną pretensją. Pochyliła się, żeby go pogłaskać, ale prychnął i uciekł spod jej dłoni.

– Przestaniesz się dąsać, kiedy zobaczysz, co przyniosłam na kolację – powiedziała wesoło, zdejmując buty.

Opłukała ręce i natychmiast zabrała się do smażenia ryby.

– Minuta z jednej i minuta z drugiej strony. Nie dłużej, bo mięso zrobi się twarde – tłumaczyła. Utłukła w moździerzu kolorowy pieprz, posiekała kolendrę.

Filip-Oleńka najzupełniej udobruchany ocierał się o jej nogi.

– Można też na surowo – ciągnęła, stawiając na podłodze pokrojoną rybę za sto pięćdziesiąt złotych. – Jak kto woli.

Kot ruszył tanecznym krokiem w kierunku miseczki.

– Ojciec na pewno by się ucieszył, gdyby zobaczył, jaką sprawiłam ci przyjemność za jego pieniądze. – Uśmiechnęła się i rzuciła drugi kawałek ryby na rozgrzaną oliwę.

* * *

Po kolacji wzięła długą, rozluźniającą kąpiel, otworzyła butelkę wina i z kotem na kolanach ułożyła się przed monitorem komputera, żeby obejrzeć film. Fabuła okazała się jednak wyjątkowo nużąca. Adę ogarnęła senność, głowa opadła jej na ramię. Gdzieś z daleka dolatywał ją jeszcze monotonny głos jednego z aktorów, ale ucichł powoli, gdy zanurzyła stopę w gęstych paprociach. W powietrzu unosił się zapach igliwia. Słoneczne pręgi cętkowały chłodną, zieloną ciemność, gdzieś po prawej stronie

szemrała woda. Na gałęzi przysiadł brunatny ptak i przyglądał się jej uważnie. Szła, nie pamiętając, dokąd zmierza, wiedziała jednak, że obrała właściwy kierunek. Po kilku krokach odnalazła ścieżkę, która prowadziła do mostku nad strumieniem, a potem na skraj lasu i przez łąkę, nad którą unosiło się jednostajne, pełne sytego ukontentowania bzyczenie owadów. Wokół Ady falowały rude pióropusze traw. Teren wznosił się łagodnie, ścieżka szerokim łukiem omijała skarpę. Wysoko na błękitnym niebie tańczył samotny biały obłoczek. Ada dotarła do piaszczystej drogi i bez namysłu skręciła w lewo. Minęła kępę sosen, leszczynowy zagajnik i zatrzymała się przed pomalowanym na zielono parkanem. Po drugiej stronie płotu przed drewnianym domem siedziała ciemnowłosa dziewczynka. Trzymała na kolanach kota.

– Co tu robisz zupełnie sama?

Dziewczynka odwróciła głowę.

– Utopili go w strumieniu – powiedziała.

Dopiero teraz spostrzegła, że zwierzę się nie porusza. Futerko było zmierzwione i mokre.

– Gdzie twoi rodzice? – zapytała ostro.

– Przyjeżdżali tu, kiedy byłam mała – spokojnie odpowiedziało dziecko, podnosząc martwego kota do twarzy. – Dawno ich nie widziałam.

Ada padła na kolana, wyciągnęła dłoń przez sztachety i chwyciła dziewczynkę za ramię.

– Wyrzuć go natychmiast! – krzyknęła i poczuła, jak ostre pazurki wbijają się w jej dłoń.

Filip-Oleńka miauczał i wyrywał się rozpaczliwie z miażdżącego uścisku.

– Przepraszam cię bardzo – wymamrotała półprzytomnie. – Byłam na działce. I wszystko wskazuje na to, że jutro będę musiała tam znowu

pojechać…

61

Zgodnie z przewidywaniem meteorologów w czwartek czternastego marca Warszawa i spora część Mazowsza zostały sparaliżowane przez mgłę tak zawiesistą i ciężką, że trudno było dojrzeć cokolwiek na odległość większą niż dwa metry. Ogromna, nabrzmiała deszczem chmura zawisła tuż nad ziemią, a ludzie brodzili w niej po omacku jak w chłodnym mleku. Marcin Sawicki minął sąsiada rodziców, który wyłonił się przed klatką niczym pokutujący duch blokowiska.

Nie pamiętał, gdzie wczoraj zaparkował samochód. Na szczęście stary opel stał jak zwykle przy sklepie monopolowym. Sawicki przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył radio. Prognozy nie brzmiały optymistycznie. Fatalna pogoda miała utrzymać się przez najbliższą dobę, w związku z czym usilnie doradzano korzystanie ze środków komunikacji miejskiej. Od rana w obrębie Warszawy zdarzyły się już dwa poważne wypadki i kilka pomniejszych stłuczek. Ignorując alarmujące komunikaty, zjechał z krawężnika i ruszył wolno w stronę Żoliborza. Bolały go uda i mięśnie ramion. Poprzedniego wieczoru spędził na siłowni aż dwie godziny. Z trudnością manewrował kierownicą. Czuł się jednak zdecydowanie lepiej. Zniknął ćmiący ból głowy i ustało nieznośne napięcie w karku, które nie opuszczało go od wielu dni. Po powrocie z siłowni natychmiast położył się spać. Obudził się dopiero o ósmej. Wypił kawę, udało mu się odbyć krótką, niezobowiązującą rozmowę z ojcem, po czym wyruszył na spotkanie z Adą.

Pół godziny później siedział w jej kuchni i patrzył z obrzydzeniem, jak gruby, brzydki kocur wylizuje opakowanie śmietany. Ada oparła się o parapet. Miała delikatny makijaż i staranną, wyjątkowo korzystną fryzurę.

– Coś nowego? – spytała.

– Dzwoniłem do Marka. Założyli podsłuch. Podobno obyło się bez problemów. Wpuścił ich ten młody ksiądz i natychmiast uwierzył w bajeczkę o kominiarzach. Na szczęście bliźniacy właśnie zamknęli dłuższą sprawę i wzięli kilkudniowy urlop, więc trzymają rękę na pulsie – ciągnął. – Na razie nie słyszeli nic interesującego. Z powodu śmierci Karola Gdański odwołał wszystkie spotkania, z wyjątkiem wizyty Piotra Zalewskiego. Powiedział podobno, że w obecnych okolicznościach musi się z nim jak najszybciej spotkać. Młody ma się pojawić na Pawlaczyka dzisiaj przed południem.

Ada wsunęła się na parapet i podciągnęła kolana pod brodę.

– Dlaczego muszą koniecznie widzieć się z Piotrem?

– W końcu w poniedziałek jego brat popełnił samobójstwo. Chłopak potrzebuje wsparcia. Zresztą niedługo się dowiemy. – Sawicki sięgnął po czajnik. Czuł się coraz swobodniej w mieszkaniu Ady. – Słuchaj – zaczął, próbując ukryć pretensję. – Rozmawiałem wczoraj z Wiktorem; powiedział, że Kapusta wyleciał z roboty.

Dotknęło go, że nie opowiedziała mu sama o całym zajściu.

– Ach tak – mruknęła bez zainteresowania.

– Dowiedziałem się też dlaczego. Oraz że masz swój udział w tej sprawie.

Ada drgnęła.

– Wiktor nie powinien nikomu o tym opowiadać. Ze względu na Dagmarę. Chyba jest wystarczająco inteligentny, żeby to rozumieć?

– Pani Dagmara poprosiła o przeniesienie. Od wtorku nie pojawia się w fabryce.

Ada nie spuszczała z niego wzroku.

– Nie będzie śledztwa ani rozprawy. Stary zawarł z Kapustą układ i posłał go w świat.

Nie zmieniła wyrazu twarzy, ale zbladła, a jej policzki zadrgały, jakby zaciskała szczęki.

– Ten facet jest niebezpieczny – ciągnął. – Nie pierwszy raz pobił i zgwałcił kobietę. Tymczasem policja… My sami pozwalamy mu wywinąć się z tego bezkarnie.

Ada potrząsnęła głową.

– Rozmawiałam z Dagmarą. – Westchnęła. – Miałam wrażenie… Nie, jestem pewna, że jeszcze w poniedziałek była absolutnie zdecydowana wnieść oficjalne oskarżenie. Nie mam pojęcia, dlaczego zmieniła zdanie. Sądzę, że komendant obrazowo przedstawił jej, jak wyglądają podobne procesy. Zapewne powiedział również, że nie ma wystarczających dowodów… Prawda wygląda tak, że sprawcom przemocy wobec kobiet zazwyczaj udaje się uniknąć kary. Wierz mi, widziałam to już wiele razy – dodała całkiem cicho.

– Przecież… – Sawicki zaczął gwałtownie, ale coś w wyrazie twarzy Ady kazało mu zamilknąć.

– Zaparzę herbaty – bąknął zmieszany i wyjął metalową puszkę z szafki nad zlewem.

Ada wstała i uchyliła okno. Na dworze zakwiliła rybitwa. Sawicki postawił dzbanek na stole.

– Niestety nie mam żadnego pomysłu, jak odnaleźć Magdę – zmienił temat. Z jakichś powodów czuł, że dotarł do granicy, której w żadnym wypadku nie powinien przekraczać. – Należałoby sprawdzić, czy używała

ostatnio karty kredytowej, ale do tego znowu potrzebujemy nakazu i pomocy Modzelewskiego.

Ada wzięła do rąk parującą filiżankę i pochyliła głowę, jakby w skupieniu coś rozważała.

– Myślałam… – powiedziała z wahaniem – zastanawiałam się nad tym… Nie można wykluczyć uprowadzenia. Chociaż taka opcja wydaje się mało przekonująca. Nie ma śladów włamania, bałaganu w mieszkaniu. Zazwyczaj porywacz zostawia trop… Chyba że zgarnęli ją na ulicy, ale musiałaby wyjść bez kurtki i na bosaka. Nie sądzę też, żeby nie żyła, minęło sporo czasu. Ktoś znalazłby ciało.

– Według mnie postanowiła się ukryć. – Sawicki stuknął palcem w blat stołu. – Kupiła nowe ubrania, może całkiem zmieniła wygląd, bardzo skrupulatnie zatarła ślady. Zakładam, że jej zniknięcie ma związek ze śmiercią Zofii.

Ada skinęła głową.

– Wagner zginęła w czwartek. W piątek Magda rozmawiała z matką przez telefon. A w sobotę nie przyszła na umówione spotkanie.

– Właśnie – przerwała. – Musiała się spieszyć. Jeśli rzeczywiście zmieniła wygląd, musiała się też bardzo bać…

– Do czego zmierzasz?

– Chodzi mi o to, że w takim stanie chciała zapewne znaleźć się w miejscu, które dobrze zna. W miejscu, w którym czułaby się bezpiecznie…

– No? – niecierpliwił się.

Ada odstawiła filiżankę.

– Czy rodzice Magdy mają działkę? – Zawiesiła głos, kładąc obie dłonie na blacie stołu.

Sawicki uniósł brwi, a potem wyjął z kieszeni komórkę i szybko wybrał odpowiedni numer.

– Halo? – w telefonie odezwał się znajomy głos.

Jakub Orłowski wysłuchał ze zdziwieniem pytania Sawickiego.

– Nie, nie mamy domku letniskowego; kiedyś nawet myśleliśmy, żeby kupić działkę niedaleko Warszawy, ale nigdy nie zrealizowaliśmy tych planów.

– A może ktoś z bliskiej rodziny? – nie dawał za wygraną Sawicki.

– Owszem – odparł Orłowski po chwili wahania. – Moja siostra jest właścicielką starej daczy i kawałka ziemi pod Osieckiem.

– Magda zna to miejsce?

– Tak… Jako dziecko jeździła tam z nami kilka razy. Ale działka już jakiś czas temu została wystawiona na sprzedaż i nikt z rodziny tam nie bywa.

– Czy Magda ma klucze do domku?

– Nie – padła zdecydowana odpowiedź. – To naprawdę mało atrakcyjne miejsce. Obok wybudowano magazyny Lidla. Dlatego nie sposób znaleźć kupca…

– Chcemy tam pojechać. Jeszcze dziś przed południem, jeśli to możliwe.

– Musiałbym skontaktować się z siostrą i poprosić o klucze… – głos Orłowskiego zdawał się głuchy i zrezygnowany. – To może potrwać kilka godzin…

– Pojedziemy bez kluczy.

– Jak uważasz – westchnął. – Mam w tej chwili dostawę z hurtowni, ale zadzwonię do żony i poproszę, żeby dała wam odpowiednie wskazówki.

Pani Małgorzata musiała czekać pod drzwiami, bo otworzyła, gdy tylko Ada nacisnęła guzik dzwonka. Miała na sobie szeroką podomkę. Włosy wymykały się w nieładzie z koka, a skóra na twarzy zwiotczała i opadła, jakby usunięto spod niej kości. Podwójny podbródek zwisał żałośnie nad pomarszczoną szyją. Sawicki odnotował, że bardzo schudła.

– Tutaj. – Pokazała odręcznie narysowaną mapkę.

Ada chciała ją odebrać, ale matka Magdy cofnęła rękę.

– Zaraz, najpierw wszystko wytłumaczę – powiedziała nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Zmartwienie związane ze zniknięciem córki spowodowało, że straciła na wadze, ale w najmniejszym stopniu nie wpłynęło na jej charakter.

– Proszę, przejdźcie państwo do salonu.

Usiedli grzecznie przy stole. Sawicki czuł się jak mały chłopiec, który odbywa kurtuazyjną wizytę u cioci.

– Brama powinna być otwarta. Bożena, siostra męża, ma dziwne pomysły – tłumaczyła, wykrzywiając z niesmakiem usta. – Nie lubi zamków ani kluczy. W każdym razie bardzo proszę nie zostawiać samochodu na drodze i nie blokować przejazdu. Zaparkujcie za ogrodzeniem, ale po prawej stronie, po lewej rosną drzewka owocowe. Jakub pomagał przy sadzeniu…

Sawicki westchnął. Wiedział, że nie ma sensu protestować. Instrukcja obsługi działki potrwa dokładnie tyle, ile pani Małgorzata uzna za stosowne. Po dziesięciu minutach, kiedy otrzymali już wszystkie niezbędne informacje, mapka pojawiła się na stole.

– Zaznaczyłam punkty charakterystyczne. Uważajcie przed Osieckiem. Tam jest ostry, źle wyprofilowany zakręt, łatwo stracić panowanie nad kierownicą, zdarzają się wypadki.

– Dziękuję. – Ada schowała kartkę do torebki.

Orłowska spojrzała na nią uważnie.

– Magdy tam nie ma – powiedziała zdecydowanie. – Możecie sprawdzić, ale nie ma jej tam. Jako dziecko lubiła to miejsce, teraz jednak tuż obok stoją ohydne magazyny, szosę słychać nawet w nocy. Ostatni raz pojechała do Osiecka z ojcem i ciotką dwa lata temu. Po kilku godzinach wróciła do Warszawy.

Równo o jedenastej minęli granicę miasta. Droga na mapce zdawała się prosta, dojazd nie powinien zająć więcej niż czterdzieści minut. Sawicki docisnął pedał gazu, ale natychmiast zahamował, bo tuż przed nimi wyłonił się z mgły zwalisty tył ciężarówki. Jechali więc dalej powoli, jak w mlecznym tunelu. Po obu stronach jezdni majaczyły wyprane z kolorów i pozbawione konturów nierzeczywiste kształty. Stary silnik hałasował coraz głośniej – najwyraźniej szkodziła mu wilgoć. Nie mieli ochoty na rozmowę. W milczeniu wpatrywali się w dryfujący nad ziemią tuman. A jeśli jej nie znajdziemy?, zastanawiał się Sawicki. Jeśli pani Małgorzata ma rację i Magdy rzeczywiście tam nie ma? Co nam pozostanie? Bezowocna rozmowa z Modzelewskim, nagana za samowolne prowadzenie śledztwa… A jeśli uda się znaleźć Magdę, czy pomoże wytropić mordercę? Kim jest nieuchwytny zabójca? I jakie związki łączą go z ruchem? Ada oparła czoło o boczną szybę. Wiedział, że myśli o tym samym.

– Tu powinieneś skręcić. – Wskazała zjazd.

Sawicki obrócił kierownicą i syknął cicho. Obolałe mięśnie dały o sobie znać. Jechali dwa kilometry wyboistą, źle wyprofilowaną szosą. W końcu zobaczyli pokryte żółtą farbą magazyny. Dalej kończył się asfalt. Działka siostry Orłowskiego znajdowała się po lewej stronie piaszczystej drogi. Wbrew zaleceniom pani Małgorzaty zaparkowali przed bramą. Sawicki

zerknął na komórkę. Nie odebrał siedmiu połączeń. Odgłos silnika musiał tłumić dźwięk telefonu.

– Bliźniacy dzwonili – mruknął. – Nie ma tu zasięgu. Sprawdzimy działkę, a potem wyjdę na szosę i dowiem się, o co chodzi.

Ada pchnęła furtkę. Natychmiast ustąpiła. Weszli na schodki prowadzące na niewielką werandę. Nikt nie odpowiedział na pukanie. Dom zdawał się opuszczony. Obeszli go dookoła. Mgła tłumiła odgłos kroków. Ada w milczeniu, jakby bojąc się przerywać ciszę, wskazała jedno z okien. Ktoś podważył przerdzewiałe zawiasy i wypchnął ramę wraz z okiennicami. Pusty otwór zastawił dyktą. Niewątpliwie zrobiła to osoba, która wiedziała, jak wejść do środka bez otwierania zamków. Sawicki wyjął rewolwer. Wymienili spojrzenia i wrócili na werandę. Ada nacisnęła klamkę, a on pchnął barkiem drzwi. Były zamknięte od wewnątrz tylko na haczyk, który natychmiast odskoczył i z brzękiem upadł na podłogę. Sawicki wpadł pierwszy do mrocznego wnętrza. Coś zakotłowało się w ciemnościach. Usłyszał przyspieszony oddech.

– Policja! – krzyknął, celując w kąt pokoju, po czym opuścił broń.

Skulona na kanapie młoda kobieta obserwowała go rozszerzonymi ze strachu oczami.

– Magda Orłowska? – zapytał, chociaż poznał ją natychmiast.

– Tak – odpowiedziała drżącym głosem. – Tak, to ja.

Ada zamknęła drzwi i włączyła światło. Zawieszona nad stołem lampa zabzyczała niepewnie. Sawicki rozejrzał się prędko po pokoju: dwa fotele, szafa, zakurzone półki z książkami. Na środku stał włączony piecyk olejowy. Magda cofnęła się w głąb kanapy.

– Pamiętasz mnie? – zapytał. – Widywaliśmy się w sklepie twojego ojca.

Przytaknęła.

– Rodzice cię szukają. Bardzo się niepokoją…

Nie odpowiedziała.

– Dlaczego ukrywasz się na działce?

Potrząsnęła głową. Zdążyła opanować drżenie rąk, wyprostowała się i opuściła skulone nogi.

– Dostali moją kartkę?

– Tak.

– A więc wiedzą, i pan również wie, że chciałam przez jakiś czas pobyć sama – odpowiedziała nerwowo. – Jestem pełnoletnia, nie popełniłam żadnego przestępstwa, policja nie ma prawa prowadzić poszukiwań wbrew mojej woli.

Sawickiego zbił z tropu jej napastliwy ton. Zorientował się, że przesłuchanie córki znajomego sprawi mu problem. Ada zmrużyła oczy. Zdjęła płaszcz, powiesiła go na kołku przy drzwiach, odsunęła krzesło i usiadła naprzeciw Magdy.

– Nie ma prawa. Chyba że w grę wchodzi morderstwo – zaczęła cicho. – Nie przyjechaliśmy tu dlatego, że martwiła nas twoja nieobecność. Aczkolwiek sądzę, że powinnaś prędko postarać się o solidniejszą kryjówkę. W końcu jeśli my cię znaleźliśmy, to inni też mogą…

Magda drgnęła.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa Zofii Wagner – ciągnęła Ada. – Znałaś ją?

Dziewczyna zbladła i chciała zaprzeczyć, ale Ada powstrzymała ją ruchem dłoni.

– Pomińmy zbędne podchody i zabawę w ciuciubabkę. Wiemy, że przyjaźniłaś się z Zofią. Jesteś ostatnią osobą, która dzwoniła do niej przed jej śmiercią. Nie mogliśmy zidentyfikować numeru, ale nagrałaś się na pocztę głosową. Rodzice rozpoznali twój głos.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

Ada przygryzła wargę.

– Nagranie można poddać analizie. Poza tym wspominasz o sklepie z winami ojca. Nadal nie wiesz, o co chodzi?

Magda milczała.

– Czego się boisz?

Odpowiedziała jej cisza.

– Zakładam, że nie zaskoczyła cię wiadomość o śmierci Zofii. Słyszałaś, że była w ciąży? Dwa dni temu ojciec dziecka, Karol Zalewski, popełnił samobójstwo.

Dziewczyna rzuciła jej szybkie, przerażone spojrzenie i zacisnęła konwulsyjnie dłonie.

– Magda – Ada mówiła wolno, zdecydowanie – wiemy, że Ruch Dzieci Niepokalanej, do którego należysz, jest zamieszany w morderstwo. Przyjaźniłaś się z Zofią, a zaraz po zabójstwie zniknęłaś bez śladu. W tej sytuacji trudno nie nabrać podejrzeń. – Głos Ady brzmiał teraz ostro. – Zastanów się dobrze, to bardzo poważna sprawa.

Magda szarpnęła się i ukryła twarz w dłoniach.

– Możesz zostać oskarżona o współudział w morderstwie – dokończyła zimno i zmarszczyła brwi.

– Ale ja nic nie wiem. – Dziewczyna uniosła zalaną łzami twarz. – Nie mam pojęcia, kto zabił Zofię!

– Posłuchaj. – Ada przysunęła się bliżej. – Jak długo zamierzasz się tu ukrywać? Sama, bezbronna? A jeśli ci ludzie, których się obawiasz, w końcu cię znajdą?

Dziewczyna potoczyła po pokoju wzrokiem spłoszonego ptaka.

– Jeżeli będziesz współpracować z policją, zapewnimy ci pełną ochronę. – Ton Ady złagodniał, brzmiał niemal ciepło.

Magda chwyciła ją za rękę.

– Obiecuje pani?

– Obiecuję – odpowiedziała z powagą.

Sawicki odetchnął głęboko. Magda rozpłakała się gwałtownie. Chwyciła oparcie kanapy i trzęsła się spazmatycznie. Ada czekała cierpliwie. W końcu pochyliła się i pogłaskała ją po głowie.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła. – Z nami nic ci nie grozi.

Dziewczyna odwróciła się, chwytając powietrze otwartymi ustami.

– Już nie mam siły… – wyszeptała.

– W porządku. – Ada wyprostowała się sztywno. – Musisz tylko powiedzieć, co się stało. Zacznijmy od początku. Jak poznałaś Zofię Wagner?

– Przez forum internetowe… To znaczy najpierw wymieniałyśmy posty, a potem odezwał się ojciec Gdański i…

W tym momencie na dworze rozległ się mrożący krew w żyłach wrzask, jak rozpaczliwy, łkający krzyk opętanej kobiety. Sawicki podskoczył i z niepokojem spojrzał w okno.

– To płomykówka – wyjaśniła Magda, nadal tłumiąc szloch. – Mieszka na skraju lasu. Normalnie odzywa się wieczorami, dzisiejsza mgła musiała ją zmylić – dodała już spokojniej.

– Wróćmy do sprawy Zofii Wagner. – Ada rzuciła Marcinowi karcące spojrzenie.

– Poznałyśmy się przez forum Nowa Wiara – podjęła płynnie Magda. Paradoksalnie przerażający śpiew ptaka wpłynął na nią kojąco. Przestała płakać. – Nie używałyśmy nicków – ciągnęła. – Administrator strony

apelował do użytkowników o szczerość. Teoretycznie wszyscy zalogowani występowali pod własnym nazwiskiem. Interesował nas ten sam temat: Dzieci Niepokalanej. Ja czułam się odrzucona. Nie rozumiałam, dlaczego wspólnota odsunęła się ode mnie. Za wszelką cenę próbowałam wrócić. Tymczasem Zofia była nastawiona wrogo. Po tym jak Karol wstąpił do seminarium…

Spojrzała na nich pytająco.

– Znamy historię narzeczonego Zofii, możesz ją pominąć. – Ada oparła łokieć na blacie stołu.

– Wymieniałyśmy posty przez kilka tygodni. Cały czas broniłam ruchu, a ona najwyraźniej postanowiła mnie zniechęcić. W pewnym momencie poczułam się mocno tym zmęczona. Dostawałam po kilka wiadomości dziennie. Zofia zachowywała się tak, jakby cierpiała na obsesję. Postanowiłam więcej nie odwiedzać forum, ale zadzwonił ojciec Gdański i… – Znowu rzuciła im pytające spojrzenie.

Sawicki skinął głową.

– Ten telefon bardzo mnie poruszył. Nigdy wcześniej z nim nie rozmawiałam. Słyszałam, że ciężko choruje, rzadko pojawiał się na spotkaniach… Wśród członków ruchu panowało przekonanie, że ojciec założyciel cierpi za nasze grzechy… – Nabrała powietrza. – Tymczasem zaprosił mnie do domu.

– Na Pawlaczyka?

– Tak.

– O czym rozmawialiście?

– Nie umiem dokładnie odtworzyć przebiegu spotkania, choć kilkakrotnie się nad tym zastanawiałam. – Magda pokręciła głową. – Pamiętam tylko, że wyszłam całkowicie odurzona, w takim dziwnym, euforycznym nastroju. Miałam wrażenie, że ten człowiek wie o mnie

wszystko, że rozumie moje problemy i pragnie mi pomóc. Czułam się szczęśliwa. Wcześniejsze odrzucenie przez ruch nabrało sensu. Wyjaśnił, że była to próba wiary, którą przeszłam pozytywnie. „Otworzyły się dla ciebie wrota do świętości”, tak się wyraził…

– Kiedy odbyła się ta rozmowa?

– W styczniu – odpowiedziała bez wahania. – Na samym początku stycznia.

– A jaki ma to związek z Zofią Wagner?

– No właśnie. – Magda otarła twarz rękawem bluzy. – Pod koniec spotkania ojciec wspomniał, że słyszał o mojej internetowej przyjaźni. Nie zdziwiłam się. Nie pojmuję teraz dlaczego… Chyba myślałam, że jest obdarzony specjalną łaską… Jasnowidztwem… – Poprawiła się nerwowo na kanapie. – Nazwał Zofię „zbłąkaną, nieszczęśliwą owieczką” i prosił, żebym ją wsparła, skoro sama znalazłam schronienie w ramionach Maryi. „Umówcie się”, powiedział. „Przecież mieszkacie bardzo blisko”. To akurat pamiętam dokładnie, bo mówił dobitnie, jakby w punktach dyktował instrukcje. Ostrzegł, że na razie nie należy przekonywać jej do ruchu. Sugerował, żebym najpierw, grając rolę osoby wątpiącej, zyskała zaufanie Zofii, uważnie słuchała tego, co mówi, a potem przekazywała zebrane informacje. Miał się nad nimi zastanawiać i ustalić najlepszą strategię na przyszłość. „To niezwykle ważne dla naszej wspólnoty”, dodał. „Nie każdemu powierzamy opiekę nad błądzącymi. Do ciebie mamy jednak pełne zaufanie”.

Sawicki chciał jej przerwać, ale w tym momencie zza domu dobiegło trzaśnięcie furtki i wypadki potoczyły się z zawrotną szybkością.

– Stać! Policja! – usłyszał ostry głos.

Poderwał się natychmiast. Ada błyskawicznie wyciągnęła rewolwer. Przemknęło mu jeszcze przez myśl, że nigdy wcześniej nie widział, żeby

nosiła broń, skoczył do drzwi i wypadł na dwór. Jakaś wysoka, silna postać oderwała się od okna i uskoczyła w bok. Z mgły wychynęły znajome sylwetki bliźniaków.

– Łap go! – wrzasnęli jednocześnie i w następnej chwili zniknęli w wilgotnych, gęstych oparach.

Sawicki puścił się pędem za nimi. Kluczył między drzewami. Niewyraźne, rozmazane cienie to wydłużały się, to malały, przypadając do ziemi. Miał wrażenie, że krople mgły rosną, pęcznieją i zmieniają się w zawieszony w powietrzu nieruchomy deszcz.

– Tam! – usłyszał głos jednego z bliźniaków.

Potknął się o porzucone wiadro. Wpadł między kolczaste zarośla. Niespodziewanie wyrósł przed nim parkan. Chwycił sztachety i sam sobą zdumiony przesadził go jednym susem. Zmęczone po wczorajszym treningu mięśnie zadrgały ostrzegawczo, ale zdołał utrzymać się na nogach. Skręcił w rzadki sosnowy las. Policjanci rozproszyli się wśród drzew, próbując otoczyć uciekającego. Perspektywa płatała im figle. Sawicki zobaczył tuż przed sobą młodego mężczyznę.

– Stój! – krzyknął.

Uniósł rewolwer, ale postać oddaliła się o wiele metrów i przepadła w gęstwinie. Zwolnił. Gdzieś po prawej stronie trzasnęła gałązka. Nie potrafił ocenić, blisko czy daleko. Skłębiony, siny opar tłumił dźwięki. Ktoś stał skulony przy kępie rosochatych krzewów. Widział zgarbione plecy, ramiona i pochyloną głowę. Przyczaił się, sprężył… Usłyszał delikatny szelest suchych liści i przyspieszony, urywany oddech przeciwnika. Zaczerpnął powietrza, skoczył i zamknął w żelaznym uścisku spróchniały pień wierzby. W tym momencie z oddalonego o niecały metr parowu wyskoczył mężczyzna w krótkiej wełnianej kurtce i pognał przed siebie.

Sawicki zaklął i ruszył w las. Z lewej strony nadbiegli bliźniacy. Człowiek w wełnianej kurtce znowu przepadł we mgle.

– Kurwa mać! – bluznął Marek lub Wojtek.

Sawicki nie odpowiedział. Zatoczyli łuk. Zbliżali się teraz do żółtych magazynów. Po prawej stronie zobaczył zarys domku. Nagle ziemia usunęła mu się spod stopy. Zmęczone mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Stracił równowagę, noga uwięzła w rozpadlinie między korzeniami. Nie mógł jej oswobodzić. Z oddali dobiegło wołanie. Zacisnął szczęki, szarpnął, coś chrupnęło złowrogo, ale zdołał się uwolnić. W ostatniej chwili wypadł na piaszczystą drogę i rzucił się w stronę odjeżdżającego samochodu. Jeden z bliźniaków otworzył drzwi.

– Wsiadaj! – krzyknął.

Wykonał desperacki skok i wylądował na tylnym siedzeniu.

– Marek? – zapytał słabo.

– Nie, Wojtek, Marek prowadzi. Kurwa, nic nie widać w tym gównie!

Błysnęły czerwone światła. Na drogę wypadł samochód osobowy i pognał z piskiem opon ku głównej szosie. Marek docisnął gaz.

– Dlaczego nie odbierasz telefonów? – warknął.

– Tu nie ma zasięgu.

Podskoczyli na wybojach.

– Ucieka w kierunku Warszawy!

Wojtek odwrócił napiętą, spoconą twarz.

– Zapnij pasy! – zakomenderował.

Marek opuścił szybę i wystawił koguta na dach. Byli tuż za ściganym samochodem, Sawicki widział, że to sportowa honda, ale nie potrafił odczytać numerów.

– WZ 2… WZ 2… – powtarzał cicho.

Droga co chwila skręcała. Po paru minutach z mgły wyłoniły się ciemne budynki, kościół i zarys rynku. Ktoś krzyknął niebezpiecznie blisko samochodu. Nie zwolnili. W dzikim pędzie minęli miasteczko i gnali dalej. Honda oddalała się od nich powoli, ale nieodwołalnie.

– Zwieje nam – jęknął Wojtek.

Nie mieli szans w wyścigu z dobrym sportowym samochodem. Poruszali się w nierzeczywistym, pustym krajobrazie jak z koszmarnego snu. Zarysy mijanych domów i zabudowań gospodarskich puchły i potworniały we mgle. Na poboczu majaczyły fantastyczne formy niby bezkształtne ruiny: ściany wypalonych budynków sterczące w niebo, połamane wieże, samotne kikuty kominów. Pojawiały się na mgnienie i natychmiast tonęły w skłębionej wacie. Syrena policyjna zawodziła żałośnie. I był to jedyny dźwięk, jaki rozpraszał chorobliwą ciszę. Nagle szosa skręciła w lewo. Marek zbyt gwałtownie szarpnął kierownicą i zboczył na lewy pas. Tuż przed sobą zobaczyli zbliżającą się maskę tira.

– Ja pierdolę! – jęknął któryś z bliźniaków.

Zahamowali. Samochód wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni. Tir przemknął obok niczym dryfująca góra lodowa, a policjantów odrzuciło w stronę przydrożnego budynku. Sawicki zacisnął powieki. Oczekiwał uderzenia, ale wstrząs nie nastąpił. Jakimś cudem koła odzyskały przyczepność. Zwolnili. Marek wrócił na szosę i ruszył dalej dymnym korytarzem. Nikt się nie odezwał. Sawicki słyszał przyspieszone oddechy bliźniaków. Po czole spłynęła mu gruba kropla. Czerwone światła hondy przygasły w oddali i zniknęły. Wiedzieli, że już jej nie dogonią, mimo to skulony nad kierownicą Marek dociskał pedał gazu. Przemknęli obok kolejnych zabudowań, przecięli skrzyżowanie; z daleka doleciał ich przeciągły gwizd lokomotywy. Sawicki miał właśnie powiedzieć, że powinni się poddać, zrezygnować z pościgu i wrócić na działkę, kiedy

znowu błysnęły światła. Jak na zwolnionym filmie zobaczyli ściganą hondę, która obróciła się wokół własnej osi, a potem wypadła z zakrętu, przeleciała nad rowem i uderzyła w rosnące na poboczu drzewo. Usłyszeli huk. Samochód rozpłaszczył się niczym blaszana zabawka i znieruchomiał, wbity w potężny pień. Marek zahamował. Zatrzymali się na środku szosy. Ktoś otworzył drzwi dymiącego wraku i szedł w ich stronę ciężki, spowolniony, jeden krok, drugi, a potem upadł i znieruchomiał. Policjanci patrzyli przed siebie w niemym osłupieniu. Sawicki oprzytomniał pierwszy. Otrzeźwił go ostry, uporczywy dźwięk syreny. Poczuł w nozdrzach gryzący zapach paliwa. Zdeformowana felga potoczyła się po asfalcie. Drgnął. Krzyknął coś niezrozumiale i wyskoczył z samochodu. Podbiegł do bezwładnego ciała. Ukląkł na mokrej ziemi, ale natychmiast cofnął się z przerażeniem, bo wydało mu się, że patrzy w twarz Karola Zalewskiego. Zaraz jednak zrozumiał swoją pomyłkę. Mężczyzna, który przed nim leżał, miał młodszą, szczuplejszą twarz, wyraźnie zarysowaną szczękę i kilkudniowy zarost. Z ust płynęła mu krew. Nie zauważył pochylonego nad nim policjanta. Ze zdumieniem wpatrywał się w niebo. Drżąc konwulsyjnie, chwytał palcami grudki ziemi. W pewnym momencie rozluźnił się, złagodniał, westchnął, jakby chciał coś powiedzieć, po czym odetchnął ostatni raz i jego oczy wypełniła pustka. Sawicki sięgnął do kieszeni wełnianej kurtki i wyjął nowiutkie prawo jazdy. „Piotr Zalewski”, przeczytał, prostując się nad ciałem.

– Nie żyje? – Jeden z bliźniaków złapał go za ramię.

– Nie żyje – odpowiedział i pokazał mu dokumenty. – Nic dziwnego, że rozbił się w takich warunkach. Chłopak trzy dni temu został kierowcą – dodał i jęknął głucho.

Dopiero teraz poczuł okropny, pulsujący ból w prawej łydce.

62

Sawicki siedział przy pogiętym wraku hondy. Bezwładna noga leżała jakby osobno – obcy, złowrogi kawał ciała, przynoszący nieznośne cierpienie. Zaciskał szczęki, postękując cicho. Bliźniacy zadawali pytania, których nie rozumiał i na które nie potrafił odpowiedzieć. W końcu odeszli w stronę szosy wezwać karetkę. W zmętniałym umyśle Sawickiego pojawiały się straszne obrazy. Niby w męczącym gorączkowym śnie widział przed sobą sine, opuchnięte ciało Zofii Wagner, nienaturalnie wykręcone dłonie, splątane włosy, porzucony młotek z plamami krwi. Pijana Beata z czwartego piętra, ubrana tylko w kostium kąpielowy, machała ręką wychyloną przez balustradę schodów. Emerytowany żołnierz salutował, stojąc w otwartych drzwiach mieszkania. Para gejów patrzyła na niego dziwnym nieruchomym wzrokiem.

– Zdaje się, że przez pana spłonęła mała dziewczynka – powiedział jeden z nich.

Zaskomlał, w jednej ręce ściskając prawo jazdy Piotra, drugą skrobiąc ziemię ni to z bólu, ni to z rozpaczy. W przebłysku świadomości dotarło do niego, że mała Zula żyje. Wyszła ze szpitala. Wróciła do pogodzonej rodziny. A potem zaczął gwałtownie dygotać i znowu zapadł w duszące majaki.

Nierzeczywiste miasto wznosiło się na tle pustynnego krajobrazu. Przez złowieszcze opary przebijały promienie skarlałego słońca. Tuż nad

horyzontem zawisła upiorna postać kobiety otulonej płaszczem… Sawicki skulił się przejęty grozą i pewno zaszlochałby jak dziecko, gdyby ktoś nie chwycił go za ramiona i nie dźwignął w górę.

– Karetka już jedzie. – Jeden z bliźniaków pochylał się nad nim z niepokojem w oczach. – Już po wszystkim.

Po wszystkim, pomyślał, trzeźwiejąc. Po dwóch tygodniach dochodzenia na końcu zawikłanego korowodu zdarzeń z mgły wychynął ubrany w wełnianą kurtkę chłopak, o którego istnieniu słyszał tylko raz, kiedy Ada relacjonowała rozmowę z Mikołajem Zalewskim. Wtedy dowiedział się, że Karol miał młodszego brata, wychowanego w sekciarskiej szkole, całkowicie podporządkowanego matce i bez reszty oddanego ruchowi. Nie zwrócił na tę informację najmniejszej uwagi. Tymczasem on właśnie okazał się brakującym pionkiem, tajemniczym aktorem, którego reżyser wypuścił zza kulis w ostatnim akcie sztuki. Śledztwo dobiegło końca. Morderca Zofii Wagner nie żył. W takich chwilach czuł zazwyczaj satysfakcję z dobrze spełnionego obowiązku, tym razem jednak nie opuszczało go dziwne uczucie żalu. Przed oczami nadal widział bladą, zdumioną twarz leżącego na ziemi mężczyzny, który sięgał wzrokiem wysoko, ponad jego głowę, ponad skłębioną mgłę, tam gdzie powyżej chmur rozciągał się jasny, nieskalany błękit nieba.

– Macie przy sobie nóż? – zapytał. – Puchnie mi noga. Trzeba rozciąć spodnie.

63

Bliźniacy jedli kanapki kupione w policyjnym bufecie. Dochodziła piąta. W pokoju Ady i Sawickiego na drugim piętrze Pałacu Mostowskich panował półmrok. Zza okna dolatywał szum miasta – cichy, równomierny odgłos, podobny leniwemu bzyczeniu pszczół w późnojesiennym ulu. Wojtek wyciągnął umazany masłem kawałek szynki i cisnął go do kosza.

– Nie cierpię padliny – sarknął.

Ada zalała kawę. Postawiła na biurku trzy parujące kubki i zerknęła na komórkę.

– Za godzinę powinnam wrócić do przesłuchania Magdy Orłowskiej. Chciałabym wcześniej wiedzieć, co się właściwie stało.

– Zbój nie żyje. – Marek wzruszył ramionami. – Słyszeliśmy, jak Zalewski gadał z Gdańskim, nie można się było dodzwonić do Sawoja, więc…

– Czekaj, czekaj, po kolei – przerwała. – Kiedy po raz pierwszy się zaniepokoiliście?

– Chwilę po dziesiątej. Jedliśmy śniadanie, siedząc na podsłuchu. – Wojtek spojrzał z obrzydzeniem na nadgryzioną kanapkę i odłożył ją na biurko. – Ten cały Czarnota i ten Gdański odbyli bardzo dziwną rozmowę. Gdański był zdenerwowany, Czarnota próbował go uspokoić. Tłumaczył, że śledztwo zostało zamknięte, a Algierski trzyma rękę na pulsie. Sama rozumiesz, że taka wymiana zdań nas zaintrygowała.

Ada odchyliła się na krześle.

– Wtedy Gdański nazwał tego drugiego idiotą. Powiedział, że zdarzyło się coś, czego żaden z nich nie przewidział. Sądzę, że miał na myśli samobójstwo kleryka. Oświadczył, że nie stać ich na popełnianie kolejnych błędów. I kazał dzwonić po Zalewskiego.

– Nie – przerwał Marek. – Po Zalewskiego dzwonili wcześniej. Z samego rana.

– Racja. – Wojtek sięgnął po kawę. – W każdym razie niedługo potem przyszedł młody i Gdański zamknął się z nim w sąsiednim pokoju. Musieli usiąść tuż pod przewodem wentylacyjnym, odbieraliśmy ich idealnie.

– Ksiądz rozwodził się najpierw nad tym, jak ważną rolę w ruchu odgrywał Karol – podjął drugi bliźniak. – Zaproponował modlitwę za duszę zmarłego. Trochę nas to zniechęciło. Miałem nawet wyskoczyć po piwo, ale zostałem, bo w końcu wstali z klęczek i przeszli do meritum. Muszę przyznać, że Gdański sprytnie to sobie wymyślił. Przygotowywał starannie chłopaka przez dobre czterdzieści minut.

– „To, czego Bóg od nas żąda, może czasem wydać się absurdalne” – Wojtek naśladował ciepły, przepojony łagodnością głos księdza. – „Sam najlepiej wiesz, jak ciężkie bywają próby wiary. Jesteś wyjątkowy, chłopcze. Bóg obdarzył cię łaską. I ty na tę łaskę odpowiedziałeś. Broniłeś brata przed działaniem szatana. Nie zawahałeś się przed czynem, który w innych wzbudziłby przerażenie. I choć trudno uwierzyć, aby Ojciec Niebieski pragnął śmierci ciężarnej kobiety, ja wiem i ty też wiesz doskonale, że prawdziwy Bóg jest Bogiem rzeczy nieprawdopodobnych, których niepodobna ogarnąć ludzkim umysłem. Ocaliłeś brata, a jednak Pan wezwał go do siebie. Niezbadane są wyroki Najwyższego”. I tak dalej, i tak dalej. A ten smarkacz słuchał, nie protestując i nie zadając pytań.

– Wtedy zdenerwowaliśmy się nie na żarty i zaczęliśmy dzwonić do Sawoja. Nie odbierał. Muszę przyznać, że wszyscy – Marek rzucił Adzie uważne spojrzenie – cała nasza czwórka nieźle się popisała. Nikomu nie przyszło do głowy, że powinniśmy mieć również twój numer.

Ada uśmiechnęła się lekko.

– I co dalej?

– Gdański tłumaczył coś mętnie… – Marek zmarszczył brwi, próbując odtworzyć dokładnie słowa księdza. – „Im trudniejszy do zrozumienia rozkaz niebieski, tym większa zasługa naszego zaufania”… czy jakoś tak. W każdym razie chodziło o to, że Zalewski ma nowe zadanie. Piotr odpowiedział tylko: „Tak, ojcze”, jak jakiś pieprzony żołnierz na odprawie. I Gdański przeszedł do sedna. Oświadczył, że zło, które wcześniej czyhało na Karola, w tej chwili zagraża całemu ruchowi. Przy okazji podkreślił jednak wyraźnie, że jeśli młoda Orłowska złoży zeznania na policji, to Piotra i tylko Piotra czeka wyrok, a potem wieloletnie więzienie. Z dalszej rozmowy wynikało, że sekta od dawna wie, gdzie ukrywa się Magda. Ta mała jest głupia jak paczka gwoździ. Wspominała o działce ciotki jednej z sekciarskich koleżanek. Wyśledzili ją bez trudu. „Domek jest drewniany”, wtrącił mimochodem Gdański. „W takich starych daczach łatwo o pożar. Nie spiesz się, dziecko”, dodał. „Masz sporo czasu. Słuchaj głosu Pana”. I tyle. Nie padło słowo „podpalenie”, ale sugestia była jednoznaczna. Piotr odpowiedział znowu: „Tak, ojcze”. I zaczął się zwijać.

– Poszczęściło się nam – mruknął Wojtek. – Gdański podyktował mu dokładny adres i instrukcje dojazdu na działkę, więc znowu zaczęliśmy do was dzwonić. Straciliśmy w ten sposób dwadzieścia minut i w końcu postanowiliśmy jechać pod Osieck sami. W tej cholernej mgle podróż zabrała prawie godzinę. Na miejscu zastaliśmy zbója przyczajonego pod

oknem. Chyba planował akcję na wieczór. Wystarczyło poczekać, aż Magda zaśnie, i puścić budę z dymem. Resztę już wiesz…

Ada skinęła głową.

– Dziękuję. Bez was ta sprawa potoczyłaby się pewno inaczej…

– Niby dlaczego? Byliście z Sawojem na miejscu.

Bliźniacy zdawali się zmieszani. Marek bębnił palcami po stole.

– Zbieramy się – oświadczył Wojtek. – Zostało nam jeszcze kilka dni urlopu i mamy zamiar porządnie je wykorzystać, zamiast uganiać się po lesie za religijnymi maniakami.

Obaj wstali i nie patrząc w jej stronę, ruszyli do drzwi.

Ada poszła do łazienki. Opłukała twarz zimną wodą, przetarła oczy, po czym oparła się o parapet i zaczęła uważnie studiować zeszyt z notatkami. Podkreśliła parę zdań czerwonym długopisem, przerzuciła kartkę i po kilkunastu minutach poczuła się odpowiednio przygotowana do kolejnej rozmowy. W pokoju przesłuchań czekała Magda Orłowska. Była blada, miała zmierzwione włosy i brudną, lekko opuchniętą twarz. Ada rzuciła jej krótkie, badawcze spojrzenie.

– Gotowa? – zapytała, rozkładając na stole protokół.

Dziewczyna spojrzała wyczekująco.

– O ile dobrze pamiętam, przerwałyśmy twoją opowieść gdzieś na początku stycznia. Konkretnie w momencie, w którym ojciec Gdański zaproponował ci pewną misję. – Usiadła i nacisnęła guzik dyktafonu. – Chodziło o śledzenie Zofii Wagner.

– To nie było śledzenie – zaprotestowała Magda i natychmiast się rozpłakała.

Skrzyżowała ramiona na stole, oparła na nich czoło i dygotała konwulsyjnie. Urywany szloch zaczął przechodzić w histeryczny spazm.

Ada poruszyła się niespokojnie.

– Musisz się natychmiast opanować. – Nie podniosła głosu, ale mówiła stanowczo i wyraźnie. – To nie przedszkole, ale rozmowa na policji.

Magda uniosła głowę.

– Nie masz powodu użalać się nad sobą – Ada ciągnęła zimno, prawie lodowato. – Pomyśl, zginęły trzy osoby. Tobie się udało. Jesteś teraz bezpieczna.

– Nie użalam się. – Dziewczyna spojrzała na nią ze złością.

– Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło – ton Ady ani na chwilę nie łagodniał. – Dam ci trochę czasu. Pójdę zagotować wodę – powiedziała, wyłączając dyktafon. – Po powrocie chcę cię zobaczyć spokojną i gotową na przesłuchanie. Zrozumiałaś?

Magda nie odpowiedziała.

Dziesięć minut później siedziała wyprostowana na krześle, ściskając w dłoni chusteczkę. Ada podała jej herbatę.

– Co się zdarzyło w styczniu? – zapytała twardo.

– Zaprzyjaźniłam się z Zofią – odpowiedział jej słaby, ale opanowany głos. – Tak jak sugerował ojciec Gdański, odezwałam się do niej na forum. Ucieszyła się. Odpisała, że kontakt ze mną jest dla niej bardzo ważny. Zaproponowałam więc spotkanie w realu, a ona natychmiast na nie przystała. – Magda oparła czoło na dłoni. – Wydaje mi się – bąknęła cicho – myślę, że w tamtym momencie bardzo potrzebowała bliskości. Wybrała mnie na powierniczkę, bo grałam przed nią rolę osoby skrzywdzonej przez ruch… – Po jej policzkach znowu spłynęły łzy, ale natychmiast wytarła oczy. – Przez pierwszy miesiąc przekazywałam ojcu Gdańskiemu wszystkie nasze rozmowy – podjęła. – Interesował się tylko tym, co mówiła na temat ruchu. Ale było to zawsze mniej więcej to samo: że Karol został złamany, że Dzieci Niepokalanej to sekta, która prowadzi nielegalną działalność

i inwigiluje swoich członków. Ojciec pytał kilkakrotnie, na czym Zofia opiera swoje podejrzenia. Zgodnie z prawdą odpowiadałam, że nie mam pojęcia.

– Nie zdziwił cię upór Wagner? Nie miałaś poczucia, że w jej słowach może kryć się coś ważnego?

– Nie – zaprzeczyła zdecydowanie. – Wiem, pani uważa, że ojciec Gdański mną manipulował, że jestem głupia i słaba – dodała z egzaltacją. – Ale Zofia naprawdę zachowywała się obsesyjnie, godzinami monologowała na temat ruchu, wspominała Karola, szczegółowo, krok po kroku opisywała jego przemianę. Słyszałam tę historię co najmniej dwadzieścia razy. Nic innego jej nie interesowało. Momentami miałam wrażenie, że obcuję z wariatką. – Wykonała nieokreślony ruch ręką. – Tylko czasami miała ochotę pogadać o czymś innym. Raz poszłyśmy do kina, raz na koncert, któregoś wieczoru wzięłam wino ze sklepu ojca i ją odwiedziłam. Przez chwilę była po prostu miłą, wesołą dziewczyną, z którą miałam ochotę przebywać… – Urwała niespodziewanie. – Może… – podjęła po chwili – może nikomu poza mną się nie zwierzała i stąd ta natarczywość… – Usta Magdy zbielały.

– Dobrze – przerwała pospiesznie Ada. – Spotykałyście się. Zofia w kółko opowiadała te same historie, a ty przekazywałaś je ojcu Gdańskiemu. Jak długo to trwało?

Magda sięgnęła po herbatę i pochyliła twarz nad kubkiem. Ada zauważyła, że ramiona znowu jej drżą. Powstrzymywała płacz.

– Na początku lutego – powiedziała w końcu, odstawiając kubek – sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Pamiętam dobrze, bo akurat dostałam zaległe pieniądze za tłumaczenia. Wieczorem pomyślałam, że do niej wpadnę. Byłam w dobrym nastroju, kupiłam winogrona i pudełko czekoladek. Miałam nadzieję, że tym razem uda się nam porozmawiać na

obojętne tematy. Chyba zaczynałam ją naprawdę lubić… – Znowu przerwała i przycisnęła chusteczkę do ust. – Ale tamtego dnia… – zaczerpnęła powietrza – tamtego dnia zastałam Zofię pobladłą i milczącą. Wiedziałam, że zdarzyło się coś złego. Zapytałam więc wprost, czy jej stan ma związek z Karolem. „Nie i tak”, odpowiedziała. A potem głosem pozbawionym emocji oświadczyła, że zaszła w ciążę. – Magda umilkła. Piła herbatę krótkimi łykami.

– Opowiadaj dalej – zachęciła Ada.

– Wtedy też dowiedziałam się o istnieniu Jerzego – podjęła. – Chłopaka, którego poznała na terapii grupowej i z którym spędziła kilka miesięcy. Zofia przyznała, że nie traktowała tego związku serio. Ale sporo czasu spędzili w łóżku i nie zawsze się zabezpieczali.

– To nie było dziecko Wójcika – przerwała Ada. – Ojcem był Karol Zalewski. Nigdy nie wspominała, że widzieli się pod koniec grudnia?

– Nie – padła zdecydowana odpowiedź. – Nie miałam o tym pojęcia.

– Dziwne. – Ada obróciła w palcach długopis. – Musiała brać pod uwagę tę drugą możliwość…

– Może z nim akurat uważała? – podsunęła Magda. – Antykoncepcja czasem zawodzi… A może wyparła to zdarzenie?

– Zostawmy tę sprawę. – Ada otrząsnęła się z zamyślenia. – Zofia nie żyje, nie dowiemy się nigdy, co myślała. Wróćmy do tego, co wiesz. Czy Wagner wspomniała, że chce usunąć ciążę?

– Tak. Kilka dni później. Powiedziała coś jeszcze… Coś dziwnego, że zbyt dużo czasu spędziła w letargu niezdolna do podejmowania decyzji i ma zamiar zmienić swoje życie. Od tego czasu skończyły się obsesyjne monologi na temat ruchu. Ze względu na oczekiwania ojca Gdańskiego starałam się wrócić do porzuconego tematu, ale Zofia bardzo wyraźnie

ucinała wszelkie rozmowy. „Koniec gadania”, oznajmiła kiedyś. „Zebrałam przeciw nim dowody i teraz ich użyję”.

Ada wzmogła czujność.

– Przekazałaś tę informację na Pawlaczyka?

– Tak.

– I co na to Gdański?

– Chyba się zdenerwował. Ale kiedy zaczęłam się niepokoić i pytać, co Zofia ma na myśli, wytłumaczył, że to jej kolejna obsesja. Prosił też, żebym za wszelką cenę próbowała nakłonić ją do rozmowy z Wójcikiem. „Tu chodzi o nienarodzone życie”, apelował. „Jeśli ty jej nie przekonasz, może uda się to ojcu dziecka. Spróbuj wytłumaczyć Zofii, że to również jego problem. Ta dziewczyna odbiera ojcu prawo do podjęcia jednej z najważniejszych decyzji w życiu”.

– Powierzył ci kolejną trudną misję – skrzywiła się Ada.

– Niespecjalnie trudną – westchnęła Magda. – Zofia była wierząca. Wspomniała nawet, że w czasach wczesnostudenckich zaangażowała się w ruch pro-life…

– Bardzo się zmieniła… – Ada zmarszczyła brwi. – Ruch pro-life, a kilka lat później seks bez zobowiązań z dużo młodszym mężczyzną.

– Na pewno jej radykalizm z biegiem lat mocno przygasł, ale kwestia aborcji nadal stanowiła tabu. Miała zasadniczy problem z usunięciem ciąży. Wciąż przekładała datę zabiegu. Tymczasem kończył się trzeci miesiąc, musiała podjąć jakąś decyzję. Zaczęłam kuć żelazo, póki gorące…

Magda urwała, jakby zawstydzona tym kolokwialnym zwrotem, i całkiem niespodziewanie znowu się rozpłakała. Ada nie próbowała jej uspokoić. Czekała cierpliwie, aż ucichnie.

– Cały czas wspominałam o Jerzym – opowiadała Magda, szlochając. – Zofię to irytowało. „Mam inne, znacznie poważniejsze problemy,

powinnam jak najszybciej rozprawić się z sektą”, mówiła. Tym razem ojciec Gdański zdenerwował się nie na żarty. Był wzburzony, prawie krzyczał, że koniecznie jak najszybciej muszę przekonać ją do rozmowy z Jerzym. Naprawdę się przestraszyłam. Zaczęłam podejrzewać, że dzieje się coś złego. Zachowywałam się tak, jakbym była dwiema zupełnie różnymi osobami. Jedna bezmyślnie wykonywała rozkazy ojca Gdańskiego, druga zaczęła się buntować przeciw szpiegowaniu i niepokoić…

– Wróćmy do Zofii – przerwała szorstko Ada. – Co dalej?

– Moja gorsza strona zwyciężyła. – Twarz Magdy skurczyła się i zadrgała. – Przekonałam Zofię. Odwołałam się do jej sumienia, tłumaczyłam, że ubezwłasnowolnia i odziera z godności drugą osobę. Przypuściłam atak, który trwał wiele dni. Chociaż może to nie ja… – zawahała się. – Może i bez moich sugestii Zofia porozmawiałaby z Jerzym. I nie usunęłaby ciąży…

– Nie mamy pojęcia, co by się stało – przerwała Ada. – Nie ma sensu teraz się nad tym zastanawiać. Wiemy tylko, że Wagner zapłaciła z góry za zabieg. Kiedy dowiedziałaś się o spotkaniu z Wójcikiem?

– Zofia zadzwoniła do mnie w środę, dwudziestego siódmego lutego. Powiedziała, że zabieg odbędzie się pierwszego marca, ale wcześniej ma zamiar porozmawiać z ojcem dziecka. Zapytałam, o której i gdzie się spotkają, potem przekazałam wiadomość księdzu Gdańskiemu. A w sobotę rano przeczytałam w gazecie, że została zamordowana.

Magda opadła na stół, łkając i zachłystując się histerycznie. Ada przyjrzała się jej z konsternacją i uznała, że powinny zrobić kolejną przerwę.

64

O dziewiątej wieczorem zamknęła protokół z przesłuchania Magdy Orłowskiej.

– To wszystko – zwróciła się do siedzącej naprzeciw dziewczyny. – Nie sądzę, żeby groziło ci niebezpieczeństwo, ale może przenocuj dziś u rodziców. Sporo przeszłaś…

Magda pokiwała głową i przesunęła dłonią po brudnej twarzy.

– Już ich zawiadomiłam – ciągnęła Ada. – Czekają w recepcji. Sprowadzę cię.

Włożyła płaszcz, z wieszaka przy drzwiach zabrała torebkę i puściła Magdę przodem. Na dole państwo Orłowscy pobiegli w ich stronę. Małgorzata chwyciła córkę za ramiona i długo wpatrywała się w jej twarz. Jakub stał z boku. Miał w oczach łzy.

– Dziękuję – szepnął, wyciągając rękę do Ady.

– Nie ma za co. – Odwzajemniła sztywno uścisk. – To nasza praca. Cieszę się, że odzyskali państwo dziecko – dodała, a potem odwróciła się i szybko odeszła w kierunku bramek.

Przed oczami stanęła jej poszarzała, półprzytomna z bólu twarz Niny Wagner. Dla niej ta historia nie skończyła się szczęśliwie. Podobnie jak dla Mikołaja Zalewskiego. Wyszła na dwór, wciągając chciwie chłodne powietrze. Wbrew przewidywaniom synoptyków wiatr znad rzeki zdążył przed nocą rozpędzić mgłę. Niebo uniosło się nad miastem wysokie i po raz

pierwszy od miesięcy czyste. Ada wsiadła do starego opla, którym kilka godzin wcześniej wróciła do Warszawy, przekręciła kluczyk i ruszyła w kierunku szpitala MSW. Prześwietlenie nogi Sawickiego wykazało skomplikowane złamanie kości piszczelowej. Konsylium lekarskie miało zdecydować, czy konieczna jest operacja. Na Wołoskiej zatrzymała się obok niewielkiego pawilonu, z którego dochodził zapach smażonych sajgonek. Zatrzasnęła drzwi opla, przecięła parking i weszła do recepcji.

– Komisarz Adela Rochniewicz. – Wyjęła legitymację. – Szukam komisarza Sawickiego.

Pielęgniarka uniosła brwi, jednak bez protestów otworzyła księgę przyjęć.

– Drugie piętro, sala numer trzy – powiedziała.

Ada ruszyła zdecydowanym krokiem przez hol, zatrzymała się jednak przy automacie ze słodyczami. Po chwili wahania wyjęła drobne i kupiła snickersa.

Sawicki leżał oparty o poduszki. Nogę miał podwieszoną do skomplikowanego wyciągu. W idiotycznej pasiastej piżamie wyglądał jak chory, naburmuszony chłopczyk.

– Cześć. – Uśmiechnął się na jej widok.

– Jak się czujesz?

– W miarę.

– Co się stało?

– Stopa uwięzła mi między korzeniami. – Skrzywił się. – I pękła kość. Nic nie czułem, podobno to się zdarza, kiedy poziom adrenaliny niespodziewanie skoczy. Biegnąc dalej, ostatecznie się doprawiłem…

– Jak to pękła? Sama z siebie?

– Normalnie. – Wzruszył ramionami. – Zbyt duże obciążenie. Lekarz powiedział, że powinienem regularnie ćwiczyć i zrzucić co najmniej dziesięć kilo. Przechodzę na dietę.

– W takim razie zupełnie niepotrzebnie kupiłam ci batonik…

– Co? – ożywił się. – Dawaj natychmiast.

– A dieta?

– Jutro. Zaczynam od jutra.

Ada podała mu snickersa. Rozejrzała się w poszukiwaniu krzesła, a nie znalazłszy go, przysiadła na krawędzi łóżka.

– A teraz opowiadaj – powiedział, rozrywając zębami papierek. – Jak przesłuchanie?

Obciągnęła rękawy miękkiego swetra i przesunęła się w nogi łóżka.

– Bliźniacy powtórzyli mi rozmowę, która odbyła się rano na Pawlaczyka.

– Mnie też, kiedy czekałem na karetkę – mruknął z pełnymi ustami. – Jak Orłowska?

– Młoda całkiem się rozkleiła. Rozmawiałam z nią trzy godziny. Co chwila musiałam przerywać i podawać chusteczki.

– Ale czego się dowiedziałaś?

– Już. Chwileczkę. – Usadowiła się wygodniej. – A więc na początku stycznia sekta zleciła śledzenie Zofii. Czyli mniej więcej w tym czasie, kiedy zniknęły akta Algierskiego – zaczęła relacjonować przesłuchanie Orłowskiej.

Sawicki słuchał z przymkniętymi oczami. Kilkakrotnie ożywiał się i zadawał pytania, jednak przez większość czasu leżał nieruchomo i ciężko oddychał. Ada zerkała na niego z niepokojem.

– Dalej wszystko przebiegło zgodnie z naszymi przypuszczeniami – zakończyła sprawozdanie, dochodząc do morderstwa Zofii i panicznej ucieczki Orłowskiej – Magda się w końcu porządnie przestraszyła, wyrzuciła komórkę, spędziła pół dnia na zakupach, zaopatrzyła się w perukę, ciemne okulary i w przebraniu wyjechała z Warszawy.

– A pocztówka bez stempla?

– Widzisz, to akurat jest dość zabawne – roześmiała się. – Magdzie nie przyszło do głowy, że członkowie ruchu śledzili dyskusje na forach religijnych i stąd wiedzieli o jej znajomości z Zofią. Sądziła, że prześwietlają jej komputer, i bała się wysłać maila. Słyszała o hakerach, naczytała się kryminałów, stąd te idiotyczne przebieranki. Miała wizję arcysprytnej szpiegowskiej szajki.

– Niewiele się pomyliła – sarknął.

– Chciała jednak uspokoić rodziców – tłumaczyła dalej Ada. – Zapłaciła komuś z okolic Osiecka, żeby jadąc do Warszawy, wrzucił kartkę do skrzynki państwa Orłowskich.

Zdjęła buty i podciągnęła kolana pod brodę. Sawicki jęknął cicho. Oczy błyszczały mu niezdrowo. Pomyślała, że wygląda, jakby miał gorączkę.

– Jeśli chcesz, wrócę rano i wtedy wszystko podsumujemy – zaproponowała, próbując brzmieć możliwie łagodnie.

– Nie, nie. – Poruszył się żywo. – Zróbmy to teraz.

– W porządku. – Skinęła głową. – Brakuje kilku elementów, ale dla mnie ta historia wygląda mniej więcej tak: pod koniec grudnia Karol Zalewski poinformował ruch o zniknięciu akt Algierskiego. Sądzę, że ojciec założyciel już w tym momencie rozpoczął rozmowy z Piotrem. Prawdopodobnie przekonywał sugestywnie, iż bratu grozi niebezpieczeństwo. Opowiedział, że Karol spędził z Zofią noc. Późniejsza wiadomość o ciąży bardzo się przydała. Zła, szalona kobieta chciała

zawrócić kleryka z drogi ku świętości i podstępnie wywabić go z seminarium. Co gorsza, miała w ręku mocne argumenty…

– Zaraz, momencik. – Podparł się na łokciach. – Nie mamy podstaw, żeby mieszać w to ciążę Wagner.

– Oczywiście, snuję tylko domysły – przyznała. – Ale Gdański mógł sugerować, że to dziecko Karola, co zresztą ostatecznie okazało się prawdą.

– Oki, niech będzie – zgodził się niepewnie. – Załóżmy, że masz rację… Co dalej?

– Zbliżał się termin przetargu – ciągnęła. – Zofia stanowiła coraz poważniejsze zagrożenie. Gdański zdawał sobie sprawę, że jeśli dziewczyna zdecyduje się ujawnić zawartość teczki, zrobi to tuż przed ogłoszeniem wyników. I rzeczywiście w pewnym momencie postanowiła wykorzystać zebrane dowody. Los Dzieci Niepokalanej wisiał na włosku. Gdański coraz gwałtowniej naciskał młodego Zalewskiego. I chłopak mu w końcu uległ.

– Widzisz – przerwał znowu. – Widzisz, tego właśnie nie rozumiem. Jakich argumentów trzeba użyć, żeby zmusić normalnego człowieka do morderstwa?

– Piotr nie był normalny – uśmiechnęła się smutno. – Nie zapominaj, że całe życie spędził w sekcie. Od najmłodszych lat uczono go bezwzględnego posłuszeństwa. Według słów Mikołaja przeszedł pranie mózgu – zawahała się. – Ale przede wszystkim bardzo kochał brata, który przejął rolę nieżyjącego ojca. Nie wiemy, czy Gdański zaproponował wprost drastyczne rozwiązanie, czy też omotany chłopak sam wpadł na przerażający pomysł.

Sawicki kiwnął głową.

– To, jak go przekonał, nie ma większego znaczenia – uznał, opadając na poduszki. – Ważne, że znalazł osobę, która zgodziła się wykonać zadanie.

– Otóż to. Potem należało tylko drobiazgowo zaplanować morderstwo – Ada wróciła do odtwarzania przebiegu zdarzeń. – Nasz ksiądz jak zawsze dbał, żeby zostać w cieniu. W najgorszym wypadku oskarżony zostałby młodszy brat kleryka. Niepowodzenie Piotra mogło jednak ściągnąć podejrzenia na ruch. I według mnie w tym momencie na horyzoncie pojawia się postać Wójcika.

– I Magdy… – westchnął Sawicki.

– Właśnie. To ona opowiedziała Gdańskiemu o niechcianej ciąży, niezrównoważonym chłopaku, ojcu dziecka. To ona przekonała Zofię, żeby porozmawiała z Jerzym. Ona też dostarczyła informacji o terminie spotkania. Nie mam tylko pojęcia, jak udało się im później wszystko tak zgrabnie zorganizować…

– Mieli szczęście – mruknął Sawicki. – To się niestety zdarza. Gdański nie mógł wiedzieć, gdzie Zofia umówi się z Wójcikiem, liczył jednak, że wiadomość o ciąży wytrąci go z równowagi i chłopak zrobi coś, co ściągnie uwagę policji. Tak?

– Zgadza się.

– I los mu sprzyjał. Wagner zaprosiła Jerzego do domu. W tej sytuacji należało działać natychmiast – dokończył.

Przez chwilę siedzieli, spoglądając na siebie w ponurym milczeniu.

– A więc nadchodzi feralny czwartek – Ada przerwała ciszę. – Piotr zabiera młotek, rękawiczki i idzie na prawicową demonstrację, żeby zyskać alibi. Nie wytrzymuje presji i za wcześnie pojawia się przed domem Wagner. Siada w pobliskim bistro. Zapamiętuje go barman, który później myli go z Karolem. Przed siódmą Piotr płaci za kawę. Wychodzi. W kamienicy naprzeciwko dzwoni pod odpowiedni numer. Zofia wpuszcza go na górę. Co dzieje się w mieszkaniu? Rozmawiają? Piją herbatę? W pewnym momencie Zofia idzie do łazienki poprawić włosy. Albo umyć

ręce. Czy widzi w lustrze napastnika? Znowu dziura, której nigdy nie wypełnimy. W każdym razie nie odwraca się i nie broni. Dwa silne ciosy w skroń pozbawiają ją życia. Piotr zostawia młotek. Musi się spieszyć, zaraz pojawi się Jerzy, a on ma jeszcze znaleźć jakąś teczkę albo skoroszyt… Ale to mało istotne, najważniejsze, że udało się ocalić brata… Czy Wójcik rzeczywiście spłoszył mordercę, czy ten powyrzucał tylko papiery z biurka i wyszedł, nie wykonując ważnej części zadania? Ja bym stawiała na tę drugą opcję…

– Trzeba przyznać Gdańskiemu – wtrącił Sawicki – trzeba mu przyznać, że wymyślił iście szatańską intrygę.

Ada przygryzła wargę.

– Tym dziwniej wygląda nieprzemyślana próba unieszkodliwienia Magdy…

Uśmiechnął się z wysiłkiem. Nie pierwszy raz spotykał zabójcę, który wpadał z powodu błędów popełnionych po, a nie w czasie drobiazgowo zaplanowanego morderstwa. Gra między przestępcami a policjantami często przybierała postać wojny nerwów.

– Nie umiem sobie wyobrazić uczuć Piotra po tym, jak zabójstwo Wagner doprowadziło do śmierci Karola. Jesteś lepsza ode mnie w te klocki – skrzywił się lekko. – Sądzę jednak, że chłopak wszedł na ścieżkę, z której nie było odwrotu. Mógł tylko wykonywać kolejne polecenia księdza i wierzyć, że postępuje słusznie. Inaczej by zwariował. Albo też się zabił. Tymczasem Gdański po prostu spanikował. Gdyby nie samobójstwo Karola, spokojnie i konsekwentnie trzymałby się planu, a my kręcilibyśmy się w kółko. Ten nieszczęsny kleryk wskazał nam drogę…

Odnieśli zwycięstwo, czuł się jednak całkowicie wyczerpany.

– Ada? – zapytał cicho.

– Tak?

– To mało istotny szczegół, ale jakoś nie daje mi spokoju. Widzisz, Wagner odwołała spotkanie z Wójcikiem, a jednak na kogoś czekała. Na kogoś, kto się nie pojawił, żeby zjeść ciastka… Pamiętasz? Leżały na stole w kuchni.

– Prawda. Może wyjęła je dla Piotra? Obawiam się jednak, że nie dojdziemy nigdy, kim była ta osoba. Zofia zabrała ze sobą jeszcze kilka innych tajemnic.

Wstała. Pochyliła się nad łóżkiem. Doleciał ją słodkawy, ciepły zapach rozgrzanego oddechu.

– Morderca zginął – westchnął Sawicki. – Tylko czy o to nam chodziło?

Pokiwała ze smutkiem głową.

– Potrzebujesz czegoś? Może wody?

– Źle się czuję – szepnął. – Chyba muszę odpocząć.

– Prześpij się.

Podniosła z podłogi buty i w samych skarpetkach wyszła na korytarz. Sawicki zasnął.

Na dworze dopadło ją śmiertelne znużenie. Usiadła na ławce, odrzuciła głowę do tyłu i trwała nieruchomo, wpatrując się w niebo. Pomyślała, że Filip-Oleńka od wielu godzin czeka sam w domu, nie potrafiła jednak zmusić się do wysiłku i wstać. Dziwne, niepokojące wspomnienia oblazły ją jak robactwo. Słoneczny Dom, czeczeńska rodzina, minister Algierski, trzech braci Zalewskich… Nad dachami domów majaczyła ogromna twarz ojca Gdańskiego. Uśmiechał się łagodnie. Coś złamało się w niej i zapadło w środku niczym spróchniałe drzewo. Od strony Wisły wiatr niósł zapowiedź zmiany, delikatną, tęskną obietnicę wiosny. W pobliskich ogródkach darły się koty. Fioletowa noc rozpostarła skrzydła. Nagle zadzwoniła komórka.

– Halo – odebrała z trudem.

– Śpisz? – głos Kasi dobiegał niczym z tunelu.

– Nie, nie. Właśnie zakończyłam śledztwo.

– A to gratuluję. Słuchaj – ciągnęła, nie nabierając tchu. – Wyjeżdżam na dwa miesiące do Paryża. Dostałam stypendium z Fundacji Batorego. Mam zamiar zapisać się na wszystkie francuskie portale randkowe. To znaczy portale o tematyce *casual sex*.

– Dlaczego nie możesz tego zrobić z Polski? – zdziwiła się Ada.

– Oszalałaś? – Kasia robiła wrażenie oburzonej. – Na sto procent trafiłabym na własną studentkę.

– Nie rozumiem.

– To proste. – Ada słyszała teraz muzykę i ciche rozmowy w tle. – Kto uprawia seks bez zobowiązań?

– Nie wiem…

– No właśnie, bo nie jesteś z branży. To określone środowisko. Moje – dodała z przekonaniem. – Jak zacznę korzystać z takiego portalu w Polsce, prędzej czy później trafię na kogoś znajomego. Oraz nie mam zamiaru umawiać się z mężczyznami.

– Dlaczego? – Adzie kręciło się w głowie.

– Bożeż miłosierny, a jak mnie zgwałci?

– Przecież właśnie chcesz uprawiać seks?

– Ale rezerwuję sobie prawo do powiedzenia nie. Kobiety to szanują. Mężczyźni rzadziej.

– Nadal nie pojmuję, dlaczego miałabyś natknąć się na studentkę.

– Nieważne – zirytowała się. – W każdym razie mam pieniądze. Prześlij mi numer konta, to zwrócę dług. A, i jeszcze jedno – ciągnęła na wydechu. – Byłam ostatnio w Press Enter. Pamiętasz to miejsce?

Ada nie zdążyła odpowiedzieć.

– Całkiem przyjemne – podjęła Kasia. – Spotkałam tam znajomego i jakoś wyszło w rozmowie, że mam siostrę policjantkę. Prosił o twój telefon. Dałam mu. Więc odbierz, gdyby wyświetlił się nieznany numer. Chłopak ma poważny problem.

– Dobrze – odpowiedziała automatycznie.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– No to pa.

– Czekaj! – krzyknęła w słuchawkę.

– Co?

– Chciałam ci jeszcze powiedzieć…

– Tylko szybko. Spieszę się.

– Pamiętasz sekciarską Matkę Boską, kobietę boga, która cię tak interesowała?

– No.

– Okazała się mężczyzną.

– Można się było tego spodziewać… – mruknęła ponuro Kasia i przerwała połączenie.

65

Plac Bankowy tonął w promieniach słońca. Ciepły podmuch poderwał z ziemi gazetę i rzucił na złote krzewy forsycji. Na gałęzi klonu wśród drobnych listków siedział puszysty kłębuszek. Ptak zagwizdał, ale dźwięczny głos utonął w ulicznym rozgardiaszu. Skowronek?, zastanawiał się Sawicki. Chyba nie… O ile wiedział, skowronki nie mieszkają w miastach. Stał wsparty na kulach przed drzwiami komendy. Przyniósł tylko kolejne zwolnienie. Noga po operacji goiła się nader opornie. Po miesiącu wyszedł pierwszy raz z domu. Długo oczekiwana wiosna rozkwitła w pełni. Młoda trawa wychynęła z brunatnej ziemi. Parki i skwery pokryły się drżącą zielenią. Oszalałe, pijane słońcem ptaki co rano podnosiły radosny zgiełk, który trwał do późnych godzin wieczornych.

Zamówił taksówkę przed Pałac Mostowskich. W sekretariacie zastał obcą brunetkę o szerokiej twarzy i lekko wyłupiastych oczach. Podał jej wygnieciony druczek i speszony wycofał się w milczeniu. Od Rogowskiego dowiedział się, że Ada pracuje z Wiktorem nad nową sprawą. Nie zastał ich jednak w fabryce. Oboje wzięli wolny dzień. Wszedł do swojego pokoju. Na stole leżał równo złożony plik kartek i zaostrzony ołówek. Na oparciu krzesła wisiał kolorowy szal Ady. Nie widział jej od czasu zamknięcia śledztwa. Odbyli za to kilka nerwowych rozmów telefonicznych. Wbrew protestom, pisemnym zażaleniom i licznym interwencjom Rogowskiego sprawa Dzieci Niepokalanej rozpłynęła się i przepadła w sądowych

rejestrach niby w gęstej mgle. Poza nielegalnym podsłuchem policja nie posiadała bezpośrednich dowodów na to, że Gdański i Czarnota mieli cokolwiek wspólnego z zabójstwem Wagner. Obaj panowie świetnie radzili sobie w czasie przesłuchań, sugerując, że bracia Zalewscy od dawna przejawiali skłonność do przemocowych zachowań i charakteryzowali się wyjątkowo chwiejną strukturą psychiczną, o czym najlepiej świadczyło samobójstwo Karola. Kwestię teczek i inwigilacji członków ruchu zbagatelizowano. „To wewnętrzna sprawa Kościoła", oświadczył Modzelewski nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Wydawnictwo Czarnoty wycofało ofertę usług poligraficznych dzień przed ogłoszeniem wyników przetargu. Jan Algierski nie wniósł oskarżenia w sprawie szantażu. W trybie natychmiastowym został przeniesiony na stanowisko konsula do Brazylii. Zniknął z Polski kilka dni po złożeniu zeznań. Sprawę pedofilskiej afery udało się ukryć przed prasą. Ada poinformowała o wszystkim ojca, ale nie odnalazła zdjęcia w policyjnych archiwach. Wykradziona przez Zofię teczka zniknęła, wraz z nią przepadła też nadzieja na ukaranie winnych. Poprosiła więc o tydzień urlopu i zamknęła się w domu. Sawicki dostał wysokiej gorączki i znowu trafił do szpitala. Po trzech tygodniach życie wróciło jednak na stare tory. W Pałacu Mostowskich pojawiła się ciemnowłosa sekretarka. Nikt nie pamiętał o Dzieciach Niepokalanej.

Stojąc na parkingu przed komendą, Sawicki zatęsknił nagle za zapachem jaśminowych perfum. Wyrzucił niedopałek papierosa, czym spłoszył domniemanego skowronka, zjechał windą do tunelu i wsiadł w metro. Na placu Wilsona pokuśtykał w stronę domu Ady. Mijając osiedlowy sklep, uświadomił sobie, że nie wie, czy zastanie ją w domu. Z wahaniem wcisnął guzik domofonu. Czekał długo i po kilku minutach postanowił odejść, ale wtedy właśnie usłyszał znajomy głos.

– Słucham?

– To ja – odpowiedział niepewnie. – Wyszedłem na spacer i zastanawiałem się… Myślałem, żeby zaprosić cię na kawę…

Zapadła cisza.

– Możesz wejść na górę? – zapytała w końcu.

– Jasne.

Domofon zabzyczał, zamek odskoczył. Ada jak zawsze czekała w otwartych drzwiach. Włożyła lekką sukienkę, miała zmierzwione włosy i dziwnie nieobecny wyraz twarzy.

– Jestem trochę zajęta… – Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – Ale wejdź. Zaparzę kawę i chwilę pogadamy.

Sawicki przestąpił próg, powłócząc nogami. Doczłapał do znajomej kuchni i z ulgą opadł na krzesło. Ada nastawiła ekspres.

– Pracujesz z Wiktorem? – zagadnął.

– Tak, Okruszwili nie wniósł oskarżenia i Pawlak został w sekcji.

– Jak się wam układa?

– W porządku – odpowiedziała obojętnie i postawiła przed nim filiżankę. – Nic nadzwyczajnego, jakieś paserstwo. Prawdę powiedziawszy, straciłam chwilowo zapał… – Rzuciła mu ponure spojrzenie.

Sięgnął po cukier i zaraz cofnął rękę, przypomniawszy sobie, że przeszedł na ścisłą dietę.

– Ja chciałem… – zaczął nieśmiało. – Ada, chciałem ci powiedzieć…

– Jak się czujesz? – przerwała gwałtownie.

– Lepiej – odrzekł nieco zmieszany. – Podobno czeka mnie długa rehabilitacja. Ale przyszedłem tu, żeby…

W tym momencie z korytarza dobiegło ciche stąpanie i w drzwiach stanął młody mężczyzna.

– Dzień dobry, komisarzu.

– Dzień dobry – odpowiedział zdumiony Sawicki.

Chłopak był ubrany tylko w dżinsy. Marcin zobaczył wspaniale umięśniony tors, wytatuowane ramiona i wielkie tunele wpięte w płatki uszu. Chłopak uśmiechał się, pokazując równe białe zęby.

Sawicki zakrztusił się i odstawił filiżankę.

– Przepraszam, rozbolała mnie noga – wybąkał. – To mój pierwszy spacer. Powinienem wracać do domu…

– Ale przecież nie pójdziesz piechotą na Chomiczówkę – zaprotestowała Ada. – Zamówię ci taksówkę.

Chłopak usiadł obok. Sawicki wiedział, że kiedyś już się spotkali, nie pamiętał tylko gdzie.

– Nie trzeba – wykręcił się spiesznie. – Mam komórkę. Zadzwonię z dołu.

Zebrał niezdarnie kule i pokuśtykał w stronę przedpokoju.

– Marcin! – Ada dogoniła go przy drzwiach. Lekką, wiosenną sukienkę poderwał przeciąg, ale jej twarz zachowała ten sam co zawsze, zimowy wyraz. – Marcin – ściszyła głos – to – wskazała głową kuchnię – to nie jest dla mnie istotne… Nie szukam stałych związków.

Skrzywił się i nacisnął klamkę.

– Posłuchaj. – Złapała go za nadgarstek.

Zatrzymał się. Nigdy jeszcze nie dotknęła go w tak bezceremonialny, naturalny sposób.

– Nie tego potrzebujesz – szepnęła z powagą. – Nie takiej osoby jak ja… Musisz w końcu porozmawiać z żoną.

Szarpnął się, chciał coś odburknąć, ale jej ciemne oczy patrzyły uparcie, a palce zacisnęły się wokół nadgarstka. Powietrze zadrżało. Jednocześnie

poczuł, jak pęka w nim coś twardego i zapiekłego, uwalniając tysiące chłodnych strumyczków, które mknęły prędkim zygzakiem w dół piersi. Przełknął ślinę.

– Dobrze – zgodził się cicho, a potem otworzył drzwi i wyszedł na klatkę.

Przez zakurzone okno wpadał słoneczny blask. Rozkołysana gałąź kasztanowca uderzała w szybę. Na dworze zaszczekał pies.

– Wiosna – mruknął.

Wsadził kule pod pachę i kurczowo trzymając się poręczy, zszedł na dół.

Epilog

Jerzy Wójcik siedział w jednym ze świeżo otwartych kawiarnianych ogródków, które wraz z nadejściem wiosny wyrosły wzdłuż Nowego Światu. Zamówił małe piwo. Wiedział, że nie powinien pić, kiedy zażywa leki, uznał jednak, iż niewielka ilość alkoholu nie powinna zaszkodzić. Cztery dni wcześniej opuścił szpital na Nowowiejskiej. Czuł się wolny i niezwykle podniecony. Słońce rzucało roztańczone, jasne plamy na ściany kamienic. Pod nogami kręciły się gołębie. Gruchając słodko, przebierały w pośpiechu czerwonymi nóżkami. Jerzy zgniótł w palcach owsiane ciastko, rzucił okruchy na chodnik i zerknął spod oka na siedzącą przy sąsiednim stoliku parę. Ciemnowłosa kobieta o egzotycznej urodzie gładziła rękę swego towarzysza. Mężczyzna miał wymizerowaną, bladą twarz.

– Podjąłem decyzję – mówił. – Czekam tylko na ciebie.

– A jeśli się nie zgodzę – zapytała – wyjedziesz sam?

– Nie. – Uśmiechnął się z wyraźnym trudem. – Oczywiście, że nie. Chociaż każdy kolejny miesiąc w tym kraju doprowadza mnie na skraj rozpaczy. Nie chcę dłużej tu mieszkać.

Kobieta owinęła lśniące pasmo włosów wokół palca.

– A matka? Zostanie całkiem sama.

– Nie potrzebuje mnie – odrzekł z goryczą. – Zdaje się, że po śmierci moich braci awansowała na pozycję świętej…

– Jesteś niesprawiedliwy. Cierpi nie mniej niż ty! – oburzyła się.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Są różne rodzaje cierpienia. W każdym razie nie potrafię i ona też nie potrafi… – Zająknął się. – To nieszczęście ostatecznie nas rozdzieliło. Dawno skończyłem trzydzieści lat. Powinienem nareszcie rozpocząć samodzielne życie – dokończył zdecydowanie.

Chodnikiem przejechał rower. Stadko gołębi furknęło w górę i Jerzy stracił zainteresowanie rozmową sąsiadów. Umówił się z Filipem D. Nie widzieli się ponad dwa tygodnie. Poprzedniego dnia Filip zadzwonił podekscytowany.

– Musimy uczcić twój wypis ze szpitala – oświadczył. – Poza tym rysuje się pewien plan.

– Jaki plan? – zapytał Jerzy.

– Organizacji. Nie mogę nic więcej powiedzieć przez telefon. Sam rozumiesz, że to niebezpieczne.

Jerzy przyznał mu rację. Od dawna podejrzewał, że ma w komórce założony podsłuch.

Filip spóźnił się kwadrans. Nie przyszedł sam. Przyprowadził dwóch ponuro wyglądających osobników w dziwacznych nakryciach głowy.

– Andrzej i Michał – przedstawił kolegów. – Zamówiłem podobne kapelusze dla ciebie i dla mnie – powiedział, widząc zdziwiony wzrok Jerzego. – Mają folię aluminiową wszytą pod podszewkę.

– To miło z twojej strony – podziękował niepewnie Jerzy.

Filip był ubrany w sprany podkoszulek i spodnie od dresu.

– Ukradli mi konto bankowe – oświadczył z niechęcią.

– Postawię ci piwo.

Kiedy na stole pojawiły się cztery butelki i Jerzy za nie zapłacił, Filip pochylił się w jego stronę i konfidencjonalnym szeptem oznajmił:

– Andrzej i Michał też słyszeli głos Ducha Świętego.

– Co ty mówisz?

– Ale w przeciwieństwie do ciebie wiedzą, że to nie żaden duch, tylko promieniowanie kosmiczne. Noszą kapelusze, żeby się przed nim chronić. Zbyt dużo informacji wpływa niszcząco na mózg. Można je odbierać tylko czasami.

Jerzy próbował protestować, ale Filip uciszył go ruchem ręki.

– Bóg, kosmici, wszystko jedno. Cokolwiek to jest, próbuje się z nami kontaktować. Razem z Andrzejem i Michałem doszliśmy do wniosku, że takich ludzi jak my musi być więcej. Na świecie, w Polsce, może w samej Warszawie. Mijamy ich codziennie na ulicy, nawet o tym nie wiedząc. Dlatego chcemy założyć organizację.

– Organizację?

– Tak. Coś w rodzaju stowarzyszenia. Nazwalibyśmy je Ruchem Przyjaciół Kosmosu. Damy ogłoszenie w prasie polskiej i zagranicznej, urządzimy zlot i wspólnie zbadamy przekaz…

– Nie zgadzam się – zaprotestował Jerzy. – Jeśli mam mieć z tym coś wspólnego, musimy wspomnieć w nazwie o Bogu.

– W takim razie może Boski Ruch Przyjaciół Kosmosu? – zaproponował Michał.

– Albo Ruch Boskich Przyjaciół Kosmosu? – włączył się Andrzej.

Po krótkiej dyskusji zgodzili się, że Ruch na rzecz Duchowych Związków z Kosmosem brzmi najlepiej.

– RDZK. – Filip zanotował to na pierwszej stronie czystego notesu. – To historyczne wydarzenie. Zapamiętajcie dzisiejszą datę. Wkrótce będą nas setki, jeśli nie tysiące.

Jerzy uścisnął ręce członków założycieli.

– Jeszcze cztery piwa proszę! – zawołał w stronę kelnerki.

Słońce skryło się za dachami. Na balkonach i gzymsach kamienic gołębie szykowały się do snu. Para przy sąsiednim stoliku zapłaciła za kawę i odeszła w dół ulicy. Zapadał ciepły, prawie letni wieczór. Jerzy czuł się szczęśliwy.

OD AUTORKI

Dziękuję Maćkowi za to, że jest najlepszym i najwytrwalszym redaktorem moich książek, Kindze i Alkowi za wsparcie, inspirujące rozmowy i słabość do kultury pop, oraz wszystkim osobom, dzięki którym udało się choć na chwilę zajrzeć do hermetycznego świata polskiej policji.

* * *

Jestem pisarką, opowiadam zmyślone historie. Oznacza to, że mam prawo do sporej swobody, z której też skorzystałam, rozrabiając nieco w Pałacu Mostowskich. Pozwoliłam sobie nieznacznie zmienić topografię budynku i kilkakrotnie nagiąć do potrzeb powieści zwyczaje panujące w komendzie. Żywię jednak nadzieję, że ogólna atmosfera pracy polskiej policji została przeze mnie właściwie oddana.

Wszystkie postaci i zdarzenia opisane w tej książce są fikcyjne. Muszę jednak zaznaczyć, że niejednokrotnie czerpałam pomysły z internetowych forów o tematyce policyjnej, religijnej i dotyczącej pozaziemskich cywilizacji. Internet to nieocenione źródło wiedzy o świecie.

Książka została napisana w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego na II połowę 2014 roku.

Copyright © by Kaja Malanowska

Projekt okładki
Izabella Marcinowska

Fotografia na okładce
Copyright © Dave Wall/Arcangel Images

Opieka redakcyjna
Agata Pieniążek

Redakcja
Magdalena Petryńska

Konsultacja merytoryczna
Krzysztof Liedel

ISBN 978-83-240-3504-5

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl
Wydanie I, Kraków 2015

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com